

S. J. B. LEMOYNE

MEMORIE BIOGRAFICHE

DI DON

GIOVANNI BOSCO

TOM II

1841 – 1846

TŁUMACZ KS. CZESŁAW PIECZEŃCZYK

*Ur. 15.01.1912 w Kuźnicy Białostockiej
Nowicjat 1928/1929 w Czerwińsku, święcenia kapłańskie 17.02.1940 w Krakowie.
Zm. 10.08.1993 w Otwocku, w 81 roku życia, 64 ślubów zakonnych i 53 kapłaństwa.*

POGRZEBIEŃ 1968

Słowo wstępne

W roku 2009 Zgromadzenie Salezjańskie obchodziło 150 – lecie swego istnienia, a obecnie przygotowuje się do kolejnej ważnej rocznicy: w roku 2015 minie 200 lat od narodzin św. Jana Bosko. Ojciec i Nauczyciel Młodzieży jest żywy i wyraźnie widoczny w dziełach salezjańskich na całym świecie. Odczuwamy jednak potrzebę odkrywania na nowo naszego Ojca poprzez osobiste i wspólnotowe studium przekazów o Jego życiu. Najbardziej obszernym opracowaniem biografii ks. Bosko jest *Memorie Biografiche di San Giovanni Bosco* autorstwa ks. Giovanni B. Lemoyne i innych. Dzieło zostało przetłumaczone z oryginału przez salezjanina śp. ks. Czesława Pieczeńczyka i udostępnione w nielicznych egzemplarzach oprawionego maszynopisu. Winni jesteśmy ks. Pieczeńczykowi wdzięczność za wieloletnią żmudną i pokorną pracę nad tłumaczeniem. Proszę jednak spróbować wypożyczyć to dzieło do osobistej lektury – niewykonalne wręcz zamierzenie, chyba, że jest się nowicjuszem lub studentem w seminarium salezjańskim. W tej sytuacji należy oddać honor ks. Stanisławowi Łobodźcowi, dyrektorowi Domu p.w. św. Jana Bosko w Lubinie i Ks. Stanisławowi Gorczakowskiemu, którzy zainicjowali przepisanie całego dzieła i umieszczenie go również na nośniku elektronicznym. Jest to dla Rodziny Salezjańskiej w Polsce wydarzenie doniosłe na drodze wyznaczonej przez Kapitułę Generalną 26: **powrócić do Księdza Bosko**. Niech Pan Bóg błogosławi wszystkim, którzy zaangażowali się w umożliwienie szerokiego dostępu do Pamiętników Biograficznych, a ich czytelnikom życzę głębokiego spotkania ze św. Jana Bosko.

Ks. Alfred F. Leja - Inspektor

Twardogóra, dnia 19 czerwca 2010 roku

ROZDZIAŁ I

Doszliśmy w naszym opowiadaniu o życiu Księdza Bosko do roku 1841. W Piemoncie panował szczęśliwie i spokojnie przez lat osiemnaście Karol Albert będąc więcej ojcem swego ludu niż jego władcą oraz szanując prawa Boże i Kościelne. Dzięki niemu Piemont był w poważaniu wśród potęg europejskich: rozkwitał handel, prosperował skarb, zapewniony był wymiar sprawiedliwości, słowem imię sardyńskie znane było powszechnie w najdalszych zakątkach świata. Polityka wolna od obcych wpływów, niepodległość absolutna. Armia i flota królewska przedstawiała znaczną siłę jak na małe, lecz waleczne państwo. Król jego zdobył sobie chwałę dzięki okazanej brawurze na polu bitwy w roku 1823 w obronie prawowitego króla hiszpańskiego Ferdynanda VII, w czasie krwawej rewolty zdobywając fortecę Trocadero. Był to monarcha, który potrafił obronić swój honor wobec stanowiska ministrów rządu francuskiego i angielskiego - De Broglie i lorda Palmerstona - wyrażających swoje niezadowolenie z powodu poparcia udzielanego przez króla Sardynii Don Miguelowi w Portugalii i Don Carlosowi w Hiszpanii, oświadczając zdecydowanie, że chce być panem we własnym domu.

Równocześnie dawał poddanym przykład życia religijnego. Uczęszczał publicznie do Sakramentów św., czytał z powagą Pismo św. a w Turynie publicznie brał udział w uroczystościach religijnych.

Pomimo to dawał wyraz swym fantastycznym urojeniom. Marzył mianowicie nad przejęciem po Austrii rządów nad Włochami Północnymi celem zapewnienia podpory i opieki Papieżowi. Był zdecydowany na wszystko, by ten cel osiągnąć. Nie brak było w otoczeniu dworskim wybitnych osobistości i pochlebców dzielających plany i utwierdzających monarchę w jego ambicjach.

Pochlebiano królowi jego przywiązanie do Kościoła katolickiego, przedstawiano mu niebezpieczeństwa grożące rzekomo Stolicy św. ze strony wojsk austriackich we Włoszech. Zarzucano hipokryzję Józefowi II cesarzowi austriackiemu dążącemu do uzależnienia Kościoła od państwa; deklarowano, że uwolnienie biskupów i kleru lombardzkiego spod jarzma Austriaków porównać by można do oswobodzenia chrześcijan syryjskich spod jarzma tureckiego.

Wszystkie tego rodzaju insynuacje wsączane przez szereg lat królowi przytłumiły mu prawdziwe rozeznanie sytuacji na półwyspie włoskim.

Król okazywał sympatie zwłaszcza hrabiemu Gallina oraz Robertowi d'Azzeglio - obu zamaskowanym karbonariuszom, od roku 1821 poplecznikom idei liberalnych oraz partii pro-francuskiej. Wydawało się monarsze, że można bezpiecznie na nich się oprzeć w swych zamierzeniach a po osiągnięciu swych celów będzie można się ich pozbyć.

W Turynie na skutek zaproszenia liberałów doszło do tajnego zebrania naczelników sekt całego półwyspu w pałacu królewskim oraz tajnych posiedzeń w arsenale w obecności samego króla Karola Alberta. Zorganizowano wspólny front w obliczu postawionego zadania, które brzmiało: zjednoczenie wolnych i niepodległych Włoch. Rozesłano tajnych emisariuszy do wszystkich państw włoskich, do Brukseli i do Paryża. W Turynie zaś powstał pod egidą hrabiego Kamila Cavoura Klub Stowarzyszenia Whist, którego zadaniem było zdobywanie zwolenników spośród arystokracji piemontkiej do tych niby patriotycznych celów.

W zamiarze króla leżało powstanie wolnej nowej Italii, gdzie kwitłaby wiara i sprawiedliwość społeczna a po odniesieniu całkowitego zwycięstwa nawróciłby, lub siłą stłumił wolnomyślny liberalizm, któremu na razie schlebiał jako narzędziu do celu. Co za naiwność! Któż zdoła nawrócić diabła lub wypędzić raz wprowadzonego w dom swój jako sprzymierzeńca?

Nic nie przenikało do wiadomości publicznej z tych niecznych knowań sekt, które swą zgubną robotę prowadziły od lat na terenie Włoch, zwłaszcza Państwa Kościelnego w celu obalenia tronów i zniweczenia Kościoła.

Od roku 1820 naczelnicy masonerii uchwalili instrukcję postępowania dla wtajemniczonych działaczy na terenie Włoch, której treść była następująca:

„Od czasów ustalenia się nowego porządku politycznego (w latach 1814-1815) we wszystkich dalszych i bliższych kołach związanych z ośrodkiem naszej działalności odnowicielskiej dominującą myślą jest uwolnienie i zjednoczenie Włoch, za czym pójść winna powszechna wolność i harmonijne współzycie całej ludzkości. Tej idei nie rozumieją jeszcze należycie nasi współbracia francuscy. Wierzą oni, że Włochy mogą spiskować potajemnie rozdając tu i tam swym zaufanym i zdrajcom sztylety a znosząc cierpliwie jarzmo istniejących rządów i ustrojów z tej strony Alp na

rzecz Italii bez Italii. Ten błąd już nieraz okazał się zgubny. Nie należy go zwalczać słowami, bo to przyczyniłoby się do jego propagandy, lecz należy go pokonać faktami. I tak wśród wielu innych haseł, jakimi szermują stowarzyszeni najbardziej aktywni naszych łóż masońskich jest hasło, o którym nie można nigdy zapomnieć. Oto papieństwo wywierało zawsze decydujący wpływ na dzieje Włoch. Ramieniem, słowem, piórem, działalnością charytatywną, przy pomocy episkopatu, zakonów, wiernych w całej skali, papieństwo miało zawsze zwolenników gotowych do męczeństwa, rozentuzjasmowanych swą ideą. Gdziekolwiek zechce, ma swych popleczników gotowych na śmierć za niego, lub wyzbycie się wszystkiego z miłości ku niemu. To jest olbrzymia rezerwa, którą tylko niewielu Papieży doceniło należycie i umiało z niej czerpać. Dzisiaj nie leży oczywiście w naszym celu przywrócenie tej potęgi na razie osłabionej. Naszym celem ostatecznym jest hasło Voltaire'a i rewolucji francuskiej - a tym jest kompletne zniweczenie katolicyzmu i samej idei chrześcijańskiej, która jeśliby się ostała na ruinach Rzymu, odżyłaby z pewnością i przetrwała na przyszłość. By dopiąć jednak celu, a nie łudzić samych siebie, nie należy dawać posłuchu tym francuskim megalomanom, niemieckim teoretykom lub melancholijnym Anglikom, którzy wierzą, że katolicyzm można pokonać jakimiś sofizmatami, trywialnym sarkazmem czy zjadliwą ironią - przemycanymi jak jedwab angielski na kontynent. Katolicyzm w swej żywotności opiera się zgoła na innych pierwiastkach. Widział on już wrogów bardziej okrutnych nieustępliwych. Nierzadko i nie bez sukcesu kropił najbardziej zażartych swych przeciwników wodą święconą. Pozwólmy, więc naszym braciom z owych państw, by sobie kruszyli zęby w swej gorliwości antykatolickiej. Pozwólmy im szydzić do woli z naszych Madonn i pobożności powierzchownej. A my z naszym paszportem zdołamy stopniowo osiągnąć swój cel.

Papieństwo, więc od tysiąca siedmiuset lat wywierało wpływ na dzieje Włoch. Italia nie mogła oddychać ani ruszyć palcem bez wiedzy Papieża. Z nim urastało jej tysiące ramion briareuszowych; bez niego skazana była na pożałowania godną bierność - podziały, wzajemne niesnaski książąt od podnóża Alp aż do ostatniego krańca Apenin. My nie możemy dopuścić do takiego stanu rzeczy: musimy znaleźć środek skuteczny na tę sytuację. A środek ten jest gotowy. Otóż Papież, jakkolwiek by on był, nie przyjdzie pierwszy do tajnych stowarzyszeń. Stowarzyszenia tajne

muszą uczynić pierwszy krok ku Kościołowi i Papieżowi z zamiarem pokonania ich obu.

To, do czego musimy dążyć i oczekiwać, za czym tęsknili i tęsknią jeszcze Żydzi: za Mesjaszem, którym będzie dla nas Papież zgodnie z naszymi życzeniami. W taki tylko sposób pomaszujemy bezpieczniej na Kościół katolicki niż swymi paszkwilami nasi bracia we Francji lub też ze złotem w Anglii. Chcecie wiedzieć, dlaczego? Bo w ten tylko sposób zdołamy rozbić skałę, na której Bóg zbudował swój Kościół nie potrzebując przysłowiowego octu hanibalowego, ani prochu armatniego, nawet wysiłku naszych ramion. Wystarczy, że mieć będziemy do swej dyspozycji mały palec Następcy Piotrowego umaczany w naszym spisku. I ten mały palec znaczyłby więcej w naszej krucjacie niż wszyscy Urbanowie II i święci, Bernardowie chrześcijańscy. Nie wątpimy, iż uda się nam pomyślnie osiągnąć ten szczytowy sukces naszych wysiłków. Lecz kiedy i w jaki sposób? Tego się jeszcze nie widzi.

Chcemy w niniejszej instrukcji, która winna pozostać w sekcie, dać naczelnikom Generalnej Łoży niektóre rady, które winni oni z kolei wpajać braciom stowarzyszonym w formie pouczenia względnie memorandum. Jest to sprawa najwyższej wagi, zarówno jak ścisły sekret, by nie sugerowano, że są to rady i zalecenia najwyższej Łoży. Kler zbyt jest tym zainteresowany; nie wolno też nam przy świetle tych ogników księżycowych igrzać z nim, jak igramy z „książatkami i królikami”, których można się pozbyć za lada tchnieniem.

„Z łatwością potrafimy radzić sobie ze starymi kardynałami i niektórymi prałatami o charakterze nieustępliwym. Po prostu zignorujemy tych niepoprawnych ze szkoły Consalviego; poszukamy w naszych popularnych magazynach skutecznej broni, która potrafi wykorzystać, względnie ośmieszyć władzę piastowaną w ich rękę. Puścimy w obieg wśród rodzin katolickich jakieś zręcznie ukute oszczerstwo, które wnet dostanie się do kawiarni, na rynek; słowo niejednokrotnie potrafi uśmiercić człowieka. Gdy z Rzymu przybędzie jakiś prałat na prowincję z odpowiednim urzędem, trzeba natychmiast zasięgnąć wiadomości o jego charakterze, rodzinie, wykształceniu, wadach, właśnie zwłaszcza o wadach; czy jest naszym przyjacielem. Natychmiast starajcie się go uwikłać w nasze sieci, jak tylko zdołacie. Wyróbcie mu opinię, która przestraszy chłopców i dziewczęta, malując go jako okrutnika i krwiożercę; zmyślcie jakąś historyjkę makabryczną, która z łatwością przyjmie się

w umysłach prostego ludu. Wówczas prasa podchwyci od nas wspomniane fakty, rozmaże je i ukoloryzuje, jak zwykle, jak tego wymaga wzgląd dla prawdy (sic), wtenczas będziecie mogli już powoływać się wobec czcigodnego imbecyla na numer i datę dziennika, który zamieścił wspomniane fakty o danej osobistości. Podobnie jak w Anglii, Francji, także we Włoszech nie zabraknie piór w fabrykowaniu kłamstw dla naszej sprawy.

Mając w ręku dziennik, w którym znajdzie się wydrukowane nazwisko jakiegoś monsignora, delegata, względnie czcigodnego sędziego pokoju, lud nie będzie już szukał innych dowodów. Niestety, nasz lud tutejszy we Włoszech jest dopiero w powijakach liberalizmu. Wierzy on obecnie liberałom, a później uwierzy, komu innemu głoszącemu coś innego.

Zmiażdżcie, więc nieprzyjaciela, ktokolwiek on jest, nawet silnego, bronią kłamstw i oszczerstw, przede wszystkim wtedy, gdy jest jeszcze w zarodku. Młodzieży zaś należy imponować: trzeba ją uwodzić, konieczną jest rzeczą wpływać i przyciągać młodych niespostrzeżenie, pod sztandar stowarzyszeń tajnych. Należy jednak działać z największą ostrożnością, obliczając krok za krokiem. Dwie rzeczy absolutnie są konieczne: winniście występować pod pozorem gołębia, a równocześnie macie być chytry jak węże. Wasi rodzice, synowie, wasze żony nie powinni znać sekretu, jaki nosicie wewnątrz. A jeśli wypadnie wam dla zmylenia czyichś bacznych oczu chodzić nawet często do spowiedzi, winniście także wobec spowiednika zachować milczenie w tej materii. Musicie wiedzieć, że jakiegokolwiek naruszenie tego sekretu na spowiedzi, czy gdzie indziej pociągnie dla was ciężkie następstwa; a ten, kto dobrowolnie lub niedobrowolnie zdradzi swój sekret, tym samym podpisuje na siebie wyrok śmierci (sztylet lub trucizna).

„Otóż by zrobić sobie Papieża według naszych planów, trzeba przede wszystkim przygotować dla tego Papieża generację godną panowania, które sobie zainaugurujemy. Zostawmy na boku starsze pokolenie i ludzi dorosłych. Idźcie, zatem między młodzież, a jeśli możliwe, to i do dzieci. Nie mówcie nigdy z młodzieżą o rzeczach bezwstydnym i bezbożnym: Maxima debetur puero reverentia. Nie zapominajcie nigdy o żywych słowach poety, posłużą wam one jako ocalenie wobec wyuzdania, od którego należy się powstrzymać dla dobra sprawy. Jeśli chcecie, by was entuzjastycznie przyjmowano w rodzinach i udzielano azylu przy ognisku

domowym, winniście prezentować się na zewnątrz jako dżentelmeni. Skoro, bowiem dobra wasza opinia ustali się w kolegiach, gimnazjach, na uniwersytetach i seminariach; gdy zdobędziecie zaufanie profesorów i uczniów, wówczas starajcie się, by z wami chętnie przestawali kandydaci do seminariów duchownych. Rozmawiajcie z nimi na temat dawnego splendoru papieskiego. W sercu każdego Włocha tkwi tęsknota za Rzymem republikańskim. Starajcie się pomieszać ze sobą te dwie idee; podniecajcie i rozpalajcie te natury zapalne dumą patriotyczną. Utrzymujcie z nimi kontakty tajemne, podarowując im książki zawierające poezję na temat ojczyzny włoskiej: tak stopniowo uda się wam zaszczerpić w umysłach waszych uczniów pożądany ferment. Gdy we wszystkich stronach państwa kościelnego zasiane zostaną nasze idee, wtedy przekonacie się jak mądra jest nasza inicjatywa, jaką zapoczątkowujemy.

„Wypadki, które według nas toczą się zbyt szybko, spowodują z konieczności zbrojną interwencję Austrii. Znajdują się szaleńcy, którzy bawią się rzucaniem innych w niebezpieczeństwo; niestety, ci szaleńcy w danym momencie pociągają za sobą nawet mądrych. Rewolucja gotująca się w Italii (rozruchy z lat 1820 i 1821) spowoduje tylko nowe proskrypcje. Sytuacja jeszcze nie dojrzała, ani ludzie, ani sprawy, tak będzie jeszcze przez dłuższy czas. Dzięki tym klęskom będziecie mogli trącać nową strunę w sercu młodszych księży. Będzie to struna nienawiści do obcych. Starajcie się obrzydzić i ośmieszyć Niemca, zanim on nadejdzie. Wraz z ideą przodownictwa papieskiego łączcie zawsze wojny cesarzy z Papieżami. Rozbudźcie zapomniane walki Gwelfów z Gibelinami, a tak stopniowo, małym kosztem zdobędziecie sobie opinię dobrego katolika i patrioty. A to z kolei otworzy drogę dla naszych hasła do serc młodego kleru i samych klasztorów.

Za niewiele lat ten młody kler, siłą rzeczy obejmie wszystkie stanowiska kościelne. Będzie sprawował rządy, administrował, sądził, wejdzie do rady książęcej, z czasem będzie powołany do wyboru nowego papieża. A ten papież jak większość mu współczesnych, przepojony będzie mniej lub więcej tymi samymi zasadami liberalnymi i humanistycznymi, które my puszczamy w obieg. Jest to drobne ziarenko gorczyczne, które zasiewamy w ziemi, lecz „słońce sprawiedliwości” doprowadzi je do najwyższego rozwoju, a wy ujrzyście kiedyś jak wspaniały zrodzi się stąd plon.

„Trasa, jaką wytknęliśmy naszym współpracownikom piętrzy się wszelkiego rodzaju przeszkodami. Lecz zatriumfujemy dzięki naszemu doświadczeniu i chytryści. Cel nasz jest tak piękny, że należy rozwinąć wszystkie żagle, by go dopiąć. Chcecie zrewolucjonizować Włochy? Postarajcie się zdobyć papieża, którego portret wam nakreśliliśmy. Pragniecie ustalić królestwo wybranych na tronie nierządnic babilońskiej? Postarajcie się, by kler kroczył pod waszym sztandarem w przekonaniu, że postępuje za sztandarem Piotrowym. Chcecie by znikły ślady panowania tyranów i ciemnych? Rozpuśćcie wasze sieci jak Szymon BARIONA; zapuśćcie je w głąb zakrystii, seminariów i klasztorów, nawet w głąb morza, a jeśli nie będziecie się niczego obawiali, obiecujemy wam połow obfity niż samego Piotra. Ów rybak stał się łowcą ludzi, wy zaś łowić będziecie sobie przyjaciół i zwolenników u stóp samej Katedry Apostolskiej. W taki sposób złowicie rewolucję w tiarze i kapie, poprzedzoną krzyżem i banderą watykańską; rewolucję, która bez większej trudności roznieci swój płomień na całym świecie”.

„Zatem każdy krok naszego życia niech zmierza do odkrycia tego kamienia filozoficznego. Alchemicy średniowieczni tracili na próżno czas i pieniądze w zrealizowaniu tego snu. Marzenie stowarzyszeń tajnych (pozyskania dla siebie papieża) spełni się z tej prostej racji, że jest ono oparte na żywiołowych namiętnościach ludzkich. Zatem nie zniechęcajmy się niepowodzeniami czy klęskami poniesionymi: gotujmy swą broń w tajemnicy naszych zebrań, ustawiajmy nasze baterie, rozpalajmy namiętności najniższe, czy najszlachetniejsze: wszystko przemawia za tym, że sukces przekroczy najśmielsze nadzieje”.

Gdy spełżyły na niczym rozruchy z roku 1821, rozesłano nowe instrukcje wśród podległych sektom zwolenników. „Klęska poniesiona może nam przysporzyć nowych środków do walki: wystarczy podburzać umysły i korzystać ze wszystkiego, co się nadarzy. Wkroczenie obcych czynników w rządy państw, jest bronią potężną w naszym ręku, którą należy zręcznie się posługiwać; trzeba Italii nastawiać wrogo ludność do obcych najeźdźców, tak by władza była znienawidzona nawet przez uczciwych obywateli... tymczasem dawać baczenie na Rzym... wszelkimi sposobami dyskredytować klechów... podburzać, agitować, demonstrować... choćby za cenę ofiar... Zawsze znajdzie się taki, kto będzie umiał podchwycić i przedstawić sugestywnie nasze idee”.

Tymczasem w Rzymie ustanowiono dla wykonania wspomnianych uchwał naczelnego przywódcę, członka wysokiej loży masońskiej, tajnego naczelnika masonerii włoskiej. Zajmował on stanowisko przy poselstwie włoskim. Arystokratycznego pochodzenia, wymowny, wykształcony, chytry, obłudny i cyniczny polityk, miał do dyspozycji swej olbrzymie sumy przysyłane mu od międzynarodowego żydostwa w nadziei szybkiej likwidacji chrystianizmu i przywrócenia dawnego państwa Izraela ze stolicą w Jerozolimie (syjonizm). Otóż ten polityk przedstawił na piśmie do swego zwolennika następujące szatańskie projekty:

„Caro Vindice!

Gdy nadejdzie dzień naszego triumfu i dla uwieńczenia go potrzebne będą ofiary, nie potrzebujemy bynajmniej dążyć do tego, by przeznaczeni na śmierć umierali z godnością i odwagą. Podobne wypadki, bowiem przyczynić się mogą jedynie do podtrzymania ducha oporu, który zazwyczaj zachowuje zimną krew i dania ludowi męczenników. Doprawdy byłby to zgubny przykład! ... Bo człowiek, którego trzeba siłą ciągnąć na szafot, nie jest już niebezpieczny. Ale jeśli sam dobrowolnie i z ochotą patrzy śmierci w oczy, nawet jeśli nie jest bez winy, zawsze będzie miał poklask u tłumów.

Nie jestem urodzonym krwiożercą: myślę, że nie będę miał nigdy takiego instynktu okrutnego. Lecz kto chce celu, chce także stosownych środków. Otóż twierdzę, że w danym przypadku my nie powinniśmy, nie możemy, nawet w interesie humanitarnym obciążać się męczennikami na naszą niekorzyść. Czy myślisz sobie może, że cesarowie rzymscy w obliczu chrześcijan nie postąpiliby lepiej wykorzystując na korzyść pogaństwa wszystkie owe „niebieskie mrzonki”, a niżeli dopuścić do tego, żeby oklaskiwały ich tłumy? Czy nie lepiej było wykorzystać siłę ducha na niekorzyść ciała? Odpowiedni specyfik zaaplikowany pacjentowi, który go doprowadziłby do prostracji duchowej, sprowadziłby według mnie efekt zbawienny. Gdyby tak cesarowie rzymscy puścili w obieg szarańczę ich czasów, jestem przekonany, że nasz stary Jowisz Olimpijski, wraz z całą plejadą drugorzędnych bóstw nie byłiby nędznie ulegli chrześcijaństwu, które zapanowało powszechnie”.

„Skazywano na śmierć Jego apostołów, kapłanów i dziewice na arenach, w amfiteatrach, rzucono ich lwom na pożarcie. Ci zaś pod wpływem ekstazy religijnej, prozelityzmu i entuzjazmu, umierali śpiewając hymny zwycięskie w obliczu

przyglądających się tłumów. Znajdowali się tacy, u których budził się zapał do podobnego męczeństwa. Czyż gladiatorzy nie rodzili gladiatorów?

Gdyby ci biedni cesarowie mieli zaszczyt należenia do naszej wysokiej łoży, to ja bym doradził zaprosić najbardziej zapalonych wśród tych neofitów na ucztę galową; wówczas nie byłoby mowy o konwersjach, bo nie byłoby już męczenników... Istotnie, nikt nie widzi dla siebie zysku, ani żadnej atrakcji, gdy wieszka się na szubienicy człowieka biernego, który nikogo nie wzrusza. Chrześcijanie, dlatego z miejsca zyskali sobie wielką popularność, gdyż tłum zachwyca się tym, co robi na nim wrażenie... Gdyby widział słabość, strach, masę drżącą z przerażenia, byłby ich wygwizdał; a wówczas dla chrześcijaństwa nastąpiłby smutny koniec tragikomedii.

Jeśli decyduję się proponować surowy środek (truciznę), to wychodzę z zasady polityki humanitarnej... Ale nie dopuszczajcie nigdy, by śmierć na szubienicy była chwalebna, święta, odważna, jak się to mówi szczęśliwa: wtedy bardzo rzadko będziecie musieli zabijać”.

„Rewolucja francuska, która odniosła tyle sukcesów, na tym punkcie zmyliła. Ludwik XVI, Maria Antonina, większa część ofiar tej epoki zyskało wielką chwałę z powodu rezygnacji i wielkości ducha... To nam niepotrzebne. Przy danej okazji doprowadźmy do tego żeby papież lub dwóch, trzech kardynałów umarło ot, tak jak staruszkowie, ze wszystkimi oznakami uciążliwej agonii. Wtedy sparalizujecie wszelką chęć naśladowania tej ofiary. Oszczędzicie ciała, lecz zabijecie ducha. A oto morał stąd płynący: powinniście ugodzić w samo serce... Jeśli sekret będzie pilnie strzeżony, ujrysz przy sposobności skuteczność tego rodzaju lekarstwa. Jeden niewielki kamyczek potrafił zniweczyć potężnego Cromwella. A czegoż potrzeba, by doprowadzić człowieka silnego i zdrowego do zaniku energii i woli w rękę jego katów? Jeśli nie będzie miał siły zdobycia palmy męczeństwa, nie uzyska i aureoli, a w konsekwencji nie będzie miał ani podziwu, ani naśladowców. W taki sposób załatwiliśmy się jednym zamachem z jednymi i drugimi przeciwnikami; ponadto nada to pewien właściwy aspekt rewolucji humanistycznej. Polecam ci to jako memento”.

Zbór oparty na ludzkich namiętnościach, czy zdoła obalić Kościół opierający się na wszechmocy Bożej? Napisane przecież: „Nie masz rady przeciwko Panu” /Przyp. 21,30/. A sam Boski Zbawiciel wypowiedziawszy uroczystą obietnicę,

że bramy piekielne nie przemogą Kościoła, wskazał, do jakiego punktu dojść może złość ludzka, lecz zapewnił Apostołów, że jeśli chodzi o chwałę Bożą, „jeśli coś zatrutego pić będą, nie zaszkodzi im” /Mk 16,18/. Bóg dopuszcza walki przeciwko swemu Kościołowi: „Jeśli mnie prześladowali i was prześladować będą” /J 15,30/ lecz ostateczne zwycięstwo będzie zawsze należało do Niego.

Sekciarze wiernie trzymali się instrukcji podanych przez ich naczelników ze szkodą dla wielu dusz. Ale Opatrzność Boska czuwająca nad swymi wybranymi wydobyla na światło dzienne zasadzki wrogów; sam Ksiądz Bosko od początków swej działalności był poinformowany dokładnie o ich niecznych programach, śledził kolejne fazy ich wysiłków, rzecz można, jak na obrazie ogarnął wzrokiem przyszłe ich zamierzenia. Przygotował się, więc należycie, studiował drogi przeciwdziałania i tak postępował pewnie na drodze swej ważnej misji. Powtarzał bardzo często: „Cokolwiek mnie spotkało, nic nie było nowego i niespodziewanego. O wszystkim naprzód wiedziałem, wszystko z góry przewidywałem”. W ciągu dalszej historii ujrzymy, jak słuszne były jego słowa.

ROZDZIAŁ II

Ksiądz Bosko to kapłan. Dla niego posługiwanie kapłańskie stanowiło ideał życia; gorąca miłość, z jaką tyle lat dążył do osiągnięcia swego celu, to główny motor jego poczynań, dzięki czemu ze zdwojoną energią rzucać się będzie na pole chwały Bożej zdobywając dusze. Trzymając, co dzień w swych rękach Najświętsze Ciało Eucharystycznego Zbawcy, zraszając wargi w Krwi Przenajdroższej ożywiać będzie swą wiarę, rozpalać miłość, która go pobudzać będzie do rozlewania wśród wiernych skarbów, jakie dobroć Boża powierzyła mu w depozyt. Dostrzega on w ludzkich duszach dzieło wszechmocy Boga na ziemi, przedmiot Jego miłości, która go popchnęła aż na krzyż, dlatego upodobniając się do Boskiego Zbawcy nie zniesie ociągania się w służbie dla ich zbawienia. Zapalać go będzie do tego widok tak wielu sideł zastawionych na niebacznych.

Ksiądz Bosko pierwsze miesiące kapłaństwa spędził w rodzinnej wiosce u brata Józefa. Ten od dwu lat rozwiązał kontrakt dzierżawy Sussambrino i powrócił do mieszkania dawnego do Becchi. Ksiądz Jan znaczną część czasu spędzał na plebani u proboszcza księdza Cinzano, spełniając w parafii wszelkie możliwe posługi. Znosić chorym Wiatyk, udzielać Sakramentu namaszczenia, asystować przy śmierci, brać udział w nabożeństwach – było jego codziennym zajęciem. Przebywał z zamiłowaniem z dziećmi, pouczał ich i zachęcał do życia religijnego. Oto jak o tym sam pisze:

„W roku 1841 w zastępstwie ks. proboszcza i wikarego spełniałem ich obowiązki przez pięć miesięcy. Czułem gotowość do coraz gorliwszej pracy na tym polu. Głosiłem co niedzielę kazania, odwiedzałem chorych, udzielając Sakramentów św. z wyjątkiem spowiedzi, gdyż nie posiadałem jeszcze jurysdykcji. Prowadziłem pogrzeby, utrzymywałem kancelarię parafialną itp. Leczką moją było katechizować dzieci i przebywać z nimi. Z Morialdo często przychodziły do mnie gromady dzieci; gdy wracałem do domu towarzyszyły mi w drodze. We wiosce zyskiwałem wśród nich wielu przyjaciół. Wszędzie znajdowałem się wśród mych małych przyjaciół, którzy cieszyli się przebywając ze mną”.

Szczególną satysfakcję znajdował w udzielaniu chrztu nowonarodzonym; śladem tego jest w księgach parafialnych nadawane prawie wszystkim imię Alojzy, bądź jako główne, bądź drugie dodane w tym celu, by ten św. Patron od dzieciństwa strzegł ich cnoty czystości od niebezpieczeństw grożących tej pięknej cnotcie.

Jak sam pisze, głosił kazanie co niedziela i był poszukiwany jako kaznodzieja również w sąsiednich wioskach. Tak na przykład, wygłosił kazanie o św. Benigniuszu w Lavriano pod koniec października tego roku. Chętnie zgodziłem się – pisze w pamiętniku – z uwagi na to, że wioska ta była ojczyzną mego kolegi ks. Jana Grassino, później proboszcza w Scalenghe. Chcąc należycie uczcić ten odpust przygotowałem i napisałem kazanie w języku ludowym, lecz poprawnym. Opracowałem je starannie spodziewając się sukcesu. Lecz dostałem porządną lekcję za swą pychę. Przejechawszy na koniu pół drogi przybyłem do doliny Casal Gorgone między Cinzano i Bersano, gdy nagle koń mój spłoszony przez stado wróbli poniósł mnie w pole. Trzymałem się na siodle, ale czując, że to zsuwa się pod brzuch koniowi próbowałem je poprawić w czasie jazdy, nie udało się jednak i spadłem głową na dół na kupę kamieni.

Jakiś gospodarz ze wzgórza zauważył mój upadek i pospieszył mi z parobkiem na pomoc. Znalazłszy mnie nieprzytomnego zaniósł do mieszkania i położył na łóżku. Gdy przyszedłem do przytomności spostrzegłem, że jestem w obcym domu.

Niech się Ksiądz nie martwi, jest w domu uczciwych ludzi. Posłałem już po lekarza, a parobek poszedł za koniem. Jestem wieśniakiem, lecz mam na tyle, co potrzeba. No, jak się Ksiądz czuje?

Niech wam Bóg wynagrodzi za tyle dobroci, drogi przyjacielu. Myślę, że nie jest ze mną tak źle, być może złamałem sobie bark, którym nie mogę poruszyć. Lecz gdzie się znajduję?

Na górze Bersano w domu Jana Calosso. Mnie również przytrafiło się niegdyś znaleźć pomoc w potrzebie, gdy wędrowałem po świeci. Ileż miałem złych przygód chodząc po jarmarkach!

Zanim przyjdzie lekarz, opowiedzcie mi, jakąś waszą przygodę.

Och! Miałbym wiele do powiedzenia. Parę lat temu, na przykład było to w jesieni, pojechałem do Asti na tym osiołku po zakupy na zimę. W drodze powrotnej wśród pagórków Morialdo moje biedne zwierzę objuczone zbyt wpadło do

trzęsawiska. Wszelki wysiłek, by je wyciągnąć był daremny. Czas był fatalny, noc ciemna i dżdżysta. Zacząłem wołać o pomoc. Po paru minutach przybyli na pomoc kleryk z bratem i dwoma innymi ludźmi niosącymi łuczywa. Pomogli mi wyciągnąć zwierzę z bagna i zaprowadzili do domu na nocleg. Byłem na pół żywy, a rzeczy moje ubabrane w glinie. Oczyszczili mnie, pożywili obficie i położyli w miękkim łóżku. Rano dnia następnego chciałem dać należną zapłatę, kleryk odmówił wymawiając się. Ech, może się zdarzyć, że jutro my będziemy w potrzebie!

Na te słowa uczułem się wzruszony, gospodarz spostrzegłszy moje łzy pytał:

Czy Ksiądz się czuje gorzej?

Nie! Bardzo mi się podoba to opowiadanie tak wzruszające.

Ach, gdybym tak mógł się odwdzięczyć tej zacnej rodzinie! Co za szlachetni ludzie!

A jak się nazywali, pamięta pan?

Rodzina Bosko, nazywana przez sąsiadów Boschetti. Ale dlaczego Ksiądz jest taki podniecony? Może zna tę rodzinę? Co, żyje? Jak się powodzi owemu klerykowi?

Tym klerykiem, mój drogi przyjacielu, jest kapłan, któremu tysiącrotnie wynagrodziliście za to, co wam uczynił. To ten sam, którego przypadkowo przyjęliście do swego mieszkania i umieściliście w tym łóżku. Opatrzność Boska zrządziła to, czego nikt by się nie spodziewał.

Można sobie wyobrazić zdumienie i radość owego zacnego gospodarza. Żona, siostra, dzieci i sąsiedzi ucieszyli się wielce na wiadomość, że zagościł u nich ten, o którym tak wiele słyszeli. Prześcigano się we wszelkich usługach dla chorego.

Przybyły lekarz stwierdził, że nie było złamania, dlatego po upływie paru dni mogłem na odszukanym koniu udać się w drogę powrotną do swej wioski. Jan Brona towarzyszył mi aż do mieszkania i odtąd zachowaliśmy wzajemną przyjaźń. Otrzymawszy taką lekcję, powziąłem postanowienie, że w przyszłości będę przygotowywał kazanie jedynie na chwałę Bożą a nie dla wykazania swej uczoności.

Takie postanowienie powziął Ksiądz Bosko przy tej okazji. Nam jednak nasuwają się inne myśli. Przede wszystkim, jak wierny jest Bóg w spełnianiu swych obietnic! Powiedział: „Błogosławiony, który lituje się nad ubogim i nędzarzem; w zły dzień wybawi go Pan” /Ps.40,1/. Nowym dowodem na to jest fakt wyżej przytoczony.

Nie możemy też pominąć tak miłego tu rysu pokory Księdza Bosko. Odkąd został klerykiem w seminarium, posługiwał się pewnym świętym wybiegiem, by dopomagać chorym. Mianowicie, sporządzał pigułki z chleba i podawał proszącym o proszek na ból głowy, z warunkiem, by przystąpiono do Sakramentów św. i pomodlono się do Madonny. Przepis opiewał niekiedy na trzy lub pięć dni. I nawet poważnie chorzy wracali do zdrowia. Środkiem tym posługiwał się nadal jako kapłan, gdy przebywał w Konwikcie kościelnym. Na skutek jednak pewnego dość osobliwego zdarzenia, wypadło mu tego zaniechać.

Oto w roku 1844 w Montafie zachorował poważnie na febrę niejaki pan Turco i żadne środki lekarskie nie pomagały. Wówczas rodzina udała się do Księdza Bosko, który zalecił spowiedź, Komunię św. i wręczył dla chorego pudełko pigułek do zażywania codziennie po odmówieniu trzech Salve Regina. Po zażyciu paru pigułek Turco wyzdrowiał zupełnie. Wszyscy dziwili się temu, aptekarz zaś pośpieszył do Turynu do Księdza Bosko.

Proszę Księdza, wysoce cenię jego geniusz i skuteczny lek, którym się posłużył w spędzeniu febry. Prosiłbym jak najgoręcej o sprzedanie mi pewnej ilości owych pigułek lub samego sekretu, by cała wioska nie musiała tu przyjeżdżać po ów cudowny lek.

Ksiądz Bosko nieco zażenowany tłumaczył się:

Wyczerpałem już cały zapas owych pigułek i nie mam ich więcej.

Aptekarz wróciwszy do domu postarał się o parę pigułek i poddał je starannej analizie chemicznej.

Nie znajduję w nich nic innego prócz chleba – stwierdził zdziwiony. A jednak uzdrowienia następowały!

Udał się, więc do innego aptekarza swego przyjaciela i obaj ponownie zbadali pigułki i doszli do tego samego wniosku, że to czysta mąka! Wiadomość o tym rozniosła się po wsi. Pan Turco przy sposobności odwiedziwszy Księdza Bosko opowiadał mu o zdarzeniu z pigułkami prosząc o zdradzenie sekretu ich skuteczności.

Czy pan odmówił z wiarą trzy Salve Regina? – spytał Ksiądz Bosko.

Z pewnością – odpowiedział ów pan.

Więc niech to panu wystarczy. Zakończył Ksiądz Bosko. Widząc odkryty swój sekret zaprzestał wyrobu tajemniczych pigulek i odtąd jako kapłan posługiwał się zawsze błogosławieństwem.

Również monsignor Bertagna stwierdza, że w młodości swej był świadkiem, jak wielu mieszkańców Castelnuovo udawało się do Księdza Bosko w nadziei, że jego błogosławieństwo przywróci ich chorym zdrowie. Mieli słuszną podstawę ku temu, bowiem jego wiara i ufność w modlitwy i kapłańskie błogosławieństwo oparte na obietnicy Jezusa Chrystusa, nie miały granic. Łaski zaś, jakie wierni przypisywali wstawiennictwu Najświętszej Maryi, dzięki modłom i błogosławieństwu Księdza Bosko, liczą się na krocie tysięcy. Jest to doprawdy łańcuch zadziwiających cudów splatający się z dziełami Księdza Bosko, bo istniało powszechne przekonanie, że życie Świętego nie było niczym innym, jak ustawicznym błogosławieństwem i że każda rzecz, do której przyłożył swej ręki, musiała się udać. Nie powinno to nikogo dziwić, gdy się ma na uwadze, że Ksiądz Bosko był mężem potężnej wiary.

Przyjmował on z pełnym aktem umysłu i woli wszystkie prawdy objawione. Okazywał swą radość, że został chrześcijaninem dzieckiem Bożym przez Chrzest św. Podnosił szczęście, że miał pobożną matkę, która go w odpowiednim czasie nauczyła katechizmu i wdrożyła do pobożności. Za te wielkie łaski dziękował Panu Bogu nieustannie. Słyszano, jak wpajał wdzięczność Bogu za to, że narodziliśmy się na łonie św. Matki Kościoła Katolickiego i zalecał odpowiadanie tej łasce przez wyznawanie wiary św. bez liczenia się ze względami ludzkimi, unikanie grzechu i praktykowania Prawa Bożego. Przypominał myśl o obecności Bożej, iż miało się wrażenie, że nieustannie miał ją przed sobą. Odnosiło się wrażenie z rozmowy z nim o jakiejś prawdzie wiary św. A czynił to z osobliwą zręcznością, z naturalnością, traktując o sprawach materialnych, interesach, zwłaszcza, gdy chciał rozweselić otoczenie, jakimś żartem. Pozostawiał dodatnie wrażenie nawet u tych, którzy nigdy nie chcieli słyszeć o sprawach religijnych. Jego myśli i czynności tchnęły duchem religijnym. Objawiało się to również w świętej bojaźni przed obrazą Boga i Jego sprawiedliwością.

Rozróżniał między tym, co doskonale i święte a tym, co pospolicie uchodziłoby za nienaganne. Stąd jego nieustanny zryw do doskonałości. Dlatego od pierwszych lat kapłaństwa praktykował ściśle rady ewangeliczne czystości, ubóstwa i posłuszeństwa.

Kto go nie znał podziwiał tego rodzaju obserwację; koledzy seminaryjni wtajemniczeni w jego sekrety, gotowi byli zeznać to pod przysięgą. Ksiądz Bosko poświęcił się Bogu ślubem dozgonnym od czasów kleryckich w seminarium. U stóp Matki Najświętszej ofiarował Jej kwiat dziewiczości swego serca. Doznając przeszkód by wstąpić do zakonu, usłuchał rad przełożonych, ale za to skrepował swą wolność oddając się na służbę Bogu w każdej chwili swego życia. Stąd właśnie pochodziło tak wielkie zamiłowanie w umartwieniu i ubóstwie.

W czasie pobytu na wakacjach, a później w pierwszych latach swego pobytu w Turynie przypominał sobie zawsze lekcje swej Matusi Małgorzaty:

„Dodatek do chleba nie jest potrzebny, mają go tylko panowie, my jesteśmy ubodzy i musimy żyć jak ubodzy”.

Jego sposób życia był ustawicznym umartwieniem. Ci, co niegdyś odwiedzali go w Sussambrino, a obecnie przychodzili do Becchi na korepetycje, otrzymywali w podarunku owoce lub winogrona.

Sam jednak nie jadł w takich okazjach ani moreli ani innych owoców, których w tym czasie pełno było w ogrodach. Trzymał się surowo przepisu nie spożywania pokarmów ani napojów poza czasem posiłku.

Doprawdy podziwu godne było jego zachowanie się w każdej okoliczności, jakby osoba jego tchnęła aureolą skromności w każdym calu. Daleki od próżnej ciekawości, nie chciał zabawiać się oglądaniem żadnego widowiska, z wyjątkiem takich, w których sam grał czynną rolę by zabawić chłopców.

W sposób szczególny wiara jego objawiała się w odprawianiu Mszy św. Józef Mogli, Jan Filippello, Józef Turco - jego rówieśnicy opowiadają, jak owej jesieni często udawali się na jego Mszę św. odnosząc zbudowanie z pobożnej postawy i gorliwości przy ołtarzu. A ksiądz Turchi Jan stwierdza: „Nie znam kapłana, który by miał żywszą wiarę od Księdza Bosko. Człowiek, który by nie miał takiej wiary, nie mógłby dokonać tych dzieł, co on”.

„Miejcie wiarę Bożą – powiedział Chrystus do Apostołów – po prawdzie mówię wam, że ktokolwiek powiedziałby tej górze: Usuń się i wpadnij do morza, a nie zwątpiłby w sercu swoim, stanie się jemu. Dlatego mówię wam: O cokolwiek prosić będziecie w modlitwie, miejcie wiarę, że otrzymacie, a weźmiecie”.

Otóż ta wiara, w połączeniu z głęboką pokorą, wraz z umartwieniem siebie samego, tłumaczy nam tyle cudów zdziałanych przez Księdza Bosko.

ROZDZIAŁ III

Pierwszym spośród swych Dobrodziejów złożył wizytę zacnej rodzinie Mogli w Moncucco; następnie udał się do Pinerolo do państwa Strambio, związany przyjaźnią z ich trzema synami, którym udzielał korepetycji; następnie pojechał z kazaniem do Fenestrelle na zaproszenie tamtejszego proboszcza swego przyjaciela. Nie zapomniał przy tym odwiedzić dawnego swego profesora, księdza Lacqua, przebywającego na emeryturze w Ponzano, kończącego 86 rok życia. Zawiadamiał go w uprzejmym liście o swej ordynacji kapłańskiej przyrzekając przy sposobności swą wizytę. Otrzymał w odpowiedzi list przechowany w dokumentach osobistych, który publikujemy:

„Ponzano, 28-7-1841 r.

Car. mo amico ed allievo dil. Mo!

Odpowiadam w paru zdaniach na jego cenny a tak poprawny list (piszę poufale jako dawny nauczyciel do swego ucznia), który kilkakrotnie odczytywałem. Serdecznie się cieszę z jego wyniesienia do stopnia kapłaństwa, który to zaszczyt jest godną nagrodą jego zasług. Serdecznie dziękuję Księdzu za starania około zaspokojenia moich życzeń usunięcia się do życia klasztornego. Jeszcze w przyszłym roku mam, stosownie do zawartej umowy, oddawać usługi w tutejszej gminie, choć upływem miesiąca czerwca mógłbym opuścić tę kapelanię i usunąć się w zacisze prywatne, na razie jednak ta droga jest zamknięta. Wolę raczej pozostać tu przy tej kaplicy, niż objąć stanowisko nauczyciela czy kapelana gdzie indziej, co pensatis pensandis, wydaje mi się lepsze jako skromna emerytura dla biednego starca, jakim jestem. Przy tym nie mam tu zbyt wiele roboty, jako że liczba uczniów nie przekracza piętnastki, a nawet po Wielkanocy nie będzie ani jednego. Uważam, że najlepiej doczekać końca swych dni we własnej ojczyźnie: *Dulcis amor patriae, dulce videre suos*; w każdym razie niech się dzieje wola Boża.

Przyjmuję chętnie przesłane mi intencje mszalne. Postaram się je odprawić do połowy września, względnie do czasu waszych miłych odwiedzin. Marianna ma się dobrze i przesyła ukłony. Ponieważ list się kończy, przeto składam kartę i serdecznie

Księdza pozdrawiam, wraz z ukochaną Mamusią, ei ferii potest, życząc wszelkiego dobra i pozostając, il vostro D. Lacqua

Ps. Proszę uprzejmie pozdrowić przy sposobności ode mnie pana Józefa Scaglia, wraz z rodziną”.

Po odpuście Matki Bożej Różańcowej Ksiądz Bosko dotrzymał słowa i udał się do Ponzano, gdzie go oczekiwali wraz z dawnym nauczycielem, ciotka Marianna, której zawdzięczał kontynuowanie swych studiów, oraz znajomy proboszcz.

Opiszemy szczegółowo tę podróż, której detale usłyszeliśmy z ust Ksiądz Bosko. Tak żywo i barwnie opisywał wszystko jak ten, kto ma serce i umysł szeroki, otwarty na to, co piękne w życiu ludzkim. Nie potrzebował niczego ukrywać, lecz śmiał się, żartował wspominając o swych dawnych przeżyciach, tym bardziej, że chciał nasycić ciekawość swych chłopców słuchających go chciwie. Było to dla nich też bodźcem, by pozostać dobrymi zażywając równocześnie beztroskiej rekreacji. Ojciec ich mawiał często: „Nie nazywajcie wesołą rozrywki, która pozostawia niepokój sumienia i obawę kary Bożej!”.

Ksiądz Bosko wyruszył z Montaldo z przewodnikiem znającym dobrze okolicę. Zatrzymawszy się w Cocconato na obiedzie u proboszcza udał się w dalszą drogę do Ponzano, pomimo późnej pory. Tymczasem noc zapadła, niebo zasępiło się chmurami zapowiadając burzę. Ksiądz Bosko z towarzyszem brnęli dalej przed siebie, aż z powodu ciemności zagubili nawet ścieżkę. Od czasu do czasu błyskawice rozdzierały gęste ciemności. Przemoczeni ulewnym deszczem w gęstym lesie nie mogli już iść dalej i schronili się pod jakimś rozłożystym drzewem czekając, aż ulewa ustanie. Głusza, ciemności, błyskawice, grzmoty, świst wiatru, trzask łamiących się gałęzi, smętne kwilenie ptasząt zbudzonych ze snu, powiększały trwogę. Siedzieli w milczeniu. Cóż było począć? Przykra sytuacja zmuszała jednak do powzięcia jakiejś decyzji. Ksiądz Bosko po odmówieniu Zdrowaś... do Matki Najświętszej wstał zdecydowany mówiąc:

Chodźmy naprzód! Na pewno gdzieś zajdziemy.

Tak uczynili. Niebawem usłyszeli szczekanie psów i jakieś zobaczyli światelka w dali.

Dobra nasza! – zawołali – niedaleko wioska.

Poczuł w nozdrzach zapach piekącego się chleba. Wnet ujrzeni przed domem ognisko, przy którym pieczono bochenki chleba. Podeszli bliżej. Na widok wyłaniających się ciemnych postaci, owi ludzie przerażeni uciekli do domu zatrzasnąjąc drzwi za sobą. Ksiądz Bosko podszedłszy bliżej powiedział:

Nie lękajcie się, otwórzcie, jesteśmy uczciwymi ludźmi, zgubiliśmy drogę w lesie, jesteśmy przemoczeni i zziębnięci, nie wyrządzimy wam nic złego.

Nie skutkowało żadne przekonywanie. Po długich błaganiach uchylono nieco drzwi, by móc obejrzeć podróżnych, ukazali się ludzie uzbrojeni w widły, drągi, kosy, pytano bojaźliwie, kim są i dokąd zdążają?

Jestem Księdzem, a to jest mój przyjaciel, szliśmy w kierunku Ponzano i zbłądziliśmy w lesie; uspokójcie się, drodzy nie chcemy wyrządzić wam nic złego.

Tymczasem burza nieco ucichła, a gdy zebrało się więcej ludzi, wyszli na dwór i wrócili do piekącego się chleba nawiązując rozmowę z Księdzem Bosko.

Spytani przez niego, dlaczego tak się lękają, odrzekli, że w okolicy grasują bandyci, którzy poprzedniej nocy dopuścili się morderstw we wiosce. Dodali, że karabinierzy przetrząsają lasy poszukując bandytów, lecz dotąd nikogo nie złapali.

Wówczas Ksiądz Bosko poprosił, by wskazano mu drogę do Ponzano, dowiedział się, że bardzo zboczyli z drogi. Prosił przy tym, by mu wypożyczono, jakieś ubranie, gdyż sutannę miał przemoczoną do nitki. Ludzie odpowiedzieli, że sami są ubodzy, lecz wskazali mu pobliski zamek, którego właściciel będzie w stanie mu pomóc. Ksiądz Bosko poprosił, by ktoś go doprowadził, gdyż nie znał drogi. Ci ludzie, z pewnym wahaniem nie wypuszczając swej broni w obawie przed bandytami, zgodzili się mu towarzyszyć. Prowadzili go krętą ścieżką pod górę, na której stał zamek. Dojechali pod bramy zamku, gdy posłyszeli szczekanie potężnych brytanów. Zatrzymali się, więc wołając głośno i zapowiadając dwóch zbłąkanych wędrowców. Zjawił się właściciel zamku niejaki pan Mogliolo, typowy ziemianin o dobrotliwym wejrzeniu, który odwołał psy i zaprowadził Księdza Bosko wraz z jego towarzyszem do pałacu zapraszając w gościnę. Pomimo późnej nocy salon jarzył się światłami, przy wesołej komitywie. Na zjawienie się podróżnych, obecni w salonie goście powstałi z szacunkiem. Gospodarz wypytywał swego gościa, kim on jest? Dowiedziawszy się, że pochodzi z Castelnuovo, wyliczał swych znajomych z tamtych stron. Ciesząc się, że gości u siebie osoby znajome swym przyjacielom, nawet kazał

przynieść świeże ubranie, by można wysuszyć ich przemoczoną odzież. Kazał również natychmiast podać wieszak. Zaczyna pan bawić swych gości miłą rozmową. Między innymi oświadczył Księdzu Bosko:

Mam w swym domu kaplicę, byłibyśmy wraz z małżonką bardzo wdzięczni gdyby Ksiądz raczył odprawić nam Mszę św.

Ksiądz Bosko zgodził się chętnie. Nazajutrz sygnaturka zamkowa obwieściła mieszkańcom wioski, że odprawi się Msza św., na którą tłumnie pospieszono.

Ksiądz Bosko chciał natychmiast wybrać się w swą drogę, lecz pan ów nie pozwolił i chciał, by zwiedził jego zamek. Obszedłszy dookoła mury i wały Ksiądz Bosko zwrócił uwagę na ciemne lochy podziemne. Właściciel objaśnił, że nikt nie śmiał się zapuszczać w te kręte galerie podziemne, służące zapewne jako kryjówki dla różnych przestępców i fałszerzy monet. Zjawiają się tu czasem różne ciemne typy, lecz nikt nie ma odwagi zweryfikować ich nazwiska, nawet sami karabinierzy boją się tam zapuszczać.

Musimy milczeć, wszak każdemu miła jego skóra.

Gdy oprowadzał Księdza Bosko po bogatej bibliotece, ten chcąc mieć pamiątkę z tej miłej gościny wybrał sobie jakąś książkę, którą właściciel chętnie podarował. A Ksiądz Bosko upamiętnił to następującą dedykacją: „W roku 1841, 14 października, w czasie podróży w ciemną noc, gdy zgubiłem drogę, na zamku Merli, obok Moncalvo, gościł mnie serdecznie właściciel pan Mogliolo, od którego otrzymałem w darze tę książkę. Bosko Gio”

Zachował to dzieło w swej bibliotece korzystając z niego w swej pracy pisarskiej.

W ciągu powyższego opowiadania Ksiądz Bosko nie wspominał słówkiem o żadnych przykrościach, jakie zapewne musiały mieć miejsce. Było to w jego zwyczaju pokrywać żartem nieprzyjemności i niewygody. To był charakterystyczny rys jego usposobienia. Serce doprawdy szlachetne nie zapomina nigdy doznanych dobrodziejstw. Nie pozostawiał on nigdy bez nagrody wyświadczonych sobie usług lub czyjejs fatygi. Jednemu sprezentuje książkę, drugiemu każe kupić butelkę wina czy korzec ziarna, innym pośle książkę lub inne przedmioty religijne, względnie każe zanieść nowalijkę wyhodowaną w ogródku matusi Małgorzaty itp.

Osobom ze służby dawał zazwyczaj napiwek, pozostawiając go na stoliku w izbie, gdzie nocował. Gdy czasem zagadnięto go na ten temat odpowiadał:

Nie wypada przecież pozostawić bez nagrody usług czy pracy dla nas wykonanej.

Na jesieni tego roku, Ksiądz Bosko nie omieszkął odwiedzić byłego kościelnego z Chieri, który odprawiał swą Mszę św. prymicyjną. Widzieliśmy już jak udzielał mu korepetycji z łaciny. A gdy Ksiądz Bosko znajdował się w seminarium, udawał się do niego na lekcje filozofii i teologii, które mu podawał zawsze na kilku kartkach spisanych bardzo zrozumiale i treściwie. Była to doprawdy oryginalna metoda studiów, ale zdał on egzamin z teologii pomyślnie. Prócz pomocy w nauce, Ksiądz Bosko wystarał się mu o zapomogę od pewnej osoby w kwocie 1.000 lir. W dniu jego Prymicji kapłańskich zachęcał, podobnie jak innych kolegów, by prosić Pana Boga o łaskę najpotrzebniejszą w życiu kapłańskim, zapewniając, że się zostanie wysłuchanym.

Wspominany ksiądz Palazzolo nadal pobierał u Księdza Bosko lekcje z moralnej przychodząc do Oratorium. Został on doprawdy świątobliwym kapłanem i pracował gorliwie jako spowiednik. Przez czas jakiś zarządzał kościołem św. Pankracego obok Pianezza. Księdzu Bosko zawdzięczał swe szczęście, jako kapłan, żywiąc dla niego nieustanną wdzięczność. Ze swej strony popierał powołania kapłańskie u młodzieży kształcąc chłopców na swój koszt w Oratorium i dopomagając im materialnie. Przeżył lat 90 jako gorliwy kapłan, zmarł w roku 1885. Odwiedzał często swego przyjaciela i dobroczyńcę świadcząc wobec wszystkich, jak wiele zawdzięczał Księdzu Bosko.

Nie należy sądzić z tego, co się wyżej mówiło, jakoby Ksiądz Bosko tracił wiele czasu na niepotrzebne wizyty. Składał on je tylko w wypadku ścisłej konieczności, wdzięczności lub innych względów. Zresztą był nieustannie zajęty, bądź na plebani, bądź we własnym mieszkaniu w Becchi, nie zażywając spoczynku poza ścisłą koniecznością. Kontynuując swe umiłowane studia historii kościelnej, przykładał się do teologii moralnej, jak zapewnia ks. Giacomelli, utrwalając w pamięci szereg traktatów, które pogłębi później w Konwikcie kościelnym. Równocześnie pisał szkice kazań okolicznościowych. Musiał pilnie zważać na to, by nie wpadać w rymy, z powodu tego, że umiał na pamięć tak wiele poezji klasycznych.

Księżę Bosko nie wypowiadaj tyle rymów! – zwracali mu uwagę przyjaciele słysząc jego kazania. A Ksiądz Bosko odpowiadał żartobliwie rymując:

„Trzeba mi bardzo pilnować się „umu”,

Żeby nie błędził trzymając się rymu”.

Budziło to serdeczną wesołość słuchaczy. Trzeba powiedzieć, że od początku z pilnością spisywał swe kazania i dzięki starannej uwadze zdołał ustrzec się swej wady. Postawił sobie przy tym za cel: musi być rozumiany przez lud i młodzież; dlatego starał się, by jego język i styl był jak najbardziej popularny i zrozumiały dla wszystkich, a przy tym staranny i poprawny. A jak mu się to udało, mogą potwierdzić ci, którzy mieli szczęście go słuchać przemawiającego z ambony.

ROZDZIAŁ IV

Wakacje zbliżały się ku końcowi i Ksiądz Bosko musiał pomyśleć o swej przyszłości. Proponowano mu trzy stanowiska. Pierwsze - to posada nauczyciela w pewnej zamożnej rodzinie genueńskiej z pensją ponad tysiąc lir rocznie. Krewni i przyjaciele namawiali go do tej posady. Mając zapewniony wikt i odzież mógł przy tym pensją swą poprzeć swą rodzinę. Lecz matusia Małgorzata wiedząc dobrze, że za drzwiami bogatych domów nie zawsze panują wzorowe obyczaje, odpowiadała:

„Co mówicie? Mój syn w bogatym pałacu nauczycielem? Cóż mu po tej pensji, jeśli miałby stracić swą duszę?”.

Drugi projekt – to kapelania w Morialdo z pensją dwukrotnie wyższą od tej, którą zwykło się wypłacać wówczas kapelanowi. Obywatele oświadczyli gotowość podwyższenia jeszcze owej pensji, byle tylko zatrzymać go u siebie na nauczyciela ich synów.

Trzeci – to wikariat w Castelnuovo, gdzie tak bardzo był znany i kochany przez swych krajan, zwłaszcza przez księdza proboszcza Cinzano.

Ksiądz Bosko nim się zdecydował coś wybrać, zastanawiał się najpierw, czy to będzie zgodne z większą chwałą Bożą i dobrem dusz oraz czy przez to osiągnąłby swój szlachetny cel. Dlatego wprzód gorąco modlił się do Boga, następnie zasięgał rady u osób pobożnych i uczonych. Upewniwszy się, że ta rzecz będzie miłą Bogu zabierał się do jej wykonania. Tak postępował przez całe życie.

Ponieważ chodziło o rzecz tak poważną, wybrał się do Turynu do księdza Cafasso. Święty kapłan, kierownik konferencji moralnych dla duchowieństwa w Konwikcie kościelnym pod nazwą św. Franciszka z Asyżu, wysłuchał wszystkiego uważnie, następnie dał zdecydowaną odpowiedź:

„Ksiądz winien obecnie studiować teologię moralną i kaznodziejstwo, dlatego proszę zrezygnować z tych propozycji i przybyć do Turynu”.

Czym był Konwikt kościelny? Nie ma we Włoszech kapłana, który by nie wiedział. Dla informacji czytelników podaje się krótkie objaśnienie.

Otóż z początkiem tego wieku znany był powszechnie w Turynie ks. Kanonik Alojzy Guala, rektor kościoła św. Franciszka z Asyżu. Mąż to nieskazitelnych obyczajów, głębokiej pobożności, bezinteresowny, odważny i roztropny kapłan. Oddany papieżowi, w okresie okupacji francuskiej utrzymywał tajną korespondencję z papieżem Piusem VII więźniem w Savonie, informując go o sprawach kościelnych i pośrednicząc w zarządzie diecezjami włoskimi. Zorganizował i przewodniczył komitetowi powołanemu w celu niesienia pomocy uwięzionemu Ojcu św. zbierając i przesyłając mu składki wiernych. Na skutek tego sam wpadł w podejrzenie policji francuskiej i tylko dzięki dowcipnemu wybiegowi udało się mu ująć kary. Pomieszano jego nazwisko z nazwiskiem znanego bankiera Gonella. Policja nie mogła dojść do ładu z wyszukaniem właściwych osób, którzy na czas ostrzeżenia mogli zniszczyć kompromitujące papiery i ukryć się bezpiecznie. Na skutek zaś wstawiennictwa wpływowych osób i braku dowodów winy pozostawiono ich w spokoju.

Otóż ten dostojny kapłan wyczuwający potrzeby młodego kleru, by go przygotować praktycznie w dziedzinie duszpasterstwa, od roku 1808 zapoczątkował osobiście dla neoprezbiterów w mieście Turynie konferencje moralne we własnym mieszkaniu. Tak rzeczy szły do roku 1818. Po upadku Napoleona I oraz opróżnieniu przez wojsko konwentu Franciszkanów, ksiądz Guala zorganizował tamże Konwikt z odpowiednim regulaminem dla księży.

Król Karol Feliks w roku 1822 upoważnił go do przyjmowania pobożnych zapisów na ten cel oraz oddał mu na mieszkanie część niesprzedanych budynków. Niebawem władza kościelna autoryzowała zbawienną instytucję, a arcybiskup Chiaverotti, dekretem z dnia 4 czerwca 1823 zamianował ks. Gualę rektorem wspomnianego Konwikt kościelnego zatwierdzając ułożony przez niego regulamin. Na porządek dzienny składały się rozmyślanie, czytanie duchowne, dwie konferencje dziennie, konsultowanie współczesnych autorów, prócz zajęć zwykłych konwiktów.

Nieocenione dobro wyświadczył tym ksiądz Guala diecezjom zwłaszcza turyńskiej. Dzięki temu zdołał wykorzenić z czasem resztki jansenizmu, zgubnej doktryny, która przesadnym swym rygoryzmem zniechęcała dusze na drodze uświęcenia się, oddalając je od czerpania ze źródeł Zbawiciela. Między innymi, nie pozwalała rozgrzeszać penitentów nawet z grzechami powszednimi, tylko pod warunkiem długotrwałej surowej pokuty, do Komunii św. wymagała anielskiej

czystości tak, że zazwyczaj żaden wierny nie był dostatecznie przygotowany do korzystania ze Stołu Pańskiego.

Przeciwko tym zgubnym naukom wystąpił zdecydowanie już w poprzednim wieku św. Alfons Liguori, Doktor Kościoła i założyciel Redemptorystów, którego dzieła stały się skutecznym lekarstwem przeciwko nim. Dlatego ks. Guala usilnie propagował jego książki, drukując je potajemnie we Francji i sprzedając po zaniżonej cenie.

W owych czasach były żywo dyskutowane wśród kleru teorie probabilizmu i probabilioryzmu. Zwolennicy pierwszego szli za zdaniem św. Alfonsa, którego dzieła były uznane przez Kościół i wolne od wszelkiej cenzury, zwolennicy drugiej teorii natomiast trzymali się opinii autorów surowszych, która w praktyce mogłaby doprowadzić do przesadnej surowości szkodliwej dla dusz.

Otóż ksiądz Guala próbował zaradzić tej rozbieżności swą instytucją opierając kierownictwo duchowe na łagodności i miłosierdziu Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Udało mu się to w znacznej mierze tak, że św. Alfons stał się powszechnym mistrzem wykładanej w seminariach teologii moralnej. A przecież w tych czasach było rzeczą dość ryzykowną występowanie przeciw opiniom tucjoryzmu.

Prawym ramieniem księdza Guala został ksiądz Józef Cafasso zastępca jego w wykładach teologii moralnej, późniejszy dyrektor instytutu. Dzięki swej wybitnej cnocie i taktowi osobistemu potrafił zawsze wybrnąć z trudności, a swą szczerą i pociągającą pobożnością wpływał na wykorzenienie w Piemontcie owej faryzejskiej surowości zwalczającej zwolenników św. Alfonsa tak, że stopniowo formowały się szeregi kleru światłego i wzorowego.

Wybitne zdolności objawiał również inny kapłan turyński ks. Feliks Golzio, ówczesny konwikt. Skromny i cichy, niepozorny na zewnątrz rzetelną pracą i gorliwością kapłańską skutecznie wspierał wysiłki księży Guala i Cafasso ciesząc się ich pełnym zaufaniem.

Ich praca kapłańska nie ograniczała się do Konwikt, lecz rozszerzała się na więzienia, szpitale, dzieła dobroczynne, odwiedzano chorych po domach i pałacach, jak i nędznych suterrenach i szopach, szeroko znano w okolicy tych apostołów miłosierdzia chrześcijańskiego. Wśród nich wymienić można jeszcze ziomka naszego

Księdza Bosko, ks. J. Bertagna, późniejszego biskupa koadiutora turyńskiego, znakomitego moralistę. Do tak świetnego grona wszedł, zatem i Ksiądz Bosko.

Poza Konwiktem nie miałby łatwej sposobności uzupełnienia wiadomości z dziedziny praktycznego duszpasterstwa, tak bardzo potrzebnych w przyszłej jego rozległej działalności. Prywatne studia niewiele by mu dały, gdyby był pochłonięty troskami o własne utrzymanie. Święty skorzystał obficie z tej błogosławionej okazji, by stać się narzędziem kierowania i uświęcania dusz wszelkiego stanu, płci i klasy społecznej, zakonników i świeckich. Wszak kapłan winien posiadać umiejętność i znajomość dusz, by móc odróżniać „świętych i grzeszników, czystych i skalanych” /Kpł 10/ i nie nakładać zbytniego ciężaru ponad to, co nakłada prawo.

Dlatego z gotowością pospieszył za światłą radą swego kierownika duchowego, rzekł się wszelkich ponętnych propozycji, pomimo że rwał się do młodzieży pewny, że Opatrzność w swoim czasie otworzy mu drogę właściwego apostołstwa dusz.

Dnia 3 listopada po odprawieniu Mszy św. w Castelnuovo, wybierał się na stałe do Turynu. Jakie były wówczas jego myśli, wnioskować można z tego, co sam skreślił na mocno zszarzałej karcie nieco później w tym samym roku 1841, słowa Ewangelii: „Ut filios Dei, qui erant dispersi, congregaret in unum – wyrażające gorące pragnienie Boskiego Zbawcy, można by zastosować do młodzieży naszych czasów. Ta cząstka najdelikatniejsza społeczeństwa, na której oparte są nadzieje pomyślnej przyszłości nie jest sama przez się zła. Gdyby nie niedbalstwo rodziców, próżniactwo, zły przykład otoczenia, można by z łatwością wpoić w te serca zasady porządku, obyczajności, karności i religii, a gdy się spotka niestety chuligaństwo nastolatków, pochodzi ono z lekkomyślności raczej niż ze złośliwości. Chłopcy ci potrzebują czyjejś ręki dobroczynnej, która by się nimi zajęła, pouczała, kierowała do cnoty, oddalała od występku. Trudność polega, w jaki sposób można ich zgromadzić, by móc do nich przemawiać i umoralniać ich. To była misja Syna Bożego, do tego uzdalnia człowieka tylko religia św. Lecz ta religia, wieczna i niezmienna, będąca po wsze czasy nauczycielką człowieka, zawiera w sobie normy tak zbawienne i doskonałe, że potrafi dostosować się do wszystkich czasów i właściwości ludzi. Między środkami odpowiednimi do tego, by wszczepiać religijność w serca młodzieży, zaliczyłbym oratoria. Kiedy oddałem się tej działalności kapłańskiej, postanowiłem poświęcić się

wychowaniu chłopców na dobrych obywateli państwa, jak również dziedziców nieba. Niech Bóg mi dopomaga w mych wysiłkach aż do ostatniego tchu mego życia...”.

Z tych słów wynika jego pierwsza idea wyśniona – jednej owczarni pod jednym pasterzem, też sama misja, co Jezusa Chrystusa. Pragnął gromadzić chłopców nie tylko w Turynie i w okolicach, lecz ze wszystkich narodów świata chrześcijańskich, bądź pogańskich, katolickich, czy heretyckich, schizmatyckich, cywilizowanych i pierwotnych – wszystkim pragnął nieść światło Wiary w prawdziwego Boga i jego Syna Jezusa Chrystusa. Miłość jego nie miała mieć granic. „Miłość bliźniego – pisze św. Franciszek Salezy – jest jednym z najwyższych i najwspanialszych darów, które Boska Dobroć okazuje ludziom”. Dlatego i Ksiądz Bosko zdecydowanie woła **„Zbawiajmy młodzież!”**

Ksiądz Bosko wyjeżdża z Castelnuovo, lecz „wszystkie jego drogi są piękne, na ścieżkach jego jest pokój” /Prp 3,17/. Jest pozbawiony środków materialnych, nie ma pieniędzy w kieszeni, lecz w sercu niesie Jezusa Chrystusa, a zakorzeniony w jego miłości, czerpiąc z pełni Boga zdaje się na Niego, który „mocny jest czynić wszystko w obfitości więcej niż pożądamy i rozumiemy” /Ef. 3,20/, a przeto podąża w prostocie i ufności do tego miasta, które choć niejasno, było mu już objawione w jego snach jako pole apostołstwa.

Być może czynił do tej podróży w swym kazaniu na uroczystość, św. Filipa Neriusza w Alba. Ex abrupto począł z miejsca rozwijać temat. Przedstawił mianowicie, że znajdował się na jednym ze wzgórz Rzymu z panoramą na miasto, obok siebie miał chłopca zmęczonego długą podróżą, pogrążonego w głębokim zamyśleniu, wpatrującego się w ten wspaniały widok... I tak począł przemawiać – „Zbliźmy się, więc do niego i spytajmy:

Mój chłopcze, kim jesteś i co tak bacznie wypatrujesz?

Jestem biedny podróżny z obcych stron, podziwiam to ogromne miasto i mam pewną myśl w głowie, lecz obawiam się, że to szaleństwo lub lekkomyślność.

Cóż takiego, powiedz...

Pragnąłbym poświęcić się dla dobra tylu biednych dusz chłopców, którzy z braku opieki religijnej kroczą drogą zguby.

Czy posiadasz, jakąś wiedzę?

Skończyłem niewiele klas i nie zaliczam się do uczonych.

Czy masz środki materialne?

Żadnych, nie mam nawet kawałka chleba, prócz tego, co otrzymuję codziennie od mego chlebodawcy.

Czy posiadasz dom, kościoły?

Nic więcej prócz niskiej i ciasnej komórki, którą mi użyczono z litości na mieszkanie. Cała moja garderoba wisi na sznurze z jednej ściany do drugiej.

Jakże, więc chciałbyś, nie mając tytułów, majątku, nawet miejsca, podjąć się tak olbrzymiego dzieła?

To prawda, ten właśnie brak środków i zasług nabawia mnie kłopotu. Lecz Pan Bóg natchnął mnie odwagą, ten Bóg, który z kamieni wskrzesza synów Abrahamowych, ten Bóg, który...

Czy kochasz Madonnę?”.

Tu Ksiądz Bosko zawiesił swój dialog, opisał wygląd zewnętrzny młodzieńca, błysk jego oczu na to zapytanie, jego uśmiech, odpowiedź, jaką dał. Zakończył pytaniem:

Jak się nazywasz?

Filip Neri – odrzeczł młodzian.

Tu wszedł kaznodzieja na właściwy argument, rozwijając wobec słuchaczy misję św. Filipa Neriusza w Rzymie. Kiedy w pewnej chwili wypowiedział słowa:

Filip Neriusz! – Ten i ów ze słuchaczy pomyślał: Jan Bosko! Jan Bosko!

Takie istotnie musiały być jego myśli, kiedy ze wzgórz Supergi ujrzał ścielące się u swych stóp miasto Turyn. Czuł w sobie tyle zapału i ufności w pomoc Bożą, iż był gotów nie cofnąć się przed żadną przeszkodą lub niebezpieczeństwem. Wobec proponowanych mu imprez zawsze zastanawiał się wprzód, czy będą one konieczne dla chwały Bożej i zbawienia dusz, potem studiował środki, jakie należało zastosować, wybierał je z genialną przenikliwością, następnie zabierał się do dzieła z niezachwianą odwagą i pewnością, że Bóg go nie opuści. Tu leży głęboka racja wszystkich jego wielkich dzieł. O wszystkich można powiedzieć: coepitet perfecit – żadnego nie zostawił w połowie drogi, pomimo przeciwności i olbrzymich wydatków, jakie musiał ponosić.

Prócz tego sam Bóg i Jego Najświętsza Matka wyznaczyli mu trasę do przebycia, a wraz z nią odpowiednie etapy, współpracowników i pomocników, którzy mieli mu wiernie dopomagać w pracy. Oto co pisał Ksiądz Bosko do Komitetu Katolickiego Stowarzyszenia w dniu 31 października 1887 r.:

„Opatrzność Boska, dla potwierdzenia niejako, że bez mej zasługi zdałem się całkowicie na Jej wolę, w czasie mego dość długiego życia sprawiła, że napotkałem zawsze na swej drodze dusze szlachetne i ofiarne. Między nimi znalazła się duża liczba księży, doprawdy pełnych cnót i świętości”.

Pierwszym z nich był ksiądz Cafasso, o którym Ksiądz Bosko wyrażał się często z najwyższą wdzięcznością, o czym zostawił wzmiankę w jednym piśmie: „Jeśli zdołałem spełnić coś dobrego, zawdzięczam to temu godnemu kapłanowi, w którego ręce złożyłem każdy zamiar, przedsięwzięcie i wszystko do czego się zbierałem”.

ROZDZIAŁ V

Tradycja głosi, że klasztor św. Franciszka z Asyżu w Turynie, gdzie ulokował się Konwikt kościelny, został ufundowany wraz z tym w Chieri w roku 1210 przez samego św. Patriarchę Franciszka, który przybył wtedy do Piemontu. Dekretem arcybiskupim z 1834 r. patronami jego zostali św. Franciszek Salezy i św. Karol Boromeusz, którzy podobne konwikty sami organizowali oraz Bł. Sebastian Valfr'e, prawdziwy wzór życia kapłańskiego.

Skoro Ksiądz Bosko zjawił się w Turynie, udał się natychmiast do księdza Cafasso. On zaś, który zwykł przyjmować zgłaszających się konwiktorów z właściwą sobie uprzejmością, tym razem z ojcowskim uśmiechem powitał swego przyjaciela i penitenta. Informował się jak spędził wakacje, pytał o zdrowie jego, rodzinę, o proboszcza i innych księży znajomych oraz własnych krewnych, wreszcie w paru słowach objaśnił treść Regulaminu obowiązującego oraz ducha panującego w tutejszym domu. Powiadomił o decyzji darowaniu mu pensji zgodnie z postanowieniem księdza kan. Guali.

Konwikt w owych czasach posiadał bogate uposażenie. Wielu alumnów korzystało ze zniżek w pensji, wielu utrzymywało się bezpłatnie. Niektórym w sekrecie księza Guala i Cafasso wręczali odpowiednią sumę dla uregulowania pensji ekonomowi, by nikt nie wiedział o ubóstwie ich rodziny.

Ksiądz Bosko pożegnawszy się z księdzem Cafasso pospieszył złożyć wizytę księdzu kanonikowi Guala, czcigodnemu 66-letniemu rektorowi z podziękowaniem za jego gest wspaniałomyślny.

Zastał go w pokoju przygarbionego, dręczonego bólami reumatycznymi. Z serdecznego przyjęcia, mógł Ksiądz Bosko dowiedzieć się ile przychylnych referencji zawdzięczał księdzu Cafasso. Przydzielono mu pokój skromny, umeblowany, lecz nienagannie schludny.

Gdy nadszedł wieczór zgromadzili się w grupkach wszyscy dawni znajomi i koledzy z seminarium, zawiązując nowe serdeczne wzajemne stosunki przy wesolej, choć niezbyt hałaśliwej pogwarce, dopóki dzwonek nie wezwał do kaplicy na nabożeństwo w związku z rozpoczynającym się rokiem studiów.

Początkowo zapoznano się z regulaminem życia tak ujętym, by mógł służyć młodym kapłanom i w dalszym ich życiu, gdy obejmą posady duszpasterskie. Pacierz ranny i wieczorny, uczestniczenie we Mszy wspólnej dla tych, którzy nie byli jeszcze kapłanami, nawiedzenie Najświętszej Sakramentu, odmawianie cząstki Różańca, półgodzinne rozmyślanie, kwadrans czytania duchowego wspólnie. Spowiedź tygodniowa, umartwienie piątkowe, milczenie w godzinach poza rekreacyjnych, miesięczne skupienie ducha, dwie konferencje naukowe w ciągu dnia i wspólne studium, przechadzka wieczorna po dwóch z unikaniem miejsc bardziej publicznych w mieście, zakaz uczęszczania na widowiska teatralne, chodzenie do kawiarni.

Ksiądz kan. Guala wymagał, by zachowano ściśle regulamin, a że nie było żadnych kar przewidzianych za jego przekraczanie, gdyż traktowano konwiktorów jak dorosłych, nie jak chłopców, jeśli który upomniany nie zastosował się, był proszony, by poszukał sobie innego mieszkania. Okazywał się on raczej surowy dla konwiktorów, nadzorował ich postępowania, gdy któryś uchybiał, w czymś, wzywał natychmiast, by się wytłumaczył ze swego postępowania. Z łatwością jednak wybaczał, jeśli winny uznawał swój błąd. Wymagał, by każdy z konwiktorów miał na pamięci upomnienie Soboru Trydenckiego Sess. XXIII, c. De refor. „Sic decet omnino clericos...”.

Ksiądz Cafasso przypominał nieustannie:

„Bądźcie świętymi! „Kapłan” to wielkie słowo, wielka godność a zarazem odpowiedzialność, wymagające proporcjonalnych cnót. Może być ktoś uważany przez ludzi za świętobliwego nie będąc nim w oczach Bożych. Kapłan prawdziwie święty pójdzie z łatwością do nieba gdy umrze, lecz jeśli nie jest w pełni takim, bardzo prawdopodobne, że jeśli nie wpadnie do piekła, dostanie się z pewnością do czyśćca”.

Konwiktorzy od lat mieli dwa wzory świętości kapłańskiej. Ks. Kan. Guala od lat 31 rządził konwiktem. Był to mąż wielkiej surowości życia, chodzący regulamin. Do godziny 10.00 przesiadywał w swym konfesjonale odmawiając brewiarz. Potem wygłaszał przedpołudniową konferencję do alumnów. W pozostałym czasie głosił kazania, odwiedzał chorych, więźniów, rozdzielał jałmużnę ubogim, posyłał wsparcie dla rodzin niezamożnych. Zwykł nawiedzać cytadelę, gdzie spowiadał i towarzyszył skazanym na śmierć. Rekreację wraz z ks. Cafasso spędzali wspólnie z konwiktorami.

A było to rzeczą nader rzadką w owych czasach, by przełożeni spoufalali się z wychowankami.

Ksiądz Cafasso od roku 1834 zetknął się z Konwiktem jako alumn seminaryjny. Od 1836 r. zaczął regularnie słuchać tu spowiedzi, a równocześnie był profesorem teologii moralnej, dzieląc z ks. Gualą trud wykładowcy aż do roku 1844. Był on, rzecz można, wierną kopią księdza Guali, choć niewielki wzrostem i szczupły fizycznie, nie opuszczał nigdy swej katedry, konfesjonału, odwiedzania więźniów i skazańców w mieście. Choć z wyglądu poważny, był o tyle przystępniejszy dla alumnów, czemu dawał wyraz ks. Guala odsyłając ich do niego: „Ite ad Joseph”. Troszczył się serdecznie o zdrowie konwiktorów, z łatwością słabszym pozwalał na ranne przechadzki i dyspensował od postów, zalecając by się nie niepokoiли, lecz słuchali. Pragnął, by zachowali swą tężyznę na długo, by móc wiele pracować. Sam przecież był surowy dla siebie.

„Z podziwem obserwowano jego dokładność w zachowaniu regulaminu Konwiktu – pisze Ksiądz Bosko. Jako przełożony mógł w wielu rzeczach korzystać z dyspensy, z racji na delikatne zdrowie. Był jednak przekonany, że najlepiej rządzi przełożony, gdy sam daje dobry przykład i uprzedza alumnów na praktykach pobożnych, uczestniczeniu w konferencjach, w refleksji, przy stole, etc”.

Pewnego razu przyniesiono mu szklankę wody, już ją trzymał w ręku, gdy zadzwoniono na Różaniec. Odstawił ją i poszedł do kaplicy.

Proszę wypić – mówiłem – będzie jeszcze czas.

Czy ksiądz więcej ceni szklankę wody – odpowiedział – niż tak cenną modlitwę różańcową, którą czcimy Madonnę?

Ksiądz Cafasso miewał konferencję wieczorną. Z długich studiów najlepszych autorów moralnej zaczerpnął tyle wiadomości, że doskonale formułował stan kwestii i rozwiązywał „stante pede” najbardziej skomplikowane kwestie. Notował wiele uwag na marginesie swych książek z taką precyzją, że można było z łatwością je przyswoić i korzystać z nich. Na podstawie tych not zestawił streszczenie całej moralnej w formie tzw. trattatelli, które sam podawał niektórym konwiktorom i które starannie kopiowano. Powstał z nich obszerny 400-stronicowy tom.

Otóż ten św. kapłan i znakomity mistrz ascetyki od pierwszego kursu został kierownikiem duchowym Księdza Bosko. Żywił on iście synowski szacunek dla niego,

częściowo z racji na bliższą znajomość osobistą jako współrodak oraz jako pewny przewodnik na drodze doskonałości, u którego zasięgał porady w swych dziełach. Ksiądz Bosko stawiał go sobie za wzór w postępowaniu, w podejściu do ludzi. Widział w życiu księdza Cafasso odzworowanie owej zachęty św. Pawła: „Bądźcie naśladowcami moimi, jak ja jestem Chrystusowy” /1 Kor 4,16/.

ROZDZIAŁ VI

Tajemniczy płomień popychający Księdza Bosko do zajęcia się młodzieżą zapalił się żywiej z chwilą jego przybycia do stolicy Piemontu. W większych miastach młodzież jest bardziej opuszczona niż na wsi. Spotyka się jej wiele zwłaszcza w dzielnicach fabrycznych, wałęsających się po placach i ulicach, słysząc ich przekleństwa, trywialne wyrazy, kłótnie i wrzaski, często krwawe bójkę. Co gorsza, niejeden skrzywdzony przez kogoś ze starszych czy chlebobawców nieuczciwych, zaciska pięści i chowa głęboko w sercu myśl o zemście. W dzielnicach świeżo zbudowanych nie brak podrostków od lat 8-12, których wyгнаła z domu nędza, oddających się pracy zarobkowej, popędzanych przez majstrów uderzeniami i przekleństwami.

Nierzadko spotkać można typy podejrzanego, ze znamieniem występku na czole, zepsutych do szpiku kości i pociągających do złego nieświadomych, których czekają stryczek lub galery. Nikt nie myśli podać im ręki, by ocalić z niebezpieczeństw i grożących im kar, doczesnych i wiecznych.

Pod wieczór widzieć można grupy robotników wracających z fabryk, wchodzących do ciemnych dusznych suterren wynajętych zbiorowo, by łatwiej opłacić czynsz, gdzie przebywają i śpią po całodziennej wyczerpującej pracy.

Wśród nich widzi się również młodszych, bądź opuszczonych przez własnych rodziców nieletnich chłopców, którzy w nieodpowiedniej dla nich atmosferze spędzają swą młodość nie słysząc nigdy dobrego słowa, czy chrześcijańskiego upomnienia. Taki to smutny widok przedstawiał się często oczom Księdza Bosko w pierwszych dniach jego pobytu w Turynie. Po uporządkowaniu swych spraw w Konwikcie, rozpoczął zapoznawać się z warunkami życia młodocianych, przebiegających ulicę i zaułki miasta w czasie popołudniowych przechadzek. Widok tylu chłopców, włóczących się po mieście, wśród kolegów zepsutych pobudzał go do współczucia. Nieraz ich wołał do siebie, podarował obrazek, medalik, czy jakiegoś solda, pytał o wiadomości z katechizmu, o którym nie mieli żadnego pojęcia.

W dni świąt spotykał gromady chłopców, którzy zamiast iść do kościoła, włóczyli się po mieście gapiąc się na osoby wyperfumowane i bogaczy zapelniających kawiarnie i restauracje. Specjalnie w okolicach cytadeli obserwował całe watahy uliczników urządzających tam swoje rozrywki, prowadzących niegodziwe rozmowy, żeby nie powiedzieć coś gorszego, istny widok ze snów, jakie miewał w latach dzieciństwa i młodości, co go coraz więcej przekonywało, że to jest właściwe pole pracy wskazane mu przez Najświętszą Dziewicę.

Czasem owe gromady łobuzów wyśmiewały się i drwiły sobie z tego Księdza widząc, że ich podpatruje. Ich żarty i kpiny brzmiały w uszach młodego kapłana, jak owe słowa proroka Jeremiasza: „Parvuli petierunt panem et non erat, qui frangeret eis”.

Biedni ci chłopcy spragnieni byli doprawdy pokarmu słowa bożego, którego im nikt nie podawał. Ksiądz Bosko, więc rozmyślał nad tym, jakby ich można zgromadzić w jakimś miejscu, wyrwać z tych niebezpieczeństw, dać im przeżyć dzień świąteczny, doprowadzić do Sakramentów św. Widział, że nie chodzą na katechizm, bo nikt o to nie dba.

Księża proboszczowie byli zresztą przeciążeni pracą w parafiach. Obywatele w mieście na ogół dbali o to, by ich dzieci chodziły na katechizm. W mieście były dwie klasy ludności bardzo zaniedbanej. Rozbudowujące się miasto, ściągało tysiące robotników z wiosek lombardzkich. Wyrwani z własnych parafii, tu czuli się obco, nie znając księży i stopniowo odwykali od praktyk religijnych. Część ludności w dzielnicach odległych nie uczęszczała w ogóle do kościoła i żyła w ignorancji religijnej.

Ksiądz Bosko widział, więc ogromne pole pracy, lecz pamiętając o roztropnej radzie św. Franciszka Salezego - „Pozwolić się powodować Opatrzności” – oczekiwał cierpliwie momentu przez nią wybranego.

Do całkowitego obrazu zdziczenia moralnego spowodowanego ignorancją religijną trzeba mu było jeszcze zapuścić się w labirynt nędzy i do więzień dla młodocianych przestępców. Opatrznościową miał po temu okazję przebywając w Konwikcie, skąd mógł udawać się do miejsc wskazanych mu przez księdza Cafasso.

Również ks. Guala zwykł posyłać więźniom, zwłaszcza tym z poprawczaka, tytoń, żywność i pieniądze, za pośrednictwem księży konwiktorów, którzy im również głosili nauki katechizmowe.

Ksiądz Cafasso wśród trzystu innych kapłanów członków Stowarzyszenia Miłosierdzia odwiedzał regularnie więźniów niosąc im pomoc zarówno w potrzebach duchowych jak materialnych. Można rzec, iż czuł się wśród nich jak w swoim żywiole, jakby w domu rodzinnym. Prowadził ze sobą swego ziomka chcąc go zaprowadzić do tej pracy. Z tego, co opisuje nam Ksiądz Bosko, widzieć można, ile cudów nawróceń dokonywał jego mistrz i jak on sam podzielał uczucie jego kapłańskiego serca.

„Gdy ksiądz Cafasso wkraczał w progi więzienia nie towarzyszyli mu strażnicy. Otwierały się przed nim żelazne wrzeciędzie, nie robił na nim deprymującego wrażenia widok skutych łańcuchami więźniów, nie wstrzymywały go cuchnące wyziewy z tych nor posępnych, choć tu i tam dochodziły rechoty nienaturalnego śmiechu, dzikie wycia. Nie zrażał się takim towarzystwem, z których jednego nawet widok mógłby przerazić zastęp przechodniów nawet uzbrojonych. A ksiądz Cafasso czuł się wśród nich dobrze. Wznosił oczy w niebo, składając Bogu z siebie ofiarę, uciekał się pod płaszcz Madonny ucieczki grzeszników. Przemawiał do nich nie jak do upartych grzeszników, lecz nieszczęśliwców, których nędza pochodziła raczej z braku wychowania religijnego jak własnej przewrotności. Gdy przemawiał do nich o Bogu, chciwie go słuchali, gdy obiecywał powrócić, dawali wyraz radości. Przy pomocy zwerbowanych kapłanów spośród konwiktorów regularnie nauczano katechizmu, w końcu pozyskał całkowicie owych straceńców. Poczęli zbliżać się do spowiedzi i tak dzięki pracy męża bożego, te przybytki piekła zmieniły się w miejsce, gdzie mieszkały istoty podobne do ludzi, którzy stali się czcicielami Boga i chwalili Chrystusa swego Zbawiciela”.

O ile jednak widok pocieszających owoców napełniał radością Księdza Bosko, nie mniej czuł on w sercu ból niewymowny na widok młodocianych więźniów w wieku lat 12-18, gnuśniejących w bezczynności, gryzionych przez robactwo, ponoszących tak dotkliwe kary więzienia, a bardziej jeszcze trawionych wyrzutami sumienia z powodu przedwczesnego zepsucia - oto, co przygnębiało duszę kapłana. Widział on w nich hańbę ojczyzny, plamę dla rodzin, niesławę ich własnego honoru,

przede wszystkim dusze odkupione przenajdroższą Krwią Jezusa Chrystusa, jęczące w jarzmie grzechu z niebezpieczeństwem wiecznej zguby.

Poszukując przyczyn tego nieszczęścia doszedł do przekonania, że winą ich było nie tylko niedbalstwo rodziców u progu ich życia, lecz jeszcze bardziej ignorancja religijna. Budziła się tedy refleksja: Kto wie, gdyby ci chłopcy mieli przyjaciela, który by się nimi zajął pouczając ich katechizmu, może by uniknęli swej ruiny moralnej i nie dostaliby się w to miejsce. A co najmniej zmniejszyłaby się znacznie liczba tych nieszczęśliwców.

Prosił, więc gorąco Boga, by mu otworzył drogę celem ratowania biednej młodzieży. Z myśli tej zwierzył się księdzu Cafasso, od którego otrzymał aprobatę i zachętę i przy jego pomocy rozmyślał nad sposobem uskutecznienia swych zamiarów.

Tymczasem ks. kan. Guala przy pomocy księdza Cafasso posyłał ubogim i potrzebującym rodzinom zapomogi, za pośrednictwem księży konwiktorów regularnie odwiedzających je w mieście. Do tego również zaangażował Księdza Bosko nie szczędząc instrukcji, by przy zasiłku materialnym nie szczędził słów kapłańskiego umocnienia i zachęty.

W taki sposób Ksiądz Bosko zetknął się z warunkami życia proletariatu miejskiego, gdzie w jednej dusznej i ciasnej izbie gnieździły się całe rodziny z ujemnymi skutkami dla ich zdrowia moralnego i fizycznego.

By dostać się czasem do chorego, kapłan musiał jakoś przebrnąć przez nędzne słomiane barłogi ułożone na podłodze; na widok anioła pociechy rozjaśniały się twarze biednych robotników, przygnębionych chorobą i smutkiem matek, wynędzniałych dzieci. Nie brakowało słów gorącej podziękności z wymienieniem imion księży Guali i Cafasso, zwłaszcza ze strony matek. Cóż dziwnego, że z powodu nędzy i ubóstwa wstydziły się nawet pokazać w kościele, tym mniej nauczyć swych maleństw prawd religijnych, których same dobrze nie znały. Inne gorąco oddane Bogu, mimo niedostatku oplakiwały złe postępowanie synów idących w ślady ojców i złych kolegów. Często spotykano się z typami aspołecznymi, gdy niejednokrotnie gwałci się głos krwi i najsilniejsze więzy słabną i rozluźniają się, gdy przyłączy się do nędzy niemoralność. Nawet w obecności dzieci maltretują swe żony po pijanemu.

Inny jeszcze obraz nędzy ludzkiej jawił się przed oczyma Księdza Bosko. Pewnego razu spotkał się z księdzem Cottolengo, dyrektorem Dzieła Opatrzności dla bezdomnych, który spojrzawszy na niego mówi:

Ksiądz robi dobre wrażenie, proszę przyjść do Małego Domku Opatrzności, gdzie pracy mu nie zabraknie...

Ksiądz Bosko ucałował mu rękę i przyrzekł przy sposobności odwiedzić.

Niebawem w towarzystwie paru kolegów udał się na przechadzkę w kierunku Valdocco. Dzieło ks. Cottolengo już wtedy nabierało kolosalnego rozmachu. Zapoczątkowane w skromnych rozmiarach w roku 1827, bez stałych dochodów, licząc tylko na to, co ześle Opatrzność przez dobrych ludzi, obejmowało opieką w tym czasie 1800 osób obojga płci, wśród nich sieroty, inwalidów sparalizowanych, niedołączonych, epileptyków, chorych na wszelkiego rodzaju wstrętne dolegliwości, odepchniętych przez inne szpitale. Przyjmowano ich bezpłatnie, udzielając zaopatrzenia. Wielu lekarzy gratisowo spełniało przy nich posługi. Liczne stowarzyszenia świeckie i zakonne zaofiarowały swój udział w administracji i opiece religijnej nad Dziełem. Wielu księży z miasta przychodziło słuchać spowiedzi. Obecnie kontynuuje się wszystko oczywiście w rozmiarach zwielokrotnionych. Jest to prawdziwy przybytek niebieski, wielu, bowiem inaczej umierałoby bez Sakramentów św. Udziela się pomocy lekarskiej wszystkim bez względu na wyznanie, protestantom, heretykom, żydom i poganom, wielu z nich przystaje do Kościoła.

Ksiądz Bosko przy wejściu czytał napis: „Caritas Christi urget nos”. Uklękawszy przed statuą Madonny w przedsionku ze wzruszeniem czytał również: „Infirmus fui et visitastis me”. Powitany przez Założyciela zwiedził ogromny budynek. Prócz pociechy doświadczył również smutku na widok łóżek zajmowanych przez chorych młodocianych, nad którymi Anioł śmierci już rozpościerał swe skrzydła. Te zwiędłe przedwcześnie twarzyczki, uporczywy kaszel, osłabienie fizyczne przekonywały go, że występny nałóg niszczył te kwiaty młodości.

Powiedział im parę słów pociechy religijnej, których słuchali z bolesną rezygnacją. Ach mój Boże – pomyślał – jakże bardzo ta młodzież potrzebuje zaradczej opieki, by zapewnić sobie zbawienie.

Zwiedziwszy tę cytadelę ludzkiej nędzy, przy pożegnaniu usłyszał od księdza Cottolengo, który go pociągnął za kraj sukni, następujące słowa:

Ksiądz ma materiał zbyt słaby i delikatny. Proszę postarać się o suknię mocną i grubą, by młodzież mogła się jej czepiać i nie porwać mu jej. Ta nie wytrzyma długo i rozleci się w strzępy, z powodu tak wielkich tłumów młodzieży, które będą ją targać.

Czas ów przepowiedziany przez czcigodnego Cottolengo miał niebawem nadejść, a widok niezliczonych tłumów młodzieży otaczającej Księdza Bosko miał mieć miejsce niedaleko Dzieła Opatrzności Bożej w tejże samej dzielnicy Valdocco.

ROZDZIAŁ VII

„Skoro znalazłem się w Konwikcie św. Franciszka – pisze Ksiądz Bosko – widziałem w swym otoczeniu wielu chłopców na ulicach miasta Turynu, czy nawet w zakrystii kościoła, gdzie odprawiałem. Cóż, kiedy nie mogłem się nimi zająć z braku odpowiedniego lokalu”. Przy każdej sposobności zwracałem się do nich, z jakimś miłym słówkiem, by ich przyciągnąć do siebie. Czasem prowadziłem ich do przyległej obok zakrystii komórki na lekcję katechizmu, nie skąpiłem im słów zachęty do dobrego, by częściej do mnie przychodzili i przystępowali z należyтым usposobieniem do Sakramentów św. Ten ciągły napływ chłopców powodował pewien rozgardiasz tak, że podenerwowany zakrystian złościł się i krzyczał. Wiemy o tym od księdza Cafasso i kolegów Księdza Bosko z Konwiktu.

„Ksiądz Cafasso – pisze dalej w pamiętniku – co niedziela w lecie, od paru lat miewał lekcję katechizmu dla czeladników murarskich tuż przy zakrystii kościoła św. Franciszka z Asyżu. Niestety, nawał zajęć przeszkadzał mu w regularnym prowadzeniu tych wykładów. Zacząłem go w tym wyręczać z końcem roku 1841”.

Ksiądz Bosko oczekiwał momentu wyznaczonego mu przez Opatrzność, gotów zebrać się do tego dzieła z całą ochotą jako narzędzie w ręku Boga.

Radził się przede wszystkim księdza Cafasso, jak by gromadzić tę młodzież przy kościele św. Franciszka z Asyżu, nauczać ich katechizmu, zabawiać odpowiednimi rozrywkami i tak trzymać z dala od niebezpieczeństw ulicy; zamierzał również skomunikować się z arcybiskupem, by upewnić się o Woli Bożej i zabezpieczyć się przed możliwymi w przyszłości trudnościami i kłopotami. Obaj księża przełożeni polecili go arcybiskupowi, jak o tym często słyszeliśmy z ust samego Księdza Bosko. Poinformowany o projekcie Oratoriów arcypasterz dał mu natychmiast jak najobszerniejsze pełnomocnictwa oraz swoje błogosławieństwo. Od tego czasu datuje się jak najściślejszy związek i przyjaźń między świątobliwym prałatem a gorliwym kapłanem, który niczego nie przedsięwziął bez zasięgnięcia porady u arcypasterza.

I oto nadszedł dzień Niepokalanego Poczęcia NMP. Historyczna data 8 grudnia 1841 r. – Ksiądz Bosko w swej pracy wychowawczej czuł potrzebę bycia przy swym boku kochającej Matki. Najświętsza Maryja Panna miała stać się Protektorką jego dzieła. Właśnie w dniu Jej chwalebного święta miał przyłożyć rękę do dzieła Oratorium. Tego dnia z rana stał Ksiądz Bosko ubrany w zakrystii kościoła św. Franciszka z Asyżu, by wyjść ze Mszą św. i oczekiwał na jakiegoś ministranta. W tej chwili spostrzegł w zakrystii chłopca 14-15-letniego, w dość lichej odzieży. Był zafrapowany widokiem kapłana w bogatych paramentach, czego dotąd nigdy nie widział. Do gapiącego się chłopca podszedł zakrystian z mszałem w ręku i szorstko rzucił:

Co tu zawadzasz gapiąc się? Nuże bierz mszał i idź posłużyć księdzu!

Ja nie umiem, nie potrafię służyć – wyjąkał zalekniony chłopiec.

Co, nie chcesz? Ja ci tu dam nicponiu. Marsz natychmiast służyć do Mszy, rozumiesz?

Ale ja nie potrafię – bronił się chłopiec.

Jeśli nie umiesz służyć, to po co przychodzisz do zakrystii? Ja cię nauczę! To mówiąc porwał za trzepaczkę stojącą w kącie. Chłopiec sterroryzowany wypadł na ulicę, za nim kościelny z miotłą.

Co robicie!?! Zainterweniował Święty. Za co bijecie tego chłopca?

Zakrystian rozgniewany nie słuchał, lecz zapamiętale gonił chłopca, który pomykał, co sił w nogach. Ksiądz Bosko tonem surowym skarcił kościelnego:

Co złego wam zrobił ten chłopiec, że go tak maltretowaliście?

A po co przychodzi do zakrystii, jeśli nie chce służyć do Mszy?

Absolutnie, źle pan postąpił.

A cóż to Księdza obchodzi?

Bardzo wiele, bo to jest mój przyjaciel.

Ładny mi przyjaciel taki oberwaniec.

Każdy krzywdzony jest moim przyjacielem. Proszę go natychmiast tu zawołać i nie wracać dopóki go nie znajdziecie, inaczej dam znać, komu należy o waszym postępkach.

Na te słowa zakrystian zmitygowany odstawił miotłę i wyszedł na ulicę wołając za chłopcem. Znalazł go wreszcie w przyległym zaułku wystraszonego i płaczącego

i przyprowadził do zakrystii zapewniając, że nie będzie go bił więcej. Ksiądz Bosko z dobrotliwym uśmiechem spytał go:

Słuchaj, czy byłeś już na Mszy św.?

Nie jeszcze – odrzekł chłopiec.

No to bądź teraz na Mszy św. potem pomówimy o czymś, co ci sprawi radość.

Niebawem zakrystian przyprowadził innego ministranta. Po skończonej Mszy św. Ksiądz Bosko zaprowadził owego chłopca do przyległej drugiej zakrystii i nawiązał następującą z nim rozmowę:

Jak się nazywasz mój przyjacielu?

Bartłomiej Garelli.

Skąd pochodzisz?

Z Asti.

Jakiego jesteś zawodu?

Pomocnik murarski.

Czy masz jeszcze rodziców?

Nie, już zmarli mi.

Ile masz lat?

Szesnaście.

Umiesz czytać i pisać?

Nie umiem.

Umiesz śpiewać?

Nie.

A potrafisz gwizdać? Chłopiec zaczyna się uśmiechać. Był to znak, że nabiera zaufania do Księdza. Więc Ksiądz Bosko pyta dalej. Czy byłeś już do pierwszej spowiedzi i Komunii św.?

Nie jeszcze.

Czy odmawiasz swój pacierz codzienny?

Nie, zapominam o nim.

Nie masz nikogo, kto by ci o nim przypominał?

Nie.

Czy uczęszczasz na Mszę św. w niedzielę?

Prawie zawsze – wyjął z pewnym wahaniem.

Czy uczęszczasz na katechizm?

Nie śmiem, wstydzę się młodszych kolegów, którzy umieją katechizm, podczas gdy ja go nie znam.

A gdybym ja go ciebie uczył, przyszedłbyś?

Tak, bardzo chętnie, byle mnie nie spotkały kije.

Bądź o to spokojny, nikt cię nie będzie maltretował. Odtąd będziesz moim przyjacielem i nie będziesz miał z nikim innym do czynienia. Kiedy więc przyjdiesz na katechizm?

Kiedy się Księdzu spodoba.

A może zaczniesz od dziś, zaraz?

Dobrze.

A może chciałbyś, żebyśmy go zaczęli w tej chwili?

Owszem, bardzo chętnie.

Ksiądz Bosko ukląkł i odmówili wspólnie „Zdrowaś Maryjo”, by z pomocą Matki Najświętszej mógł zbawić tę duszę. Ta gorąca modlitwa oraz szczerza intencja przyniosły bogaty plon. Następnie Święty wstał, uczynił znak Krzyża św. na początek lekcji. Jego uczeń nie umiał się przeżegnać, więc naprzód nauczył go żegnania się, następnie mówił mu o Bogu Stwórcy i Odkupicielu. Po półgodzinnej lekcji puścił chłopca do domu obiecując, że nauczy go również służyć do Mszy św. i dał mu medalik Madonny. W zamian chłopiec przyrzekł, że przyjdzie tu w przyszłą niedzielę i przyprowadzi ze sobą także swych kolegów.

Garelli przedstawiał niezliczone rzesze chłopców oraz pogan, których Pan Bóg miał posłać Księdzu Bosko w przyszłości.

Taki był początek oratoriów świątecznych, których był Święty inicjatorem, a Garelli zapowiedzią niezliczonych łask zsyłanych nieustannie na to Dzieło przez Najświętszej Dziewicę.

Także ksiądz Cafasso przyprowadził Księdzu Bosko swych ministrantów i tak stopniowo zwiększała się liczba chłopców przychodzących na katechizm. Niebawem Garelli i inni pouczeni o zasadniczych prawdach Wiary św. przystąpili do Pierwszej Komunii św. i nauczyli się służyć do Mszy.

Widziano w Oratorium tych najstarszych wychowanków Księdza Bosko jeszcze w roku 1855.

W czasie pewnego nabożeństwa popołudniowego, Ksiądz Bosko przechodząc przez kościół zauważył drzemiących przy balustradzie kilku czeladników murarskich, których dyskretnie spytał:

Dlaczego tu śpicie?

Bo nic nie rozumiemy z kazania, ten ksiądz nie mówi do nas.

Chodźcie ze mną i zaprowadził ich do zakrystii, miał do nich krótką lekcję katechizmu i zechciał, by przychodzili tu co niedziela. Wśród nich byli Karol Buzzetti, późniejszy majster budowlany, Germano i Gariboldo.

W ten sposób z tygodnia na tydzień rosła liczba katechumenów, którym Ksiądz Bosko polecał, by przyprowadzali swych kolegów wciąż nowych. W ten sposób pragnął skontaktować z Bogiem młodzież - czeladników. Wyjaśniał im obowiązek święcenia niedzieli, nauczył pacierza porannego i wieczornego i wdrażał do dobrej spowiedzi. Po nauce katechizmowej pozwalał na rozrywkę na dziedzińcu przykościelnym. Tej zimy ograniczył się do grupy młodzieży z dala przyjezdnej, jako najbardziej potrzebującej opieki religijnej. Zakrystian już nie srożył się na nich zjednany przez Księdza Bosko drobnymi podarunkami. Młodzież doprawdy brała do serca skierowane do niej nauki, a rezultaty niebawem dały się odczuć w ich postępowaniu. Tymczasem Ksiądz Bosko natchniony miłością krzątał się po mieście odwiedzając wielu majstrów, którym polecał swych podopiecznych, by w ten sposób ustrzegli się lenistwa i występków.

W uroczystość Bożego Narodzenia wielu z nich widziało się u Stołu Pańskiego, obchodzących święta ku satysfakcji ich Opiekuna.

Wspominaliśmy już, że postępował zawsze w porozumieniu z Przełożonymi kościelnymi. W sprawozdaniu do Rzymu z roku 1864, w celu uzyskania zatwierdzenia Pobożnego Towarzystwa, pisał: „Już od roku 1841 dzieło oratoriów rozpoczęło się nauką katechizmu w dni świąteczne w kościele św. Franciszka z Asyżu, zawsze w porozumieniu i pod kierownictwem monsignora Alojzego Frasoni, arcybiskupa Turynu”.

Ksiądz Bosko zjawia się jako nowy apostoł wśród młodzieży. Kościół św. miał zawsze mężów niezwykłych dokonujących wielkich dzieł noszących na sobie znamię Boże. Również i nasz wiek posiadał podobnych mężów, a wśród nich zaliczyć bezsprzecznie należy Księdza Bosko!

ROZDZIAŁ VIII

Wspomniano wyżej o zasługach rektorów i profesorów Konwiktu kościelnego w Turynie w zakresie formacji kapłańskiej kleru piemonckiego. Formacja duchowa kapłanów zmierzała do zaprawienia ich do czekających ich zadań i walk, jakie knuli wrogowie Kościoła. Jeżeli sidła zastawione na młodych księży przez liberalizm sekciarski, prowadzący walkę z wszelką religią, nie sprowadziły odstępstwa od wiary ludu włoskiego, zawdzięczać to należy głównie formacji tegoż duchowieństwa w Konwikcie tam, bowiem zawczasu odkrywano taktykę wrogów i z odwagą godną męczenników przeciwstawiano się fałszywym poglądom siejącym niewiarę i zepsucie moralne, zachowano od skażenia ducha pobożności chrześcijańskiej, dzięki ofiarnemu życiu kapłanów przygotowując renesans chrześcijaństwa we Włoszech.

Wypada tu przedstawić, jakich metod trzymano się w wykładach moralnej. Mówimy tu szczególnie o księdzu Cafasso, ponieważ mamy wiele świadectw o nim od samego Księdza Bosko.

Przeszło setka słuchaczy brała udział w rannych konferencjach. Przychodzili z różnych punktów miasta. Sala była tak zatłoczona, iż wielu stało na korytarzu, a spóźnieni musieli wprost wspinać się na barki kolegów.

Ksiądz Cafasso przybywał regularnie na wykład do wielkiej sali i po odmówieniu *Veni Sancte Spiritus* zajmował miejsce na katedrze. Ogarniając wzrokiem liczne audytorium, polecał komuś odczytać jakąś kwestię z podręcznika Alasia, wraz z odpowiedzią. Z kolei proponował kilka kazusów moralnych, które sam poprzednio opracował naświetlając je z różnych stron. Następnie pytał paru konwiktów o ich zdanie, dodawał od siebie uwagi wyjaśniające, gdy kwestii nie rozwiązano wyczerpująco lub niezbyt trafnie. Potem podawał kompletne rozwiązanie w sposób praktyczny.

Ksiądz Bosko w jego biografii czyni następującą uwagę: „Znana była jego jasna metoda, z jaką odpowiadał na różne wątpliwości tak, że rozwiązywał z miejsca wszelkie trudności. Ujmował jasno kwestię, potem wznosząc myśl ku Bogu

odpowiadał jak wyrocznia, na co ktoś inny potrzebowałby dłuższej refleksji. Być może temu zawdzięczał swą popularność u słuchaczy...”.

Posiadał szczególny dar przedstawiania żywo i ujmująco pewnych kwestii dość zawiłych. To nadawało życie argumentacji suchej i poważnej. Tylko odnośnie kwestii, o których św. Paweł wyraża się: „Nec nominetur in vobis”, zmieniał całkowicie metodę. Traktował je trzeźwo i jasno, choć krótko, zalecał słuchaczom w tych razach gorącą modlitwę do Boga i nigdy nie zdarzyło się w takich wypadkach, by wymknął się mu z ust jakiś żart, wywoływało to u wszystkich wrażenie męża pełnego powściągliwości i opanowania w przedmiocie tak delikatnym.

Nauczanie jego nie ograniczało się do naświetlania kwestii moralnych, lecz pobudzało wolę do cnoty. Często przytaczał przykłady ze swej praktyki więziennej, a wynikiem była zawsze zachęta do gorliwej pracy nad duszami, z wyłączną intencją spełnienia woli Bożej, z pominięciem względów ubocznych.

Ksiądz Bosko zaznacza w pamiętniku, iż: „wiedza księdza Cafasso nie była książkowa”; podawał praktyczny sposób słuchania spowiedzi i kierowania duszami penitentów, jakie pytania stawiać, jakich rad udzielać poszczególnym penitentom.

Doskonale sam pełnił rolę ojca duchownego. Z niewielu słów, nawet westchnień penitenta poznawał stan jego duszy. W kilku zdaniach pouczał, jak należało. Na konferencjach, za pomocą dialogów wprawiał konwiktów do słuchania spowiedzi, rozwiązując równocześnie z nim różne możliwe kazusy.

Miłość, jaką darzył swych słuchaczy, czerpał od Boskiego Serca. Ktoś wyraził się kiedyś w jego obecności:

Kto wie czy ja się zbawię...?

Ach, o tym nie można wątpić – poprawił ks. Cafasso – być może istnieją katolicy, co traktują zbawienie swej duszy jako grę w loterię, oczekując jakby na los szczęścia swej wygranej. Tak nie należy postępować. Mamy przecież jasne obietnice Jezusa Chrystusa, a kto je spełnia, nie ma podstawy wątpić.

Wraz z wykładami moralnej omawiał również zasady homiletyki wyznaczając, co dwa tygodnie wygłoszenia kazania po kolei każdemu z konwiktów. Kazania napisane przez innych sam odczytywał publicznie wraz z uwagami poczynionymi przez siebie.

Uważał, że plenienie się zielska grzechów wśród katolików pochodzi stąd, że lud nie słucha, albo nie praktykuje tego, co słyszy. Także winą kaznodziejów jest, że nie przygotowują się należycie do kazań przez studium teologii, Pisma św., Ojców Kościoła, historii kościelnej, modlitwę i dobry przykład.

Wpajał mocno, że przemówienia winny być dostosowane do poziomu słuchaczy, proste i krótkie, treść winna być uporządkowana, unikać należy wyrażen zbyt płaskich, trywialnych, wszelkich aluzji osobistych lub drażliwych. Przykłady czerpać się winno z życia codziennego, z Pisma św., z historii kościelnej. Kaznodzieja nie powinien się wywyższać spośród wiernych, z wyjątkiem gdyby chodziło o występki niemoralności. Nie chwalił zbyt jednostronnych panegiryków i konferencji polemicznych. O tych ostatnich opiniował, że mogłyby być pożyteczne dla specjalnej elity słuchaczy, zwłaszcza w okresie wielkopostnym, po większych miastach, o ile znajdzie się zdolny konferencjonista, który potrafi uwydatnić wzniosłość dogmatów i piękno religii katolickiej.

Twierdził, że w zwykłej drodze, korzystniejsze są dla słuchaczy kazania katechizmowe, nauki dobrze opracowane, podkreślające piękność życia cnotliwego, piętnujące grzech, trafiające do serc słuchaczy, gdyż zazwyczaj niewiara gnieździ się więcej w sercu i woli, niż umyśle człowieka.

Mniej filozofii – mawiał – w naszych kazaniach, mniej słów kończących się na –izm, jak pozytywizm, spirytyzm, socjalizm, których lud nie rozumie; natomiast tłumaczyć mu, że niebo znaczy zachowanie Przykazań Bożych, modlitwa, nabożeństwo do Najświętszej Panny, uczęszczanie do Sakramentów św., unikanie lenistwa, złych towarzystw, niebezpiecznych okazji, praktykowanie miłości bliźniego, cierpliwe znoszenie przykrości, słowem nie powinno być kazania, w którym nie wspomnimy ludziom o prawdach wiecznych.

Pragnął, by nie szermowano z ambon argumentami niechrześcijańskimi, czy akademickimi, w ten sposób kazanie przestaje być słowem bożym. Przestrzegał, by nie zagłębiać się w kwestie dysputowane przez teologów, lub mogące wywołać w duszach zniechęcenie jak na przykład przeznaczenie, trudna i wąska droga do nieba. Natomiast dawać pierwszeństwo tematom zachęcającym i budzącym odwagę do praktykowania cnoty, na przykład ufność w miłosierdzie Boże, nabożeństwo do Madonny, nawet w wypadkach rozpaczliwych.

Chcecie – powiadał – przepajać dusze zbawienną bojaźnią? Mówcie często o śmierci niepewnej w czasie i okolicznościach, o sądzie Bożym, o piekle, podkreślajcie, że wystarczy jeden grzech śmiertelny, by się potępić. Upominajcie, że droga do nieba jest trudna dla tego, kto nie chce zdecydować się wyraźnie, lecz łatwa dla tego, który ma dobrą wolę. Gdy mianowicie, człowiek szczerze zabiega o swe zbawienie, trudności znikają, a Pan Bóg dopomaga swą łaską, wtedy nie brak różnych pomocy i zachęty do dobrego, a napotkane trudności przewycięża się i jakby nie czuje się ich ciężaru. Przeszkodą, z którą należy wciąż się borykać jest ta, że chce się równocześnie służyć Bogu i światu. Uwydatnijmy korzyści życia z gruntu chrześcijańskiego, nawet w życiu doczesnym, pokój wewnętrzny, rozkosz z obcowania z Bogiem na modlitwie, spokój domowy, powodzenie w interesach doczesnych, radość płynąca z czystego sumienia. Mówmy często o radościach nieba, by w duszach rozbudzać pragnienie zdobycia go.

Ksiądz Bosko starał się jak najwięcej skorzystać z owych wykładów i zaczerpnąć dla swej przyszłej działalności kapłańskiej. Od mistrza swego przejął ową cierpliwą miłość względem penitentów, zwięzłe pytania, treściwe pouczenia tak, że w paru minutach rozwiązywał wątpliwości sumienia, a penitent otrzymywał skuteczne środki do poprawy swego życia.

Każdy, kto miał szczęście spowiadać się u niego, pamięta namaszczenie i skuteczność jego rad.

Ksiądz Michał Rua potwierdza, że w ciągu swego życia często sięgał do teologii moralnej jak to radził ks. Cafasso, który był zdania, że nie można uwolnić spowiednika od grzechu śmiertelnego, który ani raz w roku nie przegłądnie jakiegoś traktatu z teologii moralnej. A przecież w każdej dziedzinie wiedzy kapłańskiej był tak gruntownie obeznany, dawał rozstrzygnięcia dla każdego stanu, wieku i płci, a przy tym posiadał od Boga dar czytania w sumieniach, jak to wielu przyznawało.

Niemniej w okresie udoskonalenia studiów kapłańskich dawał Ksiądz Bosko niewątpliwy dowód umiłowania pięknej cnoty oraz szczególnej troski o jej zachowanie. Dopóki nie nagięła konieczność, nie zabierał się do studium traktatów De usu matrimonii i De sexto Decalogi praecepto, a i wtedy doznawał pewnego skrępowania. Unikał celowo dyskusji na te tematy, a gdy nie mógł inaczej, załatwiał się z nimi jak najzwięźlej. Zapytany raz przez konferencjonistę, by w dialogu

przedstawiał stronę penitenta tego rodzaju, odgrywał zazwyczaj rolę dziecka. Pytany czasem na ten temat przez kolegów, odpowiadał z pewną rezerwą, a gdy rzecz wymagała dłuższego wywodu odsyłał do odpowiednich autorów.

Ks. Giacomelli zeznawał:

Oprócz studiów teologii moralnej, poświęcał wiele czasu także historii kościelnej, nieraz przez większą część nocy. Przeczytał całe dzieło Orsiego, przewertował Bollandystów, przygotowując się w taki sposób do dysput, które wypadnie mu w przyszłości odbywać z protestantami. Zastosować można by do niego elogium wypisane na nagrobku księdza Guala: „Voluptatem in labore, vitam in vigiliis posuit”.

Tak częste nocne czuwanie i studia były owocem jego ustawicznego umartwienia. Z rana zamiast silnej kawy, która by go pokrzepiła, spożywał skibkę suchego chleba, a często i od tego pościł. Suszył piątki, a nawet soboty. Choć matka, która odwiedzała syna częściej, byłaby mu chętnie przyniosła owoców lub wina, gdyby tylko zażądał, on nigdy o to nie prosił, a gdy otrzymywał, dzielił się z kolegami, jak to czynił w seminarium.

Pisze ksiądz Maurycy Tirone, proboszcz z Salassa Canavese: „Słyszałem od dwóch kapłanów następujący fakt z owych czasów. Gdy podano na stół obiad lub na wieczerzę dobrą zupę, cóż nie czyni Ksiądz Bosko? Dolewa do niej wody! W ten sposób z rosółu powstała lura, a on zjadał ją najsmaczniej, chwając, że dobra. Gdy zaś koledzy wymawiali mu to odpowiadał:

Była za gorąca! Ileż spraw ukrywało się pod tymi słowami! Pełne zwycięstwo nad smakiem, zamiłowanie pokuty, pokora i ukrywanie przed innymi swej cnoty”.

I dzięki niej był szanowany przez ks. Rektora Gualę, księdza Cafasso, jak też kolegów w kapłaństwie, o czym zapewnia ksiądz Bertagna: „Był zwyczaj, że po obiedzie rozdawano żebrakom posiłki. W niektóre dni otrzymywali jałmużnę w pieniądzech czekając w zakrystii. Niekiedy zlecano to Księdzu Bosko. Nie należało to do przyjemności, ze względu na hałas, naprzykrzanie się, wydziwianie żebraków, zwłaszcza gdy chodziło o utrzymanie jakiegoś porządku. Otóż raz pewna żebraczka otrzymawszy datek, stanęła ponownie w kolejce wyciągając rękę po jałmużnę.

Ależ już dostaliście swą monetę – mówi Ksiądz Bosko.

To ojciec duchowny wie o tym? – spytała łobuzersko żebraczka. A ja myślałam, że nie wie lewica, co daje prawica.

Macie rację – odpowiedział Święty – i tym razem dał jej powtórnie pieniądze”.

Zdarzenie to wymownie podkreśla, jak nierozdzielnie związane były słodycz i miłosierdzie u Księdza Bosko.

ROZDZIAŁ IX

Charakterystyką dzieł Bożych jest ich niepozorny początek, na którym następuje bujny rozwój wbrew ludzkim rachubom, skąd dowód jasny, że sprawcą ich jest Bóg, który je podtrzymuje i zapewnia cudowny rozkwit. Tę cechę dostrzeżemy w dziełach Księdza Bosko, który roztropnie unikał zbyt pospiesznego działania. Zapoczątkowanemu dziełu dał nazwę Oratorium, wywodząc ją z praktyk religijnych odbywanych w kościele. Celem zakreślonym praktyki pobożne, cnota, wychowanie religijne, zbawienie duszy, rekreacja, rozrywki, śpiew i muzyka, szkoła, którą później ustanowił – to wszystko środki w systemie Księdza Bosko.

W czasie tej pierwszej zimy Ksiądz Bosko zabrał się do skonsolidowania swego Oratorium. Aczkolwiek celem jego było gromadzenie chłopców najbardziej opuszczonych, zwłaszcza tych, co opuszczali więzienia, wszakże dla zapewnienia wszystkim potrzebnej dyscypliny i moralności. Od pierwszych miesięcy pociągał do Oratorium również chłopców z dobrych rodzin i religijnie wychowanych. Ci z kolei pouczeni, pomagali mu w utrzymaniu porządku wśród kolegów, w prowadzeniu lektury wspólnej, wykonywaniu pieśni religijnych, co stanowiło dużą atrakcję świątecznych zebrań.

Ksiądz Bosko wcześniej zorientował się, że bez śpiewu i atrakcyjnej lektury pożytecznych książek, wspomnianym zebraniom brakowało jakby duszy. Tak, zatem, już w uroczystość Matki Bożej Oczyszczenia miał do dyspozycji dwudziestkę śpiewaków z dobrymi głosami, którzy wykonywali uroczyste pieśni ku czci Madonny, jak na przykład pieśń: „Lodate Maria o lingue fideli”, a w dniu Wniebowzięcia liczba ich sięgała trzydziestki. Niebawem wzrosła ona do pięćdziesiątki.

Oratorium ówczesne zasadzało się na tym, że z rana w dane święto młodzież miała sposobność wyświadczenia się i przystąpienia do Komunii św. na Mszy wspólnej, w pewną ustaloną niedzielę w miesiącu wszyscy gromadnie przystępowali do Sakramentów św. Ta miła uroczystość była naprzód zapowiedziana przez Księdza Bosko, który w serdecznych słowach zachęcał chłopców do dobrej spowiedzi, sam ich do niej przygotowywał i spowiadał z wielką cierpliwością. Dopomagali mu

w słuchaniu spowiedzi księży Guala i Cafasso. Ksiądz Bosko wybierał czas na to właściwy, by każdy mógł się wypowiadać wygodnie, zwłaszcza ci, co najbardziej tego potrzebowali.

Pod wieczór zbierali się o godzinie wyznaczonej na wspólną lekturę, przeplataną śpiewami i pogadanką religijną; na zakończenie rozlosowywano nagrody dla uczestników.

Chłopcy wymieniali się w związku z zawieszeniem sezonu budowlanego w okresie zimowym, niektórzy wracali na wieś do swych rodzin, za nastaniem wiosny znowu powracali do miasta odnawiając ściślejszy kontakt z Księdzem Bosko. Wśród nich wyróżniał się Karol Buzzetti, wówczas zwykły pomocnik murarski, później znany mistrz budowlany, który zabrał ze sobą do Turynu młodszego brata, by nauczył się murarstwa. Młodzieniec ów przywiązał się do Księdza Bosko i pilnie uczęszczał do Oratorium tak, że nawet zrezygnował z udania się do swej rodziny, jak to uczynili inni jego koledzy po fachu.

Ksiądz Rektor Guala i ks. Cafasso szczerze się cieszyli z owych świątecznych zbiórek młodzieżowych. Ksiądz Bosko w rozmowie ze swym kierownikiem duchowym wyraził przekonanie, że do podniesienia frekwencji chłopców przyczyniłyby się nagrody materialne, na co brak funduszków. Na to ks. Cafasso odpowiada:

Niech Ksiądz się o to nie frasuje, ja o tym pomyślę.

Istotnie otrzymywał często od niego i od księdza Guali różne przedmioty religijne, medaliki, obrazki, krzyżyki, książki itp. jako nagrodę dla najgorliwszych. Czasem urządzano dla nich podwieczorek w refektarzu Konwiktu, obdarowywano najbiedniejszych odzieżą, jakiej potrzebowali najwięcej itd. Otrzymywał też od swych przełożonych pieniądze potrzebne na urządzenie loterii i innych rozrywek, w złotych monetach, na których wartości nawet się nie znał. Pewnego dnia otrzymał złoty pieniążek i myśląc, że to zwykły bilon, wszedł do sklepu by kupić jakąś drobnostkę i położył złoty pieniążek na ladzie. Widząc, że kupiec zapakował mu towaru za kilkanaście lir pyta:

Czy pan się nie pomylił? Wszak dałem panu jeden pieniąż.

No Signore – odpowiada kupiec – nie pomyliłem się, moneta ma wartość 28 i pół lira!

W czasie świąt, gdy młodzież gremialnie przystępowała do Sakramentów św. księży Guala i Cafasso zjawili się wśród młodzieży opowiadając jej różne ciekawe historyjki, których oni bardzo chętnie słuchali. Gdy czasem Ksiądz Bosko musiał na ten dzień wyjechać, posyłali w zastępstwie któregoś z księży konwiktów i ten prowadził katechizację. Jakkolwiek ci dwaj kapłani okazywali zawsze wielką życzliwość młodzieży, to jednak Ksiądz Bosko pozostał jej najlepszym przyjacielem i ojcem, słowem duszą Oratorium. Miał w sobie wrodzony pociąg do zajmowania się młodzieżą ubogą i opuszczoną. Co osobliwsze, że w miejsce dotychczas stosowanej przez wychowawców surowości, on był pełen dobroci dla młodzieży. Poświęcał się dla nich nie tylko w niedzielę i święta, lecz nawet w innych dniach wolnych. Krążył tu i tam po mieście, zachodził do warsztatów interesując się pracującymi tam chłopcami. Zajmował się zaś szczególnie chłopcami pochodzącymi z dalekich wiosek, którzy nie mieli w mieście ani swego kościoła, ani znajomych osób.

Wyszukiwał im troskliwie miejsce pracy u majstrów uczciwych i bogobojnych. Co więcej, odwiedzał ich często przy pracy w sklepach i fabrykach zyskując ich sobie jakimś podarkiem.

Och, nareszcie mamy kogoś, kto się nami zajmuje! Cieszyli się biedacy.

Wizyty dobrego prete – jak go nazywano – podobały się chlebodawcom, którzy chętnie roztaczali opiekę nad poleconymi chłopcami, widząc ich sumiennosc i punktualność. Ci zaś tak serdecznie byli przywiązani do Księdza Bosko, że spotkanie z nim pocztywali sobie za wielkie szczęście i na sam jego widok wznosili entuzjastyczne owacje.

Pewnego dnia Ksiądz Bosko spotkał przy ratuszu miejskim małego oratorianina idącego po zakupy. Chłopiec niósł w jednym ręku butelkę octu, a w drugiej karafkę z oliwą. Malec na widok Księdza Bosko tak dalece się zapomniał, że upuścił na ziemię obie flaszki i począł klaskać w ręce wołając:

Evviva Don Bosco! Evviva Don Bosco!

Gdy się spostrzegł o swej stracie, począł gorzko płakać, mówiąc, że dostanie za to od mamy.

Uspokój się kochany, zaraz temu zaradzimy – rzecze Ksiądz Bosko. I wzięwszy go za rękę wprowadził do sklepu. Opowiedziawszy sklepowej wypadek, prosił o zaopatrzenie malca, w co należało na jego koszt.

Zrobione! – mówi z uśmiechem owa pani. A z kim mam zaszczyt?

Jestem Ksiądz Bosko! Zaczyna niewiasta podać chłopcu oliwę i ocet, nie chcąc przyjąć od Księdza Bosko żadnej zapłaty.

Szczególniejsze przywiązanie okazywali mu chłopcy zaangażowani do pomocy jako katechiści. Ksiądz Bosko w zamian za to pomagał im w nauce, poprawiając wypracowania szkolne i udzielając korepetycji. Ci ze swej strony przybiegali do niego czasem w ciągu tygodnia, podobnie jak mali terminatorzy w przerwie obiednej, przez co również roztaczał się pewien wpływ na ich rodziny.

Często odwiedzały go nawet całe rodziny z dziećmi w rozmównicy. Bywało czasem, że strój zwłaszcza córek niezgodny był ze skromnością chrześcijańską. W takich wypadkach, gdy surowość chybiłaby celu, bo taka była moda, bądź to, że rodzina była ucziwa, Święty oczekiwał odpowiedniego momentu. W czasie jednych z takich odwiedzin owe panny przysłuchiwały się ciekawie rozmowie Księdza Bosko z rodzicami. W pewnym momencie Ksiądz Bosko zwrócił się do jednej z nich z pytaniem:

Chciałbym byś mi odpowiedziała na jedno pytanie.

Ależ proszę, proszę Księdza, bardzo chętnie.

Powiedz mi, dlaczego tak nie szanujesz swoich ramion?

Ależ ja je szanuję.

Mnie się zdaje jednak, co innego.

Tak, niestety – wtrąciła się matka – zawsze muszę ją upominać za jej próżność. Wciąż je myje bez końca i jeszcze zlewa wodą kwiatową.

Mówię ci, więc – kontynuował Ksiądz Bosko, że ty nie szanujesz swych rączek.

A dlaczegoż to?

Bo gdy umrzesz, będę się modlił, żebyś poszła do nieba, ale twoje ręce, niestety będą musiały być wrzucone do piekła. A czy to nie znaczy to samo, co ich nie szanować?

Ależ ja nie robię nic złego, ja nie chcę iść do piekła.

No, niestety tak jest, będziesz musiała z nimi iść do czyśćca i kto wie na jak długi czas.

Ach, ta uwaga stosuje się i do mnie – zawołała najstarsza płoniąc się, niestety ja noszę za wielki dekolt.

No, więc płomienie obejmą ramiona, szyję i całe ciało.

Zrozumiałam – odpowie poważnie matka, to moja wina! Muszę się poprawić i dziękuję Księdzu za upomnienie.

Jak wielka delikatność a zarazem roztropność! Ksiądz Bosko wszędzie umie się znaleźć, obecnie już jako kapłan rozciąga wpływ na otoczenie Św. Paweł mówi: „Stałem się wszystkim dla wszystkich, by wszystkich zbawić” /1 Kor 9,22/. W przyszłości będzie on zajmował się także dziewczętami, jako że i one zostały również odkupione przez Jezusa Chrystusa, zawsze jednak będzie można podziwiać z nim rezerwę w słowach i gestach.

Nie tylko zawierał znajomości z rodzinami chłopców, zdobywał również sympatię w sferach wyższych i wśród duchowieństwa diecezjalnego i zakonnego i tam również wywierał zbawienny wpływ.

Otóż między innymi, odwiedziło go raz pewnego kilku Ojców z pewnego poważnego zakonu. Rozmowa przeszła na jakiegoś kandydata, który za radą Księdza Bosko wstąpił do tego zakonu, lecz nie został przyjęty do nowicjatu. Był rzekomo osobą pozbawioną inteligencji i taktu, którą to etykietę przyczepiano jemu i jeszcze innemu znajomemu kapłanowi.

Święty milczał przez czas jakiś znosząc pretensjonalność krytyków, wreszcie taką dał im odprawę posługując się ich własną bronią:

No, ale jeśli go zapraszaliście do siebie, dopuściliście do egzaminu, znakiem tego, że to jednostka odpowiednia! A taka pomyłka nie przynosi zaszczytu waszej przezorności!

Krytycy zamilkli i już do tej sprawy nie wracali. Ksiądz Bosko dawał przez to poznać, jak niemiłe mu są pewne krytyczne osądy w Kościele i zalecał nie mówić nigdy źle o nikim, tym bardziej o kapłanach czy zakonnikach, gdyż to sprzeciwia się bardzo miłości i wywołuje ujemne wrażenia w każdym, kto ma, choć szczyptę rozsądku.

ROZDZIAŁ X

Poważna atmosfera w Konwikcie bynajmniej nie wpłynęła na zmianę sposobu bycia i obcowania towarzyskiego ze współkolegami kapłanami, którzy chętnie szukali jego towarzystwa i miłej konwersacji. Jak poprzednio w seminarium w Chieri, czy w czasie studiów gimnazjalnych miał zawsze w pogotowiu coś rozweselającego. Sam jednak zachowywał dziwnie sympatyczną powagę, umiając się utemperować w swych żartach, gestach, chodzeniu. Przytoczymy niżej pewien fakt wykazujący, jak można doskonale praktykować prawdziwą pobożność bez sztucznej pozy. Otóż był swego czasu w Konwikcie niejaki D.C. - wesolek, co prawda, lecz nadto ekscentryk, który wprowadzał niewybredny humor wśród towarzystwa narażając się często na kpiny. Kupił on od Żydów jakiś chałat (pastrano) starej daty, że przeszedł w przysłowie wśród konwiktorów. Oczywiście wstydził się w nim pokazywać. A kiedy Ksiądz Bosko razu pewnego umieścił go na jego miejscu w studium. Właściciel roztargniony nie zauważywszy go chciał cisnąć go w kąt. Lecz w tej chwili rozpoznaje swą salopę. Początkowo oburzył się, lecz zreflektowawszy się wyniósł go z uczelni wśród śmiechu kolegów.

Innym razem ten sam figiel splątał mu Ksiądz Bosko w refektarzu przy stole. Wówczas tamten zamknął go w koszu i w największym sekrecie wysłał do rodziny w Turynie, zabraniając pokazywania komukolwiek.

Nadszedł karnawał. Ksiądz Bosko przygotowywał grę w „bussolotti”. Ułożono znów z jakimś Fava zrobić uciechę z owym „pastrano” ks. D.C.

Podsuwano różne kawały: ten chciał ujrzyć kota, ów żywego wróbla, tamten jaja, inny kurczaka pieczonego. Wtem ktoś zawołał:

Chcielibyśmy ujrzyć pastrano ks. D.C.

Ksiądz Bosko wymawiał się. A ksiądz D.C. ze złośliwym grymasem przekomarzał się:

Dobrze, dobrze róbcie sobie, co wam się żywnie podoba, lecz mego pastrano nie ujrzycie, gdyż został odesłany na wieś i leży w kufrze!

Ksiądz Bosko niby zrezygnowany kazał sobie podać laseczkę magiczną, przepasał się ręcznikiem, wymawiał tajemnicze zaklęcia, wtem woła:

Obecnie pastrano znajduje się w Konstantynopolu, lecz sprowadzimy je tutaj! – odpowiedziano śmiechem, on poważnie kazał wymawiać niektórym dziwnie brzmiące słowa. Poleciał przynieść stół jednego z konwiktorów, podniósł pulpit, by widziano, że jest pusty, zamknął go ponownie, raz jeszcze otworzył, by stwierdzono, że nic nie zawierał i zamknąwszy na klucz podał go księdzu Guala, który miał go trzymać podniesionym w kierunku do Księdza Bosko.

Dobrze, dobrze, próbujcie – szydził z sardonicznym grymasem ks. D.C.

Ksiądz Bosko z uroczystą miną, wirując laseczką w powietrzu, wymówił cztery słowa nieznające się w żadnym słowniku świata i zawołał:

Stało się! – i podał klucz księdzu D.C., by otworzył pulpit. Ten otrzymawszy klucz stwierdził, że był to klucz od jego kuferka. Otworzył pulpit i oto przed publiką ukazał się jego sławetny pastrano. Ogólna wesołość zapanowała na sali, gdy ks. D.C. stał z otwartymi ustami nie mogąc się połapać. Ks. Cafasso w porę przerwał tę scenę mówiąc:

Chodźmy stąd, bo doprawdy można skonać ze śmiechu.

„Wesołość przedłuża życie człowieka a jest to niewyczerpany skarb świętobliwości” – mówi Eklezjastyk. Z tym wszystkim najmilsze dla Księdza Bosko były chwile spędzane w towarzystwie księdza Cafasso. Przytoczymy jedną stronicę z pamiętników Księdza Bosko:

„Co dzień po obiedzie odbywała się rekreacja, w czasie której ks. Cafasso dawał nam inną lekcję braterskiego współzycia. Od niego Konwiktorzy uczyli się obcowania z ludźmi świeckimi i umieć oddać, co cesarskiego cesarzowi, a co bożego Bogu. Ksiądz Cafasso opowiadał swe przeżycia ku nauce i zbudowaniu obecnych. Z wielu faktów, których był świadkiem, podaję następujący bardzo interesujący i humorystyczny.

Otóż ks. Cafasso przygotowywał więźniów przez tydzień poprzedzający do uroczystości Maryjnej, pragnąc by się wyświadczyli, a było ich 45 razem w jednej sali. Lecz gdy dzień ten nadszedł, nikt nie miał odwagi pierwszy rozpocząć. Ks. Cafasso ponowił zachętę, przypomniał ich obietnicę, lecz czy to z podszeptu szatańskiego, bądź może przez wzgląd ludzki, nikt nie chciał się spowiadać. No i rób, co chcesz człowiecze. Przemyślna miłość podsunęła mu sposób. Z uśmiechem

podchodzi do jednego najsilniejszego i bez słów chwyta go za brodę. Ów być może myślał, że to żart, więc nie oponował, tylko zaznaczył:

Niech ksiądz weźmie mnie całego, tylko oszczędzi mą brodę!

Nie puszcę cię, aż nie wyspowiadasz się!

Nie pójdę!

Więc nie puszcę cię!

Ależ... ja nie chcę się spowiadać...

Mów sobie, co chcesz, ale mi nie uciekniesz...

Ależ nie jestem przygotowany.

To ja cię przygotuję.

Z pewnością gdyby ów więzień chciał siłą uwolnić się z jego rąk byłby to uczynił z łatwością. Lecz być może z szacunku dla osoby kapłana, a może dzięki szczególnej łasce Bożej, faktem jest jednak, że dał się zaprowadzić w ką. Kapłan usiadł na sienniku i przygotował swego penitenta do spowiedzi. I to, z jakim skutkiem?! Wzruszony do łez, jak bóbr, spowiadał się ze swych win. Co potem nastąpiło, można sobie wyobrazić. Odszedłszy od spowiedzi przekonał swych towarzyszy, że nigdy nie czuł się tak szczęśliwy jak obecnie. I tyle zrobił, że wszyscy po kolei wyspowiadali się.

Jakkolwiek się uważa ten fakt, trzeba uznać w tym wyjątkową interwencję Boga.

Zaznaczyć należy, że w owym dniu ksiądz Cafasso spowiadał aż do późnej nocy, a ponieważ bramy więzienia były pozamykane, musiał spędzić noc razem z więźniami. O północy wchodzi strażnicy i wywiadowcy uzbrojeni na zwyczajny przegląd pomieszczeń więziennych, by stwierdzić, czy gdzie nie wydrążono szczeliny w murach, lub czy między więźniami panuje porządek. Na widok kogoś obcego wołają:

Kto tu jest? I dlaczego tu został? – Ksiądz Cafasso z trudem próbuje się wytłumaczyć.

Jak to? Ksiądz Cafasso, o tej godzinie? Dlaczego ksiądz nie opuścił więzienia na czas? Obecnie nie może stąd wyjść bez dochodzeń prokuratora.

Nie dbam o to, możecie panowie robić dochodzenia. Lecz pamiętajcie, że do was należało przed nadejściem nocy wypuścić stąd osoby obce i dlatego po waszej stronie wina.

Zamilkli na te słowa i poprosili dowcipnego więźnia, by nie publikował tego, potem otwarli mu bramę i zaprowadzili aż do własnego mieszkania”.

W owych czasach były w Turynie cztery więzienia, wśród nich jedno dla młodocianych przestępców. Wszystkie odwiedzał ksiądz Cafasso, w sposób szczególnie jednak opiekował się tymi ostatnimi.

Regulamin więzienny skodyfikowany został z uwzględnieniem wymogów chrześcijańskich przez króla Karola Alberta w roku 1839. Przepisywał on obecność na Mszy św. w dni świąteczne, wraz z godziną nauką katechizmu. Prócz tego kapelani winni byli przez okres Wielkiego Postu katechizować więźniów i przygotować ich do spowiedzi wielkanocnej.

Dlatego ksiądz Cafasso posyłał tam trzy razy tygodniowo konwiktów wraz ze służącym niosącym torbę tytoniu i papierosy na przynętę dla bardziej opieszłych.

Ksiądz Bosko początkowo czuł odrazę do odwiedzania więzień. Te nory wilgotne i zatechłe, smutny widok aresztantów, świadomość znajdowania się wśród ludzi splamionych haniebnymi występkami, a nawet krwią ludzką wstrząsała nim. Na myśl jednak o słowach Boskiego Zbawiciela w Ewangelii: „Byłem więźniem a nawiedziliście mnie” /Mt. 25,36/, rozpoczął prowadzić katechizm w przeznaczonej mu celi. Zapewne początki musiały być trudne, ten śmiał się idiotycznie, ów stawiał pytania bez związku, ten i ów rozmawiali ze sobą nie zwracając uwagi na kapłana, inny ziewał przeraźliwie. Ksiądz Bosko jednak nie dawał się wyprowadzić z równowagi, traktując ich zawsze z dobrocią, cierpliwością i wyrozumiałością. Wdawał się z nimi w rozmowy towarzyskie i tak nawiązywał stopniowo bliższą znajomość, więźniowie zaś coraz bardziej lgnęli do niego i pragnęli go słuchać. W taki sposób z czasem pozyskał ich serca wpajając im wielką ufność w miłosierdzie Boże, jak to stwierdzało wielu świadków naocznych.

Lecz co najbardziej krwawiło mu serce, to stykanie się z młodymi więźniami, wyrzuconymi poza nawias społeczeństwa jako szkodniki, gdyż nie umiano podejść do nich inaczej. Wielu z nich pokutowało za przestępstwa ponad ich wiek. Ksiądz Bosko spostrzegł się rychło, że liczba ich nieproporcjonalnie się zwiększała i co boleśniejse,

wielu z nich wracało z powrotem do więzienia jako recydywiści. A przecież wśród nich było tylu z dobrym zasadniczo sercem, zdolnych zapewnić pomyślność swojej rodzinie; niestety upodleni i zacięci w złych nałogach, zmuszeni poprzestawać na chlebie i wodzie (tak wówczas traktowano więźniów), wierzgali przeciw swym przełożonym, wyrażając to szyderczym spojrzeniem, czy sarkastycznie wykrzywioną twarzą.

Ksiądz Bosko odważnie zbliżał się do nich przerywając ich nudę jakimś humorystycznym opowiadaniem, uśmierzał rozgoryczenie, wstawiał się nawet za nimi do strażników i w ten sposób zdołał zapanować nad nimi całkowicie. Ta ich młodość do nich wprost go ciągnęła, oni zaś wzajemnie czuli się jakby zniewoleni przez niego. „Stopniowo – pisze on – w miarę jak stawiałem im przed oczyma godność człowieka, który winien uczciwie zarabiać sobie na kawałek chleba, a nie łotrzykowaniem, rozbudziłem w nich świadomość odpowiedzialności moralno-religijnej i tak oni doznawali w swym sercu dziwnego zadowolenia, którego nie umieli wyrazić słowami. To skłaniało ich do decyzji stanowczej poprawy. Istotnie, wielu już w więzieniu poprawiło się, inni po opuszczeniu go prowadzili tryb życia taki, że więcej się nie dostali za kratki”.

Po zakończeniu katechizacji wielkopostnej Ksiądz Bosko opuszczał więzienie pod głębokim wrażeniem i zdecydowany poświęcić się bez reszty dla ulżenia doli młodzieży opuszczonej. Jeśli chłopcy zwolnieni z więzienia mieszkali zbyt daleko od Oratorium, a skądinąd pewne powody przemawiały za tym, by ich nie przyjmować zaraz do grona wychowanków zakładu, Ksiądz Bosko kierował ich do znajomych uczciwych majstrów, by pod ich nadzorem prowadzili się należycie i przestrzegali dni świątecznych. Zasięgał stale informacji o ich prowadzeniu się, odwiedzał ich często i dopomagał materialnie. Wówczas spostrzegł, jak trudno poprawić niektórych, co długi czas żyli nieporządnie, widział, że jedynym środkiem na to było zgromadzić ich w jakimś schronisku, gdzie by mogli otrzymywać wychowanie religijne. W taki sposób ustrzeże się ich przed niebezpieczeństwami, których o własnych siłach nie zdołaliby uniknąć. Lecz jak tego dokonać?

Tymczasem z tych odwiedzin więziennych Ksiądz Bosko nabył wiele doświadczenia, które mu się przydało w przyszłej pracy wychowawczej nad młodzieżą. Przekonywał się coraz bardziej, że tylko metody chrześcijańskiej miłości

z tymi i innymi chłopcami zdolne są odnieść pomyślny skutek. To też później będzie nastawał na ten punkt, zapewniając swych współpracowników, że chłopiec nawet o trudnym i krnąbrnym usposobieniu tylko miłością da się pozyskać i nakłonić do dobrego. Coraz jaśniej uświadamiał sobie, co było powodem, że tylu chłopców nieszczęśliwych dostawało się do więzienia. Ze łzą w oku odmalowywał to swoim w Oratorium, ilustrując na żywo przykładami, jak to wielu młodocianych przestępców dostało się tam skutkiem złego przykładu kolegów lub przez opieszałość rodziców zaniedbujących wychowanie religijne swych dzieci. Dlatego taki nacisk kładł na unikanie złych kolegów, nalegał na dobry przykład konieczność nauczania religijnego młodzieży, by ją pokierować na dobrą drogę i zapewnić zbawienie.

Kiedy wielki post zbliżał się ku końcowi i katechiści przygotowywali do dobrej spowiedzi wielkanocnej, ksiądz Cafasso wraz z wieloma innymi kapłanami udawali się do więzień, by ich wyspowiadać. Wielkanoc owego roku przypadała na 29 marca. Po skończonym nabożeństwie z Komunią Generalną, ksiądz Cafasso według swego zwyczaju szedł do więźniów, by ich pochwalić za gorliwość. Gdy przekroczył bramę, na jego widok wzniosły się serdeczne evviva i oklaski. Gdy ucichły owacje, polecił im się ustawić w dwuszereg i z uśmiechem przechodząc wręczał każdemu w podarunku dwie strucle świąteczne i kawałek owocu.

Zwykł obdarowywać swych więźniów cztery razy do roku z okazji większych świąt, polecając równocześnie, by odmówili w jego intencji jedno „Zdrowaś Maryja”. Dla rozweselenia opowiadał im wtedy wesołe historyjki, a oni śmiejąc się, jedni prosili go o tytoń, inni polecali się o koszulę, skarpetki, pieniądze itp. i otrzymywali. W poniedziałki, środy i piątki odwiedzał więzienie w podziemiach gmachu senatu, gdzie rozdelał datki nie mniejsze od 2 lir, za pośrednictwem służby więziennej dostarczał chorym pożywniejszej ministry lub lekarstwa, nieraz nawet znaczną zapomogę rozdelał ich rodzinom. Tak było dopóki nie wyszedł zakaz od władz państwowych. Prócz tego dla wielu z nich wyjednywał u króla Karola Alberta darowanie winy i zwolnienie z więzienia.

ROZDZIAŁ XI

Od kilku miesięcy Ksiądz Bosko znajdował się w Konwikcie, gdy proboszcz Castelnuovo ks. Cinzano spotkawszy księdza Cafasso, spytał czy już wypróbował Księdza Bosko w kaznodziejstwie. Ten odrzekł, że jest to kapłan pod każdym względem wzorowy, lecz nic nie zauważył specjalnego, co do jego kazań, bo nie było po temu okazji.

Więc proszę go posłać z jakąś nowenną czy kazaniami pasyjnymi na przykład, bez uprzedzenia go o tym naprzód.

Ksiądz Cafasso zgodził się, a ponieważ właśnie trafiła się okazja wygłoszenia nowenny w Schronisku Pań Miłosierdzia, wyznaczył do tego Księdza Bosko wieczorem dnia poprzedzającego.

Ksiądz Bosko chętnie przyjął i głosił normalnie kazania. Przy ponownym widzeniu się z księdzem Cafasso, ksiądz Cinzano pyta:

No i jak tam? Wypróbował już ksiądz naszego kaznodzieję? Czy sprawdziło się, co mówiłem?

O tak – odpowie ów. Dziś pójde go posłuchać. Pytałem czy ma materiał na całą nowennę i odrzekł mi, że tak.

I tak Ksiądz Bosko głosił kazania przez całą nowennę ku zdziwieniu księdza Cafasso i innych, którzy wiedzieli, że celowo zastawiono nań sidła. Łaska skuteczności słowa, o którą prosił w dniu swoich Prymicji, została mu obficie udzielona przez Boga.

Ksiądz Bosko napisał był już szereg kazań Maryjnych i o Świętych Pańskich, lecz nie miał jeszcze traktujących o innych tematach dogmatycznych i moralnych. Dlatego, by kiedyś nie zostać zaskoczonym oraz żeby słowa jego były tym skuteczniejsze, zabrał się wtedy do napisania szeregu kazań, jak wynika z jego notatek osobistych przechowywanych w archiwum.

Mówiąc o jego kazaniach wspomnijmy, że jednym z najbardziej ulubionych jego tematów były kazania o Różańcu św. Przytoczymy wstęp jednego:

„Gdyby w tym dniu danym mi było wznieść się do kontemplowania rzeczy niebieskich, stanąć przed Tronem Najmiłociwszej naszej Madonny, och, jakżebym

gorąco pragnął, bracia najmilsi, godnie wysławiać Jej świętość niezrównaną i niepokalaną, Jej piękność niewymowną, wielkość zasług, którymi przewyższa wszystko w niebie i na ziemi, jej miłosierdzie, Jej wzniosłą godność Matki Boga... Lecz tymczasem jesteśmy tylko nędznymi wędrowcami i pielgrzymami na tej ziemi, z dala od Ojczyzny i od naszej najdroższej Matki... Mijmy jednak głęboką wiarę i zastanówmy się nad tym, jaką to mamy Matkę Niebieską, pełną dobroci i tkliwości dla nas...”

Słowa namaszczone z jego warg płynące miały niezapomniany wpływ na słuchaczy, a serca ich były serdeczną pobożnością i miłością ku Matce Najświętszej. Nie tylko przemawiał o niej z ambony, lecz codziennie i w każdej okoliczności wysławiał Madonnę. Widocznie miał serce płonące gorącą miłością ku Królowej nieba i ziemi, a umysł pełen niewyczerpanych argumentów dla wysławiania jej potęgi, chwały i dobroci macierzyńskiej, a nigdy nie brakło mu przykładu dla oświetlenia tego, jakiejś łaski, cudu itp.

Tym więcej, że wiek XIX obfitował w liczne cudowne zjawienia się Madonny na potwierdzenie jej macierzyńskiej opieki nad Kościołem i wiernymi. A słuchaczy nie brakowało nigdy, gdyż albo ich spotykał przed sobą, lub też celowo zwoływał. Tak na przykład, rozmiłowany w Niepokalanym Poczęciu NMP, dotąd nie zdefiniowanym przez Kościół, rozdawał szeroko tzw. Cudowny Medalik Niepokalanej. Przedstawiał on wyobrażeniu Niepokalanej Dziewicy wznoszącej się ponad globem ziemskim, mającej pod stopami węża rozsiewającej ze swych dłoni strumienie łask Bożych. W otoku napis: „O Maryjo Niepokalanie Poczęta módl się za nami”. Na dole litera „M” mająca nad sobą koronę cierniową z dwoma Sercami: Serce Jezusa z cierniami i Serce Maryi przebite mieczem, nad wszystkim korona z gwiazd dwunastu. Medalik ten wskazała sama Madonna w objawieniu bł. Katarzynie Labouré Szarytce.

Było to pod wieczór 18 lipca 1830 r. s. Katarzyna Labouré nowicjuszka spała w domu nowicjackim w Paryżu. O godz. 11.30 w nocy słyszy trzykrotne wezwanie:

Siostró Labouré!

Zbudziwszy się odłoniła firankę łóżka, skąd słyszała ów głos i ku swemu zdumieniu ujrzała Dziecię cztero lub pięcioletnie. Ubrane było w lnianą sukienkę śnieżno białą, a z czoła jego, jak z całej postaci tryskały najżywsze promienie rozjaśniając wszystko dookoła, ze słodyczą niewymowną rzekło jej:

Pójdź, pójdź do kaplicy, tam cię oczekuje Najświętsza Panna.

Siostra niezdecydowana myśli: „Wstać z łóżka? Wyjść z sypialni? Spozrzegą się wnet moje towarzyszki!”. A urocze Dzieciątko odpowiadając niejako na jej myśli mówi:

Nie lękaj się niczego, jest godzina pół do dwunastej, wszyscy śpią. Ja pójdę z tobą. Na te słowa s. Katarzyna ubrała się pospiesznie i poszła za jaśniejącym Dzieciątkiem, towarzyszącym jej z lewej strony, a gdy przechodzili korytarzem, zapłonęły lampy. Zdumienie jej wzrosło zwłaszcza, gdy stanąwszy przed drzwiami kaplicy na noc zawsze zamkniętej, zastała drzwi tonące w blasku jak w Noc Bożego Narodzenia. Ukłękła przy balustradzie, a Dzieciątko z lewej strony zatrzymało się przed stopniami ołtarza. Siostrze Katarzynie zdało się nazbyt długie oczekiwanie. Wreszcie odzywa się około północy Mały Przewodnik:

Oto Najświętsza Dziewica, oto Ona!

W tym momencie słyszy Katarzyna z prawej strony kaplicy lekki odgłos jakby szelest jedwabiu. I zjawia się Najświętsza Dziewica o niezrównanej piękności, przywdziana w długą śnieżno białą suknię przechodzącą w kolor kremowy, z niebieskim welonem, która usiadła w prezbiterium z lewej strony ołtarza. S. Labouré była wewnętrznie zakłopotana i walcząc wprost z wątpliwościami zastygła w bezruchu. Wówczas Dzieciątko w tonie surowym zgańło Siostrę pytaniem:

Czy Królowa Nieba nie może przybrać kształtu, który jej najwięcej się podoba, by pokazać się w ten sposób biednemu stworzeniu?!

Katarzyna wówczas poczuła jakby znikły wszelkie jej wątpliwości i idąc za porywem swego serca upadła na kolana u stóp Madonny opierając swe dłonie na jej kolanach, tak jakby to była jej własna matka. Któż zdołałby opisać uczucia, jakich doznawała wewnętrznie szczęśliwa nowicjuszka?

Najświętsza Dziewica pouczyła ją wtedy jak ma się zachować wobec cierpień, które ją dręczyły, a wskazując lewą ręką ołtarz kazała jej upaść tam i otworzyć swe serce, skąd otrzyma wszelką pociechę, jakiej potrzebuje. Następnie ze smutkiem na twarzy, ze łzami w oczach przepowiedziała jej koleje nowej rewolty francuskiej aż do roku 1871, liczne nieszczęścia, jakie spadną na świat, zniewagi, jakich dozna Pan nasz Zbawiciel od ludzi, łaski, jakich dozna wiele osób małych i wielkich, które ją będą prosić o nie, zapewniała, że kto uzna Jej zjawienie, dozna pomocy i opieki Bożej,

następnie zapowiedziała, że powierzy jej misję wybicia medalika, jaki jej ukaże w następnej wizji. Ma się on rozejść za potwierdzeniem władz duchownych, po całym świecie; obiecała wielkie łaski tym, którzy będą go nosić na szyi.

Najświętsza Dziewica zleciwszy to Siostrze Labouré zasunęła się cieniem i znikła. Siostra Katarzyna ledwie ocknęła się z kontemplacji wzniosłych przeżyć wewnętrznych, gdy owo Dziecię niebieskie rzecze jej:

Ona odeszła! I towarzysząc siostrze ponownie z lewej strony, odprowadziło ją do sypialni rozsiewając dookoła blaski promienne. Potem znikło. Siostra Katarzyna zasnęła ponownie. Była godzina druga w nocy. Przepowiednia dana przez Matkę Najświętszą miała się ziścić wkrótce przez rozejście się po całym świecie setek tysięcy owego Cudownego Medalika, któremu towarzyszyły niezliczone cuda i nawrócenia. A Stolica Apostolska zatwierdzając to objawienie utwierdziła nabożeństwo wiernych do Niepokalanego Poczęcia.

Wieści o cudownym objawieniu Najświętszej Marii Panny wraz z Cudownym medalikiem obiegły cały świat. Tymczasem nowe cudowne objawienie w roku 1842 potwierdziło poprzednie. A Ksiądz Bosko opowiadał o tym swym chłopcom na słówkach wieczornych, by utwierdzić w ich sercu nabożeństwo do Najświętszej Dziewicy, a w swej Historii kościelnej pisze o tym następującymi słowami: „Alfons Ratisbonne pochodzący ze znakomitej rodziny żydowskiej w Strassburgu, pałał nienawiścią do katolicyzmu, zwłaszcza, dlatego, że brat jego Teodor został katolikiem, a później nawet kapłanem. Przypadkiem przybył on do Rzymu, gdzie zawarł znajomość z niejakim baronem Bussières, niegdyś protestantem, obecnie nawróconym na katolicyzm, który na próżno próbował przekonywać Ratisbonna o prawdzie katolickiej i prosił, by przynajmniej przyjął upominek pozwalając zawiesić go sobie na szyi. Dnia następnego udali się obaj na spacer poza Rzym, wstępując po drodze do napotkanego kościoła. Pan Bussières mając coś do załatwienia w przyległym klasztorze, prosił, by na niego zaczekał. Gdy wrócił szukając w kościele Ratisbonna, ze zdumieniem spostrzega go klęczącego i zalanego łzami w kaplicy św. Anioła Stróża. Potrząsa mu ramię, a ten jakby zbudzony z głębokiego snu, ze łzami całuje Medalik Cudowny i przyciska do piersi mówiąc:

Widziałem Ją, widziałem Ją! Następnie prosi o kapłana, niebawem przyjmuje Chrzest św. i w obecności paru osób zeznaje:

Zostawszy sam w kościele doznałem dziwnego uczucia, którego nie umiem wyrazić. Otwieram oczy, cała świątynia jakby znika przede mną, a z wnętrza tej kaplicy spłynął na mnie potok światła. Ujrzałem przed sobą w jasności, stojącą na ołtarzu, pełną majestatu i słodyczy Dziewicę Maryję, tak jak jest wyobrażona na tym medaliku. Jakby zapraszała, bym uklęknął, a ja uczułem się niepojętą siłą pociągnięty do Niej, jakby mi mówiła:

Dobrze, dobrze! Nie wypowiedziała ani słowa, lecz ja wszystko zrozumiałem. Przed chwilą ujrzałem Niepokalaną piękność Jej twarzy. Trzykrotnie jeszcze próbowałem spojrzeć na Nią, przykuty widokiem snopu promieni wychodzących z jej błogosławionych dłoni. Były to chwile łaski dla tej duszy, która zwróciła się do wiary katolickiej. Cztery dni potem 31 stycznia 1842 r. Alfons Ratisbonne przyjął Chrzest św., później został kapłanem i założycielem zgromadzenia zakonnego Panien Syjonu, żył i umarł jak święty. Ojciec św. zarządził zbadanie kanoniczne tej sprawy, w której stwierdzono prawdziwy i pierwszorzędny cud. Było to, bowiem nawrócenie nagłe i doskonałe, podobnie jak Szawła, cud zaiste większy niż wskreszenie zmarłego.

Podczas gdy przez tak niezwykle fakty pogłębiała się coraz bardziej pobożność i cześć do Niepokalanej Dziewicy wśród ludu, inny fakt podsycił miłość do Zbawiciela i Jego Męki Najświętszej. Otóż w Turynie z okazji zaślubin następcy tronu Wiktora Emanuela z Marią Adelajdą, arcyksiężniczką Austriacką, w dniu 21 kwietnia wystawiono ku czci publicznej z łoży pałacu Madama – św. Całun Zbawiciela. Plac i ulice przyległe przepełniały niezliczone tłumy różnych narodowości, stanów, wieku i płci, przybywające nawiedzić tę dostojną relikwię noszącą ślady pięciu Ran oraz odbicie Oblicza Zbawiciela. Nie mogło zabraknąć i Księdza Bosko wraz z jego chłopcami. On, który był tak nabożny względem Męki Zbawiciela i Jego Przenajświętszej Matki, umiał z tej okazji wzbudzić u młodzieży tkliwą miłość względem Boskiego Zbawcy, co zawsze podkreślał, ilekroć miał okazję przemawiać o Męce Pańskiej.

ROZDZIAŁ XII

Ogólna żałoba okryła miasto Turyn z powodu zgonu czcigodnego ks. Cottolengo wielkiego dobroczyńcy wszelkiej nędzy ludzkiej, który zmarł świątobliwie w Chieri w dniu 30 kwietnia 1842 r.

Parę lat przedtem w rozmowie z nim król Karol Albert wyraził swój niepokój względem przyszłości Małego Domku Opatrzności, gdyby zabrakło ks. Cottolengo.

Maesta – odpowie pokornie sługa Boży – czy można wątpić w Opatrzność Boską? Widzi Wasza Królewska Mość tam na dole zmianę warty przy bramie pałacowej? Oto nadchodzi żołnierz wypowiadając hasło i zajmując miejsce swego poprzednika na warcie, poprzedni odchodzi jakby niepostrzeżenie, a straż nadal trwa na swej pozycji. Tak będzie z małym Domkiem Opatrzności. Ja jestem niczym, jeśli Opatrzność zechce, powie słówko komuś innemu, który zajmie moje miejsce i dzieło pójdzie dalej.

Zastąpił go w prowadzeniu dzieła kanonik Anglesio, który zgodnie z zapowiedzią św. Założyciela, rozbudował Dzieło aż po rzekę Dorę.

Zbyteczną byłoby rzeczą rozpisywać się w pochwałach o tym mężu, który miał niebawem dostąpić zaszczytu ołtarzy i którego sława świętości wnet rozeszła się po całym świecie. Wspomnę tylko o pewnej jego wypowiedzi na parę dni przed śmiercią.

Otóż w 3 niedzielę po Wielkanocy, po kazaniu, jakie wygłosił w klasztorze dusz czyścowych, wrócił do zakrystii, lecz zaraz wyszedł do ołtarza i zwróciwszy się do wiernych, zalecił gorące modły za króla Karola Alberta i całej jego rodziny, potem wznosił oczy i ręce w górę, jakby pragnął, by znany mu sekret się nie sprawdził oraz z bólem zawołał:

Dokąd będzie nam panował Karol Albert... i zamilkł. Cóż chciał przez to powiedzieć sługa Boży?

Piemont był podówczas jednym z najbardziej katolickich królestw na świecie. Tym niemniej liberałowie od czasu do czasu podnosili żądania na niekorzyść Kościoła, który jak matka wyrozumiała ustępował w niektórych punktach

dyscyplinarnych dla uniknięcia większego zła. Na przykład, rząd ustalił pewien limit w przyjmowaniu nowicjuszków do zakonów, mając na względzie pobór do wojska.

Lecz czy nie słuszną jest rzeczą, że Bogu należą się pierwociny ze stworzeń dla Jego służby? Czy nie ma on prawa wybierać sobie powołanych do niej? Czy papież Grzegorz nie odrzucił dekretu imperatora Maurycego zakazującego wojskowym wstępować do klasztorów?

Prawda, że wspomniane ograniczenie na pierwszy rzut oka nie wyrządzało zbyt wielkiej szkody dla powołań zakonnych, przez to jednak otwierała się droga do mieszania się w sprawy Kościoła.

Postanowiono, więc, żeby przełożeni zakonni przed przyjęciem nowicjuszy nie zarejestrowanych do wojska, otrzymywali zgodę biskupa diecezji, w której znajdował się klasztor. Wyjęci byli kandydaci z ukończonym 20-tym rokiem życia. Biskupi corocznie mieli przekładać ministrom wojny i marynarki listę przyjętych do nowicjatu. Zabraniało się przełożonym wysyłać poza granice państwa nowicjuszków, celem uchronienia ich przed poborem.

Powyższe zarządzenia zostały opublikowane przez arcybiskupa Fransoniego w roku 1842. Tenże arcypasterz, doskonały znawca ludzi, nie bezpodstawnie doświadczył w tym sporze o wiele poważniejszego zła w przyszłości. W tymże samym czasie hrabia Kamil Cavour zakładał stowarzyszenie pod nazwą Associazione Agraria. Na pierwszy rzut oka wydawało się mieć cel gospodarczy, zrzeszenie producentów rolnych, wzmocnienie potencjału ekonomicznego kraju, wiązanie wsi z miastem. Lecz tajemnym celem było rozagitowanie obywateli i wprowadzenie systemu parlamentarnego. Przygotowano do druku encyklopedię ludową, która prócz szerzenia oświaty i postępu była przeznaczona na to, by w Piemontcie podsycać ów płomień patriotyzmu, który miał niebawem ogarnąć wszystkie prowincje włoskie.

Parlament rewolucyjny, który pod tym się ukrywał, wróżył źle na przyszłość i jesteśmy przekonani, że czcigodny Cottolengo miał na myśli przyszłe smutne wydarzenia, jakie za parę lat miały nadejść.

Innym smutnym wypadkiem dla Księdza Bosko był zgon owego anioła skromności, kleryka Józefa Burzo. Jego to zniesławionego wziął w obronę swego czasu Ksiądz Bosko i sprawił, że zatriumfowała niewinność. Obecnie ten 20-letni kleryk jako nowicjusz Oblatów w Pinerolo, pozostając w ścisłej przyjaźni z Księdzem

Bosko, przepowiedziawszy miejsce swej śmierci, został przeniesiony do Turynu, celem lepszej opieki w chorobie, gdzie też oddał Bogu ducha 20 maja. Ciało jego pochowane zostało w podziemiach kościoła pod ołtarzem Madonny, pomiędzy innymi współbraćmi.

Tymczasem kończył się pierwszy rok pobytu w Konwikcie, rekolekcjami w San Ignazio ponad Lanzo.

Na północ od Lanzo Torinese, wznosi się na 910 metrów n.p.m. wysunięty z Alp łańcuch górski zwany Bastia. Jest to góra skalista i naga, tu i tam nieco pokryta kasztanowcami, jodłami i modrzewiami. Na tym to wzgórzu ślubowali okoliczni górale wzniesić ku czci św. Ignacego Loyoli kaplicę.

Wnet płynęły tu liczne pielgrzymki z Piemontu, zwłaszcza z okazji odpustu obchodzonego w pierwszą niedzielę sierpnia. W roku 1677 kaplicę oddano OO. Jezuitom, którzy obok wzniesli aktualny kościół z klasztorem. Po wypędzeniu Jezuitów w 1774, około roku 1804, ks. Kanonik Guala począł uczęszczać na to pustkowie do klasztoru, wraz z kilkoma towarzyszami na parodniowe rekolekcje. Z czasem liczba rekolektantów tak dalece rosła, że musieli sypiać po dwóch w celi. Od roku 1808 zaczęto urządzać rekolekcje także dla świeckich, liczba ich przekraczała 30. W 1814 r. biskup Della Torre zlecił kierownictwo rekolekcji księdzu rektorowi Guala, wraz z rektoratem świątyni. Od tego czasu odbywało się tam po trzy serie rekolekcji dorocznie dla księży, laików i stowarzyszenia pod wezwaniem św. Pawła, które opiekowało się materialnie tym obiektem. Ksiądz Guala pozostał rektorem aż do swej śmierci. Do roku 1847 osobiście głosił rekolekcje, angażując równocześnie na instrukcje najwybitniejszych spośród kleru świeckiego i zakonnego. Bóg wie, ile doprawdy dusz wyniosło stąd zapał do służby Bożej i ilu grzeszników pojednało się z Nim.

Ksiądz Cafasso w końcowych konferencjach gorąco zachęcał swych alumnów do wzięcia udziału w ćwiczeniach duchowych, wskazując równocześnie praktyczny sposób ich odprawiania. Nie mogło zabraknąć na nich i Księdza Bosko. Oto, co sam o tym pisze:

„Od pierwszego roku pobytu w Konwikcie (1841-42), ks. Cafasso zachęcał mnie bym towarzyszył mu na rekolekcjach dla świeckich u św. Ignacego ponad Lanzo Torinese. Wyprawa ta była nie lada przygodą i doświadczeniem. Po ustaleniu terminu

wyjazdu, dorożkarze szli w zawody, kto pierwszy go sobie zdobędzie. U stóp góry czekała gromada żebraków prosząc o jałmużnę, on zaś rozdawał ją kierując poszczególnym właściwe polecenie, jednemu mówił: „Bądź cierpliwy w swym ubóstwie!”; drugiemu: „Bądź nabożny do Najświętszej Panny, przystępuj częściej do spowiedzi”; trzeciemu: „Bądź posłuszny swym rodzicom”. W owych czasach na szczyt prowadziła ścieżka czasem łagodnym a często nader stromym zboczem. Gdy Ksiądz Bosko po raz pierwszy wstąpił do tej świątyni, od razu uderzył go widok surowej skały, świadka objawienia św. Ignacego wraz z jego towarzyszem. Starożytny konwent został odrestaurowany i powiększony staraniem ks. kanonika Guali i mógł pomieścić do 80 osób. Starał się on jak najbardziej uprzyjemnić pobyt na rekolekcjach uczestnikom. Regulamin ich był tak ułożony, by ułatwić personelowi obsługę rekolektantów. Dlatego rekolekcje u św. Ignacego zyskały sobie niebawem największą renomę w Piemencie, stając się wzorem dla innych urządzanych w poszczególnych diecezjach.

Rekolekcje rozpoczęły się 7 czerwca 1842 r. Głosili je: O. Menini Jezuita – instrukcje i ks. kan. Guala – rozmyślenia. Wynika to z zapisków Księdza Bosko. Dla niego jednak najskuteczniejszym kazaniem był widok gorliwości księdza Cafasso. Nie zabrakło go nigdy na owych seriach rekolekcyjnych, pomimo że sam nie głosił nauk. Zawsze budował dobrym przykładem, skupieniem, był pierwszy w kościele usługując księżom jak zwykły kleryk. Ksiądz Bosko szedł wiernie w jego ślady, jak stwierdzają ci, co z nim uczestniczyli w rekolekcjach, między nimi ks. D. Giacomelli.

Po rekolekcjach Ksiądz Bosko wracał do swego Oratorium w Turynie. Ksiądz Cafasso widząc jego osłabienie posłał go na wieś dla odpoczynku, a sam wraz z księdzem Guala zastępował go wśród młodzieży.

Oslabienie, wygodny dyliżans, mogłyby radzić, by nie odbywał tak dalekiej podróży pieszo, miłość jednak ubóstwa ewangelicznego przeszła do porządku nad owymi trudnościami.

Parę dni pobytu na wsi użył na usługi dla swych współziomków, katechizując dzieci w Becchi, Morialdo i Castelnuovo i przygotowując materiał do Historii kościelnej i innych książek stosownych dla młodzieży, które także z wielkim pożytkiem czytali prości ludzie. Ksiądz Bosko znał doskonale wartość tego daru, którego Bóg używa człowiekowi dla jego własnego i innych dobra, nie tracąc ani

chwili czasu, zgodnie z zaleceniem Mędrca Pańskiego: „Nie utracaj dnia dobrego, a zacnego daru cząstka niechaj cię nie mija” /Ekl 14,14/.

ROZDZIAŁ XIII

Dwa wydarzenia religijne - jedno ogólne, drugie partykularne - sekundowały konwiktorom z nowym rokiem. Oto papież Grzegorz XVI dla zachęty przyszłych konwiktorów udzielił odpustu zupełnego w uroczystość św. Alfonsa oraz Patronów Konwiktu, z warunkiem nawiedzenia kościoła św. Franciszka z Asyżu. Inne łaski w formie jubileuszu ogłosił na cały świat, w celu uproszenia u Boga kresu krwawych walk w Hiszpanii między obiema partiami: katolicką Don Carlosa i liberalną – królowej Izabeli. Liberałowie zawładnąwszy rządami w kraju, skasowali wiele klasztorów, skonfiskowali majątki kościelne, wypędzili z kraju lub uwięzili wielu biskupów, wydali nuncjusza, ustanowili prawa sprzyjające schizmie i poddające Kościół władzy cywilnej. Karol Albert sprzyjał Karlistom, posyłał pieniądze i udzielał schronienia, przyjmował posłów i odmawiał uznania panowania królowej Izabeli, zerwał stosunki dyplomatyczne z Hiszpanią, udzielił w Piemontcie schronienia biskupowi Cuby i Leonu. Nieco później przyjmował z honorami Don Carlosa, który szukał u niego schronienia.

W międzyczasie proboszcz Cinzano prosił arcybiskupa o przysłanie mu pomocnika w duszpasterstwie ze względu na swe dolegliwości, proponując Księdza Bosko. Arcypasterz zgodził się z tym, że stawi się on do egzaminu jurysdykcyjnego wobec księży Guala i Cafasso w Konwikcie duchownym.

Ksiądz Bosko z łatwością uzyskał zaświadczenie o zdanym egzaminie z tym, że powtórzy go jeszcze po drugim roku studiów w Konwikcie kościelnym. Z radością przyjął czcigodny stryj byłego kolegi Comolla, Księdza Bosko, który natychmiast zabrał się gorliwie do pracy. Głosił kazanie przez cały tydzień i spowiadał napływający lud nawet z dalekich wiosek. Pragnął usposobić jak najlepiej wiernych do skorzystania z łask jubileuszu i rozbudzić ich zainteresowania odpustem zupełnym, jaki z łatwością można było uzyskać.

Celem rozproszenia pewnych obaw wiernych, wołał z ambony:

„Boski Zbawiciel stosownie do naszych słabości, udziela nam łaski pomocnej do zbawienia i uświęcenia naszych dusz!”. Później w swych oratoriach zalecał gorąco praktykę niektórych dobrych uczynków oraz modłów, obdarowanych odpustami.

Wróciwszy do Turynu zabrał się do gorliwego przygotowania chłopców do spowiedzi, celem zyskania łask jubileuszowych. W związku z tym napisał z końcem roku 1842 następujące postanowienie:

„Brewiarz i konfesjonał.

Będę starał się odmawiać pobożnie brewiarz, możliwie w kościele, by służył za Nawiedzenia Najświętszego Sakramentu.

Przystąpię do spowiedzi, co osiem dni i będę praktykował postanowienia powzięte na poprzedniej spowiedzi.

Gdy mnie zaproszą do słuchania spowiedzi, przerwę nawet brewiarz, skrócę przygotowanie i dziękczynienie po Mszy św., by spełnić tę posługę”.

Tymczasem umiłował na wszelki sposób uprzyjemniać młodzieży zbiórki niedzielne. Znał na tyle nuty, że potrafił przygrywać na instrumencie chłopcom przy śpiewie pieśni religijnych. A głos miał w szerokiej skali aż do drugiej oktawy. Na okres Bożego Narodzenia przygotował pieśń ku czci Dzieciątka Bożego. Ułożył ją sam improwizując słowa na chórze w kościele św. Franciszka, sam też podłożył melodię. A oto ona / w j. włoskim/:

Ah! si canti in scon di giubilo,

Ah! si canti in suon d`amor.

O fedeli, è nato il tenero

Nostro Dio Salvator

Oh, come accesa splende igni stella:

La luna nostrasi lucente e bella

A delle tenebre squarciasi il vel.

Schiere serafiche, che il ciel disserra

Gridan con giubilo: sie pace in terra!

Altre rispondono: sia gloria in ciel!

Vieni, vieni, o pace amata,

Nei cuor nostri a riposar

O Bambino in mezzo a noi

Ti vogliamo conservar.

Muzyka nie była zgodna z regułami kontrapunktu, lecz brzmiała tak serdecznie, że wzruszała szczerze słuchaczy. Ksiądz Bosko nauczył melodii swych chłopców nieobeznanych z nutami czy jakimikolwiek zasadami muzyki. Wytrwałość jego odniosła sukces. Nie mając początkowo miejsca na tego rodzaju próby wychodził z grupą chłopców na przechadzkę i po drodze ćwiczyli odpowiednie pieśni. Melodie wspomniane utkwily im tak głęboko w pamięci, że w roku 1886 niektórzy starzy oratorianie jeszcze je sobie przypominali, co ułatwiało ich odtwarzanie.

Odnalazła się również okolicznościowa kantata, do której słowa napisał Ksiądz Bosko (trzy zwrotki), dyrygując osobiście i akompaniując na organach, wykonana była po raz pierwszy w kościele Dominikanów, później zaś Matki Bożej Pocieszenia dawno już Turyńcy nie słyszeli wdzięcznych głosików chłopięcych z chóru, dotąd, bowiem sami dorośli śpiewacy wykonywali pieśni religijne swoimi surowymi i niezbyt sympatycznie brzmiącymi głosami.

Melodia powyższa została przystosowana do „Tantum ergo”, śpiewanego w kościołach przez lat kilkanaście przez chłopców, zwłaszcza w czasie wycieczek w okolicznych parafiach. W taki sposób stopniowo wprawiani w śpiewie oratorianie zyskali sobie niebawem wielką wziętość wśród ludu.

Również podłożył melodię pod słowa: „Lodato sia sempre il Nome di Gesù e di Maria...” śpiewane dotychczas w kaplicach Sióstr Salezjanek oraz w Bazylice Najświętszej Maryi Wspomożycielki w Turynie na zakończenie kazania. Skomponował również Gloria in excelsis Deo dla parafii Castelnuovo z okazji wycieczki z chłopcami. Zapoczątkował przez to liturgię mszalną z ludem, która w owych czasach wydawała się czymś niezwykłym. Następnie napisał jeszcze motyw muzyczny na Magnificat, na zmianę z akompaniamentem orkiestry dla poszczególnych wierszy, przy czym lud powtarzał ten sam refren. Tak samo na Litanię Loretańską.

Niebawem przyłączył się do Księdza Bosko współpracownik w katechizacji i muzyce religijnej, kleryk Alojzy Nasi, ze znakomitej rodziny turyńskiej. Ukończył on teologię ze stopniem akademickim w 1842 r., a wyświęcony na kapłana 1844 r. został później dyrektorem duchownym dzieła Rifuggio i kanonikiem kolegiackim, stale pomagając księdzu Cafasso w posłudze kapłańskiej i głoszeniu misji ludowych.

Dzielny mówca był kolegą i przyjacielem znanego kanonika Jana Baptisty Giordano, zyskując opinię najznakomitszego kaznodziei Włoch.

Czując pociąg do młodzieży udzielał się chętnie w różnych zakładach wychowawczych, zwłaszcza w świeżo powstałym Oratorium Księdza Bosko, potrafił sobie zyskać wziętość i miłość chłopców swą osobowością oraz opowiadaniem ciekawych historyjek.

Uzdolniony poeta i artysta zarazem układał dla nich różne pieśni i przez szereg lat uświetniał nabożeństwa akompaniując na organach oraz prowadził szkołę muzyki i śpiewu. Z sympatii gorącej dla Księdza Bosko, pozwolił Salezjanom w roku 1893 na wydrukowanie swych kazań i przemówień okolicznościowych, przeznaczając dochód na rzecz Misji Salezjańskich w Patagonii.

Tak, więc pod kierunkiem księdza Nasi, śpiewacy Oratorium występowali na nabożeństwach w różnych kościołach turyńskich, jak np. u Consolaty, w kościele Bożego Ciała, Karmelitanek w Moncalieri, często również w kościele św. Franciszka z Asyżu. Zakrystia tegoż kościoła stała się niebawem salą muzyczną, gdzie wykonywano utwory takich mistrzów jak Cherubini, Rossini, Haydn, Palestrina etc. Sam Ksiądz Bosko zamięłowany w muzyce i śpiewie, polecił umieścić nad wejściem do Sali muzyki wiersz skryptyralny: „Ne impediās musicam”.

Swych pierwszych oratorianów nauczył Ksiądz Bosko różnych pieśni Maryjnych, jak np. znanej do dziś „Maria risuona la valle e il monte” oraz wiele pieśni eucharystycznych.

Melodie i słowa do wspomnianych pieśni nie zawsze wyszły spod pióra Księdza Bosko, lecz zaczerpnięte były z religijnych utworów znakomitych poetów i mistrzów. Niektóre śpiewane dotychczas po zakładach salezjańskich miały dość dziwny początek. Pewnego razu na przykład, Ksiądz Bosko przechodząc ulicami miasta, usłyszał jakąś skoczną marszową przyśpiewkę robotników, wracających z pracy. Wiedząc, że chłopcom przypadnie do gustu tego rodzaju popularna melodyjka, zapamiętał ją sobie i przy sposobności prosił poetę Silvio Pellico, penitenta księdza Guali, by raczył napisać słowa i tak powstała ulubiona w zakładach salezjańskich pieśni ku czci św. Anioła Stróża „Angioletto del mio Dio”.

Innym razem spotkał grupę gitarzystów, opowiadających przy akompaniamencie muzyki jakąś romanze zasłuchanym przechodniom. Jeden z nich

śpiewał swą arię, inni powtarzali refren. Księdzu Bosko bardzo przypadła do gustu zasłyszana melodia, dlatego wyjął notes i ołówek i od razu na gorąco, przyparty o mur domu zapisał nuty. Poszukał potem odpowiedniego tekstu i tak powstała znana pieśń Maryjna: „Noi siamo figli di Marie” śpiewane dotychczas w domach salezjańskich.

Trudno wyrazić, z jakim zapałem śpiewali chłopcy wspomniane melodie oraz entuzjizm zasłuchanego w nie ludu. Pewnego razu Ksiądz Bosko urządził chłopcom przechadzkę do kościoła Matki Bożej del Pilone w okolicach miasta. Na trzech łódkach popłynęli rzeką Pad, a znalazłszy się na środku zaintonowali piękną pieśń Maryjną. Publiczność znajdująca się na brzegach rzeki słysząc jakiś cudny śpiew, przystawała wsłuchując się i jakby oczarowana melodią postępowała za płynącymi barkami wzdłuż bulwarów rzecznych. Znalazło się wśród nich wielu grających na trąbkach, którzy akompaniowali usłyszany motyw, wywołując tym doprawdy efekt niezrównany. Mieszkańcy dzielnicy del Pilone wychodzili ze swych mieszkań, a gdy barki przybiły do brzegu, zebrane tłumy urządziły owację młodym śpiewakom. To były owe pierwsze triumfy muzyczne Księdza Bosko, jakie zainaugurowały tysiące innych w przyszłości, zdobywając aplauzy w każdym zakątku świata.

ROZDZIAŁ XIV

Dzięki przemyślanym zabiegom Księdza Bosko niewielkie Oratorium w 1843 roku nabierało szybkiego rozwoju. Nadto szczupłe pomieszczenia nie pozwalały jednak w pełni rozwinąć się jego aktywności. Nie było pożądane, by gromadząca się młodzież na placu przy kościele św. Franciszka urządzała swe gonitwy. Tym bardziej, że kościół ten mający centralne położenie ściągał tłumy wiernych na Msze św. niedzielne i inne nabożeństwa. Ponadto funkcjonariusze porządku publicznego nie tolerowaliby zbyt dużego hałasu w centrum miasta, gdzie również ruch publiczny był utrudniony z powodu nieprzepustowych, starych ulic. Dlatego Ksiądz Bosko przeniósł miejsce zbiórek na przyległy teren poza kościołem, na skrzyżowaniu biegnących alei, by tym łatwiej gromadzić swą młodzież oraz by mieć łatwiejszą nad nimi kontrolę przy opuszczeniu Oratorium. W tym także celu podzielił ich na grupy stosownie do miejsca zamieszkania polecając by nie zbaczali z trasy im wyznaczonej i osobiście odprowadzał raz jedną, to drugą grupę.

A przecież jakiś plac do zabaw był konieczny, by przyciągnąć na katechizm tak żywą młodzież miejską. Dlatego prowadził ich często poza miasto na błonia, gdzie mogli się wyhasać do woli pod jego ojcowską opieką i nigdy nie tracił ich z oczu. To jednak nie zawsze było korzystne i wygodne dla chłopców i dla niego. Dlatego ks. Guala rozumiejąc konieczność jakiegoś miejsca na rekreacje młodzieżowe, pozwolił mu gromadzić od czasu do czasu chłopców na dziedzińcu przyległym do Konwiktu.

Również boczna zakrystia już nie wystarczała na pomieszczenie dla chłopców, których liczba sięgała ponad 80 nawet, gdy zezwolono na użytkowanie głównej zakrystii. Z konieczności wyłonił się podział chłopców na dwie, nawet trzy grupy a ponieważ sam Ksiądz Bosko nie zdołał ich wszystkich nadzorować, wtedy ksiądz Guala dodał mu do pomocy kilku konwiktorów, by można było stworzyć więcej sekcji katechizmowych.

Ale wnet począł się napływ dalszych chłopców i Ksiądz Bosko musiał dokonać nowych sekcji. Nie raz kazał do siebie przychodzić mniej pojętym i tłumaczył im

osobno trudniejsze prawdy katechizmowe, dokąd nie przyswoili ich sobie na pamięć. Tak szło przez dwa następne lata.

Równocześnie informował się dokładnie o ich pochodzeniu i miejscu pracy, by móc ich w swoim czasie odwiedzić, zachęcić i polecić chlebodawcom.

Z rana każdego święta była sposobność przystąpienia do Sakramentów św. Chłopcy wnet nabrali do niego takiego zaufania, że wszyscy pragnęli, by ich spowiadał. Cóż to za pocieszający widok, gdy jego konfesjonał oblegała grupa 20, 30, 40 i więcej chłopców oczekujących cierpliwie na swą kolejkę, by powierzyć mu swe wewnętrzne sekrety. Potem odprawiał dla nich Mszę św. i rozdzielał Komunię św. ku zbudowaniu niezmiernemu obecnych ludzi. Wreszcie wygłaszał odpowiednią naukę dla wszystkich.

Jest to chwała i zasługa Księdza Bosko, że uTORował tylu chłopcom drogę do częstej Komunii św., podczas gdy ogólny zwyczaj kazał przystępować im tylko z okazji Wielkanocy, gdy już byli dorosłymi. Dobrze on odczytał Ewangelię, która mówi:

„Pozwólcie dzieciom przyjść do mnie i nie zabraniajcie im, bo takich jest Królestwo Niebieskie” /Mk 10,14; J 10,10/.

Pod wieczór nie było nabożeństwa eucharystycznego ze względu na późną porę, po nauce katechizmu Ksiądz Bosko zatrzymywał ich jeszcze ucząc pieśni religijnych. Ksiądz Bosko miał wiele pociechy z tych biednych chłopców. Czytamy w jego pamiętniku: *„Wkrótce znalazłem się otoczony przez chłopców, którzy z łatwością słuchali mych poleceń, spieszyli chętnie do pracy, a ja dobre ich sprawowanie się, tak w niedzielę jak i na co dzień mogłem zagwarantować. Wystarczyło dla niektórych jedno spojrzenie, a wracali do swych rodziców, od których uciekli; inny, który oddawał się włóczęgostwu i próżnowaniu, umieszczony u majstra, pracował teraz pilnie, inny po wyjściu z więzienia stawał się wzorem dla towarzyszy, ów znowu całkowicie zaniedbany religijnie pilnie uczył się katechizmu”*. Nie czuł jednak zadowolenia. Pragnął mieć kościół przeznaczony wyłącznie dla swych chłopców, dostatecznie obszerne pomieszczenia, odpowiednie lokale dla szkół, portyki, pawilony kryte dla ochrony przed deszczem i zimnem.

Odczuwał również pewien chłód, z jakim go traktowali niektórzy z przełożonych, dlatego że nie podobały się im te nowości. Jak stwierdza

ks. Giacomelli, chłopcy jego bywali niechętnie tolerowani przez mieszkańców Konwiktu. Jest to zresztą ogólne prawo, że Bóg pozwala istnieć i rozwijać się swym dziełom wśród przeciwności. Zrodziło się ich niebawem wiele. Wszak porządek w Konwikcie wymagał w pewnych godzinach milczenia. Nabożeństwa w kościele bardzo uczęszczanym przez publiczność wymagały spokoju, a jedno i drugie nie dało się pogodzić ze zgiełkiem powodowanym przez tłum rozkrzyczanej młodzieży. Sam Ksiądz Bosko rozumiał potrzebę przeprowadzenia się do innego lokalu, o czym konferował z księdzem Gualą. Ten, pomimo że był przyzwyczajony do życia spokojnego i obijały się o jego uszy wszystkie owe skargi, wszakże doceniał jego poświęcenia i zapowiadające się pomyślnie owoce pracy nad młodzieżą, zachęcał do wytrwania i nie zważania na gadaninę, dawał mu nadto dowody swego szczerego poparcia.

I tak z okazji, jakiegoś święta fundował chłopcom podwieczorek, obecnie zaś gotował inną miłą niespodziankę. Otóż w owym czasie gromada oratorianów składała się z różnych grup rzeźbiarzy, sztukatorów, brukarzy, zwłaszcza murarzy. Z tego powodu pragnął, by obchodzono uroczyste św. Annę jako specjalną Patronkę tej branży zawodowej. W tym celu w dniu św. Anny, po nabożeństwie rannym zaprosił ich wszystkich do siebie na śniadanie i osobiście zaprowadził grupę może ze stu czeladników i terminatorów do wielkiej sali zwanej konferencyjną. Tam wszystkich wspaniale ugościł kawą z mlekiem, czekoladą, ciastem, słodyczami i innymi specjałami tak, że zdawać im się mogło, że są u samego króla. „Och, jakże piękne kazusy moralne widzieliśmy wówczas rozwiązane z tej okazji!” - odezwał się do mnie jeden z przełożonych. „Doprawdy znikły nam w jednej chwili wszelkie poprzednio stawiane trudności na widok doskonałych biskoptów! Można sobie wyobrazić, jakie wrażenie wywołało wśród naszych kolegów opowiadanie o tej uroczystości. Od tego dnia, gdybyśmy mieli dość obszerne lokale, zesłoby się tam chłopców kilka setek. Niemniej wzruszające były wrażenia religijne, jako owoc tej uroczystości. Zdawało się nam, jakby św. Rodzicielka Dostojnej Matki Bożej uśmiechała się do nas w owym dniu, biorąc nas pod swą opiekę. A tak jej wówczas potrzebowaliśmy. Bo któż nie wie, na jak wiele niebezpieczeństw byliśmy narażeni my biedni czeladnicy, zwłaszcza murarze? Od tego czasu nie pamiętam, by któryś z nas został ofiarą jakiegoś nieszczęścia”.

W taki sposób ks. kan. Guala udzielał poparcia Księdzu Bosko, który mimo pewnych nieprzyjemności poświęcał się niezmordowanie dla młodzieży. On, który udzielał mu stypendium od chwili wstąpienia do Konwiktów, mawiał o nim:

Gdy stąd wyjdzie, odda z nawiązką!

To, co opowiedzieliśmy dotąd odnośnie pierwszych kolei Oratorium i pobytu Księdza Bosko w Konwikcie podali nam: ks. Giacomelli, Józef Buzzetti, prof. Gadano, który wiele lat spędził w Konwikcie oraz pan Bargetto bireciarz oddający swe usługi krawieckie w Konwikcie; ten ostatni dodaje, że wszystko, co Ksiądz Bosko miał własnego lub otrzymał od kogoś w prezencie, obracał na dobro i uciechą swych chłopców, nie zatrzymując dla siebie niczego, prócz tego co niezbędne.

ROZDZIAŁ XV

Po ukończeniu kursu pastoralnej i złożeniu egzaminu, Ksiądz Bosko uzyskiwał jurysdykcję do słuchania spowiedzi w czerwcu 1843 r. Korzystając z propozycji ks. Cafasso towarzyszył mu kilkudniowy odpoczynek do willi w Rivatta. Nie po raz to ostatni otrzymywał ten dowód zaufania od niego. Ksiądz Cafasso przez cały dzień wolny od zajęć w Turynie spędzał w swym pokoju studiując swe kazania i oddając się modlitwie, wyjąwszy jakąś godzinkę wieczornego spaceru w pobliskim zagajniku. Ten pobyt w zaciszu wiejskim w towarzystwie tak drogiego sercu przyjaciela i ojca przyniósł Księdzu Bosko nieocenione pokrzepienie dla duszy i ciała.

Inną propozycją, jaką otrzymał od księdza Cafasso było zaproszenie na rekolekcje do św. Ignacego, na to drugie pole jego apostołstwa. Ks. kan. Guala dla ułatwienia dostępu na świętą górę od strony Lanzo, własnym sumptem wybudował dość obszerną serpentynę dla pojazdów długości 7 i pół kilometra. Koszt jej wynosił ponad 100 tys. lir. Ksiądz Bosko podziwiając z dawną przedsiębiorczą i kosztowną inicjatywę swego przełożonego, by udostępnić dla jak największej liczby kapłanów i świeckich udział w rekolekcjach, przyjął chętnie zaproszenie swego profesora udając się z nim na rekolekcje dla świeckich.

W owych czasach rekolekcje udzielane metodą św. Ignacego potrzebowały pewnego ożywienia. Dlatego właśnie ksiądz Cafasso zwerbował do pomocy Księdza Bosko, który od tego czasu nieprzerwanie udzielał się z pomocą w ich prowadzeniu aż do roku 1875. Przez wiele lat odbywał swą wędrówkę tam dotychczas pieszo, wyruszając z Turynu o godz. 3.00 po południu a przybywając na miejsce około godziny 10.00 następnego dnia z rana. Księża: Cafasso, kleryk Golzio i ks. Begliati pozostawiali pełną swobodę dla jego inicjatywy. Pomimo to Ksiądz Bosko zazwyczaj nie przebywał tam z misją kaznodziei, lecz zasiadał w swym konfesjonale i wszyscy pragnęli jego posługi. Nie da się określić rozmiaru dobra działanego w ten sposób dla dusz. W ciągu niniejszej historii wypadnie nam opowiedzieć szereg różnych anegdot, jakie tam się wydarzyły. W czasie rekreacji podchodziły do niego różne osobistości

i w takich właśnie chwilach łowił do swej sieci największe ryby, zdobywając je swym uprzejmym sposobem obejścia się.

Wróciwszy z góry św. Ignacego spędził jesień w Turynie, oddając się spowiadaniu swej młodzieży. W parę tygodni przed uroczystością Matki Bożej Różańcowej udał się do Castelnuovo, który to zwyczaj utrzymał nadal, zwłaszcza odkąd uzyskał pozwolenie na wzniesienie kaplicy pod tym wezwaniem w swej miejscowości rodzinnej.

W czasie, gdy widzimy Księdza Bosko tak gorliwie pracującego nad umoralnianiem młodzieży, na dworze królewskim, tymczasem wrzała praca w zupełnie przeciwnym kierunku. Jawne i sekretne stosunki Karola Alberta z partią liberalną działającą w Turynie oraz w wielu okolicach Włoch i za granicą, umacniały się coraz bardziej. W tym czasie Massimo d'Azeglio drukuje swe patriotyczne romanse, znów Balbo szczery katolik, lecz oddany iluzjom publikuje swą książkę „Le Speranze d'Italia” wysławiając ideę zjednoczenia wszystkich państw włoskich, z wykluczeniem papieża, który z racji na swą Boską misję nie może być niczym poddanym. Wspomniana książka sekundowała znakomicie ideom ks. Wincentego Giobertiego wyrażonym w książce zatytułowanej „Il primato civile e morale degli Italiani”. Wspomniane książki propagowały szeroko nowe aspiracje wolnościowe Włochów.

Ona to narobiła największej wrzawy. W niej pomimo, że roiła się od różnych błędów, znajduje się wiele pochwał o narodzie włoskim, ukłony pod adresem papieża, jego władzy, myśli o Świętach, a przy tym pewne sugestie i podniety do zjednoczenia Włoch, nawiązując do dawnych tradycji, wielkości. Dzieło to zamąciło w umysłach wielu skądinąd wykształconych ludzi, nie wyłączając samego kleru. I tu podnoszono ideę, że zjednoczenie Włoch nie dokona się inaczej jak przez konfederację państw z papieżem na czele.

Lecz wspomniana miłość była tylko fikcją. Ten przyjaciel Mazziniego, pod płaszczykiem religijnym i udanym sztandarem Krzyża torował drogę do rewolucji i aliansu wszystkich nieprzyjaciół Kościoła. Pouczał on, jak można zmylić ślady, by zaś nikogo nie przerażać, użył subtelnej hipokryzji, by szerzyć swe idee nawet wśród kleru. Oto, co pisał do Mazziniego pod datą 13 sierpnia 1843 r., że jego pochwały pod adresem papieża i Kościoła były tylko pokrywką do zawołania jego przekonań.

Należało puścić na wiatr powyższe pochwały, by uzyskać bezpiecznie paszport. Otóż Ksiądz Bosko wróciwszy do Castelnuovo, jak opowiada ksiądz Bonetti, zobaczył na biurku księdza prob. Cinzano tom dzieła „O Prymacie papieskim”. Być może, iż również zacny proboszcz zachwycił się świetnym stylem i ideami religijnymi tej książki. Znał on Giobertiego, gdy jako kleryk na uniwersytecie gromadził wokół siebie wielu studentów seminarzystów, wpajając im teorie republikańskie i liberalno-filozoficzne. A że był zdolny, odczytany, obrotny, pomimo swej nadmiernej ambicji, zdołał zyskać sobie opinię orła wśród kleru podalpejskiego. Również ks. Cinzano łatwowiernie zapatrzony w tym kleryku, korzystającym ze stypendium dworu królewskiego, przymykał oczy na pewne jego wysoki, lecz sprzyjał ideom wolnościowym. Być może nie znał tego, co napisał Gioberti w tygodniku „Giovine Italia”, nazywając katolicyzm „religią służalczości i barbarii”.

Ksiądz Bosko spojrzawszy na książkę rzucił znaczącym wzrokiem na proboszcza. Wszakże wiadomo było, jakie instrukcje wydane były przez naczelników sekt od roku 1820. Gioberti, szermierz haseł „Młodych Włoch” pośród młodzieży wszelkiego pokroju, został uwięziony i skazany na wygnanie w roku 1834. Schroniwszy się w Brukseli wykładał filozofię w pewnym kolegium protestanckim. Nosił się po cywilu, nie odprawiał Mszy św., nie odmawiał brewiarza ani przyjmował Sakramentów św., studiował wiele dzieł literatury wolnomyślniej. To wszystko musiało rzucać podejrzenie na jego doktrynę. Dla przykładu Ksiądz Bosko przewrócił kilka kartek jego książki, przekonując księdza proboszcza, że Gioberti, podobnie jak wszyscy heretycy sięgał do podstaw religii chcąc ją dogłębnie „oczyścić” a nie tylko zreformować.

Pomimo to ks. Cinzano nie połapał się w jego argumentach, kładąc pewne błędy autora na karb jego zacięcia pisarskiego. I tak na niczym kończyły się dysputy zacięte z proboszczem, który grożąc filuternie palcem powtarzał z piemoncka: „D. Bosco! D. Bosco, ti’a ses un sant baloss!”.

Mimo tej różnicy zapatrywań, utrzymywała się przyjaźń między nimi. Poza tym zresztą ksiądz Cinzano bardzo poważał i stosował się do rad Księdza Bosko. Dowodem tego może być fakt następujący: „Pamiętam – pisze Ksiądz Bosko, że proboszcz Castelnuovo niezbyt życzliwie odnosił się do niektórych pobożnych niewiast, które ironicznie nazywał „beatelle” twierdząc, że zabierają tylko czas

księżom swymi długimi spowiedziami, że itd.... Ale za to musiał ponosić konsekwencje, gdyż nikt nie chciał się u niego spowiadać. Za to do wikarego chętnie spieszono. Gdy pewnego razu żalił się na to wobec mnie, przypomniałem mu radę księdza Cafasso, tj. by przemawiał inaczej z ambony, by zachęcał ludzi do częstej spowiedzi dodając, że księża bardzo chętnie wysłuchują ich. Zwłaszcza zaleciłem, by traktował dobrze owe pobożne niewiasty, słuchał ich spowiedzi cierpliwie, zachęcał, by przyprowadziły swoje znajome. Proboszcz później dziękował mi za tę radę, jaką mu dałem, niebawem cała wioska przychodziła do spowiedzi u niego i zwiększyła się znacznie frekwencja komunikujących się”.

Ksiądz Bosko mądrze i przekonująco zabierając głos wobec niektórych utyskujących na zbyt nudne i częste spowiedzi osób pobożnych, otwierał oczy tym, którzy zbyt łatwo poprzestają na pewnych pozorach świątobliwości u swych penitentów. Zdarza się, że przychodzą do spowiedzi pewne osoby świątobliwe, lecz skrupulatne i uparte. Niekiedy chcą one zmienić spowiednika, czemu sprzeciwiał się proboszcz z obawy, że odniosą stąd poważną szkodę. A Święty ze swej strony mawiał: „Jeśli by owe osoby chciały nadal spowiadać się u niego, niech pozwoli na to. Ale zawsze niech się zgadza na innych spowiedników, nawet niech im to ułatwia i doradza zmianę, a gdy powrócą do niego, niech ich spowiada i kieruje żądając posłuszeństwa, a gdyby znów przysłała chęć do zmiany, niech przystaje na to”.

Twierdził, że owe pobożne osoby czynią wiele dobrego w parafii i nie pozwalał, by w jego obecności drwiono sobie z nich. Wszak właśnie owe „beatelle” są często doprawdy ostoją religijności w parafii, a zbywać ich oschłym traktowaniem znaczyłoby to samo, co wyziębienie parafii z pobożności i frekwencji do sakramentów św. One to właśnie są bardzo dbałe o ozdobę Domu Bożego, lecz wrażliwe na pewne skandale, a ofiarne w popieraniu dzieł dobroczynnych, czy religijnych. Prawda, że stają się nieraz trochę przykre z powodu pewnej ignorancji i przesadnej trwożliwości, często jednak są to dusze naprawdę nawet bez winy powszedniej dobrowolnej. A jeśli spotkają spowiednika surowego, tracą do niego zaufanie, dzielą się swymi wrażeniami z przyjaciółkami skarżąc się na doznany zawód, przez co oziębła się pobożność u innych.

ROZDZIAŁ XVI

Ksiądz Guala pozwolił Księdzu Bosko na jeszcze jeden rok pobytu w Konwikcie, na co wyjątkowo pozwalano najwybitniejszym jednostkom w studiach i pobożności. Zatem po nowennie odpustowej w Castelnuovo skwapliwie powrócił Ksiądz Bosko do konwiktu, gdzie powierzono mu urząd pomocniczego wykładowcy oraz korepetytora dla niektórych konwiktatorów słabszych w nauce.

W tymże roku znalazł się również w Konwikcie ks. Giacomelli będący świadkiem, z jaką sumiennością Ksiądz Bosko spełniał obowiązki wykładowcy, pomimo swych rozlicznych zajęć.

Najwięcej oddawał się katechizowaniu chłopców w swym Oratorium, na czym według niego polegać miało ich wychowanie religijne. Miał często w ustach słowa Psalmu: „Wykład słów Twoich oświeca i daje wyrozumienie maluczkiemu” /Ps. 118,130/. Jego zaś katecheza nie była tylko materialnym powtórzeniem pytań i odpowiedzi katechizmowych, ale ilustrował je i uzasadniał cudami i prorocत्वami z ksiąg świętych, na potwierdzenie tego, że przez Boga zostały objawione te prawdy wiary. Bóg również przykazuje, co należy czynić a czego unikać. W taki sposób chłopcy otrzymywali uzasadnienie swej wiary. Rzecz to bardzo ważna, bo z braku wewnętrznego przekonania wiara słabnie, a namiętności z biegiem czasu biorą górę.

Zwłaszcza obszernie tłumaczył młodzieży, jakie są wymagane warunki do godnego przystępowania do Spowiedzi i Komunii św. Był przekonany, że dzięki temu chłopiec dobrze spędzi swą młodość unikając niebezpieczeństw związanych z wiekiem, podczas gdy ten Sakrament jest również ostoją i zbawieniem dla tych, którzy upadli. Dają o tym świadectwo liczne jego przemówienia i pisma na ten temat do młodzieży. Dla przykładu przytaczamy, co pisze on w życiorysie Michała Magone:

„Przede wszystkim zalecam wam starać się wszelkimi siłami unikać grzechu, lecz jeśli przez nieszczęście popadniecie weń, nie dawajcie posłuchu szatanowi, by go zamilczeć na spowiedzi. Pomyślcie, że spowiednikowi dana jest władza odpuszczenia wszystkich grzechów i ich liczb. Z im cięższych grzechów ktoś się spowiada, tym

więcej on się cieszy w sercu, bo wie, że większe jest jeszcze miłosierdzie Boże, które za pośrednictwem jego wam przebacza, aplikując nieskończone zasługi Krwi Przenajdroższej Pana Jezusa, która zdolna jest zmyć wszystkie winy świata. Pamiętajcie, że spowiednik jest ojcem, który gorąco pragnie uczynić wam jak najwięcej dobrego i oddalić od was wszelkie zło. Nie obawiajcie się, że stracie u niego dobrą opinię, lub, że może on komuś wyjawić wasze grzechy. Spowiednikowi nie wolno posługiwać się wiadomością ze spowiedzi, by coś zyskać za cenę nawet własnego życia. Owszem, mogę was zapewnić, że z im większym zaufaniem będziecie się odnosili do niego, tym więcej będzie on was kochał i przez to zdoła udzielić wam tym skuteczniejszych rad dla zbawienia waszej duszy.

Chciałem powiedzieć o tych rzeczach, byście nie pozwolili się oszukiwać szatanowi, krępując się wyjawić jakiś grzech na spowiedzi. Zapewniam was moi drodzy chłopcy, że drży mi ręka na myśl o tym ilu chrześcijan idzie na wieczną zgubę za to, że zataili lub nie dość szczerze wyznali swe winy na spowiedzi! Jeśli kto z was robiąc rachunek sumienia spostrzeże jakiś grzech dobrowolnie opuszczony, względnie miałibyście wątpliwość o ważności spowiedzi, chcę mu powiedzieć: Drogi przyjacielu, dla miłości Zbawiciela i Jego Krwi Przenajdroższej, którą wylał za nas, proszę cię, uporządkuj sprawy swego sumienia przy najbliższej spowiedzi szczerze wyznając wszystko, co cię niepokoi, jak byś się znajdował przy końcu życia. Jeśli nie wiesz, jak się wyrazić, powiedz spowiednikowi, że masz coś, co ci sprawia niepokój z przeszłego życia. Spowiednik już ci dopomoże i możesz być spokojny, że wszystko będzie załatwione.

Spowiadajcie się często u własnego spowiednika, módlcie się za niego, słuchajcie jego rad. Gdy zaś dokonacie wyboru spowiednika, którego uznacie odpowiednim dla waszych potrzeb duchownych nie zmieniajcie go bez potrzeby. Gdy nie będziecie mieć stałego spowiednika, do którego macie zaufanie, będzie wam brakować prawdziwego przyjaciela duszy. Ufajcie też modlitwom spowiednika, który we Mszy św. poleca Bogu swych penitentów, by zawsze odprawiali dobrze spowiedź i wytrwali w dobrym, wy także módlcie się za niego. Możecie bez skrupułu zmienić spowiednika, gdy wy lub on zmieniacie miejsce pobytu i trudno byłoby udać się do niego z powodu odległości, lub gdyby był chory, czy bardzo spracowany z powodu wielkiego natłoku. Również gdybyście mieli jakiś niepokój w duszy, którego nie

śmielibyście wyjawić zwyczajnemu spowiednikowi, wówczas zamiast spowiedzi świętokradzkiej zmieńcie nie raz a tysiąc razy spowiednika.

Do tego, kogo Opatrzność Boska przeznaczyła do słuchania spowiedzi młodzieży, kieruję następujące słowa:

1. Przyjmować łaskawie wszelkiego rodzaju penitentów, zwłaszcza chłopców. Pomóżcie im przedstawić stan ich sumienia należycie, by często się spowiadali. To jest środek najważniejszy by trzymać ich z dala od grzechu. Postarajcie się wpłynąć na nich, by stosowali się do waszych rad w celu uniknięcia ponownych upadków. Poprawiajcie ich z dobrocią, lecz nie besztajcie nigdy, inaczej nie przyjdą do was więcej lub zamilczą to, za co ich surowo zganiliście.

2. Gdy pozyskacie ich zaufanie, dyskretnie dowiedzcie się czy poprzednie ich spowiedzi były dobre. Na ogół wszyscy moralisci, znawcy dusz młodzieńczych, wychowawcy twierdzą, że zazwyczaj pierwsze spowiedzi młodzieży, jeśli nie są złe, to, co najmniej niezupełne z braku odpowiedniego pouczenia, lub z powodu opuszczenia tego, co należało wyjawić. Wezwać chłopca by zrobił dobry rachunek sumienia, szczególnie od sześciu do dwunastu lat życia. W takim wieku już się wie o pewnych rzeczach, które są grzechem ciężkim, ale niewiele zwraca się na to uwagi, względnie nie wie się jak to wyznać na spowiedzi. Spowiednik niech postępuje z wielką roztropnością i delikatnością, lecz niech nie zaniedbuje odpowiednich pytań odnośnie św. cnoty skromności.

Chciałbym poruszyć wiele rzeczy dotyczących tej sprawy, lecz zamilczam, gdyż nie jestem mistrzem, a tylko skromnym uczniem. Powiedziałem parę słów, które wydawały mi się pożyteczne dla młodzieży, dla której dobra chcę poświęcić całe me życie”.

A w pamiętniku, napisanym dla Salezjanów w 1845 r. tak się wyraża: „Gdy kogoś poproszę do spowiedzi, niech się udziela chętnie, nie okazuje się surowym, czy niecierpliwym względem penitentów. Chłopców ujmuje się słodyczą i wielką uprzejmością. Nie należy się obruszać, ani dziwić czyjejś niewiedzy lub tego, co się wyjawia na spowiedzi. Gdy trzeba kogoś pouczyć, zrobić to w odpowiednim czasie i miejscu, lecz prywatnie. Zazwyczaj w spowiedziach młodzieży odkrywa się braki, co do żalu i mocnego postanowienia poprawy. Gdy zauważył brak jednego lub drugiego z powodu niewiedzy, polecić uzupełnić to przez uczęszczanie na katechizm, czy kazać

przeczytać z katechizmu, jeśli ktoś umie czytać i rozumie dobrze co czyta. W razie wątpliwości, czy jest w ogóle materia ważna, można im wprost udzielić tylko błogosławieństwa”.

Ksiądz Bosko we wspomnianym pamiętniku podaje niektóre normy, by z pożytkiem pracować wśród młodzieży, są one wyrazem jego wielkiego doświadczenia. Jest rzeczą nader ważną oraz pożyteczną dla młodzieży – mówi on – żeby nikt nie odszedł od nas niezadowolony. Natomiast trzeba zawsze czymś dziecko obdarować, coś obiecać, zachęcić życzliwym słówkiem, by przyszło znów do nas. Wypada zawsze dotrzymywać obietnic danych dzieciom, a przynajmniej wytłumaczyć się dlaczego nie zostały spełnione.

„By upominać z pożytkiem, nie należy nigdy tego czynić wobec innych”.

„Staraj się by cię kochano, a uzyskasz z łatwością posłuch. Nie będziesz nigdy zbyt surowy w rzeczach dotyczących zachowania moralności”.

Wszystko powyższe było skutkiem jego wielkiej miłości względem Boga, tej miłości, która rozlewała się wszędzie w sposób tak budujący – na przykład, gdy udzielał Sakramentów św. towarzyszyła ona jego krokom wśród chłopców oraz jego częstym upomnieniom, by ustrzec ich od obrazy Bożej i zachęcić do dobrego.

ROZDZIAŁ XVII

Rady, jakich udzielał Ksiądz Bosko wychowawcom i spowiednikom sam doskonale praktykował. Niezmierne dobro, jakie działał swą posługą kapłańską tłumaczy się tym, że odnosił wszystko do Boga jako ostatecznego celu jego życia kapłańskiego. Sam pokładając głęboką ufność w zasługi Zbawiciela, spodziewał się mocno bez cienia zuchwalstwa, dostąpić wiecznego zbawienia wiedząc, że dobroć Boża udzieli mu ze swej strony przebaczenia grzechów oraz środków koniecznych do własnego uświęcenia oraz łaski wytrwania końcowego.

„W ciągu 35 lat mego współżycia z nim – stwierdza ks. Cagliero – nie zauważyłem cienia obawy lub zwątpienia, nie widziałem, by się niepokoił, co do miłosierdzia Bożego względem niego. Nie ulegał skrupułom, mówił o Niebie z taką żywością i wylaniem serca, iż rozpalał ducha tych, co go słuchali i było widoczne, że nadzieja osiągnięcia dóbr wiekuistych płoszyła wszelką obawę przed śmiercią. Mówił jak syn o domu ojcowskim, a pragnienie widzenia i posiadania Boga rozpalało go bardziej niż nagroda wieczna obiecana i zachęcał się słowami Pawła: „Jesteśmy synami Boga, a jeśli synami to i dziedzicami, współdziedzicami Bożymi i Chrystusowymi” /Rzym 8,17/.

„Gdyby ktoś – stwierdza ks. Askaniusz Savio – spytał go nagle: „**Księżu Bosko dokąd idziemy?** – bez wahania odpowiedziałby – **Do nieba!**”.

Tą zaś ufnością nie tylko sam żył, lecz i młodzież i najbliższe otoczenie, których tak często w sposób uprzejmy podnosił na duchu. Powtarzał często:

„Och, jak nam przyjemnie będzie, gdy wszyscy znajdziemy się w niebie! Bądźcie tylko cnotliwi, a nie obawiajcie się niczego! Cóż, myślicie, że Pan Bóg stworzył Raj, aby był próżny? Pamiętajcie jednak, że Niebo kosztuje wysiłki. O tak zbawimy się, dzięki łasce Boga i Jego pomocy, której nam nigdy nie zabraknie. Deus omnes homines vult salvos fieri /Tim. 2,4/ - mówi św. Paweł. Gdy rozumiecie to słowo łacińskie vult – Pan Bóg chce. Bóg nie kłamie, nie oszukuje! Omnes, wszystkich chce zbawić. Ze swej strony On nie zawiedzie nigdy. Starajmy się tylko my sami nie zawieść. Módlmy się, gdyż modlitwa zanoszona w tej intencji jest nieomyślnie skuteczna i może to wyblagać. Wiara nam mówi, że otrzymamy, to o co poprosimy”.

Słyszając te słowa, młodzież była podniesiona na duchu i zachęcona, by stać się cnotliwą i osiągnąć niebo. Jeśli któryś go pytał:

A czy ja się zbawię? – odpowiadał:

Dopiero chciałbym wiedzieć, żebyś ty szedł do piekła! Co, nie mamy być zawsze razem w niebie? Czyń, co możesz i ufaj w miłosierdzie Boże, które jest nieskończone! Bądźcie pewni synowie, wiecznego zbawienia, byleście odpowiadali łasce Boga, której On nigdy wam nie poskąpi.

Temu, kto zbyt się trapił i obawiał z racji swych grzechów odpowiadał:

Jezus Chrystus umarł za grzechy nasze. On sam powiedział, że przyszedł na świat, by uleczyć chorych, szukać i zbawiać owce zgubione. Najświętsza Panna słusznie nazywa się Ucieczką grzeszników. Czyńmy, więc to co do nas należy, uciekajmy się do Niej, ufajmy Jej, a będziemy zbawieni.

Zachęcał również do ufności w zasługi tej naszej Matki Niebieskiej i Świętych Pańskich.

Dzięki tej ufności i nadziei stawał się zdatnym narzędziem w ręku miłosiernego Boga. Dla niego, bowiem nadzieja, miłosierdzie, spowiedź – to były synonimy. Miał wielką wiarę w Sakrament Pokuty i przy każdej sposobności, w czas i nie w czas do niego zachęcał. Także w konwersacji z ludźmi świeckimi umiał w sposób uprzejmy wtrącić sugestię, by uporządkowali sprawy sumienia. U niego trudno było przemawiać kilka dni z rzędu do tego samego audytorium, by nie napomknąć o dobrej spowiedzi i to częściej. W kazaniach, konferencjach, przemówieniach do młodzieży, zawsze wracał do tego przedmiotu. Zawsze podsuwał myśl o Raju i dawał wyraz obawie, że mógłby ktoś zejść z prawej drogi.

Pracował do wyczerpania sił nad zbawieniem grzeszników, zwłaszcza przez słuchanie spowiedzi. To też, jak sam pisze, gdy któryś z zatwardziałych grzeszników umierał, wzywano Księdza Bosko ufając, że tylko on zdoła nawrócić tego nieszczęśliwca.

Potwierdzał własnym przykładem, czego nauczał: spowiadał się, co tydzień i to publicznie w kościele i przez przygotowanie i dziękczynienie pokazywał jak wielki akt odprawiał, ustanowiony przez samego Chrystusa. W każdej sprawie odwzorowywał w sobie ten Boski wzór, który najpierw sam czynił, nim począł nauczać innych.

Przypatrzmy się jego pracy kapłańskiej. W tym czasie zaczął miewać kazania w kościołach turyńskich i prowadzić rekolekcje. Kazania jego rozwijały zazwyczaj jakiś tekst z Pisma św., z uwzględnieniem strony dogmatycznej i moralnej, z dodaniem odpowiedniego przykładu dobrze opracowanego i zastosowanego. Regularnie spowiadał w kościele św. Franciszka z Asyżu. Wśród jego penitentów było wielu kolegów z Konwiktu, między innymi ks. Giacomelli, który go wybrał sobie na kierownika duchowego. Stwierdzał on, że Ksiądz Bosko od razu zyskał sobie wielką wziętość tak, że konfesjonał jego był obleżony. Kiedykolwiek został zawołany, udzielał się ochotnie, nie wymawiając się zajęciem czy zmęczeniem, z wyjątkiem lekcji katechizmu. Traktował wszystkich na równi, nawet prostaczków, czy wyższych od siebie godnością lub wiekiem. Gdy ktoś w zakrystii prosił o spowiedź, z jednego wejrzenia orientował się czy będzie miał wiele do roboty mówiąc z uśmiechem:

Mój panie nie chciałbym tracić daremnie czasu, im ważniejsze będą sprawy, tym lepiej, bo z małymi nie opłaca się..., Klienci ujęci z miejsca odpowiadali:

Bez wątpienia, będzie Ksiądz zadowolony. On zaś:

Doskonale z przyjaciółmi łatwo się porozumieć.

Im bardziej było zawikłane czyjeś sumienie, tym więcej cieszył się widząc pole działania dla miłosierdzia Bożego. Do niego samego można było zastosować, co pisał o księdzu Cafasso: „Niewiele słów, z samego westchnienia penitenta poznawał stan jego duszy. Nie tracił wiele słów, lecz w paru zdaniach zamykał treść stosownym pouczeniem dla danej duszy”.

Zwykł mawiać, iż w niecałej półgodzinie załatwiłby spowiedź generalną. Spowiadał szybko tak, że w paru godzinach setki penitentów odchodziło uszczęśliwionych. Czasem jednak musiał zażywać jakiegoś gorzkiego płynu dla złagodzenia nudności żołądkowych, przez słuchanie pewnej klasy penitentów.

Odczuwał instynktownie wstrętny odór grzechu nieczystego, nim go jeszcze penitent wyznał. Czasem uprzejmie dawał znać, by poszedł do innego spowiednika. Lecz gdy nastawał, pragnąc się u niego wyspowiadać, zgadzał się, choć sprawiało mu to niewymowne tortury. Miało to miejsce szczególnie w wypadku pewnych lekkoduchów, którzy jakby się przechwalali ze swych grzechów. Powodowany wstrętem do tego rodzaju grzechów nie pytał o szczegóły, domagał się tylko unikania

okazji, wskazywał pewne środki zaradcze przeciw ponownym upadkom i na tym koniec.

Biskup Cagliero twierdził, że Księdzu Bosko w jego 68 roku życia, jakoby nieznane były pewne grzechy. Od dzieciństwa, bowiem czuł niewymowny wstręt i nienawiść do wszystkiego, co w jakiegokolwiek choćby najmniejszej mierze mogło urazić anielską cnotę. Słyszeliśmy o tym niejednokrotnie z jego własnych ust. Z tego, więc, co się powiedziało, można wnosić, że od pierwszych kroków kapłaństwa kierował się światłem nadziemskim.

Praca jego nie ograniczała się tylko do kościoła św. Franciszka z Asyżu. Ksiądz Cafasso posyłał go niejednokrotnie ze Mszą św. i kazaniem do więzień, do klasztorów i zakładów dobroczynnych w mieście, gdzie miewał konferencje, katechizował i dawał lekcje języka włoskiego dziewczętom w schronisku Córek Różańcowych, założonym przez O. Sapelli Dominikanina, gdzie Tercjarki św. Dominika opiekowały się wielką liczbą dziewcząt zaniedbanych moralnie. Również odwiedzał klasztor Sióstr Pasterek pochodzących z Francji, otwarty w roku 1843, gdzie zakonnice poświęcały się wychowaniu dziewcząt upadłych oraz roztaczały nadzór nad narażonymi na niebezpieczeństwa ulicy. Prowadząc pensjonat dla dziewczynek, odwdzięczały się mu przyjmując pod opiekę wiele sióstr jego oratorianów, które inaczej byłyby pozbawione opieki i wszelkiego oparcia. W tych i wielu innych instytucjach poświęcał się pracy nie tylko w ciągu dnia, lecz nieraz do późnych godzin oczywiście za wiedzą księdza Cafasso. Tego rodzaju apostołat prowadził w mieście gdzieś aż do roku 1860, zostawiając wszędzie jak najmiłsze wspomnienia swej kapłańskiej gorliwości i roztropności, jak o tym zapewniał ks. Cagliero, któremu wypadło zastępować go w wielu placówkach w kierownictwie duchowym.

Ks. Cafasso posyłał go również do Szpitala Miłosierdzia liczącego przeszło tysiąc starców i staruszek, chłopców i dziewcząt, do szpitala św. Maurycego i Łazarza oraz pod wezwaniem św. Alojzego szpitala dla nieuleczalnie chorych; wszystkie pozostawały pod kierownictwem Sióstr św. Wincentego, o nieco odmiennym kolorze habitu niż Siostry Szarytki. Prócz tego chodził spowiadać i głosił kazania w największym Szpitalu św. Jana, gdzie wybitnie współdziałały z nim w duszpasterstwie nad chorymi Siostry Szarytki, wiele z nich ze szczodrością nieograniczoną wprost przyjmowało na koszt własny chłopców, wyjednując dla nich

wsparcie u osób zamożnych. Nie możemy pominąć milczeniem tego, iż wiele zakładów Księdza Bosko na całym świecie było związanych z Konferencjami św. Wincentego a Paulo.

Poza tym Ksiądz Bosko udawał się na zaproszenie imienne do chorych, gdy jego obecność była niezbędna w ich ostatnich chwilach życia. Nieraz nawet nieproszony zjawiał się przy łożu umierającego, nieprzygotowanego na śmierć. Nie powstrzymywały go od tego obawy narażenia się, jak stwierdza ks. Rua; tak kontynuował aż do roku 1870.

W tym wszystkim nie zapominał i o Małym Domu Opatrzności, dokąd często zapraszał go czcigodny ks. Cottolengo. Tam, pomimo że był jeszcze młodym kapłanem, wielu chorych pragnęło przed nim się spowiadać i pojednać z Bogiem. Zdarzało się, że wracał do Konwiktu o późnej porze, gdy już było po Różańcu.

Czasem ks. Guala nawet wiedząc o zezwoleniu, spotkawszy Księdza Bosko wyrażał pewne niezadowolenie:

Proszę przychodzić do domu o godzinie oznaczonej! A Ksiądz Bosko połykając tę pigułkę odpowiadał pokornie:

Ach, ileż było roboty u Cottolengo. A ksiądz Guala znów swoje:

Proszę trzymać się porządku dziennego, coś więcej ponad to będzie Ksiądz robił w swoim czasie!

Zdaje się jednak, że rektor postępował w taki sposób, by wypróbować cnotę swego konwiktora. To też pozwolił mu spełniać swe zajęcie parę razy w tygodniu z korzyścią dla dusz. Ksiądz Bosko zaś dawał dowody naprawdę heroicznej cnoty kapłańskiej. Nie opuścił owych przytułków nędzy i słabości, gdzie także znaczna liczba jego oratorianów znalazła troskliwą opiekę, aż do roku 1874.

Okolo roku 1845 wybuchła epidemia tyfusu plamistego. Wówczas odwiedzając biedaków sam nabawił się tej choroby zakaźnej, której ślady pozostały mu na całe życie, jak stwierdzał ks. Rua. A ksiądz Sala, który po śmierci obmywał jego ciało, widział, że było ono w stanie budzącym litość, całe plecy pokryte były liszajem stanowiącym jedną wielką skorupę. Starczyło to za najdotkliwszą włóśnicę i świadczyło o wielkim zamiłowaniu pokuty.

ROZDZIAŁ XVIII

W czasie wykonywania kapłańskiej posługi zdarzały się niektóre fakty zasługujące na wzmiankę. Otóż w roku 1844 była w szpitalu św. Jana pewna niewiasta chora na gruźlicę, w ostatnim stadium. Życie jej było doprawdy godne pożałowania i można było obawiać się smutnego końca. Młodość przetrwała na miłostkach, brnęła w występki, wyrządziła wiele szkód bliźnim na majątku a od lat w ogóle nie uczęszczała do Sakramentów św., uparcie odmawiała wyświadczenia się rektorowi szpitala, kapelanom, zakonnikom, słowem wszystkim, którym zależało na zbawieniu jej duszy. Znieważyla nawet samego ks. Cafasso rzucając w niego jakimś naczyniem. Ten święty kapłan dowiedziawszy się od lekarzy, że pozostało już niewiele dni jej do życia bolał nad tym, że w takim stanie przeszłaby do wieczności. Wróciwszy do domu zaproponował Księdzu Bosko:

Niech no Ksiądz spróbuje pojednać ją z Bogiem.

Święty poszedł niezwłocznie do szpitala. Wszedłszy na salę zatrzymał się rozmawiając z leżącymi obok chorymi. Na pozór udawał, że się nią wcale nie interesuje. Biedna gruźliczka zareagowała gwałtownie na to:

A do mnie Ksiądz nie przyjdzie?

Ależ bardzo chętnie – odrzekł Ksiądz Bosko i przystawiwszy krzesło siadł obok niej. No, jak się pani czuje?

Ach, proszę mi powiedziec coś pocieszającego.

Tak, chciałbym pani powiedziec jedno słówko.

Cóż takiego?

Spowiedź.

Ech, spowiedź! Już od dawna nie spowiadałam się.

Otóż właśnie, trzeba teraz się wyświadczyć.

Cóż, widzi Ksiądz, dziś rano przeszedł do mnie jakiś ksiądz chcąc mnie wyświadczyć, lecz potraktowałam go źle i odszedł.

No, nie mówmy teraz o tym. Proszę uspokoić swe sumienie i wyznać swe grzechy. Deus sit in corde tuo...

Ależ ja nie jestem przygotowana do spowiedzi.

Właśnie dlatego, że nie jesteście przygotowana, udzieliłem wam błogosławieństwa, byście się przygotowali.

Proszę Księdza, nie czuję się..., gdy wyzdrowieję, pójdę do spowiedzi do jakiegoś kościoła w Turynie... względnie, gdy będę mogła, w kaplicy szpitalnej.

Czy pani sądzi, że jeszcze wyzdrowieje?

Czuję się obecnie lepiej...

A może to tylko złudzenie?

Jak Ksiądz mówi?

Czy pani chce bym z nią rozmawiał jak lekarz, czy jak kapłan?

Jak kapłan.

Otóż w imieniu Boga mówię pani, że On w swym miłosierdziu udziela pani jeszcze parę godzin czasu, by móc pomyśleć o zbawieniu swej duszy. Jest obecnie godzina czwarta po południu, ma pani czas wyspowiadać się, przyjmując Wiatyk, Namaszczenie i błogosławieństwo Ojca św. Nie trzeba się łudzić... Jutro już będzie pani w wieczności.

Doprawdy? Chyba to niemożliwe!

Mówię pani, że przemawiam nie w imieniu ludzi, lecz w imieniu Boga.

Wieczność!... wieczność! Och, co za straszne słowo! Boję się...

Zacznijmy, więc, dopomogę pani...

Ach, ten kapłan znieważony! To mi nie daje spokoju...

Niech się pani uspokoi. Znam tego kapłana i proszę mnie zostawić tę sprawę.

Owa osoba wyspowiadała się i zaopatrzona na śmierć, tej samej nocy zmarła.

Pewnego razu Ksiądz Bosko przybył w odwiedziny do chorego swego przyjaciela w podeszłym wieku, o którym miał jakieś niespokojne przecucie. Ów pan przez długie lata popierał wiele dobrotliwych dzieł tak, że powszechnie go uważano za wielce świątobliwego. Od lat studenckich znali się dobrze. Tak Święty stanął w mieszkaniu chorego, dowiadując się, że został zaopatrzony Sakramentami św. i że czuje się bardzo wyczerpany. Prosił, by go zaprowadzono do chorego. Odpowiedziano mu, że lekarz zabronił odwiedzin. Ksiądz Bosko nastawał.

Ależ chory jest prawie nieprzytomny i niepotrzebna mu żadna wizyta – odpowiedziano.

Święty znalazł takie argumenty, że wreszcie go wpuszczono do pokoju chorego. Zbliżył się do łóżka i zawołał do niego po imieniu. Słowa jego wywarły magiczny skutek. Chory otworzył oczy i poznawszy Księdza Bosko rzecze:

Och, jesteś tu Bosko!

Tak, dowiedziałem się o twojej chorobie i pospieszyłem tu.

Dziękuję ci serdecznie!

No, ale jak z tobą?

Źle, bardzo źle...

Powiedziano mi, że przyjąłeś Sakramenty św.

Tak przyjąłem je..., przy tych słowach objawiał nurtujący go niepokój.

No, więc, dzięki Bogu, że sprawy sumienia już załatwione. Po tak długim życiu spędzonym na chwałę Bożą, można być, sędzę, spokojnym.

Biedny staruszek westchnął głęboko, potoczył dokoła wzrokiem i rzecze:

Bosko!

Cóż, mój kochany?

Czy nie ma tu nikogo w pokoju?

Jesteśmy sami. Może tak myślał Ksiądz Bosko, lecz w istocie było inaczej. Za kotarą podsłuchiwała ich rozmowę pewna osoba. Po latach czterdziestu opowiedziała nam o wszystkim zamilczając bliższe osobiste szczegóły. Starzec podjął:

Powiedz mi, czy już masz jurysdykcję do spowiadania?

Tak, otrzymałem ją, w takich jednak okolicznościach, każdemu kapłanowi wolno wysłuchać spowiedzi i udzielić absencji, choćby nie miał jeszcze jurysdykcji.

Ach, drogi Bosko! Pragnąłbym zwierzyć ci się ze wszystkiego, wybac mi ze względu na moje słabości i nie zgań mnie... chcę ci się zwierzyć z pewnego sekretu.

Proszę mówić swobodnie, wiesz jak cię szczerze kocham.

Dobrze. Otóż od młodości miałem nieszczęście zgrzeszyć ciężko i od tego czasu nie śmiałem nigdy grzechu tego wyznać na spowiedzi. Wszystkie moje spowiedzi, komunie były świętokradzkie. Obawiałem się, że stracę szacunek u spowiednika.

A obecnie, czy na ostatniej spowiedzi wyznałeś go?

Niestety, zamilczałem! Ach, dopomóż mi!

Dobrze, bardzo chętnie, miej tylko ufność w Bożym Miłosierdziu!

Staruszek wyspowiadał się szczerze z wielkim żalem. Ksiądz Bosko udzielił mu absencji. Otrzymałszy ją chory wznosił ręce i zawołał rozpromieniony:

Niech będzie błogosławione nieskończone Miłosierdzie Boże! To rzekłszy znieruchomiał i opadł na poduszki. Nastąpił zgon natychmiastowy.

A oto inny przykład. 31 sierpnia 1844 r., małżonka ambasadora portugalskiego miała z Turynu wyjechać do miasta Chieri dla załatwienia pewnych spraw. Jako dobra katoliczka chciała jeszcze się wyspowiadać i pomodlić. Z rana wstąpiła, więc do kościoła św. Franciszka z Asyżu. Nie знаła wcale Księdza Bosko, przyszła skromnie ubrana i niezauważona podeszła do konfesjonału Księdza Bosko. Nie znajdując swego zwykłego spowiednika, a widząc w konfesjonale młodego kapłana klęczącego pobożnie i odmawiającego brewiarz, poprosiła o spowiedź. Ten po wysłuchaniu jej spowiedzi zadał za pokutę jakąś drobną jałmużnę.

Ojcze nie mogę jej spełnić – odrzekła.

Jak to? Pani nie może dać jałmużny mając tak wielkie bogactwa?

Owa osoba zdumiona, skąd mógł spowiednik znać jej sytuację materialną odrzekła:

Ojcze, nie mogę dać dziś jałmużny, bo wyjeżdżam z Turynu.

Dobrze, w takim razie proszę uczynić, co innego, zmówić trzy razy modlitwę: „Aniele Boży...” prosząc o opiekę w pewnej niebezpiecznej przygodzie.

Jeszcze bardziej zdumiona przyjęła chętnie nałożoną pokutę i wróciwszy do domu, odmówiła ze służącą tę modlitwę o szczęśliwą podróż. Wsiadłszy do powozu z córką i służącą odbywały spokojnie podróż dyliżansem, gdy nagle w połowie drogi konie się spłoszyły i poniosły. Woźnica mimo wysiłków nie mógł ich zahamować. Powstał lament w powozie, drzwiczki się otwarły, powóz wpadł na piaszczystą wydnię, przechylił się i przewrócił wysypując podróżnych. Stało się to wszystko w okamgnieniu. Owa pani w niebezpieczeństwie westchnęła do Anioła Stróża o pomoc. I to ją ocaliło. W tej chwili konie się uspokoiły, woźnica opanował sytuację, nadbiegli ludzie okoliczni z ratunkiem. Owa pani wyszła z tej przygody bez szwanku, wraz z córką. Jednomyślnie wzniosły gorącą modlitwę dziękczynną za ocalenie. Do najbliższej stacji podróży doszli pieszo, podczas gdy stangret przy pomocy ludzi zdołał doprowadzić do porządku pojazd i przyjechać do Chieri.

Zapewne po owej przygodzie przepowiedzianej przez Księdza Bosko, owa pani chciała go bliżej poznać. W przyszłości zostanie dobrodziejką Oratorium. Jej darem była kryształowa waza z figurką woskową św. Filipa Nereusza, znajdującą się w pokoju Księdza Bosko, na podobieństwo czczony w Rzymie statuy Świętego w kościele Santa Maria in Valicelle.

ROZDZIAŁ XIX

Apostołować wśród więźniów to rzecz niełatwa i w praktyce napotykająca na wiele trudności. Nie wszyscy nadają się do tego rodzaju pracy i nie mają na tyle odwagi, by zapuszczać się w te jaskinie występku i kary, a także spotykać w tak odrażającym towarzystwie. Potrzeba do tego naprawdę bohaterskiej cnoty, wiedzy, a nade wszystko roztropności, by sprostać tak wielu wyłaniającym się problemom moralnym. Wielu spróbowawszy tej niewdzięcznej pracy rychło się z niej wycofywało. Dodać trzeba, że władze więzienne niezbyt łatwo udzielały zezwoleń na częstsze odwiedzanie więźniów, chyba tylko w drodze niezwyklej łaski. Biorąc to wszystko pod uwagę, w czasach, o których mowa, można by policzyć na palcach apostołów więzień turyńskich, do których zaliczał się Ksiądz Bosko.

Rzec można, że cały czas wolny, którym dysponował obracał na odwiedzanie młodocianych więźniów. Głosił im rekolekcje. Co sobota udawał się tam z kieszeniami pełnymi słodyczy i bułek. Szczególnie miał na oku nieszczęśliwych chłopców, którzy się tam dostali. Tych starał się sobie pozyskać, by po odsiedzeniu kary przychodzili do jego Oratorium. Nie zaniedbywał oczywiście także dorosłych. Odwiedzał jeden po drugim oddziały więzienne. W owych czasach więźniowie nie przebywali w osobnych celach, lecz byli stłoczeni w jednym pomieszczeniu po 25-30 naraz, za całe umeblowanie mając tylko nędzny barłóg ze słomy. Spotykali się wspólnie zarówno świeżo przybyli jak i recydywiści, którzy stawali się nauczycielami tych, co jeszcze nie znali pewnych występków bardziej wyrafinowanych i tak swą brutalnością i przewrotnością tłumili głos sumienia i dobre ziarno, które swym słowem zasiał kapłan. Najbardziej zepsuci najstarsi, chełpili się publicznie z dokonanych przestępstw, a im bardziej, który cięższą odsiadywał karę, tym sobie przypisywał większy tytuł do chwały. Ostatnim ich argumentem wobec przeciwników było zawsze: „Mnie chcecie uczyć starego galernika?”.

Od pierwszego pojawienia się wśród nich Ksiądz Bosko, którego nie znali, był przyjmowany z pogardą, przekleństwem i obraźliwymi wyzwiskami. Nieszczęśliwi ci pogrążeni w swym bestialstwie nie znieśliby bezkarnie upomnień, tym bardziej

karcenia, dlatego Święty panując nad swymi odruchami, odpowiadał spokojnie i z uśmiechem, nawet, gdy jego dobroć spotykała się z ich strony z podłością i groźbami. Kierując się roztropnością wiedział, że chcąc osiągnąć cel trzeba na razie poprzestać na krótkich wizytach. Przemawiał do nich z miłością, zwracał się do najstarszych z nich, tytułując „signore”, okazywał im wiele współczucia i wyrozumienia dla ich cierpień, starał się rozweselać jakimś uprzejmym żartem, a ponieważ miłość zaczyna się od żołądka, rozdawał im żywność, pieniądze i inne rzeczy. Ta jego niewyczerpana dobroć i cierpliwość powoli ich obłaskawiała.

Miłość niebawem miała święcić całkowity triumf. Wielu z nich doprawdy nie zaznało nigdy dobrego słowa od nikogo. Wyrzuceni poza nawias społeczeństwa, pokarani wyrokiem sprawiedliwości, zdradzeni przez własnych współników, upodleni przed całym światem, pomniejszeni we własnych oczach, nie mając znikąd pomocy by powstać, szalejąc z furii z powodu odebranej im wolności ziali nienawiścią do otoczenia. Z tego rodzaju ludźmi nie na wiele zdadzą się wszelkie argumenty, odpowiadają na wszystko wzruszeniem ramion, złorzeczeniem, przekleństwami. Tylko szczerą miłość rodząca się z czynów, nie słów, połączona z ofiarą, zdolna jest trafić do takiego serca. Gdy przekonają się, że kapłan nie powoduje się żadnym interesem w ich odwiedzaniu, że nie szuka, czego innego prócz ich dobra, że mówiąc o miłości bliźniego nie kłamie, wówczas naprawdę są tym poruszeni, rodzi się w ich sercu uczucie wdzięczności, a czując, że są naprawdę kochani odpowiadają wtedy miłością. „Cóż za interes – myślą sobie – może mieć ten kapłan, że do nas tak często przychodzi? Widocznie boska musi być ta religia, która nim powoduje i której nas naucza”.

Prócz tego te dzikie dusze nie są zdolne od razu wznieść się na wyżyny nadprzyrodzoności. Dlatego należy ich prowadzić krok za krokiem łatwymi stopniami, wskazywać, że ich występki sprowadzają cierpienia doczesne i że z cnoty rodzi się wiele korzyści na tej ziemi.

W taki sposób postępował Ksiądz Bosko z więźniami, a dopiero, gdy ich sobie ujął, pomału doprowadził do tego, że chcąc mu sprawić przyjemność, robili wiele rzeczy, których na pewno by nie uczynili, gdyby się ich żądało jako ścisły obowiązek. Każdy z nich czuł się doprawdy wzruszony na widok tego, że był kochany przez kapłana uważanego za świętego. W taki sposób Ksiądz Bosko pociągał ich do Boga,

dobrego Ojca będącego zawsze przy ich boku i pomagającego im, podczas gdy ludzie, na których liczyli, opuścili ich. W ten sposób zyskał tak wielki wpływ na nich, że na sam widok kapłana okazywali wielką radość.

Stopniowo Ksiądz Bosko pouczał ich o prawdach wiary katolickiej. Ożywiał swe pogadanki ciekawymi przykładami, opowiadaniem na wzór przypowieści ewangelicznych, które zastosowane w taki sposób do ich warunków życia rzucały jasny promień światła w ich mroczne dusze. Wplatał też zawsze jakiś przykład z Pisma św., czy historii kościelnej, w ten sposób coraz miłsze wydawały im się jego pogadanki. Przez to więźniowie łatwiej pojmowali i przyswajali sobie prawdy katechizmowe i nabierali głębokiego przekonania o prawdach wiary św. Dzięki temu u najbardziej opornych topniały lody uprzedzeń, otwierali się na głos łaski i sposobili do dobrej spowiedzi.

Cała ta jednak praca nie szła systematycznie jak u turysty przemierzającego krok za krokiem wytyczoną trasą. Czasem urywała się i trzeba było zaczynać na nowo. Z napływem nowych więźniów zło odrastało. Władze więzienne musiały stosować represje za bójki między nimi, surowsze niż dawniej wyroki, zdawały się niweczyć nadzieję kapłana, który mimo to z niewzruszonym spokojem podejmował swe wysiłki. Modlił się sam i polecał modlitwom różnych dobroczynnych zakładów i osób, u których sprawował posługę kapłańską.

„Wszystko mogę w tym, który mnie umacnia” – mógł powiedzieć za św. Pawłem /Flp 4,13/. Zdawał swe wysiłki, katechizację, zachęty i upomnienia, pomimo że czasem nie chcieli go słuchać. Nie tracił nigdy z oczu ich duszy przeznaczonej do chwały wiekuistej, którą należało za wszelką cenę zbawić. Nigdy, więc nie słyszano z ust jego skargi na niewdzięczność więźniów, jak to stwierdzał ks. Borel.

Przenikliwym swym wzrokiem odkrywał indywidualne właściwości jednostek, ich skłonności, porywy, wewnętrzne walki, zarodki cnót stłumione skutkiem przedwczesnych występków, odnajdywał wspomnienia niewinnego dzieciństwa, tęsknotę za domem rodzinnym, smutek z powodu utraconego honoru; potrafił to wykorzystać i nakłonić do gorącej modlitwy i poprawy życia. Ileż bolesnych przeżyć usłyszał na spowiedzi, jak utulał żal biednego syna marnotrawnego, który z głową schyloną na piersi spowiadał się z najbardziej tajemnych win swej młodości. Ten

biedak w miejscu swej kary spotkał się z miłosierdziem Bożym i przebaczeniem. Co za pociecha dla niego, gdy kapłan mówił mu o nieskończonej miłości Boga ku niemu, mieszał własne łzy z wylewanymi przez penitenta i zachęcał do cierpliwego znoszenia swej kary w duchu pokuty. Tak spędzał długie godziny spowiadając więźniów w tych zatechłych lochach, wilgotnych i cuchnących. Bolał szczerze, że nie mógł w pełni rozwinąć swej gorliwości. Bo są pewne sprawy, których mimo szczerych chęci nie udaje się rozwikłać. Tam potrzebne byłoby dla spowiednika miejsce bardziej zaciszne i spokojne. A tu brak było nawet stołka do siedzenia i kapłan musiał siadać na brudnym barłogu, często obok naczynia nocnego, skąd trzeba było się usuwać, gdy przychodził, który za potrzebą. Jakiż wstręt nie do opisania! Ksiądz Bosko jednak przewycięzał swe odruchy heroicznym wysiłkiem woli.

Niekiedy musiał jednak połączyć z cierpliwością zdecydowanie i odwagę. Oto pewnego razu wstąpił do lazaretu więziennego wezwany przez młodocianego więźnia ciężko chorego. Usiadł obok niego na łóżku i słuchając spowiedzi spostrzegł przy poduszce nóż, być może zapomniany przez jakiegoś więźnia. Schował go niepostrzeżenie do kieszeni. Więzień po odbytej spowiedzi oglądał się za czymś, wsunął rękę pod słomę.

Czego szukasz przyjacielu, może tego? Spytał Ksiądz Bosko pokazując nóż.

Ach tak, proszę mi go oddać.

O nie mój kochany, nie otrzymasz go z powrotem.

Żądam tego stanowczo.

Nie oddam go, natomiast chcę wiedzieć, co chciałeś zrobić?

Dobrze powiem Księdzu, jestem honorowym człowiekiem. Otóż od miesięcy już gniję w tym więzieniu bez wyroku i zwolnienia. Miałem zamiar zamordowania go, by tak przynajmniej wiedzieć, za co ponoszę karę.

Mogłoby się to wydawać komuś żartem, lecz Ksiądz Bosko wiedział, że pewnej kategorii ludzi nie można zbyt ufać. Lecz i takich usiłował pociągnąć do stóp Ukrzyżowanego.

Tak wielkich sukcesów nie udałooby się osiągnąć inaczej jak tylko drogą wielkiej i nieustannej cierpliwości. Wszak należało wpiery liczyć się ze stróżami więziennymi, by uzyskać swobodny dostęp i swobodne oddziaływanie na więźniów. Ludzie ci z zawodu wyobcowani ze społeczeństwa stają się ponurymi, cierpkimi

i łatwo źle traktują każdego obcego. Jakieś nieznaczące uchybienie w regulaminie więziennym przez kapłana, jedno mniej uprzejme odezwanie się mogłoby być źle tłumaczone, współczucie zaś okazywane więźniom, brane ze złej strony, byłoby skutkiem ujemnego raportu i mogłoby mu to zamknąć drogę do więźniów. Dlatego Święty szczególnie uprzejmie traktował strażników. Spokój i równowaga, jakie okazywał w wypadku mniej grzecznego traktowania, miłość, z jaką wstawiał się na rzecz więźniów, jego wielkoduszność, z jaką wymieniał z nimi uściski dłoni zyskiwały mu niemały wpływ na nich samych.

Pewnego razu Ksiądz Bosko wyszedłszy od więźniów i nie mając przy sobie żadnego przewodnika, przypadkowo trafił do jakiegoś mieszkania, gdzie zastał rodzinę bliżej sobie nieznaną. Było to mieszkanie kata. Ksiądz Bosko rychło połapał się w sytuacji i uprzejmie pozdrowił obecnych mówiąc „buon giorno”. Rodzina owa widać nieprzywykła do tak uprzejmego traktowania, odpowiedziała mu na pozdrowienie, pytając, co go tu sprowadza.

Widzicie państwo jestem zmęczony i prosiłbym filiżankę kawy.

Wobec tej nieoczekiwanej propozycji odpowiedziano mu chórem:

Si, si, signore! – córka pobiegła w tej chwili przygotować kawę. Kat z pewnym zażenowaniem i wzruszeniem spoglądał na Księdza Bosko, po chwili rzecze:

A czy wie Ksiądz do czyjego mieszkania trafił?

Z pewnością jestem w domu porządnego człowieka.

Ale jakże Ksiądz mógł wstąpić do domu kata?

Ach, szanowny panie, wiem tyle, że jesteście porządnym chrześcijaninem i to mi wystarcza.

(Było to prawdą, gdyż przed każdą egzekucją posyłał pięć franków do pobliskiego kościoła zamawiając Mszę św. za duszę skazańca).

Człowiek ten nigdy w swym życiu nie odczuł respektu ze strony wysoko postawionych osobistości, dlatego nie posiadał się z radości i ofiarował Księdzu Bosko wszystko, co posiadał w domu. Zasiedli, więc przy stole, przyniesiono kawę na tacy, ale tylko jedną filiżankę.

Proszę jeszcze jedną kawę – rzecze Ksiądz Bosko – chciałbym żebyśmy wypili ją wspólnie.

Ach, nie, to zbyt wielki zaszczyt dla mnie! Ja, pić z Księdzem? Wnet zjawiała się druga filiżanka kawy na stole i Ksiądz Bosko podał ją katu, który ledwie mógł przełknąć z powodu wielkiego wzruszenia. Ksiądz Bosko spędził parę chwil na serdecznej rozmowie, potem pożegnał się z ową rodziną pozostawiając jak najmiłsze wrażenie po swej wizycie.

Wieść o tym szybko rozeszła się wśród strażników więziennych, którzy uznali Księdza Bosko jednogłośnie za człowieka najuprzejmniejszego w świecie i gotowi byli na każde zawołanie służyć mu dla dobra jego ukochanych więźniów. Otrzymywał od nich doskonale informacje o nowo przybyłych więźniach. Tolerowano, jeśli niekiedy przedłużał nieco swój pobyt w więzieniu. Zawiadamiano, gdy w szpitalu więziennym znalazł się ktoś ciężko chory. To też było powodem, że gdy wydano surowsze zarządzenie przeciwko zbyt częstym odwiedzinom więźniów, Ksiądz Bosko opierając się na znajomościach ze strażnikami, potrafił zawsze utorować sobie drogę, aż do roku 1870.

Potrafił on również wykorzystać swój wpływ na strażników, by skłonić ich do uregulowania spraw swego sumienia. Oto tak do nich przemawiał:

Panowie, wy jesteście wykonawcami sprawiedliwości ludzkiej, starajcie się jednak również o to, by nie wpaść w ręce sprawiedliwości boskiej.

Jego słowa były brane doprawdy na serio. Bo niejednokrotnie zjawiali się na Valdocco do spowiedzi u Księdza Bosko. A sam również kat przychodził na różne święta do kościoła Matki Bożej Wspomożycielki na Valdocco. Niebawem jednak rozpoznany przez któregoś z chłopców, byłego więźnia, przestał tam uczęszczać. W czasie swych przechadzek w stronę Valdocco z daleka obserwował świątynię Maryi Wspomożycielki i zabudowania Oratorium, co mu przypominało może człowieka jedyne go na świecie, który nim się nie brzydził, ale traktował ze szczerym szacunkiem i po chrześcijańsku.

Również jego syn uczęszczał do Oratorium. A był to chłopiec bardzo dobry i spowiadał się często u Księdza Bosko. Chciał nawet wstąpić do seminarium, dowiedziawszy się jednak, że ze względu na zawód ojca miał drogę zamkniętą do kapłaństwa, tak się tym przejął, że zachorował i zmarł na rękach Księdza Bosko.

Ksiądz Bosko, zatem korzystając wszędzie z życzliwości straży więziennej odwiedzał więzienia turyńskie, zwłaszcza największe z nich, tzw. Generale i więzienie

poprawcze. Zazwyczaj głośił tam nauki we czwartki. Czasem zwracał się do młodocianych:

Przyjdę do was w sobotę, lecz chciałbym też od was otrzymać podarunek.

A co by Ksiądz życzył sobie od nas?

Coś naprawdę niebłahego, wielkiego, inaczej nie opłaci mi się przychodzić.

Ebbene, proszę powiedzieć wyraźnie, o co chodzi, jesteśmy gotowi.

Od każdego będę coś wymagał. Ale naprawdę rzeczy poważne. Połapali się, że chodziło o spowiedź i poczęli się uśmiechać.

Dobrze, na pierwszego przyjdę ja, który mam największe do pozbycia się - odzywa się jeden z nich.

Jest tu drugi, co ma większe od ciebie – dorzucił inny wskazując ręką na stojącego w kącie więźnia. Ów zaś odparował:

Patrzcie mi, jaki punktator, patrz na siebie lepiej!

Tak, tak prosimy przyjść do nas, a usłyszysz Ksiądz niebywałe historie!

O, to mi się podoba – kończył Ksiądz Bosko. Opłaci mi się zasiąść do konfesjonału.

Bez wątpienia! – wołano, skupiając się koło niego z zaufaniem – przyjdziemy wszyscy.

Ja nie byłem już dziesięć lat do spowiedzi...

Ja zaś dwadzieścia...

Ja trzydzieści! – Padały głosy rozochoconych więźniów.

Z nimi śmiał się wesoło Ksiądz Bosko, żegnano się do przyszłej soboty. W sobotę Ksiądz Bosko zjawia się w więzieniu. Więźniowie czekający na spowiedź ustawili się w ogonku. Niekiedy w takim momencie zdarzały się sceny godne upamiętnienia.

To nie słuszne – odzywa się ktoś z kłęczących do pierwszego w ogonku – żebyś ty szedł pierwszy. Ustąp miejsca ostatniemu. Ty byłeś już do spowiedzi lat sześć temu, a ów nie spowiadał się przez lat czternaście!

Ale ja mam tak wielkie grzechy jak nikt na świecie, rozumiesz? Ja mam prawo iść pierwszy!

A ja, co mam większe od ciebie, nie mam pretensji, więc ustąp mu miejsca.

Ładnyś mi! Myślisz, że bardzo cię przewyższam twoim szelmostwem?

Przybycie Księdza Bosko przerywało tego typu dialogi. Rozpoczynały się spowiedzi. Regułą u Księdza Bosko było, że pozwalał dzieciom i prostakom na wygadanie się, dopomagając tylko pytaniami, by nie gawędzili od rzeczy. Dzięki temu spowiedzi ich były krótkie i treściwe. W taki sposób więźniowie byli zadowoleni i chętnie spowiadali się u niego.

Niekiedy jednak mimo tygodniowych nauk i solennych przyrzeczeń, gdy zjawiał się Ksiądz Bosko, za poduszczeniem szatańskim czy ze względów ludzkich, nie ruszał się nikt do spowiedzi. Miłość jednak zawsze triumfowała. Za pierwszym, który się zdecydował i odchodził zadowolony, szli następni i tak wszyscy się wyspowiadali. Ten trud apostolski przyniósł niebawem pocieszające owoce licznych nawróceń. Nawet najbardziej oporni i zatwardziali kończyli na serdecznym przywiązaniu do Księdza Bosko tak, że nawet po wyjściu z więzienia odwiedzali go często w Oratorium na Valdocco.

On sam dowiedziawszy się, że któremuś kończyła się kara, starał się wyszukać mu pracę u majstra, zwłaszcza, gdy to był młodociany lub pozbawiony środków do życia. Nadal interesował się jego prowadzeniem się i dokładał starań, by nie wracał do poprzedniego trybu postępowania i wraz z honorem zabezpieczył sobie zbawienie wieczne. Niektórzy po wyjściu z więzienia przy pomocy Księdza Bosko zdolali uzyskać nawet honorową pozycję w społeczeństwie. Wspominali oni zawsze z wdzięcznością świętego kapłana i przybywali do Oratorium utrzymując zażyłe stosunki z Księdzem Bosko. Niektórzy nawet pod wpływem Księdza Bosko prowadzili doprawdy świątobliwe życie. Stawiając się przed swym dobroczyńcą mówili:

Jestem ten a ten, którego Ksiądz spowiadał w więzieniu. Czy Ksiądz mnie sobie przypomina? Od owego czasu nie byłem do spowiedzi, proszę obecnie mnie wysłuchać, gdyż pragnę żyć wzorowo.

Świadcami tego byli ksiądz Michał Rua oraz wielu innych.

ROZDZIAŁ XX

Nieznuzona pracowitość Księdza Bosko wiodła go z więzień do różnych instytucji dobroczynnych i zakonnych w mieście, stąd znowu do Oratorium. Udzielał się chętnie z pomocą duszpasterską po różnych kościołach. Zawsze pragnął pozostawać w ścisłym kontakcie ze swym arcybiskupem, do którego często udawał się z wizytą, przyjmowany zawsze z sympatią i uznaniem. W trudnościach napotkanych w pracy kapłańskiej, w podejmowaniu ważniejszych przedsięwzięć zasięgał jego rady. Już w późnej starości lubił zawsze wspominać te kontakty. Niemniej jego opinia w sprawach diecezji była poważnie brana pod uwagę przez arcybiskupa.

Pośród wielu spraw, które leżały mu na sercu, był poprawny tekst katechizmu. Wyjaśniając go chłopcom zaznaczał na marginesie katechizmu diecezjalnego uwagi odnośnie do tekstu. Przystudiowawszy rzecz dokładnie napisał wiele poprawek, które przedłożył arcybiskupowi. Jego zdaniem, niektóre wyrażenia nie wydawały się zgodne z tekstami Pisma św. hebrajskim i greckim. Na przykład IX Przykazanie Boskie tak zostało wyrażone we wspomnianym katechizmie: „Nie pożądaj żony bliźniego twego”, natomiast Ksiądz Bosko proponował sformułowanie następujące: „Nie pożądaj osoby obcej”. Arcybiskup uznał słuszność niektórych poprawek, lecz odesłał Księdza Bosko do wikariusza generalnego księdza Ravina Filipa, by zbadał rzecz i wydał swą opinię. Tak się stało, lecz ks. kanonik Zappata wraz z innymi z kapituły katedralnej, po przedyskutowaniu sprawy uznali za stosowne, że nie należy zmieniać niczego. Później, gdy arcybiskupem został ks. kanonik Gastaldi, któremu znane były dobrze idee Księdza Bosko, opowiedział się za nimi i polecił, choć częściowo wprowadzić wiele proponowanych zmian przez Księdza Bosko.

Prócz tego, Ksiądz Bosko zawsze w ścisłym kontakcie z arcybiskupem brał żywy udział w radościach i smutkach przełożonego kościelnego. W tym czasie wielką pociechą była dlań konwersja pewnej panienki protestanckiej, z uwagi na okoliczności z tym związane. Często przytaczał ten fakt Ksiądz Bosko jako przykład triumfu łaski Bożej. Wówczas jeszcze panowała pełna harmonia w stosunku między dworem królewskim a arcybiskupem. Fakt powyższy zdarzył się w miesiącu czerwcu.

Otóż córka dyplomaty holenderskiego na dworze sabaudzkim, wbrew woli swych rodziców sprzeciwiających się jej przejściu na łono Kościoła katolickiego, uciekła z domu rodzinnego i schroniła się w klasztorze Panien Kanoniczek Laterańskich, w którym przywilej immunitetu lokalnego chronił ją od wszelkiego gwałtu. Ojciec jednak za poparciem ministrów: pruskiego i angielskiego, żądał bezwzględnie, by córka wróciła do swej rodziny. Arcybiskup odpowiadał zdecydowanie: „Prawo naturalne objęcia prawdziwej religii jest wyższe od autorytetu ojcowskiego, córka ma też pełną swobodę opuszczenia tego azylu, który dobrowolnie obrała, ojcu lub jego pełnomocnikowi przysługuje upewnienie się, czy nie zmieniła swej woli, lecz nie zgodzi się nigdy na wyrządzenie jej krzywdy, by gwałtem została stamtąd usunięta”. Te same racje wysuwał hrabia La Margherita w imieniu króla dodając: „Klasztor cieszy się przywilejem immunitetu kościelnego, który jest silniejszy niż przywileje dyplomatyczne, ponadto nie można zadawać gwałtu osobie córki z racji na to, że jest cudzoziemką.

Na próżno interweniował korpus dyplomatyczny, panienka złożyła wyznanie wiary na ręce arcybiskupa odchodząc z herezji Lutra i Kalwina. Niebawem pojednała się ze swymi rodzicami i została gorliwą katoliczką. Tak to w owych czasach rozumiano wolność sumienia, słaby znajdował oparcie i obronę przeciwko roszczeniom silniejszego.

Z drugiej strony nie brakło też powodów do smutku i obaw. Arcybiskup i Ksiądz Bosko słusznie przewidywali i przestrzegali, do czego zdązał ruch sekciarski. Ubolewali nad tym, jak wielu nawet pośród kleru, zaślepionych pismami Giobertiego, nieświadomie popierali poczynania rewolucyjne. A manewry sekciarzy były przebiegłe. Spiskowcy z 1821 i 1831 r. oraz zwolennicy ruchu „Giovine Italia”, skutecznie starali się wyrobić sobie wzięcie wśród społeczeństwa przez popieranie instytucji troszczących się o wychowanie młodzieży, literaturę, wiedzę, rozwój przemysłu, budowę kolei. Zwłaszcza zależało im bardzo na szkołach wzorcowych, wieczornych i świątecznych, przytułkach dla starców. Wszystko to były rzeczy chwalebne i dobre, którym przyklaskiwali uczciwi obywatele nie podejrzewając nic złego. Oko jednak doświadczone z łatwością dostrzegało w tych instytucjach czężą filantropię a nie miłość chrześcijańską, gdyż czyniąc dobrze człowiekowi jako takiemu, były oczywiście pożyteczne i uczciwe, lecz nie według ducha Ewangelii,

która uczy, że tylko za to, co czynimy dla bliźniego ubogiego ze względu na Jezusa Chrystusa, otrzymamy zapłatę od tegoż Chrystusa Pana. I to właśnie pomijanie ducha chrześcijańskiego winno było budzić czujność roztropnych katolików dając poznać, że instytucje powyższe służyły jedynie kaptowaniu zwolenników, dla kogo innego i że ich autorzy pod pokrywką dobra ludu pracowali na szkodę religii i państwa.

W taki sposób powstało w Toskanii szereg żłobków dziecięcych w Pizie zakładała je protestantka Matylda Galandrini, która zaprowadziła w swej szkole kult ewangelicki. Wokół niej gromadziły się elementy heretyckie, ateistyczne, laicyzyczne dopomagające, jak mówili w wychowaniu ludu. Popierali te instytucje Lorenzo Valerio z wielu innymi, jak ks. Ferrante Aporti. Tenże Aporti jest uważany za założyciela żłobków dziecięcych we Włoszech na wzorce protestanta szkockiego Ovena, naczelnika sekty Saint-Simonistów. Pierwszy żłobek został założony w Cremona w 1830 r., z dodanym regulaminem dla klas elementarnych.

Pomimo, że w Turynie od 1825 r. istniał Katolicki Żłobek Dziecięcy ufundowany przez markiza Barolo, przeciwko któremu niebawem sekty wytoczyły zawziętą wojnę ze strony elementów liberalnych, domagano się zorganizowania ich w nowoczesnym systemie oraz żeby otwarto katedrę studiów pedagogicznych. Ksiądz Dionizy Pasio, biskup Aleksandrii i prezes komitetu reformy dał się oszukać tym panom i nieświadomie służył sekciarskim planom wprowadzenia nauczania laickiego. Napisał on do Mediolanu do konsula sardyńskiego o przysłanie zdolnego dyplomowanego profesora, a gubernator Lombardii interpelowany w tej sprawie zaproponował księdza Aportiego i radził królowi sprowadzić go do Turynu. Król z kolei informował o tym arcybiskupa Fransoniego, który sprzeciwiał się planom Ks. Pasio. Istotnie niebawem papież Grzegorz XVI w okólniku do Episkopatu Państwa Kościelnego zabronił zakładania żłobków dziecięcych o pokroju Aportiego.

Ksiądz Bosko bywając często w pałacu arcybiskupim zapoznał się z wieloma dostojnikami duchownymi przybywającymi na dwór królewski. Można sądzić, że przy tej okazji zawarł przyjaźń z wieloma prałatami. Znajomości powyższe bardzo mu się niebawem przydały w szerokiej działalności kapłańskiej.

Drugim takim przybytkiem częstych zebrań kwiatu inteligencji piemonckiej był Konwikt kościelny. Przybywało tam na naradę do księdza Guala wielu biskupów, prałatów a również wybitnych świeckich katolików. Miał on żywe kontakty z wieloma

znakomitymi Jezuitami. Konsultowało się u niego wielu doradców i prawników królewskich, jak na przykład hrabia Barbaroux, kompilator Kodeksu Alberyńskiego. Podchodziło do konfesjonału księdza Cafasso wielu biskupów, proboszczów oraz świeckich: adwokatów, wojskowych, kupców i lekarzy. Spowiadali się u niego prawie wszyscy kanonicy katedralni, także arystokracja turyńska, szlachetne damy, jak na przykład księżniczka di Montmorency, która na jego ręce zazwyczaj składała znaczne sumy dla Oratorium św. Franciszka Salezego.

Ujrzymy te osobistości jak w granicach swych możliwości i wpływów deklarować będą swą pomoc i współpracę w dziele oratoriów. Ponadto wielu z nich złoży w przyszłości swe zeznania jako świadkowie naoczni cudownych dzieł Księdza Bosko. Pozostanie on w wielkiej estymie i czci religijnej wśród nich przez całe swe życie jako Mąż Boży. Taką opinię słyszeliśmy niejednokrotnie od nich osobiście.

ROZDZIAŁ XXI

Opinia publiczna pod wpływem współczesnych potrzeb oraz lansowanych przez tajnych agentów sugestii, czemu sekundowało współczesne ustawodawstwo cywilne, domagała się coraz natarczywiej szkolnictwa powszechnego. Ksiądz Bosko wnet zorientował się, że jakkolwiek szkoła i prasa, rzeczy same w sobie pożądane, o ile nie zostaną skierowane do dobrego, to bardzo łatwo mogą się stać potężnymi narzędziami w ręku szatana dla siania nienawiści i błędów w społeczeństwie. Potrzeba, więc, twierdził raz po raz Ksiądz Bosko, uprzedzić o ile możliwe to niebezpieczeństwo. Postarajmy się przeciwstawić szkole i prasie złej, szkoły i prasę dobrą, katolicką. Ta decyzja dojrzała w nim i stała się zadaniem całego życia oddanego wychowaniu młodzieży i nauczaniu ludu za pomocą dobrego przykładu i wydawnictw. Stąd zabrał się niezwłocznie do pisania popularnych książek. Na ten cel poświęcał wiele godzin nocnego spoczynku, w dzień zaś wykorzystywał każdą wolną chwilę od swych zajęć kapłańskich czy młodzieżowych.

Jego biurko było zavalone stosem zeszytów, kartek, zapisków, w których skrzętnie gromadził wszelkie argumenty w obronie religii i Kościoła katolickiego, papieża, przykłady budujące, formuły modlitewne, notował tematy kazań i przemówień, czy wykładów w szkole. Dzięki temu układał treść swych książek, których aktualność potwierdzało ich wzięcie i liczne wydania oraz pochlebne recenzje znakomitych autorów.

A pomimo, że czuł swój talent i misję powierzoną przez Boga, nie uważał się nigdy za pisarza w wielkim stylu, ani unosił się próżną chwałą. Dla niego nie było nic ważnego prócz chwały Bożej i zbawienia dusz. Nie polegając nigdy na swym zdaniu, nie oddawał niczego do druku nie przedłożywszy wpierw swych pism cenzorowi kościelnemu, posłuszny prawom Kościoła.

Równocześnie w swej skromności zrzekając się wszelkich aspiracji pisarskich i autorskich, pomimo że posiadał wszelkie potrzebne wiadomości, dbał szczególnie o styl prosty i dostępny dla wszystkich. Chciał by go rozumieli prości robotnicy i kobiety wiejskie, ilustrując prawdy wiary św. i skłaniając serce i umysł ku Bogu. W tym celu nieraz napisawszy kilka stronic, odczytywał je w obecności osób,

niewykształconych i pytał czy go rozumieją. Jeśli odpowiedź była przecząca odnośnie pewnego zdania czy wrażenia poprawiał, zmieniał, przerabiał nawet parokrotnie, dopóki nie nabrał pewności, że jest rozumiany. W ten sposób trafiał do czytelników wprost niepiśmiennych i prostaków. A choć starał się unikać stylu napuszonego i wyszukanego, niemniej wyrażał się językiem poprawnym, z namaszczeniem i jasnością, by książki jego były czytane przez osoby wszelkiego stanu. I rzeczywiście były chciwie czytane przez młodzież i przez lud. Pierwszym cenzorem jego książek, jak wspominał ks. Anioł Savio, był portier w Konwikcie duchownym.

Obecnie chcemy przedstawić Księdza Bosko, jak chwyta za pióro, którego już nie miał w przyszłości odłożyć. Otóż miał zawsze w myśli drogą sobie postać Alojzego Comolla. Brzmiały mu w pamięci słowa wypowiedziane w czasie jego majaczeń gorączkowych, poprzedzających zgon, kiedy wołał przeciwko nieprzyjaciołom swej duszy: „Z Twoją o Maryjo skuteczną pomocą odniosłem zwycięstwo nad wszystkimi nieprzyjaciółmi mej duszy!... Tak, jesteście zwyciężeni... ja triumfuję! Jej należy się zwycięstwo!” – Słowa zanotowane w jego manuskryptach, tylekroć powtarzane w jego kazaniach.

Prócz wielu łask otrzymanych za wstawiennictwem św. Młodziana, pewien fakt niezwykle, który zachował w sekrecie Ksiądz Bosko a wyjawiał go dopiero w ostatnich latach swego życia, wywarł na nim wielkie wrażenie. Otóż po upływie czterech dni od pogrzebu Comolla, niektórzy jego koledzy klerycy pragnąc ponownie oglądać jego ciało bez wiedzy przełożonych, potajemnie otwarli trumnę. Odsunąwszy kamień nagrobny zeszli do krypty i przy świetle łuczywa znaleźli trumnę umieszczoną pod wielkim ołtarzem. Otwarli wieko i ujrzeli ciało zmarłego młodzieńca zupełnie świeże i niezepsute. Nie do opisania było ich zdumienie na ten widok. Strzępki jego sutanny unieśli ze sobą jako cenną relikwię. Ale nie do wybaczenia było, że jeden z nich zabrał jego palec. Potem zamknęli z powrotem trumnę i wychodząc zasunęli płytę kamienną, by zatrzeć wszelki ślad za sobą. Parę dni potem jeden z nich odwiedził Księdza Bosko szepcząc mu tajemniczo do ucha:

Chcę zdradzić Księdzu sekret najwyższej wagi. Czy zachowa go w tajemnicy?

Dobrze, przyrzekam, byle nie było to obrazą Boga lub na szkodę bliźnich.

O to proszę być spokojnym, chodzi tylko o naszą skórę, jeśliby wyszło na jaw. Następnie opowiedział ten wypadek i pokazując palec, który wyjął z ciała rzecze:

Ta relikwia dla Księdza! – Ksiądz Bosko nie wierząc swym oczom stwierdził, że ciało było świeże i rumiane, jakby pochodziło od żywej osoby. Zamyśliwszy się nieco, zganił ten postępek dokonany bez wiedzy przełożonych, nie chciał przyjąć tego daru i nalegał, by z powrotem pochowany został jak przystało na miejscu poświęconym oraz przypomniał o karach, jakie grożą gwałcicielom zwłok. I tak pod wpływem tej niechęci przestał o tym więcej myśleć, inaczej musiałby w swoim czasie stwierdzić czy rzecz odpowiadała prawdzie. A pięćdziesiąt lat potem, gdy musiano przystąpić do wykonania pewnych prac w podziemiach kościoła, znaleziono tylko już nagi kościec świętobliwego kleryka.

Jedynie czci powszechnej, dla Comolla można by przypisywać ten nierozważny krok. A może też i Ksiądz Bosko idąc za życzeniem swych kolegów seminaryjnych postanowił uwiecznić jego pamięć, jako wzór dla kleryków aspirujących do kapłaństwa.

Opisując sen Comolla przed śmiercią, miał na myśli utrwalenie go w pamięci bez publikowania nazwisk różnych osób, które on widział wpadające lub znajdujące się w piekle. Miał to być niejako argument prawdziwości opowiadania. Chodziło o pewne osoby wybitne, szanowane i uchodzące za cnotliwe tak, iż przełożeni czytając to i znając niektóre ich słabości pozostali pod wrażeniem tego objawienia. Niektórzy już zmarli, a niektórzy jeszcze żyli. Naturalnie polecili skreślić nazwiska, potem rękopis tak poprawiony i aprobowany został oddany do druku w 1844 r.

Pierwsze wydanie jest anonimowe i nosi tytuł: „Rys biograficzny Alojzego Comolla zmarłego w seminarium w Chieri, podziwianego przez wszystkich z powodu cnotliwego życia, napisany przez jego kolegę”. Treść książeczki poprzedzona była następującym wstępem: „Do seminarzystów w Chieri. Ponieważ przykład cnoty znaczy więcej niż jakiegokolwiek znakomite wywody, dlatego nie będzie bez pożytku przedstawić wam biografię tego, który żył w tym samym otoczeniu, co wy i dlatego może wam służyć za wzór, byście dążąc do osiągnięcia wzniesłego celu stali się godnymi lewitami w winnicy Pańskiej. Przyznaję, że ten zarys nie ma pretensji do stylu błyskotliwego i wyszukanego, dlatego dotąd zwlekałem z tym czekając, aż czyjeś zdolniejsze pióro podejmie się tego zadania. Widząc, że dłuższa zwłoka jest niecelowa, zabrałem się sam do dzieła pod wpływem ponawianych próśb moich kolegów i innych poważnych osobistości. Jestem przekonany, że z jednej strony

sympatia, jaką żywcie do tego waszego czcigodnego kolegi oraz wasza pobożność uzupełnią braki autora. Pomimo, że nie potrafię bawić się wytwornym stylem, pocieszam się tym, że to, co opisuję jest prawdziwe, gdyż sam brałem w tym udział lub dowiedziałem się od osób wiarygodnych, z czego sami możecie zdać sobie sprawę, będąc niektórych spraw opisywanych świadkami naocznymi. A jeśli pod wpływem niniejszej lektury doznacie szlachetniejszego zrywu do naśladowania cnót Comolla, to niech będą za to dzięki Bogu, którego dobroci was polecam i którego chwale niniejszy trud poświęcam”.

Niemniej serdeczne jest zakończenie opowiadania, które jak sądzimy, powinno być często odczytywane i rozważane nie tylko przez chłopców, lecz także kleryków: „Choroba i zgon, któremu towarzyszyło tyle pięknych przykładów i uczuć pobożnych i cnotliwych rozbudziło u wielu seminarzystów pragnienie naśladowania go. Dlatego niektórzy już za życia Comolla korzystali z jego wskazówek pracując nad zdobyciem cnót przezeń praktykowanych, innym zaś służy on dotąd za wzór tak, iż niektórzy seminarzyści dotąd nie zdając sobie sprawy ze swego powołania, po śmierci Comolla powzięli stanowczą decyzję stania się świętym kapłanem”.

„Niedługo po śmierci Comolla – pisze jeden z nich – zdecydowałem się wieść życie godne kleryka, by zostać świętym kapłanem, a choć postanowienie me było dotąd nieskuteczne, nie rezygnuję zeń, lecz zdwajam wysiłki dla jego realizacji”.

„A nie były to tylko chwilowe podniety, lecz z dnia na dzień wzmaga się woń cnót Comolla. Sam ks. Rektor seminarium, parę miesięcy temu, oświadczył mi, że notuje się w seminarium od śmierci Comolla widoczna i trwała zmiana w postępowaniu seminarzystów”.

Należy zaznaczyć, że nastąpiło to po owych dwóch zjawieniach się Comolla po jego śmierci; o jednym z nich zaświadczyć może cała sypialnia kleryków.

W pierwszym wydaniu wspomnianej biografii Ksiądz Bosko napomknął tylko o niezwykłych zjawiskach, a dopiero w wydaniu z roku 1884, na prośby kierowane do piszącego zgodził się opublikować jedno z nich obszerniej. Wyżej wspomniane racje tłumaczą dostatecznie wywołane wrażenia przez następne zjawienie. Nie tylko Samuel, lecz może niejedyn syn Helego musiał wówczas posłyszeć głos Boży.

Ksiądz Bosko poświęcał Najświętszej Dziewicy te swoje najwcześniejsze pisma, które sam nazywa dwoma skromnymi bukietami kwiatów. Do pierwszego

zaliczył wspomnianą biografię, w której tak wymownie okazała się opieka Najświętszej Dziewicy w życiu i śmierci nabożnego do Niej kleryka. Drugim bukietem była książeczka zatytułowana: „Korona Siedmiu Boleści Maryi, z siedmiu krótkimi rozmyślaniami na ich temat, ułożona w formie Drogi Krzyżowej”. Napisał ją na krótko przed opuszczeniem Konwiktu kościelnego z okazji nowenny i uroczystości obchodzonej rokrocznie w kościele św. Franciszka z Asyżu.

Broszurka zawierała „Koronkę ku czci Matki Bożej Bolesnej”, którą następnie przedrukowano w „Młodzieńcu Zaopatrzonym”, wraz z hymnem „Stabat Mater” oraz innymi modlitwami kościelnymi. Zawierały one prośbę o łaskę nieustannej pamięci o Męce Pana Jezusa, uwolnienie duszy i ciała od wrogów widomych i niewidomych, by wszyscy grzesznicy szukający szczerze Boga znaleźli przebaczenie przez szczerą skruchę, by towarzyszyć Jezusowi na Kalwarię z uczuciem żalu za własne grzechy, by otrzymać od Boga łaskę mieć przed oczyma stale Pana Jezusa Ukrzyżowanego, by zmywać nieustannie aktem żalu doskonałego śmiertelne razy zadane Panu Jezusowi przez nasze grzechy, by grzesznicy poznali jak ciężko żyć bez Boga... Książeczkę poprzedzał następujący wstęp:

„Pierwszym celem niniejszej książeczki jest ułatwienie rozbioru i rozważania srogich boleści najczulszego Serca Maryi, co tak jest dla niej miłe, jak raczyła objawić swym sługom, a co zapewnia nam Jej opiekę.

Po wtóre by ułatwić wspomniane ćwiczenia pobożne, początkowo posłużyła Koronka o Siedmiu Boleściach Najświętszej Marii Panny, o których można rozmyślać na podstawie dodanych osobnych rozważań na sposób Drogi Krzyżowej.

Niech Bóg towarzyszy swą łaską temu celowi, by każda dusza chrześcijańska przejęła się częstym rozważaniem boleści NMP z korzyścią dla niej samej i ku większej chwale Boga”.

Książeczka wyszła anonimowo w drukarni Speirani e Ferrero. Rozeszła się szeroko wśród ludu i miała wiele wydań. Była świadectwem tego, jak gorące nabożeństwo żywił Ksiądz Bosko do Męki Pańskiej oraz do NMP Bolesnej.

Nie przypadkiem było, że artysta Rollini wymalował na jego nagrobku obraz M.B. Bolesnej. Przypomina on synom tę wielką naukę ich Ojca, by nie sprawiali nigdy swym złym postępowaniem boleści tak dobrej Matce, by żadnemu z nich nie można było mówić:

„O wy wszyscy, którzy przechodziecie drogą, przypatrzcie się, a zobaczycie, czy jest większa boleść niżli boleść moja”. /Jer 1,12/.

ROZDZIAŁ XXII

W tymże roku 1844 zaszła konieczność w Konwikcie pewnych zmian u przełożonych. Ks. kan. Guala schorowany musiał zrezygnować ze zwykłych kazań i konferencji miesięcznych i złożyć na księdza Cafasso cały trud nauczania i utrzymywania karności w Konwikcie. Sam zaś ograniczył się do swego pokoju zachowując najwyższe kierownictwo. Gdy bóle nie pozwalały mu na celebrowanie Mszy św. ze zbudowaniem ogólnym przyjmował codziennie Komunię św. w pokoju.

Ksiądz Bosko pomagał księdzu Cafasso w jego obowiązkach jako korepetytor moralnej, gdy niektórzy słabsi w studiach wymagali obszerniejszych wyjaśnień oraz głosił niekiedy kazania w kościele św. Franciszka. Ksiądz Cafasso przejrzał jego aktywność dopatrując się w niej coś niezwykłego. Powziął względem niego jakiś zamiar, którego na razie mu nie wyjawiał, okazując życzliwość więcej niż przyjacielską, graniczącą wprost ze czcią, czego świadkiem był ks. Cagliari przez dobrych lat 10.

Ksiądz Bosko nie miał żadnych sekretów przed swym kierownikiem duchownym, dlatego gdy opowiadał mu swego czasu o owym śnie, jak naprawiał podarte ubrania chłopców, ks. Cafasso spojrzawszy na niego bystro rzucił pytanie:

Czy Ksiądz zna krawiectwo?

Tak, potrafię robić skarpety, swetry, płaszcze, nawet szyć sutanny dla kleryków.

Doskonale, będziemy próbować!... – Ilekroć go ujrzał, kiedy pytał żartobliwie: No, jak tam krawiectwo twoje?

Ksiądz Bosko podchwytyjąc tak odpowiadał: Oczekuję zamówienia!

Tymczasem ks. Cafasso przenikliwie badał usposobienia i skłonności alumnów, by móc im przeznaczyć odpowiednią każdą placówkę w duszpasterstwie.

„Głębokie studium moralnej – pisał Ksiądz Bosko – ascetyki i mistyki, połączone z bystrą obserwacją i darem rozpoznawania duchów, dawało mu możliwość określenia w paru słowach czyichś zdolności, wiedzy i talentów duchownych. Wydawał wyrok trafny: ten będzie dobrym proboszczem, ten wikarym, ów dobrym

kapelanem, tamten doskonałym kierownikiem duchownym sióstr, inny dyrektorem zakładu wychowawczego. Temu, który zasięgał porady u niego odpowiadał:

Ksiądz nada się na kapelana więziennego, względnie księdza, misją będzie duszpasterstwo chorych w szpitalach Innemu:

Ksiądz będzie doskonałym kaznodzieją wielkopostnym, gorliwym misjonarzem apostolskim, zdolnym nauczycielem i katechistą, wytrawnym doradcą i ojcem duchownym, ect. Życie potwierdziło jego prognozy”.

Ksiądz Bosko w Konwikkie niczemu nie oddawał się tak gorliwie jak studiom. Chwilowe, okazyjne zajęcia, nawet skomplikowane traktował jak akcesoria. Wszelkiego rodzaju kwestie teologiczne, zwłaszcza na polu Historii kościelnej, biblijne zajmowały go do tego stopnia, że czuł się nimi jakby pochłonięty. Na te tematy miał własne poglądy. Od czasu do czasu pociągnięty spokojem i milczeniem panującymi w pobliskim konwencie OO. Kapucynów Madonna di Campagna, gdzie miał oddanych przyjaciół, pragnął na pewien czas usunąć się w tamto zacisze, by móc bez przeszkody studiować ulubione swe woluminy. Przyświecał mu cel pracy na ambonie. Na temat swej fantazji wspomniał raz księdzu Cafasso, który tylko uśmiechnął się i nic nie odpowiedział.

Również myśl o udaniu się na misje nie opuszczała go nigdy. Odczuwał w sercu gorące pragnienie niesienia światła Ewangelii niewiernym i ludom niecywilizowanym, gdzie spotkałby miliony dzieci i młodzieży. Entuzjazmował się faktem, że misjonarze Oblaci około roku 1839 dotarli do królestwa Ava i Pegu głosząc Boską Nowinę, zaś w roku 1842 wspomniana misja została im powierzona w zarząd z własnym biskupem, gdzie osiągnęli pomyślne rezultaty. Ksiądz Cafasso może nie bez natchnienia polecił mu studiowanie języka francuskiego i hiszpańskiego a widząc, że brał się do gramatyki angielskiej zaoponował:

Ksiądz nie pójdzie na misje!

A dlaczegoż to, można wiedzieć?

Chce Ksiądz, niech idzie. Ale ze swymi torsjami żołądkowymi, których tyle razy Ksiądz doświadczał, jakże Ksiądz myśli przemierzać w zamkniętym powozie setki tysiące kilometrów na lądzie i na morzu? Ksiądz umrze w drodze! I tak projekt ów rozwiął się, może nie tyle z powodu wspomnianych trudności, co z posłuszeństwa dla swego przełożonego. Jednakże inne idee tętniące mu w głowie nie dawały mu

spokoju, zwłaszcza pod koniec trzeciego kursu teologii moralnej. Żywił w sercu uczucie i szacunek dla każdego zakonu. Przeznaczony od Boga na założyciela Pobożnego Towarzystwa Salezjańskiego czuł się powołany do życia zakonnego. Tak sam często zwierzał się księdzu Aniołowi Savio swemu oratorianinowi. Był tak głęboko o tym przekonany, że wydawało mu się, jakby miał wszelkie środki do dyspozycji dla zaopiekowania się młodzieżą, o czym wspominał zakonnikom Oblatom przy odwiedzaniu świątyni Consolaty. Dlatego bądź to, że dawna idea wstąpienia do Oblatów odezwała się w nim gwałtownie, bądź żeby zmusić księdza Cafasso, by dał zdecydowaną odpowiedź na zapytanie, co do swej przyszłej misji kapłańskiej, poszedł więc do niego i przedłożył swój nowy projekt.

Świątobliwy kapłan wysłuchał go w milczeniu, a gdy skończył za całą odpowiedź usłyszał tylko jedno suche i zdecydowane:

Nie!

Zaintrygowany energicznym tonem jego odpowiedzi, nie śmiał jednak indagować o motywy i nadal gorąco się modlił do Madonny, by mu wskazała miejsce i stanowisko, na którym miałby wykonywać swe zadanie z jak największą korzyścią dla dusz. Z tym wszystkim zawsze czuł skłonność poświęcenia się pracy nad młodzieżą zaniedbaną za pomocą oratoriów świątecznych, nie chciał jednak polegać na własnym sądzie, obawiając się złudzeń.

Nadchodził jednak czas, kiedy należało objąć jakieś określone stanowisko kościelne i opuścić Konwent. Wielu proboszczów ofiarowało mu posadę wikarego, między innymi ks. Józef Comolla, stryj zmarłego kleroika Alojzego. Zarządca parafii Cinzano proponował mu posadę ekonoma swej parafii, którą z powodu choroby i podeszłego wieku nie mógł już zawiadywać, na co też otrzymał zgodę arcybiskupa Fransoniego. Czcigodny starzec był już u schyłku swych dni i Ksiądz Bosko nie pozostałby długo na swym urzędzie. Opatrzność Boska, która czuwała nad tylu biednymi chłopcami, przeznaczała inny los temu, który miał być narzędziem ich zbawienia. Otóż ks. Guala pewnego dnia wezwał do siebie Księdza Bosko, który nie znał decyzji arcypasterza i polecił napisać podziękowanie a zarazem prośbę o zwolnienie z szacownego stanowiska, do którego skądinąd nie miał specjalnych inklinacji. Ksiądz Bosko z miejsca usłuchał. Stąd możemy wnioskować, że i ks. kan. Guala intuicyjnie przeniknął przyszlą misję Księdza Bosko.

Niebawem zbliżał się termin rekolekcji na górze św. Ignacego i ks. Cafasso oświadczył Księdzu Bosko:

Powołanie Księdza by mogło się należycie zdecydować, winno być obmyślane przed Bogiem, dlatego proszę udać się na rekolekcje do S. Ignazio i prosić Boga, by raczył objawić swą wolę, wróciwszy powiadomi Ksiądz o swej decyzji.

Ksiądz Bosko wyruszył na św. górę w towarzystwie księdza Cafasso, który przewidział ogrom odpowiedzialnej misji swego alumna i chciał, by ohotnie podjął się wykonania planów Bożych. Był to miesiąc czerwiec. Ksiądz Cafasso po raz pierwszy głosił rozmyślenia dla kapłanów. Przez lat dziesięć przygotowywał się gruntownie do instrukcji, odtąd będzie prowadził po kilka serii rekolekcji do końca swego życia. Słowa jego jasne, proste a treściwe w określaniu obowiązków katolika i kapłana, tchnęły namaszczaniem, poruszały serca, wzruszały do łez, nawracały, czyniły wiele dobrego dla dusz. To nie on przemawiał, lecz sam Bóg jego ustami, odjeżdżano stąd z pragnieniem powrócenia za rok. Wszyscy kapłani spowiadali się u niego, odchodząc z podniesieniem ducha, z nową gorliwością, zdecydowani przeprowadzić u siebie i wiernych gruntowną odnowę i wytrwale działać do końca.

Ksiądz Bosko pozostał również na rekolekcjach dla świeckich, które głosił ks. Guala. Ksiądz Bosko oczekiwał, co mu powie na zakończenie rekolekcji ks. Cafasso, tymczasem on jakby zwlekał i nie reagował. Jakoś niezbyt wyraźnie rysowała się przyszłość Księdzu Bosko. Było zdecydowane, że nie zostanie dłużej w Konwikcie, w rozmowie z ks. Gualą usłyszał, że nie dla niego są stanowiska w duszpasterstwie diecezjalnym. Z drugiej strony ksiądz Cafasso odradzał zdecydowanie wstąpienie do zakonu lub poświęcenie się misjom zagranicznym. Doprawdy nie wiedział, gdzie się obrócić, potrzeba mu było jakiegoś oparcia, a także pomocy materialnej. Ale co ostatecznie doradzi mu kierownik duchowny?

Dla wybadania myśli księdza Cafasso uciekał się do pewnego rodzaju wybiegu. Poszedł do niego rzekomo by się pożegnać przed wstąpieniem do klasztoru. Lecz zacny kapłan z filuternym uśmiechem rzecze:

Dokąd Księdzu tak spieszo? Któż zajmie się waszymi dziećmi? Czy nie uważa Ksiądz za właściwe pracować nad tą młodzieżą?

Tak, prawda, ale jeśli Pan Bóg wzywa mnie do zakonu, to On sam postara się, o kogo innego.

Ksiądz Cafasso wówczas poważnie spojrzawszy w twarz Księdza Bosko, z ojcowską dobrocią rzecze:

Mój drogi Księżu Bosko porzuć wszelką myśl o zakonie, proszę rozpakować kosz i kontynuować pracę nad młodzieżą. Taka jest wola Boża a nie inna!

Ksiądz Bosko wobec tych słów swego kierownika duchowego spuścił głowę, teraz już był pewny. Prawda, że nie znał jeszcze wszystkich etapów swej drogi, sposób realizacji dzieła, miejsca, gdzie się ono ustabilizuje, o nie jednak już się nie frasował. Bóg, który przemówił przez usta księdza Cafasso, pomyśli o środkach. Przewidywał krzyże, trudności, niedostatek, upokorzenie, lecz nie trwożył się o to. „Caritas non est ambitiosa” /1Kor 13,5/. Mógłby ubiegać się o zaszczytne stanowiska ze swymi zdolnościami, zręcznością, wytrwałością w dążeniu do celu, miałby zagwarantowaną karierę życiową, nawet perspektywę szybkiego awansu. Zamiast tego wybrał jako swą częśćkę ubogą młodzież. Tylko gorąca miłość bliźniego prowadziła do tak wzniosłej i wielkiej ofiary!

ROZDZIAŁ XXIII

Król Karol Albert edyktem z 10 lipca 1844 r. ustanawiał w Piemontcie tzw. szkoły normalne jako doświadczalne pedagogia względnie seminaria nauczycielskie dla kształcenia kadr pedagogicznych dla szkół podstawowych. W tym celu zawezwał z Cremony księdza Ferrante Aporti dla zorganizowania ich w Turynie.

Przybycie Aportiego do Turynu otrąbiono jako wielki sukces. Przejaskrawione owacje i aplauzy wskazywały na niego jako na bohatera i championa partii liberalnej. Natomiast arcybiskup otrzymał z Lombardii niezbyt pochlebne referencje o tym księdzu. Wyglądało wszystko na zapowiedź walki wytoczonej przez bezbożników Kościołowi.

Wspomniane seminarium zainauguowało swoją działalność 26 sierpnia w auli uniwersytetu królewskiego, kurs miał trwać przez cały wrzesień. Nikt nie miał być w przyszłości dopuszczony do egzaminu na nauczyciela szkoły elementarnej w prowincji Turyn, Pinerolo i Susa, kto nie wykazał się świadectwem ukończenia wspomnianego kursu. Patenty nauczycielskie miały być wysyłane przez sekretariat uniwersytecki. Zaledwie Aporti zaczął prowadzić swe wykłady pedagogiki, stały się one z miejsca podejrzane przez zbytni poklask, jaki szerzył wokół siebie, jak i przez pochwały udzielane im przez prasę sekciarską. Ksiądz Bosko tymczasem zajął stanowisko obserwatora, by poznać, do czego to wszystko zmierza.

Arcybiskup zawiadomił komitet ministerialny reformy oświaty, że wyraża sprzeciw by duchowni uczestniczyli w prowadzeniu pedagogium i nakazał wywiesić w zakrystiach kościołów w mieście pismo odręczne zakazujące podległemu klerowi uczęszczanie na wykłady Aportiego. Król wpadł w gniew i zapowiedział, że nie odwoła ani nominacji Aportiego, ani prowadzenia pedagogium. Potajemne machinacje sekciarskie, którym król dawał posłuch, podniecały jego oburzenie. Starano się tym bardziej osaczyć monarchę i zdyskredytować osobę arcybiskupa oszczerstwami, zbyt im, bowiem stała na zawadzie spiżowa stałość tego wielkiego prałata. Nastąpiła wymiana korespondencji między królem a arcybiskupem, który osobiście interweniował przedstawiając swe racje. Karol Albert przyjął go chłodno nie

ukrywając swej dezaprobaty wobec posunięć arcybiskupa, później nieco się udobruchał, wysłuchał arcybiskupa i oświadczył, że jest w pełni zadowolony z jego wyjaśnień. Niemniej wkrótce na nowo doszło do scysji.

Arcybiskup zganiał proboszcza, który zezwolił Aportiemu na celebrowanie Mszy św. w jego kościele bez zezwolenia Kurii i nałożył na niego suspensę. Być może zausznicy króla przedstawili mu, że tym aktem wyrządzono zniewagę jego osobie. Od tej chwili powstało zarzewie niezgody między dwiema osobistościami, które dotąd żyły w doskonałej harmonii. Aporti tak dalece wkradł się w łaski Króla, że ten później zaprezentował go Piusowi IX na arcybiskupa Genui i mianował senatorem królestwa.

Monarcha działał być może w dobrej wierze, podczas gdy arcybiskup posiadał wręcz zaskakujące wiadomości od wtajemniczonych i od samego Księdza Bosko. Młody kapłan miał już ściśle kontakty wśród wpływowych obywateli, wśród urzędników państwowych, na dworze królewskim, w wojsku i na uniwersytecie. Z tych źródeł dowiadywał się o tajnych zebraniach sekciarskich. Powstał związek nauczycielstwa domagający się laicyzacji szkół. Z szatańską przebiegłością studiowano i układano programy, które stopniowo metodycznie wprowadzane do szkół, miały doprowadzić do wydarcia wiary z serc uczniów. Słusznie, więc arcybiskup lękał się szkód dla Kościoła, a konsekwentnie także i dla tronu.

Arcybiskup chciał mieć dokładne informacje, czego nauczano w nowym seminarium nauczycielskim, gdyż dotychczasowe wiadomości były sprzeczne. Upoważnił, więc Księdza Bosko, by sprawdził i zreferował mu to. Ten, więc zapisał się na wykłady Aportiego na uniwersytecie, wszedł nawet w bliższy kontakt z Aportim. Na wykładach jego panował ścisk, gdyż wielu schodziło się z ciekawości. Wśród słuchaczy wymienić można prof. Raineri znanego pedagoga, który w swej naiwności zadeklarował się zwolennikiem Aportiego. Przed katedrą siedziało kilkunastu uczniów, z którymi prowadził lekcję praktyczną. Nie było rzeczą łatwą ująć system jego pedagogii wobec mglistych sentencji, w których krył się właściwy zamiar. Lecz Ksiądz Bosko niebawem zorientował się, że z jego wykładów pośrednio wykluczone były tajemnice wiary św. Tak na przykład Aporti nie uważał, by młodzieży mówić o piekle.

Raz wyrwało mu się z ust:

Po co mamy dzieciom mówić o piekle? Z punktu pedagogicznego mogłoby to im zaszkodzić, wywołując ponury nastrój.

Wygłaszał też pewne teorie, choć bezpośrednio niezaczeplające dogmatów, lecz mogły być rozumiane po heretycku. Na przykład zapytywał kogoś ze słuchaczy:

Kim jest Jezus Chrystus? Odpowiedzi padały różne. Aporti kończył magistralnie – Jezus Chrystus jest prawdą odwieczną nadprzyrodzoną.

O Bogu - Człowieku, o dwóch naturach pełnych w jednej Osobie nie było wcale mowy. Pytał:

Kim jest Najświętsza Panna? i znowu kończył – Najświętsza Maryja Panna jest stworzeniem uprzywilejowanym zamilczając z jakiej przyczyny jest uprzywilejowana przez Boga.

Ksiądz Bosko w prywatnej rozmowie z Aportim nalegał, by wyjaśnił swe definicje. Aporti odpowiedział, że młodzież nie jest jeszcze zdolna pojąć tak trudnej prawdy.

Ksiądz Bosko niebawem złożył arcybiskupowi dokładne relacje. Frasoni wysłuchał zamyślony i oświadczył:

Zatem, proszę więcej tam nie uczęszczać.

W tym czasie Aporti wprowadzał system szkockiego protestanta w żłobku dziecięcym w Po, gdzie usunięto obrazy Madonny i Świętych ze ścian szkolnych jak i nagród dla wzorowych uczniów. Zgodzono się tylko, by wisiał sam Krucyfiks. Regulamin szkoły nie uwzględniał pierwiastków religijnych, jakie mają przenikać pierwsze etapy rozwoju umysłowego i moralnego dziecka.

Stosowano również koedukację w salach szkolnych z niebezpieczeństwem dla niewinności dzieci.

Po latach wspominając o tym księdzu Cerruti'emu, który mu prezentował swój „Wstęp do Regulaminu Żłobków Dziecięcych w zakładach Córek Maryi Wspomożycielki” powiedział:

Chcesz wiedzieć, kim był naprawdę Aporti? Koryfeuszem tych, którzy chcieliby sprowadzić religię do czczego uczucia. Pamiętaj dobrze, że jednym z matactw nowoczesnej pedagogii jest, by nie mówić dzieciom o prawdach wiecznych, zwłaszcza o śmierci i piekle.

Arcypasterz był żywo zaniepokojony. Początkowo jeszcze zwlekał, spodziewając się być może, iż król przestrzeżony położy kres tego rodzaju nieporządkom. Okazał się jednak niewzruszony, co do zakazu uczęszczania kleru na tego rodzaju wykłady. Obawiał się może, żeby młodzi nauczyciele duchowni nie odnieśli szkody. A tymczasem rósł ferment wywołany dziełami Giobertiego.

Nie wszyscy jednak biskupi myśleli podobnie jak on. Przewidywali może, iż zaprowadzony nowy system w szkołach utrzyma się. Zwłaszcza, że od tego uzależnione były patenty na nauczanie w szkołach. Biskup Biella na przykład, jako senator zasiadający w Radzie Państwa, zatwierdzał wspomniany system dla uprzedzenia propagandy niechrześcijańskiej wśród ludu i zobowiązywał swych kleryków do ubiegania się o patenty nauczycielskie, jako warunek do uzyskania ordynacji kapłańskiej. Podobnie zabiegał biskup Ghilardi, by w rękach kleru utrzymać nauczanie podstawowe. W tym wypadku to im się udało.

Również żłobki dziecięce, szkoły wieczorowe i świąteczne, które organizowano, leżały bardzo na sercu arcybiskupowi Fransoniemu. Co do żłobków nie trudno było je oddać jakiemuś zgromadzeniu żeńskiemu, by zapewnić dzieciom wychowanie religijne. Rzecz w tym, że trzeba było zwiększyć personel nauczycielski. Nikt nie przypuszczał, że ta instytucja upowszechni się po miastach i osiedlach fabrycznych, gdzie tego rodzaju opieka nad dziećmi okaże się koniecznością społeczną.

Odnosnie szkół wieczorowych i niedzielnych, arcybiskup chciał również mieć należyte referencje, dlatego zasięgnął opinii księdza superiora Misjonarzy, który odpisał: „Te szkoły należycie prowadzone mogłyby przynieść wielką korzyść, inaczej jeśli pozostaną pod kierunkiem ludzi złych, mogą stać się siedliskiem bezbożności. Wypadałoby żeby księża proboszczowie rozciągnęli nad nimi opiekę, gdyż kierujący nimi panowie i panie nie uczęszczają na Mszę św. niedzielną. Gdy weźmie to w ręce komitet agrarny, będziemy opłakiwać wnet zanik wiary i obyczaju katolickiego”.

Tego samego zdania był i Ksiądz Bosko, gdy wielu biskupom oświadczał, by wobec nowych wymogów starali się zabezpieczyć wychowanie młodzieży chwytając się współczesnych zabiegów.

Mniejsza o to – mówił – skąd i pod czyją inspiracją przychodzą nowe formy nauczania i wychowania jeśli same w sobie są zdrowe, postarajmy się dać im mądry

chrześcijański kierunek, a tak przeszkodzić, by nie stały się zepsute z braku ducha religijnego.

Ujrzymy niebawem jak w praktyce wcielał w życie, co radził innym. Gdyby te sugestie zostały przyjęte i natychmiast zastosowane, uniknęłoby się wiele zła, osoby duchowne i księża nie zostaliby ogłoszeni wrogami pedagogii i dobra ludu.

Trzeba jednak zaznaczyć, że sprawa w początkach nie była tak jasna jak później. Sekciarze trzymali w tajemnicy swe plany i wprowadzili je nagle, podczas gdy strona katolicka nie była przygotowana do walki. Wielu duchownych nie orientując się w sytuacji wahało się z przystąpieniem do kontrakcji, która ich mniemaniem była bezużyteczna, skoro państwo zachowywało pozory religijności. Nad to spór arcybiskupa z królem sprawiał, że wielu urzędników odmówiło swego poparcia tak potrzebnego aktualnie, prócz tego w Turynie jako stolicy koncentrowały się wysiłki sekciarzy paraliżując wszelkie poczynania władz kościelnych.

Dodajmy, że przeciw arcybiskupowi wrzały gniewem specjalnie loże masońskie napotykać niewzruszony opór męża apostołskiego.

Arcybiskup spokojnie i zdecydowanie odczekawszy jakiś czas, wezwał do siebie księdza Aportiego. Orientował się doskonale, że za nim stały sekty. Nie chodziło o kwestie dydaktyczno-pedagogiczne, lecz o zasady religijne samego nauczyciela. W rozmowie z nim wezwał, by zaprzestał wykładów w takiej formie uważanych przez niego i wiele poważnych osobistości jako podejrzanych o herezję, niebezpiecznych dla wiary i przeciwnych dotychczas obowiązującym regulaminom państwowym. Ostrzegał go równocześnie po ojcowsku, że gdyby upierał się nadal, byłby zmuszony uciec się do kar kościelnych. W tym arcybiskup postępował zgodnie ze swym obowiązkiem pasterskim. Aporti nic sobie nie robił z upomnienia, kontynuował wykłady, a po jakimś czasie nawet zaprzestał odprawiania Mszy św., na wieść o tym zawrzało wśród sekciarzy, a nawet komentowano ujemnie kroki arcybiskupa w kołach zwolenników religii.

Ksiądz Bosko w tym opłakania godnym sporze trzymał się na uboczu. Odczekawszy czas jakiś, aż Aporti się uspokoił, po naradzie z księdzem Cafasso i arcybiskupem, podjął z nim towarzyskie, lecz ostrożne stosunki. Nosił się dawno z myślą otwarcia własnych szkół wieczorowych czekając, aż Opatrzność ześle mu środki. Plany jego były nad wyraz rozległe, lecz trzymał je w sercu nie zwierzając się

nikomu. Potrzebował protektora, który by na wypadek, jakiegoś starcia dawał mu zaplecze i dopomógł w przezwyciężeniu trudności, jakie by się wyłoniły, a który posiadałby wielkie wpływy w ministerstwie oświaty. A właśnie Aporti był uważany za wyrocznie w owych latach i Ksiądz Bosko na niego stawiał. Opowiadając się za nauczaniem popularnym i radząc się, w jaki sposób zorganizować takie nauczanie, zyskał jego zaufanie. Udawało mu się to, gdyż posiadał swoisty talent zyskiwania sobie ludzi, z którymi prowadził konwersację. Dowody na to spotkamy w dalszym ciągu opowiadania.

Jeśli jednak Ksiądz Bosko umiał wykorzystać znajomości z Aportim dla dobra dzieł katolickich, twierdzimy z całym przekonaniem, iż odwzajemniał mu się sugestiami, które gdyby zostały przyjęte w praktyce, przyniosłyby wiele korzyści jego duszy. Aporti być może początkowo chciał zdyskontować swą popularność dla własnej korzyści, nieco później zmodyfikował swe teorie, niezbyt mile brzmiące dla uszu katolickich. Zgodził się, by obok Krucyfiksu w szkołkach dziecięcych zawieszono obraz Madonny.

Wytrawny pedagog, mimo pewnych defektów osobistych niezbyt licujących z charakterem kapłańskim, podtrzymywał jednak później profil ortodoksyjnego szkolnictwa opartego na wierze i uczuciu religijnym. Należy mu się pochwała za to, że w roku 1848, zgodnie z życzeniem Ojca św. dobrowolnie zrezygnował z arcybiskupstwa genueńskiego, na które był proponowany przez króla. Czy może Ksiądz Bosko wpłynął w jakiś sposób na tę roztropną decyzję Aportiego?

Jakkolwiek by było wiemy, że miał zwyczaj w kontaktach z panującymi wprost lub pośrednio wtrącać jakieś słowo o Bogu i wieczności. Stwierdzono, że miał wpływ pozytywny na postępowanie moralne niektórych osób. Posiadał wszak specjalny talent do tego. Coś więcej wyjednywał u niektórych sekciarzy wbrew temu, co było zaprzysiężone, wszystko, o co prosił w imię miłosierdzia i religii.

Pomimo sprzeciwów, jakie musiał często znosić, miał jednak poparcie u ministrów kolejnych przez lat blisko 30, miał zaufanych przyjaciół i protektorów i wychodził bez szwanku nawet, gdy jakaś sprawa wydawała się beznadziejną.

Lecz cóż to były za motywy, które dawały Księdzu Bosko przystęp do serc ludzkich? Otóż wzbudzała podziw u wszystkich jego miłość do młodzieży ubogiej, jego postawa rezolutna, czynna, świadcząca za prawdą i sprawiedliwością. Widoczne

było, iż nie powstrzyma go żadna przeszkoda w jego akcji, o ile słuszne były jego motywy. Cierpiał, walczył, modlił się, gotów gdyby było potrzeba położyć nawet życie dla swej szlachetnej misji. Męstwo jego nie wydawało się uporem, lecz dążyło nieustraszenie do mety, gdy taka była wola Boga, wymagały tego dobro ludzi oraz samych jego adwersarzy.

Nigdy nie dał się powodować fałszywą gorliwością. W dziełach swoich postępował ze spokojem, nie wybuchowo, pod wpływem fantazji lub zbyt pochopnej improwizacji.

Normą były dla niego słowa Chrystusa Pana wyrzeczone do Apostołów: „Oto posyłam was jak owce między wilki, bądźcie, więc roztropnymi jak węże, a prostymi jak gołębice”.

Jak wąż roztropnie ukrywał głowę przed uderzeniami nieprzyjaciela i tak osiągał zbawienie własne i bliźnich stosownymi środkami. Na tym punkcie nie chybiał celu i był nieugięty, aż do ostatka. Zresztą zręcznie unikał bądź w rozmowach, czy pismach wszelkich dyskusji politycznych, aby nie wpaść w podejrzenie i nie utracić szansy czynienia dobrze. Powstrzymywał się w epoce tak trudnej od przeciwstawiania się państwu i rządowi, przypisując po prostu wszelkie nieporządki, jakie się działy na szkodę Kościołowi knowaniom sekciarskim oraz urzędnikom przekraczającym swe uprawnienia. Małomówny, ważył każde słowo, które wypowiadał. Potrafił zamilczeć słówko, które wypowiedziane nieostrożnie, mogło wyrządzić wiele zła, a przeszkodzić dobremu. Dochowywał wiernie sekretów. Nie pozwalał sobie na pewne półsłówka, które podchwyczone mogły uchodzić za obrazę władzy lub osoby prywatnej. Oddawał szacunek czyjejsz pozycji społecznej, a względem osób okazywał wdzięczność nawet, gdy ledwie można było dopatrzeć się pozoru dobrodziejstwa. Gotów zawsze do usług, nawet przeciwnikom wytrącał broń z ręki. Brał w obronę kogoś, kto niesłusznie był oskarżony, przyznawał zasługę dobrego czynu, względnie czyjejsz wiedzy lub talentu. Cierpliwy wśród zniewag, niesprawiedliwych posądzeń, prześladowań, potrafił opanować się pamiętając o słowach Ewangelii: „Nadstawić drugi policzek bijącemu, ustąpić suknię temu, kto zabiera płaszcz, iść drugie tyle drogi ze swym przeciwnikiem”.

Ale co jest zadziwiające Ksiądz Bosko rzadko znalazł się w podobnych tarapatkach, gdyż zrządzeniem Opatrzności przychodziło mu kontaktować się z wielu

osobistościami politycznymi, liberalnymi, czy wprost sekciarskimi, którzy pewni jego sekretu udawali się do niego w sprawach całkiem osobistych, względnie rodzinnych, zawsze mogąc polegać na jego dobroci i usłudności. Na domiar tego, Ksiądz Bosko niejednokrotnie rozpraszał pewne szkodliwe intrygi na honorze i majątku niektórych potężnych swych przeciwników, a uprzedzając ich słuszne pragnienia umiał pośrednio przywiązać ich do siebie i pozyskać przychylność.

We wszystkim postępował ze swobodną naturalnością, jak ten, który posiada wielki zasób roztropności nabytej w praktyce życiowej.

Brzydził się obłudą, wszelkim kręactwem słowa, postępowania były zawsze prawe zgodnie z ewangelicznym: „est, est; non, non”. Ta jego uprzejma prostota uwidoczniła się w stosunkach ze wszystkimi ludźmi bez względu na osobę, wszystkich zjednywał sobie uprzejmym traktowaniem. Posługiwał się słowami wypływającymi z serca, bez pochlebstw, a gdy chwalił kogoś, to szczerze. Nie liczył się ze względami ludzkimi, jeśli chodziło o podtrzymanie praw Boga i kościoła, a choć był zdecydowanym wrogiem fałszu, szanował jednak błędzących jako ludzi tak, że przekonywali się łatwo o szczerości jego zasad i nienagannym postępowaniu.

Prostota jego tchnęła zarazem dobrocią przyciągając do niego wszystkich, wielkich i małych, uczonych i prostaczków. Nie była jednak łatwowiernością, bo znał granice sumienia i własnej godności kapłańskiej.

Ludzie światowi i powierzchowni widząc, że zamiast ubiegać się o karierę poświęcił się najbiedniejszej młodzieży, uważali go zwłaszcza w początkach za prostaka a najwyżej entuzjastę i wizjonera. „Ciekawe jest to – pisze pewien znakomity pisarz – że wszyscy wybitni mężowie odznaczali się wielką prostotą w życiu zewnętrznym, co na ogół u ludzi świeckich nie popłaca”.

Tłumaczy to wiele spraw u Księdza Bosko. Fanatycy nowości nie liczyli się z nim, ignorowali go, uznając najwyżej za pacyfistycznego filantropa. I tak mógł Ksiądz Bosko stopniowo rozwijać fundacje, zdobywając uznanie oraz poparcie ze strony nieuprzedzonych i prawych ludzi, którzy doceniali wielkość jego inicjatyw i trafnych przewidywań.

Także we współczesnych aspiracjach ludowych wyczuwał on doskonale, co zasługiwało na poparcie, a co należało zreformować i usunąć. Widział jak rewolucja ogarniała coraz szersze warstwy i że niebawem stanie się siłą, która zmiecie wszelkie

napotkane przeszkody. Sprzeciwiać się wprost było niemożliwością i odniosłoby to skutek przeciwny. Dlatego zaczął odważnie zanurzać się i brnąć poprzez wezbrane fale, bacząc pilnie, by samemu nie utonąć i ratować innych zanurzających się w nie ze ślepą lekkomyślnością. Tak przygotowywał grunt i środki na to, by gdy ustanie potop, można było zabrać się do restauracji moralnej. Fakty, jakie opisywać będziemy okażą całą słuszość tego, co tylko zapowiedzieliśmy. A że z roztropnością łączył słodycz w działaniu i prostotę, ujrzymy w nim realizację słów Zbawiciela: „Błogosławieni cisi, albowiem oni posiadą ziemię”. /Mt 5,4/.

ROZDZIAŁ XXIV

Wielu znakomitych kapłanów poznawszy wiedzę i cnotę Księdza Bosko oraz widząc jak zbawienną dla młodzieży byłaby jego działalność, niepokoili się o to, czy i jak długo pozostanie on w Turynie. Poszli, więc do ks. Cafasso by znaleźć jakiś sposób na to, by czasem arcybiskup nie przeznaczył go do innej parafii na prowincji. A ksiądz Cafasso chwycił się doraźnego środka, by go zatrzymać nie przekraczając regulaminów Konwiktu kościelnego. Postanowił rozmówić się z księdzem Borelem dyrektorem Pobożnego Schroniska.

Księżę dyrektorze – rzecz – przychodzę prosić o przyjęcie do siebie pewnego zacnego kapłana.

Ksiądz Borel trochę zaskoczony tą propozycją, pomimo, że nie zwykł nigdy odmawiać księdzu Cafasso, odrzekł:

Ależ tu nie potrzeba pomocników! W Schronisku nie ma nawet dla mnie samego roboty.

Księżę Borel proszę zrobić mi tę przyjemność, a co do pensji sam pomyślę o tym.

Ale cóż będzie robił ten kapłan w tutejszym domu?

Niech by był wolny, by mógł dowolnie dysponować swym czasem. Mamy w Konwikcie młodego kapłana nazwiskiem Bosko, który jak wiadomo zainicjował swe oratorium młodzieżowe. W ubiegłym roku skończył kurs pastoralnej, obecnie pełni obowiązki asystenta korepetytora, a przy tym spowiada w kościele. Jest czas by objął jakieś stanowisko i innym pozostawił miejsce w Konwikcie. Jeśli pozwolimy, by odszedł na prowincję, stracimy go, będzie miał pole pracy zbyt wąskie, by mógł działać wiele dobrego, do czego go Bóg wzywa. Proszę pomyśleć nad tym, czy by nie można dać mu jakiegoś stanowiska w mieście. Obdarzony wybitną aktywnością i gorliwością zrobi wiele dobrego dla młodzieży. Jest on przeznaczony przez Opatrzność na apostoła Turynu.

Ksiądz Borel wziął tę sprawę do serca. Otrzymałszy od markizy Barolo propozycje wyszukania odpowiedniego kierownika duchownego dla jej Szpitalika

dziecięcego, zaproponował natychmiast Księdza Bosko. Markiza przyjęła jego kandydaturę zaznaczając tylko, że musi jeszcze poczekać z mieszkaniem parę miesięcy, gdy budynek świeżo wzniesiony zostanie należycie umeblowany. Lecz ksiądz Borel nastawał:

Pani Markizo tego kapłana należy przyjąć natychmiast inaczej zostanie wysłany na prowincję i już go nie dostaniemy. Ksiądz Bosko jak go znam to kapłan, którego nie możemy stąd puścić.

Markiza ostatecznie zdecydowała się na przedterminowe zaangażowanie Księdza Bosko na kapelana z pensją roczną 600 lir. Mieszkanie tymczasowo dawał mu ksiądz Borel w Schronisku.

Dobiegała połowa września, gdy sprawa była w toku. Ksiądz Cafasso jakby chciał wystawić na próbę Księdza Bosko, wezwał go do siebie i udając, że zapomniał o poprzedniej rozmowie oświadczył:

Czas, by Ksiądz udał się na jakieś pole pracy duszpasterskiej, potrzeby są ogromne i żniwo wielkie. Do czego więc Ksiądz miałby chęć się zabrać?

To, co Ksiądz zechce mi wskazać.

Ma Ksiądz do wyboru trzy stanowiska: wikarego w Buttigliera d'Asti, asystenta lektora w Konwikcie i kierownika duchowego Szpitalika dziecięcego przy Schronisku. Co Ksiądz wybiera?

To, co Ksiądz uzna za stosowne.

No, więc z tych trzech propozycji, do której Ksiądz ma większe chęci?

Miałbym ochotę zajmować się chłopcami. Ksiądz może posłużyć się mną, do czego zechce, zgadzam się na wszystko i przyjmę jako wyraz woli Bożej.

W obecnej chwili, co Ksiądz ma na myśli?

Zdaje mi się, że znajduję się wśród wielkiej gromady chłopców, którzy proszą mnie o pomoc.

Dobrze, proszę, zatem wyjechać na parę tygodni odpoczynku na wieś, w tych dniach pomyślę o zajęciu dla Księdza, po powrocie dowie się Ksiądz o swym przeznaczeniu.

Ksiądz Bosko zdecydował się wyjechać do Canelli. Z rana przed wyjazdem został wezwany do księdza Cafasso, który spytał:

Chciałbym wiedzieć czy Ksiądz pomyśli o tym, co mówiłem mu?

Gdyby chodziło o własne życzenie to wybieram Konwikta.

Bene, proszę iść załatwić swe sprawy.

Ksiądz Bosko opowiedział się za Konwiktem, gdyż nie wiedział gdzie mógłby zbierać swych małych przyjaciół.

Wyjeżdżał na razie z Turynu, przenocował w Asti kierując się do Canelli wraz z księdzem Palazzolo, by głosić rekolekcje dla tamtejszych parafian. Podróżowali pieszo i droga się dłużyła, gdy zaskoczyła ich ulewna burza. Zmoknięci do nitki dotarli do jakiejś przydrożnej chałupki niedaleko Riva di Chieri, własności niejakiego Genta. Gospodarz zajęty wypiekiem chleba zaledwie ich spostrzegł, lękał się początkowo, że mogą to być bandyci, przekonawszy się o swej pomyłce zajął się podróżnymi troskliwie, zmienił im ubranie, zastawił sutą wieczerzę i pobiegł do sąsiedniej kaplicy po brewiarz i rubrycelę. Ksiądz kapelan słysząc o przybyciu obcych księży przyszedł ich przywitać. Serdeczna rozmowa przeciągnęła się do północy. Zażywszy dobrego wypoczynku, nazajutrz udali się w dalszą drogę. Spotkali woźnicę z bryczką, który popędzając konie raz po raz przeklinał głośno. Ksiądz Palazzolo nie mogąc tego znieść zwrócił się do woźnicy:

To takie macie modlitwy strzeliste? Tak traktujecie Boga?

Woźnica poirytowany coś tam bąknął, że księża nie lepsi i że nie znosi uwag..., lepiej zrobie, gdy będzie patrzył na siebie itp.

Ksiądz Palazzolo płacił z nawiązką i tak rozmowa stawała się coraz bardziej napięta, gdy wdał się w spór Ksiądz Bosko. Poprosił towarzysza, by poprowadził go w kierunku Canelli już bliskiego, sam zaś przysiadł się do woźnicy. Próbował wytłumaczyć swego towarzysza, wyraził współczucie dla twardego losu biedaka, pochwalił jako dobrego „galantuomo”, uspokoił, poruszył sprawy rodzinne i tak wnet zawiązała się między nimi przyjaźń. Stopniowo naprowadził go do uszanowania Imienia Bożego, wspomniał o karach, jakie spotkały bluźnierców i zaprosił, by się wypowiadał.

Jestem gotów proszę Księdza, lecz jak i gdzie?

Tu zaraz – wskazał mu Święty łąkę opodal drogi. Woźnica zatrzymał powóz. Ksiądz Bosko usiadł pod drzewem, a penitent klęcząc spowiadał się ze szczerym żalem. Rozpromieniony podwiózł Księdza Bosko kawałek drogi. Gdy żegnał się z nim, nie miał słów na wyrażenie wdzięczności.

Ksiądz Bosko przybywając do Canelli był pod wrażeniem odpowiedzi pewnego chłopca, który spytany przez jego towarzysza: „dokąd idzie? – odrzekł – że do winnicy”. Słowa te brzmiały w uszach Księdza Bosko jak magiczna zapowiedź wielkiego żniwa, jakie gotował mu Pan Bóg. Jeszcze w późnym wieku wspominał tę drobną okoliczność, która tak głęboko wyryła mu się w pamięci.

Po wygłoszeniu rekolekcji wrócił do Castelnuovo, by głosić nowennę do Matki Bożej Różańcowej, spowiadając tłumnie garnących się wiernych, podobnie jak było w Canelli.

Jego specjalna metoda pouczająca, jaką stosował w kazaniach, przynosiła owoce w duszach prostego ludu wiejskiego, zarówno jak młodzieży.

„Było to dla mnie samego zdumiewające – powiadał Ksiądz Bosko – że mych kazań słuchano z chciwością, pomimo że nie mówiłem rzeczy nowych, ani specjalnie przygotowanych. Traktowałem tematy na pewno lepiej opanowane przez niejednego kapłana. Przekonałem się, że kaznodzieja chcąc zdobyć posłuch i uczynić coś dobrego wśród ludu nie musi prawić wyszukanych kazań, przemawiać winien zrozumiale, by lud pojął, czego chce kaznodzieja. Jeśli rozumie go jest zadowolony, jeśli nie chwyta wątku - nudzi się. W tym kierunku robiłem wysiłki, by nauczyć się tak właśnie przemawiać do ludu, jestem przekonany, że gdybym przestudiował wszystkie homiletyki nie potrafiłbym go zainteresować. Prostemu ludowi nie podoba się taki sposób kazania, gdy zaczyna się od „comincio”, a potem rozwija podział tematu. Tak samo, gdy przeprowadza się dalsze dystynkcje, jakich często lud zgoła nie rozumie, z wyjątkiem gdy mowa o jałmużnie. Jestem zdania, by treść kazania wypowiedzieć jednym ciągiem. Potem należy przejść do szczegółowych okoliczności danego faktu, z którego chce się wysnuć naukę.

Udawało mi się to bez specjalnej metody i wyuczonych reguł książkowych, myślałem tylko o tym, by być zrozumiałym i podkoloryzowałem nieco pewne szczegóły, które ludowi przypadną do gustu.

Osiągnąłem to i miałem posłuch u ludu. Nie miałbym tylu słuchaczy, gdybym zaczynał od „exordium” podając dyspozycję treści, zapowiadając: „teraz wam udowodnię...”. To są raczej sposoby szkolne i lud ich nie rozumie.

Przygotowując treść kazania, główną rzeczą według mnie jest dobre ujęcie przedmiotu. Gdy to się uczyni, treść sama się rozwinie. Mając dyspozycję jasno ujętą, rzecz już gotowa, słowa nasuną okoliczności. Wstęp zaczynać od jakiejś okoliczności miejsca, czasu, sposobności. Najlepiej służą odpowiednie przykłady, porównania, nawet bajki czy czyjeś myśli. Za pomocą tego utkwi w umyśle słuchaczy jakaś prawda na całe ich życie. Nie mogę dotąd zapomnieć pewnego kazania, w którym chciałem wyjaśnić, że Bóg „wszystko dobrze uczynił” to, że ustanowił przedziwny porządek w przyrodzie, a zarazem służący dla korzyści człowieka, stąd płynie prawda, by przyjmować wszystko jakby z rąk Bożych.

Opowiedziałem następujący przykład: Pewien podróżny zmęczony siadł pod dębem i myśli sobie: Dlaczego to Pan Bóg tak potężnym drzewom dał tak nikłe owoce jak żołędzie? Natomiast jak nieproporcjonalnie wielka jest dynia, która nawet nie może utrzymać się na swej łodydze i leży na ziemi. O ileż piękniej wyglądałyby owe dynie gdyby zwisały z potężnych konarów dębu? Z takimi myślami zasnął pod drzewem. Naraz za powiewem wietrzyka spadł mu żołędź wprost na nos tak, że się zbudził i myśli sobie: Jak mądry jest Pan Bóg, że dał dębom tak nikłe owoce, bo gdyby tak dynia spadła mi na głowę, byłbym zmiażdżony...

Innym razem pragnąłem wpoić swym słuchaczom przekonanie, jak to nierozumnie pysznić się czymś i wynosić nad drugich, lecz jak to zrobić? Gdybym przytoczył wszystkie sentencje Pisma św. na ten temat, moi słuchacze młodociani nic by sobie z tego nie robili. Znudziłoby się i prędko zapomnieli o tym. Opowiadałem im, więc bajkę Ezopa o żabie, przystrajając ją w nowe okoliczności: mianowicie, pewna żaba chciała być tak wielką jak wół, tak się nadymała, że w końcu pękła.

Umieściłem ją w pobliżu Walentyna, wraz z wielu zabawnymi okolicznościami, kazałem jej prowadzić dialog z innymi żabami dla uwypuklenia pewnych punktów moralnych. A przecież nic pospolitszego nad to opowiadanie”.

Takimi przykładami posługiwał się Ksiądz Bosko, którego kazania nie były o wszystkim i o niczym, jakby sobie ktoś mógł pomyśleć dla usprawiedliwienia swej gnuśności. Przywodził on argumenty z Pisma św. i Dziejów biblijnych, Historii kościelnej, w które obficie był zaopatrzony i trzymał się pewnego sensu oraz prawideł homiletycznych. Przede wszystkim jednak sekretem jego sukcesów kaznodziejskich było to, że nie siebie szukał na ambonie, lecz Jezusa Chrystusa.

ROZDZIAŁ XXV

Po upływie wakacji Ksiądz Bosko wrócił do Konwiktu i do swego niezrównanego mistrza i przyjaciela ks. Cafasso. Początkowo zachowywali dyskretne milczenie. Po paru dniach ks. Cafasso zagadnął:

Dlaczego, mnie Ksiądz nie pyta o swe zajęcie?

Dlatego, że pragnę całkowicie pełnić wolę Bożą i nie chcę niczego sugerować od siebie, proszę mnie posłać, dokąd sobie ksiądz życzy, a natychmiast gotów jestem tam się udać.

Dobrze, zatem proszę spakować walizkę i udać się do Schroniska markizy Barolo. Tam będzie Ksiądz kierownikiem duchowym Szpitalika św. Filomeny oraz pomagać księdzu Borelowi w obsłudze zakładu markizy Barolo. Pan Bóg wskaże w Schronisku, co macie czynić dla zaniedbanej młodzieży.

Na pierwszy rzut oka wydawać się mogło, że takie postawienie sprawy sprzeciwiało się skłonnościom Księdza Bosko i dobru jego Oratorium, kierownictwo, bowiem Szpitalika, głoszenie kazań, słuchanie spowiedzi w zakładzie liczącym ponad 400 dziewcząt, zdawało się usuwać w cień zajmowanie się chłopcami. Tak jednak nie stało się, jak zobaczymy dalej.

Nim podejmiemy dalszą historię wypadu zaznaczyć, kim była markiza Giulietta Colbert, zaślubiona z markizem Tancredi Falletti Barolo. Była to osoba godna pochwały udzielonej przez Apostołów Tabicie „Pełna dobrych uczynków i jałmużny, które czyniła”. Obracała swe majątności na dobro klasy robotniczej i ubogich. W swej wspaniałomyślności twierdziła: „Nic nie tracimy z tego, co dajemy z miłosierdzia. Dawajmy bez liczenia się, a Pan Bóg będzie naszym kasjerem”. Ulubionym miejscem jej odwiedzin był karczer dla niewiast, gdzie za pozwoleniem władz przebywała do czterech godzin dziennie. Doznawała nieraz razów i upokorzeń, modliła się wspólnie z więźniarkami zamieniając bestialskie siedliska na przybytek chrześcijańskich pokutnic, pogodzonych z Bogiem. Owocem jej zabiegów były niezwykle nawrócenia. Uzyskawszy od władz zezwolenie na przeniesienie więźniarek do budynku zdrowszego, zwanego „Dom rehabilitacyjny”, nadała im regulamin wspólnie

przedyskutowany z nimi, przeplatając czas praktykami pobożności i pracą odpowiednio rozłożoną.

Pieczę nad nimi zleciła Siostrom Józefinkom sprowadzonym z Turynu, wnosząc dla nich osobne piętro budynku tak, że w ten sposób dom więzienny nabrał miłego wyglądu klasztoru. Dla wielu z nich wyjednała darowanie win i jak dobra matka nie przestała wspierać je po wyjściu z więzienia.

Za zgodą króla sprowadziła do Turynu Damy Najświętszej Serca Pana Jezusa dla wychowania szlachcianek, oddając im do dyspozycji swą willę w pobliżu Turynu. W roku 1834 pomyślała o umieszczeniu w zakładzie wychowawczym niezamożnych dziewcząt, wnosząc własnym sumptem obszerny gmach obok kościoła Consolaty. Ufundowała Instytut Sióstr św. Anny, układając dla nich reguły potwierdzone przez arcybiskupa, nowicjuszki oddała pod opiekę S. Klementyny Józefinki ze Sabaudii. Szybki rozwój instytucji pod jej mądrym kierownictwem zapewniał też obsługę kolegium.

Prócz tego, ufundowała inny dom dla 30 sierot, od jej imienia wywodzący nazwę „Giulietta”, z których każda opuszczając zakład otrzymywała posag w kwocie 500 lir. Dla dziewcząt pracujących w różnych sklepach ustanowiła w centrum miasta tzw. „famiglie” tak, że każda grupa miała swą „madre” z pensją roczną, mającą obowiązek troszczenia się o zespół. Schodziły się one na wspólny obiad oraz pod wieczór po skończonej pracy. Tu uczyły się katechizmu, elementarza, wprawiały się w szyciu, haftowaniu, gotowaniu i innych zajęciach domowych. Dziewczęta uczestniczyły codziennie we Mszy św., a w niedzielę brały udział w nabożeństwach parafialnych.

Zorganizowała w diecezji Pinerolo szkołę dla dziewcząt, kurs dla kandydatek na nauczycielki oraz doroczne rekolekcje dla nich.

Uposażyła hojnie klasztor Sióstr Sakramentek sprowadzonych przez króla Karola Alberta z Rzymu.

Spośród instytucji powołanych przez nią do życia, największe uposażenie przeznaczyła dla Schroniska. Tu w wielkiej liczbie zgłaszały się dziewczęta potrzebujące dobroczynnej ręki, która by je podniosła z upadku. Jedne przejednane wracały do rodzin, inne wyrывała z niewoli występku starając się o uczciwe dla nich zamążpójście. Zamyślała również otworzyć schronisko dla pokutujących, liczące

ponad 200 osób. Mieściło się ono na Valdocco, pod zarządem Sióstr Józefinek. Dla tych, które nie chciały opuszczać tego azylu i pragnęły poświęcić się służbie Bożej, ufundowała obok Schroniska klasztor św. Marii Magdaleny, zdolny pomieścić około 70 sióstr.

Obok klasztoru ufundowała trzeci dom dla tzw. „Magdalennine”, to jest dziewcząt zepsutych od lat 12-18, których wychowanie powierzyła Siostron Magdalenkom. Wreszcie w roku 1844 obok Schroniska i Magdalenek wybudowała szpitalik dla dzieci debilów.

Otóż ta właśnie grupa instytucji przy Schronisku miała być polem pracy Księdza Bosko. Na jego chwałę, gdy ksiądz Cafasso przedstawił tę kandydaturę arcybiskupowi, ten z miejsca zaaprobował widząc w nim kapłana o wypróbowanej cnocie, pomimo młodego wieku.

Tymczasem Ksiądz Bosko w towarzystwie księdza Borela przedstawił się markizie Barolo, która owdowiała w roku 1838. Wiedział już o jej odwadze w pielęgnowaniu zadżumionych w czasie, gdy w okolicach Moncalieri grasowała cholera, dowiedział się również od ks. Cafasso, jak usilnie pracowała nad opanowaniem wrodzonej porywczosci i despotycznego usposobienia.

Z pierwszego zetknięcia się z nią wyczuł, że pod osłoną majestatyczności kryje się głęboka pokora oraz iście macierzyńska dobroć. I tak nawiązała się nić szczerego szacunku i wzajemnego zrozumienia się między tymi dwiema wielkimi duszami.

Przed objęciem stanowiska w Schronisku, Ksiądz Bosko chciał wyjaśnić sprawę, obawiając się, że będzie zmuszony opuścić swych chłopców, dlatego oświadczył, że chętnie udzielać się będzie jako kaznodzieja i spowiednik, lecz nie podejmuje się kierownictwa wewnętrznego zakładu. Uspokojono go zapewniając, że ksiądz Borel weźmie na siebie istotne obowiązki tego urzędu. Zażądał również tego, by chłopcy bez przeszkód mogli go odwiedzać, przychodzić na naukę katechizmu do jego mieszkania. Dla jego zachęty markiza zgodziła się, by mógł gromadzić chłopców nie tylko przy schronisku, lecz również obok nowo budującego się gmachu zakładu św. Filomeny. W ten sposób zapewnił dalsze prowadzenie swego dzieła.

Ksiądz Bosko, zatem przeniósł się do Schroniska Barolo, mieszczącego się podówczas na peryferiach miasta, tuż przy prawym brzegu Dory. Stąd rozciągały się

tereny prawie niezamieszkałe, obejmujące ogrody, zabudowania gospodarcze etc. Teren należał do parafii św. Apostołów Szymona i Judy w Borgo Dora. Ksiądz Bosko nawiązał serdeczny kontakt z dotychczasowym dyrektorem Schroniska księdzem Borelem, z którym niejednokrotnie odwiedzał więzienia turyńskie. Zaczynał ten kapłan poważany był powszechnie przez swą cnotę i wiedzę. Znana była jego gorliwość niezmordowana o zbawienie dusz. Ksiądz Bosko między swymi notatkami zachował wspomnienie pewnego kapłana turyńskiego o księdzu Borelu: „Vidisti virum velocem in opere suo?”. Oto, co mi przychodzi na myśl, gdy po raz pierwszy zetknąłem się z księdzem Borelem zawsze drogą pamięci. Można o nim bez przesady powiedzieć, że był „un valoroso bersagliere” św. Kościoła rzymskiego. Przebiegał tu i ówdzie w pogoni za duszami, nie wzbraniając się od żadnej pracy, jeśli tylko starczyło mu czasu. Nie znał wyrazu „wakacje”, twierdząc, że w życiu Świętych nie znajduje się słowo „vacanze”. Po spożyciu posiłku zabierał się zamiast rekreacji do pisania próśb w imieniu swych podopiecznych do władz i bogatych panów, względnie szedł do chorych zanosząc jałmużny, konferował z księżmi na temat urzędowania misji ludowych, rekolekcji, dialogów katechizmowych. Względem tych ostatnich wielkim jego przyjacielem był ks. Cafasso. Starał się tak przemawiać, by być rozumianym przez prosty lud, stosując radę O. Prevera Oratorianina: „Świat jest naiwny, tak też do niego trzeba przemawiać”.

Nie sposób wyliczyć serii rekolekcji, jakie wygłosił, zwłaszcza w samym Turynie. Słuchał niezliczonych spowiedzi wszelkiego stanu i kondycji.

Znamienne były jego przygody w więzieniach oraz niezwykle nawrócenia, jakich dokonywała jego miłość, z których czasem Ksiądz Bosko przytaczał sceny pełne humoru. Na przykład: pewnego razu próbował namówić więźniów do spowiedzi wielkanocnej. Wskazano więc mu jednego, który nie chciał o tym słyszeć. Ksiądz Borel pół żartem, pół serio pociąga go za kłapy surduta do konfesjonału i tak udaje się go wyspowiadać. Innym razem, gdy kilku takich poczciwców zmożonych na słońcu usnęło, zacny kapłan widząc, że urwała się kolejka do spowiedzi, podszedł do jednego z najbardziej opornych i przykrył kapeluszem twarz jego i swoją. Gentelmen budzi się i słysząc śmiechy obecnych wstaje zmieszany. Lecz ksiądz Borel przytrzymuje go, pociąga za sobą i dopiero wyspowiadanego puszcza wolno. Jeszcze wielu innych

udało się w ten sposób wypowiadać. Dlatego pod wieczór spocony, zmieniawszy bieliznę zwraca się do otoczenia: „Deo gratias! Mieliśmy dziś dobry połów!”.

Skoro ksiądz Borel i Ksiądz Bosko zetknęli się razem, polubili się szczerze, podtrzymując się w gorliwości.

„Ilekcroć przestawałem z nim – pisze Ksiądz Bosko – otrzymywałem zawsze lekcje kapłańskiej cnoty, nigdy mi nie skąpił dobrych rad. W ciągu trzech lat pobytu w Konwikcie otrzymywałem od niego zaproszenie udziału we funkcjach liturgicznych, w spowiadaniu, głoszeniu kazań etc., przez co zapoznałem się niejako z jego polem pracy w Schronisku. Niekiedy wymienialiśmy wzajemnie doświadczenia duszpasterskie i ustalaliśmy współpracę na odcinku więzień i innych obowiązków nam zleconych”.

Tymczasem umeblowano mieszkanie Księdzu Bosko. Był nim pokój nad głównym wejściem do zakładu. Następny był pokój księdza Borela. Na parterze mieszkał portier. Ksiądz Bosko, więc zmuszony był przenieść tu swe oratorium. Oglądnął dokładnie budynek. „Ale gdzie można tu gromadzić chłopców?”.

Nie frasujmy się – pocieszał go towarzysz. Pokój Księdza może służyć jakiś czas na zbiórki, potem zobaczymy jak się urządzić.

Ale wie ksiądz, że jest wielka liczba chłopców gromadzących się przy kościele św. Franciszka...

Gdy zamieszkamy w budynku przygotowanym dla księży przy Szpitaliku, wtedy będzie można dostać lepsze pomieszczenia.

Ksiądz Bosko wrócił do Konwiktu nieco zafrasowany, na myśl jednak, że będzie obcował z kapłanem tak świętym jak ksiądz Borel odczuwał satysfakcję. Podobnie uznał za pomyślny los przyjaźń z innym kapłanem obsługującym Schronisko, z którym również łączyły go zażyłe stosunki.

ROZDZIAŁ XXVI

Pewien fakt przedziwny podnosił na duchu w owych dniach Księdza Bosko, wieszcząc przyszłe wydarzenia. Przytoczymy go własnymi słowami Księdza Bosko wyjętymi z jego manuskryptu: „W drugą niedzielę października tegoż (1844) roku miałem zakomunikować mym chłopcom, że Oratorium zostanie przeniesione na Valdocco. Lecz niepewność miejsca, środków, osób dawały mi wiele do myślenia. Wieczorem dnia poprzedniego położyłem się do łóżka z sercem niespokojnym. Owej nocy miałem sen nowy, jakby uzupełnienie owego, gdy miałem lat dziewięć w Becchi. Uważam za stosowne przytoczyć go dosłownie:

Śniłem, że znajduję się wśród ogromnego stada wilków, kóz, kozłów, jagniąt, owiec, baranów, psów i chmary rozmaitego ptactwa. Wszystko to czyniło taki zgiełk, hałas, taką wrzawę piekielną, że nie wytrzymałby tam największy śmialek. Chciałem, więc uciekać, gdy wtem jakaś dostojna Pani, ubrana w strój pasterki skinęła na mnie, bym poszedł za tym dziwnym rojowiskiem, które ona właśnie prowadziła.

Chodząc z miejsca na miejsce, zrobiliśmy trzy przystanki. Na każdym takim postoju wiele z tych zwierząt zamieniało się w jagniątko, a liczba ich, co raz więcej rosła. Po długiej wędrówce znalazłem się z całym stadem na łące, gdzie wszystkie te zwierzęta baraszkowały i jadły w najlepszej zgodzie. Wyczerpany na siłach, chciałem sobie usiąść obok drogi, ale Pasterka nie pozwoliła i trzeba było iść dalej. Uszliśmy jednak już niedaleko, gdy stanęliśmy na obszernym placu, otoczonym krążgankami, przed jakimś kościołem. Teraz zauważyłem, że cztery piąte owych zwierząt zamieniło się w jagnięta, których ciągle przybywało. W tej chwili zjawilo się kilku pasterzy do pomocy. Niedługo jednak mi pomagali i poszli sobie. Wtedy stała się rzecz nadzwyczajna, wiele jagniąt zamieniło się w pasterzy. W miarę jak ich liczba rosła, dzielili się na grupy i rozchodzili się w różne strony, aby gdzie indziej gromadzić różne zwierzęta i spędzać je do nowych owczarni.

Już chciałem odejść, bo mi się zdawało, że czas odprawić Mszę św., ale Pasterka kazała mi spojrzeć na południe. Usłuchałem i zobaczyłem obszerne pole obsiane kukurydzą, kapustą, burakami, sałatą i podobnymi warzywami.

Popatrz jeszcze raz, nalegała. Popatrzyłem ponownie i ujrzałem drugi wspaniały kościół. Orkiestra i chóry śpiewaków stały gotowe do odśpiewania Mszy św. Wewnątrz kościoła rozwieszona była biała wstęga z wyrazistym napisem:

HAEC DOMUS MEA, INDE GLORIA MEA – Ten dom mój, stąd chwała moja.

Pytam ową Pasterkę gdzie ja się właściwie znajduję, co oznacza ta wędrówka, owe postoje, ten dom, kościół i ta druga świątynia?

Zrozumiesz wszystko, kiedy to, na co teraz patrzysz, oczyma duszy zobaczysz urzeczywistnione.

Zdawało mi się, że nie śnię, więc odrzekłem:

Przecież wszystko widzę jak najwyraźniej, widzę wszystko na jawie... wiem, dokąd idę i co robię...

Tu odezwał się dzwon z wieży kościelnej św. Franciszka z Asyżu na Anioł Pański i zbudziłem się. Powyższy sen zajął mi całą noc, towarzyszyło mu wiele okoliczności. Wówczas nie bardzo pojąłem znaczenie snu, gdyż nie przykładałem doń wielkiej wiary, dopiero, gdy zaczęły się sprawdzać niektóre rzeczy widziane we śnie”.

W ten sposób obecny jak i późniejszy sen posłużyły mi za program działania w Schronisku.

Zatem w drugą niedzielę października 1844 r., w Uroczystość Macierzyństwa Najświętszej Marii Panny, Ksiądz Bosko zakomunikował swym chłopcom przeniesienie Oratorium na nowe miejsce. Początkowo nowość ta im nie zaimponowała. Kiedy jednak dla uspokojenia powiedział, że zaprowadzi ich do innego jeszcze piękniejszego i wygodniejszego miejsca i że tam będą mogli dowoli się wyśpiwać, wyhasać i zażywać rozrywek ile tylko zechcą, podskakiwali z radości i każdy wyglądał niecierpliwie następnej niedzieli i roił sobie w chłopięcej fantazji, co też ona przyniesie. Uprzedzono chłopców, by z pewnych powodów nie przychodzili z rana, lecz dopiero po południu.

Nadeszła wreszcie ta niedziela, trzecia października, w której Kościół czcił Czystość Najświętszej Marii Panny, gdy po południu tłum młodzieży wszelkiego pokroju i stanu zbiegał się na Valdocco poszukując Księdza Bosko i nowe Oratorium.

Gdzie Ksiądz Bosko, gdzie Ksiądz Bosko ? – wołano.

Ach, co to był za rwetes nie z tej ziemi! Na ten hałas i krzyki mieszkańcy pobliskich domów przerażeni powybiegali ze swych mieszkań lękając się jakiegoś

napadu. W tej okolicy nie słyszano dotąd ani o Księdzu Bosko, ani o żadnym Oratorium tak, że zaniepokojeni odpowiadali: Che Don Bosco, che oratorio? Via di qua ragazzoci! (Jaki tam Ksiądz Bosko, co za Oratorium, wynoście się stąd!).

Ale chłopcy nie dając za wygraną krzyczeli głośniejsze, myśląc, że się z nich naśmiewają. Tamci zaś biorąc to za drwiny, odpowiadali groźbami i biciem. Zanosilo się na awanturę nie lada, gdy Ksiądz Bosko słysząc krzyki, zorientował się, że to jego chłopcy pytają o niego i Oratorium:

Ależ on powiedział, byśmy tu przyszli, tylko nie wiemy, pod którymi drzwiami mieszka...

Jeden z nich zawołał głosem stentorowym:

Tu mieszka Ksiądz Bosko, chodźcie za mną! Ksiądz Bosko w tej chwili ukazał się w progu. Na jego widok podniosły się okrzyki:

Och! Ksiądz Bosko, Ksiądz Bosko!... Gdzie jest Oratorium? Przyszliśmy do Oratorium! Biegli zewsząd ku niemu, ustały wszelkie nieporozumienia. Na ten widok ludzie przeszli z gniewu do zdziwienia otwierając szeroko oczy i pytając się nawzajem:

Kto to jest ten Ksiądz, skąd ci chłopcy itp.

Na pytanie młodzieży, gdzie jest oratorium, dyrektor ich dobrotliwie tłumaczył, że prawdziwe Oratorium jeszcze niewybudowane i że tymczasem przyjdą do jego mieszkania, zresztą dość obszernego, które posłuży na zebrania młodzieży. Tłum chłopców wpadł na schody, począł się przepychać, kto pierwszy dotrze do pokoju Księdza Bosko. Jeden siadł na łóżku, inny na stoliku, na ziemi, bądź na parapecie okna. Tak jakoś przeszła niedziela pomimo, że w tym szczupłym pomieszczeniu brakowało swobody, jak sobie wyobrażali, lecz w końcu i z tego byli zadowoleni. Zresztą wynagradzał im to Ksiądz Bosko swą uprzejmością, miłym traktowaniem, sypiąc jak z rękawa żartami. Było trochę katechizmu, odmówiono modlitwy wspólnie, był opowiedziany jakiś budujący przykład, zaśpiewano pieśń do Matki Bożej, słowem to samo, co dotąd praktykowano przy kościele św. Franciszka z Asyżu.

Prawdziwy kłopot zaczął się następnej niedzieli, gdy do pierwszych chłopców dołączyli się inni z sąsiednich dzielnic i nie wiadomo było, gdzie ich pomieścić. Pokój, korytarz, schody, wszystko zatłoczone młodzieżą. Ksiądz Bosko uczył katechizmu czy

wyjaśniał Ewangelię niedzielną w swym pokoju, a ksiądz Borel, który ofiarował się pomagać, czynił to samo najstarszym natłoczonym na schodach.

Ale dopiero prawdziwa komedia to była rekreacja. Jeden zapalał ogień, inny go gasił, jeden zmiatał pokój nie skropiwszy go, drugi odkurzał, jeden zmywał garnki, inny je tłukł. Szczypce, klamki, wiadra, dzbanki, miski, krzesła, książki, odzież, trzewiki, wszystko było przewracane, podczas gdy starsi starali się je uporządkować.

A Ksiądz Bosko patrzył uśmiechając się i polecał tylko, by mu nie rozbito wszystkiego. Caritas patiens est. Ileż lat wykonywać mu przyszło w stopniu heroicznym cnotę męstwa, odnosząc nad sobą zwycięstwo w otoczeniu rzeszy chłopców tak żywych i niewychowanych!

Tak było przez następne sześć niedziel. Z rana, po wyspowiadaniu chłopców wybierano się do któregoś z sąsiednich kościołów na wysłuchanie Mszy św. Nieraz Ksiądz Bosko pytał chłopców:

Gdzie chcecie, dziś być na Mszy św.?

U Consolaty, al Monte, si Sassiz, alla Crocetta – wołano na wyścigi chcąc się przekrzyczeć wzajemnie. Młodzież rozweselona z Księdzem Bosko na czele, odmawiając po drodze Różaniec przechodziła ulicami Turynu do wybranego kościoła, by uczestniczyć w nabożeństwie. Zazwyczaj udawano się na nabożeństwo wieczorne do Braci Lasallistów. Ci zacni zakonnicy chętnie udzielali pozwolenia na to z wdzięczności za pomoc udzielaną im przez Księdza Bosko w spowiadaniu młodzieży.

Czasem był wielki natłok i ciasnota w czasie nabożeństw. Niektórzy wychowankowie w późniejszych latach opowiadali, że razu pewnego na uroczystość Wszystkich Świętych chłopcy zapełnili pokój i zakamarki, a wszyscy pragnęli spowiadać się u Księdza Bosko. Co tu robić? Było tylko dwóch spowiedników, a ich blisko dwustu stłoczonych jak śledzie w beczce.

Tak dalej być nie może – oświadczył zdecydowanie ks. Borel, koniecznie trzeba postarać się o jakiś lokal.

Ksiądz Bosko wówczas poszedł do arcybiskupa, by przedstawić mu, co zrobiono i czego można było się spodziewać się w przyszłości. Arcybiskup, mimo, że doceniał doniosłość tego dzieła, spytał:

A czy chłopcy nie mogliby uczęszczać do własnych parafii?, Przewidywał niemałe trudności, jakie mogliby w przyszłości stawiać proboszczowie. Ksiądz Bosko odpowie:

Niektórzy z chłopców są z daleka i spędzają w Turynie tylko część roku. Nie wiedzą oni nawet, do której parafii należą. Wielu nosi się w podartej odzieży, są też tacy, co mówią narzeczami niezrozumiałymi. Inni są dorośli i nie mają śmiałości zapisać się na naukę katechizmu z młodymi. Wielu z miasta, bądź z niedbalstwa rodziców, bądź uwiedzionych rozrywkami, jakie daje ulica, czy przez złych kolegów, rzadko lub prawie nigdy nie chodzą do kościoła.

Przekonany argumentacją Księdza Bosko arcypasterz odpowiedział:

Dobrze, proszę pracować nadal w tym kierunku. Daję Księdzu wszelkie potrzebne uprawnienia, błogosławię jego dzieła i będę mu dopomagał, w czym będzie to możliwe. Z tego, co Ksiądz opowiada wnioskuję, że potrzebny jest odpowiedni lokal obszerniejszy. Proszę iść do pani markizy Barolo, do której sam napiszę, może ona coś potrafi zrobić dla Oratorium w pobliżu jej Schroniska.

Ksiądz Bosko udał się do markizy. Dała mu ona do dyspozycji dwa obszerne pokoje w swym budynku. Dojście było przez bramę wspomnianego Szpitalika, a przez placzyk oddzielający Dzieło Cottolengo. Od wspomnianego budynku przechodziło się do obecnego mieszkania księży na trzecie piętro. Było ono przeznaczone na rekreację dla księży kapelanów schroniska.

Było to miejsce wskazane przez Opatrzność na pierwszą kaplicę Oratorium. Przełożony kościelny udzielił Księdzu Bosko zezwolenia na jej poświęcenie, celebrowanie Mszy św., nabożeństwa eucharystyczne, odprawianie triduów i nowenn. Zwykły drewniany ołtarz w formie stołu wraz z koniecznymi utensyliami, tabernakulum złożone z dwoma Cherubami, kilka ornatów w różnych kolorach liturgicznych, stara stua, cztery stroje dla kleryków i ministrantów – oto całe wyposażenie kaplicy. Markiza darowała 70 lir na zakupienie świeczników, 30 lir na dywany i zasłony na ołtarz oraz 20 lir na komeżki.

Kaplica poświęcona została w dniu 8 grudnia w Uroczystość Niepokalanego Poczęcia NMP, pod której płaszcz opiekuńczy oddał Ksiądz Bosko swe Oratorium. Ołtarz został poświęcony świętemu Franciszkowi Salezemu.

Cóż to za ubożuchna kapliczka! Brakowało klęczników i ławek, trzeba było zadowolić się kilkoma chwiejącymi się ławkami i paru fotelami z rozprutym obiciem. Lecz Opatrzność Boska pospieszyła z pomocą i nie zawiodła ofiarność pobożnych osób.

Mimo że pogoda była bardzo brzydka, chłopcy przybyli bardzo licznie. Tego rana padał również gęsty śnieg pędzony wiatrem tak, że tworzył zaspę, a ponieważ chwycił mróz, trzeba było przynieść wielki piec żelazny. Wspominano później, że gdy go niesiono, spadające sople lodu dzwoniły niesamowicie, co było bardzo zabawne. Ale czego nie zapomniano nigdy, to łzy spadające z oczu Księdza Bosko, gdy poświęcał lokal. Były to łzy radości, na widok konsolidującego się Oratorium, w którym łatwiej będzie mógł gromadzić większą liczbę chłopców, by ich zabezpieczyć przed niebezpieczeństwami napierającej po mieście niemoralności i bezbożnictwa.

ROZDZIAŁ XXVII

Sprawy w nowym oratorium stopniowo się układały. Pewna osoba ufundowała dość dużą liczbę ławek tak, że można było wygodniej uczestniczyć w nabożeństwach. Imię św. Franciszka Salezego stało się popularne wśród chłopców. Ksiądz Bosko od początku postanowił, by uroczystość tego drogiego Patrona była obchodzona z możliwie największą pompą.

Mógłby ktoś zapytać: „W jaki sposób i dlaczego wspomniane Oratorium otrzymało za Patrona i zaczęło się nazywać Oratorium św. Franciszka Salezego?”. Otóż Ksiądz Bosko jeszcze w Konwikcie postanowił, że wszystkie swe dzieła odda pod opiekę Apostoła Chablais, chciał jednak usłyszeć w tym względzie opinię księdza Cafasso. I ksiądz Cafasso pochwalił ten projekt. Były po temu trzy powody. Po pierwsze markiza Barolo popierająca Księdza Bosko postanowiła ufundować stowarzyszenie kapłanów pod wezwaniem św. Franciszka Salezego nie tylko dla obsługi wielu jej fundacji już istniejących, ale także przyszłych, jak kolegium dla chłopców gimnazjalistów, pracownię krawiecką dla dziewcząt w wieku od lat 12, z tą intencją poleciła namalować na murze nad wejściem do pomieszczeń przeznaczonych dla księży kapelanów obraz św. Franciszka Salezego. Na drugim miejscu, ponieważ apostołat nad młodzieżą wymagał wielkiej równowagi i łagodności, dlatego chciał oddać się w opiekę Świętemu łagodności. Była jeszcze trzecia racja, w tym czasie wiele błędnych nauk, między innymi propaganda protestancka, poczęły się wciskać do Włoch, zwłaszcza do Turynu, pomiędzy najniższe warstwy ludu. Otóż Ksiądz Bosko przy pomocy tego Świętego pragnął uzyskać z Nieba pomoc dla pozyskiwania dusz, światło i umocnienie w zwalczaniu tych samych wrogów, nad którymi on tak wspaniale za swego ziemskiego życia triumfował, ku chwale Boga, kościoła i korzyści niezmiernej liczby dusz. Ponadto sądził, że duch św. Franciszka Salezego był najbardziej przystosowany do czasów bieżących, dla kształcenia i wychowywania młodzieży.

Znał on doskonale życie i pisma tego Apostoła, z czego później wiele czerpał w pracy nad młodzieżą. Starał się przede wszystkim żywo odmalować w sobie jego

portret moralny, przedziwną łagodność i słodczy charakter, dzięki czemu tylu heretyków sprowadził na łono Kościoła.

Opisywał nam – stwierdzał ksiądz Jan Bonetti – św. Franciszka Salezego w okresie jego młodości, że swego charakteru łagodnego nie miał od urodzenia, lecz kosztował go wielkim wysiłkiem i pracy nad sobą. W myślach naszych stawała wówczas postać Księdza Bosko i on jako chłopiec był z natury żywego, porywczego usposobienia, a przecież widzieliśmy go jako wzór łagodności, zawsze opanowanego, iż zdawać się mogło, że nie miał żadnych trudności. Było to dowodem dla nas jego ustawicznych aktów cnoty heroicznej tak, że stał się żywą kopią św. Franciszka Salezego.

Mając wtedy za patrona wielkiego biskupa genewskiego, Oratorium nabierało rozmachu. Oto, co pisze Ksiądz Bosko: „Nasza kaplica przeznaczona jedynie dla chłopców, na ich nabożeństwa, rekreacje, ożywione gry, stała się bardzo atrakcyjna dla okolicznych mieszkańców Valdocco. Dlatego kaplica nazywana oratorium stawała się z każdym dniem coraz bardziej ciasna. Na katechizm wykorzystywało się również pokoje prywatne, korytarze, sień, w każdym wprost zakątku odbywała się nauka religii, słowem wszystko było oratorium”.

Niemalą starani czynił Ksiądz Bosko, by pozyskać sobie współpracowników. Niektórzy ze starszych chłopców przez niego poinstruowani mieli własne grupy. Gromadzili się oni w pokoju Księdza Bosko, który dawał im specjalne pouczenia, na zachętę rozdawał podarunki, przywiązując do siebie uprzejmym traktowaniem.

W dni świąteczne młodzież schodziła się tłumnie, spowiadała się, komunikowała w czasie Mszy św. Po nabożeństwie Ksiądz Bosko wygłaszał im krótką homilię. Po południu były nieszpory, katechizm, a na zakończenie Litania do Matki Bożej i błogosławieństwo eucharystyczne. Najświętszy Sakrament przechowywany był tylko w niedzielę i święta.

W przerwach przed i po nabożeństwach chłopcy bawili się pod okiem Księdza Bosko lub jego zastępcy księdza Borela, względnie starszych chłopców odpowiedzialnych za porządek. Ksiądz Bosko często lustrował pobliskie pola, czy tam któryś z chłopców się nie oddalił.

Starał się on wszelkimi sposobami przyciągnąć młodzież do Oratorium. Odpowiednio obmyślane rozrywki jak boccie, kulki, kręgle, huśtawki, krążnik,

szczudła, ćwiczenia gimnastyczne, śpiew, gra na instrumentach muzycznych i inne rozrywki. Często rozdawał medaliki, obrazki, owoce, niekiedy urządzał im podwieczorek, czasem obdarowywał trzewikami, skarpetkami lub innymi częściami odzieży najbiedniejszych z chłopców. Nieraz odprowadzał ich aż do rodziców. „Co najbardziej – pisze Ksiądz Bosko – przyciąga młodzież, to dobre obejście się z nimi. By otrzymać dobre wyniki w ich wychowaniu, trzeba starać się, by nas kochali, jeżeli chcemy, by nas także się bali”. Nadto młodzież wiedziała, że jest kochana i że doprawdy zajmowała miejsce w jego sercu. Istotnie, znał wszystkich po nazwisku, pytając o tych, co nie przychodzili do Oratorium.

W tym czasie, czyli z końcem roku 1844, Ksiądz Bosko rozpoczął a później udoskonalił, swe szkoły wieczorowe i świąteczne, które wnet zaprowadzono także w całej Italii. Było to prawdziwe dobrodziejstwo dające poznać, że kapłan zawsze szuka dobra ludu. Prócz tego, wielu starszych chłopców czeladników, po niesporach w niedzielę lub w dni powszednie gromadziło się w mieszkaniu Księdza Bosko lub księdza Borela, którzy uczyli ich czytania, pisania i rachunków. Chcieli, by nie tylko nauczyli się fachu, lecz otrzymali gruntowne pouczenie religijne. Można było stwierdzić, że wielu nieumiejących czytać, uczyło się prawd wiary jedynie ze słuchu. Dla takich było to prawdziwe dobrodziejstwo inaczej, bowiem nie mogąc uczęszczać z powodu pracy do szkół publicznych, zostaliby ignorantami pozbawionymi potrzebnych w życiu wiadomości, z wielką własną szkodą.

Równocześnie Ksiądz Bosko nie tracił z oczu tych chłopców, którzy opuszczali więzienie. Przekonał się, że jeśli ci nieszczęśliwi znajdą jakiegoś przyjaciela, który się nimi zatroszczy, wyszuka pracę u dobrego majstra, odwiedzi czasem, wówczas chętnie prowadzą życie uczciwe nie wracając do przeszłości, stają się religijnymi i dobrymi obywatelami.

Dopiero w Schronisku przekonał się również, co znaczy owo ze snu „fare il sarto” (być krawcem). Pod tym tytułem czasem dopytywano się o niego, gdy była mowa o młodzieży.

Dopomagając księdzu Borelowi w słuchaniu spowiedzi w Schronisku, głosił kazania po kościołach w mieście. Nie mógł się oderwać od księdza Cafasso stwierdzając czynem owo zdanie Mędrca: „Obcuj ustawicznie z Mężem świętym, o którym poznasz, że przestrzega bojaźni Bożej... i który uzali się nad tobą, gdy

potkniesz się w ciemności” (37,15). Ksiądz Cafasso odwzajemniając się przeznaczył dla niego pokój, gdzie Ksiądz Bosko mógł pracować w skupieniu, przygotowując do druku wiele dzieł w obronie wiary. Biblioteka tamtejsza była bardzo bogata. Przez wiele lat Ksiądz Bosko udawał się tam około godziny 4-tej po południu w towarzystwie niektórych służących z Konwiktu. Później z powodu zajęć mógł poświęcić jakąś godzinkę do południa. Zawsze, choćby na krótko wpadał do swego mistrza i dobroczyńcy, poruszając z nim nie tylko kwestie teologiczne, by zaczerpnąć pewne wytyczne w kierowaniu Oratorium, lecz przyglądał się jego cnotom i życiu ofiarnemu. Niekiedy próbował nakłonić go do złagodzenia pokut, zgodnie z tym, co sam zalecał swym alumnom.

Przyjdzie czas – odpowiadał ks. Cafasso – gdy trzeba będzie coś podarować swemu ciału, nie chcę jednak zbyt rozpieszczać tego osiołka, by nie wierzgał. Czasem upominał go, że surowością zaszkodzi swemu zdrowiu, tym bardziej, że jego siły słabły. Ksiądz Cafasso odpowiadał:

Och, Paradiso, paradiso! Jakąż siłą i zdrowiem obdarzysz tych, którzy tam się dostaną!

Powyższe nauki i wskazówki Ksiądz Bosko praktykował sam, dawał także innym, jak zobaczymy w dalszym ciągu opowiadania.

Rok 1844 kończył się i zbliżały się święta Bożego Narodzenia. Ksiądz Bosko nauczył niektórych chłopców służenia do Mszy św. oraz ceremonii dla większego splendoru nabożeństw. Uroczystość była uświetniona komunią generalną, co było prawdziwą pociechą dla Księdza Bosko. Wszak to był główny cel wychowania, by trzymać z dala chłopców od grzechu za pomocą Sakramentów św. Sam Jezus Chrystus umacniał w Komunii św. swą łaską, lekcje otrzymywane od ich wychowawcy, zwracając ich czystą miłość ku sobie. To był główny sekret tego wielkiego wpływu wywieranego przez Księdza Bosko na młodzież, dzięki tak skutecznym środkom w jej umoralnieniu i wychowaniu.

Wśród owocnej pracy, Ksiądz Bosko musiał również oglądać się za zdobyciem środków finansowych dla prowadzenia Oratorium. Zachęcał go do podjęcia się trudnego dzieła. Ksiądz Cafasso zawsze był gotów dopomóc mu w licznych sytuacjach. Na myśl o tym, że trzeba będzie pukać do drzwi bogatych panów i odchodzić z niczym, Ksiądz Bosko wzdygał się. W Turynie bardzo rzadko udawano

się po kweście, a dawne instytucje dobroczynne kwitły mając dostateczne uposażenie. Sam Cottolengo raczej oczekiwał jałmużny, niż sam po nią wyciągał rękę. A Ksiądz Bosko jednak upokorzył się zadając sobie gwałt, by spełniać wolę Boga przez całe swe życie. Pan Bóg ułatwiał mu tę tak ciernistą drogę.

Ksiądz Borel przekonany, że instytucja powoływana przez niego jest dziełem Opatrzności, dopomagał mu o ile pozwalały mu jego własne obowiązki.

„Widzieliśmy go – opowiadał ks. Borel – gdy zjawił się w Turynie, jak bojaźliwie i nieśmiało decydował się na kwestę na rzecz swego Oratorium”. A oto historia pierwszych 300 lir, jakie przyniósł do domu. Ja odwiedzałem bogatą rodzinę panów Gonella, wobec których podnosiłem pod niebiosa młodego kapłana Księdza Bosko, dobro, jakie czyni, i które w przyszłości zdziała, zachęciłem też, by poparli go wspaniałomyślnie i obiecałem, że go do nich pošlę. On wymawiał się, że nie zna owych państwa, w końcu zgodzi się i poszedł. Przyjęto go nad wyraz serdecznie, ugoszczono i z miejsca podbił sobie ten dom, a przy pożegnaniu otrzymał 300 lir na swych chłopców. Bez jego wiedzy, kilkakrotnie jeszcze otworzyłem mu drogę i wkrótce miał już w Turynie wielu dobrodziejów.

„Bogaty i ubogi spotkali się: obydwu Pan jest stwórcą” /Prz 22,2/.

Jak wielka to była ofiara ze strony Księdza Bosko, okazało się w roku 1866. Mianowicie polecił on niektórym starszym przełożonym w domu, by zakrzętnęli się w poszukiwaniu ofiarodawców na cele salezjańskie, by tak dopomóc Księdzu Bosko, który z powodu starości i choroby nie mógł już zapobiec bieżącym potrzebom zakładu. Gdy ten i ów się wymawiał, że brak mu odwagi i śmiałości na to, Ksiądz Bosko im odrzekł:

Ach, wy nie wiecie ile mnie kosztowało prosić o jałmużnę.

A mimo to, dla chwały Bożej, dla zapobieżenia potrzebom swych sierotek, w przekonaniu, że daje okazję bogatym czynić dobrze, przewyciężył wrodzoną nieśmiałość i wzgląd ludzki, Pan Bóg zaś pobłogosławił jego pokorę, przez to że pozawierał wiele znajomości i zyskał powszechną sympatię oraz hojne poparcie wśród ludu katolickiego.

Musiał również przewyciężyć swego rodzaju skrępowanie wobec niewiast, ale to powodowało inne dobro, bo zjawiając się w czyimś pałacu, samą swą postacią

skromną pełną prostoty chrześcijańskiej i zdecydowaniem, jeśli chodziło o sprawy Boże lub dobro bliźniego, budował otoczenie.

Wiele zacnych rodzin, z którymi się zaznajomił od pierwszych lat swego apostołstwa, poświadcza do dziś:

/ .../ Wydawał się być aniołem, który nawiedził nasz dom!

ROZDZIAŁ XXVIII

Z końcem tego roku Ksiądz Bosko przygotował do druku książeczkę na temat nabożeństwa do św. Anioła Stróża. Przygotowania rozpoczął już swego czasu w Konwikcie. Dawał w niej wyraz swej wdzięczności Bogu za to, że oddał go w opiekę Aniołowi. Po tysiącokroć słyszano go: „Angeles suis mandavit de te, ut custodiant te in omnibus viis tuis”. Żywił gorącą miłość i nabożeństwo do swego Anioła Stróża oraz rokrocznie święcił jego dzień. Był tak głęboko przekonany o jego nieustannej obecności, jakby oglądał go własnymi oczyma. Pozdrowiał go często pobożną modlitewką: „Angele Dei...”, ufając niezmiennie w jego opiekę. Polecał mu swą osobę i swych chłopców, śmiem twierdzić, że stąd otrzymywał pomoc z nieba do zarządzania swymi domami.

Pewnego razu opowiadał, jak to św. Joanna od Krzyża od dzieciństwa była zaszczycona widzialną obecnością Anioła Stróża, jak za jego natchnieniem wstąpiła do zakonu i zostawszy przełożoną niezwykle roztropnie załatwiała trudne sprawy, a gdy bywały, jakiś kłopoty z siostrami, jej Anioł Stróż podsuwał środki do poprawy sióstr.

Jakby wytłumaczyć inaczej bez pomocy Anioła Stróża, że w ciągu życia często odkrywał i przepowiadał naprzód pewne wpadki, których po ludzku nie można było przewidzieć. A te jego sny – widzenia zwłaszcza, pewna stale zjawiająca się Osobistość, któżby to mógł być?

Umiał rozbudzać w chłopcach wielkie nabożeństwo do św. Anioła Stróża. Sam często intonował ową pieśń ułożoną przez siebie ku czci Anioła Stróża, śpiewaną z uniesieniem przez młodzież. Mówił im:

Ożywcie swą wiarę w obecność Anioła Stróża przy was. Św. Franciszka Rzymianka widziała go zawsze z rękoma skrzyżowanymi na piersi, z oczyma zwróconymi ku niebu, za każdym jej uchybieniem Anioł pokrywał się rumieńcem na twarzy i zakrywał ją czasem. Ażeby wzbudzić do niego ufność, opowiadał im historię Tobiasza, trzech Młodzieńców w piecu ognistym i inne fakty z Pisma św. i historii Kościoła. Nieprzerwanie wspominał o nim w kazaniach mówiąc:

Bądźcie cnotliwymi, by sprawić radość swemu Aniołowi Stróżowi. W każdym strapieniu zwracajcie się do niego, a on wam pomoże. Iluż będąc w grzechu śmiertelnym zostało zbawionych dzięki temu, że mieli czas na wyznanie się dobrze. Ach, biada gorszycielom! Aniołowie Stróżowie niewinnych zepsutych wołać będą o pomstę przed Bogiem!

A jak umiał rozmawiać prywatnie dając dobre rady zwłaszcza swym penitentom:

Pamiętaj, że masz Anioła Stróża za towarzysza, stróża i przyjaciela. Jeśli chcesz podobać się Jezusowi i Maryi, słuchaj natchnień swego Anioła Stróża. Wzywaj go w pokusach. Pragnie on więcej niż ty sam, twego dobra. Odwagi, módl się, z tobą twój Anioł Stróż modli się i zostaniesz wysłuchany. Nie słuchaj szatana i nie lękaj się go, lęka się on i ucieka przed twym Aniołem Stróżem. Módl się do twego Anioła, by przyszedł cię pocieszyć w godzinę śmierci i towarzyszyć ci.

Chłopcy opowiadali księdzu Rua o łaskach nadzwyczajnych, ocaleniu od niebezpieczeństw dzięki temu nabożeństwu, do którego natchnął ich Ksiądz Bosko. Wskazywał także niektóre dni specjalnie poświęcone czci Anioła Stróża:

1. Poniedziałek każdego tygodnia jest w sposób szczególny poświęcony przez Kościół czci Aniołów Stróżów. Naśladując św. Alojzego radzę wam praktykować w tym dniu jakieś umartwienie, np. post, modlitwę ze skrzyżowanymi rękoma na piersi, bądź ucałowanie krzyża, jałmużnę, zgodnie z radą udzieloną przez Archanioła Rafaela Tobiaszowi.

2. Dzień urodzin jako pierwszy dzień jego straży nad wami. Odnówcie, więc swe obietnice chrzcielne uczynione w jego obecności na Chrzcie św., to jest wolę kochania i naśladowania Jezusa Chrystusa, wypełniania jego prawa. Dzień powyższy uczcić gorliwą Komunią, jakąś modlitwą, na znak wdzięczności za pierwszy dowód miłości dany wam przez waszego Anioła Stróża.

3. Pierwszy dzień każdego miesiąca. Szczęśliwi, jeśli naśladując dobry zwyczaj pierwszych chrześcijan dbających o swe zbawienie, postaracie się zastanowić nad jakąś prawdą wieczną rozmyślając o celu, dla którego zostaliśmy stworzeni i nad stanem swojego sumienia, a jeśli by śmierć was spotkała w tym momencie to, co by się stało z waszą duszą? Przystąpcie następnie do Sakramentów św., czyńcie dobrze, póki czas macie.

Tym, co powiedzieliśmy dotąd Ksiądz Bosko potrafił się posłużyć, by z uliczników zrobić cnotliwych chłopców. Słuchali oni wiernie jego pouczeń, a na potwierdzenie tego przytoczymy następujące zdarzenie.

Pewnej niedzieli Ksiądz Bosko rozdawał chłopcom kartki z wydrukowaną modlitwą do Anioła Stróża, gdzie było polecenie: „Miejcie nabożeństwo do swego Anioła Stróża. Jeśli znajdziecie się w niebezpieczeństwie duszy lub ciała, zapewniam was, że niechybnie przyjdzie wam z pomocą”. Otóż zdarzyło się, że pewien pomocnik murarski pracował przy budowie domu. Gdy znajdował się na rusztowaniu, naraz ono załamało się. Młodzieniec ów przypomniał sobie wtedy słowa Księdza Bosko i westchnął serdecznie: „Aniele Stróżu mój, ratuj mnie!”. Ta modlitwa go ocaliła. Rzecz dziwna, spadło ich trzech, jeden zabity na miejscu, drugi ranny odwieziony do szpitala, a on cały i zdrowy wyszedł bez szwanku z wypadku. Co więcej, natychmiast zabrał się do pracy. W następną niedzielę opowiadał kolegom swój wypadek, stwierdzając, że obietnica Księdza Bosko ziściła się. Stąd także wielu powzięło postanowienie większego nabożeństwa do Anioła Stróża.

Zdarzenie powyższe było motywem napisania przez Księdza Bosko wspomnianej książeczki pt.: „Il Divoto dell'Angelo Custode”. Na 72 stronicach zastanawiał się nad motywami, jakie winny skłaniać katolika do starania się o życzliwość tego Ducha, dzieląc treść na 10 rozważań, których celem było przygotować czytelnika do uroczystości Aniołów Stróżów, Dobroć Boża przydająca nam do boku Anioła Stróża, dobrodziejstwa ich na każdy dzień życia, specjalna obecność w czasie modlitwy, pokus, udręczeń, przy śmierci, na sądzie Bożym i w czyśćcu, delikatność Anioła Stróża względem grzesznego człowieka. Czują wdzięczność, jaką winniśmy mu okazywać z naszej strony za to, że nas tak kocha. Każde rozważanie ma swą wiązanekę duchową, wraz z odpowiednim przykładem.

Praktyki pobożne były następujące:

1. Każdego dnia rano i wieczór przy odmawianiu Anioł Pański wzbudzać intencję podziękowania Bogu za jego dobroć, że nam dał Książąt Dworu Niebieskiego za opiekunów.

2. Idąc na Mszę św. prosić Anioła Stróża, by raczył towarzyszyć nam w uczczeniu Jezusa w Najświętszym Sakramencie razem z nami i w imieniu naszym,

gdy będziemy nieobecni. Postanówcie odmawiać trzykrotnie na dzień „Anioł Pański”, co będzie miłe Matce Najświętszej oraz Aniołowi Stróżowi.

3. Powodzenie w interesach, uniknięcie niebezpieczeństw uznać, że zawdzięczamy naszemu Aniołowi Stróżowi, dlatego módlcie się do niego rano i wieczór w wątpliwościach, pokusach, gdy wychodzicie z domu, by wam błogosławił i ustrzegł od złego.

4. Przyzwyczajcie się ofiarować Bogu swe czynności przez ręce Anioła Stróża, przez to nabiorą one większej wartości przed Bogiem. We Mszy św. Kościół modli się polecając tę ofiarę przez ręce Anioła. Czyńcie i wy to samo. Uczestniczcie z coraz większym nabożeństwem we Mszy św. codziennie.

5. W pokusach zwracajcie się natychmiast do Anioła Stróża, modląc się z głębi serca: „Aniele Stróżu mój, bądź mi pomocą i nie pozwól, bym obraził Pana Boga”.

6. W obcowaniu z ludźmi odmiennych zasad i obyczajów myślcie, że w nagrodę za to cieszyć się będziecie towarzystwem Aniołów w niebie.

7. Unikajcie jak zarazy złych towarzystw i rozmów, w których nie mógłby wam towarzyszyć Anioł Stróż. Wówczas będziecie mogli obiecywać sobie jego obecność.

8. Polecajcie codziennie Aniołowi Stróżowi ostatnią godzinę swego życia, oświadczając, że w ręce jego polecacie zbawienie swe, *in manibus tui sortes meae*. Nawiedź dla jego uczczenia chorego lub dać drobną jałmużnę.

9. Ożywiajcie swą ufność w Anioła Stróża mając za pewne, iż jeśli wy dotrzymacie mu wierności za życia, to On uczyni dla was wszystko w godzinę śmierci i sądu. Uczynicie rachunek sumienia i przygotujcie się do dobrej spowiedzi.

Podsuwał jeszcze inną praktykę: „Starajcie się wspierać dusze zmarłych, które błagają was o pomoc w płomieniach czyścca. Ofiarujcie dzisiejszą modlitwę do Anioła Stróża oraz Anioł Pański za dusze w czyścću.

Obchodźcie uroczystość Aniołów Stróżów przystępując do Sakramentów św., Spowiedzi i Komunii św. Proście Anioła Stróża, by nie dopuścił, żebyście mieli splamić się kiedyś ciężkim grzechem.

Zauważyć warto, że to i wiele innych nabożeństw, które zaleca, opiera zawsze na częstej Komunii św.

Książeczka kończyła się tekstem pieśni napisanej przez Silvio Pellico: „Angiolletto del mio Dio...”, wraz ze spisem odpustów nadanych stowarzyszeniu

istniejącemu przy kościele św. Franciszka z Asyżu, z modlitewkami do Anioła Stróża przedrukowanymi później w „Młodzieńcu Zaopatrzonym” wraz z następującym wstępem:

„Dowodem wyższości człowieka od innych stworzeń jest to, że ma za opiekuna Anioła. Bóg stwarzając niebo, ziemię i wszystko, co w nich się zawiera, pozwala im rządzić się swymi prawami naturalnymi. Nie tak jest z człowiekiem. Prócz władz duchowych i fizycznych, dzięki którym przewodniczy stworzeniom, z woli Bożej otrzymał za towarzysza i opiekuna Ducha niebieskiego, od pierwszej chwili przyjścia na świat, który towarzyszy mu dzień i noc na drogach życia, broni od niebezpieczeństw ciała i duszy, przestrzega przed złym, a wskazuje dobro. Wielka zaiste godność człowieka, niezwykła dobroć Boga, wymagające z naszej strony odpowiedzi!”.

Dla zachęty wiernych, by ożywiali w sobie nabożeństwo do Aniołów Stróżów, przedstawiono tu w formie nowenny szczególne motywy, zdolne zachęcić do ufności w ich pomoc i opiekę nad nami. Szczęśliwy będzie, kto często rozmyślając o wielkiej miłości swego Anioła Stróża, będzie praktykował, co zawarte zostało na tych stronicach, będzie to niewątpliwą oznaką jego zbawienia, zgodnie z nauką teologów i Ojców Kościoła. Niech Bóg błogosławi to dzieło i jego czytelników.

Ukończył wspomniane dzieło w Schronisku, zważając na prostotę i jasność języka i stylu. Nim dał je do wydrukowania przeczytał portierowi zakładu uważanemu za założyciela Schroniska, bo on widząc opuszczone przez rodziców dziewczęta wśród tak licznych niebezpieczeństw ulicy, niektóre oddawał pod opiekę swej małżonce, by zastąpiła im matkę. Ta trzymała je w domu dzień i noc, dopóki nie podrosły i nie znalazły sobie gdzieś pracy u uczciwych ludzi. Markiza Barolo przejęła za własne to dzieło zakładając Schronisko dla ubogich dziewcząt.

Wspomniany portier jako mało wykształcony, mimo całej uwagi, nie wszystko rozumiał, co mu czytał Ksiądz Bosko. Ten widząc, że powodem tego był może styl zbyt kwiecisty, poprawił starannie treść raz jeszcze i ponownie odczytał panu Malan, który tym razem wszystko rozumiał.

Książeczka ukazała się drukiem u Paravii w 1845 r. i przez wielu czytana przyczyniła się do rozbudzenia nabożeństwa do Aniołów Stróżów zgodnie z tym, co powiadał jeden z kapłanów księdzu Rua.

ROZDZIAŁ XXIX

„Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, niech się rozszerzy i zatriumfuje Kościół katolicki, prawdziwy Kościół Jezusa Chrystusa, niech wszystkie narody uznają Jego prawa, prawa Jego Głowy i biskupów, niech wszystkie umysły uznają za prawdę, czego on naucza jako jedyny depozytariusz prawd objawionych, świadek autentyczności ksiąg świętych, nauczyciel nieomylny ludzkości, najwyższy i bezapelacyjny sędzia w kwestiach doktrynalnych. Niech się nakłonią wszystkie wole do zachowania jego praw moralnych, póki po odniesieniu zwycięstwa na ziemi, zatriumfuje ostatecznie w królestwie niebieskim, wraz z wielką liczbą dusz zbawionych”.

Taką była ustawiczna gorąca modlitwa Księdza Bosko: takie jego najwyższe pragnienie, podczas gdy nieprzerwanie zatapiał się w studium Historii kościelnej. Jasnym płomieniem gorzała jego wiara, gdy głosił ustami i na piśmie te wielkie prawdy i gdy wciąż nalegał na to, by głosili je kapłani. Wszystkie jego myśli, dzieła zdążyły do wywyższenia św. Matki Kościoła. Cieszył się z jej radości i chwały a bolał nad cierpieniami i prześladowaniem. Dlatego współdziałał z zapalem nad powiększeniem jego sukcesów i zdobyczy, złagodzeniem cierpień, a powetowaniem strat przez sprowadzenie na jej łono owiec zbłąkanych, powiększając liczbę jej dzieci. Jako katolik i kapłan dobrze rozumiał swe obowiązki. Sięgając po wielkie idee, uzgadniał codzienne swe życie z życiem Kościoła Powszechnego. Dlatego nie pomijał sposobności dawania dobrego przykładu przez słuchanie spowiedzi, głoszenie kazań, uczestniczenia we wspólnej modlitwie uważając wszystkie te czynności jako bardzo doniosłe dla dobra sprawy Bożej. Nie spuszczał z oczu swego pierwszego zadania, misji wychowawczej nad młodzieżą, oddawał się z niesłabnącą gorliwością posłudze kapłańskiej wśród wiernych.

Nadal uczęszczał jeszcze do więzień. Musiała być wielka liczba dokonanych przez niego nawróceń w przeciągu więcej niż dwudziestu lat takiej pracy. Ale on raczej podnosił zasługi księdza Cafasso zamilczając o tym, co sam zdziałał wśród tych nieszczęśliwych. Na szczęście dowiedzieliśmy się od księdza Borela, zaufanego przyjaciela Księdza Bosko. Opowiadał on, jak Święty potrafił roztropnie stworzyć

sobie pomocników wśród samych więźniów, którzy swym wpływem i sprytem przyciągali do Księdza Bosko bardziej opornych. Znając tą drogę ich uprzedzenia i zarzuty, nawet bluźnierstwa przeciwko wierze, Opatrzności, klerowi, jakie oni wypowiadali, Święty usiłował przeprowadzać z nimi nawet publiczny dialog dla zbitcia ich oszczerstw i przewycięzenia uporu. Czasem, gdy wszczywał rozmowę na te tematy, czy prowadził katechizm naraz odzywał się głos przyjaciela (ks. Borela) budząc zaciekawienie wśród słuchaczy, więźniów. Stawiał on pewne zarzuty i pytania, na które Ksiądz Bosko odpowiadał i tak rozwijał się pożyteczny dialog przeplatany ciekawostkami czy żartami rozweselając, wzruszając i pouczając tak, że wielu zaczynało myśleć i żyć po chrześcijańsku. Święty za największą swą pociechę uważał, gdy ludzie, którzy zapomnieli o Bogu od lat, przystępowali do Sakramentów św. z tak budującym usposobieniem, że zadziwić mogli osoby cnotliwe.

Zdobywał Bogu dusze nie tylko św. zabiegami, lecz wrywał łaskę swym poświęceniem i pokutą, którą brał na siebie ochotnie w tym celu. Nikt nie znał sekretu jego pokut, widziano tylko, że przed lub po powrocie z więzień miał oczy zaczerwienione, często z okropnym bólem głowy lub zębów trwającym kilka dni. Gdy miał załatwić, jakąś sprawę poważną wymagającą spokoju, choroba opuszczała go na pewien czas, a po jej załatwieniu znów powracała.

Z tych i podobnych oznak jego sekretarz Józef Buzzetti wnioskował, że wspomniane dolegliwości były zesłane przez Boga w zamian za nawrócenie, jakiegoś upartego grzesznika.

Istotnie, kiedyś wyznał on księdzu Dominikowi Ruffino, że prosił Boga o zesłanie mu, jakiejś pokuty, którą miał nałożyć więźniom za grzechy dodając:

Jeśli sam jej nie spełnię, jak mogę nałożyć ją na tych biedaków?

Dlatego nie dziw, że tylekroć Madonna zstępowała do więzień i współdziałała ze swymi apostołami: Księdzem Bosko, ks. Cafasso i ks. Borelem ożywionymi prawdziwym heroizmem. O niezwykłym wypadku nawrócenia opowiadał pewien więzień. Otóż uciekwszy z domu do wojska zdobył stopień sierżanta w garnizonie w Nizy. Lecz nienawidził religii katolickiej, w której był ochrzczony. Gdy był z ciekawości w słynnej świątyni Madonna del Laghetto własnymi oczyma widział, jak wnoszono tam sparaliżowaną prawie umierającą, słyszał modły stojących, naraz twarz dziewczynki ożywiła się, dostaje rumieńców, wznosi okrzyki radości i wstaje zupełnie

zdrowa. Był to wielki triumf dobroci Maryi. Cud był tak widoczny, że nie mógł mu zaprzeczyć, natomiast jeszcze bardziej bluźnił Bogu, którego istnienie negował, gdyż fakt ten sprzeciwiał się jego złemu życiu. Więcej niż 40 żołnierzy było obecnych przy tym cudzie. Wróciwszy do swych kwater opowiadali wszystkim, co widzieli. Sierżant, któremu nie podobało się to, zaprzeczył prawdziwości faktu, nazwał ich bigotami. Żołnierze jednak nie dali się przekonać. Ten wówczas oświadczył, że był przy tym obecny i niczego podobnego nie widział, nakazał przeto milczenie. A gdy jeden odważył się replikować, posłał go do więzienia. Nie uszła mu jednak płazem jego bezbożność i za pewne ciężkie przestępstwo dostał się na dziesięć lat do twierdzy. Nieszczęśnik był wściekły nie mogąc się pogodzić z utratą wolności. Ujrawszy w pewnym momencie na murze obraz Matki Bożej Bolesnej dostał jakby szału diabelskiego i postarawszy się o zapalki próbował obraz podpalić. Lecz gdy już zabierał się do wykonania swego zamiaru, naraz uczuł jakby tajemniczą siłę powstrzymującą mu ramię. Przerażony ogląda się dokoła i nikogo nie widząc pomyślał, że chyba ręka niebieska powstrzymała go od wykonania zbrodniczego zamiaru. W jednej chwili zmienił się wewnętrznie, upadł na kolana i długo rzewnie płakał. Następnie wezwał kapłana, wyspowiadał się i otrzymawszy rozgrzeszenie doznał wielkiego ukojenia. Jego nawrócenie było doprawdy podobne do Szawła pod Damaszkiem. Od owej chwili postanowił szczerze odpokutować swe winy poddając się posłusznie twardemu regulaminowi więziennemu oraz naprawić dane zgorszenie przykładnym postępowaniem nakłaniając wielu towarzyszy więziennych do pogodzenia się z Bogiem przez spowiedź. Opuściwszy więzienie jako dobry chrześcijanin odzyskał utracony honor u swych współrodaków.

Miał także naśladowców w swym nawróceniu. Był wśród nich jeden, który wróciwszy do siebie pozwolił ubogim żywić się owocami ze swej winnicy, a pozostałe rozdawał chorym w zimie. Cały swój majątek obrócił na wspieranie ubogich. Stawał zawsze w obronie religii, ilekroć w jego obecności ją atakowano. Nie dbając o względy ludzkie, w kawiarni, na ulicy zwracał uwagę tym, co prowadzili rozmowy nieskromne, a gdy który odważył się zarzucić mu przeszłe życie, odpowiadał śmiało:

O tak, ja również kiedyś tak postępowałem, gdy zaliczałem się do zwierząt nieczystych jak wy obecnie. Żywiąc głęboką wdzięczność do Księdza Bosko za tak wiele dobra, jakie wyświadczył jego duszy, utrzymywał serdeczne z nim stosunki,

popierał jego dzieła i często odwiedzał. Tak to Pan Bóg tym i wielu innym nawróceniami wynagradzał gorliwość Księdza Bosko, który przyjmował krzyże zesłane mu z miłości do dusz.

Inne fakty wskazują, jak gotów był do wielkich trudów, gdy chodziło o dobro dusz i niesienie pomocy bliźnim. W roku 1845 było w Turynie wiele rodzin niemieckich, których członkowie, jako żołnierze pełnili służbę w szeregach piemonckich. Niewielu kapłanów znało ich język, nadto zbyt zajęci nie mieli czasu słuchać ich spowiedzi. Niektóre osoby prosiły Księdza Bosko, by zechciał temu zaradzić. Ale cóż począć? Sam Ksiądz Bosko nie znał języka niemieckiego, a tak wielu Niemców pragnęło spowiadać się z okazji Wielkanocy. Niektórzy leżeli ciężko chorzy w szpitalach.

Wówczas to Ksiądz Bosko w trosce o ich zbawienie zaczął studiować język niemiecki. Kupił sobie gramatykę i przy pomocy jakiegoś profesora przez miesiąc czasu zdołał na tyle opanować ten język, że mógł rozumieć nieco penitentów. Napisał sobie pewien formularz gotowych pytań i odpowiedzi, krótką zachętę do obudzenia w sobie żalu za grzechy i prosił owego profesora, by mu to przetłumaczył na język niemiecki. Zaczął spowiadać po niemiecku z radością konstatując, iż przy pomocy Bożej ostatecznie to mu się udaje. Gdy rozeszła się wieść o tym, wielu Niemców przychodziło do spowiedzi do Księdza Bosko. Zaprowadzono go również do szpitala, gdzie wielu chorych zaopatrzył na śmierć. Tak trwało przez trzy lata, dopóki Niemcy nie opuścili Piemontu.

Gdy ustała potrzeba, zaprzestał studiować język niemiecki, ale jeszcze pamiętał niektóre wyrażenia. Pewnego wieczoru 1876 r. opowiadał chłopcom następujące zdarzenie:

W pierwszych latach Oratorium studiowałem język niemiecki, ten jednak, jak inne języki, gdy się nimi nie posługuje na co dzień, wychodzi z pamięci. Próbowałem parę lat temu w Rzymie porozumieć się w tym języku z kilkoma biskupami niemieckimi, ale i mnie się myliło i oni zbyt prędko szwargotali tak, że nie mogłem nic zrozumieć. Koniec końcem, przeszliśmy do łaciny, choć nie potrafiliśmy się wyrażać zawsze poprawnie, przecież zdołaliśmy się porozumieć. Łaciną łatwo operują w swych dyskusjach naukowych uczeni, ale gdy przejdzie się na temat, na przykład zastawy stołowej, spraw kulinarnych, mebli, zwyczajów etc., to są wielkie trudności.

Pomimo to był jeden proboszcz, co napisał traktat pod tytułem: „De grillis capiendis – o łapaniu świerszczy...” – Chłopcy uśmieali się do rozpuku. Ksiądz Bosko odczekawszy chwilę ciągnął dalej – mówiąc prawdę, zachęcam was, byście przy sposobności uczyli się obcych języków. Umiejętność porozumienia się obala bariery między ludźmi i otwiera sposobność czynienia wiele dobrego bliżnim. Wielu spowiada się u mnie po łacinie i po francusku. Nawet język grecki przyszedł mi swego czasu z pomocą, gdy w szpitalu Cottolengo słuchałem spowiedzi pewnego katolika obrządku greckiego. Och, gdybyśmy tak mogli naszą miłością objąć cały świat, by go przyprowadzić do Kościoła katolickiego i do Boga!

Tymczasem odbywał się codziennie katechizm wielkopostny w Schronisku dla dzieci i młodzieży mających przystąpić do spowiedzi i Komunii św. Ze względu na wciąż rosnącą ich liczbę Ksiądz Bosko i ks. Borel szukali większego lokalu, w którym mogłyby się pomieścić odrębne grupy młodzieży.

W kierunku północnym od Schroniska po prawej stronie Dory był kościół św. Krzyża z obszernym podwórzem. Nazywano to miejsce św. Piotr w Okowach, tu grzebano zmarłych, nim urządzono ogólny cmentarz miejski.

Wydaje się, że ksiądz Borel za pozwoleniem proboszcza parafii św. Apostołów Szymona i Judy zaprowadził tam większą grupę chłopców, których uczył katechizmu. Wszystko szło dobrze, dopóki nie znalazł się jakiś złośliwiec, który doniósł o tym do władz terenowych. Naczelnikiem tak zwanym Maestro di Ranione, pełniącym również obowiązki burmistrza miasta był podówczas markiz Cavour.

Magistrat zakazał podobnych zbiórek w obrębie kaplicy cmentarnej. Był to przedsmak trudności, które miały wystawić na twardą próbę wysiłki Księdza Bosko, on jednak świadomy swej misji niczego się nie lękał.

Tymczasem mając świadomość łączności z Rzymem, jako ośrodkiem wiary i jedności Kościoła, posyła prośbę do Papieża Grzegorza XVI o łaski duchowne dla około 60 współpracowników swych, na co otrzymał następujący reskrypt:

„Z audiencji Jego Świątobliwości Ojca św. Grzegorza XVI dnia 18-IV-1845 r.

Ojciec św. odesłał przesłaną prośbę do uznania Ordynariusza z niezbędnymi fakultetami, by Suplikantowi dla słusznej przyczyny wolno było odprawić Mszę św. na godzinę przed świtem i w godzinę po południu z tym, że nie będzie mógł z racji tego zezwolenia pobierać żadnych specjalnych świadczeń od wiernych prócz

zwykłego stypendium mszalnego. Non obstante quacumque dispositione contraria – In forma consueta Ecclesiae, a S. Sede praescripta. Pel Card. A. del Drago”.

Otrzymaawszy powyższy reskrypt spieszył zawiadomić o jego treści swych dobrodziejów, z których pierwszą była pani Erminia Agnieszka z domu Provana del Sabbione, żona hrabiego Karola Alberta Caus, już z tego czasu zaufanego przyjaciela Księdza Bosko.

Małżonkowie ci zaszczytzeni tą wiadomością zaprosili go na obiad. Nim nadeszła pora do stołu, załatwiał swą korespondencję, którą zawsze nosił ze sobą. Z tej okazji zdarzył się pewien zabawny epizodzik opowiedziany przez samego pana hrabiego Causa: „Gdy zapukałem do pokoju, gdzie znajdował się Ksiądz Bosko, spostrzegłem, że schylony stał koło okna zsuwając dywan ze ściany.

Dlaczego to Ksiądz robi? – spytałem.

Bo ta makata nie dla ubogiego Księdza Bosko. A robił to z tak miłą prostotą, że byłem doprawdy ujęty szczerze”.

Niebawem prosił Kongregację Odpustów o przyznanie dla swej młodzieży odpustów za odmawianie wspólnie Litanii Loretańskiej, na co również otrzymał pozytywną odpowiedź. W ten sposób zacieśniał pierwsze kontakty z Kongregacjami rzymskimi, zagadnięty na ten temat przez niektórych swych wychowanków objaśniał:

Nie tylko chodziło mi o same odpusty, pragnąłem mieć bliższy kontakt ze Stolicą Apostolską i cieszyć się na myśl, że moje skromne nazwisko dociera do następcy św. Piotra, dziedzica Boskiej spuścizny i że w ten sposób nie jestem mu obcy.

Ta wiara i gorące uczucia do Papieża nie miały nigdy osłabnąć w jego sercu, na długo jeszcze przed określeniem dogmatu o nieomyślności papieskiej, w którą już wierzył i jej bronił. Czczył wszelkie akty, zarządzenia, naukę Papieża rzymskiego nawet, gdy nie przemawiał ex cathedra. Często powtarzał, że słowa jego należy brać z szacunkiem jako ojcowskie polecenia i upominał chłopców, by zawsze go słuchali i odnosili się z rezerwą do tego, kto w jakikolwiek sposób odważy się występować przeciw Wikariuszowi Jezusa Chrystusa. W czasie tych 40 lat jego życia Pontyfikat rzymski w osobach dwu papieży, musiał tak wiele wycierpieć, on zaś, o ile było w jego mocy, starał się usunąć lub złagodzić jego przykrości, kosztem nawet narażenia

się na prześladowanie wrogów, Nie wahał się również podjąć wielkich upokorzeń, chcąc zastosować się do poleceń i życzeń Papieża. O tym będzie jeszcze mowa.

ROZDZIAŁ XXX

Mimo różnych kłopotów i zajęć, Ksiądz Bosko nie przestawał myśleć o swym Oratorium. W swej roztropności przewidywał, że może nadejść dzień, w którym będzie musiał opuścić dotychczasowe lokale. W obawie zaś, że jego chłopcy choćby na krótko byliby pozbawieni opieki, próbował tu i tam znaleźć inne miejsce. Istotnie, Markiza kilkakrotnie dawała poznać, że nie na rękę jest dla niej to ciągle zbiegowisko chłopców w jej zakładzie. Od czasu do czasu któryś z chłopców zerwał kwiatek z rabaty przed domem, co pogarszało jej humor, tak iż nawet robiła wymówki Księdzu Bosko.

Pewnego razu wyszedłszy ze Schroniska, tak na chybił trafił, znalazł się przy kościele św. Piotra w Okowach. Przyszła mu myśl przedstawić się księdzu kapelanowi, niejakiemu księdzu Józefowi Tesio, byłemu kapucynowi i prosić, by zezwolił na gromadzenie się przez jakiś czas chłopców na naukę katechizmu. Ten z miejsca oświadczył z zadowoleniem:

Ależ tak, proszę przychodzić bez trudności! Być może nie doszło doń zarządzenie ze strony władz terenowych zakazujących gromadzenia się większej liczby chłopców, jak już była o tym mowa. W każdym razie Ksiądz Bosko postanowił spróbować, co było i Markizie na rękę. Tak, więc w niedzielę 25 maja, Ksiądz Bosko po odprawieniu Mszy św. w szpitaliku wyprowadził swych urwisów do kościoła św. Piotra w Okowach. Kościół dość obszerny, z portykami i dziedzińcem, w sam raz odpowiadał chłopcom, którzy rozgościli się tu z entuzjazmem. Ale niestety! Zaledwie skosztowali nowego miejsca, radość ich zamieniła się w gorycz, bo spotkali się ze sprzeciwem nie, kogo innego, jak starej służącej księdza kapelana. Gdy posłyszała hałas chłopięcy, wpadła z wielką furią z czepkiem przekrzywionym na głowie, z założonymi pod pas rękami i poczęła wydziwiać na nich soczystym słownikiem, jak tylko potrafi złośliwa kobieta. A już furia jej nie miała granic, gdy chłopcy grający w piłkę wypłoszyli kurę z gniazda, która po drodze zgubiła jajo. Dołączyły się wyzwiska drugiej służącej, nadto ujadanie psa, miauczenie kota, gdakanie wystraszonych kur, ot i macie wojnę światową!

Ksiądz Bosko próbował uspokoić gospodynię, przedkładając, że chłopcy niechcący to zrobili, i że żaden to grzech oraz, że ten mały kłopot da się uładzić i wszystko będzie w porządku. Cóż, kiedy słowa jego trafiły w próżnię. Zamiast uspokoić się, wylała na biednego Księdza Bosko cały potok złorzeczeń. Wrzeszcząc jak opętana, pięściami wygrażała to Księdzu, to chłopcom:

Jeżeli ks. Tesio z miejsca nie przepędzi was stąd, to ja sobie inaczej poradzę... A Ksiądz dobrodziej zamiast trzymać za pysk tych łobuzów, osłów skończonych, bałaganiarzy, smarkaczy, tak ich wychowuje? Na przyszłą niedzielę wara mi tutaj, bo inaczej biada!

Lecz miłość nie wpada w gniew i Ksiądz Bosko by uciąć tan wrzask, dał polecenie natychmiast przerwać rekreację i zwróciwszy się do owej kobiety mówił spokojnie:

Laskawa Pani! Czy może być absolutnie pewna, że będzie żyła za tydzień, gdy zabrania chłopcom znaleźć się w tym miejscu na przyszłą niedzielę? To powiedziawszy skierował się z chłopcami do kościoła. Byli obecni przy tym zdarzeniu bracia Melanotti i Buzzetti, którzy to przekazali nam na piśmie.

Ten i ów mówił: Co za złośliwa kobieta, że tak wykrzykuje! Ksiądz Bosko odrzekł, że trzeba jej to przebaczyć, bo biedaczka jest chora. Na uwagę, że wobec tego nie da się urządzić zbiórki obok tego kościoła, powiedział:

Bądźcie o to spokojni, bo w przyszłą niedzielę ta kobieta już nie będzie na was krzyczała.

W kościele odbywała się lekcja katechizmu, potem zmówili cząstkę Różańca i rozeszli się w przekonaniu, że w przyszłą niedzielę będzie większy spokój. Niestety, po raz pierwszy i ostatni tu się zebrawi. Nawet, gdy Ksiądz Bosko wychodził z kruchty, ona jeszcze zrzędziła w towarzystwie paru jej podobnych kobiet.

Ksiądz Bosko zwróciwszy się do jednego z chłopców szepnął:

Poveretta! Grozi nam, by się tu więcej nie pokazywać a nie wie, że za tydzień będzie już w grobie!

Zaledwie ksiądz Tesio wrócił usłyszał skargi gospodyni i wyzwiska na chłopców od rewolucjonistów, łobuzów itp. Kapelan, pomimo, że znał usposobienie swej Perpetui i nie brał jej wzruszenia zbyt na serio, dał się jednak źle usposobić do Oratorium. Wyszedłszy z domu i widząc Księdza Bosko w głębi placu rozmawiającego z pozostałymi chłopcami, powiedział na głos:

Na przyszłą niedzielę nie przyjdzie Ksiądz więcej robić tu hałasu i przeszkadzać wszystkim, ja w to wkroczę, dość tego!

A Ksiądz Bosko przy odchodnym odrzekł:

Ach, biedaku!, nie wiesz, czy doczekasz przyszłej niedzieli... Świadkiem tych słów był wspomniany Melanotti, który podziwiał spokój Księdza Bosko, gdy go odprowadzał do Schroniska.

Pod wieczór pod wpływem swej gospodyni napisał list do magistratu malując w jak najczarniejszych kolorach chłopców Księdza Bosko, a nazajutrz kazał go zanieść do ratusza. Lecz to były ostatnie jego słowa, bo w parę godzin później rażony apopleksją zmarł przyjąwszy Sakrament św.

Niestety, pismo ks. Tesio wywarło na radnych ujemne wrażenie do tego stopnia, że postanowiono zastosować przeciwko Księdzu Bosko środki karne, jeśli tam z chłopcami powróci. Tymczasem na cmentarzu za księdzem kapelanem chowano jego gospodynię i tak w ciągu tygodnia zniknęli dwaj przeciwnicy Oratorium. Łatwo wyobrazić sobie wrażenie, jakie te dwa zgony wywołały na okolicznych mieszkańcach. Widziano w tym palec Boży, chłopcy tym bardziej przywiązali się do Księdza Bosko i Oratorium. Takiego przekonania był ks. Borel. Kiedy razu pewnego wraz z księżmi Bosio, Pacchiotti siedzieli przy stole i czytali biografię św. Filipa Nereusza, zwrócono uwagę na to, że przechodził i on podobne prześladowania i taki sam koniec spotkał jego przeciwników. Ksiądz Borel zrobił uwagę, że wobec tego winno się pomagać Księdzu Bosko w jego kłopotach, bo to na pewno Dzieło Opatrznościowe.

Tymczasem ksiądz Cafasso widząc, że skutkiem śmierci Księdza Tesio usunięte zostały trudności, postarał się by Ksiądz Bosko otrzymał stanowisko kapelana tamtejszego kościoła św. Piotra, gdyż w ten sposób znalazłby się w sytuacji całkiem niezależnej. W tym celu napisał list do hrabiny Bosco di Ruffino, żony jednego z syndyków miejskich, by wyjednała u męża poparcie dla tej sprawy.

Pomimo usilnych starań, nie zdołano jednak osiągnąć celu, ze względu na to, że wspomniane zbiórki naruszałyby spokój cmentarza, powodowałyby zniszczenie nagrobków, widać, że przeważały wrogie wpływy przeciwko Księdzu Bosko. On jednak nie zniechęcał się, po jakimś czasie wpłynęło do magistratu następujące pismo w jego imieniu:

„Eccellenze e Ill. mi Signore!

Kapłani: ks. Borel, ks. Sebastian Pacchiotti i Ksiądz Bosko zatrudnieni w Pobożnym Schronisku, przy tym z mandatu arcybiskupa kierownicy stowarzyszenia młodzieży gromadzącej się co niedzielę w Oratorium pod nazwą św. Franciszka Salezego, funkcjonującym w ich własnym mieszkaniu w celu nauczania młodzieży katechizmu i ułatwienia jej uczestniczenia we Mszy św. i przyjmowaniu Sakramentów – mając na uwadze liczebność chłopców dochodzącą do dwustu, uznali za konieczne przenieść je do obszerniejszych pomieszczeń na cmentarzu św. Piotra nadających się na wspomniany cel. Tusząc, że charakter i cel wspomnianego dzieła odpowiadać będzie intencjom Ich EE., gorliwie dbających o dobro społeczne i moralne miasta, ponownie uprzejmie proszą o łaskawe zezwolenie na przeniesienie tamże rzeczonych nabożeństw młodzieżowych, z uwzględnieniem ich zastrzeżeń, jakie wysuną”.

Rada Miejska terenowa nie zgodziła się na powyższą prośbę, jak wynika z posiedzeń z 3 lipca 1845 r.

Wobec powyższej decyzji, Ksiądz Bosko zdawał się na wolę Opatrzności, gdyż tylko od niej mógł oczekiwać pomocy, której odmawiali mu ludzie. Na razie doznał wewnętrznej pociechy na skutek odprawionych w zaciszu św. Ignacego rekolekcji. Równocześnie, jak pisze ks. Borel, doznał wielkiej radości na wiadomość o wielkiej liczbie przyjętych na jego intencję przez chłopców Komunii św. w jego małej kapliczce. Obecnie w Schronisku mógł bez przeszkody przestawać z chłopcami. Odtąd rok rocznie wielkim splendorem obchodził uroczystość św. Alojzego. Patrona młodzieży, wpajając w chłopców zamiłowanie do cnoty anielskiej. Od tych właśnie czasów datuje się w domach salezjańskich praktyka 9 niedziel ku czci św. Alojzego, poprzedzających to święto młodzieżowe.

ROZDZIAŁ XXXI

Już siedem miesięcy upłynęło od tymczasowego ulokowania się Oratorium w zakładzie markizy Barolo. Liczba chłopców wydatnie wzrosła, przywiązali się do nowego miejsca licząc, że będzie tak przez dłuższy czas trwało. Markiza dotychczas była zadowolona z obsługi Księdza Bosko. W ciągu tygodnia dopomagał on księdzu Borelowi w spowiadaniu sióstr i dziewcząt podopiecznych, uczył śpiewu, miał lekcje rachunków w zakładzie dla zakonnice przygotowujących się do egzaminu pedagogicznego, głosił im konferencje i nauki duchowne. Ksiądz Cagliero, który przez dłuższy czas obsługiwał Siostry Józefinki i Magdalenki stwierdza, że znalazły one w Księdzu Bosko kapłana niezwyklej świętości i przewodnika odróżniającego się od innych, choćby świątłych i zacnych kapłanów. Wiele osób przechowywało po nim różne pamiątki i przedmioty religijne. Niebawem jednak w lipcu musiał wyrzec się nadziei dłuższego pobytu swego Oratorium w Schronisku Markizy.

Wspomniana Pani, chociaż bardzo chętnie poparła wszelkie dzieła dobroczynne, wobec przeniesienia się do nowego gmachu szpitalika dziecięcego, wyraziła decyzję stanowczą, że Oratorium ma być stąd usunięte. Daremnie przedkładano jej, że lokale zajmowane przez chłopców oraz podwórze są oddzielone od wewnętrznych pomieszczeń zakładowych, że okna posiadają gęste kraty żelazne, że dołoży się starań, by uniknąć wszelkiego hałasu, zacna Markiza w żaden sposób nie dała się przekonać, ona tu rządzi i kwita.

Ksiądz Bosko zdecydowanie oświadczył Markizie, że za żadną cenę nie opuści swych chłopców. Sam jednak nie wiedział, dokąd się teraz obrócić. Spodziewał się być może, znaleźć jakiś kąt w dzielnicy Porta Nova. Ksiądz Borel jednak perswadował mu stanowczo by pozostał na Valdocco. Wtedy jednak przyszły z pomocą Księdzu Bosko jego sny, które zajęły mu całą noc, jak zwierzył się raz jedyny księdzu Barberisowi i piszącemu w dniu 2 lutego roku 1875. W tych tajemniczych widzeniach spletały się ze sobą różne dawne i nowe szczegóły na tle poprzednich widzeń, zawsze jednak w perspektywie Oratorium. Oto opowiadanie Księdza Bosko:

„Zdawało mi się, że znajduję się na rozległej równinie pośród mnóstwa rozbawionej młodzieży. Jedni kłócili się, przeklinali, drudzy kradli, inni obrażali dobre obyczaje. W powietrzu świstał grad kamieni ciskanych przez zaciętrzewionych uliczników. Była to młodzież osierocona, czy opuszczona przez swych rodziców i zepsuta. Już chciałem odejść z tego miejsca, gdy zobaczyłem u swego boku jakąś Panią.

Idź między tych chłopców i zajmij się nimi.

Poszedłem, ale jak się do nich zabrać, kiedy brak było lokalu na ich pomieszczenie. Mając jednak wielką chęć coś dla ich dobra zrobić, prosiłem o pomoc osoby, które stały opodal i przypatrywały się memu zakłopotaniu. Wszyscy mi odmówili, gdyż uważali moją pracę za bezcelową. Zwróciłem się tedy z zapytaniem do owej Pani, co począć. Pokazała mi łąkę i rzekła:

Oto łąka...

Ależ tu przecież tylko pusta łąka – odrzekłem.

Mój Syn i Apostołowie nie posiadali ani piędzi ziemi, gdzie mogliby głowę skłonić – zauważyła.

Pracowałem, więc na łące: upominałem, głosiłem kazania, spowiadałem, słowem robiłem, co było możliwe. Wnet jednak przekonałem się, że wszystkie moje wysiłki pójdą na marne o ile nie będę miał jakiegoś budynku, gdzie bym mógł gromadzić tych biedaków, co całkiem są bez dachu nad głową. Wtedy owa Pani zaprowadziła mnie dalej na północ i rzekła:

Patrz!

Popatrzyłem i ujrzałem mały kościółek, nie większe podwórko, na którym było pełno młodzieży. Tu, więc podjąłem dalej swą pracę. Gdy kościółek stał się za ciasny, udałem się po radę do mojej Przewodniczki. Pokazała mi inny kościół o wiele większy z przyległymi zabudowaniami. Następnie poprowadziła mnie na teren znajdujący się naprzeciw bramy tego drugiego kościoła i mówi:

Tutaj, gdzie Męczennicy Tebańscy: Solutor, Adwentor i Oktawiusz ponieśli chwalebna śmierć męczeńską, na tym polu zroszonym i uświęconym ich krwią chcę, ażeby Bóg w szczególniejszy sposób był czczony.

Przy tych słowach wysunęła stopę i postawiła ją na miejscu, gdzie dokonano męczeństwa. Chciałem sobie to miejsce zaznaczyć, ale nie znalazłem ani palika, ani

kamienia, jednak dobrze je sobie zapamiętałem. Ściśle mówiąc odpowiada dokładnie wewnętrznemu narożnikowi obecnej kaplicy świętych Męczenników, zwanej dawniej kaplicą świętej Anny, po stronie Ewangelii w naszym kościele Maryi Wspomożycielki.

Koło mnie tłoczyło się istne mrowisko chłopców, a nowi wciąż przybywali. Patrzyłem na Panią z tym większą wdzięcznością, że w miarę jak rosły potrzeby na utrzymanie młodzieży, rosły i środki oraz budynki.

Ujrzałem następnie wspaniałą świątynię, właśnie w miejscu, które mi wskazała, jako miejsce męczeństwa Świętych z legionu Tebańskiego. Kościół otaczały liczne zabudowania z pięknym pomnikiem po środku. Gdy się to działo, widziałem zawsze we śnie, iż przychodzili księża i klerycy, którzy pomagali mi jakiś czas, ale potem wymykali się. Starłem się ich zatrzymać, ale nadaremnie. Wtedy zwróciłem się ponownie z tym kłopotem do owej Pani, która mi rzekła:

Chcesz wiedzieć, co masz robić, aby ci nie puciekali?... weź tę wstążkę z napisem „Obedientia” i przepasz im czoła.

I uczyniłem jak mi kazała. Obwiązałem wstążką głowy kilku moich pomocników i zaraz zauważyłem wielką zmianę. Liczba ich stale się zwiększała. Już nie myśleli o tym, by mnie porzucić i gorliwie pomagali mi w pracy. Taki był początek naszego Zgromadzenia”.

Stąd brała początek jego niewzruszona wiara w pomyślny wynik jego misji, owa pewność siebie, wydająca się wprost zuchwalstwem, w stawianiu czoła wszelkiego rodzaju przeciwnościom, owo rzucanie się na dzieła kolosalne, przewyższające siły ludzkie i doprowadzenie ich do pomyślnego skutku.

Odnośnie wskazanego Księdzu Bosko przez Najświętszą Dziewicę męczeństwa świętych Adwentora i Oktawiusza, skąd uszedł raniony włócznią św. Solutor, by zakończyć życie w Ivrei, oto obszerniejsze wyjaśnienie. Ksiądz Bosko kontynuował:

„Nie chciałem nikomu zwierzać się z tego snu, a tym mniej wyrażać własnej zdecydowanej opinii na temat miejsca chwalebного zdarzenia. W roku 1865 sugerowałem kanonikowi Wawrzyńcowi Gastaldiemu napisanie i wydrukowanie rozprawy o trzech Męczennikach Tebańskich oraz przestudiowanie źródeł historycznych, tradycyjnych i topograficznych, w jakim punkcie miasta należałoby umiejscowić ich męczeństwo. Uczony kanonik zgodził się, napisał i wydał drukiem

studium o Trzech Męczennikach Tebańskich. Wyraził w niej opinię, że nie da się z całą dokładnością ustalić miejsca ich męczeństwa, wiadomo tylko, że schronili się poza bramami miasta nad rzeką Dorą i że zostali odnalezieni i zabici przez katów w swej kryjówce, obszerne błonia rozciągające się za miastem na zachód od Dory w kierunku przedmieścia tejże nazwy z dawien dawna nosiło łacińskie miano Vallis, względnie Vallum Occisorum – dolina zabitych, skąd nazwa Valdocco od pierwszych sylab tych słów. Można z całą pewnością twierdzić, że ten skrawek terenu cieszy się szczególnym błogosławieństwem Bożym, gdyż usiany jest wielką liczbą dzieł miłosierdzia i dobroczynności na dowód, że ten teren przepojony został krwią męczeńską. Autor dodawał, że biorąc pod uwagę plus minus, dawną topografię miasta, Oratorium św. Franciszka Salezego wznosiło się na tym miejscu błogosławionym lub, co najmniej mieściło je w swym obrębie”.

Ksiądz Bosko był bardzo zadowolony z powyższego opisu, który był niejakiem potwierdzeniem jego snów. Od pierwszych czasów Oratorium żywił on wielkie nabożeństwo do owych świętych Męczenników. Każdego roku, w dniu św. Maurycego, naczelnika Legionu Tebańskiego, łączył z nim owych trzech jego żołnierzy, chcąc by czczono ich pamięć wielką liczbą Komunii św. oraz uroczystym nabożeństwem wieczornym z kazaniem i błogosławieństwem eucharystycznym.

ROZDZIAŁ XXXII

Oratorium z pierwszych czasów można by porównać do dziejów Patriarchów, podobnie jak oni ze swymi rodzinami, stopniowo przenosiło swe namioty z jednego miejsca na drugie.

Pamiętam – opowiadał Józef Buzzetti – że niekiedy Ksiądz Bosko czyniąc aluzje do narodu żydowskiego wyruszającego z Egiptu, do jego kolejnych postoi na pustyni obiecywał, że i nam da Pan Bóg ziemię obiecaną, gdzie zainstalujemy się na stały pobyt.

Ksiądz Bosko istotnie był pełen tej nadziei. „Kto się Pana boi, błogosławiona jest dusza jego” – mówi Eklezjastyk (13,16).

Poszedł do arcybiskupa prosząc o poparcie u Magistratu turyńskiego, jego prośby o przydzieleniu mu kościoła św. Marcina zwanego Molassi, względnie Molini, położonego na placu Emanuela Filiberta w kierunku Dory. Arcybiskup chętnie obiecał go poprzeć. Rozumiał doskonale doniosłość jego akcji i okazywał mu wielkie zaufanie. Często zapraszał do swego pałacu na obiad, spowiadał się u niego, raczył nawet przybyć do Schroniska, by udzielić chłopcom Sakramentu Bierzmowania.

Pismo arcybiskupa wraz z memoriałem księdza Borela, zostało wzięte pod uwagę przez magistrat. O ile poprzedni niezyczliwy donos nie był zbyt przekonywujący, o tyle obecne pismo arcybiskupa zostało pozytywnie załatwione.

Mając w ręku wspomniane pismo z magistratu, Ksiądz Bosko zlustrował wspomnianą kaplicę porozumiewając się z aktualnymi użytkownikami tego obiektu. Wynajął w sąsiednim budynku na parterze pokój dla swego użytku, poinformował miejscowego proboszcza o uzyskanym zezwoleniu od władz i z miejsca ułożył program pracy w porozumieniu z księdzem Borelem.

W niedzielę IX po Zielonych Świątkach młodzież po raz ostatni zebrała się w Schronisku na Mszy św. i usłyszała przykrą wiadomość, iż okoliczności zmuszają do przeniesienia Oratorium na inne miejsce. Chłopcy byli niemile tym zaskoczeni. Ksiądz Bosko w sposób uprzejmy ich pocieszył i zachęcił, by po południu przyszli pomóc przenieść na nowe miejsce przedmioty kultu i sprzęty Oratorium. Przyszli

wszyscy punktualnie. Ksiądz Borel skierował jeszcze do nich parę słów mówiąc między innymi:

Miejsce, z jakim się żegnamy, przypomina nam podróżnego, który odpoczywa w czasie wędrówki w gospodzie, skąd bezzwłocznie wyruszy w dalszą drogę. A więc coraggio... i marsz w drogę! Wędrujcie w nieznaną bez trwogi. Opatrzność znajdzie dla Oratorium stałe miejsce. Najpierw jednak we własnym sercu winniście znaleźć pewną ostoję, która by zrównoważyła zewnętrzne zmiany... Kochajcie codzienną modlitwę, uczęszczajcie na katechizm, na Mszę św., przystępujcie do spowiedzi i Komunii św. Unikajcie gorszycieli. Jeśli tak postępować będziecie, znajdziecie Oratorium stałe w swym sercu. Zatem do widzenia moi drodzy synowie! Ksiądz Borel był doprawdy wzruszony i po chwili zawołał: Podziękujmy Bogu za to, że nam dał nowe schronienie. Te Deum laudamus!

Gdy skończył, na znak Księdza Bosko ruszono do przeprowadzki. Jedni brali ławki, klęczniki, drudzy wynosili krzesła, obrazy, ten taszczy lichtarz, ów krzyż, inny dźwigał paramenty kościelne, ampułki czy jakąś figurkę. A Ksiądz Bosko pośród nich dyryguje wszystkim kierując do wynajętego pokoju, by złożyli te sprzęty, które na razie nie będą potrzebne.

Zainteresowani biorą swe kule, boccie, inne gry, wszyscy zaciekawieni, jak wygląda to nowe miejsce, jakie mają zająć. Długa kawalkada ciągnie się przez miasto, by zatknąć swe namioty obok Dory. Na ten niezwykle widok wychodzą ludzie z domów, pytając co to za „cygani” i dokąd wędrują. To narobiło dużej reklamy dla Oratorium i ściągnęło do niego chłopców z całego miasta.

Gdy złożyli sprzęty w wynajętym przez Księdza Bosko pokoju, zgromadzili się wszyscy w kościele, gdzie Ksiądz Bosko przemówił do nich następująco:

Kapusta, drodzy chłopcy, przesadzana lepiej rośnie. To samo możemy powiedzieć o naszym Oratorium. Dotąd wędrowało ono z miejsca na miejsce i za każdą zmianą urosło znacznie. Także ten czas, jaki spędziliśmy w Schronisku, nie był bez pożytku, tam również odnosiliście korzyść dla dusz waszych, rozrywkę dla ciała, naukę katechizmu, słuchaliście urozmaicone rozrywki. Przy Szpitaliku dziecięcym zainstalowało się prawdziwe Oratorium: mieliśmy własną kaplicę, dość obszerne lokale, wyglądało na to, że na dłuższy czas pozostaniemy tu, tymczasem Opatrzność zrzuciła inaczej. Przenosimy się na inne miejsce. Czy pozostaniemy tu na długo? Nie

wiadomo. To jednak pewne, że jak kapusta przesadzana, tak nasze Oratorium urośnie w liczbę chłopców pragnących być cnotliwymi, wzrośnie chęć i zapał do śpiewu, muzyki, będziemy mieli nie tylko szkoły wieczorowe i świąteczne, lecz nawet dzienne, otworzymy pracownie, obchodzić będziemy piękne uroczystości. Więc nie frasujmy się zbytnio. Nie wątpmy ani na chwilę o pomyślnej przyszłości naszego Oratorium. Zostawmy wszystko w ręku Pana Boga, a On mieć będzie staranie o nas. Już nam błogosławi, pomaga, zaopatruje. Pomyśli też i o miejscu odpowiednim dla nas, dla większej jego chwały i dobra dusz naszych. Pamiętamy jednak, że łaski Boże stanowią pewnego rodzaju łańcuch, którego ogniwa są wzajemnie powiązane. Nie rozrywajmy tego łańcucha przez popełnione grzechy, skorzystajmy z danych nam pierwszych łask Bożych, a otrzymamy wciąż nowe i nowe. Ze swej strony odpowiadajcie celowi Oratorium: uczęszczajcie doń pilnie, uczcie się sumiennie, a tak stopniowo kroczyć będziecie z cnoty w cnotę, staniecie się wzorowymi katolikami, uczciwymi obywatelami i osiągniecie błogosławioną Ojczyznę, gdzie każdy otrzyma nagrodę, na którą sobie zasłużył.

Po nabożeństwie wieczornym był dialog napisany przez Księdza Bosko, recytowany przez kilka aktorów na podwórzu, wobec zebranych, którzy śmiali się do rozpuku z dziwolągów i postaw tego, co odstawiał rolę błazna. Zresztą tematem była przeprowadzka z okolicznościami jej towarzyszącymi, Ksiądz Bosko podał pewne uwagi, zakazał zapuszczania się w nie swoje dzierżawy dzielnicy Molini oraz by nie hałasowano w czasie nabożeństwa dla tutejszych urzędników młynarzy.

Ksiądz Bosko uważając się za narzędzie Najświętszej Wspomożycielki w tym dziele zainicjowanym przez Nią samą, podkreślał to przy każdej sposobności, co sprawiało przyjemność i dla młodzieży. Z pewną okazałością i śpiewami zainaugurował kapliczkę w szpitaliku dziecięcym i tak czynił na innych miejscach, dokąd ostatecznie nie ustabilizował się na Valdocco. Z tej okazji urządzał „akademijki” okolicznościowe. W dialogach występował aktor, którym był raz „gianduja”, przemawiający po piemoncku, raz jakiś „szwab”, szwargoczący kiepską włoszczyzną, to znów jąkała bulgoczący z trudnością wyrazy itp. Buzzetti Józef – on to był mistrzem owych wesołych występów, nie przekazał jednak niczego na piśmie z tych ramolów.

Od owego dnia pojawiały się gromady chłopców w zakątku placu Emanuela Filiberta w kierunku młynów. Pomimo jednak wysiłków Księdza Bosko i ks. Borela, młodzież bynajmniej nie entuzjasmowała się tym miejscem. W kościele można było odprawiać tylko część zwykłych nabożeństw, nie było drugiej Mszy św. z powodu bliskości parafii, nie można było udzielać Komunii św. młodzieży, co jest fundamentalnym elementem Oratorium. Jedyna Msza św., którą odprawiał kapelan była zatłoczona wiernymi bez wolnego miejsca dla chłopców. Dlatego musiano szukać innego kościoła w mieście z pewnym kłopotem a małą korzyścią. Również dziedziniec do zabaw był niewystarczający, wciąż przeszkadzali ludzie, pojazdy, konie. Nie było wyboru, trzeba było urządzać się jak się dało oczekując, co zrządzi Niebo w przyszłości. Liczba chłopców sięgała trzystu i Ksiądz Bosko zaniechał prowadzenia ich do kaplicy Braci Lasallistów, by nie przeszkadzać im w nabożeństwach.

ROZDZIAŁ XXXIII

10 sierpnia 1845 r., markiza Barolo otworzyła swój Szpitalik dziecięcy pod wezwaniem św. Filomeny przyjmując tam dziewczynki od lat 3 do 12, chore i ułomne, dla których nie było miejsca w innych szpitalach. Opiekę nad nimi powierzyła pięciu Siostrom Józefitkom, pielęgniarkami zaś zostały siostry Magdalenki, jak poprzednio zaznaczono, stanowiące odrębny zakon.

Nie trzeba podkreślać, z jakim aplauzem spotkała się ta fundacja. Ksiądz Bosko jako kapelan wraz z księdzem Borelem i Pacchiottim przenieśli się do nowego domu. Między obecnym ich mieszkaniem a poprzednim mieścił się ogród, dokąd przyprowadzały zakonnice chore dzieci. Zadaniem Księdza Bosko było odprawiać dla nich nabożeństwa, głosić nauki i sprawować pieczę duchowną.

Tymczasem Oratorium na Molassi funkcjonowało spokojnie już drugi miesiąc. Pozorna cisza zapowiadała burzę wraz z nowymi kłopotami dla Księdza Bosko. Młynarze, pomocnicy, woźnice, wszelkiego rodzaju oficjaliści wobec ustawicznego hałasu i bieganiny chłopców, poczęli ich z okien wyzywać, później wysłali do magistratu wspólny protest, malując w najczarniejszych kolorach te zebrania młodzieżowe.

Wskazując na wielki wpływ, jaki wywierał na ową młodzież Ksiądz Bosko ich przywódca, podnosili mogące stąd wyniknąć niebezpieczne rozruchy. Cóż za rozruchy mogli wywołać biedni chłopcy ignoranci, bez pieniędzy i bez broni? Przydawano oszczerstwa, że chłopcy niszczą budynek kościelny, parkan i jeśli nadal tak będzie, nic się przed nimi nie ostoi. Nastawano, więc, by władze wydały zakaz gromadzenia się w tym miejscu. W relacji do magistratu podawano Księdza Bosko jako przywódcę zgrai obmierzłych uliczników!

Panowie radni wezwawszy Księdza Bosko pytali, ile jest w tym prawdy, co im doniesiono. On ze spokojem oświadczył, że nie poczuwa się do żadnej winy i uważa za krzywdzące powyższe zarzuty, prosił, by naocznie stwierdzono prawdę, gwarantując, że kościół nie ponosi żadnej szkody. Radni wysłali rzeczoznawcę, który na miejscu wbrew temu, co donosili stróże obiektu Molini, zastał wszystko

w porządku, z wyjątkiem małej szczyrby zrobionej gwoździem przez jakiegoś chłopca w murze.

Byłem oskarżony o rewolucję – opowiadał niejednokrotnie Ksiądz Bosko swym przyjaciółom - ja, któremu przypada zasługa przeszkodzeniu jednej z najgłośniejszej, rewolucji niewiast!

Opisywał humorystycznie zdarzenie, jakie miało miejsce na Placu Emanuela Filiberta. Plac ów tworzył obszerny ośmiobok, na którym odbywał się nieustanny jarmark wszelkich rozmaitości. Przecinające się dwie arterie zabudowane szopami, szałasami, straganami, stołami, obstawione wózkami, rykszami, etc. przedstawiały widok osobliwy. Otóż w pobliżu tego targowiska znajdowało się też Oratorium Księdza Bosko. Nad owymi straganami i stołami królowały bezsprzecznie kobiety - przekupki. Nie żartuje się z nimi na despekt, gdyż mają wybitne poczucie swej godności. Zgodnie z dawną tradycją żądały, by je tytułowano „Lei” albo „Madame”. Zresztą dzielne wieśniaczki, bardzo nabożne do Najświętszej Panny Pocieszenia służyły szerokim sercem dla ubogich. Doświadczyły ich hojności Przytułek Cottolengo i inne dzieła dobroczynne. Kto zjawił się przy nich po kweście, odjeżdżał z pełnym wózkiem jarzyn.

Ksiądz Bosko był dobrze znany na targowicy jako opiekun dzieci ludu, słyszano, że gromadzi chłopców w kaplicy Molini, tym więcej, że od czasu do czasu skupował w większej ilości jarzyny i owoce, by obdarować nimi chłopców. A miał już wiele swych wielbicieli podówczas. (Wspomina o tym mimochodem w swych pamiętnikach dla Salezjanów). Wracając do tematu wspomnimy, że w Turynie zatrzymał się wówczas na chwilowy pobyt pewien bogaty kupiec z Portugalii, emigrant z powodu zamieszek politycznych w swej ojczyźnie, później po uspokojeniu się zawieruchy był ambasadorem Portugalii na dworze sabaudzkim. Jego to właśnie żoną była owa pani, którą Ksiądz Bosko przestrzegł przed niebezpiecznym wypadkiem w podróży do Chieri. Mieli dwóch synów wzorowego prowadzenia się. Starszy wstąpił później do zakonu Jezuitów, drugi był już kapłanem. Popadł on w skrupuły, których nie mógł się pozbyć. Arcybiskup i ksiądz Cafasso polecili go Księdzu Bosko, by po ojcowsku wyjaśnił mu jego trudności z dziedziny teologii moralnej i wyleczył ze skrupułów. Święty wszedł w zażyłe stosunki z ową rodziną.

Otóż gospodarz domu, nazwiskiem Carvallo, codziennie wychodził na targowisko po zakupy. Nie znając biegle języka miejscowego kupił sobie słownik włosko-portugalski, posługując się nim wtedy, gdy przekupki mówiły swym narzeczem. Krążąc po targowicy słyszał często od tragarzy i poganiaczy mułów pewne wyrażenie, które wydawało mu się wykrzyknikiem, względnie komplementem, czy pozdrowieniem, stosownie do wyrazu twarzy mówiących. Chcąc nauczyć się dialektu piemonckiego spytał kogoś o znaczenie tego wyrażenia. A był to wyraz dwuznaczny, z zabarwieniem drwiącym. Ów wydrwigrosz powiedział, że jest to miły komplement.

Nazajutrz pan Carvallo zjawił się na rynku i tu i tam „pozdrawiał” przekupki, które początkowo patrzyły się na gościa jak na wroga, w końcu zniecierpliwione i obrażone odpowiadały z gniewem: Ca dia, Monsu, ca parla ben, salu! (Jak się pan wyraża? Mów pan przyzwoicie).

Carvallo nie zrozumiał nic z ich żargonu ale widząc jak brały się z miną gniewną pod boki i bodły go oczyma, pojął że stał się ofiarą nieporozumienia. Spotkawszy Księdza Bosko na placu spytał o znaczenie tych słów.

Dlaczego pan o to pyta?

Dlatego, że przekupki słysząc te słowa patrzą na mnie oburzone i nie traktują uprzejmie.

Rozumiem. Jest to zniewaga jedna z najgorszych.

Ach, ja biedny! Zawołał gospodarz, wróciwszy na rynek z Księdzem Bosko prosił, by w jego imieniu wytłumaczył go przekupkom, które jak widział, odnosiły się do Księdza z wielkim szacunkiem. Niewiasty owe z łatwością dały się przekonać, że pan Carvallo jako gość zagraniczny nie miał zamiaru ich obrażać wyrażeniem sobie nieznanym i tym łatwiej mu wybaczyły, że za towary płacił nie targując się. W ten sposób stał się najpopularniejszą osobą na targowisku. A zawdzięczał to dobrym usługom Księdza Bosko. Fakt ten wywołał wiele humoru w domu i wpłynął dodatnio na skrupulatne usposobienie syna hrabiego Rademakera.

Owo targowisko upamiętniło się nie tylko wspomnianą humorystyczną przygodą, lecz również innym spotkaniem niezatartym w sercu Księdza Bosko. Oto w Molassi zetknął się po raz pierwszy z chłopczykiem Michasiem Rua, liczącym wówczas zaledwie lat osiem, wychowankiem Braci Lasallistów. Zakonnicy ci od roku 1830 prowadzili w Turynie szkoły miejskie oraz Pobożne Dzieło dokształcania

ubogich powierzone im przez magistrat. Wspomniane szkoły były terenem kapłańskiej pracy Księdza Bosko aż do roku 1851, jak poświadcza prof. Jan Turchi. Każdej soboty miewał on do uczniów godzinną konferencję na tematy religijne. Celem jej było zachęcić uczniów do dobrej spowiedzi i Komunii św. Michaś Rua uczeń tej szkoły przywiązał się do Księdza Bosko od owego czasu, jak sam o tym opowiadał:

Pamiętam, że gdy przychodził do nas ze Mszą św. do kaplicy zakładowej, zdawało się jakby elektryzował swym słowem wszystkich uczniów. Wstawali z ławek biegli do niego, by ucałować mu rękę, potrzebował wiele czasu by dojść do zakrystii. Zaci Bracia Lasalliści nie reagowali na ten rzekomy nieporządek. Podobnego entuzjazmu nie widziało się wobec innych kapłanów. Gdy po nabożeństwie wieczornym zapowiadano, że będzie spowiadał również Ksiądz Bosko, wówczas pozostali księża byli bez zajęcia, a tylko konfesjonał Księdza Bosko był oblężony. Tajemnicą przyciągania Księdza Bosko była jego szczególna życzliwość czynna, duchowa, jaką oddziaływał na poszczególne dusze.

Pewnego dnia w sierpniu 1845 r. jeden z kolegów Michasia wspominając o Oratorium przy Schronisku, pokazał mu piękną krawatkę, jaką wygrał na loterii, którymi Ksiądz Bosko zwykł urozmaicać rekreacje. Pociągnięty tym chłopczyk, razem ze swym kolegą przybiegli do Oratorium. W owych dniach Ksiądz Bosko przeniósł się ze swymi chłopcami na Molassi. Dwaj przyjaciele udali się tam bez zwłoki i zostali jak najserdeczniej przyjęci przez Księdza Bosko, co wywarło niezatarte wrażenie na Michasiu Rua.

Święty ujrzał przed sobą przyszłego kontynuatora swej misji. Chłopczyk częściej odwiedzał Księdza Bosko w ciągu lat następnych tak, że od tego czasu datuje się ich wzajemna przyjaźń.

ROZDZIAŁ XXXIV

Markiza Barolo po wieloletniej próbie uznania konstytucji nowego Zgromadzenia Sióstr św. Anny i Magdalenek przyjęła za stosowne udać się do Rzymu, celem przedstawienia ich do zatwierdzenia przez Stolicę św. Z polecającym listem od arcybiskupa wybrała się w drogę z końcem września 1845 r. Poprzedził ją z podróżą do rzymskich dzierżaw Massimo d’Azeglio, lecz w zupełnie innym zamiarze. Miał on zlecone sobie zadanie podporządkowania luźnych dotąd tajnych stowarzyszeń wspólnemu kierownictwu, ze wspólną dla wszystkich ideą niepodległej i zjednoczonej Italii pod berłem dynastii piemonckiej. Tenże koryfeusz przewędrował w jesieni wszystkie marchie, znaczną część Romagni i Toscani, insynuując towarzyszom zaprzestanie zbrojnych wystąpień, natomiast nakazał prowadzenie wojny psychologicznej z Papieżem i poparcie dla króla Piemontu. Lecz wiele łóż karbonaryjnych wolało republikę, a niektóre niedowierzały obietnicom uczynionym w imieniu króla. Przekonywał ich niemniej fałszywym jak brutalnym argumentem:

Gdybyśmy wystąpili z żądaniami do króla Alberta, by działał przeciwko swym własnym interesom, mielibyście może rację. Lecz żądamy od niego, by działał na nasze konto a przez to na swoje, żąda się, by nie miał pretensji stać się potężniejszym niż jest nim de facto. Gdybyście żądali od łotra, by był dżentelmenem, co on by wam przyrzekał, moglibyście wątpić w szczerłość jego obietnic. Ale zachęcać bandytę do rabunku i mieć obawę, czy tak zrobi, to zbytnia przezorność. Jeśliby król potem wahał się i zwlekał z decyzją, pod presją opinii musiałby ustąpić, a opierając się utraciłby tron.

Massimo d’Azeglio wróciwszy do Turynu zdał królowi sprawę z sukcesów swej misji, porozumiał się też z przywódcami mazzinistów, by zyskać ich przychylność lub, co najmniej by nie byli przeciwni monarchii konstytucyjnej. Ci zaś nie rezygnując ze swych ideałów godzili się dopiero po pewnym czasie zgłaszając jeden warunek: Król nim wyzwoli Italię spod obecnego jarzma, winien wpierw uwolnić swój rząd i armię spod panowania jezuitów!

Tymczasem zgodnie z tym oświadczeniem, zwolennik Mazziniego, ks. Gioberti w 1845 roku dawał do druku „I Prolegomeni” względem prymatu Włochów –

następną książkę gorszą od poprzedniej, przeznaczoną dla formowania opinii publicznej, którą w zaślepieniu przyjmowano powszechnie z entuzjazmem. Książka była wymierzona przeciwko jezuitom i w ogóle duchowi katolickiemu, który on określał mianem jezuityzmu. Przewidywał, że jego książka dostanie się na indeks za swe zuchwałe zasady. Sam przyznawał się, że pośrednio kierował swe ataki na Kościół i Papieża, wynika to z jego korespondencji z Pinellim i Mamianim.

Któż nie widział, że forma pośrednia nie odnosiła się do jezuitów zwalczanych z otwartą przyłbicą, lecz do katolików rzymskich dotąd wiernych papieżowi. Gioberti dedykował tę bezbożną książkę poecie Silvio Pellico, który z oburzeniem odrzucił to sfingowane homagium, nie dbając o gniew sekciarzy atakujących go za ten szlachetny gest.

W czasie tych manewrów częściowo zamaskowanych, Ksiądz Bosko bolejąc nad tym, że zmuszony był z braku lokalu zawiesić naukę czytania i pisanie oraz śpiewu, czując się wyczerpany wyjeżdżał na parę tygodni do Castelnuovo dla pokrzepienia sił. Wybrawszy sobie kilku chłopców spośród najcnocliwszych zabrał ich ze sobą do Becchi. Brat Józef powiadomiony o tym przy pomocy matysi Małgorzaty wymościł dla nich ze siana doskonale posłanie oraz podejmował najserdeczniej brata z jego małymi gośćmi. Przez kilkanaście dni ta cicha chatka stała się przybytkiem najmiłszej wesołości dla owych chłopców, co później przez następne lata odnawiano taki pobyt każdej jesieni.

Po paru dniach pisał Ksiądz Bosko do księdza Borela jeden ze swych listów tchnących doprawdy atmosferą szczerzej swobody i poufałości. Oto on:

„Carissimo Sig. Teologo!

Upływa dziewięć dni od czasu, kiedyśmy się rozstali i zaczyna mi się naprawdę dłużyć. Ipsa die przybyłem do Chieri, gdzie czułem się do tego stopnia wyczerpany, że po skromnym posiłku musiałem się położyć. W dniu następnym wypocząwszy nieco przywlokłem się do domu. Przez cztery dni następne czułem się nieswojo, z tego powodu chyba, że brak mi było naszej wspólnej tak miłej rekreacji. Dopiero od niedzieli, dzięki wczasom a może trochę śpiewowi z Piotrem i Feliksem Ferrero i Natalino, dostałem nieco lepsze samopoczucie. Moim obecnym zajęciem jest: jedzenie, śpiew, śmiech, bieganina, włóczęga etc., etc. A ksiądz Pacchiotti nie wybiera się tu czasem? Wystarczyłaby wizyta, któregoś z was dwóch, by mnie całkowicie

uzdrowić. Su, coraggio, vengano qui saccag!!! Zaczynamy w najbliższy czwartek winobranie, będziemy mieć piękne zbiory, natomiast w wioskach sąsiednich winnice ucierpiały od szkodników lub zostały zbite gradem. (Genta i Gamba przeszkadzają mi w pisaniu swym hałasem.) Idę przygotować doskonałą bibę nie dla księdza, lecz dla czcigodnego Pacchiotti. W najbliższą niedzielę (och, skaranie z tym hałasem) urządzamy tu festyn przy winie i zaśpiewamy Mszę z naszymi chłopcami. No, jak się ma ksiądz Pacchiotti? Katechizm idzie dobrze? Mam tu siedmiu katechumenów, lecz wszyscy młynarze. W przyszłym tygodniu, si Dominus dederit, będę u was. Exeunte hebdomada: (Będzie kontynuowana, nie mogę więcej pisać).

Castelnuovo, 11-10- XJB”.

W międzyczasie odwiedzali Księdza Bosko chłopcy z Morialdo i dawni znajomi z Castelnuovo, pociągnięci jego serdecznym obejściem i chęcią czynienia wszystkim dobrze. Tak na przykład spotkał się z Janem Filippello, który mu towarzyszył do Chieri gdy wstępował do tamtejszej szkoły. Obecnie spytał go poufnie:

Wydaje się, że nie masz ustalonej posady, na co więc masz zamiar poświęcić swe życie? – Ksiądz Bosko odrzekł:

Nie zostanę księdzem samotnym, lecz będę oddawać się wychowaniu młodzieży.

Filippello więcej już nie pytał, od owej chwili nabrał przekonania, że Ksiądz Bosko zamierzał założyć Zgromadzenie zakonne, jak o tym później wspomniał księdzu Secondo Marchisio, salezjaninowi.

Szybko upłynęło parę spokojnych dni wytchnienia w otoczeniu najbliższej rodziny, sercem był jednak zawsze w Turynie. Trzeba było wracać do ukochanych łobuziaków, zluzować księdza Borela, prowadzić chłopców do coraz innych kościołów w mieście, podczas gdy miał jeszcze wiele innych obowiązków. Tak się złożyło, że nie mógł wyjechać w terminie oznaczonym, o czym donosił księdzu Borelowi w następującym liście:

„Carissimo Sig. Teologo!

Stało się jak przeczuwałem dolegliwości moje dały się tak we znaki, że wprost nie mogłem się ruszyć z miejsca, od wczoraj nastąpiła poprawa i dziś mogłem odprawić Mszę św. dopiero po jedenastej. Jeśli nie zdarzy się coś przykrego,

w czwartek lub piątek liczę na powrót do Turynu. To, co mogę zarejestrować na despekt swej chorobie, że mam wisielczy humor.

Ksiądz Cafasso rozmawiał ze mną o nowym pensjonariuszu, spróbuję wszystko, byle wielebny ksiądz i ksiądz Pacchiotti byli z tego zadowoleni, o ile mi wiadomo, jest on najlepszego usposobienia i pełen humoru. Wczoraj otrzymałem list od niego pełen dobrych wieści. Proszę powiedzieć Matce Klementynie, by była dobrej myśli, że za powrotem do Turynu wszystko się ułoży. Matka Eulalia niech się trzyma mocno, by nie chorowała. Matka kierowniczką niech trzyma wesołe nasze chore córeczki, którym przywiozę gościnnie, gdy wrócę. Proszę gorąco, by pan Piotr gotował pożywne obiady księdzu Pacchiotti, tak bym go zastał przy dobrym humorze i zdrowego. Niech Bóg błogosławi etc. *Affezionatissimo amico D. Bosco*”.

Nowym „pensjonariuszem” był prawdopodobnie ksiądz Bosio dawny kolega Księdza Bosko z seminarium, ks. Cafasso proponował go na pomocnika Księdzu Bosko, który nie podolałby dłużej tak wielu zajęciom.

Następny list adresowany do księdza Franciszka Puecher dyrektora Instytutu Miłosierdzia w Stresa wskazuje na rezultaty wielu studiów Księdza Bosko w tym roku. Instytut Miłosierdzia znany mu był z korespondencji z mistrzem nowicjuszy bądź z konwersacji z zakonnikami Sagra di S. Michale:

„Molto Rev. do Signore!

W ubiegłym roku pisałem o pewnym młodzieńcu studencie prawa pragnącym wstąpić do waszego Instytutu, miał on pewne trudności domowe. Inny student nosił się z podobnym zamiarem. Ma lat 23, ukończył filozofię, Instytut Prawa i był adwokatem jakiś czas, obecnie nosi się z myślą porzucenia świata i poświęcenia się Bogu w Instytucie Miłosierdzia. Osoba znakomita, zdolności więcej niż średnich. Zapytuje przeze mnie, czy może liczyć na przyjęcie i na jakich warunkach. Napisałem podręcznik historii kościelnej dla użytku w szkołach, przy końcu podałem wykaz zakonów i zgromadzeń świeżo powstałych, dlatego prosiłbym o następujące informacje:

1. Czas i założyciel Instytutu Miłosierdzia.
2. Cel jego.
3. Czy uzyskał zatwierdzenie papieskie, ile domów liczy obecnie.

Zapewniam, że dane powyższe wykorzysta się dla większej chwały Bożej i naszej św. religii. Przepraszając etc. Obl. mo servitore ks. J. Bosco Castelnuovo d'Asti, 5-11-1843 r.”.

Pierwsze wydanie Historii kościelnej ze wzmianką o zgromadzeniach zakonnych, powołani kandydaci kierowani przez Księdza Bosko do Instytutu Miłosierdzia zapoczątkowały serdeczne stosunki między nim a Rosminianami. Ponieważ w Turynie nie było domu tego zgromadzenia, dlatego Ksiądz Bosko zaopiekował się młodymi kandydatami odbywającymi swe studia w stolicy. Pisał o tym do przew. Ks. Franciszka Puecher:

„Z przyjemnością widuję tu często kłeryka Comolla Konstantyna wraz z kolegą uczęszczających na filozofię”.

Ten mu zaś odpisywał:

„Cieszę się bardzo z opieki nad naszymi studentami, uważając to za przysługę więcej niż przyjacielską, dla mnie samego oddaną...”.

Powołania, jakie Ksiądz Bosko odkrywał i posyłał do innych zakonów, zjednały mu wielki szacunek i wdzięczność różnych klasztorów, zwłaszcza za to, że jako bystry pedagog umiał sekundować ich skłonnościom odkrytym przez siebie, kształcił je i formował duchowo.

ROZDZIAŁ XXXV

Niemniej od lektury religijnej leżała Księdzu Bosko bardzo na sercu sprawa podręczników szkolnych. W październiku 1845 ukończył swą Historię kościelną. Tytuł brzmiał:

„Historia kościelna dla użytku w szkołach, przydatna dla każdego rodzaju osób, przez ks. Jana Bosko ”.

Tom liczył blisko 200 stron, wydany w drukarni Spierani i Ferrero.

Godne uwagi powody skłoniły Księdza Bosko do skomplikowania niniejszego podręcznika, jak sam wyłuszcza:

„Oddając się od lat kilkunastu pracy nad młodzieżą, pragnę dać jej do rąk wszelkie pożyteczne wiadomości, dostępne mi, zebrane w krótkim tomie, przystosowane do jej wieku i rozwoju umysłowego. Miałem pod ręką niektóre poprzednio wydane podręczniki pod każdym względem godne pochwały, lecz albo zbyt obszerne lub zbyt hołdujące historii świeckiej, inne raczej nazwać by można rozprawami polemicznymi około poszczególnych wydarzeń kościelnych, inne wreszcie tłumaczone z obcych języków zasługiwały raczej na tytuł monografii historycznych a nie dziejów powszechnych. Szczególnie umiałbym napiętnować niektórych autorów krępujących się pisać o papieżach rzymskich i chwalebnych zdarzeniach odnoszących się do samego Kościoła. Dlatego powodowany koniecznością oraz zachęcany przez niektóre wybitne osobistości, zabrałem się do napisania niniejszego zarysu historii kościelnej. Przeczytałem dostępną mi literaturę w naszym i obcych językach, podkreśliłem to wszystko, co powiedziano na chwałę Rzymu i Italii w sposób możliwie najprostszy dostosowany do pojętności chłopięcej. Pewne zdarzenia całkiem świeckie lub cywilne, suche lub mniej ważne, względnie zakwestionowane pominąłem zupełnie lub tylko o nich wspomniałem, te zaś, które wydawały mi się więcej przemawiające, potraktowałem solidniej, notując pewne okoliczności, z uwzględnieniem nie tylko strony intelektualnej, lecz podbudowy moralnej.

Dla większej przejrzystości książki, podzieliłem całość na okresy i rozdziały, stosując formę dialogu, poszedłem w tym za radą wielu roztropnych osób.

Nic godniejszego i konieczniejszego dla tego, kto wychowany został na łonie Kościoła katolickiego, nad studium jego dziejów, mówiąc o początku i kolejach tej religii, objaśniających, w jakich przeciwnościach ona się rozszerzała i zachowała.

Niech niebo błogosławi skromny trud autora, którego celem jest chwała Boża oraz przyczynę do nauki dziejów kościelnych, która po studium Pisma św. zasługuje na najwyższą pochwałę oraz niech będzie błogosławiony czytelnik, który zechce się nim posłużyć”.

Ksiądz Bosko dedykował swą pracę Prowincjałowi Braci Lasallistów, Wielebnemu Bratu Ervè De la Croix, któremu pisał:

„Szczególna cześć i szacunek, jakie żywię względem osoby Waszej Wielebności, skłania mnie do dedykowania mu niniejszego dziełka, jedyne homagium, jakie mogę mu złożyć. Wiem doskonale, że spotkam się z jego skromnością i pokorą, ponieważ jednak napisane zostało wyłącznie dla chwały Bożej i korzyści duchowej młodzieży, którą się zajmuję, odejmie mu to wszelki pretekst sprzeciwu. Raczy, więc Wielebność Wasza przyjąć ten dar pod swą możliwą protekcją, niech odtąd stanie się nie moją, lecz jego własnością, niech sprawi by dostał się do rąk, które będą pragnęły się nim posłużyć. Tym czasem mam zaszczyt etc...

Umil. mo et obb. mo Servitore ks. Jan Bosco”.

Na tych stronicach Ksiądz Bosko wyrył całą swą wiarę i miłość względem Papieża. Wypisawszy definicję Kościoła, hierarchię kościelną, przedstawiwszy czytelnikowi świętego Piotra sprawującego najwyższą jurysdykcję na Soborze Jerozolimskim, przyjmującego na łono Kościoła pierwszego przedstawiciela świata pogańskiego, przenoszącego do Rzymu swą siedzibę, pieczętującego śmiercią męczeńską swą wiarę, cuda niezliczone dziejące się na jego grobie, przechodzi do opowiadania, o czym czynimy tu wzmiankę dla należytego wprowadzenia w tok myśli.

Za Piotrem trwa nieprzerwana sukcesja jego następców 255 papieży, których wszyscy wierni uznają za Zastępców Jezusa Chrystusa na ziemi, cieszących się opieką Ducha św. Pierwszych 33 Papieży, którzy krwią własną złożyli świadectwo Bóstwu

Jezusa Chrystusa i Jego nauce, potwierdza również swój prymat jurysdykcyjny, jaki sprawują nad Kościołem, wydają prawa obejmujące wszystkich wiernych, a które po dni nasze utrzymują się w mocy. Przeciwno papieżowi występują herezje schizmy, wszechwładza cesarów, papież zwołuje setki biskupów z całego świata, przewodniczą Soborom powszechnym osobiście lub za pośrednictwem swych legatów i jedynie na skutek zatwierdzenia papieskiego rozporządzenia cesarskie nabierają mocy obowiązującej. Rzym przemówił: sprawa skończona! – woła święty Augustyn. 630 biskupów na Soborze Chalcedońskim wysłuchawszy listu papieża Leona Wielkiego, potępiającego herezję Eutychesa jednogłośnie zawołało: Tak wszyscy wierzymy. Piotr przemówił przez usta papieża Leona. Anathema, każdy, kto głosi inaczej! Na Soborze Lionskim drugim, w sprawie unii Kościoła greckiego z łacińskim, pod przewodnictwem papieża Grzegorza X, Ojcowie spośród patriarchów łacińskich i greckich, ponad 500 biskupów, 1.600 opatów i wybitnych teologów jednogłośnie proklamowali, Biskup rzymski jest prawowitym następcą św. Piotra i nikt nie może się zbawić, kto mu się sprzeciwia i nie chce pozostawać z nim w jedności.

A Sobór Laterański V odrzucił uchwały synodu pizańskiego, że sobór powszechny jest ponad papieżem rzymskim.

Dla Księdza Bosko papież był ponad wszystko, co istnieje na świecie drogiego i godnego miłości, o którego cześć dbał więcej niż o swą własną. Dlatego pisząc o Papieżu Marcelinie, którego stałość we wierze wbrew prześladowcom została stwierdzona przez mądrego papieża Leona XIII w lekcji brewiarzowej, tak pisze:

„W jednym dniu ponad 16 tys. chrześcijan zostało ukoronowanych palmą męczeńską, wśród nich też Papież św. Marcellinus, który nieustraszenie zachęcał innych do wytrwania wśród tortur, aż do ostatniego tchnienia. Równocześnie Ksiądz Bosko wspomina, że większa część tyranów, heretyków godzących w czystość wiary i prerogatywy duchowne i doczesne Kościoła i papieża od najdawniejszych aż po nasze czasy, zostało dotkniętych karą Boską, a wiara katolicka rozwijała się i kwitła pod tchnieniem św. Ojców Kościoła, papieży, zakonów oraz niezliczonych Świętych”.

Przechodząc z wieku na wiek podnosi rolę dobroczynną papieżstwa wśród poszczególnych narodów, Boska świętość Kościoła katolickiego, nieustannie stwierdzana cudami, w ten sposób wynika jedność opisywanych zdarzeń. Przy końcu

załącza spis Soborów Powszechnych od nicejskiego począwszy aż do trydenckiego oraz zestawia katalog papieży aż do Grzegorza XVI.

Dobry katolik jest też dobrym patriotą, dlatego Ksiądz Bosko od dziejów Kościoła nie oddziela dziejów swej Ojczyzny oraz tu i tam czyni o nich stosowną wzmiankę. Następnie w sposób szczególny wspomina Męczenników Legionu Tebańskiego: Secunda, Solutora, Adwentora i Oktawiusza, którzy w Turynie przelali swą krew męczeńską w roku 300 po Chrystusie. Wysławia św. Maksyma biskupa Turynu, zmarłego w roku 417, jego cześć dla Najświętszej Dziewicy, opiekę nad ubogimi, walkę z herezjami Nestoriusza i Eutychesa, który na Synodzie rzymskim otrzymał pierwsze miejsce po papieżu Hilarionie. Wspomina księcia Agilulfa, późniejszego króla rzymskiego zmarłego w 615 roku, nawróconego z arianizmu, założyciela wraz ze św. Kolumbanem słynnego opactwa w Bobbio. Nie zapomina o księżnej turyńskiej Adelajdzie, która w roku 1664 poczyniła hojne dotacje dla kościoła w Pinerolo. Wspomina o pobycie św. Franciszka z Asyżu w Turynie, o sekcie biczowników, o cudzie Najświętszego Sakramentu, o miłosierdziu bł. Amadeusza Savoira, o bł. Sebastianie Valfrè apostoła Turynu i całego Piemontu, Ojcu Lanteri założycielu Oblatów Najświętszej Marii Panny, o Czcigodnym Cottolengo założycielu małego Domu Opatrzności, o Instytucie Miłosierdzia założonym przez słynnego filozofa księdza Rosminiego, którego kapłani pracowali na każdym polu stosownie do wyłaniającej się potrzeby. Wreszcie o rozlicznych dziełach zasłużonej markizy Barolo. W końcu wypada podkreślić, że przeznaczając swą książkę dla uczniów szkół katolickich, zamieszcza wiele przykładów budujących bohaterskich młodzieńców, budzących gotowość naśladowania ich cnót oraz poświęceń dla obrony św. wiary i zachowania łaski Bożej w swym sercu.

Natomiast po ukazaniu się na rynku, książka ta zyskała wielką popularność swą przystępnością, łatwością stylu, poprawnością wyrażen. Stąd tak wielkie przyjęcie wśród rzeszy uczniów i młodzieży katolickiej, której dobro tak bardzo leżało na sercu Świętemu Wychowawcy. Za pierwszym poszło szereg wydań następnych osiągając liczbę ponad 50 tys. egzemplarzy.

ROZDZIAŁ XXXVI

W Turynie czekały na Księdza Bosko nowe krzyże. Magistrat dotychczas nie dał odpowiedzi na skargę młynarzy, ani nie powziął żadnej decyzji. Żył się w niepewności. Doszła jeszcze jedna skarga od zrzeszenia młynarzy. Wówczas radni, pomimo że podejrzewali przesadę w powyższej relacji, ustępując przed większością wystosowali zarządzenie, grzeczne w formie pod adresem Księdza Bosko, na mocy, którego winien on był opuścić to miejsce i przenieść się gdzie indziej ze swym Oratorium. Oto ów dokument:

„Citta di Torino. I Dicast. Serv. gen. N. 407

Torino, 18-11-1845 r. Ill. mo e Molto Rev. Signore!

Władze administracyjne powiadomione o pewnych nieporządkach ze strony uczęszczającej młodzieży, nawiązując do zezwolenia danego W. Przew. odnośnie jej katechizowania, niniejszym postanowiły, że z dniem 1 stycznia br. Przystaje obowiązywać zezwolenie, co do wykorzystywania wspomnianej kaplicy. Przykro, że zaistniałe incydenty dały powód do podobnej uchwały, do której spodziewamy się, że W.P. zechce się dostosować.

/ - / Podpisy syndyków”.

Ksiądz Bosko zakomunikował młodzieży uchwałę magistratu. Odpowiedzią był powszechny żal. Niektórzy ze starszych odgrązali się na tę krzywdę, Ksiądz Bosko odrzekł:

Nie szkodzi. Opatrzność podejmie się w tym czasie obrony pokrzywdzonych. I tak było. Nie wszyscy z owych pracowników mogli się cieszyć ze swego sukcesu. Na przykład dla owego sekretarza, autora ostatniej skargi była ona istotnie ostatnia dla niego. Dostał nagle porażenia w ręce, musiał porzucić swe stanowisko i po trzech latach zszedł do grobu. Jego syn pozostawiony bez opieki na ulicy, został przygarnięty przez Księdza Bosko w schronisku na Valdocco niebawem otwartym.

Przyszło Księdzu Bosko, że jego tak dobroczynne dzieło dla młodzieży nie tylko, że nie zostało docenione, lecz zapomniane. Obywatelom nie chciało się narazić

własnego spokoju i wygody dla korzyści chłopców. On jednak trwał niewzruszenie przy swym zamiarze i wreszcie odniósł zwycięstwo swą heroiczną pokorą i posłuszeństwem. Był nieco zamyślony, lecz niezdeprimowany. Że ta jego moc ducha była specjalnym darem Ducha Świętego, mamy dowód stąd, że w takich najtrudniejszych chwilach dokonywał dzieł istic wielkich i szlachetnych, wśród sprzeciwów, z niezachwianą wiarą i bez ostentacji. Znosił z pogodą ducha doświadczenie i ofiarował je Bogu tak, że rzeczy wprost sprzeczne z naturą uważał sobie za miłe i łatwe. Czy można było nazwać odpoczynkiem przebywanie wśród młodzieży grubiańskiej, niewychowanej, hałaśliwej, niewdzięcznej, czasem nawet podłej? Czy to miłe zajęcie uczyć tępe umysły, krnąbrne i leniwe? A przecież on traktował ich z niewyczerpaną dobrocią jak najlepszy ojciec! Tak, doprawdy Ksiądz Bosko byłby gotów dla swych chłopców podjąć się wszelkich trudów, nawet życie poświęcić dla ich zbawienia.

Cóż, więc teraz poczniesz znalazłszy się ze swymi trzystu chłopcami na ulicy? Bez dachu nad głową, w porze zimowej czy słotnej. Tymczasem jeszcze przez dwie następne niedziele korzystał ze zwłoki przyznanej mu przez magistrat na gromadzenie chłopców w kościele św. Marcina. Po południu po lekcji katechizmu prowadził swą gromadę na drugą stronę mostu Mosca nad rzeką Dorą, rozsiadali się tam na błoniach ciągnących się po lewej stronie miasta. Rozdawał im tu podwieczorek, rozdelał gry, boccie, kręgle, linki gimnastyczne i tak zaczynała się rekreacja trwająca aż do wieczora. Osobiście ich asystował odmawiając brewiarz siedząc na jakimś podwyższeniu.

Równocześnie poszukiwał jakiegoś miejsca na schronienie, lecz nic się nie trafiało pod rękę. Tymczasem wielu ciekawych schodziło się do kościoła św. Piotra w Okowach, na Młynówkę, zasłyszawszy o dziwnym wypadku kapelana i gospodyni oraz sekretarza. Mieszkańcy okoliczni byli pod wrażeniem zbiorowej psychozy i nawet, kto mógł niechętnie by przyjął wówczas Księdza Bosko z jego urwisami.

„W tym czasie – pisał Ksiądz Bosko – uważano, iż sprzeciwiać się temu, co robiliśmy, znaczyło tyle, co występować przeciwko woli Boga. Nie tyle, dlatego, że za karę zsyłał tak ciężkie ciosy, lecz dopuszczał podobne nieszczęście nie chcąc by ktoś przeciwstawiał się naszemu Oratorium”.

Niebawem zdarzyły się pewne fakty, które dały poznać, że Pan Bóg błogosławił tym, którzy spieszyli z pomocą temu dziełu dobroczynnemu. Wiele osób z Turynu i daleka wielokrotnie zeznało, że ich interesy szły pomyślnie od chwili, gdy zaczęli pomagać biednym chłopcom Księdza Bosko.

Daremnie jednak w owych dniach oczekiwano jakiegoś promyka nadziei. Ksiądz Bosko tymczasem odbył naradę z księdzem Cafasso, Borelem i Pacchiotti. Miłość nie postępuje lekkomyślnie. Ale, od czego teraz zacząć? Niemożliwością było wrócić do Schroniska. Kontynuowanie zebrań do dnia 1 stycznia nie było stosowne z powodu animozji młynarzy. Nie było mowy o tym, by zawiesić katechizm. Ale dokąd się tu udać? Po wielu modlitwach zdecydowano na wszelki sposób kontynuowanie imprezy. Kościół św. Marcina mógłby służyć za schronienie na wypadek niepogody, dziedziniec nad Młynówką byłby miejscem umówionym zebrań oraz punktem wyjścia, tak, więc Oratorium byłoby wędrowne.

Tak trwało od początku grudnia. Z rana chłopcy schodzili się na plac przy młynach, gdzie ich oczekiwał Ksiądz Bosko. Zabierali oni ze sobą coś do jedzenia na cały dzień. O oznaczonej godzinie był wymarsz przez miasto. Na czele szedł sam Ksiądz Bosko często głodny i niedysponowany prowadząc chłopców raz w kierunku przedmieścia Sassi, Madonna del Pilastro, Madonna di Campagna, Monte dei Capuccini, Pozzo di Strada, na Crocettę lub gdzie indziej. Przybywszy na miejsce oznaczone, Ksiądz Bosko przedstawiał się miejscowemu proboszczowi lub przełożonemu klasztoru prosząc o pozwolenie na zatrzymanie się tam, czego mu zresztą nie odmawiano. Najpierw szli do kościoła, gdzie się spowiadali, zapraszał wtedy jakiegoś kapłana do pomocy. Potem odprawiał Mszę św. z krótkim kazaniem na tle Ewangelii. Pobożne zachowanie się młodzieży bardzo podobało się ludziom, nawet samym zakonnikom, jeśli na miejscu był klasztor. Najbardziej atrakcyjnymi dla chłopców były kazania Księdza Bosko. Pewnego razu tłumaczył tajemnicę tego uroku księdzu Alojzemu Guanella: „Jeśli chce się im podobać i naprowadzić do dobrego, trzeba dużo posługiwać się przykładami i przemawiać do wyobraźni i serca, na przykład opowiadając historie wielkich osobistości, bohaterskie ich perypetie, przygody itp.”.

Po południu, po nabożeństwie i lekcji katechizmu prowadził znowu chłopców na pobliskie wzgórze, gdzie mogli się bawić do dowoli nikomu nie przeszkadzając. Te

przechadzki pociągały również ze sobą pewne wydatki na żywność. Świeże powietrze i ciągły ruch wywoływały u chłopców dobry apetyt, pozjadali dawno swoje zapasy i czuli głód, który trzeba było zaspokoić rozdając im bułki.

Gdy słońce kryło się za Alpy, chłopcy wracali do miasta i każdy po drodze odłączał się do swego domu, opowiadając naokoło wesołe przygody, jakie mieli dziś z dobrym Księdzem Bosko. Czasem z grupą starszych chłopców zachodził Ksiądz Bosko do jakiegoś kościoła, by udzielić tym, co pozostali błogosławieństwa eucharystycznego.

Trzeba było jednak opuścić kościół św. Marcina w IV niedzielę Adwentu. Ksiądz Bosko po pacierzach dodał wezwanie pożegnalne do Patrona kościoła, a wychodząc z niego wznosząc oczy ku niebu zawołał:

Domini est terra et plenitudo eius! Pazienna, drodzy chłopcy, Najświętsza Panna nam dopomoże! Poszukamy sobie innego schronienia.

A gdzie je znajdziemy? – pytali najbliżsi.

Ten, który dał ptakom gniazdka a bestiom jamy w wąwozach leśnych, nie opuści nas zapewne.

W dzień Bożego Narodzenia chłopcy podążyli gromadnie do Księdza Bosko w Schronisku. Ale cóż tu począć? Jego pokoik już i tak szczupły założony był sprzętami, przedmiotami kościelnymi itp. przeniesionymi tu z kaplicy na Młynówce i ze Szpitalika. Ksiądz Bosko, otoczony rzeszą chłopców gotowych iść za nim wszędzie, nie miał ani piędzi ziemi gdzie mógłby się rozgościć z nimi. A tu pora była chłodna. Nikt doprawdy nie mógłby dać na to odpowiedzi, nawet on sam. Tymczasem chłopcy zgromadzili się na wysłuchanie trzech Mszy św. Ach, jak odmienne były te święta od poprzednich! Myśl o tym zalewała im dusze smutkiem.

Mogły te myśli zdeprimować jego samego, lecz nie mógł się przecież z nimi ujawnić przed młodzieżą i nadrabiał humorem zachęcając do wytrwania, opowiadając tysiączne projekty odnośnie przyszłego Oratorium istniejącego tylko w planach Opatrzności i jego własnych myślach.

Nie bójcie się moi drodzy, mówił im – już przygotowany jest dla nas wspaniały dom. Niezadługo dostaniemy go na własność, będziemy mieli wspaniały kościół, przestronne sale, obszerne dziedzińce, niezliczona liczba chłopców będzie się tu zabawiać, modlić i pracować. O jak wielkie rzeczy nas czekają!

I młodzież mu święcie wierzyła! Mogło się komuś wydawać, że obecne krytyczne położenie winno by rozwiązać wszelkie jego plany i rozproszyć uczęszczających do niego chłopców. Przeciwnie, liczba ich wciąż rosła. Powtarzano między sobą proroctwa Księdza Bosko, a taki pan Villa Józef, mieszkaniec Oratorium, jeszcze w roku 1856 słyszał je z ust wielu byłych wychowanków, już ojców rodzin i stwierdzał na własne oczy ich prawdziwość.

Faktem znamiennym jest, że punktem wyjścia dla owych wędrówek Księdza Bosko było zawsze Valdocco, jakby jakiś potężny magnes, który go tam przyciągał. Jego cudowna wyobraźnia ukazywała mu we śnie inny wspaniały widok. Ale co bardziej godne podziwu, wymykało mu się od czasu do czasu z ust na przestrzeni dłuższego okresu czasu, że oglądał w duchu wspaniały kościół Maryi Wspomożycielki. Piszący te słowa będąc wtedy przy boku Księdza Bosko notował jego słowa, z których w syntezie powstał obraz następujący: Otóż zdawało mu się, że znajdował się w kierunku północnym od Ronda, na skraju dzielnicy Valdocco, wiodąc oczyma ku rzece Dorze, wśród alei wysokich z drzew ówczesnego Corso Regina Margherita, spostrzegł na dole w odległości około 70 metrów od ulicy Cottolengo, na polu porośłym ziemniakami, fasolą i kapustą, lśniące postacie trzech Młodzieńców. Stali oni na pewnym miejscu, które zgodnie ze snem poprzednim, mogło być teatrem męczeństwa trzech żołnierzy Legii Tebańskiej. Skinęli na niego by szedł z nimi. W ich uprzejmym towarzystwie przyszedł na skraj terenu, na którym obecnie wznosi się świątynia Maryi Wspomożycielki. W tej chwili zjawia się mu postać matrony we wspaniałym stroju, z uśmiechem na ustach, pełnej majestatu i chwały, w otoczeniu dostojnych starców jakby książąt oraz orszaku znamienitych dworzan. Za nią niekończące się szeregi wyłaniające się z dali... Owa Pani stanąwszy w tym miejscu, gdzie obecnie znajduje się główny ołtarz świątyni, skinęła na Księdza Bosko, by podszedł bliżej. Gdy stanął przed nią oświadczyła mu, że owi trzej Młodzieńcy są to męczennicy Solutor, Adwentor i Oktawiusz, dała przez to poznać, że będą Patronami tego miejsca. Następnie z czarującym uśmiechem, ze słodyczą niewymowną dodała otuchy, by nie opuszczał swych chłopców, lecz kontynuował z coraz większą gorliwością dzieło przedsięwzięte, następnie powiedziała, że napotka na poważne przeszkody, lecz wszystkie przewycięży jego ufność położona w Matce Boga i Jej Boskim Synu. W końcu wskazała mu dom realnie istniejący, który jak wiedział był

własnością niejakiego pana Pinardiego oraz kościółek, dokładnie w miejscu gdzie stoi obecnie kościół św. Franciszka Salezego wraz z przyległymi budynkami. Wznosząc następnie rękę wyrzekła brzmiącym cudowną harmonią głosem:

HAEC EST DOMUS MEA; INDE GLORIA MEA.

Ksiądz Bosko upojony rozkoszną harmonią tych słów przebudził się. Postać Najświętszej Dziewicy i całe to widzenie znikło jakby za łagodnym powiewem wietrzyka rozchodząca się mgła poranna. A on ufając Boskiej Dobroci i Miłosierdziu, u stóp Najświętszej Dziewicy ponowił swe poświęcenie się dla wielkiej sprawy, do jakiej został powołany przez Boga.

Za nastaniem poranka, jeszcze pod wpływem tego widzenia, natychmiast poszedł przekonać się o prawdzie tego, co we śnie zostało mu wskazane. Wychodząc z pokoju rzucił księdzu Borelowi:

Idę obejrzeć pewien dom przeznaczony dla naszego Oratorium.

Lecz jakże bolesnego doznał rozczarowania, gdy na wskazanym miejscu, zamiast budynku z kościołem, zastał lokal publicznego zgorzenia! Wróciwszy do siebie, indagowany przez zaciekawionego księdza Borela odrzekł krótko, że dom, na który liczył, nie był przydatny na jego cel.

ROZDZIAŁ XXXVII

Za nastaniem chłodniejszej pory roku nie można już było urządzać wycieczek w teren. Dlatego konieczny był gdzieś w mieście jakiś punkt zbiórek. Księdzu Bosko udało się nareszcie przy pomocy księdza Borela wynająć od pewnego kapłana nazwiskiem Moretta trzy pokoje w jego własnym domu, niezbyt odległym od Schroniska. Dojście było od ulicy Cottolengo, podówczas właściwie wąskiej ścieżki, był to drugi dom przy tej uliczce graniczącej z łąką Filippi, na której później powstała odlewnia żelaza. Do owych pomieszczeń wchodziło się od południa z podwórza po schodach z balkonem drewnianym od zewnątrz. Tak Oratorium, rzec można było w połowie drogi do osiągnięcia ustalonej siedziby.

Spędzili tu trzy miesiące w czasie zimowych mrozów, w ciasnocie, co prawda, lecz zawsze mieli jakiś kącik własny, gdzie można było pomodlić się, wypowiedzieć, uczyć się katechizmu. Z braku własnej kaplicy uczęszczano na Mszę św. do jakiegoś pobliskiego kościoła parafialnego, zazwyczaj była to Consolaty lub św. Augustyna. Wielu chłopców przystępowało z pobożnością do Stołu Pańskiego. Gromadzono się też w większe święta na uroczyste błogosławieństwo eucharystyczne. W czasie owej zimy praktyki pobożne ograniczały się do zwykłego katechizmu wieczorem dnia świątecznego, śpiewano pieśni religijne przed ołtarzykiem Madonny ubranym możliwie najpiękniejszymi kwiatami i świecami. Ksiądz Bosko starał się o różne rozrywki i gry pokojowe dla chłopców, jak np.: lotto, gaska, podróż dookoła świata, kostki, warcaby, etc. Ulubione przez chłopców były gry w ciepłą rączkę i w ślepią kurę, zaś Ksiądz Bosko zabawiał ich grą w kuleczki. Opowiadał o tym Castano Stefan ówczesny oratorianin. Przeniesiono również ze Schroniska wszelkiego rodzaju przybory gimnastyczne.

Sama obecność Księdza Bosko wystarczała, by zaprowadzić ład wśród tej gromady łobuziaków nieprzyzwyczajonych do żadnej karności. Nie mógł on jednak stale być przy nich, zwłaszcza w kościele w czasie nabożeństw. Potrzebował wtedy pomocników w asystowaniu młodzieży jak również osób dobroczynnych

dostarczających środków na to, by przynęcić pewnymi nagrodami młodzież do Oratorium. I tych mu nie brakowało.

„Początkowo - pisał Ksiądz Bosko – dobrodziejem był niejaki pan Gagliardi, posiadający skład żelazny naprzeciw bazyliki św. Maurycego, który nie mając pieniędzy ofiarował się asystować chłopców i zjednywał nam innych dobrodziejów, jak na przykład pana Montuardi, który przez dwa lata na ręce księdza Borela składał kwotę miesięczną, około 30 lir oraz szlachetnego i bogatego bankiera pana Cotta. Ci oraz inni panowie wyszukiwali dla chłopców dobrych majstrów, którzy by ich przyjmowali do pracy”.

Do nich dołączy się niebawem pewien młody kapłan turyński ze szlachej i zamożnej rodziny ksiądz Jacek Carpano, wyświęcony w roku 1844. Ksiądz Cafasso posyłał go do pomocy Księdzu Bosko. Niestrudzony w głoszeniu chłopcom nauk, uczeniu katechizmu, traktował ich z wielką słodyczą, biorąc żywy udział w ich rozrywkach. Za wzorem Księdza Bosko pragnął poświęcić swe życie dla miłości Jezusa Chrystusa, asystowaniu młodzieży, nawiedzał również więzienia. Nieco później gromadził we własnym mieszkaniu studentów, którym dopomagał w nauce i roztaczał opiekę duchową nad nimi. Przez kilka godzin dziennie udzielał korepetycji z łaciny tym, którzy aspirowali do stanu kapłańskiego, głosił rekolekcje chłopcom w zakładzie poprawczym Generala, utrzymywał w swym domu do dziesięciu chłopców, którzy wyszli z więzienia, wychowując ich oraz zapewniając im zajęcie w odpowiednich warsztatach.

Przy pomocy więc księdza Carpano, Ksiądz Bosko niezwłocznie ponownie otworzył swe szkoły zawieszane od sześciu miesięcy. Chłopców w liczbie około dwustu niemogących się pomieścić, podzielił na trzy klasy, z osobną dla każdej izbą. Każdego wieczoru, gdy skończyła się praca po warsztatach i fabrykach, chłopcy przychodzili uczyć się czytania i pisania z wielkich tablic ściennych. Przez długie godziny wieczorne na tych zaśnieżonych błoniach rozległy się przeciągłe tony wyśpiewywanych sylab oraz prostych zdań. Gdy Oratorium znajdowało się jeszcze w Konwikcie św. Franciszka z Asyżu, Ksiądz Bosko już wtedy widział konieczność udzielania nauki wielu chłopcom analfabetom, którzy także nie znali prawd wiary św. Widział, że nauczanie ich, choćby długie nie dałoby rezultatów i w końcu znudzeni zaprzestaliby chodzenia na naukę katechizmu. Należało, więc postawić ich

w możliwości samodzielnej nauki, niestety, wówczas ta nauka, z braku odpowiednich pomieszczeń i nauczycieli była nader ograniczona. Ale już w domu Moretta, podobnie jak w Schronisku, nauka ta szła lepiej. Wielu chłopców z niej korzystało, odpowiadając trudom Księdza Bosko i jego pomocników. Dla szczupłej garstki starszych chłopców zorganizowano również naukę dzienną, przystosowaną do ich fachu. Uczono ich arytmetyki, początkowych rysunków i geografii.

O ile Ksiądz Bosko zajmował się chłopcami wziętymi z ulicy, równocześnie nie pomijał innej niemniej doniosłej sprawy: zapobiegania zepsuciu młodzieży pochodzącej z dobrych rodzin religijnych przez odpowiednie dla nich kursy religijne. Odwiedzał każdego tygodnia różne szkoły publiczne w mieście, gdzie miał wielu dobrych znajomych wśród nauczycieli i wychowawców. Darmowymi wykładami religijnymi pełnił misję wychowawczą, raz wśród wychowanków Braci Szkół Chrześcijańskich, to w zakładzie w Porta Palazzo św. Franciszka, to znów w Kolegium w Porta nova i innych. Chętnie wyręczał czasem któregoś nieobecnego nauczyciela, względnie ofiarował się w tych zakładach prywatnych, gdzie nieregularnie uczono religii. Bywał często w szkole prof. Bonzanino i na retoryce u ks. prof. Mateusza Picco, których uczniowie pochodzili z najlepszych rodzin turyńskich. Jego pełne ciepła i życzliwości słowa i miłe obejście się z uczniami zyskiwało mu serce wszystkich. Samo pokazanie się w szkole wywoływało entuzjizm wśród młodzieży. Czerpał w swych katechezach przykłady z Historii biblijnej robiąc bardzo trafne zastosowania. Prowadził też bardzo intensywne wykłady przez lat dziesięć. Celem jego było wdrożenie młodzieży do Sakramentów św.: spowiedzi i Komunii św.

Jakkolwiek kierował się szczerymi intencjami, nie wszystkim podobało się to mieszanie się do szkół publicznych. Również gromadzenie młodzieży w domu Moretta podpadło niektórym typom.

Były to pierwsze próby zaprowadzenia tego rodzaju szkolnictwa w kraju, stąd tyle szumu i polemiki. W ciągu owej zimy z 1845 na 1846 rok, szerzyły się pewne pogłoski, które o ile nie zaszkoziły samemu Księdzu Bosko, nabawiły pewnego zakłopotania jego chłopcom. Przez wielu uznane zostało jego działo za zbyt śmiałe i ryzykowne nawet ze strony osób poważnych. Tu i tam pojawiły się języki pomawiające Księdza Bosko o wręcz rewolucyjne tendencje, już to uznające go za

szalonego, nawet za heretyka. Mówiono, że Oratorium to wybieg dla oderwania młodzieży od ich własnych parafii i przepajanie ją, podejrzanymi teoriami.

Ta ostatnia opinia opierała się na przesłankach, jakby był on zwolennikiem nowoczesnej pedagogii wątpliwej wartości, on sam, choć nie tolerował nic zdrożnego u swej młodzieży, nie krępował jej w zbyt hałaśliwych, rzekomo niekulturalnych, ich zdaniem rozrywkach. Dawna dyscyplina w szkołach utrzymywana była surowością wychowawców oraz za pomocą bata, zaś innowacje Księdza Bosko puszczały hamulce zbyt swobodzie.

W spotkaniach towarzyskich często był przedmiotem zaciętych ataków swych krytyków. A im bardziej usiłował wyjaśnić sedno sprawy w dyskusjach, z tym większą spotykał się złośliwością i ujemnym nastawieniem. Przypuszczać można, iż wielu z nich sprzyjało teoriom sekciarskim i tego rodzaju ostracyzmem usiłowali zdyskredytować Oratorium i oddalić od niego chłopców. Skutek był jednak odwrotny, gdyż młodzież garnęła się do niego z tym większym zaufaniem. Nawet niektórzy z duchownych widzieli u Księdza Bosko coś ich zdaniem przesadnego, jakby polowanie za wielkością, zwłaszcza jego aktywizm, sztukę panowania nad tłumem i zjednywania sobie umysłów, dlatego powtarzano: biada nam, biada Kościołowi katolickiemu, jeśli Ksiądz Bosko nie jest kapłanem według ducha Bożego!... Lo sará? Pytano, chwiejąc głowami. Stąd ta opozycja wobec niezrozumienia jego misji.

Ksiądz Cafasso usiłował rozbroić uprzedzonych względem Księdza Bosko a równocześnie zyskiwał mu dobrodziejów i protektorów. Za to właśnie spotkała go niejednokrotnie ostra nagana ze strony wielu duchownych, jak o tym wspomina w swej książce Karol Despiney, gdy pisze: „Niektórzy przyjaciele (Księdza Bosko) przekładali księdzu Cafasso jego spowiednikowi, że wyświadczyłby Kościołowi prawdziwą przysługę, zakreślając jemu pewne granice jego zbyt śmiałej gorliwości... A ksiądz Cafasso odpowiadał z uśmiechem na te sugestie, powtarzając niezmiennie: „Pozwólcie mu działać...”.

I któżby mógł w całym Turynie dorównać mu w rozeznaniu duchów, dawał wszak tego dowody w tak wielu sytuacjach najdelikatniejszych. Poddawano jednak w wątpliwości, czy co do Księdza Bosko ten jego zmysł nadprzyrodzony nie uległ czasem pewnej słabości ludzkiej. Ci ludzie występowali z takim uporem, jakby wymagał tego interes Boży.

Ale ksiądz Cafasso zawsze uprzejmy, dobry, grzeczny, uśmiechnięty miał na ustach jedyne słowo, które nabrało rozgłosu wyroczni: „LASCIAVELO FARE”.

ROZDZIAŁ XXXVIII

Z końcem roku 1845 wydawało się, że Ksiądz Bosko już nie zdoła dłużej prowadzić swego dzieła z powodu utraty sił. Ksiądz Borel donosił o tym markizie, która jeszcze nie wyjechała z Rzymu, owa pani zaś poleciła mu gorąco, by wszelkimi środkami starał się leczyć Księdza Bosko i przywrócić mu zdrowie. Parę dni później przysłała mu 100 lir na Oratorium. Ten z wdzięczności odpowiadał:

„Ill. ma Sig. Marchesa!

Cenne rady, jakie przysłała odnośnie Księdza Bosko dają poznać, jak bardzo ceni sobie zdrowie tego gorliwego kapłana. Nie omieszka on z nich skorzystać, a ja w jego imieniu składam jej za to gorące dzięki. Już od początku grudnia, gdy widzieliśmy, jak bardzo potrzebował odpoczynku, ksiądz Pacchiotti w zastępstwie jego odprawiał Mszę św. w Szpitaliku, zostawiając drugą Księdzu Bosko w Schronisku. Wynik tego okazał się korzystny dla zdrowia Księdza Bosko. A choć dotąd nie mógł powrócić całkowicie do sił, pomimo chwilowej przerwy w swej pracy w Schronisku, mamy jednak nadzieję, że wnet przyjdzie do zdrowia. Dzisiaj oświadczył mi, że gotów stanąć znowu na posterunku od Trzech Króli i że nie będzie miał do czynienia z księdzem Guala i ks. Cafasso, jeśli nie wywiąże się ze swych zajęć. Ci ostatni dali mi do dyspozycji innego kapłana do drugiej Mszy św. w Schronisku, w wypadku zaś gdybyśmy nie zdołali zaspokoić potrzeb domu, zwrócę się do O. Rektora Oblatów o przysłanie jednego spowiednika. Gdyby okazała się wola Boża w powołaniu innego kapłana dla tego zakładu, nie omieszkam powiadomić o tym W. E. Obbl. mo Servitore T.G. Borel”.

Na jakiś czas, zatem musiał zgodzić się Ksiądz Bosko na chwilowy odpoczynek zaprzestając swych posług w Szpitaliku i Schronisku, nic jednak nie mogło go powstrzymać od zajmowania się chłopcami. Istotnie, Oratorium przeniesione do domu Moretta potrzebowało serca Księdza Bosko, by utrzymać się przy życiu, wbrew tylu trudnościom. Nadeszła uroczystość św. Franciszka Salezego i młodzież musiała udać się na Mszę św. poza domem. A gdy wróciła, Ksiądz Bosko zdążył jej przygotować

miłą niespodziankę w formie podarunków na sumę ponad 50 lirów, jak pisał ks. Borel i tak spędzono wesoło ów dzień.

Tymczasem zgodnie z przewidywaniami ks. Arcybiskupa, Oratorium napotkało na sprzeciw ze strony proboszczów, jako dzieło niemające zatwierdzenia od władzy kościelnej. Dotąd, bowiem Ksiądz Bosko działał w oparciu o zezwolenie ustne mając tylko na piśmie jurysdykcję czasową osobistą.

Z początkiem roku 1846 miała miejsce w Turynie konferencja duchowieństwa miejscowego, na której debatowano, jakie przedsięwziąć skuteczne chwytły w duszpasterstwie. Wśród obecnych znajdowali się również księża Borel i Giacomelli. Omawiano katechizację młodzieży. Wówczas ks. Karol Dellaporta proboszcz Matki Bożej Karmelitańskiej podniósł skargi na Księdza Bosko i Oratorium. Twierdził, że przez to rozbija się parafię, a młodzież nie będzie znała w przyszłości swego proboszcza. Dlatego uważa, że Ksiądz Bosko nie respektuje porządku hierarchicznego, nie odnosząc się do właściwych duszpasterzy.

Zarzut powyższy natychmiast został odparty przez księdza Borela, który wskazał, że arcybiskup w pełni popiera inicjatywę Księdza Bosko, że wielu chłopców do Oratorium pochodzi z dalszych okolic i że pozbawieni tej opieki nie będą uczęszczać do żadnego kościoła. Co do pochodzących z Turynu stwierdził, że ich liczba nie była duża, nadto po większej części są to chłopcy tak dalece zaniedbani, że za nikim nie pójdą, jak tylko za Księdzem Bosko, który na nich wywiera zbawienny wpływ. Pozostawieni sami sobie zapewne nie trafią do żadnej parafii i wrócą do złego towarzystwa, w którym na pewno się stracą. Jest, więc rzeczą oczywistą, że nigdzie indziej jak tylko w Oratorium mogą być z dala od niebezpieczeństw i znaleźć odpowiednie pouczenie religijne. Przykro, że Ksiądz Bosko spotyka się z takim niezrozumieniem i brakiem wsparcia. On wcale nie odciąga chłopców od ich własnych parafii, a przyjmuje wszystkich, którzy doń przychodzą, słowem i przykładem wpaja szacunek i poważanie dla księży proboszczów i wychowuje chłopców na wzorowych parafian. O tym osobiście mogę zaświadczyć, zakończył ks. Borel. Przypuśćmy, że odesłaloby się ich do parafii. Czy nie wiadomo wszystkim, że obecnie napływa tysiące młodzieży do miasta i liczba ta będzie stale rosła? Któż potrafiłby opanować tak wielką rzeszę młodzieży nienawykłej do porządku? Kto zajmie się każdym z nich z osobna? Czy nie spowodowałoby to zamieszania w parafii? Czy księża

proboszczowie i wikarzy nie są już i tak przeciążeni pracą zwłaszcza w niedzielę? Jestem zdania, że należałoby zorganizować nie jedno, ale dziesięć, dwadzieścia podobnych Oratoriów w mieście i zapewnić opiekę młodzieży, która nie wyobcuje się w ten sposób z parafii...

Większość uznała za słuszny ten wniosek i przeszło się nad nim do porządku dziennego. Proboszcz ów nie zmienił jednak swojego przekonania a niektórzy jego koledzy również podzielali tę opinię. Nie była to według nich nędzna ambicyjka lub zawiść, gdyż szczerze zabiegali o zbawienie dusz. Rozumowali następująco: Oratorium Księdza Bosko odciąga chłopców od własnych parafii, niezadługo będziemy mieli kościoły puste, zwłaszcza w czasie katechizacji i nie zobaczymy swych dzieci, za które przecież musimy zdać rachunek przed Bogiem. A zatem Ksiądz Bosko winien zaprzestać gromadzenia ich wokół siebie i odesłać do naszych kościołów! Zdecydowano, więc zażądać wyjaśnień od Księdza Bosko.

Jakiegoś dnia przyszło do niego dwóch poważnych księży, by się rozmówić w powyższej sprawie.

To, że gromadzę chłopców w niczym nie przeszkadza frekwencji dzieci do parafii.

Jak to Ksiądz rozumie?

Bo przeważająca część chłopców uczęszczających do Oratorium to przybysze z dalekich stron, z górnej Savoi, Szwajcarii, Novary, Lombardii etc. Jest to młodzież pozbawiona opieki rodzicielskiej szukająca w Turynie zarobku.

Czy nie można by ich odesłać do parafii, w której aktualnie zamieszkują?

Nie znam takiej.

A dlaczego nie dowiedzieć się o niej?

Ponieważ jest to moralnie niemożliwe. Chłopcy ci znajdują się wśród obcego sobie otoczenia, zmieniają często miejsce zamieszkania wędrując od jednego do drugiego majstra, ujemne oddziaływanie otoczenia niezbyt przyjaznego Kościołowi to przeszkody niepokonalne, by mogli zżyć się z miejscowymi parafiami. Prócz tego wielu z nich to dorośli w wieku 15-tu, 18-tu i 20 lat, którzy zapomnieli dawno o katechizmie i odwykli od kościoła. I któż potrafiłby ich nakłonić, by chodzili na naukę katechizmu wraz z małymi dziećmi?

A czy nie mógłby Ksiądz osobiście ich przyprowadzić do parafii i tam uczuć katechizmu?

Tak mógłbym przyjść do parafii, lecz nie wszędzie naraz, gdyż nie mam daru bilokacji, nadto chłopcy są rozsiani po wszystkich dzielnicach miasta. Można by próbować tego, gdyby każdy proboszcz zechciał na terenie własnego kościoła gromadzić ich w dni świąteczne i prowadzić do odnośnych parafii. Ale i to w praktyce będzie bardzo trudne do wykonania. Zazwyczaj przychodzą oni do Oratorium przyciągani przez różne rozrywki, wycieczki przez nas urządzone. (Mógłby dodać przez miłe obejście się z chłopcami) – i w taki sposób udaje się ich prowadzić na katechizm i nabożeństwa. Bez tego nie zobaczyłoby się ich ani u Księdza Bosko ani w parafiach, z wielką szkodą dla ich dusz. Dla uniknięcia tego niebezpieczeństwa – dodał – należałoby we wszystkich parafiach zorganizować podobne rozrywki, by przyciągnąć młodzież.

Ach, to jest niemożliwe, nie mamy ani odpowiednich lokali, ani personelu do tego.

W takim razie...

Proszę na razie kontynuować, jak Ksiądz uważa, my jeszcze tę sprawę rozważymy.

Przy następnej konferencji duszpasterskiej mocno dyskutowano kwestię oratoriów. Padały zdania za i przeciw, w końcu przeważyła opinia przychylna, o czym zakomunikowano Księdzu Bosko w imieniu proboszczów miejskich w następujących słowach: „Duszpasterze miasta Turynu na konferencji rejonowej zastanawiali się nad kwestią oratoriów. Po rozważeniu argumentów jednej i drugiej strony, ze względu na to, że brak warunków na zorganizowanie podobnych oratoriów w każdej parafii, upowazniają Księdza Bosko do prowadzenia swego dzieła, dokąd nie poweźmie się innej decyzji”.

Ze swej strony arcybiskup Fransoni użył silnego poparcia Księdzu Bosko wpływając również na miejscowy kler parafialny.

Przy tych kłopotach Ksiądz Bosko nie spuszczał z oka pracy pisarskiej, przygotowując do druku nową broszurkę 46-stronicową zatytułowaną: „Sześć niedziel oraz Nowenna ku czci św. Alojzego Gonzagi wraz z życiorysem Świętego”.

W tym życiorysie dawał wyraz swym ideom na życie religijne, którymi chciał przejąć swych chłopców, umiłowanie czystości strzeżonej modlitwą i pracą nad sobą, odpowiednie powołanie do stanu duchownego, poświęcenie się misjom zagranicznym z ofiarą nawet własnego życia dla Jezusa Chrystusa. Przepisuję dosłownie stronicę z pierwszego wydania niniejszej książeczki, które całkowicie się rozeszło.

„Św. Alojzy zwany Aniołem niewinności dla swych czystych obyczajów oraz praktykowanego umartwienia był pierwotnym synem markizów Gonzagów właścicieli zamku Castiglione. Od dzieciństwa dawał oznaki świętości, do jakiej go Bóg powoływał. Od lat czterech lubił samotnie się modlić z rękoma złożonymi na piersi. Z pobożnością łączyło się umartwienie, nie lękał się mrozu, używał niewiele pokarmu, sypiał na wiórach, często na gołej ziemi, nosił włosiennicę, używał dyscypliny zraszając niewinną krwią ziemię.

W dziesiątym roku życia, widząc jak Panu Bogu podoba się czystość, przed obrazem Najświętszej Panny złożył ślub dozgonnej czystości. Maryja przyjęła tę ofiarę chętnie darząc swego sługę swą opieką tak, że zaniósł szatę niewinności Chrztu św. do nieba.

W dojrzałym wieku porzucił świat, rodzinę, przyjaciół oraz dziedziczne włości, by zająć się wyłącznie sprawami Bożymi, swą duszą i wiecznością. Po wielu przeciwnościach, szczególnie ze strony ojca, uzyskał pozwolenie wstąpienia do Towarzystwa Jezusowego, gdzie zajaśniał w stopniu bohaterskim cnotami.

Zazdroszcząc innym szczęścia oddania życia za wiarę sam pragnął tej łaski dla siebie. Otrzymał od Boga palmę miłości, bo gdy wybuchła w Rzymie epidemia cholery, usługiwał zarażonym w szpitalu i sam nabawiwszy się jej umarł. Nie lękał się śmierci jak wielu innych wpadających w rozpacz. Uważał ją za środek złączenia się z Bogiem i posiadania szczęśliwości wiecznej. Dlatego dowiedziawszy się, że nadchodzi jego godzina nie posiadał się z radości zwracając się do otaczających go:

Ach, wnet pójdziemy, pójdziemy!

A gdzie? – pytano.

Do Raju, do Raju! Śpiewajcie Te Deum Bogu. Potem spokojny, z imieniem Jezus na ustach słodko zasnął, w kwiecie wieku 23 lat i sześciu miesięcy, w roku 1591”.

Książeczkę poprzedził następujący wstęp:

„Oto drodzy chłopcy wzór, z którego czerpać możecie przykład dla swego życia, dzięki czemu i wy możecie osiągnąć szczęście wieczne. Św. Alojzy staje przed wami jako wzór niewinności i wasz patron. Ojciec św. udzielił wiernym, którzy przez 6 niedziel przygotowują się do jego święta, odpustu zupełnego. W niniejszej książeczce macie rozłożone na poszczególne niedziele odpowiednie praktyki i modlitwy do tego Świętego”.

A oto rady, jakie dawał swym chłopcom od pierwszych czasów:

Jeśli czujecie, że jesteście winni jakiegoś grzechu, przeproście natychmiast Boga obiecując wypowiadać się w najbliższym czasie. Nie odkładajcie pokuty na starość, gdy wam sił zabraknie. Temu, kto wam będzie odradzał zbytnie pokuty cielesne odpowiedzcie: Kto nie chce z Jezusem Chrystusem cierpieć na ziemi, ten nie będzie mógł z nim cieszyć się w niebie. Postanówcie od dziś, nie patrzeć na przedmioty niebezpieczne, ani rozmawiać o rzeczach przeciwnych skromności. Postanówmy od dziś, uczęszczać do spowiedzi i Komunii św. oraz praktykować rady spowiednika. Odmawiajcie pacierz poranny i wieczorny przed wizerunkiem Ukrzyżowanego i całujcie go często. Gdy możecie, nawiedźcie Najświętszy Sakrament w kościele, zwłaszcza, gdy jest wystawiony publicznie. Starajcie się zawsze dawać dobry przykład i przyprowadźcie towarzysza do kościoła i do spowiedzi. Unikajcie złych kolegów, próżnowania będącego przyczyną straty czasu i rozpocznijcie od zaraz życie lepsze. W ciągu dnia odmówcie, jakiś akt strzelisty i wezwijcie św. Alojzego owego Patrona. Pomyślcie wieczorem, jaką winna by być wasza śmierć, gdybyście mieli tej nocy umrzeć. W uroczystość, św. Alojzego ofiarujcie mu wasze praktyki pobożne tego dnia, by wam wyjednał dar wytrwania do końca”.

W następnych latach ponawiał wydanie wspomnianej książeczki w niezliczonych kopiach. W owych wydaniach przebija często myśl o Kościele, np. gdy mówi do czytelników: „Szczęśliwi katolicy żyjący w religii, która w każdym czasie, miejscu, wieku i stanie wydała tylu bohaterów, którzy przez niewinność życia doszli do wysokiego stopnia świętości. I kończył, niech Bóg nieskończenie hojny w łaski błogosławi czytelników tej książeczki i wleje w ich serca pragnienie cnót w niej wskazanych. Wszystko na większą chwałę Bożą i dla dobra dusz”.

Ksiądz Bosko podarował tę broszurkę swym oratorianom, na których ustach przyzwyczajonych do piosenek frywolnych, wykwitła pieśń „Infensus hostis gloriae”,

oraz kantyk „Luigi onor dei vergini”, których tekst wydrukowany został na ostatnich stronicach. Stały się one popularne wśród tysięcznych rzesz czeladników po całym świecie, którzy nigdy, by się o nich nie dowiedzieli bez Księdza Bosko. Są to triumfalne kantyki czystości, anielskiej cnoty, którą nieznużenie zalecał tymi słowy: „Quod aeternum non est, nihil est! Ci, którzy dają się zwyciężyć namiętnościom, porwani przez śmierć i pogrzebani w płomieniach ognia wiecznego, w rozpaczycy wołać będą: Nos insensati, erravimus!”.

ROZDZIAŁ XXXIX

Ksiądz Cafasso, jak opowiadał Ksiądz Bosko, był aniołem pociechy dla owych nieszczęśliwców, którzy za popełnione ciężkie przestępstwa musieli kończyć życie na szubienicy. Miłość jego nie znała granic, ani zważała na niewygody; spieszył wszędzie, gdzie go zawezwano. Otrzymał od Boga szczególną łaskę. Ani jeden z tych, którym towarzyszył w ostatnich chwilach życia, nie skończył bez pojednania z Panem Bogiem pozostawiając uzasadnioną nadzieję zbawienia wiecznego. Nawet wielu z nich wzruszonych gorącymi jego zachętami, przyjmowało z rezygnacją swój los. A niejeden oczekiwał ostatniego ciosu z uśmiechem na ustach, tak, iż nawet sam kat wyraził się w obecności księdza Cafasso: Doprawdy śmierć już nie jest śmiercią, lecz pociechą, przyjemnością, wprost świętem!

W ślady swego mistrza szedł i Ksiądz Bosko, pełen tego samego ducha, co i on. Skoro posłyszał, że na któregoś z więźniów miał spaść wyrok śmierci, Ksiądz Bosko na skinienie księdza Cafasso, w czasie swych wizyt w najcięższym więzieniu, tak długo zabiegał, aż zdołał skłonić do spowiedzi owego denata, o ile jej jeszcze nie odprawił. Po odczytaniu wyroku śmierci, już do kapłana należało wlać balsam pociechy religijnej do duszy nieszczęsnego skazańca, a to nie zawsze było łatwe. Zdarzało się, że niejeden z nich bluźniąc odmawiał przyjęcia sakramentów oświadczając, że chce umrzeć bez spowiedzi. Bywali nawet tacy, co usiłowali popełnić samobójstwo; czasem nie chciał pozbyć się nienawiści z duszy nieprzejednany wobec Boga i ludzi lub też w tępym uporze nie rozumiał słów kapłana o bliskiej wieczności. Czasem bądź księdzu Cafasso, księdzu Morelowi lub Księdzu Bosko udało się zdobyć ich zaufanie, tak iż ochotnie spowiadali się z gotowością przyjęcia śmierci jako środka ekspiacji.

Po ustaleniu dnia egzekucji, jeśli Księdzu Bosko przypadło spowiadać skazanego, w przeddzień udawał się do tzw. Kaplicy wspomnienia, by spędzić połowę nocy ze skazańcem umacniając go na duchu słowem kapłańskim i odprawiając nad nim modły. Przypominał mu o dobroci Maryi najdroższej naszej Matce i ucieczce grzeszników. Wyjaśniał, że Bóg w swej dobroci zezwalał, by przeszedł tę drogę

bolesną, gdyż inaczej, gdyby nie został ukarany, musiałyby zginać na wieki; zapewniał, że śmierć przyjęta z rezygnacją chrześcijańską jest aktem miłości doskonałej, zaprowadzi go do nieba z pominięciem czyśćca; zachęcał, by z ufnością rzucił się w objęcie Miłosierdzia Bożego, przypominając mu słowa wyrzeczone przez Zbawiciela na krzyżu do łotra skruszonego: dziś będziesz ze mną w raju. Podsuwał mu od czasu do czasu akty skruchy lub jakąś gorącą modlitwę.

Ksiądz Bosko spełniał swą funkcję ze spokojem i pogodą, siłą woli utrzymując równowagę wewnętrzną. Jakże trudno przychodziło jego szlachetnej naturze nie odczuwać cierpienia pochodzącego z niewymownego współczucia na widok nędzy ludzkiej. Pełzający w ciemności nocnej nikły płomyk jedynej świecy, monotonne kroki straży więziennej na korytarzu pogrążały jego ducha w depresji, przed którą nie mógł się opędzić. Ciszę przerywały od czasu do czasu westchnienia, urwane we śnie słowa skazańca, jęki, wyrazy ufności, to strachu; załamywanie rąk; czasem zrywał się na nogi przemierzając celę, spoglądał dzikim wzrokiem i bezsilnie rzucał się na posłanie w niemej rozpacz. To wszystko odczuwał w swym sercu boleśnie Ksiądz Bosko. Lecz miłość bohatera nie opuszczała go. Około północy przybywali do więzienia ksiądz Cafasso z ks. Bolerem. Wówczas żegnał się po raz ostatni ze swym penitentem i wracał do domu wstrząśnięty pod wrażeniem tej nieprzespanej nocy. Nie byłby zdolny przetrzymać dłużej i towarzyszyć skazańcowi na szafot.

Jeden tylko raz przypadło mu w udziale coś podobnego. W roku 1846 wśród więźniów znajdował się pewien młodzieniec 22 – letni wraz z ojcem. Ksiądz Bosko wielokrotnie spowiadał syna, który przywiązał się do niego z całym zaufaniem. Proces zakończył się niestety wyrokiem śmierci. Ksiądz Bosko po raz ostatni widział się ze swym młodym penitentem, którego miano odtransportować do Aleksandrii na miejsce stracenia. Młodzieniec szlochając prosił, by zechciał mu towarzyszyć. Ksiądz Bosko z sercem rozdartym nie mógł jednak dać mu zapewnienia. Trzech skazańców konwojowano, stosownie do wyroku z postojami na poszczególnych stacjach.

Otóż gdy wraz z nimi wybierał się ksiądz Cafasso, by spełnić św. posługę kapłańską, posłał po Księdza Bosko, by towarzyszył mu ze względu na gorące prośby owego młodzieńca, który pragnął koniecznie mieć przy swym boku Księdza Bosko; a przecież byłoby okrucieństwem tego mu odmawiać. Ksiądz Bosko próbował się wymawiać, gdyż nie czuł się na siłach oglądać takiego widoku; lecz ks. Cafasso

nalegał, więc Ksiądz Bosko przyzwyczajony do posłuszeństwa swemu kierownikowi duchownemu wsiadł z nim do powozu. Przyjechali do Aleksandrii w przeddzień egzekucji. Nieszczęśliwy młodzian ujrawszy Księdza Bosko w kaplicy pocieszenia rzucił się mu na szyję z płaczem. Sam płakał również, lecz zdołał łaską Bożą opanować się; spędził z biedakiem całą noc umacniając go na duchu nadzieją życia wiecznego chwalebne i szczęśliwego, jakie go czekało. Widział na jego twarzy niezmienny pokój będący odbłaskiem spokojnego sumienia, zachęcał do gorącej modlitwy do Madonny i przygotowywał do ostatniej Komunii św. Około godziny drugiej z rana udzielił mu jeszcze po raz ostatni abszolucji kapłańskiej, potem odprawił Mszę św. w tejże celi więziennej, udzielił mu Komunii św. i zdjąwszy paramenty kapłańskie wspólnie odprawił z nim dziękczynienie po Komunii św.

I oto także dla niego wybiła godzina bolesnego widowiska. W pewnej chwili dzwony na wieży katedralnej wybiły godzinę; otwarły się bramy więzienia, zjawili się strażnicy wraz z kilku członkami Bractw miłosierdzia, prokuratorem i naczelnikiem więzienia. Kat podszedł do więźnia, ukląkł i prosił o przebaczenie, potem przed ołtarzem kaplicznym związał mu ręce i zarzucił powróż na szyję. Ksiądz Bosko starał się tymczasem zając umysł skazańca myślą o miłosierdziu Boga, dobroci Matki Najświętszej, jego Anioła Stróża oraz Świętych oczekujących go w niebie.

Nadeszła godzina egzekucji. W trzech powozach ciągnionych przez parę koni wyjechali skazańcy z bram więziennych. Na pierwszym wozie umieścił się jakiś kapłan z Aleksandrii, Ksiądz Bosko siadł przy swym biednym młodzieńcu, w ostatnim jechał ksiądz Cafasoo wraz z nieszczęśliwym ojcem. Niezliczone tłumy zalegały ulice. Ksiądz Bosko zostawił w biografii księdza Cafasso swe wrażenia z owej egzekucji: „dzwony bolesnym jękiem głosiły, że skazańcy płacą życiem za swe zbrodnie; widzą oni przed sobą krucyfiks, z drugiej strony wyobrażenie śmierci; stojący wkoło członkowie Bractwa Miłosierdzia w czarnych kapturach śpiewają Miserere... Żołnierze wyprowadzają skazańców. Towarzyszą im kaci wraz z innymi przedstawicielami sprawiedliwości. Nikt z obecnych nie śmie odezwać się słowem pociechy do skazańców. Lecz oto staje przy nich kapłan, który ociera im łzy i poprzez gorące akty modlitewne dodaje otuchy błoga nadzieją przebaczenia, pokazując im krzyż Zbawiciela: Oto wasz Przyjaciel, który was ukochał, nie zraża się niczym i nie opuszcza was. Ufajcie mu, a niebo wam zapewnione. Podaje im krzyż do pocałowania.

Orszak w pewnej chwili zatrzymuje się przed kościołem. Wychodzą mu na spotkanie klerycy z zapalonymi świecami, ukazuje się kapłan z Sanctissimum w ręku błogosławiąc skazańcom. Orszak posuwa się dalej.”

Aż dotąd Ksiądz Bosko panuje nad sobą, lecz dalej już brak mu sił. Widok szubienicy, na której miał zawisną jego ukochany młody penitent, wytrąca mu pióro. Ksiądz Cafasso widocznie spostrzegł to po jego bladym obliczu i gdy powozy miały już ruszać, zszedł ze swego i głośno powiedział do Księdza Bosko: bryczka, na której Ksiądz siedzi, ma zbyt wysokie schodki, mogłoby Księdzu zabraknąć oddechu przy schodzeniu; niech Ksiądz przesiądzie się na mój powóz, a ja siądę na miejscu Księdza. Ksiądz Bosko przesiadł się na następny obok ojca młodego skazańca. Ów, pomimo, że spowiadał się i komunikował, nie okazywał oznak specjalnego wzruszenia, a raczej był zimny i odpychający. Przyszli na plac, na którym stały szubienice; wśród publiczności powstał gwar, który stopniowo cichł. W pewnej chwili znowu zaszumiało, gdy przejeżdżał ostatni powóz z Księdzem Bosko i młodym skazańcem. Woźnica nie wiedział, w którą stronę skierować konie, otoczony zewsząd ciżbą żądną widowiska. Jeden z więźniów na ten widok z cynicznym uśmiechem zawołał:

Po cóż tyle pośpiechu, drodzy obywatele? Gdy mnie zabraknie, nie będzie głównej osoby teatru, a dokąd jestem tu, jeszcze nieskończone przedstawienie. Wnet powóz zajechał przed trybunę; dwaj pierwsi już ponieśli swą karę: młodzieniec zawisł bezwładnie na sznurze. Nieszczęśliwego ojca podprowadzono pod szubienicę; lecz gdy wstąpił na stołek, Księdzu Bosko pociemniało w oczach, omal, że się nie przewrócił nieprzytomny. Lecz ks. Cafasso podparł go ramieniem i oddał pod opiekę trzeciemu kapłanowi z Aleksandrii. Udzielono absolucji najstarszemu, któremu kat w tej chwili wytrącał spod nóg stołek. Gdy Ksiądz Bosko przyszedł do siebie, było już po wszystkim. Ksiądz Cafasso jeszcze odprowadzał ciała skazańców do kaplicy Bractwa Miłosierdzia asystując do Mszy pogrzebowej.

Od tego czasu już więcej nie posyłał ksiądz Cafasso Księdza Bosko asystować przy egzekucji. Ten jednak przez wiele lat jeszcze odwiedzał więźniów skazanych na śmierć. Szubienice skazańców wznosiły się o jakieś sto metrów od mieszkania Księdza Bosko aż do roku 1852. Było to więc dla niego nie mała udręką słyszeć ze swego pokoju zgiewek tłumów ciekawych widowiska, żałobne pienia członów Bractwa Miłosierdzia, łoskot bębnow. On w tej chwili polecał Miłosierdziu Bożemu dusze tych

wyzutych ze czci skazańców, obmytych Krwią Baranka Niepokalanego. Wszak niektórzy z nich jemu samemu zawdzięczali swe zbawienie.

Ostatnim, którego dysponował na śmierć w kaplicy pocieszenia, był pewien skazaniec w roku 1857. Ten powieszony na stokach cytadeli, uznany za zmarłego i zdjęty z szubienicy, przewieziony został do kościoła św. Piotra w Okowach, gdzie zazwyczaj grzebano ciała skazańców. W pewnej chwili skazaniec poruszył się, przemówił i usiadł na marach. Wymienił Księdza Bosko, który wezwany przybył natychmiast. Tymczasem wypił podaną sobie filiżankę kawy; Ksiądz Bosko zorientował się jednak, że nie było nadziei na utrzymanie go przy życiu, gdyż kręgi szyjne były zerwane. Zachęcił go do wzbudzenia aktów skruchy, udzielił mu absencji i czuwał przy nim, dopokąd lekarze nie uznali, że rzeczywiście umarł.

ROZDZIAŁ XL

Wśród opisywanych kolei nadeszła wiosna 1846 r. a nasze Oratorium musiało odbyć nową wędrówkę. Pewien znakomity autor Francuz, w broszurce na temat Księdza Bosko i jego dzieła, pisze następująco: „Podobnie jak w porze zimowej zbiegają się zewsząd wróbelki, gdy jakaś litościwa dłoń sypie im ziarno, podobnie dookoła Księdza Bosko gromadziły się rzesze chłopców, o których nikt nie troszczył się.” /V.D. Bosco abbè L. Mendle/. To prawda - stwierdzają dziś wszyscy, że dzięki katechizacji, nauce, rozrywkom, opiece, jaką roztaczał Ksiądz Bosko nad młodzieżą w tak krytycznych dla niej momentach, ocalił ją od niewiary i niemoralności, sprowadził na dobra drogę, zapewnił dobrą przyszłość i zbawienie.

Nawiązując do powyższego porównania bywało jednak, że w momencie, gdy otwierali swe dziubki, by wziąć pokarm, na widok osób nieżyczliwych zmuszeni byli szukać go gdzie indziej, tak właśnie pierwsi oratorianie zmuszeni byli gromadzić się najpierw u św. Franciszka z Asyżu, później w Szpitalu u hrabiny Barolo, następnie przenieść się do Kościoła św. Piotra w Okowach za młynami miejskimi, obecnie zaś w domu Moretta, jak opowiemy.

Otóż większą część pomieszczeń owego domu zajmowali komornicy, którzy choć dobrym okiem patrzyli na dobro, jakie czyniło się owym dzieciom, to jednak nie znosząc hałaśliwych rekreacji, zwłaszcza pewnego rozgardiaszu w związku z nauką wieczorną urządzaną dla nich, występowali ze skargami do właściciela zdecydowani wymówić komorne, o ile nie ustaną te hałaśliwe zbiórki. Stąd zacny ks. Moretta zmuszony był oświadczyć Księdzu Bosko, by poszukał sobie gdzie indziej miejsca. Mimo tego nie szczędził Księdzu Bosko ciepłych słów, zwłaszcza, że mieszkańcy tutejsi słyszeli o przykrych wypadkach sekretarza i jego służącej, stąd pewna obawa i rezerwa. To miało miejsce 2 marca, podczas gdy Ksiądz Bosko już opłacił z góry czynsz na cały miesiąc.

Ale trudno było oddalać od siebie wciąż nowo przybywających chłopców; dlatego wynajął od niejakich braci Filippi łąkę na Valdocco, w pobliżu domu Moretta w kierunku wschodnim. Na owej to łące ogrodzonej żywopłotem, przez który

przechodziły psy mieszając czasem swe szczekanie z chłopciami wrzawą, gromadziło się obecnie całe Oratorium. Na środku wznosiła się jakaś szopa z desek oblepionych gliną, podparta poprzeczną belką ze względu na pochyły teren; tu odbywały się rozrywki. Miejsce to jednak skądinąd było pociągające. Swobodna przyroda rozkwiecona, wesołe śpiewy i rozgwar chłopięcy wnet poczęły ściągać tu publiczność, młodzieży zbierało się do czterech stek.

W taki to sposób, podczas gdy ludzie stawiali Księdzu Bosko trudności zmuszające do ciągłych przeprowadzek, Pan Bóg pomnażał jego rodzinę rozszerzając mu zakres działań.

Odpowiemy, że robiło się to w sposób nieco romantyczny, względnie lepiej mówiąc tak, jak praktykowano w czasach apostołskich. Spowiedzi odbywały się następująco: w dni świąteczne o godzinie oznaczonej Ksiądz Bosko przychodził na łąkę, gdzie w między czasie gromadzili się chłopcy. Tam siadał na jakimś stołku i słuchał spowiedzi chłopców, którzy wokół niego przygotowywali się do spowiedzi lub odprawiali dziękczynienie, czy zadaną pokutę. Podczas tego inna grupa śpiewała jakąś pieśń pobożną, względnie ktoś czytał lub opowiadał budujące przykłady; inni oczekiwali, kiedy zaczną się rozrywki prowadząc ze sobą konwersacje czy grając w kulki, boccie, piłkę lub chodząc na szczudełkach. O pewnej wyznaczonej godzinie Ksiądz Bosko zapowiadał, w którym kościele odbędzie się Msza ś. wraz z Komunią generalną. Potem wszyscy stawali w ordynku, niekiedy podzieleni na grupy starszych i młodszych oraz szli procesjonalnie śpiewając pobożne pieśni, jak powiada ks. Savio Aksaniusz. Z kościoła wracali każdy do swego domu na obiad.

Po południu, kto mógł, spieszył na łąkę Filippi, gdzie zabawiali się do woli pod okiem Księdza Bosko, względnie księdza Borela, przy pomocy starszych i mądrzejszych chłopców. Gdy nadeszła pora, Ksiądz Bosko dawał zwykły znak bębniem, dzielił chłopców na grupy stosownie do wieku i wykształcenia, polecał usiąść na trawie i przez pół godziny odbywał się katechizm. Sam brał zawsze najstarszych prowadząc lekcję, stojąc na jakimś podwyższeniu terenu. Potem śpiewano jakąś kantatę religijną i przemawiano do chłopców, czego oni słuchali z wielkim zaciekawieniem. Gdy byli poza kościołem, kończyło się wszystko odśpiewaniem Litanii Loretańskiej. Nie zwracano uwagi na przygodnych gapiów nieprzywykłych do tego rodzaju widoków. W tym także czasie niektórzy chłopcy usuwając się od zabawy

prosil Księdza Bosko o spowiedź, a on chętnie im służył nie bacząc na późną porę i swe zajęcia. Jakaż to wiara u tych biednych chłopców, którzy do niedawna w ogóle nie słyszeli o Panu Bogu!

Gdy wszyscy już odeszli z łąki, Ksiądz Bosko powracał do Schroniska. Niekiedy był już tak zmęczony, że nie mogąc ustać na nogach, musiał być podtrzymywany przez dwóch chłopców, którzy go odprowadzali do domu.

Odnosnie do pobytu Oratorium na owej łące, uważamy za stosowne przytoczyć pewien epizod. Pod wieczór którejś niedzieli, gdy chłopcy wesoło hasali na łące, przystanął pod płotem jakiś może 15-letni chłopiec. Wydawało się, jakby chciał przejść dość lichego płotu i przyłączyć się do kolegów; nie śmiejąc jednak przypatrywał się tylko z miną dziwnie smutną. Ksiądz Bosko zauważył go i podszedłszy do płotu stawiał mu kilka pytań, na które chłopiec nie odpowiadał. Może to niemowa – pomyślał Ksiądz Bosko i już chciał porozumiewać się z nim na migi, kiedy próbując ponownie położyć mu rękę na głowie i spytał:

Powiedz mi mój chłopcze, co ci jest, może czujesz się źle?

Chłopiec zachęcony dobrym traktowaniem wydał wreszcie jakby z głębi pustego naczynia głuchy głos: jestem głodny. Wywołało to współczucie u słuchających. Przyniesiono natychmiast chleb, by się posilił. Potem Ksiądz Bosko ponownie wszedł z nim w rozmowę.

Czy nie masz rodziców?

Mam, lecz są daleko stąd.

Jaki zawód umiesz?

Jestem siodlarzem, ale mnie majster wywalił, bo nie byłem zbyt pojętny.

A czy nie poszukałeś sobie innego?

Szukałem cały dzień wczoraj, lecz nie znając tu nikogo nie potrafiłem znaleźć.

A gdzie spałeś tej nocy?

Na schodach kościoła św. Jana.

Czy byłeś dziś na Mszy św.?

Tak, byłem, lecz jestem głodny, dlatego stałem obojętnie.

Powiedz, dokąd zamierzałeś się udać przechodząc tędy?

Myślałem, by coś ukraść do jedzenia.

Czy nie prosiłeś kogoś o jałmużnę?

Tak prosiłem, lecz ludzie widząc mnie zdrowym i młodym, odpowiedzieli: idź pracować, zamiast włóczyć się i nic mi nie dali.

Gdybyś poszedł kraść, dostałbyś się do więzienia.

To właśnie powstrzymało mnie dotąd; Pan Bóg jednak ulitował się nade mną i przyprowadził do Księdza.

O czym myślałeś, gdyś się tu przypatrywał?

Myślałem sobie: O jak szczęśliwi są ci chłopcy! Zadowoleni i weseli biegają, skaczą, śpiewają, dlatego uczułem zazdrość: pragnąłem do nich się dołączyć, lecz nie śmiałem.

Dobrze, czy przyjdiesz na te łąkę w dzień święta?

O, byle mi Ksiądz pozwolił będę przychodził bardzo chętnie.

Dobrze, przychodź, a będziesz zawsze mile widziany. Na dzisiaj o wieczery i spaniu dla ciebie pomyślę sam. A jutro zaprowadzę cię do dobrego majstra i będziesz miał dach nad głową, pracę i utrzymanie.

Nie trzeba dodawać, że chłopiec ów był zawsze przywiązany do Oratorium aż do roku 1852, kiedy został powołany do wojska.

Jednej niedzieli – opowiada ks. Jan Bonetti – Ksiądz Bosko prowadził chłopców do słynnej bazyliki na Superdze. Oto co opowiadał mi uczestnik tej wycieczki. Chłopcy zebrani na łące najpierw wysłuchali Mszy św. w kościele Consolaty, zaś około 9-tej nastąpił wymarsz w kierunku Supergi. Szli parami porządnie jak wojsko. Mieli ze sobą jakiś archaiczny bęben, trąbkę, podniszczone skrzypce, rozstrojoną gitarę: wystarczyło na tyle, by robić wiele hałasu. Zabrano ze sobą żywność: chleb, ser, kielbasę, suszone figi, kasztany i jabłka oraz inne dodatki. Przechodząc przez miasto zachowywali umiarkowane milczenie: ale przekroczywszy rzeką Po, wolno było pokrzykiwać, śpiewać, tak iż wydawało się, że to ciągną jacyś zdobywcy gór.

Przewodził im starszy student gimnazjalny z Porta Nova, Picca Franciszek, który dopomagał Księdzu Bosko w asystowaniu chłopców, obecnie zaś zgłosił się do pomocy za pozwoleniem swego profesora ks. Bertolio.

Od wczesnego rana wyprzedził chłopców na górę ksiądz Borel, by przygotować miejsce i posiłek dla tego wesołego towarzystwa, które jak było do przywidzenia, przybędzie na szczyt góry z doskonałym apetytem. Stanąwszy w Sassi, u stóp góry

znaleźli spokojnego konia, na wszelki wypadek osiodłanego, którego posłał zacny proboszcz Supergi, ksiądz Anselmi Józef dla kapitana grupy Księdza Bosko. Równocześnie nadeszła odpowiedź z góry od księdza Borela w tych słowach:

Proszę przybywać śmiało z chłopcami, ministra, potrawa i wino gotowe. Ksiądz Bosko wówczas zsiadł z konia i zgromadziwszy wokół siebie młodzież odczytał im list księdza Borela wśród niemilkających oklasków i wybuchów radości, od których mógł się przestraszyć nie tylko jeździec, ale i sam koń. Nabrawszy, więc ducha rozluźnili szeregi i zaczęli wspinać się na górę otaczając swego naczelnika. W czasie drogi jeden ciągnął za uzdę konia, drugi nausznice, to za ogon: jedni go głaskali czule, inni dopingowali, a łaskawa bestia zносиła wszystko ze spokojem bardziej niż najcierplwsza oślica.

Tymczasem wśród śmiechu, żartów i hukania, wesoła komitywa dopięła szczytu góry, na którym wznosiła się świątynia. Zziębniętych i spoconych zgromadził Ksiądz Bosko przed domem, by odpoczęli nieco, potem, gdy zastawiono stoły, porozsadzał ich. Zacny ks. Audisio ówczesny prezes Akademii kościelnej, zafundował doskonałą minestrę i potrawę, proboszcz zaś wino i owoce, na dowód tego, jak bardzo oni już wtedy cenili pracę Księdza Bosko. Po modlitwie podziękowano obu dobrodziejom, a wśród niemilkających okrzyków *evviva il Preside, evviva il parroco* muzycy uderzyli w swe instrumenty. Dobrodzieje przyjęli z serca ich wyczyny, nie mogąc jednak powstrzymać uśmiechu wobec tej niezwyklej muzyki, podobnej do rytmów towarzyszących wykonywanym przez małpy tańcom na Placu Castello w Turynie. Jakkolwiek tam było, chłopcy wstali od stołu nasyceni z doskonałym humorem jak książęta.

Przy sposobności Ksiądz Bosko opowiedział historię bazyliki poświęconej Matce Bożej; opisywał bohaterską obronę miasta Turyn w wojnie z Francuzami w 1706, na skutek widocznej opieki M. Boskiej, do której się uciekali Turyńczycy. Pokazywał groby królewskie w kaplicy niżej położonej, wspominał o Akademii Duchownej ufundowanej przez Karola Alberta, dając w ten sposób młodzieży lekcję z dziejów ojczystych. Zwiedzili następnie kościół, mauzoleum książąt, salę portretową papieży, bibliotekę, wydostali się nawet na szczyt kopuły, skąd rozpościera się widok na znaczną część Piemontu i ma się perspektywę wspaniałych szczytów alpejskich, które swymi śnieżystymi iglicami zdają się dotykać nieba.

Około godziny trzeciej na głos dzwonów bazyliki zgromadzili się w kościele na nabożeństwo, na które przybyła ludność z położonych niżej domostw. Po odśpiewaniu nieszporów Ksiądz Bosko wygłosił kazanie. Wspominają sobie niektórzy, jak podkreślał potęgę wstawiennictwa Matki Najświętszej u Jej Boskiego Syna, oraz że nasze modły przez Nią zanoszone do Boga są zawsze skuteczne. Zwracajcie się zawsze – mówił – najpierw do Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie; potem uciekajcie się do Maryi Najświętszej z prośbą o łaski będąc pewni, że otrzymacie tę lub inną łaskę nawet cenniejszą za Jej pośrednictwem.

Po kazaniu śpiewacy weszli na chór i przy akompaniamencie Księdza Bosko na organach odśpiewali uroczyste Tantum ergo. W owych czasach nie słyszało się w ogóle chłopięcych głosów na chórze. Dlatego obecni na nabożeństwie członkowie Akademii Duchowej wraz z pobożnym ludem rozrzewnieni słuchali srebrnych głosików chłopięcych, rozbrzmiewających na podobieństwo anielskich pieni w obszernej świątyni.

Po skończonym nabożeństwie puszczano balony, które wznosząc się wysoko do góry porывały myśli i uczucia pobożne ku Bogu. Około godziny szóstej wieczór, na dźwięk trąbki i bębnow formował się zastęp młodzieńczy do drogi powrotnej. Dziękowano serdecznie gościnnym gospodarzom, którzy zgotowali im tyle przyjemności, potem ruszono w drogę powrotną do miasta wesoło śpiewając. Gdy przybyli do Turynu, każdy z chłopców odchodząc do swej rodziny żegnał się serdecznie z Księdzem Bosko zachowując w pamięci i rozgłaszając doznane z wycieczki wrażenia. Niebawem już zaledwie kilkunastu zostało z Księdzem Bosko, gdy dochodzono do schroniska, dźwigając ze sobą sprzęty i naczynia z wycieczki.

Nieraz jeszcze prowadził Ksiądz Bosko swych chłopców na tę św. górę. Pozostało utrwalone na piśmie wspomnienie z podobnej wycieczki w lipcu w roku 1854, w której brało udział około 80 chłopców. Ksiądz Cafasso przygotował im zawczasu podwieczorek, podczas gdy ks. Truffat, Don Padlino Nicola Prezes Akademii własnym sumptem wystawił suty obiad. Tenże wspaniałomyślny kapłan nadal przyjmował gościnnie Księdza Bosko z wycieczką jesienną na Supragę aż do roku 1958. Podobnie jego następcy na tym urzędzie. Po przeprowadzeniu remontu wspaniałych sali przyległego budynku, już nie wolno było nikomu wchodzić doń bez

przewodnika, dlatego od roku 1864 ustały wycieczki całego Oratorium do tego cudownego miejsca.

ROZDZIAŁ XLI

Wycieczka na Supragę z roku 1846 była pierwszym ogniwem długiego łańcucha dorocznych wycieczek, które Ksiądz Bosko urządzał chłopcom w latach następnych. Zazwyczaj zapowiadał je na dłuższy czas przedtem, jako nagrodę za wzorowe zachowanie się, wymagające by byli punktualni w uczęszczaniu do Oratorium, pilni w nauce katechizmu, posłuszni i przykładni w pracowniach i od czasu do czasu przystępowali do sakramentów św. w taki sposób dobry ojciec posługiwał się wszelkimi środkami, by wychować religijnie swych chłopców, by doznali namacalnie, że pobożność można doskonale połączyć z wesołością, stosowanie do słów psalmu: „Służcie Panu w radości”. /Ps 94,1/. Te maksymę praktykował sam aż do śmierci i ustawicznie wpajał ją swym wychowankom: Sumienie czyste i spokojne zapewnia prawdziwy pokój i szczęście temu, kto służy Bogu. /Ps 98,165/.

Cytujemy ze wspomnień pewnego dawnego wychowanka Pawła C.

„Z torbą przewieszoną na plecach przywędrowałem do Turynu, by jako pomocnik murarski zarobić na kawałek chleba. Byłem podobny do rozhukanego żrebaka, lekkomyślnego i nieujarzmionego. Niebezpieczeństwa wielkiego miasta grożą wszystkim, zwłaszcza niedoświadczonym chłopcom. Mój ojciec polecił mnie pod opiekę swemu przyjacielowi, człowiekowi zacnemu i religijnemu. Udałem się do niego, by znaleźć opiekuna i doradcę. Poszukał on mi majstra, który mi dawał zarobek tygodniowy. Lecz co zrobić z czasem wolnym w niedzielę i święta? Prowadził on mnie zwykle na Mszę św. z kazaniem, a z resztą pozostawiał mi swobodę. Dlatego niektórzy koledzy namawiali mnie do pewnych rozrywek, ciągnęli do kawiarni i do karczmy, gdzie znalazłbym niechybnie ruinę moralną w swych 15 – latach.

Pewnej niedzieli ten zacny przyjaciel mego ojca zagadnął mnie: Słuchaj Pawełku ! Czy słyszałeś o Oratorium Księdza Bosko, w którym schodzi się mnóstwo młodzieży w dni świąt?

A cóż się robi w tym Oratorium?

Każdy ma możność spełnienia swych powinności religijnych, potem spędza się czas na miłych rozrywkach, muzyce i śpiewie.

No to, dlaczego mnie tam nie zaprowadzicie? Którędy się tam idzie?

Dobrze zaprowadzę cię tam w przyszłą niedzielę i polecę dyrektorowi, by miał cię w specjalnej opiece”.

„ Nie mogłem się doczekać owej niedzieli, cokolwiek robiłem, myślałem o muzyce, rozrywkach itd. Nadeszła owa niedziela. Cóż, kiedy mój protektor nie mógł mi towarzyszyć zajęty rodzinnymi kłopotami. Pobiegłem sam: około godziny ósmej z rana znalazłem się w Oratorium. Była to łąka, otaczał ją żywopłot. Zobaczyłem wielu chłopców bawiących się beztriosko, ale bez krzyków; pewna ich liczba na klęczkach otaczała kapłana, który siedząc na łące słuchał ich spowiedzi.

Byłem zdumiony. Doznałem czegoś cudownego, czego sobie nigdy nie wyobrażałem. Pewien chłopiec spostrzegłszy, że jestem obcy, podszedł do mnie i spytał uprzejmie:

Czy może chciałbyś zagrać ze mną w kulki? Była to moja ulubiona gra, więc bez wahania przyjąłem propozycję.

Ledwo skończyliśmy partię, gdy odezwała się trąbka.

Każdy porzucając rozrywkę biegł do owego Księdza, którym jak dowiedziałem się był Ksiądz Bosko. Drodzy chłopcy – mówił - teraz pójdziemy na Mszę św. do kościoła Kapucynów; po nabożeństwie będzie skromne śniadanie. Ci, którzy nie mieli czasu wyspowiadać się dziś, przyjdą w przyszłą niedzielę; macie zawsze sposobność wyspowiadać się. Gdy skończył, ponownie dano sygnał na wymarsz do miasta. Ktoś ze starszych rozpoczął różaniec, a wszyscy odpowiadali. Droga wynosiła około 3 km. Ja, choć nieco z daleka towarzyszyłem chłopcom i odmawiałem także modlitwę. Piękna przyroda zwłaszcza w pobliżu gór, na której stał klasztor, nastrajała do modlitwy.

Wyszła Msza św., podczas której wielu chłopców przystąpiło do Komunii św. Po nabożeństwie z kazaniem chłopcy wyszli na dziedziniec klasztorny na śniadanie. Nie czując się uprawniony do śniadania z nimi, trzymałem się nieco na uboczu, oczekując, kiedy nastąpi powrót, gdy podszedł do mnie Ksiądz Bosko pytając:

A ty jak się nazywasz?

Paolino.

Czy jadłeś śniadanie?

Nie, proszę Księdza.

Dlaczego?

Bo nie spowiadałem się, ani nie przystąpiłem do Komunii św.

Ależ to nie przeszkadza w śniadaniu.

A co potrzeba?

Dobrego apetytu i chęci. To rzekłszy zaprowadził mnie do stołu i dał obfitą porcję chleba i owoców”.

„Wróciwszy stąd poszedłem do domu na obiad, a po południu przybiegłem znowu na łąkę, gdzie z uciechą spędziłem cały dzień aż do wieczoru. Odtąd przez wiele lat nie opuszczałem Oratorium i kochanego Księdza Bosko, który uczynił mi tyle dobrego dla mej duszy i naprowadził na dobrą drogę. Ileż widziałem zabiegów i trudów z jego strony, by pozyskać dla Boga niektóre dusze pyszne, harde, złośliwe. Gdy to mu się udało, tak cieszył się serdecznie i za nic sobie uważał poniesione trudy, gotów na jeszcze większe”.

„Brałem udział w urządzanych uroczystościach wycieczkach, które wywoływały entuzjazm wśród młodzieży. Owe wycieczki tak urozmaicone, pełne przygód, dawały mnóstwo przeżyć i zainteresowań, czego właśnie pragnął dla nas Ksiądz Bosko, by zająć naszą bujną fantazję. Można by pisać na ten temat całe tomy. Nie zdołałbym tego nigdy dokonać, lecz nie mogę pominąć pewnego zdarzenia, którego byłem świadkiem”.

„Ksiądz Bosko z grupą kilkunastu śpiewaków wybrał się do Sassi na jakiś odpust. Dotarłszy do rzeki Po, brzegiem zbliżali się do mostu, gdy gromada wyrostków obkoczyła ich napierając się, że chcą ich przewieźć na drugą stronę. Ksiądz Bosko nie zwracając na nich uwagi skinął na przewoźnika, by podjechał ze swą dość obszerną barką zdolną pomieścić gromadkę chłopców. Łobuzi widząc się zawiedzeni w swych rachubach zaczęli wydziwiać Księdzu Bosko, nawet kilku wskoczyło do barki chcąc sprowokować chłopców do bitki. Przewoźnik chwycił jednego po drugim za kołnierz i wyrzucił z barki. Nie dając za wygraną zaczęli ciskać za odpływającą barką kamieniami, odgrażając się: Dziś wieczór zobaczymy się jeszcze!

Barka wylądowała u brzegów Madonna del Pilone, a Ksiądz Bosko ze swymi śpiewakami umilił odpust owym mieszkańcom. Wieczorem wracając szli mostem przez rzekę Po zwartym szeregiem. Gdy wtem wynurzyli się skądś z kryjówki

wspomniani chuligani szukając zaczepki. Ksiądz Bosko obserwował pilnie ich ruchy, ale jakoś nie doszło do awantury”. Tyle ów wychowanek.

Wobec perspektyw, jakie roztaczał chłopcom Ksiądz Bosko, Oratorianie byli urzeczeni jego miłością i odwzajemniali się mu swym gorącym przywiązaniem i posłuszeństwem. Wystarczyło jedno słowo, gest, spojrzenie dla ich opanowania i uciszenia gromady liczącej ponad 400 wrzaskliwych chłopaków!

Ponad wszystko lubili zabawy, gonitwy, hałas, lecz gdy Ksiądz Bosko dał znak, w jednej chwili robiła się cisza, jak makiem posiał, chłopcy skupili się wokół niego słuchają pilnie poleceń. Na ten widok jeden karabinier, który podpatrywał ich, oświadczył: Gdyby ten Ksiądz był generałem, odniósłby zwycięstwo nad najbitniejszą armią na świecie!

A cały Turyn rozbrzmiewał famą Księdza Bosko. Gdy szedł ulicami z młodzieżą, ludzie wychodzili z mieszkań, wyglądali z balkonów i okien podziwiając ten widok. Jedni mówili, że to wielki święty, inni – że wariat. Bywało, gdy wracano z wycieczek, chłopcy z radości nieśli Księdza Bosko na rękach; musiał chcąc nie chcąc na to się zgodzić, by go obnoszono triumfalnie jak dawni Rzymianie na traczach swego wodza. Na pochwałę tych wycieczek trzeba zaznaczyć, że wśród owych chłopców nienawykłych do karności, nie zdarzył się żaden nieporządek. Żadnych bójek, krzyków, wyzwisk, kradzieży cudzych owoców, pomimo że liczba ich dochodziła do sześciu siedmiu setek. A przecież byli tam nie tylko malcy, lecz i dorośli, gotowi na wszystko, których nieodstępnym towarzyszem był nóż.

Nie ma się, co dziwić. Wszak ci chłopcy kochali naprawdę Księdza Bosko, bo czuli, że pragnie tylko ich dobra. Przecież widywano go codziennie, jak odwiedzał ich pracownie, a oni wybiegali mu naprzeciw pozdrawiając serdecznie. Biada temu, kto odważyłby się sprawić w jakikolwiek sposób przykrość ich Księdzu; biada, kto zechciałby słowami mu ubliżyć! Gdy któregoś czasem namawiano do złego, to wystarczyła myśl, że sprawiłoby to przykrość Księdzu Bosko, by oddalić od niego pokusę. Wprost nie do wiary, a jednak tak było. Każde jego życzenie było dla nich rozkazem. Ich przywiązanie do Księdza Bosko graniczyło - rzecz można - z szaleństwem.

ROZDZIAŁ XLII

Zdumienie ogrania człowieka na widok mnóstwa spraw, w jakich był pogrążony już w owych czasach Ksiądz Bosko. I tak będzie aż do końca życia. A przecież kłopoty bieżące nie zdołały go oderwać od pisania podręcznika Historii kościelnej i wielu innych książek. W tym czasie ukończył również obszerny podręcznik Dziejów biblijnych dla uczniów szkół. Można z całą prawdą zastosować do niego słowa Ewangelii: „Przeto każdy uczony w Piśmie, biegły w nauce o Królestwie niebieskim podobny jest do człowieka gospodarza, który dobywa ze skarbca swego rzeczy nowe i stare.” /Mt 13,52/.

To właśnie on, jak nieraz słyszeliśmy, bardzo niechętnie zezwalał na przedruk swoich pism, lecz ustępował ze względu na chłopców. Z pokorą sobie właściwą dawał do przeczytania układany podręcznik Dziejów biblijnych portierowi w Konwikcie kościelnym, by się przekonać, czy treść jest zrozumiała; w przeciwnym razie przerabiał na nowo swą pracę aż do skutku.

Otóż w powyższym tomie przeszło 200 stronicowym, wydanym w drukarni Spierani i Ferrero, przedstawiał najważniejsze zdarzenia biblijne w języku potocznym, stylem prostym tak, że chłopcy Oratorianie mogli z łatwością przyswoić sobie w pamięci treść. Opowiadania kończy się Wniebowstąpieniem Pana Jezusa. Autor na zakończenie wysnuwał następujące trzy wnioski: Pewność przyjścia Mesjasza, gdyż na osobie Chrystusa Pana spełniły się wszystkie proroctwa Starego Prawa; fakt istnienia Kościoła, jedynej Arki zbawienia dla wszystkich ludzi, założonego przez tegoż Boskiego Zbawcę; Kościoła nieomylnego w swym nauczaniu i tłumaczeniu Ksiąg świętych, któremu Chrystus dał zapewnienie trwania do końca świata, dzięki swej w nim obecności. Kościołem tym jest Kościół katolicki, rzymski, który poprzez wieki głosił prawdy nauczane i stwierdzone przez Jezusa Chrystusa i w którym utrzymuje się nieprzerwana sukcesja apostolska Papieży - Biskupów Rzymu w siedzibie księcia apostołów, sięgające aż do św. Piotra Apostoła. Dlatego ich władza jest pełna, absolutna i niezależna od wszelkiej władzy ziemskiej. Równocześnie celem zamierzonym przez autora było zwalczanie protestantów bez specjalnego afiszowania się i prowokowania ich. Przez to zabezpieczał swych chłopców przed trucizną ich

kłamliwej propagandy. Protestanci zarzucali katolikom, że nie znali Biblii i zwalczali niektóre prawdy katolickie twierdząc, że nie mają one podstawy w Piśmie św., dlatego opisując zdarzenia ze Starego i Nowego Testamentu uzasadnia potrzebę kultu zewnętrznego, istnienie czyśćca, konieczność dobrych uczynków do zbawienia, cześć św. relikwii i obrazów, kult Matki Najświętszej, spowiedź uszną, obecność rzeczywistą Pana Jezusa w Najświętszym Sakramencie Ołtarza, prymat papieski itp. W dotychczas używanych w Piemencie podręcznikach brak było tego rodzaju koniecznych refleksji.

Takiej samej metody trzymał się w swych przemówieniach. Dla przykładu podajemy niektóre urywki z tekstu. Opisawszy ofiarę Abrahama dodaje: Pan Bóg błogosławi zawsze tych, co są posłuszni jego przykazaniom. Po rzezi w Sychem:

Powyższy fakt wskazuje, jak bardzo niebezpieczne zwłaszcza dla młodzieży są pewne widowiska. Odnośnie Józefa Egipskiego uwolnionego z więzienia i zaszczyconego łaskami Faraona: Pan Bóg sprawia, że kochającemu Go wszystko dopomaga ku dobremu. Opisując karę gwałciciela szabatu ukamienowanego przez lud na rozkaz Mojżesza, mówi:

Straszliwy przykład dla tych, co odważają się bluźnić św. Imię Boga i gwałcić święta przez Niego ustanowione. Należy się obawiać kar nieskończenie cięższych w życiu przyszłym. Wobec śmierci proroka Eliasza: Pan Bóg często już w tym życiu karze rodziców, którzy nie spełnili swej powinności, a skraca życie dzieci niedyscyplinowanych. Na temat Dawida i Jonatana pisze: Przykład godny zaiste naśladowania, zwłaszcza dla chłopców, którzy powinni sobie wybierać towarzyszy cnotliwych. Mówi Salomon: Lepsza jest nędza Joba, niż przepych Salomona, ponieważ Joba podziwiania jest godny wzór cnoty, która sama tylko koronuje świętych mężów, na przykładzie zaś Salomona oplakuje się upadek człowieka bardzo mądrego, który jednak nie umiał poskromić własnej pychy i żądy zysku. Mówiąc o podziale królestwa salomonowego na dwa państwa Izraela i Judy konkluduje: Nie chodźmy nigdy po poradę do pysznych, ani do ludzi niedoświadczonych. Gdy mówił o kuku, który przynosił pokarm dla Eliasza, pisał: Oto, jak Pan Bóg troszczy się o swe sługi. Służmy Panu Bogu, a On będzie miał pieczę o nas. Opisując niedźwiedzie, które pożarły niegodziwe chłopięta naigrawające się z Elizeusza, daje przestrozę: straszna nauka dla tych, co śmiały urągać starszym lub kapłanom Pańskim. Na przykładzie

Jozafata, sojusznika bezbożnego Achaja poucza: Towarzystwo złych kolegów naraża na wielkie niebezpieczeństwa. Znów śmierć Holofernesa przypomina wielką prawdę: wszystkie armie na świecie na nic się nie zdadzą, jeśli brak pomocy z nieba. Proponując jako wzór godny naśladowania Daniela z trzema towarzyszami na dworze babilońskim, pisze: umiarkowanie jest błogosławione przez Boga i pomaga tężyźnie umysłu i zdrowia ciała. Tu i tam dodaje uwagi na temat modlitwy, ufności w miłosierdzie Boże, podkreśla proroctwa odnosząc się do przyszłego Mesjasza i Najświętszej Eucharystii.

Z Nowego testamentu pozwolę sobie przytoczyć paralytyka: We wszystkich uzdrowieniach działanych przez Zbawiciela podziwiamy Jego dobroć, że najpierw leczy duszę, a potem ciało pouczając nas, by przed tym oczyścić sumienie, gdy zwracamy się do Boga w naszych potrzebach doczesnych. Właśnie, dlatego Ksiądz Bosko tym, którzy polecali się mu, by otrzymać jakieś łaski od Madonny, doradzał najpierw przystąpić do Sakramentów św.

Ze wstępu dowiadujemy się, jak Ksiądz Bosko pilnie oddawał się studiom biblijnym, a pośrednio wnioskujemy, ile pouczeń dawał chłopcom w Oratorium oraz tym ze szkół elementarnych gimnazjalnych w mieście. Jest to historyczna stronica jego kapłańskiej gorliwości. Oto, co pisze:

„Być może, iż komuś wyda się zbyt trudnym wydawanie kursu Historii biblijnej, gdyż istnieje tak wiele dzieł mogących zaspokoić każdego czytelnika. Tak samo i mnie się zdawało; zbadawszy większość podręczników, jakich używa młodzież szkolna, doszedłem do przekonania, że albo są zbyt obszerne, lub nadto zdawkowe, a częściej na skutek wybujałego stylu, tracą popularność i prostotę książek religijnych. Inni autorzy pomijają chronologię tak, że mało obeznany czytelnik nie zorientuje się, w jakiej epoce zdarzył się fakt opisywany, czy bardziej zbliża się do Narodzenia Chrystusa Pana, czy stworzenia świata. We wszystkich zaś spotyka się pewne wyrażenia, które moim zdaniem mogą wywołać nieodpowiednie wyobrażenia we wrażliwych umysłach chłopięcych.

„Powodowany tymi racjami zabrałem się do napisania podręcznika Dziejów biblijnych zawierającego najważniejsze wiadomości z Pisma św., który by można dać do rąk jakiegokolwiek ucznia bez obawy wywołania w nim nieodpowiednich idei.

W tym celu zebrałem najważniejsze zdarzenia biblijne dodając odpowiednie refleksje, jakie się budzą przy ich czytaniu, wraz z wynikającymi wnioskami.

Tych linii trzymałem się, opuszczając niektóre, o innych ledwie nadmieniając, zaopatrując wiele innych w szczegółowe objaśnienia. Posługiwałem się wielu streszczeniami Historii biblijnej biorąc z nich to, co uznałem za odpowiednie”.

„Co dotyczy chronologii, trzymałem się Calmeta z wyjątkiem niewielkich różnic wysuwanych przez nowoczesnych autorów. Na każdej stronie przyświecał mi cel pouczenia umysłów i polepszania dusz, tak by spopularyzować, o ile możliwe najbardziej Biblię”.

„Ponieważ Pismo św. zmierza do utrzymania wśród ludzi wiary w przyszłego Mesjasza tak, że powiedzieć można, cały Stary Testament nazwać można ustawicznym przygotowaniem tego najważniejszego zdarzenia w historii ludzkości, dlatego podkreśliłem specjalnie obietnice i proroctwa mesjańskie”.

„Idąc za wskazówkami mądrych pedagogów, zilustrowałem tekst odpowiednimi rycinami. Ponieważ młodzież czytając Dzieje biblijne nie rozumie czasem pewnych nazw, krajów, czy miast wspomnianych w Piśmie św., które nie znajdują się w dzisiejszych mapach, dlatego postarałem się dodać krótki słowniczek nazw i miejscowości, a do imion starożytnych dodano nazwy współczesne”.

„Całość Dziejów biblijnych podzielona została na epoki, te z kolei dzielą się na rozdziały i paragrafy. Doświadczenie pokazało, że ta metoda jest najbardziej przejrzysta i pomaga pamięci”.

„Studium Dziejów biblijnych zaleca się samo przez się, gdyż ta historia jest wcześniejsza od wszystkich innych; także najpewniejsza, bo sam Bóg jest jej autorem, najbardziej wskazana, gdyż zawiera wolę Bożą objawioną ludzkości; najkorzystniejsza, gdyż tłumaczy i udowadnia prawdy naszej św. religii katolickiej. Żadna gałąź wiedzy ludzkiej nie może iść z nią w porównanie oraz zasługiwać na większe umiłowanie dla tego, który kocha swą religię. Jeśli mój trud przyniesie komuś korzyść, niech będzie za to Bogu chwała, dla którego czci się go podjąłem”.

W pierwszym wydaniu powyższej książki Ksiądz Bosko zamieścił szereg cytatów i odnośników do znanego dzieła ks. Aporti, który był zresztą bardzo wrażliwy na tego rodzaju pochwały. A Ksiądz Bosko wykorzystał te okoliczności posłał mu

kopię swej książki, wraz z listem pochwalnym do autora, który przyczynił się swymi dziełami do humanistycznej metody wychowania.

Księdzu Bosko wiadomy był stan duchowy tego i wielu innych biednych kapłanów, którzy wykoleili się z prawej drogi przystąpiwszy do partii. Tak często wśród nich panuje wyrachowany egoizm, zawiść, nieufność płaszczenie się wobec tyrańskiej władzy. Także ks. Aporti cieszący się wielu zaszczytami odczuł na sobie tę bolesną prawdę, zwłaszcza, gdy głosował w senacie za ustawą poddająca władzy państwa nie tylko dobra klasztorne, lecz i samych zakonników. Mimo jego zasług, wiele dzienników szkalowało go, deptało nim, obrzucało błotem, groziło nawet strykiem. Wobec dobrych maskują oni swe upodlenie widząc wszędzie złość i brak przyjaźni. Pozbawieni miłości, której serce ludzkie tak jest spragnione, o ile znajdą kogoś życzliwego sobie, umieją go docenić.

Tak właśnie odnosił się Aporti do Księdza Bosko, który przecież nie odstąpił nigdy od prawdy; uważał go za szczerego, gdyż sam uznawał to, co głosił. Jego czoło zawsze jasne i otwarte, uprzejme, maniery, słowa przyjacielskie nie dawały przystępu do nieufności, dlatego z nim jednym był szczery. Stwierdza się później, jak Aporti odnosił się do szkół Oratorium, w których uznawał ducha prawdziwie katolickiego i papieskiego. Jeśli od roku 1847 – 1860 Ksiądz Bosko zdołał utrzymać swe szkoły bez formalnego zatwierdzenia, to zawdzięczał przychylnej opinii, jaką one się cieszyły u tych, którzy wówczas sprawowali władzę. W ich liczbie był i Aporti.

Tymczasem podręcznik Dziejów biblijnych, który się ukazał w formie dialogu w roku 1847, został natychmiast wprowadzony do szkół publicznych prywatnych. Zyskał on aprobatę diecezjalną. Książka miała następnie 23 wydania i dotychczas kursuje wśród licznych czytelników.

ROZDZIAŁ XLIII

Ksiądz Bosko dziękował Bogu za tak wielkie dobro działane za pomocą swych książek oraz za to, że młodzież tak chętnie garnęła się do Oratorium pociągana życzliwym traktowaniem. Równocześnie pokrywał uśmiechem pewien cień bolesny, który z początkiem marca dołączył do innych. Oto ludzie małoduszni widując Księdza Bosko w otoczeniu gromady młodzieży zarzucali mu, że przyzwyczajają chłopców do lenistwa, odrywa ich od domu i posłuszeństwa własnym rodzicom; bynajmniej nie troszczy się o to, by sprawdzić, czy posiadają w mieście krewnych, którzy by się nimi zajęli.

Ponieważ dobiegały pogłoski o pewnych rozruchach w niektórych stronach Włoch, dlatego mógłby ktoś dać wiarę, że Ksiądz Bosko jest niebezpiecznym agitatorom mogącym wywołać w mieście rewoltę, tym bardziej, że wielu z jego Oratorian zapoznało się już z więzieniem. Gorzej, że dołączyły się złośliwe insynuacje, które znajdowały posłuch nawet u władz lokalnych, zwłaszcza u markiza Cavoura, ojca znanych chłopców Gustawa i Kamila, ówczesnego prezydenta miasta Turynu. Ten właśnie widząc razu pewnego Księdza Bosko siedzącego pośród swych chłopców spytał swe otoczenie: Kto to jest ów Ksiądz pomiędzy chłopcami?

To jest Ksiądz Bosko – odpowiedziano.

Aa? Ksiądz Bosko! Wiecie panowie – rzucił markiz złośliwie – albo to jest szaleniec, albo mąż godny senatu – czyniąc aluzję do słynnego więzienia w Turynie.

Markiz wezwał niebawem do magistratu Księdza Bosko i po dłuższej dyskusji na temat pogłosek obiegających odnośnie jego osoby i Oratorium stwierdził:

Mam wiadomości pewne, że zebrania Księdza z młodzieżą, zagrażają spokojowi i porządkowi publicznemu, dlatego nie mogę ich więcej tolerować. Daję Księdzu, więc radę, by zaniechał gromadzenia tych oberwańców, którzy tylko nastroczą kłopotu jemu samemu i władzom miejskim.

Panie markizie, ja nie mam innych zamiarów prócz poprawienia losu tych biednych synów ludu. Nie żądam pieniędzy; proszę tylko, by wolno mi było gromadzić ich w jakimś miejscu, nawet w jakiejś szopie w czasie niepogody, gdzie można by ich czymś zająć, by nie włóczyli się po mieście, a równocześnie nauczać

katechizmu i umoralniać. Za pomocą tego środka spodziewam się zmniejszyć liczbę więźniów i przestępców.

Ksiądz się bardzo myli, mój drogi Księżu – odpowiedział stary markiz; jego starania pójdą na wiatr. Nie mogę Księdzu przydzielić żadnego lokalu, ponieważ gdziekolwiek się znajdzie, wszędzie powstają na niego skargi. Zresztą gdzie Ksiądz znajdzie fundusze na opłacenie czynszu oraz licznych wydatków tym związanych? Powtarzam, więc, nie mogę pozwolić więcej na te zebrania.

Rezultaty osiągnięte upewniają mnie, że nie jest to trud daremny. Wielu już chłopców bezdomnych dzięki temu zyskało pewną opiekę, otrzymało wykształcenie religijne. Równocześnie skierowałem ich do odpowiednich majstrów na naukę rzemiosła. Wielu na zawsze zerwało z więzieniem. Jak dotąd nie brakło mi środków materialnych, których dostarcza Opatrzność? Umie ona wprowadzić dobro ze skromnych początków, po prostu z niczego, często posługuje się nędznymi narzędziami do dokonania wielkich zamierzeń.

Ale, niechże Ksiądz Bosko posłucha i przyrzeknie mi rozwiązać owe zebrania.

Proszę o udzielenie tej łaski, panie markizie, nie dla mnie, lecz dla dobra tylu chłopców, którzy bez Oratorium skończyliby doprawdy źle.

Orsù, basta! Skończmy z tym. Czy Ksiądz wie, z kim rozmawia? Jestem rządca miasta i Ksiądz winien się podporządkować moim zarządzeniom.

Uznaję w pełni władzę pana markiza.

Czy Ksiądz zdaje sobie sprawę, jak daleko sięgają me pełnomocnictwa? Mogę w tej chwili wezwać policję i kazać go zaprowadzić tam, gdzie Ksiądz nie życzyłby sobie się znaleźć.

Och! Doprawdy, nie lękam się w tym wypadku pana – odrzekł Ksiądz Bosko żartując – bo wiem, że pan markiz tego nie zrobi.

No, no Księżu Bosko, proszę nie igrać sobie ze mną!

Tak się traktuje drabów i myślę, że ten, kto by chciał traktować biednego Księdza Bosko jak jakiegoś przestępcę... Nie, nie nigdy nie przypuściłbym, żeby szanowny pan markiz chciał wyrzucić mi taką krzywdę, dlatego się nie obawiam.

Ten szlachetny opór poirytował jednak markiza, który z przekąsem rzucił: Proszę milczeć; nie będziemy z Księdzem dysputować więcej. Jego Oratorium jest

nieporządkiem, któremu stanowczo muszę zapobiec. Czy Ksiądz nie wie, że zabronione są wszelkie zebrania, na które nie uzyskało się zezwolenia?

Moje zebrania – odparował Ksiądz Bosko – nie mają wcale charakteru politycznego, lecz czysto religijny. Nauczam katechizmu biednych chłopców za upoważnieniem mojego arcybiskupa.

Czy arcybiskup jest o wszystkim poinformowany dokładnie?

Naturalnie, panie markizie, bez jego zezwolenia nie ruszyłbym palcem.

A gdyby arcybiskup nakazał mi zaprzestać tej śmiesznej imprezy, nie stawiałby Ksiądz temu trudności?

Żadnej, wszak zapoczątkowałem Oratorium za zgodą mego przełożonego kościelnego i na jego skinienie natychmiast zaprzestałbym to robić.

Dobrze, niech Ksiądz idzie do domu: pomówię sam z arcybiskupem. Spodziewam się, że Ksiądz doprawdy zastosuje się do jego poleceń, inaczej zmuszony będę uciec się do surowych zarządzeń. Na tym audiencja się skończyła.

Ksiądz Bosko opuszczając ratusz był przekonany, że przynajmniej na jakiś czas zostawią go w spokoju. Jakież było jego rozczarowanie, gdy wróciwszy do domu zastał list od braci Filippi, w który wymawiano mu dalszą dzierżawę łąki, z której miał korzystać przez rok.

„Jego chłopcy – pisano w liście – wydeptaliby nam trawę do korzeni, a na to nie możemy pozwolić i dlatego darujemy mu poprzednie raty, byle w ciągu dni piętnastu opuścił nasza łąkę. Dłuższego terminu nie możemy mu udzielić”.

Musiał wobec tego skłonić głowę i poszukać miejsca gdzie indziej. Wszystko to wydawało się jakimś dziwnym sprzysiężeniem przeciwko niemu, lecz były to tylko próby, jakie Pan Bóg zsyłał na Księdza Bosko, by tym widoczniej okazała się doniosłość tego dzieła, jakie Opatrzność mu powierzyła.

Jeszcze tego samego dnia zreferował arcybiskupowi, co zaszło między nim a markizem Cavourem; zacny prałat podniósł go na duchu i zachęcił do cierpliwości i wytrwania na swej drodze. Poszedł również do hrabiego di Collegano, by polecić mu swą młodzież; tam również spotkał się z zachętą i obietnicą dalszego poparcia. Tymczasem markiz Cavour upewnił się z ust samego arcybiskupa, iż Ksiądz Bosko rzeczywiście działał w porozumieniu z nim i że nic nie zdoła wpłynąć na zmianę decyzji arcybiskupa w stosunku do Księdza Bosko. Wobec tego dał w sposób

grzeczny do zrozumienia arcybiskupowi, że zbadał dokładnie sprawę i gotów jest zezwolić na dalsze prowadzenie Oratorium Księdza Bosko z zachowaniem pewnych warunków dla zabezpieczenia spokoju publicznego. W takim sensie odpowiadając na pisemny wniosek Księdza Bosko, zaprosił go do siebie na konferencję w ratuszu miejskim.

W rozmowie, jaka się odbyła na temat Oratorium, postawiono Księdzu Bosko warunki, które wprost uniemożliwiały dalszą pracę nad młodzieżą. Chciano ograniczyć liczbę chłopców, zakazać publicznego paradowania po mieście z okazji wycieczek, wykluczyć absolutnie udział w Oratorium dorosłych, jako niebezpiecznych.

Na pokorne uwagi Księdza Bosko odpowiadano: Ale co Księdzu zależy na tych oberwańcach? Niech ich Ksiądz zostawi własnym rodzinom! Nie brać na siebie odpowiedzialności za nich.

I tak Ksiądz Bosko wyszedł z tej konferencji niespokojny o dalszy los Oratorium, lękając się grożącej mu burzy. Z tym wszystkim postępował jednak oględnie, by nie drażnić markiza. Być może przewidywał on, że dzieło ze skromnych początków nabierze wielkiego rozmachu dzięki takiemu człowiekowi jak Ksiądz Bosko i środkom, jakimi dysponuje i że łatwo mogłoby przekroczyć granice legalne. Inaczej trudno by wytłumaczyć jego negatywne ustosunkowanie się do Księdza Bosko i Oratorium.

W między czasie kwestura otrzymała z początkiem marca polecenie roztoczenie nadzoru nad Księdzem Bosko. W niedzielę około godziny 6 z rana, gdy chłopcy schodzili się na Mszę św. widziano w pobliżu policję i karabinierów bacznie obserwujących, co się tam robi.

Tymczasem Ksiądz Bosko spowiadał chłopców na łące do godziny pół do dziewiątej. Potem prowadził ich do kościoła na Mszę św. lub na przechadzkę; za nimi szła policja. Uśmiechał się w duchu na widok tej honorowej eskorty jakby jakiegoś panującego. Później z przyjemnością wspominał te czasy Oratorium na łące uznając je za najbardziej romantyczne.

Przeciwności nie zbijały go z tropu. Taki miał charakter. Powziąwszy jakąś słuszną decyzję w porozumieniu ze swymi przełożonymi lub innymi osobami

roztroprnymi nie ustawał, aż dzieło nie zostało doprowadzone do końca. W każdym bądź razie wszelkie jego inicjatywy wypływały z czysto ludzkich pobudek.

Z pobudek tymczasem we snach ukazywała mu się jasna przyszłość Oratorium. Raz oglądał obszerne zabudowania wraz z kościołem, jak obecnie wygląda kompleks Oratorium, pod nazwą św. Franciszka Salezego z napisem na frontonie:

HAEC EST DOMUS MEA INDE GLORIA MEA – a z bram kościoła wychodzili i wchodzili do niego chłopcy, klerycy i księży. To znów pojawiało się na to miejsce inne widzenie: mały dom Pinardiego wraz z portykami i kościołem, chłopcy, klerycy i księży w ogromnej liczbie.

Ach, czy to możliwe – pytał sam siebie Ksiądz Bosko; ależ to zupełnie, co innego niż nasze skromne pomieszczenie. Czy to może złudzenie szatańskie? ... Wówczas słyszał wyraźny głos mówiący: Myślisz, że Pan nie może łupami Egipcjan wzbogacić swego ludu?

Innym razem zdawało mu się, że był na ulicy Cottolengo. Po prawej miał dom Pinardiego wśród łąk i ogrodów; po lewej dom Moretta, jakby frontem zwrócony do poprzedniego podwórzami i przyległymi dziedzińcami, które później miały objąć Córki Maryi Wspomożycielki. Dwie kolumny wznosiły się nad bramą przyszłego Oratorium, na którym Ksiądz Bosko czytał powtarzający się napis:

HIC INDE GLORIA MEA – stąd chwała moja.

Była to widoczna wskazówka do powstania przyszłego Zgromadzenia Salezjańskiego. Jeśli z jednej strony oglądał przyszłe własne Zgromadzenie Salezjanów, czy nie mógł doprawdy widzieć Sióstr? Nic jednak nikomu o tym nie wspomniał, zachowując wielką dyskrecję, co do tego.

Tymczasem pierwszy sen, jaki miał w Konwikcie, zaczął się już ziszczać. Czekwały go trzy etapy, względnie postoje, nim Ksiądz Bosko otrzymał stałe miejsce. Pierwszy, to było Schronisko markizy Barolo, drugi – na Młynówce miejskiej; dom Moretta z łąką sąsiednią – był trzecim. Dzięki za to Bogu!

ROZDZIAŁ XLIV

W miarę jak piętrzyły się trudności około dzieła Księdza Bosko, niektórzy z jego przyjaciół zamiast podnosić go na duchu, zaczęli mu doradzać, by porzucił swoje dzieło. Widząc, jak pochłonięty był myślą o swym Oratorium, jak nie mógł rozstać się z chłopcami, jak ich stale odwiedzał nawet po kilka razy w tygodniu u majstrów, jak ich asystował z więcej niż ojcowską troskliwością, jak zbierał na ulicach wciąż nowych, jak zjawiał się wśród gromady uliczników i rozmawiał z nimi swobodnie: nabierano stopniowo przekonania, że Ksiądz Bosko doprawdy zwariował.

Niektórzy jego współpracownicy z seminarium i Konwiktu próbowali przynajmniej doradzić mu zmianę metody jego apostołowania.

Słuchaj, Księżo Janie - mówiono – wystawiasz na pośmiewisko stan kapłański.

A to, dlaczego to proszę was?

Przez twe dziwactwa: przez znížanie się i pospolitowanie w zabawach z ulicznikami; pozwalasz im na spoufalanie się, gdy zwracają się do ciebie niezbyt odpowiednimi wyrazami. Są to rzeczy niewidziane dotąd w Turynie i przeciwne powadze nam właściwej. Ponieważ Ksiądz Bosko nie przejmował się zbyt tymi uwagami, wtedy mówiono sobie: ma coś nie w porządku w głowie, on już nie rozumuje należycie!

Pewnego dnia nawet sam ks. Borel, który najlepiej rozumiał Księdza Bosko, w obecności księdza Sebastiana Pacchiotti, tak odezwał się do niego: Drogi Księżo Bosko, by nie stracić wszystkiego, trzeba zatrzymać przynajmniej część w garści. Poczekajmy trochę na czas sposobniejszy dla naszych planów. Proponuję pożegnać się z obecnymi Oratorianami, zatrzymując jakichś dwudziestu najmłodszych ministrantów. Zajmując się prywatnie tymi kilkunastu oczekiwac będziemy, aż Pan Bóg otworzy nam lepsze widoki, by można mieć odpowiedni lokal i środki.

Ale Ksiądz Bosko w pełni przekonany o swej misji odpowiadał:

Nie, nie, mój drogi! Pan Bóg w swym miłosierdziu zapoczątkował to dzieło i On je doprowadzi do końca. Ksiądz wie, drogi księżo Borel, z jakim wysiłkiem wyrwaliśmy z niebezpieczeństwa tylu chłopców i jak oni dobrze nam odpowiadają.

Jestem wtedy zdania, że nie należy ich opuszczać na własny los i na tak wielkie niebezpieczeństwa dla duszy.

No, ale gdzież ich będziemy gromadzili?

W Oratorium.

A gdzie jest to Oratorium?

Ja już je widzę gotowe: widzę kościół, budynek, dziedzińce... doprawdy to już jest i ja to widzę...

No, ale gdzież doprawdy są te wszystkie rzeczy, które ty widzisz – dopytywał się ksiądz Borel.

Na razie nie mogę ci dokładnie określić miejsca – odpowie Ksiądz Bosko – lecz istnieją naprawdę i będą do naszej dyspozycji.

Słyszając powyższe słowa, ksiądz Borel, jak później opowiadał starszym salezjanom, doszedł do głębokiego współczucia. Widział w tym wyraźny dowód choroby umysłowej drogiego przyjaciela i zawołał: Ach, mój drogi Księżu Bosko! Doprawdy Księdzu się pomieszało! W głębokim współczuciu zbliżył się i ucałował serdecznie przyjaciela, odchodząc zboląły tym nieszczęściem. Również jego towarzysz ks. Pacchiotti dał wyraz współczucia i politowania. Także wielu kapłanów miejscowych odwiedzało go doradzając, że mógłby z wielką korzyścią dla dusz głosić misje ludowe, dopomagać w pracy duszpasterskiej proboszczom, względnie oddać się dziełom markizy Barolo.

A gdy ich słuchał w milczeniu, myśleli, że da się namówić do tego, co proponowali. Tak, doprawdy Księżu Bosko, nie trzeba się upierać przy swoim. Nie da się przebić głową muru. Proszę pożegnać się z chłopcami! Ksiądz Bosko przerwał im wznosząc oczy w niebo i czyniąc gest wymowny: Och, Opatrzność! Jesteście księża w błędzie, myśląc, że porzucę Oratorium świąteczne. To Opatrzność posyła mi tych chłopców, a ja nie oddalę ani jednego z nich, możecie być o tym pewni! Mam niezbitą pewność, że Opatrzność Boska dostarczy mi wszystkiego, co jest potrzebne... A nawet środki są już gotowe... A jeśli nawet nie zechcą mi wydzierżawić lokalu, zbuduję nowy z pomocą Najświętszej Wspomożycielki. Będziemy mieli obszerne budynki, liczne lokale dla szkół, sypialnie zdolne pomieścić chłopców, jacy do nas przybędą; będziemy mieli warsztaty wszelkiego rodzaju, by chłopcy mogli kształcić się w obranym zawodzie; będziemy mieć obszerny dziedziniec z portykami na

rekreację; w końcu będziemy mieli wielki kościół, księży, katechetów, majstrów, profesorów gotowych na skinienie; księża będą uczyć chłopców okazujących powołanie do stanu duchownego.

Zdumieni tą niezwykłą odpowiedzią owi księża patrząc porozumiewawczo na siebie pytali: czy może Ksiądz chce założyć nowe zgromadzenie zakonne?

A gdybym nawet miał ten zamiar?

A jaki habit da Ksiądz swemu zgromadzeniu?

Cnotę! – odpowiedział Ksiądz Bosko uchylając się od dalszych pytań.

Oni jednak nadal nagabywali dalej, jaki kolor habitu przywdzieją jego zakonnicy.

Otóż chciałbym – mówi Ksiądz Bosko – by wszyscy nosili zawinięte rękawy jak pomocnicy murarscy...

Dworowano sobie na te odpowiedzi Księdza Bosko. On zaś pozwalając na żarty owym duchownym, sam z uśmiechem spytał:

Czy powiedziałem coś niedorzecznego? Czy księża czcigodni nie wiedzą, że chodzić w koszuli znaczy być ubogim? I że zgromadzenie zakonne bez ubóstwa nie może istnieć długo?

Tak, tak, zrozumieliśmy doskonale! – mówili na odchodnym. Gdy już byli za progiem porozumieli się ze sobą:

Tak, doprawdy Księdzu Bosko pomieszało się w głowie.

Przyszłe wydarzenia miały niebawem ziścić śmiałe marzenia Księdza Bosko. On sam od początku szczerze opowiadał o swoich snach księdzu Cafasso prosząc o radę. Świątobliwy kapłan odpowiadał: Proszę iść naprzód z całym spokojem przyjmując za prawdę owe sny: uważam, że z tego wyjdzie większa chwała Boża i dobro dusz!

Tymczasem coraz uporczywiej krążyły po mieście pogłoski, że Ksiądz Bosko zwariował. Dobrzy smucili się z tego, obojętni i niezyczliwi kpili sobie. Prawie wszyscy, nawet najbardziej z nim zżyci opuścili go. Któryś czasem spotkawszy go na ulicy i nie mogąc wyminąć spoglądał ze współczuciem pytając o zdrowie.

Dziękuję, dobrze.

Biedny Ksiądz Bosko zapewne cierpi na bóle głowy?

Ależ bynajmniej.

Wydaje się, że Ksiądz ma oczy przekrwione.

Ach, drobnostka, być może nieco za wysoko unosiłem łokieć siedząc przy biurku... Odpowiadał z dobrodusznym humorem rozumiejąc cel tych pytań. I tak zbywał natręta.

Chłopczyk Michaś Rua w owych dniach natknął się na pewnego urzędnika zawiadującego królewską rusznikarnią, położoną w pobliżu Schroniska na Valdocco; ten go spytał: Chodzisz jeszcze do Oratorium? Podobno Ksiądz Bosko biedak zwariował?

Podobne głosy dochodziły chłopców z wielu innych źródeł:

Biedny Ksiądz Bosko tak przejął się losem sierot, że to padło mu na głowę.

Z Kurii wysłano również zaufaną osobę w celu przeprowadzenia wywiadu dotyczącego Księdza Bosko. Obawiano się, że pogłoski mogą być prawdziwe, a wtedy może być narażona godność kapłańska.

Wysłannik Kurii zgłosił się pewnego dnia do Schroniska, by rozmówić się z Księdzem Bosko. W czasie długiej rozmowy na temat aktualnych potrzeb Oratorium, Ksiądz Bosko oczywiście nie taił swego entuzjazmu opowiadając, co się tu robi dla młodzieży: O tak! Z pomocą Bożą będzie można zrobić wiele w przyszłości: tak oto będzie wznosić się nasz zakład, a w pobliżu kościoła, gdzie odprawiać się będą wspaniałe nabożeństwa; tu widzę wokół siebie księży, kleryków, których na razie nie ma, ale będą pomagać mi w przyszłości; widzę też ogromną rzeszę młodzieży otaczającej mnie, słuchającą i odpowiadającą moim staraniom.

Kurialista zdał sprawę ze swej wizyty. Wynik musiał być jednoznaczny: Ksiądz Bosko majaczy: finguje, że posiada to, czego nie ma i nigdy nie osiągnie! Więc paranoja...

Na razie nie powzięto żadnej decyzji, tym bardziej, że wikariusz generalny ks. Rabina szczególnie przyjaciel Księdza Bosko nie zgodził się na powzięcie jakiegś przedwczesnej decyzji. Natomiast na pewnej naradzie duchownych w Turynie debatowano między innymi sprawami także na temat Księdza Bosko. Zapadła decyzja umieszczenia go w szpitalu dla chorych umysłowo. Może da się jeszcze zastosować odpowiednie środki dla jego uleczenia.

Pewnego, więc dnia zjawiono się u niego dwóch duchownych powozem krytym, by go odwiedzić na umówione miejsce. Po wstępnych konwenansach wszczęto

rozmowę na temat ukochanego Oratorium. Podobnie jak innym, powtórzył on, co jakby własnymi oczami oglądał już teraz.

Duchowni wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenie. Tymczasem Ksiądz Bosko spostrzegł się, do czego zamierzali i filuternie się uśmiechał. Wreszcie owi księża zaproponowali mu wyjść z nimi na przechadzkę: kochany Księżu Bosko, trochę świeżego powietrza dobrze Księdzu zrobi, proszę pójść nami: mamy ze sobą powóz, wyjedziemy kawałek za miasto.

Odprowadził swych gości, a gdy usilnie zapraszali, by wsiadł do powozu, odrzekł: O nie, byłoby niegrzecznością z mej strony: proszę niech księża łaskawi wsiadą pierwsi. Nie podejrzewając niczego, księża wsiedli do pojazdu, a Ksiądz Bosko zatrzaskał za nimi drzwiczki rzucił woźnicy:

Proszę jechać, co żywo do szpitala dla umysłowo chorych, gdzie oczekują na tych gości...

Dorożkarz wykonał polecenie, zaciął konie, które całym pędem wjechały do szpitala wariatów, gdzie już na dziedzińcu oczekiwali sanitariusze. Pełna humoru scena, jaka miała przy tym miejsce, warta jest przytoczenia.

Otóż wspomniani sanitariusze mając polecenie nie wypuszczania z domu dla chorych umysłowo tego, którego przywiozą, nie wiedząc, który z owych dwóch jest nim, z należnym szacunkiem, lecz i stanowczością zaprowadzili obydwóch do separatki. Nic nie pomogły protesty, ani tłumaczenia. Dostali się, więc w potrzask. Po wielu naleganiach wezwano wreszcie kapelana, który sprawdziwszy, kim są wybuchnął śmiechem i kazał ich wypuścić. Jak się czuli owi dwaj kanonicy tak zgrabnie wystawieni na wiatr, można sobie wyobrazić! Przez dłuższy czas nie mogli patrzeć na Księdza Bosko. To wystarczyło dla stwierdzenia, że albo nie jest wcale szalonym, lub też jest to szal zgoła innego gatunku, jak w przypadku wielkich ludzi, którym Bóg powierza wielką misję, zgodnie ze słowami św. Pawła: „Bóg wybrał to, co głupie świata, aby zawstydził mądrych”. /1 Kor 1,27/.

A tymczasem Ksiądz Bosko z cierpliwością przeczekiwał, aż obmowy dotyczące jego osoby ustaną, a sam spokojnie szedł nadal swą drogą. Nawet najbardziej oddani przyjaciele kapłani, którzy dopomagali mu w pracy, opuścili go widząc, że nie słucha ich rad i trzyma się własnej metody w kierownictwie Oratorium. Biedny Ksiądz Bosko nosząc w sobie utajoną chorobę, samotnie niósł ciężar 400 i

więcej chłopców. Mogłoby to zniechęcić nawet najdzielniejszego człowieka, tylko nie Księdza Bosko, który z Królewskim wieszczem powtarzał: „Pan twierdza moja i ucieczka moja i wybawiciel mój: w Nim będę miał nadzieję”. /Ps 17/.

Po prawdzie trzeba jednak powiedzieć, że nie wszyscy opuścili go w dniach twardej próby. Tak na przykład, arcybiskup Fransowi nie przestał nigdy go popierać i zachęcał do kontynuowania odważnie zaczętego dzieła. Szczególna to doprawdy łaska Boża dla Turynu, że w czasach tak burzliwych rządził diecezją mąż znający drogi Pańskie i tak przychylny dla Księdza Bosko i jego Oratorium; inaczej, bowiem chyba cudem mogłoby się ostać jego Oratorium.

Ksiądz Cafasso ze swej strony wspierał go materialnie i doradzał Księdzu Bosko, by wobec niezrozumienia jego planów grał na zwłokę, nie robił niewczesnych decyzji, oczekując jak pokieruje wypadkami Opatrzność.

Ksiądz Borel chętny zawsze do pomocy, wówczas jednak zachowywał rezerwę, współczując przyjacielowi wyczerpanemu nadmiernym wysiłkiem i bezsennością. Ksiądz Bosko uznał ze swej strony za stosowne przeciąć bolesną niepewność, co do swego zdrowia i pod najściślejszym sekretem wyjawiał przyjacielowi, że otrzymał od Boga i Najświętszej Dziewicy widzenie: przedmieście Valdocco stanie się kolebką Oratorium oraz zgromadzenia zakonnego, jakie miał zamiar założyć.

Ksiądz Borel przyjął z zadowoleniem tę wiadomość i często w przyszłości wspominał owe słowa Księdza Bosko. A w roku 1857 na widok części budynków aktualnego Oratorium, mawiał do kłeryka Michała Rua: Ksiądz Bosko w swych widzeniach opisywał mi dokładnie ten budynek tak, że muszę obecnie stwierdzić zgodność z owymi podówczas fantastycznymi planami budowy, jakie mi przedstawiał w swych snach.

ROZDZIAŁ XLV

Wśród tych perypetii nadeszła Niedziela palmowa 5 kwietnia 1846 r. ostatni dzień dzierżawy łąki Filippi. Wieczorem dnia poprzedniego Ksiądz Bosko strapiony zapowiedział chłopcom na słówku: Przyjdziecie tu po raz ostatni w przyszłą niedzielę, a potem zobaczymy, co nam ześle Opatrzność.

Był to dzień szczególnie ciężki dla biednego Księdza Bosko i tak już dotkniętego wielu przykrościami. Musiał przecież zapowiedzieć chłopcom, gdzie mają zebrać się w przyszłą niedzielę, a tym czasem mimo pilnych poszukiwań jakiegoś miejsca, nie było najmniejszego promyka nadziei na jego znalezienie. Nieufność, z jaką się spotykał w swej działalności, wytworzyła wrogą przeciwko niemu atmosferę. Na wszystkie ponawiane prośby otrzymywał od magistratu odmowną odpowiedź.

W tak bolesnej sytuacji, nie tracąc jednak nadziei w Opatrzność postanowił wypróbować modlitwy swych drogich chłopców, z których wielu odznaczało się niezwykłą cnotą.

Tego ranka wypowiedawszy wielu z nich, gdy się zebrali, zapowiedział, że Msza św. odbędzie się w klasztorze Madonny di Campagna, jakieś parę kilometrów od miasta. Pójdziemy – oświadczył – jakby pielgrzymką do Matki Najświętszej, by nam wskazała miejsce dla naszego Oratorium. Młodzież przyjęła propozycję z radością i wnet ustawiała się w rzędy. Wiedząc, że przechadzka ta nie ma na celu rozrywki, lecz jest raczej aktem pobożności zachowywali się nadzwyczaj budująco; po drodze odmawiano pobożnie Różaniec śpiewano Litanie.

Gdy weszli na aleję zacienioną drzewami wiodącą do klasztoru, ku zdziwieniu wszystkich, odezwały się wesoło dzwony. Mówiono powszechnie, że dzwony zadzwoniły same. Potwierdzało to zeznanie O. Flugentego gwardiana klasztoru, podówczas spowiednika Króla Karola Alberta, że ani on sam, ani nikt z klasztoru nie dał polecenia zadzwonienia z tej okazji, a nawet, gdy dochodził, kto uczynił nie mógł tego stwierdzić.

Chłopcy pobożnie uczestniczyli we Mszy św. a wielu przyjęło Komunię św. Po Mszy, wówczas, gdy zacny gwardian przygotował im śniadanie we wirydarzu klasztornym, Ksiądz Bosko wygłosił stosowaną homilię. Porównując swych chłopców

do ptaszków, którym zrzucano gniazdko na ziemię, zachęcał ich, by prosili Madonnę, iżby raczyła przygotować im miejsce pewniejsze i stałe. To też chłopcy naprawdę modlili się do Niej gorąco, pełni ufności, że zostaną wysłuchani. Po zjedzeniu śniadania wrócili wesoło do domów, by po raz ostatni zgromadzić się na wydzierżawionej łące.

Wszystkie nadzieje złożono w ręce Maryi Najświętszej. Równocześnie Ksiądz Bosko zlecił komuś wyszukanie innego miejsca, lecz do wieczora ufność ich wraz z Księdzem Bosko miała być wystawiona na ciężką próbę.

Około godziny drugiej zeszli się wszyscy na łące. Wiedząc, że po raz ostatni wolno im było z niej korzystać, biegali bez wytchnienia, by ją dobrze wydeptać.

O ustalonej godzinie był katechizm, śpiew, kazanie tak jak w innych razach. Potem młodzież znowu zabawiała się bez troski. Musiała im jednak podpaść rzecz niezwykła: ten, który zawsze był duszą ich zabaw i tak jak św. Filip z Neri stawał się małym z maluczkimi, ich drogi Ksiądz Bosko zostawał samotny w drugim końcu łąki zamyślony i smutny. Był to może jedyny raz, gdy go widzieli osamotnionego. Z twarzy znikł zwykły uśmiech, a przebijała udręka, oczy szklily się łzami. Przechadzając się tu i tam modlił się gorącymi westchnieniami.

Gdy któryś z chłopców podchodził do niego polecał: bawcie się moi drodzy synowie, a mnie zostawcie samego.

Ksiądz Bosko nie zdradzał nikomu przyczyny swego smutku, lecz najstarsi wiedzieli, co go gnębi. Po południu był jeszcze po raz ostatni u braci Filippi i ich matki nie zdoławszy nakłonić ich do zmiany decyzji.

Ależ ja wynająłem tę łąkę za 20 lir miesięcznie na cały rok, a czas wynajmu jeszcze nie upłynął. Wszak suma powyższa wynagradza panom straty ze zbiorów siana.

Nie godzimy się na ponoszenie szkód tak wielkich nieprzewidzianych poprzednio. Proszę sobie poszukać innego miejsca.

I gdzież moglibyśmy udać się obecnie?

Daliśmy Księdzu dość czasu na to, by znaleźć sobie miejsce.

Jakież, więc pióro zdołałoby opisać, co przeżywał w tej chwili Ksiądz Bosko. Jak ogrodnik patrząc w zachmurzone niebo, obawiający się klęski gradobicia, która mogłaby w jednej chwili zniweczyć jego nadzieje; jak pasterz zmuszony porzucić swą

ukochaną trzódkę w obliczu żarłocznych wilków; jak ojciec, więcej, jak matka czuła, której przychodzi się może na zawsze rozstać ze swymi dziećmi... Myślał w głębi duszy: Moi pomocnicy obrócili się do mnie tyłem i pozostawili samego. Jestem całkowicie wyczerpany, straciłem prawie zdrowie, a teraz za parę godzin kończy się termin korzystania z tej łąki: muszę mieć inne miejsce do zbiórek, które muszę zapowiedzieć chłopcom na następną niedzielę, a tego miejsca niestety, mimo wszelkich poszukiwań nie znaleziono i od dziś wieczór Oratorium miałoby zakończyć swój żywot. Czyż daremne były wszelkie wysiłki, jakie w to dzieło włożyłem? Więc zmuszony jestem pożegnać się z tymi chłopcami, którzy mnie kochają, zostawić ich na łasce losu wałęsających się po ulicach, oddających się występkom, kończących we więzieniach? Czy to może być wolą Boga? Refleksje powyższe sprawiły tak głęboki ból Księdzu Bosko, iż nie mógł wytrzymać i z jego ust wyrwały się jęki i westchnienia.

Zapyta ktoś: A czy nadzieja, nawet pewność przyszłego Oratorium opuściła go już całkowicie?

Jesteśmy zdania, że Pan Bóg mając udzielić Oratorium szczególnej łaski, to jest stałego miejsca, chciał, by jego Założyciel odczuł tego dnia swa całkowitą bezradność i beznadziejność sytuacji. Bogu samemu przypisywał dobrodziejstwo, które miał otrzymać w nagrodę za swe trudy. Jest to, bowiem reguła Boskiej Opatrzności, iż cierpieniom i wyrzeczeniom towarzyszą hojne dobrodziejstwa i łaski. Ksiądz Bosko okazał wierność i ufność Bogu, podobnie jak patriarcha Abraham, o którym mówi św. Paweł: „Przeciw nadziei uwierzył w nadzieję, aby stał się ojcem wielu narodów według tego, co było mu powiedziane: Tak będzie potomstwo twoje”. /Rz 4,18/.

Niektórzy chłopcy obserwując pilnie Księdza Bosko widzieli, jak wznosił błagalnie wzrok ku niebu i szeptał gorąco modlitwę: „O mój Boże, dlaczego nie wskażesz mi miejsca, w którym chcesz, bym gromadził te dzieci? Dajże mi je rychło poznać lub objaw swą wolę, co mam czynić”. Była to modlitwa zarazem ogromnego bólu jak i ufności; a Bóg jest przecież dobrocią, Ojcem sierot, który nie omieszkiał wysłuchać tych gorących łez i serdecznych westchnień!

Zaledwie Ksiądz Bosko skończył tę modlitwę i otarł łzy, gdy w tej samej chwili naszedł niejaki Pancrazio Soave znany jakała, że chcąc wydobyć z jego ust słowa, trzeba by doprawdy kleszczy mitycznego Nikodema. Zaczny ten człowieczek podszedł

do Księdza Bosko pytając: -Czy to-to p-r-a-w-d-a że k-s-i-a-d-z ksiądz-s-z-u-k-a m-i-e-j-s-c-a n-a l-a-b-o-r-a-t-o-r-i-u-m ?

Nie na laboratorium, lecz dla Oratorium – odpowiedział Ksiądz Bosko.

Nie wiem czy Oratorium a laboratorium jest jedno, ale miejsce jest: proszę przyjść je obejrzyć. Jest własnością pana Franciszka Pinardiego zacnego obywatela, który chce mu je wydzierżawić. Proszę przyjść zawrzeć kontrakt.

Ta nieoczekiwana propozycja była jasnym promykiem, który przedarł się pośród gęstych chmur.

Prawie w tym czasie przybył pewien zaufany przyjaciel Księdza Bosko, niejaki ks. Piotr Merla, założyciel pobożnego dzieła pod wezwaniem Rodziny św. Piotra Apostoła, której celem jest zaopatrywanie ubogich dziewcząt pozbawionych zarobku i niezamężnych. (Uwaga: stowarzyszeniem kierują Siostry Miłosierdzia założone przez Błogosławionego Cottolongo. Są to dwie bliźniacze instytucje zakonne pozostające w bliskich kontaktach ze zgromadzeniem salezjańskim, które nawzajem oddają im różne usługi).

Kolega Księdza Bosko z seminarium i wtajemniczony w jego zbożne plany pokrewne jego własnym, w wolnych chwilach chętnie spieszył mu z pomocą w katechizacji młodzieży i innych potrzebach.

Co z tobą jest Księżu Janie – spytał zauważywszy że nosił on się z jakimś smutkiem. Może spotkało cię jakieś nieszczęście?

Nieszczęście, nie – ale kłopot nie lada. Dzisiaj upływa ostatni termin dzierżawy tej łąki, zbliża się wieczór, muszę zapowiedzieć młodzieży, gdzie mają się zebrać na przyszłą niedzielę, a sam nie wiem gdzie. W tej chwili właśnie nadszedł pewien człowiek, który powiada, że jest jakiś lokal do wynajęcia. Przyszedłeś w samą porę: zaczekaj chwilę, pójde go obejrzyć i zaraz wracam.

Dobrze zaczekam na ciebie. Załatw wszystko jak najpomyślniej.

Ksiądz Bosko poszedł do pana Pinardiego. Wśród ogrodów, łąk i pól zastał jakiś szalas parterowy z balkonem i schodami prowadzącymi na górę; stwierdził, że był to ów dom z jego snów niecieszący się dobrą opinią. Ksiądz Bosko chciał dostać się na piętro, lecz pan Pinardi zawołał:

Nie, nie tutaj Księżu. Miejsce dla niego jest przeznaczone z tyłu i zaprowadził go do szopy mieszczącej się na spadzistym terenie. Pierwotnie przeznaczona była na

pracownię do wyrobu kapeluszy, później jako magazyn, w którym przechowywano bieliznę do prania, suszoną na przyległym podwórzu.

Ksiądz Bosko wszedłszy do środka musiał schylić głowę, by nie uderzyć o sufit. Podłoga była ubita z gliny; dach był jak sito podziurawiony tak, że w razie deszczu powstawała sadzawka. Szopa ta nadawała się najwyżej na drewnię. W owym czasie była schronieniem dla szczurów i kun, gnieździły się w niej puchacze i nietoperze.

Jest zbyt niska, nie nadaje się dla mnie – mówi Ksiądz Bosko obejrzawszy ją.

Dobrze, każę ją pogłębić – dodał uprzejmie pan Pinardi; wyremontuje się ją, da się schodki, naprawi się sufit; na pewno będzie Księdzu odpowiadać na jego laboratorium.

Nie laboratorium – drogi przyjacielu – lecz na Oratorium, to jest kaplicę, gdzie będzie się gromadzić młodzież.

Wszystko jedno, bardzo dobrze, ja również należę do chóru; postawię tam dwa krzesła: jedno dla mnie, drugie dla mojej małżonki. Mam, po zatem w domu lampę, ja także przyniosę dla ozdoby kaplicy, doskonale: będzie Oratorium.

Zacny pan Pinardi był ukontentowany tym, że w jego zabudowaniach będzie kaplica. Uznał w tym widocznie zrządzenie Opatrznościowe.

Dobrze, dziękuję szanownemu panu za dobrą wolę i ofertę jaką mi składa. Jeśli szanowny pan zechce obniżyć podłogę nie mniej niż jedna stopa, przyjmuję w takim razie. A ile pan żąda za dzierżawę?

Trzysta lir rocznie; inni dają więcej, lecz ja wolę odstąpić Księdzu, który zużyje lokal na cele religijne i dla dobra publicznego.

Dobrze, dam panu trzysta dwadzieścia lir, z tym, że odstąpi mi pan również ten skrawek terenu na dziedziniec dla zabaw młodzieży oraz przyrzeknie mi zremontować szopę, tak by można tu przyprowadzić na przyszłą niedzielę chłopców.

Zrobione: proszę spokojnie przychodzić w niedzielę, wszystko będzie w porządku.

Więcej nie potrzeba było Księdzu Bosko. Odetchnął podniesiony na duchu. Wróciwszy do chłopców zwołał ich natychmiast i z radością oznajmił: Dobre wieści chłopcy! Znaleźliśmy pomieszczenie na Oratorium: będziemy mieli kaplicę, zakrystię, pomieszczenia na szkołę, dziedziniec do zabaw. W przyszłą niedzielę możecie

przychodzić śmiało. Jest to dom Pinardiego; to mówiąc wskazał im miejsce widoczne z łąki, na której się znajdowali.

Wiadomością tą niektórzy zachwyceni jakby nie wierzyli własnym uszom, inni nie posiadali się z radości.

Zakotłowało się wśród nas – opisuje jeden ze świadków – skakaliśmy, biegali, fikalizowali, podrzucali w górę berety, krzyczeli, skakali, klaskali, słowem hałas nie z tej ziemi. Ludzie przechodzący zatrzymywali się zdziwieni pytając, co tu się dzieje. Ksiądz Merla śmiał się, Ksiądz Bosko płakał ze wzruszenia. Ogólny entuzjazm i podniecenie – scena doprawdy godna uwiecznienia dla potomnych. Dzięki szczególnej łasce Bożej i za wstawiennictwem Najświętszej Maryi Niepokalanej przeszło się z beznadziejnego smutku do najśłodszej radości.

Gdy dano upust radości, Ksiądz Bosko uciszywszy rozhukaną gromadę powiedział kilka słów odnośnie ich przyszłej przeprowadzki, potem zachęcił do odmówienia cząstki Różańca na podziękowanie Matce Bożej za łaskę uzyskaną w tym dniu.

Pożegnano się z przytulną łączką, którą polubili, z nadzieją, że znajdą stałe miejsca na Oratorium. Słońce już zachodziło, chłopcy, więc całując na pożegnanie Księdza Bosko w rękę rozchodzili się do swych domów, opowiadając o zaznanych przygodach w tym dniu. Kontrakt zawarty przez Księdza Bosko z datą 1 kwietnia 1846 r. na trzy lata podpisali Franciszek Pinardi i ksiądz Borel.

ROZDZIAŁ XLVI

Pan Pinardi zaręczył Księdzu Bosko, że na przyszłą niedzielę szopa będzie wyremontowana i dotrzymał słowa. Ksiądz Bosko tymczasem otrzymał od arcybiskupa odpowiednie upoważnienie pod datą 10 kwietnia, tj. w sobotę Wielkiego Tygodnia i niebawem kaplica została odpowiednio urządzona i zaopatrzona w sprzęty liturgiczne. Na Wielkanoc 12 kwietnia 1846 r. została otwarta nowa kaplica Oratorium wraz z dziedzińcem przyległym od zachodu i północy. Dwie dobrodziejki wyhaftowały obrusy na ołtarz z płótna podarowanego przez księdza Caprano, on zaś własnym sumptem ufundował krzyż, lichtarze, lampę wieczną i niewielki obraz św. Franciszka Salezego. Ksiądz Bosko tego rana poświęcił pod wezwaniem tegoż Świętego skromny budynek, odprawił Mszę św. z udziałem licznie zgromadzonej młodzieży, ich krewnych oraz wielu osobistości z miasta. Arcybiskup ze swej strony, w dowód swej życzliwości dla Oratorium, odnowił Księdzu Bosko władze przedtem udzielone, to jest odprawianie Mszy św., udzielanie błogosławieństwa Eucharystycznego, sprawowania niektórych Sakramentów, głoszenie kazań, triduów, nowenn, rekolekcji, przygotowanie do Bierzmowania i do Pierwszej Komunii św., spowiedzi i Komunii Wielkanocnej, jakby to była własna parafia chłopców.

Dobrze będzie dać opis własnej kaplicy. Było to pomieszczenie długości około 16 m, szerokości 6 m. Za ołtarzem były jeszcze dwie komórki służące za zakrystię i schowek.

Podłoga była jako tako ułożona z desek, między którymi mogły przechodzić myszy i uganiające się za nimi koty. Sufit wyprawiony gipsem. A jej wysokość? Oczywiście musiała być nieco mniejsza niż u św. Piotra w Rzymie! Wystarczy powiedzieć, że gdy arcybiskup wstępował na tron w czasie funkcji Bierzmowania, musiał zdjąć mitrę i schylić głowę. Blisko w połowie kaplicy od strony północnej stał niewielki pulpit, na którym nie mógł się zmieścić ktoś wysokiego wzrostu nie dotykając głową sufitu. Taka to była bazylika, która służyła jako miejsce kultu Bożego przez blisko 6 lat, a w czasie tegorocznych Świąt Wielkanocnych rozbrzmiewała pobożnymi piniami. W taki sposób sprawdzały się sny Księdza Bosko, który ustalił wreszcie swój pobyt w tej szopie otrzymanej z dobroci NMP.

Na podziękowanie za łaskę młodzież odprawiała w latach 1846 i 1847 pielgrzymkę dziękczynną do świątyni Consolaty wraz z generalną Komunią św. Po Mszy św. odśpiewano uroczyste Te Deum. Ogólny radosny nastrój pocieszył Księdza Bosko wynagradzając mu doznane zawody. Udzielił się on szczególnie jego pierwszym współpracownikom, którzy nabrali otuchy w przyszłość Oratorium.

Szczupłe pomieszczenie oczywiście nie były wystarczające, ale zawarcie formalnego kontraktu uwalniało Księdza Bosko od ciągłego niepokoju i nieustannych wędrówek z miejsca na miejsca. Niemniej poważne przeszkody wyłaniały się nie na tyle ze strony właściciela, jak z powodu bliskości karczmy, do której uczęszczały szumowiny miejskie. Dzięki jedna k czujnej asystencji Księdza Bosko, posłuszeństwu jego poleceniom, chłopcy nie doznali z tej strony szkody na duszy; co więcej, ich wrzawa chłopięca i muzyka spowodowały korzystny skutek: przeniesienie karczmy gdzie indziej. Lecz o tym będzie jeszcze mowa.

Stałe miejsce, dowody życzliwości przełożonego kościelnego, uroczyste nabożeństwa i święta obchodzone w ciągu roku, po otrzymywane od dobrodziejów środki, muzyka, śpiew, różne zawody, wyścigi, pokazy zręcznościowe i tysiące innych nowości, jakie potrafił wykombinować Ksiądz Bosko, przyciągały do Oratorium mnóstwo młodzieży zewsząd. Liczba jej dochodziła do sześciuset, tak, iż w czasie nabożeństwa zapełniali ściśle każdy dosłownie kącik kaplicy i prezbiterium, a reszta stała na zewnątrz. Księża, którzy go opuścili, wracali stopniowo, a było ich kilkunastu.

Z tych i innych powodów Oratorium niebawem nabrało dużego rozmachu. Ksiądz Bosko pisze w pamiętniku: Chłopcy od tej pory uczęszczali punktualniej i lepiej byli asystowani. Podziwu godne było, iż młodzież nieznana przeze mnie, do której można było zastosować słowa psalmu: sicut equus et mulus, quibus non est intellectus – dawała się prowadzić i słuchała poleceń. Musze dodać, że wśród tak wielkiej ignorancji religijnej można było stwierdzić u niej wielki szacunek dla kapłanów oraz zapal w nauce katechizmu.

Metoda, jakiej używano wówczas w Oratorium jest ta sama, jakiej dotychczas używa się w Oratorium św. Franciszka Salezego w Turynie oraz we wszystkich placówkach salezjańskich na całym świecie.

Dobrze będzie podać charakterystyczne zarysy regulaminu tego dzieła. W dni świąt od rana otwierało się kościół słuchoło spowiedzi aż do Mszy św. Odprawiała się ona o godzinie ósmej; niekiedy ze względu na liczne spowiedzi godzina była przesunięta do dziesiątej. Z rana współpracownicy księża zajęci byli odprawianiem nabożeństw w kościołach w mieście. W czasie Mszy św. któryś ze starszych chłopców asystował towarzyszy przewodnicząc w odmawianiu pacierzy porannych i Różańca oraz czytał modlitwy przed Komunią św. Po Mszy św. Ksiądz Bosko wstępował na niskie podium. Początkowo była to krótka homilia; później prowadził cykl historii kościelnej i biblijnej, który kontynuował przez blisko 20 lat. Nauki te proste i popularne, z odpowiednimi przykładami, usytuowaniem miejscowym, podobały się bardzo słuchaczom wielkim i małym, nawet samym księżom, którzy ich także słuchali, a serca młodocianych słuchaczy napełniały odrazą występku i miłością do cnoty.

Po krótkiej rekreacji rozpoczynała się szkoła czytania i śpiewu trwająca do południa. Taki był program zajęć przedpołudniowych.

Po południu odbywały się gry w boccie, kulki, zabawy w wojnę i inne popisy zręcznościowe. O pół do drugiej był katechizm w kaplicy. Ignorancja religijna chłopców nie zniechęcała Księdza Bosko, lecz kazała mu mnożyć wysiłki, by ich należycie pouczyć. Większość nowych nie umiała pacierza. Czasem brakowało katechety, wtedy zbierał wszystkich chłopców lub odbywał lekcję z jedną większą grupą, potem następną, itd. Po lekcji katechizmu był Różaniec, później wyuczono chłopców psalmów nieszpornych do NMP. Prócz tego była krótka nauka polegająca na opowiedzeniu jakiegoś przykładu dla zilustrowania cnoty i występku przeciwnego. Dzień kończył się błogosławieństwem Najświętszego Sakramentu.

Po nabożeństwach „urzędowych” był czas wolny, który każdy mógł zająć dowolnie. Jedni uczyli się modlitw, inni przygotowujący się do Pierwszej Komunii św. mieli katechizm, ci, co mieli piękniejsze głosy, szli na lekcję śpiewu; analfabeci uczyli się sylabizować, większość odbywała wesołą rekreację.

Rekreacja nie była dla Księdza Bosko czasem wypoczynku, ale większych zabiegów. Prócz czuwania, by nie działo się nic złego, stykał się wtedy z różnymi chłopcami i temu i owemu szeptał na ucho jakieś dobre słowo, lub zachętę: czy byłeś już do spowiedzi? Czy chodzisz jeszcze z tym kolegą?

Nie wymawiaj przekleństw! Chodzisz, każdej niedzieli do Oratorium? Zrobisz mi jedna przysługę? Jaka? Pytano. Przyrowadzisz ze sobą kolegę do spowiedzi?

Jednym zalecał posłuszeństwo rodzicom, pilność obowiązkom własnym, punktualność w uczęszczaniu na katechizm i do Sakramentów św. Dzięki temu sprawiał, że gromada chłopców oblegała jego konfesjonał a przez to zdobywał sobie serca chłopców i kierował je do dobrego.

Zdarzało się jednak, że niektóry uparciuch niezbyt łatwo dał się nakłonić do zmiany postępowania, wówczas stosował inne skuteczne środki. Przytaczamy zdarzenie opowiedziane przez jednego z takich: Miałem lat 17 uczęszczając do Oratorium. Śpiewałem chętnie wraz z innymi w kościele. Lecz nie byłem dawno do spowiedzi, po prostu nieprzyzwyczajony nie wiedziałem, jak się do tego zabrać. Ksiądz Bosko kilkakrotnie przypominał mi o spowiedzi wielkanocnej, co mu przyrzekłem. Lecz z tych lub innych pretekstów nie spełniałem ojcowskich zachęt. Pewnej niedzieli zapalczywie grałem w chorągiewkę, zgrzany i spocony. Pochłonięty grą słyszę głos Księdza Bosko: Czy pomożesz mi zrobić pewną rzecz?

Ależ z przyjemnością, a o co chodzi?

Może będzie cię trochę kosztować...

Ach drobnostka; zrobię wszystko, jestem silny.

Chodź, więc ze mną do kościoła...

Kontent, że mogę oddać Księdzu Bosko przysługę biegnę rozebrany, jak byłem.

Tak nie – mówi Ksiądz Bosko. Włóż marynarkę. Włożyłem ją. Poszedłem za Księdzem Bosko do zakrystii myśląc, że trzeba może przestawić jakiś sprzęt.

Chodź ze mną do prezbiterium.

Dobrze idę.

Zaprowadził mnie do kłęcznika. Chciałem go unieść myśląc, że trzeba go przenieść gdzie indziej.

Ale Ksiądz Bosko:

Zostaw, zostaw go.

Co więc mam zrobić?

Uklęknij i spowiadaj się.

Ach to, nie czuję się teraz, może później.

Zaraz, natychmiast!

Nie jestem przygotowany.

Wiem i dlatego daję ci czas. Będę odmawiał brewiarz, potem się wypowiadasz, jak mi to przyrzekałeś tyle razy.

Niech już tak będzie, jeśli Księdzu się to podoba; nie będę miał więcej kłopotu ze spowiednikiem. Ale rzeczywiście potrzebna mi była spowiedź, od której stroniłem ze względu na kolegów.

Gdy Ksiądz Bosko modlił się, zrobiłem rachunek sumienia, potem wypowiadałem się z łatwością, jakiej się nie spodziewałem, gdyż mój dobry spowiednik dopomógł mi pytaniami. Za parę minut rzecz była załatwiona; po odmówieniu pokuty zadanej mi pobiegłem się bawić. Od tego czasu nie miałem trudności w spowiadaniu się, nawet z ochotą przystępowałem do spowiedzi.

Ale godna była uwagi scena przy rozejściu się chłopców. Jakby jakiś magnes trzymał ich przy Księdzu Bosko. Każdy po sto razy dawał mu „buona sera” nie mogąc jakoś się rozstać. Nic nie pomagały upomnienia: Czas już czas, drogie dzieci, rodzice na was czekają!

Zazwyczaj było tak: Na znak dzwonkiem odmówiono wspólnie pacierz wieczorny w kaplicy i Anioł Pański; potem zbierali się dookoła niego; najsilniejsi tworzyli jakby siodełko splecionymi dłońmi i wprost siłą zmuszali Księdza Bosko, by usiadł na nim i tak go obnosili po dziedzińcu, aż do wysepki zwanej Rondo. Tu Ksiądz Bosko zsiadłszy z „tronu” dawał im parę poleceń, zaśpiewano jeszcze „Lodato sempre sia” potem dawał chłopcom „buona sera” i „buona settimana” zapraszając tu na następną niedzielę. Chłopcy gromko odpowiadali: „buona sera” , „Viva Don Bosco!” – potem rozchodzili się. Kilku starszych zostawało, by odprowadzić Księdza Bosko pół żywego do mieszkania.

W jednej z tych niedziel 1846 r., zdarzył się fakt, którego świadkiem był między innymi Józef Buzzetti. Oto pan Pinardi jak się rzekło, pogłębił nieco kaplicę, by zyskać na przestrzeni. Ziemia z wykopu leżała parę kroków od kaplicy, służąc za okopy dla chłopców bawiących się w wojnę. Ktoś wyraził się wobec Księdza Bosko, że należałoby usunąć ziemię. Ksiądz Bosko powiedział: Zostawcie tę kupę ziemi: usuniemy ją wtedy, gdy budować się będzie na tym miejscu obszerną kaplicę. Tak żywa była w jego umyśle pamięć poprzedniego snu. Otóż jednego wieczoru jesiennego Ksiądz Bosko wszedłszy na ten pagórek ziemi z chłopcami zaintonował:

„Lodato sempre sia”. W pewnej chwili dając znak ręką powiedział: Drogie dzieci, wiecie, co mi teraz przychodzi na myśl: Otóż pewnego dnia na tym miejscu, w którym obecnie stoimy, znajdować się będzie ołtarz główny naszego kościoła, przy którym będziecie przystępować do Komunii św. i śpiewać na chwałę Bogu. Po pięciu latach rzeczywiście wzniesiono ten kościół, którego ołtarz główny stanął dokładnie na tym miejscu, które przepowiedział Ksiądz Bosko, a przecież architekt projektując go nic o tym nie wiedział.

ROZDZIAŁ XLVII

Jak wyżej wspomnieliśmy, markizowi Cavour wielkorządcy miasta wydawało się zbyt niebezpieczne gromadzenie się tak wielkiej ilości młodzieży w Oratorium Księdza Bosko. Zawezwał go, więc ponownie do swego urzędu na ratuszu. Być może donosiciele maskowali tym istotne swe cele, widząc jak Ksiądz Bosko skutecznie wyrzywa spod ich wpływu dorastającą młodzież, stąd wysilali się na nowe oszczercze zarzuty. Dlatego dialog z władzą musiał mieć charakter poważny. Stary markiz kazawszy usiąść Księdzu Bosko oświadczył bez ogródki:

Mój kochany Księżu musimy z tym skończyć, a ponieważ wielebność wasza nie daje posłuchu moim dobrym radom, muszę się powołać dla jego dobra na mój autorytet i żądać zamknięcia Oratorium.

Wybaczy pan, panie markizie, odpowie Ksiądz Bosko ze spokojem: uważam za swój obowiązek oświadczyć z należnym szacunkiem, że nie mogę go zamknąć, gdyż robię jako dobry poddany rzecz uczciwą. Moi chłopcy, którym pomagam być wzorowymi chrześcijanami, stają się przez to podwójnie mądrymi obywatelami, gdyż równocześnie nabywają nauki czytania, pisania i rachunków.

Proszę Księdza Bosko: nie wezwałem Księdza, by mi wykladał racje, jak mam postąpić; proszę mnie nie zmuszać do użycia siły. Proszę być więcej posłusznym: proszę dać obywatelom dobry przykład posłuszeństwa dla władzy.

Ja? Ależ jestem najposłuszniejszym obywatelem. Panie markizie.

Jak to? – odpowie ironicznie markiz?

Słucham mego Przełożonego, jakim jest arcybiskup i nic nie czynię na szkodę władz publicznych; spowiadam, głoszę kazania, odprawiam Mszę św., katechizuję; myślę, że w tym nie można dopatrzeć się niczego złego.

Więc Ksiądz nie posłucha? Dobrze, proszę odejść!

Proszę przekonać się, panie markizie, że nie znieważam władzy, ani nie jestem uparty. Pozwolę sobie tylko zaznaczyć, że zamykając Oratorium lękam się ściągnąć na siebie i pana przekleństwo Boże.

Cavour chciał koniecznie złamać upór Księdza Bosko, a ponieważ nie zdołał skłonić arcybiskupa do zakazania Księdzu Bosko jego akcji apostolskiej, umyślił wytoczyć formalny proces i wyrokiem rady państwa zmusić do zamknięcia Oratorium. Dlatego po należytych urobieniu opinii radców stanu, markiz postanowił zwołać nadzwyczajne posiedzenie Rady Państwa. Choć nie zdołał przeciągnąć na swą stronę arcybiskupa, pragnął jednak by był on obecny na ukartowanym posiedzeniu i tak krzyż i miecz by współdziałały w wymierzeniu ciosu śmiertelnego dla Oratorium. Ponieważ wiedział o złym stanie zdrowia arcybiskupa, umyślił odbyć posiedzenie w pałacu arcybiskupa.

W dniu ustalonym udali się wspomniani panowie radcy z całą pompą do pałacu arcybiskupa, by zasiąść na swych fotelach.

Gdy ujrzałem – zwierzał się dostojny arcypasterz przed jednym z przyjaciół – jak ci dostojnicy zbierali się na tej sali, zdawało mi się, że odbywa się sąd ostateczny.

Dyskutowano dość długo i gorąco, wobec zdań podzielonych; ostatecznie jednak przeważała strona markiza, by zakazać zebrań młodzieży w Oratorium, co łatwo mogłoby zagrażać spokojowi publicznemu. Zatem podstęp i złość ludzka zapewne odniosłyby zwycięstwo, gdyby Opatrzność Boża nie pospieszyła Księdzu Bosko i jego chłopcom z wydatną pomocą.

Jeżeli pan Bóg dopuścił dla większego dobra Oratorium, by mu się sprzeciwiono, to równocześnie wzbudził mu potężnych przyjaciół nawet na samym dworze królewskim. Wśród nich wymienić należy hrabiego Józefa Profana di Collengo, podówczas ministra generalnej Izby Kontroli względnie finansów przy królu Karolu Albercie. Niejednokrotnie wspomniany pan udzielał Księdzu Bosko wsparcia finansowego z własnych zasobów, bądź też ze strony monarchy, którego należycie informował o sprawach Oratorium. Sam król chętnie interesował się Oratorium zwłaszcza z okazji jakiś uroczystych obchodów wysłuchiwał relacji przesyłanych mu przez Księdza Bosko oraz informacji osobistych hrabiego. Dlatego niejednokrotnie dawał poznać, jak cenił apostolskie zabiegi Księdza Bosko dla dobra młodzieży swego państwa porównując je z misjami zagranicznymi; wyrażał też życzenie, by we wszystkich miastach królestwa powstały podobne instytucje. Nie zadowolając się słowami przyznawał mu subwencje i nawet z końcem tegoż roku przesyłał podarek 300 lir z napisem: „Pei biricchini di D. Bosco”.

Dzięki takiemu poparciu dom Księdza Bosko nie potrzebował niczego się obawiać. Król dowiedziawszy się o celu zebrania Rady Państwa wezwał hrabiego będącego jej członkiem i upoważnił do wyrażenia swej monarszej woli w tych słowach: „Jest wyraźną wolą króla, by wspomniane zebrania młodzieżowe były dozwolone i popierane: jeśli zachodzi niebezpieczeństwo nieporządków, należy przedsięwziąć środki uniknięcia ich, a nie co innego”.

Hrabia zachowując dyskretne milczenie w czasie burzliwych debat widząc, że przystępuje się do wydania dekretu rozwiązania jego drogiego Oratorium, powstał i zabierając głos wykonał swój mandat królewski. Można sobie wyobrazić, jakie wywołało to wrażenie. Przerwano sesję. W tak decydującym momencie Pan Bóg dał poznać, że Oratorium nie tylko nic nie straciło, ale zyskało na opinii u poszczególnych radców, którzy być może zostali wprowadzeni w błąd i pozornie sprzeciwiali się mu, lecz odtąd popierali Księdza Bosko i jego chłopców tym więcej, że dzieło cieszyło się protekcją królewską.

A pomimo to nadal trwały sekatory ze strony wielkorządcy miasta. Jeszcze raz zawezwał Księdza Bosko na ratusz i nazwawszy go upartym księdzem zakończył swą wypowiedź oświadczeniem:

Ksiądz pracuje być może w dobrej intencji, lecz dobro, jakie czyni, jest połączone z niebezpieczeństwami. Jestem zobowiązany dbać o spokój publiczny, dlatego muszę roztoczyć nadzór nad jego osobą i zebraniem. Za pierwszym stwierdzonym nadużyciem każę rozpędzić jego uliczników, a Ksiądz będzie odpowiedzialny za wszystko, co stąd wyniknie.

Ksiądz Bosko wrócił z ratusza z większą jeszcze ufnością w pomoc Bożą niż przedtem.

Przez czas swego urzędowania posyłał markiz, co niedziela kilku konfidentów tajnych lub mundurowych policjantów, z obowiązkiem pilnego śledzenia wszystkiego, co się działo w kościele i poza kościołem. Strażnicy jednak na sam widok tego, jak jedno słowo Księdza Bosko wystarczyło, by utrzymać takie tłumy młodzieży w karności i zainteresować ich kazaniem, byli tak tym ujęci, iż dalecy byli od składania niekorzystnych raportów, a raczej gotowi byli poprzeć Oratorium. Jeden z nich przytoczył pewien dialog, jaki miał miejsce między nim a markizem.

No cóż, co pan zauważył, co słyszał wśród tej marmolady?

Panie markizie, widziałem rzesze młodzieży spokojnie bawiąca się bez kłótni i bójek i powiedziałem sobie: Och! Gdyby wszystka młodzież Turynu była taką! Nie mielibyśmy wówczas nic do czynienia i więzienia byłyby puste. Potem słuchałem w kościele kazania, które mnie przejęło trwogą i skłoniło do wyspowiadania się.

No, a co z polityką?

Wcale nie było mowy o żadnej polityce; bo cóżby z tego zrozumieli ci biedni chłopcy? O ile mogłem się zorientować, polityka Księdza Bosko polega na wychowywaniu chłopców na wzorowych katolików, udzielaniu im początkowych wiadomości, czytania, pisania i rachunków, asystowaniu im, by przeszkodzić złym rozmowom; posyłaniu do uczciwych majstrów do pracy; odwiedzaniu ich w ciągu tygodnia i udzielaniu dobrych rad i napomnień, słowem roztacza się nad nimi opiekę w zastępstwie rodziców, którzy nie umieją, nie mogą lub nie chcą spełniać swego zadania.

A czy dorośli nie rozmawiali o rewolucji i wojnie?

Nie było o tym mowy ani w kościele ani na dziedzińcu. Co do mnie sadzę, że oni raczej byliby skłonni zaatakować stos bułek i każdy wykazałby tyle męstwa, że zasługiwałby na medal. Poza tym, panie markizie, na ma żadnej obawy.

Strażnicy dawali prawdziwe raporty, podobnie jak grupy wywiadowców i konfidentów. Taka była i jest zawsze polityka Oratorium św. Franciszka Salezego i jego alumnów.

Inny wywiadowca opowiadał swojemu szefowi:

Ksiądz Bosko głosi prawdziwą rewoltę i zrewoltował mnie samego wewnątrz; sprawił, że przystąpiłem do spowiedzi wielkanocnej po tylu latach. Mówił o śmierci, tak jakbyśmy w tej chwili mieli umrzeć. Następnie, ach! Jak wstrętny jest ten widok piekła! Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem! A on powiedział, że rzeczy opowiedziane zaledwie w cieniu przybliżonym dają nam obraz całej prawdy; co do mnie nie chciałbym się nigdy dostać między demonów i potępieńców.

Tak zatem ów podejrzany nieporządek sprowadził wiele dobra w duszach owych stróżów porządku publicznego. Oni to jak wryci stali pod wrażeniem słów kaznodziei chłonąc każde jego słowo. A Ksiądz Bosko czasem żartując lekko, zapraszał, by trzymali w porządku młodzież. Właśnie w takich momentach poruszał

tematy ostateczne: piekło z jego karami i wiecznością; śmierć z jej okolicznościami dla dobrych i złych: sąd ostateczny i wyrok na potępieńców malował w żywych kolorach. A taka potęga przekonania była z jego słów, iż słuchacze byli zelektryzowani i do głębi przejęci. W końcu umiał tak żywo przedstawić dobroć i miłosierdzie Boga, potęgę wstawiennictwa N.M. Panny i Świętych, że wzbudzał w duszach nadzieję osiągnięcia nieba. Strażnicy, którzy może nigdy nie słyszeli o tych prawdach wiecznych i od lat nie byli do spowiedzi, poruszeni do głębi, po kazaniu zgłaszali się od Księdza Bosko do spowiedzi. A Ksiądz Bosko jakże chętnie się udzielał! Jego dobroć oraz okoliczność, że strażnicy zmieniali się co niedziela, sprawiały, że wszyscy przystąpili do spowiedzi wielkanocnej i Komunii św. Przez to stali się przyjaciółmi Oratorium; ci zaś, którzy mieli pilnować porozstawiani w różnych punktach miasta, nie brali odtąd poważnie swego zadania.

Ksiądz Bosko wyraził się raz: Żałuję że nie miałem kliszy fotograficznej lub nie kazałem uwiecznić na obrazie, jak sprawowali się w owych czasach chłopcy po klasach, oraz ilu, w jakim wieku przychodzili do Oratorium. Byłby to doprawdy ciekawy obraz widzieć, jak setki tej młodzieży czeladniczej z całego miasta słuchało moich słów, a coś ze sześciu strażników między nimi porozstawianych, z rękoma pobożnie złożonymi przysłuchiwało się pilnie kazaniu. Doskonale służyli mi za asystentów, pomimo że przyszli asystować mnie samego. Doprawdy osobliwy to obraz, jak jeden ociera łzy rękawem lub chusteczką zasłania sobie twarz pobladała ze wzruszenia; albo jak cisną się między młodzieżą do spowiedzi. W kazaniach swych nastawiałem się bardziej na nich niż na młodzież.

Ksiądz Bosko kierując się przedziwną roztropnością i miłością nie chciał pozostawić markiza Caovura z uczuciem jakiejś przegranej wobec swej niezdecydowanej postawy. Udało mu się dzięki osobistemu taktowi ułagodzić poirytowanego markiza przez okazanie mu swej czci: zdołał wyjaśnić nieporozumienie i wytłumaczyć motywy swego postępowania oraz prosił go o poparcie dla swego dzieła. W wyniku tej konferencji markiz okazał się zadowolony z otrzymanych wyjaśnień, uznał pożyteczną jego działalność i przyrzekł pozostawić w spokoju Oratorium.

Gdy Ksiądz Bosko informował go o tym, co się działo dla dobra chłopców, markiz spytał: A skąd Ksiądz bierze na to wszystko pieniądze?

Pokładam ufność w Opatrzności. I gdyby w tej chwili zesłała mi pomoc za pośrednictwem pana markiza, serdecznie byłbym wdzięczny. Markiz uśmiechnął się i podał mu 200 lir.

Święty odwiedzał go kilkakrotnie w czasie choroby. Synowie markiza Kamil i Gustaw od tego czasu zachowali szczerą przyjaźń względem niego i nieraz składali mu wizyty w Oratorium na Valdocco.

Ksiądz Bosko rewizytując ich we własnym pałacu w Turynie, spotkał się kilkakrotnie ze sławnym filozofem Antonim Rosminim rodem z Rovereto.

Czytelnik miał sposobność zauważyć jak Ksiądz Bosko niezłomnie szedł naprzód mimo obawy znudzenia urzędników pisząc listy, szukając poparcia, byle dopiąć swego celu. Tak zawsze postępował w podobnych sytuacjach trzymając się dewizy św. Ignacego: „Robić co do nas należy, jakbyśmy się nie oglądali na Pana Boga i liczyć na Niego, jakby nic nie zależało od nas”.

Po śmierci starego markiza nikt już z wyższych urzędników nie sprawiał trudności Oratorium. Tym nie mniej Ksiądz Bosko niczego nie przedsięwziął, co by było sprzeczne z prawami Boga i Kościoła. W publicznych i prywatnych przemówieniach zawsze zalecał posłuszeństwo władzy publicznej, ponieważ jak mówił, kto rządzi, od Boga otrzymał swą władzę i sam dawał przykład stosując się do zarządzeń i studiując sposoby porozumienia się z nimi.

Właściwa mu przewidująca roztropność była sekretem tyłu znajomości, którymi w swoim czasie posługiwał się, gdy dana osobistość piastowała jakąś władzę. Ilekroć ktoś został mianowany ministrem, prefektem prowincji, burmistrzem, składał tym osobistościom wizytę. Robiło to dodatnie wrażenie u wspomnianych urzędników, którym pochlebiało, że są w takim uznaniu u Księdza Bosko i sprowadzało wiele dobrego. Nierzadko, bowiem wspomniane osoby były uprzedzone względem Księdza Bosko, który w ten sposób doskonale się bronił.

Przychodzę do szanownego pana, by polecić mu mych chłopców – zaznaczał na wstępie. Potem przedkładał, jak wiele pracował na rzecz synów ludu i tak kończył:

Jeśli szanownemu panu nie trafi się okazja, by nam pomagać, proszę przeszkodzić temu, by nas nie krzywdzono. Oddaję mych chłopców pod opiekę pańską i proszę być dla nich ojcem.

W taki sposób ci panowie byli tym niejako zobowiązani i solennie przyrzekli Księdzu Bosko poparcie.

Ale to nie wszystko – kontynuował Ksiądz Bosko: Proszę szanownego pana prócz tego, by, jeśli otrzyma jakieś raporty przeciwko Oratorium, by nie ulegał sugestii, lecz wpierw sprawdził stan faktyczny, by raczył mnie wezwać celem porozumienia się, a ja zawsze gotów będę dać należyte wyjaśnienia. Proszę również gorąco o pewną pobłażliwość, ilekroć trzeba będzie coś naprawić. Tak szczere podejście spotykało się zawsze z pomyślnym skutkiem. W tym miejscu roztropność dyktuje nam zachowanie w sekrecie pewnych nazwisk. Powiemy tylko, że ilekroć jakaś wysoka osobistość zmuszona była wykonać pewne niesprawiedliwe zarządzenie względem zakładów Księdza Bosko, zawsze jednak pozostawała z nim w przyjaźni, łagodząc możliwie przykrości, jakie stąd wynikały. A Ksiądz Bosko cieszył się poparciem władz miejscowych, które go chroniły od wielu szkód, a choćby jakiś antyklerykał wysoko postawiony nie odznaczał się szczególną życzliwością, pomimo to nie pozwolił, by czyniono mu krzywdy.

ROZDZIAŁ XLVIII

Zawsze tak było, że młodzież okazuje gorącą wdzięczność względem tych, którzy ją szczerze kochają i szukają jej dobra. Wszak młodzież i dzieci cisnęli się do Boskiego Zbawcy, gdyż wyczuwali w nim coś więcej niż ojca. Filip Nereusz wszędzie okazywał się otoczony rzeszą młodzieży, dlatego że ten Apostoł Rzymu traktował ich z bezprzykładną dobrocią. Tak samo było u Józefa Kalasantego, św. Hieronima Emiliani, Franciszka Salezego i tylu innych Świętych, którzy otrzymali od Boga misję zbawienia maluczkich. A w czasach naszych, jaką miłość u młodych zdobył sobie Ksiądz Bosko, świadczą fakty, o których opowiemy.

Ksiądz Bosko przeładowany pracą w różnych instytucjach niewiele miał czasu wolnego. Zajęty od rana do wieczora, nocami zabierał się do pisania swych książek, co musiało się odbić na jego zdrowiu. W ciągu paru tygodni od objęcia szopy Pinardiego, zapadł tak poważnie na zdrowiu, że lekarze radzili bezwzględnie przerwać dotychczasowe zajęcia, jeśli nie chciał narazić się na poważne następstwa. Ksiądz Borel, szczerzy przyjaciel widząc go w takim niebezpieczeństwie polecił mu wyjechać na pewien czas do Sassi, miejscowości u stóp Supergi, gdzie odpoczywał przez cały tydzień, a zjawiał się, co sobota w mieście, by się zająć w niedziele oratorianami.

Pomimo jednak troskliwej opieki zacnego proboszcza Abbondio i zdrowego górskiego powietrza, pobyt w Sassi nie przyniósł mu wyraźnej poprawy. Jedną z przyczyn zaś było to że nie potrafił być nigdy beczynny i pomagał gorliwie proboszczowi w duszpasterstwie; po wtóre zbyt częste odwiedziny młodzieży z Turynu zakłócały mu spokój i wraz z tutejszymi dawały wiele do czynienia. A zjawiali się w tym zaciszu nie tylko poszczególni oratorianie czy ich grupy, ale przychodziły wprost całe pielgrzymki od zakładu Braci Lasallistów.

Wspomniani Bracia kierowali w Turynie szkołą pod wezwaniem św. Barbary, do której uczęszczało parę set chłopców. Ksiądz Bosko był ich spowiednikiem tygodniowym. Z końcem wiosny tego roku mieli rekolekcje. Liczyli na obecność Księdza Bosko w czasie swych ćwiczeń duchowych i nikt nie reflektował na obcych spowiedników. A tymczasem rekolekcje się kończyły, a Księdza Bosko jak nie ma tak nie ma. Szukali na Valdocco, a dowiedziawszy się, że znajduje się w Sassi grupami

udawali się w drogę, myśląc, że tak się nazywa dom, gdzie przebywa, lub też ta miejscowość nie jest zbyt odległa od Turynu. Pomimo dżdżystej pogody nie znając drogi, wielu nawet zbłądziło, poszukiwali Księdza Bosko wśród winnic na polach, pytając przechodzących:

Gdzie jest Ksiądz Bosko, gdzie jest Sassi?

Ależ kochani, zbłądziliście – odpowiadano – trzeba wrócić się, zejść w lewo i piąć się pod górę. Poza tym, kto to jest Ksiądz Bosko i gdzie przebywa, nie wiemy. Proboszcz w Sassi nie nazywa się Bosko, w ogóle nie znamy w okolicy żadnego kapłana o podobnym nazwisku.

A jednak powiedziano nam, że jest on w Sassi i musimy go odszukać.

Gdzie jest Sassari? Ludzie śmiejąc się odpowiadali:

Sassari znajduje się na Sardynii, tam można dostać się barką; biedacy pospuszczali główki.

Wreszcie odnalazłszy właściwą drogę podeszli z różnych stron na plebanię, razem jakichś parę set młodzieży, zdrożonych i głodnych tak, że budzili wzruszenie.

Czym mógłbym wam służyć, drodzy chłopcy? – pytał. Czy macie pozwolenie od swych wychowawców, by tu się znaleźć? Któryś z nich w imieniu wszystkich wystąpił: W tych dniach odprawialiśmy rekolekcje; dziś rano było zakończenie; myśmy tu przyszli wypowiadać się u Księdza. Wczoraj wieczór na próżno oczekiwaliśmy Księdza u św. Barbary. A ponieważ i dziś rano nie było Księdza, więc za pozwoleniem wychowawców szukaliśmy na Valdocco, stamtąd zaś grupami nie wiedząc o sobie dotarliśmy aż tu. Nie porozumieliśmy się dokładnie z przełożonymi sądząc, że zdążymy na Mszę św. z Komunią generalną. Wielu z nas pragnie odprawić spowiedź generalną, niektórzy zaś roczną.

Można sobie wyobrazić zdumienie Księdza Bosko i jego zacnego gospodarza. Próbowano być może nakłonić ich do powrotu, by wybawić z kłopotu ich nauczycieli, lecz było to daremne i trzeba było zaspokoić tę młodzież.

Ale co tu zrobić wobec tak wielkiej liczby? Jak wysłuchać tak wielu spowiedzi generalnej lub rocznej?... jak doprowadzić ich do kolegium na komunię generalną? Na to, by ich zadowolić, trzeba by mieć jakiś tuzin księży. Ale oni chcieli spowiadać się tylko u Księdza Bosko! Łatwiejszą rzeczą było przekonać ich, by Komunię św. przełożyli na jutro. Po tym wszystkim Ksiądz Bosko mimo swego wyczerpania zasiadł

do konfesjonału. Z pomocą przyszedł mu proboszcz, wikary i nauczyciel szkół miejscowych. Mordowali się do południa i ledwie zdolali ich wysłuchać.

Lecz nie w tym cały ambaras. Chłopcy ci, jak owe rzesze ewangeliczne, wyszli z miasta nie mając ze sobą kawałka chleba, myśląc może, że pod wieczór wrócą do domu. Więc prócz zaspokojenia głodu ich duszy, należało pomyśleć o zaspokojeniu głodu ciała, jako że mieli doskonały apetyt. Zacny proboszcz zmobilizował zapasy chleba, polenty, fasoli, ryżu, ziemniaków, owoców, sera; oddał wszystko do dyspozycji zgłodniałych turystów, a gdy zabrakło, poruszył wioskę kwestą. Dzięki temu, całe to wojsko młodzieńcze zostało nakarmione i nikt nie ustał w drodze powrotnej.

Z kłopotem Księdza Bosko i jego zacnego gospodarza nie może iść w porównanie przykrość, jakiej doznało kierownictwo Braci Lasallistów i księży rekolekcjoniści na widok pustych ławek w kościele na zakończenie rekolekcji, gdy przyszła godzina Mszy św. z Komunią generalną. Z liczby 400 uczniów zjawilo się ich może kilkudziesięciu, reszta poszła do Sassi na wędrowkę w nieznane.

Z tego faktu można wysnuć wniosek, jak bardzo był kochany przez młodzież Ksiądz Bosko. Nie mniej przyznać trzeba, że Sassi jak najmniej nadawało się na miejsce wypoczynku dla steranego trudami organizmu Księdza Bosko.

ROZDZIAŁ XLIX

Od paru miesięcy przebywająca w Rzymie markiza Barolo napotkała na niemałe trudności w zatwierdzeniu swych zgromadzeń żeńskich. Osobista jej pobożność i wpływy zewnętrzne zdołały jednak osiągnąć sukces. 6 maja wracała do Turynu z ustawami zatwierdzonymi. Przyjęta uroczyście przez Siostry św. Anny, Magdalenki i inne, którym świadczyła tak wiele dobrego. Ksiądz Bosko osobiście był wielce zainteresowany perypetiami jej misji rzymskiej; miało to być dla niego ostrzeżeniem i normą na przyszłość; było też dostateczną pociechą, gdy przypomniał sobie odebrane we śnie tajemnicze obietnice.

Z uśmiechem mówił markizie: Proszę mi dać pieniądze, wiele milionów, a zobaczy pani, co zamierzam zdziałać: rozciągnę swe ramiona tak dalece, że obejmę nimi cały świat.

Markiza poinformowana już o trudnościach ze strony magistratu Turynu przeciwko jego Oratorium oraz o różnych plotkach z ujmą dla niego, pod sugestią tych słów, zalecała swym siostram, by modliły się o zdrowie Księdza Bosko – gdyż jak mówiła – obawiam się, że ten człowiek, jak tak dalej pójdzie, zwariuje!

Próbowała, więc nakłonić Księdza Bosko do zmodyfikowania jego męczącej pracy. Widząc, że niknie jej w oczach, wezwawszy go energicznie radziła, by wziął paromiesięczny urlop zdrowotny w jakiejś kuracyjnej miejscowości, ofiarując na ten cel 500 lir, byle zgodził się podratować swe zdrowie.

Pani markizo – odpowie Ksiądz Bosko – dziękuję serdecznie za jej gest; lecz nie zostałem księdzem po to, by kurować się.

Ksiądz Borel obecny przy tej rozmowie, był tym tak uderzony, iż wielokrotnie z okazji różnych konferencji dla księży i kleryków podkreślał cnotę swego przyjaciela i stawiał za wzór do naśladowania.

Markiza zdawała się być zawiedziona w swych nadziejach, liczyła, bowiem, że Ksiądz Bosko wyrwany z Turynu na czas dłuższy zapomniałby może o swych chłopcach. Początkowo godziła się na to, by Ksiądz Bosko obok Schroniska zajmował się również swym Oratorium; obecnie jednak niezbyt życzliwie patrzyła na gromady chłopców okupujących jej zakłady i chciała, by Ksiądz Bosko był wyłącznie na jej

usługi. Jako kobieta, mająca na oku wyłącznie swój punkt widzenia, nie rozumiała Księdza Bosko, podobnie jak nie pojmowała intencji księdza kan. Józefa Cottolengo. Przy sposobności wizyty Księdza Bosko oświadczyła: Jestem bardzo zadowolona z pracy Księdza w mych zakładach; dziękuję za wprowadzenie pieśni religijnych, gregoriany, polifonii, lekcji gramatyki, wykładów o systemie metrycznym i wiele innych pożytecznych inicjatyw.

Nie potrzebuje mi pani markiza dziękować: spełniłem tylko swój obowiązek i zostawiam Panu Bogu nagrodę za to, co czynię.

Muszę jednak podkreślić, że nawet różnych zajęć podkopyje jego zdrowie. Uważam, że nie da się sprawować kapelanii w mych instytucjach i równocześnie prowadzić Oratorium z młodzieżą opuszczoną, tym bardziej, że ich liczba wzrasta nadmiernie. Otóż ja proponuję zajmowanie się wyłącznie tym, co jest jego ścisłym obowiązkiem, to jest kierownictwem Szpitalika, pozostawiając na stronie odwiedzanie więzień, zakładów Cottolengo, zwłaszcza zajmowanie się chłopcami. Co Ksiądz na to?

Pani markizo, Pan Bóg dopomagał mi dotąd i liczę, że nie opuści mnie w przyszłości; dlatego proszę się nie obawiać, że praca księży Borela, Pacchiotti i Bosko dozna jakiegoś uszczerbku.

Ale ja nie mogę dłużej tolerować, by Ksiądz się zabijał. Tyle zajęć podejmowanych chcąc nie chcąc musi podkopać jego zdrowie z niekorzyścią dla mych zakładów. Poza tym pogłoski, jakie krążą na temat jego choroby umysłowej, zmuszają mnie doradzić mu...

Co takiego pani markiza chce mi doradzić?

Albo zostawić swe Oratorium, albo opuścić mój szpital. Proszę zastanowić się nad tym i dać mi odpowiedź.

Moja odpowiedź już gotowa. Oto ona: pani markiza mając dostateczne fundusze z łatwością znajdzie ile zechce kapłanów do obsługi swych dzieł. Nie tak się ma sprawa względem ubogiej młodzieży, dlatego nie powinienem i nie mogę ich opuścić. Gdybym teraz zrezygnował z prowadzenia Oratorium, straciłoby owoc tyle lat pracy nad nimi.

Dobrze, a gdzie Ksiądz będzie mieszkał i jak zdoła się utrzymać bez pensji?

Pójdę tam, dokąd mnie Opatrzność poprowadzi. Pan Bóg dotychczas zaopatrywał mnie w to, co potrzebne do życia i spodziewam się, że nie zawiedzie w przyszłości.

Ale Ksiądz jest wyczerpany na zdrowiu, jego głowa już nie wytrzyma, dlatego konieczny jest dla Księdza odpoczynek. Proszę, więc posłuchać mej rady: będzie Ksiądz nadal pobierał pensję, a nawet mu ją powiększę. Proszę udać się na kurację do jakiegoś uzdrowiska na rok, dwa lub więcej, o ile zajdzie potrzeba. A gdy odzyska siły, wróci do schroniska, gdzie zawsze będzie z chęcią przyjęty. Inaczej z przykrością zmuszona byłabym wymówić Księdzu kapelanię w mym zakładzie. Jeśli do tego dojdzie, będzie Ksiądz musiał obarczyć się wielu długami, zajmując się nadal Oratorium; przyjdzie Ksiądz na pewno do mnie z prośbą o pomoc: oświadczam mu, że jej nie otrzyma. Niech Ksiądz dobrze się nad tym zastanowi.

Już myślałem o tym dłuższy czas, pani markizo, życie swe poświęciłem biednym chłopcom i nikt nie zdołał mnie skłonić do porzucenia drogi, jaką sam Bóg mi wyznaczył.

To, więc Ksiądz woli swych włóczęgów niż me zakłady? No, jeśli tak, to od tej chwili wymawiam Księdzu funkcję kapelana, znajdę sobie kogoś innego na jego miejsce.

Ksiądz Bosko zrobił uwagę, że tak nagłe wymówienie posady dałoby powód niepochlebnych podejrzeń i że lepiej działać ze spokojem oraz zachować między nimi tę samą przyjaźń, z jaką pragnęliby stanąć kiedyś przed Boskim trybunałem.

Na te słowa markiza ochłonęła nieco i zakończyła:

Dobrze, daję Księdzu termin trzymiesięczny, po czym zostawi Ksiądz urząd swemu następcy.

Markiza nie dając za wygrane próbowała nadal skłonić Księdza Bosko do ustępstwa i wysłała doń swego sekretarza, pana Silnio Pellico, który miał mu powtórzyć jej propozycje. Ksiądz Bosko jednak został nieugięty, polecając oświadczyć raz jeszcze markizie: Wobec takiej alternatywy: z jednej strony odmowy markizie, od której doznał tylu dobrodziejstw, a wyraźnej woli Boga powołującego do poświęcenia się dla dobra młodzieży, z przykrością musi wybrać to drugie, by nie stanąć w poprzek św. woli Boga. To jedyny motyw zmuszający go do odmowy szlachetnym propozycjom markizy.

Księża Cafasso i Borel zostali powiadomieni o nieprzyjemnym incydencie. Markiza, po rozmowie z ks. Cafasso, który zapewne nie zdradził się z sekretów powierzonych mu przez Księdza Bosko, tak pisała do księdza Borela:

Ill. mo e Rev. mo Sig. Teologo!

Po rozmowie, jaką miałam z księdzem Cafasso doszłam do wniosku, że konieczne jest porozumienie między mną a Wielebnym Księdzem; uważam, że lepiej będzie uczynić to na piśmie niż ustanie. Jak wiadomo Księdzu, że wzrostem liczebnym Szpitalika postanowiliśmy zaangażować kapelana. Polegałam całkowicie na opinii Wielebego Księdza, który przedstawił mi Księdza Bosko. Uznałam, że to kapłan poważny i cnotliwy. Znajomość nasza zaczęła się od roku 1844, gdy Szpitalik otwarty został w jesieni 1845 r. Przyjęty został i pobierał pensję z jego funduszu. Parę tygodni później ja, wraz z Przełożoną Schroniska stwierdziliśmy, że jego zdrowie nie pozwalało na podjęcie żadnej pracy. Pamięta, jak wielokrotnie zwracałam uwagę, by miał wzgląd na siebie, odpoczął etc. Odpowiadał, że kapłani muszą pracować etc... Zdrowie Księdza Bosko pogarszało się od mego wyjazdu do Rzymu; pluł krwią ustawicznie. W tym czasie w liście swym donosił mi przewielebny Ksiądz, że stan zdrowia Księdza Bosko jest taki, że nie może on spełniać podjętych obowiązków. Odpisałam, że gotowa jestem wypłacać nadal pensję z tym, żeby całkowicie zawiesił swe zajęcia; jestem nadal gotowa to czynić. Czy również Wielebny Ksiądz jest tego samego zdania, że katechizować, spowiadać steki chłopców, to żadna praca? Jak twierdzi Ksiądz Bosko. Jestem przekonana, że to szkodzi mu, dlatego sadzę, że powinien wyjechać z Turynu dla poratowania swych płuc. Imputuje mi się, że chciałabym przeszkodzić w niedzielnej katechizacji chłopców i zajmowaniu się nimi w ciągu tygodnia. Uznaję to dzieło za godne pochwały, jak i osoby nim się zajmujące; lecz podtrzymuję swe zdanie, że zdrowie Księdza Bosko nie pozwala na to, by nadal nimi się zajmował i uważam, że gromady chłopców oczekujące na swego dyrektora u bram Szpitalika – to rzecz zgoła niestosowna. Nie wspominając o tym, co było dawniej, w czym podziela me zdanie ks. Durando, wspomnę tylko o fackie, jaki się zdarzył wczoraj. Otóż doniesiono mi, że przyszła do Szpitalika niejaka dziewczyna złego prowadzenia. Ta, wraz z drugą kobietą wychodząc ze Szpitalika natknęły się na grupę chłopców oczekujących na Księdza Bosko; wśród nich byli i starsi. Musiały one

przechodzić wśród tyłu chłopców a być może rzuciły jakieś nieodpowiednie słowo do nich.

Otóż reasumując: 1. Pochwalam i aprobuje dzieło katechizacji chłopców, lecz uznaję, że nie na miejscu jest gromadzenie się ich przed budynkami mych zakładów ze względu na rodzaj osób, jakie tam mieszkają. 2. Uznając bezwzględnie, że płuca Księdza Bosko potrzebują odpoczynku, nie otrzyma on ode mnie swej pensji, jak tylko pod warunkiem, że wyjedzie z Turynu dla poratowania swego zdrowia, które tym więcej leży mi na sercu im więcej go poznałam i doceniam.

Wiem dokładnie, Przewielebny Księżę, że nie we wszystkim podziela me zdanie; we wszystkim gotowa jestem iść za jego opinią, o ile to zgodne z moim sumieniem. Oświadczam ponownie moje uczucie czci najgłębszej etc.

Dev. Serva markiza Barolo z domu Colbert, 18-5-1946 r.

Niebawem odwiedziła markiza Księdza Bosko w jego zaimprovizowanej szopie. W tym czasie jeszcze nie miał swego pokoju w domu Pinardiego, zajmowanego przez lokatorów. Markiza ze zdumieniem oglądała nędzną szopę nienadającą się na zamieszkanie. Nie znając być może misji Księdza Bosko natchnionej z nieba podejrzewała, że postępuje tak z kaprysu i uporu, odrzucając ostentacyjnie jej propozycje i prowadząc tak nędzny tryb życia. Ksiądz Bosko zawiadomiony o jej wizycie, wyszedł na przywitanie markizy, która z miejsca bezceremonialnie spytała:

No i cóż Ksiądz teraz zrobi, jeśli nie przyjdę mu z pomocą?

Nie ma Ksiądz ani solda i chce się postawić. Widzę to. Więc nie chce Ksiądz się zgodzić na moje propozycje? Tym gorzej dla niego! Niechże Ksiądz doprawdy się zastanowi: tu chodzi o jego przyszłość!

Spotkały się dwie wole przeciwstawne. Ksiądz Bosko przyjął tymczasowo stanowisko kapelana i dyrektora duchownego Szpitalika. Zajmował się dziewczętami upadłymi z motywów miłosierdzia chrześcijańskiego, podczas gdy do chłopców czuł pociąg z góry. I jakkolwiek stawiano mu ze wszystkich miar ponętne propozycje, wołał ewangeliczne ubóstwo swej misji, powtarzając słowa Psalmu: „Nakłoń serce moje do przykazań twoich, a nie do bogactw” (Ps 118,36). Od tego postanowienia nie mogła go odciągnąć pewność utracenia łaski i hojnego poparcia ze strony owej bogatej

pani. Nieugięcie trwał w swym postanowieniu, pomimo nalegań markizy, pomimo że nadal, jak zobaczymy, okazywał gotowość obsługiwania jej zakładów, ale nie chciał się niczym wiązać, w obawie by nie ucierpiało jego ukochane Oratorium. Cóż, markiza znowu przekonana o słuszności swych propozycji nie mogła darować Księdzu Bosko nieuzasadnionego jej zdaniem uporu – pomimo jego wybitnych cnót. Być może, dlatego, że w ten sposób rozwiewały się jej plany fundacji stowarzyszenia księży, któremu chciała przekazać swe dzieła, wraz z ich duchem; w Księdzu Bosko widziała zdatne narzędzie do przeprowadzenia tych planów. I mimo swych bogactw i wpływów, czuła się upokorzona wobec niezwalzonego uporu Księdza Bosko. Tak to odczytali z jej twarzy najbliżsi domownicy, czemu też sama dawała wyraz w poufnych rozmowach z przyjaciółmi. Rzecz ta niebawem stała się wiadoma wszystkim, w czym był zaangażowany w jakiś sposób honor Księdza Bosko cieszącego się powszechną opinią świętobliwości. Niespodziewane jego odejście ze Schroniska wywołało różne sprzeczne komentarze, tak, iż on sam musiał niejednokrotnie powoływać się na autorytatywne oświadczenia markizy.

Utrzymywał z nią odtąd stosunki raczej dyplomatyczne. Markiza przemawiała z mentorską powagą, a on jej kontrował. Niekiedy zdarzały się sceny dość humorystyczne.

Razu pewnego przy spotkaniu w swym salonie, markiza z ironicznym akcentem mówi: Ach widzę, Ksiądz znalazł się w biedzie, nieprawdaż?

Wcale nie, pani markizo; nie przyszedłem rozmawiać z nią o pieniądzech: znam jej intencje i nie mam zamiaru wpływać na ich zmianę. Tym więcej, że doprawdy niczego nie potrzebuję, jeśli pozwoli mi wyrazić się w ten sposób – powiem, że nie potrzebuję nawet jej samej.

Fi, done! Otóż mi pyszałek!

Powtarzam, pani markizie: nie chcę wcale jej pieniędzy: chce tylko zaznaczyć, że jakkolwiek pani markiza znając me potrzeby nie skłania się mi dopomóc, to ja jestem zgoła innego usposobienia względem niej. Posunę się do pewnej hipotezy: gdyby pani markiza popadła w nędzę, to ja bym zdjął nawet płaszcz własny i odjął sobie chleb od ust, byle jej dopomóc...

Pani niejako zawstydzona, odzyskawszy wnet poczucie swej ważności odpowie: Tak, tak, ja wiem, że Ksiądz ostentacyjnie udaje, że nie potrzebuje mnie ani mej łaski! Tak samo postępował kanonik Cottolengo: nie chciał ode mnie pieniędzy.

Ta w głębi duszy szlachetna patrycjuszka dotrzymała danego słowa, że nie będzie udzielać Księdzu Bosko osobistego wsparcia, lecz nie było jej intencją odmawiać pomocy Oratorium. W sekrecie posyłała od czasu do czasu znaczne sumy pieniężne zabraniając posłańcom wyjawiania swego nazwiska.

Dodać trzeba, że była doprawdy panią o wybitnej pobożności, w głębi duszy pokorna, pomimo naturalnej żywości usposobienia. Dlatego ilekroć Ksiądz Bosko żegnał się wychodząc z pałacu, klękała prosząc pokornie o błogosławieństwo.

Ksiądz Bosko z końcem maja zastanawiał się, gdzie zdobyć mieszkanie, gdyż od sierpnia musiał zwolnić swój pokój w Szpitaliku. Uświadamiał sobie, że odtąd musi prowadzić nowy tryb życia. W czasie swych studiów w seminarium, na parafii, w konwikcie, w Schronisku – żyło się zawsze jak w rodzinie, a tu będzie trzeba żyć całkiem samotnie. Wznosił, więc wzrok i serce ku Madonnie i u tej Niebieskiej Matki znajdował pociechę i łaski. Niezwłocznie podjął decyzję. Odkąd urządził kaplicę w szopie Pinardiego, zamiarem jego było usadowić się na stałe w tym domu oraz uwolnić się od sąsiedztwa ludzi nieuczciwych, gdyż dom Pinardiego nie cieszył się dobrą opinią. Oczywiście, gdyby nie wyraźna wola Boża ujawniona mu we śnie, byłby się nie narażał na plotki i niesławę. On jednak zdecydowanie zabrał się do dzieła. Była to kwestia czasu i pieniędzy. Na razie trzeba było być cierpliwym, a co do pieniędzy, nie należało zważać na ofiary. Pilną rzeczą było, czym prędzej uwolnić się od niepożądanych lokatorów i zamknąć im drogę do powrotu na to miejsce.

Wspomniany pan Pinardi wydzierżawił niejakiemu Pankracemu Soave część mieszkalną budynku z jedenastoma pokojami na parterze i poddaszu. Ten zaś zatrzymawszy na swój użytek kilka pomieszczeń resztę poddzierżawił z kolei innym. Ksiądz Bosko wszczął pertraktacje z panem Soave. W miarę jak jednemu po drugim lokatorom kończyła się dzierżawa lub rezygnowali, przejmował natychmiast ich pokoje płacąc nawet czynsz podwójny. Czekał aż wszystkie osoby podejrzanych byczajów wyprowadzą się stąd, by nie doznało uszczerbku jego dobre imię kapłańskie.

ROZDZIAŁ L

Na horyzoncie politycznym Włoch pojawiły się chmury. W maju 1846 r. ukazała się w Paryżu publikacja hr. Kamila Caovura pod tytułem „Des Chemins de fer en Italie”. Podkreślano w niej, oprócz korzyści gospodarczych płynących z rozbudowy kolei żelaznych we Włoszech, również dobro wspólne całego państwa. W ślad za tym wydawnictwem pojawiło się mnóstwo książek w Piemontcie szermujących na rzecz partii liberalnej szerzącej idee zjednoczenia i niepodległości całych Włoch, bez wyraźnego stanowiska w stosunku do władzy doczesnej papieża. Niemniej stanowiło to tajemny program sekt karbonariuszy starannie maskowany, by nie zaniepokoić sumień katolików.

Szukano jakiejś okazji, by wciągnąć Karola Alberta w tę aferę, kiedy sam rząd austriacki nastęrczył po temu sposobność. Otóż ministerstwo handlu zezwoliło przed paru laty mieszkańcom okręgu Ticino w Szwajcarii na import soli do portów Genui i Marsylii oraz na tranzyt jej przez terytorium Piemonttu. Austria natomiast zgłosiła swe zastrzeżenia powołując się na własne prawo cłowe, których Piemont nie uznawał. Stąd wywiązał się spór. Austria nie widząc możliwości obrony swych pretensji nałożyła w odwet cło na import wina w 1846 r., co rozjątrzyło jeszcze bardziej umysły Piemontczyków, wobec poważnych strat gospodarczych stąd płynących. To stało się wodą na młyn sekciarzy. Podczas gdy król ogłosił energiczny protest w Dzienniku Urzędowym królestwa, Robert d’Azzeaglio zorganizował wiec ludowy demonstrujący sympatię dla „króla włoskiego”, gdy miał odbierać defiladę wojska. Król jednak uprzedzony w porę nie zjawił się na defiladzie. Wobec nieudanych zamysłów sekciarskich zorganizowało się niebawem stowarzyszenie handlowe winiarzy z publicznym manifestem hołdowniczym dla króla oraz wiele innych kongresów naukowych nastawionych na polityczne cele. Tak na przykład, w Mortara na zjeździe rolników Lorenzo Valerio podnosił jasno, że Karol Albert przy sprzyjających okolicznościach wypędzi obcych z Italii.

W takich to okolicznościach ukazał się drukiem „Podręcznik dla winiarzy włoskich” pióra Księdza Bosko, którego mimo starannych poszukiwań nie znaleźliśmy

kopii. W książce tej autor prócz wskazówek fachowych odnośnie do upraw wina, urządzenia piwnicy, przygotowania beczek i innego sprzętu winiarskiego podawał różne przepisy, jak produkować dobre gatunki win, jak je konserwować, chronić przed skwaśnieniem, co się często zdarza w niejednej rodzinie, która traci w ten sposób owoc swych trudów i mozołów całorocznej pracy. Napisał tę książkę z końcem 1844 r., jak się sam wyraził marginesowo, mając na oku dobro ekonomiczne swych rodaków. Praca Księdza Bosko nie była nigdy przypadkowa, lecz zawsze bardzo aktualna. Pierwszy traktat na ten temat okazał się za obszerny, więc teraz ujął go zwięźlej. Wydrukowawszy swój poradnik propagował go w tysiącach egzemplarzy wśród rolników, wieśniaków, proboszczów; posyłał lekarzom, znajomym fachowcom i syndykom; własnoręcznie rozdawał niektórym znanym działaczom, zwłaszcza na odbywanych zjazdach i kongresach. Nie wdając się w politykę interesował się jednak wszystkim, co mogło wpłynąć na polepszenie doli ludu wieśniaczego. Treść głównie dotyczyła produkcji i sprzedaży wina, niemniej z książki wynika sympatia, jaką darzy autor swych współobywateli, okazuje się rzecznikiem postępu społecznego. To wszystko jednało mu sympatię i poparcie w społeczeństwie.

Wobec zarodków przyszłej rewolty, Ksiądz Bosko nie przestawał mówić o Papieżu do swych chłopców w Oratorium, którzy w miesiącu czerwcu mieli dobrą sposobność zmanifestować swe przywiązanie do Głowy Kościoła. Mianowicie, z początkiem czerwca rozeszła się wieść w Turynie, co niebawem potwierdził smutny jęk dzwonów, że w Rzymie zmarł papież Grzegorz XVI, w wieku 80 lat życia, ze zgryzot na widok ciągłych knowań rewolucyjnych poddanych zarażonych sekciarstwem.

W niedzielę następną, Ksiądz Bosko przemawiając do młodzieży podkreślił hart i niezłomność ducha zmarłego Papieża oraz wielką stratę, jaką poniósł Kościół w tych dniach. Również wspomniał o dowodach życzliwości zmarłego Papieża względem Oratorium przez udzielenie odpustu zupełnego w godzinę śmierci dla 50 osób zasłużonych dobrodziejów. Następnie zachęcił do odmówienia części Różańca za jego duszę. Wyraził myśl, że Kościół Chrystusowy nie może być pozbawiony swej Głowy widzialnej na ziemi, dlatego owczarnia Boża otrzyma niebawem nowego Pasterza; zachęcił, przeto do gorących modłów, by Duch Święty oświecił kardynałów mających wybrać nowego Papieża.

Niebawem w tymże miesiącu czerwcu przysłała wiadomość o wyborze kardynała Jana Mastai Ferretti, biskupa Imoli, który przybrał imię Piusa IX. Szczupła kaplica św. Franciszka Salezego rozbrzmiewała radosnym hymnem dziękczynnym Bogu za to, że w tak krótkim czasie dał swemu Kościołowi nowego Ojca i Pasterza, w którym również Oratorium zyskało największego swego dobroczyńcę.

Nowy Papież odznaczał się łagodnością usposobienia, a przy tym niezłomną stałością i dobrocią serca; niemniej bystrością umysłu, głęboką wiedzą, wielką pobożnością. Obeznanym w polityce orientował się w sekciarskich manewrach. Znany był powszechnie jego patriotyzm po chrześcijańsku pojmowany. Jako sekretarz nuncjatury w Chile dał się poznać ze swego nabożeństwa do Najświętszej Dziewicy Niepokalanej; otaczał czułą troską młodzież ubogą jako prezes Dzieła dobrego „Tata Giovanni” oraz Schroniska św. Michała Archanioła. Podzielał, więc te same idee, co Ksiądz Bosko i został jego szczodrym i gorącym protektorem.

Zaledwie wstąpiwszy na tron wydał kilka edyktów reformatorskich odnośnie do administracji Państwa Kościelnego oraz ogłosił amnestię dla więźniów politycznych winnych rozruchów i spisków. Całe Włochy a wnet świat cały rozbrzmiewały entuzjastycznymi wiwatami na cześć nowego Papieża i wielkodusznego władcy. Zwłaszcza w Rzymie tłumy wprost szalały z radości; niezliczone festyny, ludowe owacje, bankiety, pochody patriotyczne wśród muzyki, łuków triumfalnych stawianych gdziekolwiek pojawił się papież. Przykazywał on umiar jako dowód posłuszeństwa, mimo to czynniki sekciarskie organizowały wspomniane manifestacje wykorzystując entuzjazm mas katolickich dla swych ukrytych celów. Wymuszano w ten perfidny sposób od Piusa IX szereg ustępstw politycznych obsypując go kwiatami.

Sekciarze wznosili okrzyki ku czci Papieża liberalnego licząc, że bezczelna kalumnia nie dostanie odprawy. Pismacy sekciarscy przyzwyczajeni lżyć papieża obecnie podnosili pod niebiosa Piusa IX. Znane dzienniki europejskie pochwalały jego patriotyzm w celu przezwyciężenia niezdecydowania i oporu Karola Alberta. Maksym d'Azeglio pisywał artykuły dla siedmiu dzienników, w tej liczbie także zagranicznych, w których odnosił Piusa IX jako nadzieję Italii. Wyobrażał sobie, że on był papieżem opisanym przez sekciarskie instrukcje z roku 1820. Również Turyn

rozbrzmiewał echem demonstracji rzymskich niepodległością włoską kłamliwie przypisywaną Watykanowi, co udzielało się i samemu klerowi.

Ksiądz Bosko jednak mimo gorącego przywiązania i entuzjazmu względem Papieża nie dał się omamić podobnym hasłom. Uznając, że Piusowi IX oddaje się należne hołdy jako najwyższemu autorytetowi odkrywał w nich zarodki poważnych przewrotów politycznych zgubnych dla Kościoła. Dlatego upominał swych współpracowników a także chłopców starszych i poważniejszych, by byli ostrożni i stali mocno przy Papieżu i arcybiskupie, z gotowością wysłuchania ich instrukcji. Również arcybiskup Fransowi, który pierwszy wśród biskupów zorientował się, kto był autorem wspomnianych demonstracji obłudnych i przestrzegał swych diecezjan przed machinacjami sekt; zwłaszcza swych zaufanych, a wśród nich także Księdza Bosko, by nie dać się złapać na rzekome swobody polityczne, czy też sympatię względem Papieża. Skutkiem tego szerzyła się ze strony pewnych kół głucha niechęć wokół osoby arcypasterza. Tym niemniej trwał na swym stanowisku rządząc diecezją wśród zmiennych nastrojów opinii publicznej.

W międzyczasie upoważniał on Księdza Bosko, by przeprowadził badania na temat obyczajów pewnej niewiasty w okolicach Lanzo uważanej za świątobliwą. Były pogłoski, że od dłuższego czasu wcale nie spożywała pokarmów. Z ofiar otrzymywanych od ludzi zaopatrywała ubogie dziewczęta i sieroty. Ludność schodziła się do niej po rady i polecała się modlitwie.

Ksiądz Bosko spełnił zalecenie i zasięgnąwszy opinii miejscowych stwierdził, że niewiasta była pobożna i zachowywała przepisy kościelne; podejrzewał jednak u niej ignorancję religijną połączona z pragnieniem próżnej chwały.

Należało, więc zbadać jej świętość, przyjmując szczerą intencję, jakimi się kierowała i nie tracić czasu na badanie przypisywanych jej faktów cudownych.

Zatem odprowadziwszy księdza Cafasso do S. Ignazio na rekolekcje, schodząc z Lanzo wziął za towarzysza niejakiego pana Melanotti, pracującego w kawiarni i udał się do Viù. Stanąwszy tu poszedł do proboszcza i posłał pana Melanotti z zapowiedzią wizyty u „świętej” z odpowiednią rezerwą, by nie rozbudzić w niej miłości własnej. Pan Melanotti dobrze poinstruowany, by dawał baczenie na jej zachowanie się, spełnił swą misję. „Święta” była zaskoczona chłodną zapowiedzią, z trudnością ukrywając zniecierpliwienie, gdy godziny mijały, a wizytator się nie zjawiał. Wreszcie przybył

Ksiądz Bosko i wszedł do izby gdzie była owa niewiasta otoczona grupą swych zwolenników siedzących nieco na uboczu. Oczekiwała, że Ksiądz Bosko może pierwszy podejść do niej z pokłonem; lecz on przysiadł się do ławy, gdzie siedzieli inni ludzie, przysłuchując się ich rozmowom.

W pewnym momencie pan Melanotti odzywa się: Otóż Księżę Bosko mamy szczęście widzieć „świętą” i posłuchać jej mądrych duchowych pouczeń.

Tak, odpowie Ksiądz Bosko, lecz ja chciałbym pomówić na osobności z tą panią, gdyż mam pewne sprawy bardzo ważne i poufne do zakomunikowania jej.

Niewiasta owa nieco speszona postawą Księdza Bosko, jakby przeczuwając, co jej groziło, powstała ostentacyjnie i tonem magistralnym mówi:

Wolę rozmawiać publicznie, tak by wszyscy widzieli i słyszeli. Nie szukam żadnych wybiegów; chcę by rozmowa była: tak - tak, nie - nie, jak w św. Ewangelii.

Dobrze – odpowiedział Ksiądz Bosko: cenię sobie tą waszą zasadę i tłumaczenie Pisma św. Proszę jednak o chwilę posłuchania, a zakomunikuję pani wiadomości, z których będzie zadowolona.

Z pewnym wahaniem wyszła wreszcie z izby dając znak Księdzu Bosko, by szedł za nią. Melanotti natychmiast zajął pozycję, tak by być świadkiem tego, co będzie się dziać. Gdy przeszli do następnej izby zostawiwszy drzwi otwarte, niewiasta oczekiwała, o co będzie ją pytał Ksiądz Bosko. Po pewnej chwili milczenia Ksiądz Bosko postawił pytanie:

Powiedzcie mi, od jak długiego czasu wykonujecie swój zawód oszustki i wyzyskiwaczki ludzi?

Jak, co? – odpowiedziała kobieta siląc się na opanowanie gniewu: nie rozumiem!

Więc powtarzam pytanie – powiedział Ksiądz Bosko.

Co, ja obłudnica, oszust!? – zawołała rozjuszona kobieta.

Tak, tak – ciągnął dalej Ksiądz Bosko – jesteście obłudnicą, pyszną, nadużywającą Imienia Bożego, oszukującą ludzi swymi praktykami.

To Ksiądz jest pyszny – rzuciła straciwszy panowanie nad sobą niewiasta. W tym momencie Ksiądz Bosko urwał słowa i z uśmiechem odpowiedział: Nie miałem zamiaru was urazić. Czy wiecie, dlaczego zacząłem rozmawiać z wami w ten sposób? Nic innego nie miałem na myśli jak tylko by się upewnić, czy jesteście na

prawdę świątobliwą, czy też udajecie tylko. Ale ponieważ stwierdzam brak podstawowej cnoty do świętości, jaką jest św. pokora, przekonuję się w pełni, że wasza świętość, to rodzaj zabobonu, niegodziwy zawód, jaki uprawiacie na niekorzyść innych, by zyskać opinię u swych pochlebców, którzy wam wierzą. Oświadczam wam to w imieniu naszego arcybiskupa, który mnie tu posłał. Odkrył wszystkie jej karty, opisał wstyd i szkodę, jaką będzie musiała ponieść, gdy zdarzy się ktoś, kto ją zechce podpatrzeć i zdradzić sekret.

Kobieta wówczas zmiękła. Widziała, że to Ksiądz z autorytetem. W owych czasach tego rodzaju oszustwa publiczne były surowo karane. Ksiądz Bosko udzielił jej jeszcze ojcowskich napomnień, by pomyślała o swym sumieniu, uporządkowała swe życie i zaprzestała kłamliwych wybiegów. Uznając swą winę niewiasta powiedziała: Nie myślałam, żeby Ksiądz był tak dowcipny; dziękuję za dobre rady, które wprowadzę w czyn. Błagam, by zachował dyskrecję, a jeszcze przyrzekam porzucić swój proceder.

Ksiądz Bosko pozwolił, by zmieniła swe życie bez ujmy na swym honorze, co zresztą spełniła. Przeniosła się niebawem do innej wioski i zaczęła uczciwą pracą zarabiać na życie. Ksiądz Bosko dopatrywał się u niej raczej ignorancji, choć z dobrą wiarą, gdyż dla utrzymania swych córek chwytła się środków nieuczciwych.

Ksiądz arcybiskup otrzymał od Księdza Bosko relację o jego wizycie. Zadowolony był z tego, że owa niewiasta wróciła na dobrą drogę, a równocześnie cieszył się, że posiada kapłana tak doskonale wywiązującego się ze swej misji.

ROZDZIAŁ LI

W owym roku Ksiądz Bosko wprost nie odkładał pióra z ręki, wydając różne książki i broszury. Potrzebny był dla młodzieży podręcznik, którego na próżno oczekiwano w Piemontcie. Dekret rządowy z 1845 r. znosił stosowane dotychczas miary i wagi, wprowadzając nowe oparte na systemie metrycznym. Nabierał on mocy z dniem 1 stycznia 1850 r.

Przed powszechnym przyjęciem nowego systemu trzeba było szerokiej propagandy i broszur objaśniających jego stosowanie. Nauczycieli szkół elementarnych zobowiązano do zapoznania się z nowym systemem, celem wprowadzenia go do programu nauczania w szkołach ludowych.

Zanim jeszcze ukazało się podobne zarządzenie Ksiądz Bosko już napisał swą książeczkę po tytule: „System metryczny dziesiętny, przystępnie objaśniony, z dodaniem 4 działań arytmetycznych, dla użytku rzemieślników oraz prostego ludu – przez ks. Jana Bosko”. Nie trzeba specjalnie podkreślać, że na stronicy tytułowej umieszczał swe nazwisko z tytułem „ksiądz” droższym dla niego od jakiegokolwiek godności ziemskiej.

Nie ostatnim przez Księdza Bosko zamierzonym celem było pouczenie ludu o sprawach gospodarczych i socjalnych interesujących go, celem zabezpieczenia przed niemiłosiernymi spekulantami, wykorzystującymi jego ignorancję.

Napisał swój traktat w formie dialogicznej. Cel i treść przedstawiał autor w następującej przedmowie:

„Okoliczności, w jakich żyjemy, stawiają wszystkim wymagania zapoznania się z nowym systemem metryczno-dziesiętnym. Wspomniany system uznany jako korzystny, wprowadzony został ustawą i wejdzie w życie w naszym kraju począwszy od roku 1850. Każdy rozumie, na jakie straty narażałby się w tak radykalnej zmianie miar i wag, kto nie zapoznałby się z nowym systemem. Pragnąc tedy zapobiec tego rodzaju szkodom oraz zaradzić publicznej potrzebie, napisałem niniejszą książeczkę, mającą w jak najprzystępniejszej formie dać czytelnikowi pojęcie o systemie

metrycznym, tak by każda osoba o średnim wykształceniu mogła go zrozumieć nawet bez pomocy nauczyciela.

„Dla łatwiejszego zrozumienia, niejednokrotnie zrezygnowałem ze ścisłości języka arytmetycznego, usiłując wyrażać się obrazowo.

„Ponieważ zaś do wprowadzenia w system dziesiętno-metryczny niezbędna jest znajomość czterech działań arytmetycznych, wyłożyłem je pokrótce na wstępie, by służyły za podstawę obliczeń. Podałem przegląd porównawczy dawnych i nowych miar i wag.

/.../ „Celem moim jest dać wszystkim skrót jasny, prosty i dostosowany do poziomu umysłowego każdego czytelnika; jeśli zaś wszystkich nie mogłem zadowolić, zechcą ci czytelnicy mieć dla mnie wyrozumienie. Należy tedy zbadać każdą rzecz i przyjąć to, co uznaje się za słuszne”.

Manuskrypt przeznaczony do druku miał już w swym ręku drukarz Jan Baptysta Paravia i praca była już dość daleko zaawansowana, gdy tym czasem Ksiądz Bosko natknął się na pewne nieprzewidziane trudności w obliczaniu. Podobnie przytrafiło się pewnemu znanemu profesorowi turyńskiemu nazwiskiem Giulio, który również dał do druku u Paravii swą książkę. Każdy z autorów oglądał się jeden na drugiego, jak rozwiąże pewien dość zawiły problem. Profesor Giulio często dowiadywał się u drukarza, w jakim punkcie znajduje się praca Księdza Bosko i niecierpliwiał się przekomarzać z wydawcą.

A Ksiądz Bosko, gdy raz wziął sobie coś do głowy, nie spoczywał dzień i noc; poszukiwał odpowiedniej formuły, zapisując całe arkusze papieru cyframi. Pewnego dnia z głową nabitą swymi rachunkami, z których nie mógł wybrnąć, wyszedł poza miasto, przeszedł most na rzece Po, wspinał się po górach i dotarł do wili profesora Picco, by zdecydowanie zatrzymać się tu czas jakiś z dala od zgiełku, który przeszkadzał mu w dopięciu swego celu. Poprosił o wolny pokój, zamknął się w nim i ślęczał przez kilka dni nad swoim problemem. Zmęczony często wznosił myśl ku Bogu prosząc o potrzebne światło. Na próżno ksiądz Picco próbował mu wyperswadować, by nie łamał sobie głowy tym problemem. Wreszcie błysło Księdzu Bosko szczęśliwe rozwiązanie. Próbując raz jeszcze napisać i oto gotowa formuła do obliczeń. Wstaje, biegnie do księdza Picco, by się podzielić swym sukcesem: przybiegają zainteresowani domownicy.

O nareszcie znalazłem! – woła Ksiądz Bosko rozpromieniony, ale też jestem tak zmęczony, że nie potrafię mówić; od paru dni nie spałem, wytłumaczę wam innym razem. Biegnie do drukarni, gdzie na maszynach leżały już gotowe do druku stronicie i potrzebne było tylko wstawić owe formuły liczbowe, by uzupełnić dzieło i puścić maszyny. Gdy ukazało się dziełko Księdza Bosko, profesor Giulio zaaprobował formułę wynalezioną przez niego i sam wprowadził do swego traktatu.

Elaborat Księdza Bosko ze wszystkich miar rekomendował się prostotą, popularnością wykładu i precyzją. Odbito tysiące kopii za niską cenę 10 centymów. Tak, dzięki niemu system metryczny stał się dostępny dla wszystkich. Wielu z prostego ludu dzięki temu, uniknęło szpon wyzyskiwaczy i spekulantów. Prócz doraźnych korzyści, miał on też na względzie przyszłe dobro swej instytucji, gdyż popierając plany państwa unicestwił tym samym podejrzenia i zarzuty wrogów.

Ksiądz Aporti oraz powagi naukowe i pedagogiczne, przyjęli wspomniany traktat z wielkimi pochwałami pod adresem autora. Unità Cattolica ze swej strony robiła mu propagandę jako najlepszemu podręcznikowi arytmetyki dla klas elementarnych, jaki dotąd opublikowano w Piemoncie. Niemniej Ksiądz Bosko zawsze dbały o poprawność wydania swej broszurki, w przyszłości kilkakrotnie ją poprawiał. Można podziwiać cierpliwość autora w mnóstwie poprawek, przekreśleń, dopisków nieczytelnych, pozostałych po nim w odbitkach drukarskich, jak na przykład w jego Historii kościelnej.

Wspominamy tu już o wydaniach późniejszych od roku 1846, by nie wracać do tego przedmiotu. Otóż w roku 1849 publikował drugie wydanie ulepszone i powiększone, jak czytamy w przedmowie. Było ono przeznaczone nie tylko dla ludu wiejskiego, ale przede wszystkim dla szkół podstawowych. Podano w nim jak poprzednio w dodatku, wykaz porównawczy monet obiegowych w różnych krajach europejskich oraz włoskich, przyjmując jako jednostkę nowy lir, względnie frank. W następnych latach wyszło nowe trzecie wydanie książki tak ułożonej, by dostosować się do programów rządowych dla trzech klas elementarnych, z zestawieniem dawniej używanych we Włoszech miar i wag.

Dla wyjaśnienia dodawał nową przedmowę, którą niżej przytoczymy dla przykładu, dla naszych pisarzy, kładąc na początku wszelkich pism św. Imię Boże. Do łaskawego czytelnika. Poniższy traktat rozszedł się już w wielkiej liczbie

egzemplarzy; ale ze względu na ich wyczerpanie przystępuje się do przedruku. Niniejsze wydanie, na wniosek wielu poważnych osobistości przeznaczona jest tylko dla szkół rolniczych, zawodowych i w ogólności dla klas elementarnych, zgodnie z obowiązującymi programami. Ponieważ wielu skończyło szkołę nim wprowadzono nowy system, inni z racji swego zawodu czy urzędu muszą posiadać znajomość jednego i drugiego systemu: dla tych posłużą tablice porównawcze dawnych i nowych jednostek będących w użyciu we Włoszech. Pragnąłem być treściwym i jasnym, służąc młodzieży klasy ubogiej. Jeśli temu sprostałem, niech będzie za to chwała dawcy wszelkiego dobra; jeśli nie, proszę łaskawego czytelnika o wyrozumienie i wybaczenie. Życzę wszystkim pomyślności w życiu. Na podstawie tego wydania opracowano jeszcze za życia Księdza Bosko ósme wydanie w liczbie 2 tysięcy egzemplarzy.

ROZDZIAŁ LII

Niewyczerpana była aktywność Księdza Bosko. Nie miał dla siebie ani chwili odpoczynku, a im bardziej strona fizyczna słabła, tym większą aktywność przejawiał jego duch podejmując wciąż nowe inicjatywy. Jedyne pokrzepienie znajdował w przyozdabianiu swego „kościółka”. Ze wspomnień księdza Borela wynika, jak Ksiądz Bosko wynajdywał wciąż nowe pomysły około przyozdabianego drewnianego ołtarza przeniesionego tam z pierwszej kaplicy w Szpitaliku. Sprawił dla niego nowe obrusy, flakoniki do kwiatów, piękną lampę kryształową pozawieszał na oknach zasłony z czerwonej materii. Sprawił 24 nowe ławki, dwa klęczniki, dwie ławki do zakrystii i przedmioty potrzebne do Służby Bożej. Pragnąc przyciągnąć jak największą liczbę chłopców do Stołu Pańskiego, zakupywał medaliki, różańce, obrazki, książeczki do nabożeństwa, zwłaszcza katechizmy, które rozdawał w wielkiej liczbie.

Chłopcy odpowiadali jego pracy: setki ich spowiadało się u niego, on zaś z dobrocią i niezmienną łaskawością wysłuchiwał ich. Ludzie znając niektórych, ogromnie dziwili się na widok zmiany ich obyczajów, gdyż w krótkim czasie stawali się uczciwymi, moralnymi i dobrymi pracownikami. Nade wszystko jaśniała ich wiara. Gdy który zachorował, pragnął mieć przy swym boku w ostatnich chwilach życia, Księdza Bosko. Ich wzór naśladowały inne osoby.

Tymczasem obchodzono w Oratorium uroczystość św. Alojzego. Ksiądz Gattino proboszcz Borgo Dora, na którego terenie było Oratorium, wymówił się od celebrowania Sumy i tak pisał do księdza Borela: Z przykrością muszę prosić o zwolnienie mnie od tej zaszczytnej funkcji. O ile W.P. nie był upoważniony już przez naszego arcybiskupa, to ja deleguję jego osobę, lub, kogo on uzna za stosowne do zastąpienia mnie w tym dniu. Ksiądz Bosko tym zaproszeniem uczynił gest grzecznościowy pod adresem księdza proboszcza.

Przyszła następna uroczystość św. Jana Chrzciciela. Księdzu Bosko dano na chrzcie imię św. Jan Apostoła. Ponieważ jednak w Turynie cieszył się szczególną popularnością św. Jan Chrzciciel i jego święto obchodzono z wielką pompą i wystrzałami z armat także młodzież urządziła w tym dniu entuzjastyczne owacje, składając prezenty i kwiaty, wierząc, że to dzień jego imienin. Ksiądz Bosko nie

protestował i tak działo się przez całe jego życie. Księdzu Bosko samemu miłe były te uroczystości ze względu na tak liczne Komunie św. w tych dniach. Każdy chłopiec dostawał w podarku od niego książeczkę pamiątkową zawierającą modlitwy i pieśni na wszystkie niedziele roku wraz nowenną do św. Alojzego. Liczba rozdawanych książeczek sięgała, jak zanotował ks. Borel ponad 650.

Ksiądz Bosko zdawał się dwoić i troić, lecz siły ludzkie są ograniczone. Pewnej niedzieli, wyczerpanego z sił zaniesiono do jego pokoju w schronisku. Dostał zapalenia płuc. W ciągu tygodnia znalazł się nad grobem. Ksiądz Borel przyniósł mu Wiatyk św. w towarzystwie wielu oratorianów zapłakanych postępujących ze świecami płonącymi. Na ten widok krajało się serce samemu Księdzu Bosko, który z rezygnacją oczekiwał swej ostatniej godziny. Wnet przybiegli zawiadomieni do jego łóżka matka i brat Józef. Było już tak źle, że chory przyjął święte Namaszczenie. Ksiądz Borel nie odstępował od łóżka chorego, wylewał łzy serdeczne myśląc, że go musi utracić. Wszędzie w mieście polecano gorące modły na intencję chorego.

Ksiądz Bosko wspominając o tej chorobie pisał następująco w pamiętniku: „Zdawało mi się, że byłem gotów na śmierć. Choć przykro mi było zostawić mych chłopców, pogodzony z wolą Boga byłem pewny, że Oratorium już otrzymało stałą organizację”. Pewność jego pochodziła z przekonania, że Oratorium było dziełem Boga i Madonny, on zaś był zwykłym narzędziem, może zbędnym, gdyż Pan Bóg znalazłby tysiące zdolniejszych na jego miejsce. Ksiądz Borel ze swej strony byłby gotów na największe poświęcenia, byle nie opuścić tego dzieła.

Młodzież była wstrząśnięta wieścią o chorobie Księdza Bosko. Niektórzy starsi gorąco prosili, by ich dopuszczono usługuwać Księdzu Bosko dzień i noc na zmianę. Dawali oni dowody niezwykłego przywiązania. Wciąż widziało się grupy młodzieży przy drzwiach chorego dowiadujących się niecierpliwie wieści o nim. Lekarz zabronił dostępu obcym, dlatego infirmarz twardo ich oddalał. Miały miejsce sceny doprawdy rozrzewniające.

Pozwól mi tylko spojrzeć na niego.

Nie będę z nim rozmawiał – zapewniał drugi.

Powiem mu tylko jedno słówko; nie mogę się pogodzić z myślą, że umrze nie usłyszawszy tego ode mnie...

Gdyby Ksiądz Bosko wiedział, że tu jestem, kazałby mi wejść... Ach zlituj się i pozwól mi albo wejść lub sam mnie zapowiedz. Sanitariusz twardo odpowiadał:

Wasza obecność zbyt by go wzruszyła, co mogłoby przeciąć delikatną nit życia, która go jeszcze trzyma. Gdybym pozwolił jednemu, musiałbym pozwolić wszystkim i nie skończyłoby się to nigdy. Odpowiedzią był rzewny płacz chłopców.

Biedni chłopcy – mówiono – patrzycie jak go kochają!

Ksiądz Bosko słyszał te rozmowy za drzwiami i był wzruszony. Niektórzy chłopcy nie chcieli odchodzić i wyczekiwali na korytarzu, czy nie usłyszą choćby z daleka słowa od ich dyrektora. Niekiedy Ksiądz Bosko przeczuwając czyjąś obecność pytał:

Kto tam stoi za drzwiami?

Viglietti, Piolo, Buzzetti – odpowiadał infirmarz.

Powiedz im niech wejdą tu.

Infirmarz wzbraniał się, lecz wobec małej grupki chłopców zgadzał się i wprowadzał ich. Pomyśleć można, jakiego wrażenia doświadczali ci chłopcy na widok ich ojca w takim stanie. Niektórzy klękali, bo właściwie przyszli się wyspowiadać i trudno było skłonić ich do wyjścia. Chłopcy wypowiadali swe uczucia nie tylko swym przywiązaniem, lecz czynami. Widząc, że ludzkie zabiegi nie odnosiły skutku, szturmowali do nieba. Grupami modlili się w kościele, przynosili świece przed cudowny obraz, uczestniczyli we Mszach św., przyjmowali Komunię św. Nie kładli się do łóżka nie pomodliwszy się gorąco za chorego, zapraszając do tego również swych krewnych. Niektórzy nawet przez całą noc czuwali na modlitwie. Czyniono śluby, np. odmawianie Różańca przez cały miesiąc, rok, niektórzy przez całe życie. Niektórzy pościli o suchym chlebie i wodzie przyrzekając pościć miesiące i lata, jeśli Maryja Najświętsza wróci im drogiego Księdza Bosko. Dowiedzieliśmy się, że niektórzy chłopcy murarze, na mocy swego ślubu pościli surowo przez parę dni nie zmniejszając wydajności swej pracy, a w czasie przerwy obiadowej spieszyli do pobliskiego kościoła modlić się przed Najświętszym Sakramentem.

Jakież więc będzie wynik tylu modłów i dobrych uczynków?

Była sobota, dzień poświęcony Matce Najświętszej. Ofiarowano tyle modłów. Komunii św., umartwień, a pomimo to pod wieczór nie było żadnego promyka nadziei na wysłuchanie. Chory był tak wyczerpany, iż była obawa, że tej samej nocy umrze.

Tego zdania byli lekarze na konsylium. A Ksiądz Bosko wyczerpany do ostatku przez ciągle krwotoki już uczynił Bogu ofiarę ze swego życia i o niczym nie myślał, jak o tym, że wkrótce odda swą duszę w ręce Stwórcy. W takich momentach, podczas gdy go opłakiwano, on spokojny i wesoły dodawał ducha obecnym, a czasem tak dowcipnie żartował, iż niejeden pragnąłby znaleźć się na jego miejscu.

Czy doprawdy kosa śmierci przetnie życie tak drogie i zostawi w sercach niewinnych chłopców krwawą ranę? Nie! Litościwa matuchna nie opuści tylu biednych chłopców, którzy w niej złożyli swą nadzieję. Dawała się ubłagać ich łzom, zebrała ich modły, śluby, stawiała je przed tronem Boga i uzyskała upragnioną łaskę. Tej samej nocy, kiedy według wszelkich rachub ludzkich miał nadejść kres życia dyrektora i ojca tylu biednych chłopców, nastąpił przełom choroby. Około północy, gdy ksiądz Borel asystował przy chorym chcąc być przy ostatniej jego agonii, przyszła mu myśl podsunąć choremu, by modlił się o swe wyzdrowienie. Ksiądz Bosko milczał. Ksiądz Borel po chwili powtórzył swą prośbę: Ksiądz zna te słowa Pisma św.: „W chorobie twej błagaj Pana, a On cię uzdrowi”. /Ekl 38,9/

Święty powiedział: Pozwólmy, by się spełniła św. wola Boża.

Proszę przynajmniej powiedzieć: panie, jeśli ci się podoba przywróć mi zdrowie. Proszę mi uczynić tę przyjemność – nalegał przyjaciel – proszę powtórzyć te słowa przynajmniej w duszy. Wówczas chory zgadzając się, szeptem wymówił:

Si Signore, se vi piace, fatemi guarire – wewnątrz duszy, jak nas później zapewniał, tak sformułował swą modlitwę:

Non recuso labore – jeśli zdołam oddać usługę jakiejś duszy, zechciej, o Panie, za przyczyną Twej Matki Najświętszej wrócić mi na tyle zdrowie, które nie będzie mi przeszkodą do zabawienia.

Zacny ksiądz Borel słysząc to, rozweselony wycierając łzy zawołał:

Basta cosi: or sono sicure: Ella guarirà (tak wie, już na pewno: ksiądz wyzdrowieje). I nie pomylił się. Niebawem chory zasnął; obudził się już poza niebezpieczeństwem, jakby narodzony do nowego życia.

Z rana dwaj lekarze Botta i Cafasso, gdy badali puls Księdza Bosko orzekli: drogi Księżu Bosko, proszę iść do Consolaty podziękować Madonnie za wielki cud.

Któż opisze radość wszystkich na wieść, że Księdzu Bosko się polepszyło. Radość objawiała się przez łzy chłopców. Co za zmiana nastroju! Po beznadziejnym

zdawałoby się smutku, fala radości zalała serca: Och, viva Dio! Viva Maria! – wołano z entuzjazmem.

Radość młodzieży nie miała granic, gdy Ksiądz Bosko z laską w ręku przyszedł do Oratorium. Było to w niedzielę po południu. Dowiedziawszy się o jego zamiarze odwiedzenia Oratorium, niektórzy starsi chłopcy wyszli mu naprzód, by go zabrać do schroniska. Silniejsi z nich nieśli go na krzesła, reszta otaczała w orszaku triumfalnym. Wzruszenie było powszechne, chłopcy płakali z radości i sam Ksiądz Bosko płakał z nimi. Była to scena, której nie da się opisać słowami. Ksiądz Borel wygłosił kazanie mówiąc o łasce uzyskanej za pośrednictwem Najświętszej Maryi Panny i zachęcał chłopców, by zawsze pokładali w niej swą ufność. Następnie, by okazali się wdzięczni przychodząc punktualnie do Oratorium. Także Ksiądz Bosko przemówił parę słów. Powiedział między innymi: dziękuję wam za dowody miłości, jakie mi daliście w czasie mej choroby; za modlitwy, jakie zanosiliście w intencji mego wyzdrowienia. Jestem przekonany, iż Pan Bóg przedłużył mi życie na skutek waszych modlitw; wdzięczność, zatem wymaga, bym je poświęcił dla waszego dobra duchowego i doczesnego. To wam przyrzekam, dopóki Pan Bóg pozwoli mi żyć na ziemi, a wy ze swej strony dopomagajcie mi.

Zakończył następująco: Drodzy chłopcy, tym razem Pan Bóg oddalił ode mnie śmierć na skutek waszych łez. Dziękujmy Mu za to serdecznie, lecz pamiętajmy, że przyjdzie moment, kiedy ja i wy, będziemy musieli umrzeć. Ach, żyjmy, więc jako dobrzy katolicy, byśmy mogli wszyscy znaleźć się w niebie, gdzie nie będzie więcej śmierci, smutku i płaczu. Następnie odbyło się błogosławieństwo Eucharystyczne; wśród nieopisanej radości śpiewano *Te Deum*.

Wobec tego, że wielu uczyniło śluby bez poważnego namysłu, Ksiądz Bosko jako roztropny kierownik dusz młodzieńczych zamienił je na uczynki możliwe do wykonania i korzystniejsze dla duszy. Zamienił post na zwykłe umartwienie; cały Różaniec na dziesiątki lub inne pobożne praktyki; uczynki ślubowane na całe życie – na czasowe itp.

Tak Bóg zmienił smutek w radość dla synów Księdza Bosko, który w swej chorobie znalazł sposobność do upokorzenia się. Dał temu wyraz w spotkaniu z pewnym kapłanem, który widząc go wśród młodzieży gratulował serdecznie. Święty słuchał, potem z urzekającą pokorą odrzekł:

No gdybym wtedy umarł, może poszedłbym do nieba, bo byłem przygotowany, a teraz, kto wie, jak tam będzie...

Upłynęło od owego dnia 40 lat. Ów przyjaciel przy ponownym spotkaniu z Księdzem Bosko powiedział: Drogi Księżu Bosko, czy pamiętasz, co mi powiedziałeś w 1846 roku?

Tak, pamiętam doskonale: powiedziałem, że gdybym wtedy umarł, byłem na to przygotowany, nieprawdaż?

No, ale widzisz, ile dobrego mogłeś zdziałać z pomocą Bożą! Oratoria, zgromadzenie zakonne, kolegia, hospicja, twoi misjonarze już prawie znajdują się po wszystkich zakątkach ziemi. Gdybyś wtedy umarł, tych rzeczy by nie było...

Mylisz się, mój drogi: te rzeczy stałyby się także. Sam Bóg jest ich sprawcą. Wszystko jest dziełem Jego rąk. Potem skłoniwszy głowę, ze łzami w oczach powtórzył kilkakrotnie: Tak, wszystko to jest dziełem rąk Bożych!

To jego pokora ustawiczna była przyczyną stopniowego wzrostu zaznaczającego się już od roku 1846, instytucji Oratorium. Najświętsza Dziewica już przygotowywała mu obiecaną pomoc. Gdyż o Niej to głoszą słowa Księgi Przypowieści: „Ma w swej prawicy długie życie, a w lewicy bogactwa i chwałę”.
/Prp 3,16/.

ROZDZIAŁ LIII

Choroba, na którą zapadł Ksiądz Bosko z początkiem lipca,omalże nie zaprowadziła go do grobu i była powodem wielkiego zmartwienia dla jego przyjaciół. Dopiero z końcem tego miesiąca lekarz pozwolił mu wyjść z pokoju. Obawiał się nawrotu choroby, która mogłaby mieć fatalne następstwa ze względu na wielkie osłabienie pacjenta. Był to właśnie czas, gdy miał opuścić Schronisko i Szpitalik markizy Barolo. Ponieważ nie były jeszcze wykończone pokoje wynajęte od pana Soave, a także ze względu na zdrowie, postanowił spędzić jeszcze jakiś czas w swej rodzinie w Castelnuvo d'Asti. Nie tracąc z myśli swego planu w sierpniu podejmował od nijakiego Piotra Clapiè czwarty pokój, tak iż zajmował już prawie cały dom z wyjątkiem jedyne lokatora w domu Pinardiego, którego łatwo było nakłonić do przeniesienia się na inne miejsce. Przed wyjazdem, chcąc sprawić chłopcom przyjemność, kupił im nowe gry, między innymi drewniane koła, za którymi mogli się uganiać na pustych ulicach i drogach, jak również drażki imitujące strzelby, którymi bawiąc się grupowo mogliby nauczyć maszerować się składnie i z fantazją.

Ksiądz Bosko wyjeżdżał w połowie sierpnia. Zaledwie jednak opuścił Turyn, markiza Barolo przewidując, że jego nieobecność potrwa czas dłuższy, nalegała, by opróżniony został zajmowany przez niego pokój przeznaczony dla jego następcy. Wówczas ksiądz Borel polecił przenieść rzeczy Księdza Bosko do Oratorium na Valdocco i upoważniony przezeń zakupił na targowisku starzyzny konieczne sprzęty dla umeblowania skromnego pokoju. Tymczasem na opróżnioną kapelanię przyszedł kolega seminaryjny Księdza Bosko i zarazem szczerzy jego przyjaciel ksiądz Bosio.

Oratorium nie pozostało bez opieki, gdyż kierownictwo jego objął ksiądz Borel. Ze względu na wielką liczbę młodzieży, których trudno mu było samemu obsłużyć w kościele jak i na rekreacji, dobrał sobie niektórych księży do pomocy przez cały dzień; byli to ks. Vola, ks. Carpano i ks. Trivero. Przy ich ochotnej współpracy dzieło postępowało dobrze. Z pomocą w katechizowaniu przybywał również ks. Kapelan Pacchiotti. W taki sposób ci współpracownicy zastąpili Księdza Bosko pod jego czteromiesięczną nieobecność. Musieli i oni zyskać sobie wzięcie u młodzieży za cenę niewyczerpanej cierpliwości, samozaparcia się i pewnych ofiar materialnych,

podobnie jak sam Ksiądz Bosko. Doświadczyli na sobie, co znaczy obcować z młodzieżą w znacznej mierze pozbawioną wychowania rodzinnego, często niedożywną, obdartą i brudną. Nadmiar także im, jak tylu innym przyszło spotykać się z krytyką, niezrozumieniem i sprzeciwem. Docenili wówczas, jaką ceną zdobywać się musi wpływ na dusze młodzieńcze, zrozumieli, że tylko nagroda niebieska zapłacić może tyle poświęceń i ofiar.

Tymczasem rosły niepomiernie wydatki na kaplicę, urządzania loterii i rozgrywek dla młodzieży, na podwieczorki, datki dla najbiedniejszych oraz wynajem lokali. Nie brakło jednak opatrnościowej pomocy ze strony dobrych ludzi. Tak na przykład. Ks. Carpano własnym kosztem podejmował chłopców, gdy gromadnie urządzano wycieczkę, obracając na to otrzymane od własnego bogatego ojca fundusze; adwokat Clarette złożył znaczną sumę jednorazowo, hrabia Bonaudi przez lat wiele składał 30 lir miesięcznie, a ks. Cafasso płacił czynsze. Inne jałmużny pochodziły od markizy Barolo i hrabiego di Collegno. Wynika to z rachunków prowadzonych przez księdza Borela, zaczynających się od ostatnich miesięcy roku 1844, a kończących się na roku 1850 łącznie. Wiele sum przeszło przez ręce księdza Borela niezmordowanego kwestarza na rzecz Oratorium.

Dalej tekst wylicza nazwiska wielu dobrodziejów i ofiarodawców duchownych i świeckich, z tytułami, różnego wieku i stanu. To była awangarda tych rzesz pomocników salezjańskich, którzy wspierali Księdza Bosko przez całe jego życie.

Zatem Ksiądz Bosko udał się do Morialdo w towarzystwie starszego oratorianina, studenta Tonin. Odpocząwszy parę dni u swego dobrego znajomego księdza Cinzano, udał się do swej matki w Becchi. Spragniony wieści z Oratorium o urządzanej przez młodzież procesji w Uroczystość Wniebowzięcia NMP tak pisał do księdza Borela:

Carissimo Sig. Teologo!

Podróż odbyłem szczęśliwie, choć dobrze strzęsiony, na osiołku. Stan mego zdrowia polepsza się, dzięki temu, że jem, piję, śpię, jak sobie można wyobrazić, piękna zdrowa okolica, świeże powietrze, w paru dniach poprawiły mój wygląd i kondycję.

Uznaję w swej rekonwalescencji: doprawdy palec Boży. Bo czuje się zdrowszy i silniejszy niż przed chorobą, znikło palenie w gardle. Deo gratis! Nie wiem czy

ustąpiły upały w Turynie; my tu oddychamy powietrzem doprawdy ożywczym, pomimo suszy, która nawiedziła pola tak, że biedni wieśniacy zrezygnowani zdają się na wolę Boską. Tonin jest moim wiernym towarzyszem i rozwesela mnie wspaniale; przesyła ucałowanie rak czcigodnemu księdzu oraz ks. Pacchotti. Ileż razy w ciągu dnia przenoszę się myślami do Oratorium! Proszę o wieści, zwłaszcza, co do procesji w poprzednią sobotę. Proszę serdecznie pozdrowić ode mnie znajomych, data occasione; uściskać księży: Pacchottiego, Bosio, Vola. Napiszę wkrótce ponownie. Vale in Domino, vale. Aff. mo servitore – ks. J. Bosko.

Ksiądz Borel pospieszył z wiadomościami, opisując szczegółowo procesję ścieżkami wokół Oratorium, udział księży, entuzjazm chłopców postępujących procesjonalnie ze śpiewem Ave Maria Stella i Noi siam figli di Maria, rozbrzmiewającym po polach i błoniach Valdocco, wobec przyglądających się temu niezwykłemu widokowi tłumów ciekawych. Po raz pierwszy Oratorium wyszło na zewnątrz z procesją przy obchodzie święta łączonego odtąd w przyszłości z urodzinami Księdza Bosko, na podziękowanie Madonnie. W broszurce napisanej przez monsignora Spinowa znajdujemy wyrażenie: Nie przesadzimy, gdy powiemy, że w roku 1815 Najświętsza Dziewica wysłuchując modłów całego świata katolickiego, zesłała mu swe błogosławieństwo pod postacią Jana Bosko, narzędzia Jej miłosierdzia dla zbawienia dusz.-

Tymczasem Ksiądz Bosko pisał następny list:

Car. mo Sig. Teologo!

Z przyjemnością odczytałem przez kilka razy jego poprzedni list. Gdybym miał skrzydła, poleciałbym, by nacieszyć się waszą procesją, licznymi komuniami, jakie przyjęli nasi chłopcy w Oratorium. Proszę im powiedzieć, że sprawili mi tym wielką radość. Proszę nadal drogi księżu, powiadamiać mnie o tym, co wesołe i przykre w Oratorium, gdyż to sprawi mi przyjemność. Zdrowie moje wciąż się poprawia, proszę doprawdy nie martwić się o mnie; umiem chorować; już proszono mnie nieraz do spowiedzi, o wygłoszenie kazania, korepetycje i wszystkim stanowczo odmówiłem. Tonin na W.W. Świętych nie staje do egzaminu, dlatego nie zajmuje się tu niczym prócz wakacji, zresztą zawsze jest na moje zawołanie. Proszę wydać oddawcy niniejszego listu rzeczy Tonina, znajdujące się dotąd w mym byłym /Schronisko/

pokoju, wraz z jego książkami. Proszę łaskawie posłać mi rubrycelę, gdyż nie orientuję się zupełnie w czasie. W piątek i sobotę spadł obfity deszcz i mizerny widok pól zmienił się jak na wiosnę. Serdeczne „Dominus tecum” wielebnym księżom. Etc. Bolą mnie trochę zęby. Pozostają etc.

PS. Proszę również zakomunikować nowości o mnie księdzu Cafasso.

Ksiądz Borel spełniając życzenie Ksiądz Bosko podawał szczegółowe wiadomości o stanie Oratorium, na co znów Ksiądz Bosko mu odpisywał:

Car. mo Sig. Teologo!

List jego stał się dla mnie i moich przyjaciół tutejszych najmiłszą lekturą. Jestem bardzo zadowolony, że sprawy Oratorium postępują zadowalająco. Dobrze, że ks. Trivero pomaga w Oratorium; należy jednak mieć na uwadze, że traktuje on chłopców zbyt energicznie i że wielu już zniechęciło się. Proszę, więc starać się, by przyprawiać obficie oliwą potrawy w Oratorium. Posyłam mu, więc parę gołąbków, które myślę, sprawią uciechę księdzu Pacchiottiemu; co do mnie, to chciałem raczej posłać dwa kurczaki, lecz moja matka nie chciała, gdyż twierdzi, że tego rodzaju potrawy winno się spożywać w miejscu, gdzie zostały przyrządzone, lecz o tym w innym liście. Wczoraj w okolicy odbył się pogrzeb pewnego mężczyzny, o którym wiele mówiono. W chorobie uznanej przez lekarzy za nieuleczalną, za radą pewnej osoby ślubował przystąpić do spowiedzi i Komunii św. Podobała się Bogu ta obietnica i przywrócił mu zdrowie. Niestety, ów człowiek zapomniał o swym ślubie i pomimo nalegań żony i dzieci, niczego nie spełnił. I co się dzieje. Przez miesiąc cieszył się doskonałym zdrowiem, a w sobotę ubiegłą dostał naraz dziwnego ataku i w paru godzinach przeniósł się do wieczności nie mogąc się spowiadać ani komunikować. Z okazji właśnie pogrzebu wiele o tym fakcie mówiono. Proszę o przysłanie mi następujących książek: „Le sie Domeniche di San Ligi; Ligi Comollo; L. Angelo Custode; Storia Ecclesiastica”, które znajdziecie w szafie przy moim biurku. Stan mego zdrowia nadal się poprawia; od paru dni tylko dokuczają mi zęby. Winogrona już dojrzały, proszę to powiedzieć księżom Pacchiotti i Bosio; ksiądz również niech o tym pomyśli. Byłoby mi przyjemnie usłyszeć wieści o Genta, Gamba, dwóch braciach Ferreri, Piola – jak się sprawują, względnie czy ukradli księżyc etc. – Proszę pozdrowić naszych drogich towarzyszy: księży Pacchiotti, Bosio oraz mieć mnie zawsze oddanym w Chrystusie. etc.

PS. Proszę podać ten list księdzu Vola. Wybieram się w tej chwili do Passerano a far risotta.

Wyraz „risotta” oznacza w narzeczu piemonckim „iść na obiad”, względnie spędzić dzień przyjemnie w gronie przyjaciół. Ksiądz Bosko chętnie przyjmował zaproszenia od któregoś ze swych kolegów duchownych, czy świeckich na obiady. Czynił to ze względów towarzyskich, nawet za cenę pewnych niewygód, a gdziekolwiek się udawał, pamiętał o napomnieniu Ducha Świętego: „Ludzi sprawiedliwych miewaj u stołu twego, a w bojaźni Pańskiej niech będzie chluba twoja, a w rozumie niech ci będzie myśl o Bogu, a wszystka rozmowa twoja o przykazaniach Najwyższego” . /Syr 9, 22-23/.

Gdzie indziej powiemy, w jaki sposób umiał uświęcić swoje zebrania. Na razie na tle wspomnianego listu nasuwa się uwaga, że u Księdza Bosko nie miało miejsce przysłowie: „Czego oko nie widzi, serce nie pożąda” – gdyż zawsze młodzież zajmowała w jego sercu główne miejsce. Odwrotnie, on również był przez nich uważany, jakoby usposobienie Sakramentu Pokuty, dobroci i łaski Boga, przez co uskarżali się na długą jego nieobecność. Istotnie, słyszano z ust chłopców z owych lat to zbyt prostoduszne powiedzenie: „Grzech taki a taki popełniłbym tysiąc razy, lecz ponieważ nie podoba się Księdzu Bosko, nie popełnię go za nic w świecie”.

Mimo więc, że ksiądz Borel zrećźnie prowadził Oratorium przy pomocy innych księży, brakowało jednak serca i ducha Księdza Bosko. Stąd tak ciągle o nim się mówiło: ciągle zapytywano o jego zdrowiu, pytano jedni drugich, kiedy powróci, wszyscy pragnęli gorąco, czym prędzej go widzieć. Po jakimś zaledwie tygodniu nieobecności płynął do niego nieprzerwany potok listów. Chłopcy grupami odwiedzali go, pomimo znacznej odległości. Zazwyczaj wyruszali w czas rano, a wracali późno wieczór. Czasem zatrzymywał na nocleg niektórych, jak na przykład Buzzettiego. Prócz chęci widzenia się z nim, coś innego ich koczyło; chłopcy okoliczni schodzili się do niego tworząc jakby „małe oratorium” w jego mieszkaniu. Cóż dziwnego, że niejednemu wyrwała z ust zazdrość o to, że go im zabiorą. Któryś tego rodzaju zagadnął kiedyś Księdza Bosko: Albo Ksiądz wróci do Turynu, albo my przeniesiemy Oratorium do Becchi! On zaś na pocieszenie ich :

Bądźcie, kochani dobrzy, módlcie się, a przyrzekam wam wrócić do was, nim spadną liście z drzew.

Odwiedziny te, choć wbrew zakazowi lekarzy, przerwały mu konieczny odpoczynek i spokój. On natomiast odczuwał ulgę i pokrzepienie słysząc wieści o Oratorium, słuchając spowiedzi chłopców i udzielając im pożytecznych rad. Chłopcy zaś pełni entuzjazmu dzielili się ze swymi nowymi przyjaciółmi opowiadając, jak swego czasu witały ich dzwony u Madonny di Campagna. Opowiadania te nie były w smak niektórym owianym ideami, Giobertiego którzy złośliwie krytykowali: To sztuczki jezuickie!

Nie tylko dzwony, ale wszystkie dzwonki i organy w kościele. Dawali często upust złośliwej ironii zarzucając osobiście Księdzu Bosko hipokryzję. Mąż Boży jednak zawsze pełen spokoju milczeniem odpowiadał na rzekomą ich gorliwość, a tym, którzy mieli uszy ku słuchaniu, odpowiadał przekonywującymi racjami. Przyjmował zarówno pochwały jak nagany, oklaski i szyderstwa, nie przejmując się naganą, ani próbując się usprawiedliwiać.

„Miłość na wszystko znajduje sposób”. /1 Kor 13,7/.

W tym właśnie objawiał się prawdziwym uczniem Chrystusowym. Umartwienie wewnętrzna i zewnętrzna było jego codziennym chlebem. Pewnego dnia rozmawiał ze swym proboszczem księdzem Cinzano na temat przykrości, jakie spotykają zewsząd dusze spragnione doskonałości. Przyszło się do tego, że każdy chrześcijanin musi dźwigać swój własny krzyż, to jest siebie samego, swoje namiętności, przeciwstawiać się ujemnym skłonnościom naturalnym, a do tego jest nieodzowna codzienna walka wewnętrzna. Ksiądz Bosko przetrawiwszy cały nowy Testament w swych rozmyślaniach, kończył; „Tego krzyża nie można się pozbyć dzień i noc, każdej minuty. Czytamy wyraźnie w Ewangelii św.: „Jeśli kto chce iść za mną, niech zaprze samego siebie i niesie krzyż swój na każdy dzień i naśladuje mnie”.

Ksiądz Cinzano jako wykształcony biblista zrobił uwagę: „Ksiądz dodaje słowo: „co dzień” którego w tekście Ewangelii nie ma” – na to Ksiądz Bosko:

To słowo nie jest zanotowane przez trzech ewangelistów; proszę jednak łaskawie zobaczyć u Łukasza rozdział dziewiąty, wiersz 23, a przekona się, że ja nic nie dodaję.

W jednym tylko przypadku Ksiądz Bosko nie mógł zachować się obojętnie: w niebezpieczeństwie zguby dusz i na widok obrazy Bożej.

W owych dniach Buzzetti Józef opowiadał, że Ksiądz Bosko miał sen, który mu sprawił wiele bólu. Oto widział dwóch chłopców (znanych mu ze snu), którzy szli z Turynu w kierunku Becchi; gdy przybyli na most na rzece Po, napadła na nich jakąś bestia o wstrętnej formie. Opluwszy ich przewróciła na ziemię tarzając czas dłuższy w błocie, tak, iż budzili wstręt. Ksiądz Bosko opowiedział powyższy sen kilku zaufanym wymieniwszy nazwiska widzianych we śnie. Istotnie, pokazało się w przyszłości, iż nie była to czcza fantazja, gdyż ci dwaj nieszczęśliwcy opuściwszy Oratorium upodlili się wszelkiego rodzaju występami.

Tym czasem zdrowie powoli wracało mu do tego stopnia, że odbywał piesze przechadzki. Na próżno prosił o rubrycelę diecezjalną księdza Borela, gdyż lekarze stanowczo zabraniali odmawiania brewiarza. On jednak dla zadowolenia własnej pobożności odmawiał, choć jakąś część.

Nie zapominając o swym nauczycielu księdzu Lacgue odwiedził go parokrotnie; także uczcił wizytą gospodarzy pana Moioglio, który swego czasu użytył mu gościny na swym zamku, jak o tym była mowa, w noc burzliwą. Stąd pisał do księdza Borela list w podniosłym tonie dając wyraz trosce o coraz lepsze funkcjonowanie Oratorium, zgodnie z radami przyjaciela, bądź też interesując się losem niektórych wychowanków. List powyższy zdaje się być kontynuacją poprzedniej korespondencji niedoszłej do nas.

Carissimo Sig. Teologo!

dal Castello dei Merli-

Gdy byłem dzieckiem, opowiadano mi pewne historyjki, które z biegiem lat uznałem za bajeczki, a teraz widzę własnymi oczyma, że mają duże uzasadnienie. Otóż proszę sobie wyobrazić grupę wzgórz dość stromych, z których jedno środkowe wzbija się do stóp zamczyska Merli, położonego w najpiękniejszym punkcie łańcucha Monferrato odległego cztery mile od Moncalvo, a osiem od Wasale. Z pierwszego wejrzenia zamczysko wydaje się niedostępne dla tego, kto nie zna przejść wiodących do Merli; względnie dostrzega potężne mury, którymi opasana jest na kształt ślimacznicy, potężna twierdza. Pod murami widać głębokie łuki wiodące do podziemnych jaskiń. Przypominały mi one jaskinię Fata Alcina, siedzibę maga di Sabina, Sybilli Kumańskiej lub tym podobnych. Wspomniane jaskinie robią wrażenie czegoś niesamowitego, przerażającego. To wszystko dostarczało starożytnym

pisarzom wątku do napisania ciekawych opowieści i bajek, o jakich może otioso tempore opowiem.

Już przeszło miesiąc bawię tu na kuracji, która postępuje pomyślnie. Od tygodnia odmawiam cały brewiarz nie czując zmęczenia, a jeśli tak dalej pójdzie, na wszystkich Świętych zgrubieje na tłustą kielbaskę. Dlatego uważałbym za stosowne, byśmy się porozumiewali coraz częściej ze sobą, na przykład, co poniedziałek, o ile to możliwe. Najlepszym dniem byłby poniedziałek 28 bm. Proszę przyjechać do oberży „Vitello d’oro”, tam znajdzie się pojazd do Castelnuovo odjeżdżający pod wieczór lub też (co uważam za lepsze) w poniedziałek z rana przybyć omnibusem do Chieri, a ja poślę po niego konie. Przed wyjazdem proszę widzieć się z księdzem Cafasso, do którego napiszę. Proszę mi jednak napisać, co zadecyduje, a zarazem dać znać, czy mam się postarać o wino lub nie. Proszę nie zapomnieć zabrać mi rubrycelę, której bardzo potrzebuję. Odnośnie do Genta, napiszę niebawem swą decyzję, być może przychylną. Wspomniany pojazd mógłby służyć także dla księdza Pacchottiego i księdza Bosio, lecz chodzi najwięcej o księdza Pacchottiego, który ślubował odbyć pielgrzymkę do Vezzolano. Czy tak będzie? Spędziłem parę dni u mego dawnego nauczyciela w pobliżu zamku Merli. W dniu 22 bm. będę w domu na winobranii. Pozdrawiam wszystkich serdecznie i życzę wszelkiego dobra od Boga. – Vale et valedice.

16 września, Umil-mo servitore Bosco Jan.

ROZDZIAŁ LIV

Trzymiesięczny pobyt na łonie rodziny, odpoczynek, zdrowa okolica, troskliwa opieka krewnych, rzecz można, przywróciły zdrowie Księdzu Bosko. Wzruszony częstymi odwiedzinami i listami chłopców błagającymi o jego powrót, obiecywał ich zadowolić i każdy dzień dłużył mu się, jakby w nieskończoność. Dwie okoliczności trzymały go w niepewności zmuszając do opóźnienia powrotu: perswazje przyjaciół doradzających zwłokę oraz krytyczne okoliczności nowej siedziby na Valdocco.

„Potrzebne dla twego zdrowia - pisał ten i ów – byś jakiś rok odpoczął z dala od Oratorium; bez tego zawsze będzie istniało niebezpieczeństwo recydyw, która całkowicie odbierze ci siły do pracy, albo niechybnie zaprowadzi do grobu. Zatrzymaj się, więc czas jakiś w rodzinie, miej jakieś łatwiejsze zajęcie i tak odzyskawszy swe siły będziesz mógł objąć swe pole pracy bez żadnej obawy.” Tego samego zdania byli również arcybiskup i ksiądz Cafasso, którzy mu pisali, by zatrzymał się jeszcze na wsi, zapewniając, że Oratorium jest w dobrym ręku i że może spokojnie odpoczywać nie martwiąc się niczym. W rzeczy samej rady te nie były bezpodstawne; jednak jakiś potężny magnes ciągnął Księdza Bosko, by zajmował się nadal chłopcami, dlatego trudno mu było dostosować się do tych rad przyjacielskich. Ustnie i listownie dziękował za życzliwość odpowiadając za Apostołem Pawłem: Pozwólcie mi iść, dokąd mnie Pan wzywa. On wszechmocny, który poniża i wywyższa, potrafi wzmocnić me siły i dać mi konieczne zdrowie. Zresztą gdybym nawet umarł, cóż to znaczy? – Nihil horum vereor, nec facio animam mam preti – siorem quam me – nie cenię sobie mego życia wyżej od mej posługi. Nawet byłbym zadowolony, gdyby przyszło mi położyć życie dla biednych chłopców.

Na widok takiego zdecydowania, które zdawało się z nieba pochodzić, arcybiskup i ksiądz Cafasso zgadzali się, by wrócił do Oratorium pod warunkiem, że jakiś czas jeszcze będzie mocno ograniczał się z bezpośrednią pracą wśród chłopców. Ksiądz Bosko przyrzekł, lecz później zapomniał o wszystkim. Na ten temat słyszano kiedyś jak mówił: Początkowo miałem szczerą wolę usłuchać; lecz na widok tego, że moi współpracownicy nie mogli sprostać olbrzymiej pracy, i że tylu chłopców pozbawionych będzie spowiedzi i nauki katechizmu, nie mogłem się z tym pogodzić

i pozostawać beczynny. Objąłem, więc na nowo swe obowiązki i przez lat 25 odtąd nie potrzebowałem lekarzy ani leków. Przekonało mnie to, że praca zorganizowana nie szkodzi zdrowiu. Fakt sam w sobie prawdziwy, nie wydaje się jednak, żeby był motorem pierwszorzędym jego heroizmu kapłańskiego.

Po przezwycięzeniu trudności, jakie wysuwali mu przesadnie troskliwi o niego przyjaciele, chodziło teraz o pokonanie daleko poważniejszej przeszkody. Otóż Ksiądz Bosko wróciwszy do Turynu winien był ustalić swą rezydencję na Valdocco. Tymczasem przekonał się już, jak ryzykowny będzie pobyt w podobnym miejscu, bądź z racji na karczmę przy ulicy Giardiniera, bądź ze względu na osoby złego prowadzenia się.

Nie miał obecnie obsługi jak w zakładzie markizy Barolo, dlatego musiał oglądać się za jakąś inną osobą. Lecz w tych warunkach nie miałby odwagi zatrudnić przy sobie jakiejś kobiety, obawiając się niebezpieczeństw.

Jak wybrnąć z tej sytuacji? I na kogo można by liczyć na początku pobytu na Valdocco?

Niewiasta zawsze gra wielką rolę, ilekroć chodzi o złagodzenie nędz ludzkich i zbawienie dusz. Nie miejsce tu na wyliczanie szeregu bohaterskich niewiast w Starym i Nowym Testamencie, jakie spełniły misje im wyznaczoną.

Ustabilizowanie Oratorium Księdza Bosko było niemniej doniosłym wydarzeniem historycznym, więc w dokonaniu tego dzieła z woli Bożej otrzymały również swą rolę niewiasty. Uczestniczyły w nim przede wszystkim matki, które posyłały swe dzieci do Księdza Bosko; miały udział szlachetne damy współdziałając swymi ofiarami i poświęceniem w podtrzymaniu dzieła; klasztory, w których pracowały zakonnice nocami na rzecz biednych sierot. Pierwsze jednak miejsce dźwizy niewiasta, którą chłopcy nazywali słusznie swą „mamą” jako przodownica całego zastępu obecnych i przyszłych pomocnic salezjańskich. Jest nią niezapomniana matka Księdza Bosko Małgorzata Occhiena.

Dzielna gospodyni, zdolna była wziąć na swe barki ogrom trosk i kłopotów materialnych zakładu w zastępstwie Księdza Bosko; szanowana powszechnie dla swej cnoty i pobożności, mogła wywierać skuteczny wpływ i opiekę nad młodzieżą.

Ksiądz Bosko szukał porady u swego proboszcza księdza Cinzano.

Ma Ksiądz przecież swa matkę – odpowiedział bez ogródek. Ksiądz Bosko przygotowany na tę odpowiedź wysuwał trudności, lecz ksiądz Cinzano zareplikował: Bierz Ksiądz matkę ze sobą. Nie znajdziesz nikogo zdatniejszego do tej sprawy. Bądź spokojny; będziesz miał prawdziwego anioła przy swym boku!

I doprawdy Małgorzata była prawdziwym aniołem. Sama ugruntowana w cnocie gotowa była do wszelkich poświęceń celem jej zachowania w otoczeniu. Ksiądz Bosko wracał, więc do domu utwierdzony argumentacją księdza proboszcza.

Powstrzymywały go jeszcze dwa motywy. Pierwszym było życie twarde, pełne wyrzeczeń oraz konieczność zmiany poprzedniego wiejskiego trybu życia, do jakiego była przyzwyczajona matka. Drugi pochodził stąd, że nie śmiał zaproponować matce zajęcia, w których ona musiałaby w jakiejś mierze być zależną od syna. Wszak tak bardzo cenił on, kochał i szanował swą mamę i jakby nosił ją na rękach, jak jaką królową. Dla obu braci wszelkie jej życzenia były rozkazem. Rozważywszy wszystko, po gorącej modlitwie widząc, że nie ma innego wyjścia powziął decyzję: Doprawdy moja matka jest święta: mogę, więc jej zaproponować coś podobnego!

Pewnego dnia toczyła się między nimi następująca rozmowa:

Droga mamó, zdecydowałem się wrócić do Turynu do moich kochanych chłopców. Ponieważ opuściłem Schronisko markizy Barolo, muszę mieć przy sobie jakąś osobę do pomocy; miejsce jednak, na jakie przeprowadziłem się na Valdocco ze względu na osoby tam mieszkające jest dość ryzykowne i sprawia mi niepokój. Wobec tego muszę mieć pewną gwarancję moralną i zabezpieczenie przed złymi językami. Tylko wy, mamó, możecie mnie zabezpieczyć i osłonić przed złośliwością ludzką. Czy zgodzilibyście się pozostać przy mnie?

Wobec tej niespodziewanej propozycji pobożna niewiasta zamilkła czas pewien zastanawiając się głęboko, Potem tak odpowiedziała: „Mój drogi synu, ty wiesz, ile memu sercu kosztuje opuścić dom twego brata i tych, do których przywykłam; jeśli jednak sądzisz, że tak się Bogu podoba, jestem gotowa iść z tobą”.

Ksiądz Bosko uściskał swą matkę i dziękując jej zakończył: Po załatwieniu naszych spraw po Wszystkich Świętych pojedziemy do Turynu.

Po prawdzie, Małgorzata Bosko decydując się na podróż ze synem czyniła wielką ofiarę. Wszak w domu swym była panią wszystkiego, kochana i szanowana przez wielkich i małych i niczego jej nie brakowało w pogodnej starości. Przykrość

wielką odczuła rodzina Józefa na wieść o rozłące z nią. Trzeba było, więc utracić tak kochaną matkę! W domu tym panowały wraz z bojaźnią Bożą pokój i porządek. Mając na uwadze tak wzniosły cel, dla którego miała służyć, wszyscy pogodzeni z wolą Bożą umilkli. Małgorzata udawała się z synem nie po to, by żyć wygodnie i spokojnie, lecz by dzielić z nim trudy i wyrzeczenia dla ulżenia setkom biednych sierot opuszczonych. Nie powodowała się żadnym zyskiem doczesnym, lecz miłością Bożą i duszą; wiedziała, bowiem, że życie jej syna nie miało na oku korzyści doczesnej, lecz wymagało od niego tak wiele wydatków i szukania jałmużny. Nie wahała się ani chwili, lecz pod wpływem przykładu syna wspaniałomyślnie zgodziła się towarzyszyć mu aż do śmierci. Szczęśliwi zaiste, kapłani, którym dane mieć taką matkę!

Gdy rozeszła się lotem błyskawicy wieść, że Ksiądz Bosko zabiera ze sobą matkę do Turynu, nastąpiły sceny nieoczekiwane. Pamiętamy, jak Ksiądz Bosko w czasie swej choroby gromadził chłopców okolicznych wokół siebie dając jakby początek nowemu Oratorium. Tak przywiązali się do niego ci chłopcy, że z niecierpliwością oczekiwali niedzieli, kiedy mogli się z nim zobaczyć. Rodzice, zwłaszcza mamy wiedząc, jak dobrze traktowane są ich dzieci, jak korzystają z jego pouczeń, byli bardzo radzi temu, żeby pozostał on na zawsze we wsi i prowadził swe Oratorium. Niestety, ich nadzieje rozwiały się, gdy dowiedzieli się, że wyjeżdża stąd i zabiera ze sobą swoją matkę. Z całą wymową, pod wpływem uczucia macierzyńskiego, starały się go nakłonić, by tu pozostał.

Jeśli trzeba będzie coś opłacać, jesteśmy gotowe na to!

Jeśli nie zdołam pieniędzmi, to wynagrodzę w płótnie.

Będę przynosiła Księdzu drób i jaja.

Niech Ksiądz nie obawia się, nie zabraknie mu niczego, będziemy dostarczać zboże, mąki, wszystko co posiadamy; proszę pozostać u nas i nie pozbawiać naszych dzieci tak wielkiego dobra – wołano.

Zrozumiawszy, że próżne są ich próby i łzy i że Księdzu Bosko nie zależało na własnej korzyści i wygodach, lecz na pełnieniu woli i interesów Jezusa Chrystusa wybuchły płaczem wraz ze swymi dziećmi, zamykając doprawdy spokój Księdzu Bosko.

Po zapakowaniu i wysłaniu do Turynu trochę spyży, jarzyn, meliki i innych produktów, po załatwieniu pewnych spraw rodzinnych, nadszedł dzień 3 listopada 1846 r. wtorek, przeznaczony na wyjazd.

ROZDZIAŁ LV

Krewni zanosili się rzewnymi łzami na widok odjeżdżającej Małgorzaty. Dzielna niewiasta pocieszała ich, że wkrótce zobaczą się znowu, oderwała się z ich objęć i wraz z synem udała się w drogę do Turynu. Dźwigała kosz z bielizną i jeszcze jakimiś tam najkonieczniejszymi sprzętami. Ksiądz Bosko wioził ze sobą parę ściennych obrazów, mszał i brewiarz kapłański. Miał on być, rzec można programem jego życia, na co wskazywały zakładki, na których powypisywał różne sentencje wyjęte z Pisma św., Ojców Kościoła lub pisarzy włoskich. Posługiwał się nimi przez lat blisko 40 i po jego śmierci znaleziono je w jego brewiarzu na stoliku.

Przepisujemy je poniżej w tłumaczeniu polskim, z krótkim komentarzem dla tych, co nie znają łaciny. Oto wyjątki z pisma św.: 1. Wszystkie rzeki wchodzą do morza, a morze nie wylewa się. /Ekl 50/; Opatrzność porządkująca świat! 2. Dobry Pan i wzmacniający w dzień utrapienie /Neh 1,7/; Ufność w Bogu! 3. Oddal od niewiasty drogę twoją, a nie przybliżaj się ku drzwiom domu jej /Prp 5,8/; Unikanie wszelkich niebezpiecznych okazji! 4. Przyjmijcie ćwiczenie moje a nie pieniądze, umiejętność raczej niż złoto obierajcie /Prp 8,10/; Oderwanie od dóbr ziemskich! 5. Poznałem, iż nie masz nic lepszego jak weselić się i czynić dobrze za żywota swego /Ekl 3,12/; Wesołość rodząca się w sercu czystym. 6. Czcij Pana z majątności swojej i z pierwocin wszelkiego zboża twego dawaj mu, a napełnią się gumna twoje obfitością i piwnice twe winem opływać będą /Prp 3,9/; Pan Bóg nie pozwoli się przewyższać wspaniałomyślnością! 7. Jeśli masz rozum, odpowiadaj bliźniemu twemu; jeśli nie, niech będzie ręka twoja na ustach twych, by cię nie pochwycono na niebacznym słowach i abyś nie był zawstydzony. /Ekl 5,14/; Namyśl się w przód nim zaczniesz mówić. 8. Każdy odniesie według tego jak czynił w życiu swoim /2 Kor 5,10/; Wszyscy musimy stanąć przed trybunałem Jezusa Chrystusa, by każdy otrzymał, co sobie zasłużył za życia ziemskiego, według tego jak czynił dobrze lub źle. Myśl ustawiczna o wieczności! 9. Synu, nie odejmuj jałmużny ubogiemu, a oczu twoich nie odwracaj od ubogiego /Ekl 5,1/; Jałmużna obowiązkiem miłości! 10. Nie chełp się w zelżywości ojca twego /Ekl 3,12/; Brońmy jak swego własnego, imienia

dobrego przełożonego! 11. Nie pamiętaj żadnej krzywdy bliźniemu i nie czyn nic krzywdzącego / Ekl 10,6/; Nie pamiętać uraz doznanych, nie szkodzić drugiemu; kochać wszystkich, by wszystkich zbawić!

Na czterech zakładkach były sentencje wyjęte z Ojców Kościoła:

1. Jeśli coś odkryjesz w sobie zdroźnego - popraw; co prawego - trzymaj; co niezgodnego - ułóż; co pięknego - ulepszaj; co zdrowego - zachowaj; co chorego - wzmocnij; odczytuj przykazanie Pańskie niezmordowanie byś znalazł co należy czynić, a czego unikać. /św. Bernard – Ad Sacerdotes/. Ustawiczny rachunek sumienia z własnego postępowania!
2. Utrzymuj swą wiarę i nie przyjmuj łatwo obcej nauki, choćby ci się wydawała roztropną i mądrą. /Hieronim do Demetr/. Posłuszeństwo pokorne i całkowicie przepisom Kościoła.
3. Noście ze sobą, bracia, klucz do własnej celi; nie zapominajcie też o kluczu od języka. /św. papież Damazy/. Mocniejsze są przykłady od słów i skuteczniej nauczy się czynem niż słowami. /św. Maksym, Serm. 67/. Być dla drugich wzorem chrześcijańskich obyczajów.
4. Naszym bogactwem i skarbem pozyskiwanie dusz, a w głębi dusz swych chowajmy zasoby cnót /św. papież Damazy/ Gorliwość i pokora.

Dwie ostatnie zakładki nosiły wersety z Dantego i Silnio Pellico.

Ale chodźmy dalej za Księdzem Bosko, który wraz ze swą matką zstępował z pagórków Castelnovo ku Turynowi. Podróżowali po apostołsku, pieszo, rozmawiając o sprawach Bożych i własnych. Stanąwszy w Chieri zatrzymali się na krótko u adwokata Valinberti, u którego rodziny był znany i kochany Ksiądz Bosko. Posiliwszy się szli dalej i nad wieczorem przybyli do Turynu.

Gdy znaleźli się w pobliżu tak zwanego Rondo, dzisiejszego skrzyżowania ulicy Valdocco z Aleją Kr. Małgorzaty, nastąpiło pewne szczególnej wzmianki godne spotkanie. Mianowicie natknęli się na niejakiego księdza Jana Vola Juniora, gorliwego kapłana turyńskiego, który ujrzawszy Księdza Bosko, pobiegł mu naprzeciw i uściskał serdecznie gratulując wyzdrowienia. Potem spoglądając na stojącą obok Małgorzatę spytał:

No, ale jak widzę jesteście bardzo zdrożeni i zakurzeni...

Przybywamy ze wsi.

A dlaczegoż to pieszo?

A bo nam brakuje quibas – odrzuca Ksiądz Bosko czyniąc wymowny gest palcami.

A dokąd teraz kierujecie się?

Udaje się zamieszkać z matką w domu Pinardiego przy Oratorium.

A czy masz środki na otwarcie domu? Bez żadnego stanowiska, jak zdołasz utrzymać się w tym mieście?

Stawiasz mi pytanie, na które nie umiem dać w tej chwili odpowiedzi. Ale zawsze zdajemy się w ręce Boga i mam nadzieję, że nie zabraknie mi środków.

A czy macie kogoś, o którego moglibyście się oprzeć?

Nikogo.

To przynajmniej macie zapewniony obiad?

Hm, cóż ci mam na to odpowiedzieć? O tym się jeszcze pomyśli. Lecz bądź spokojny, Opatrzność nie zapomina o ptaszkach!

No, dobrze, dobrze – mrucał zacny ks. Vola, wzruszony tak wielką wiarą i odwagą; no gdybym wiedział, gdybym mógł w tej chwili... i szperał w kieszeniach. Doprawdy cię podziwiam i przyklaskuję; przykro mi, że nie mam przy sobie pieniędzy, lecz proszę wziąć to – podawał mu zegarek.

Ale księdzu będzie on potrzebny...

Mam w mieszkaniu inny. Weź go i użyj na pierwsze potrzeby.

Ksiądz Bosko podziękował i zwróciwszy się do matki mówi:

Oto pierwszy dowód Opatrzności, która myśli o nas. Idźmy, więc naprzód śmiało.

Niebawem znaleźli się w swym nowym mieszkaniu. Składało się ono z dwóch pokoików sypialnych, z których jeden miał służyć zarazem za kuchnię. Dwie inne izdebki były na razie próżne. Umebłowanie składało się z dwu łóżek, ławek, krzeseł, kosza, stolika, garnka, paru talerzy i na razie, jak wiemy z zegarka, który nazajutrz miał zostać sprzedany. Więc królestwo kompletnej ... biedy.

Niektórzy chłopcy Oratorianie podglądali ciekawie, co robi Ksiądz Bosko w nowym mieszkaniu. Przystępując usłyszeli, jak z matką śpiewał pieśń do Anioła Stróża: „Angiolletto del mio Dio...” zawieszając u wezglowia łóżka krucyfiks, na ścianie obrazek madonny, poświęcony nagusek woskowy, gałązkę palmową,

niewielką kropielniczkę z wodą święconą oraz gromnicę. Odnosił się z wielką czcią do tych przedmiotów religijnych. Przyozdabiał także ściany kartonami z odpowiednimi napisami. Mianowicie: DA MIHI ANIMAS CAETERA TOLLE – zdanie, jakie sobie obrał za dewizę życia kapłańskiego od czasu swych święceń, a której został wierny aż do śmierci. Na innym był napis: UNA COSA SOLA È NECESSARIA: SALVAR L'ANIMA. Trzeci napis wyrażał pozdrowienie katolickie: SIA LODATO GESÙ CRISTO.

Urządziwszy w ten sposób własny pokoik dopomógł także matce w poustawianiu sprzętów w domu; później odwiedził księdza Cafasso i przyjaciół oczekując, co przyniesie niedziela.

Zbędne jest opisywać entuzjazm chłopców, gdy ujrzeli go wśród siebie, tym bardziej, iż uważali jego wyzdrowienie za szczególną łaskę Madonny. Pojawili się nowi chłopcy, którzy przyprowadzili ze sobą swych towarzyszy opowiadając im wiele o Księdzu Bosko. Ci niemniej entuzjastycznie oklaskiwali go z rzeszą Oratorium. Szczytem wspólnej radości była myśl, że odtąd bez przeszkody będą mogli o każdej porze przybywać do Księdza Bosko.

Pod wieczór, gdy znajdował się wśród chłopców, na znak księdza Carpano, chłopcy przynieśli fotel, prosząc by usiadł. Teraz samorzutnie młodzież uformowała się wokół Księdza Bosko. Śpiewano różne kanony i recytowano utworu poetyckie niezbyt poprawnie zrymowane być może przez księdza Caprano, a opatrzone muzyką przez ks. Nasi. Można było wyznaczyć usterki w rytmice wierszy na korzyść treści pełnej uczucia. Była to pierwsza akademie ku czci ukochanego Ojca. Wiersz jeden przechował Józef Buzzetti uczestniczący podówczas w chórze. Niezbyt on rytmiczny, za to treść pełna akcentów wzruszających, obrazujących przeżycia, niepokoje, obawy chłopców wobec niebezpiecznej choroby ich Ojca i Dobroczyńców, którego pojawienie się oczekiwali wszyscy jak pisklęta w gniazdku swej karmicielki.

Więcej nic nie pozostało z owej uroczystości, ani nawet treść tego, o czym mówił do chłopców Ksiądz Bosko. Nie pomylimy się chyba twierdząc, że mówił im, co tak często powtarzał i miał a sercu: *że gotów jest dla nich pracować i cierpieć, byle zbawić ich dusze.*

Tak począwszy od niedzieli, dnia 8 listopada 1864 r., Ksiądz Bosko podejmował nabożeństwa niedzielne w swej kaplicy na podobieństwo parafii.

W wolnych chwilach zapraszał dorosłych młodzieńców zaniedbanych religijnych na pogadanki religijne. Poświęcał dla nich nieraz całe godziny wykładów katechizmowych. Bardzo często zachęcał ich do spowiedzi, uznając ją za fundament ich wychowania religijnego, kładł nacisk, by mieli sumienie czyste, wolne od obawy piekła. Przemawiając często na ten temat, potrafił przejąć ich uczuciem wstrętu przed grzechem i bojaźnią kar wiecznych. Iluż to zatrzymał na pochyłości grzechu, upominając, podtrzymując i wspomagając w dobrym. W Księdzu Bosko pokładało wielu całą swą ufność, w przekonaniu, że są doprawdy kochani.

Profesor Franciszek Maranzana, sięgając do wspomnień ze swej młodości tak pisał w 1893 r.: „Miłość Księdza Bosko do młodzieży uświadamiali sobie wszyscy z jego otoczenia i dlatego czuli się pociągnięci do niego. Pewien autorytet i wpływ, jakie na młodzież wywierał, rzec można, okalały mu skroń niebiańską i sprawiały, że słuchano go zawsze z uwagą. Gdy Ksiądz Bosko przemawiał, zdawało się, że to sam Bóg przemawia. Tym tłumaczy się wiele spraw inaczej zgoła niezrozumiałych. Któż nie wie, jak niestała jest młodzież i lekkomyślną w swych porywach i postanowieniach? Rzeczy nowe interesują ją i entuzjazmują. Ale jak wytłumaczyć sobie, że po kilka godzin wielu chłopców klęczało na łące oczekując swej kolejki na spowiedź? Jak moc tajemnicza ściągała zewsząd doń młodzież z ulic i placów miejskich? Tę młodzież niesforną, o niskich niekiedy instynktach? Na cóż mogli liczyć, gdy wciąż zmuszony był przenosić swą siedzibę z jednego placu na drugi, z budynku do budynku, wreszcie na otwartą łąkę? A młodzieży nigdy nie brakło, owszem, wciąż ich liczba rosła. Skąd tyle niewyczerpanej pobożności i stałości? To był Ksiądz Bosko! To on porywał serca młodzieńcze, kierował je ku Bogu, wywierając na swych słuchaczach wpływ niepokonalny a taki serdeczny, któregośmy doświadczyli; wystarczyło jedno wejrzenie, uśmiech dla rozbrojenia urwisa, rozproszenie nudy i smutku, uczynienia miejsca niezbyt pociągającego jak najbardziej miłym dla młodych.

Księdza Bosko słuchano chciwie, gdyż umiał przelać w drugich swój entuzjazm i wiarę w Boga; ta wiara była powodem, że przenosił góry.”

Tak wspaniale były triumfy jego miłości; realistycznie jednak sytuacja nie przedstawiała się tak ponętnie wobec nadchodzącej pory zimowej.

Opuściwszy zakłady markizy Barolo, pozbawiony był wszelkiej pensji stałej, a musiał ponosić ciągle wydatki. Trzeba było środków do życia, a tym bardziej pieniędzy na nowe rzeczy i kosztowne, jakie przedsiębrał, na konieczne remonty i na nowe budowle. Dodać nieustanną troskę o żywność i odzież dla sierot cierpiących głód i zimno. Istotnie, wielu chłopców spotykał, co dzień u bramy żebrzących chleba, obuwia, odzieży, bez czego nie mogliby dostać gdzieś pracy: ani on, ani matka nie mieliby serca oddalić ich bez zasiłku. Dlatego za parę tygodni zorganizował w Becchi dla nich doraźną pomoc w postaci części odzieży i bielizny. Ale jak ciągnąć dalej? Skąd czerpać środki na to dzieło, co dzień kosztowniejsze?

Po prawdzie, gdy zjawił się w okolicy Ksiądz Bosko, niejednen dobrodziej posłał mu parę flaszek wina, inny bochenek chleba, jarzyny, masło, lecz wnet się to wyczerpało...

Pomimo, że złożyli swą ufność w Opatrzność Boską, nie zaniechali własnych starań. Czynimy, co w naszej mocy – powiadał Ksiądz Bosko – a Ojciec litościwy doda nam, czego zabraknie. Toż sam wraz z matką, niebawem sprzedali parę skrawków gruntu ornego z winnicami, jakie posiadali we wsi. A gdy i to nie wystarczało, mamusia Małgorzata spieniężyła własny ślubny posag, który dotąd zachowywała nietknięty: suknię ślubną, obrączki, nausznicę, koliaż. Z pieniędzy uzyskanych zakupiono najkonieczniejsze sprzęty i paramenta do kaplicy; z bielizny własnej poszyło się alby, komeżki, ręczniki i obrusy ołtarzowe. Troszczyła się o to wszystko madame Małgorzata Gastaldi, od owych czasów zabiegająca o potrzeby Oratorium.

Pomimo, że dobra jego matka odwykła od rzeczy światowych, niemniej nie przyszło jej łatwo rozstać się z owymi cennymi pamiątkami. Raz słyszano jak mówiła: Mając te przedmioty ostatni raz w swym ręku i mając się ich pozbyć na zawsze, czułam jakąś przykrość niewymowną, lecz przełamawszy się powiedziałam: „Idźcie z tym, czyż to nie lepiej, że owe przedmioty posłużą na cel tak zbożny i święty, dla nakarmienia i przyodziania głodnych chłopców? Czy to nie jest już dostateczną nagrodą? Wtedy czułam się tak zadowolona, że gdybym miała tysiące posagów, ofiarowałabym je wszystkie na ten cel bez najmniejszej przykrości.

Wcielala w czyn słowa tak często będące na ustach jej św. syna: Gdy chodzi o służenie tak dobremu Ojcu Niebieskiemu, jakim jest Bóg, trzeba być gotowym na wszelkie poświęcenie.

ROZDZIAŁ LVI

Uważamy, że będzie to rzecz przyjemna dla Współbraci opisać pierwotny kształt i położenie Oratorium, zwłaszcza wygląd owego domu wiejskiego, tej kolebki Pobożnego Towarzystwa św. Franciszka Salezego. Jeden z dawnych towarzyszy i przyjaciół Księdza Bosko malarz Belisio przechował dokładny jego rysunek. Otóż budynek miał z jednej tylko strony, południowej – wejście i okna. Część mieszkalna domostwa składała się z parteru i piętra dość niskiego; zajmowała ona przestrzeń obecnych portyków od kościoła św. Franciszka Salezego do piątego pilastru długości ok. 20 m, szerokości 6 m. Wysokość całkowita budynku nie przekraczała 6 m. W połowie ściany frontowej była brama wejściowa, przy której na zewnątrz znajdowała się pompa o dużej wydajności wody świeżej i doskonałej. Z tyłu naprzeciwko pompy, prowadziło wejście do pokoiku dość długiego z jednym oknem, służącego za jadalnię dla Księdza Bosko i jego pomocników. Schodami drewnianymi z jednej kondygnacji wchodziło się na piętro wyższe; stąd do małego pokoiku gościnnego, za którym od frontu wzdłuż całej facjaty biegł drewniany balkonik. Z niego wchodziło się do czterech pokoi z jednym oknem każdy. Z tyłu zabudowania gdzie obecnie znajduje się jadalnia Salezjanów, wznosiła się kaplica. Wysokość jej była ścięta nieco ku południowej ścianie, tak, iż na poddaszu już nie było miejsca na pokój. Chłopcy robiąc gimnastykę ranną z łatwością wyskakiwali na jej dach i zeskakiwali z niego na podwórko bez niebezpieczeństwa. Wewnątrz zaś niektórzy starsi wstępując na ławeczkę mogli dostać sufitu. Brama wejściowa dwuskrzydłowa, z krzyżem, szerokości metrowej, znajdowała się od strony zachodniej. Po prawej stronie znajdowała się niewielka nisza ze statuetką św. Alojzego Gonzagi, którą obnoszono procesjonalnie wraz z obrazem Matki Boskiej, gdyż Ksiądz Bosko stale wpajał te dwa nabożeństwa jako ostoję cnoty czystości młodzieży. Z tyłu za jednym ołtarzem, z obrazem Matki Boskiej na ścianie, była zakrystia. Wobec ciągłego wzrostu liczby chłopców Ksiądz Bosko z czasem zburzył mur dzielący kaplicę od zakrystii, zamiast niego stawiając dwie kolumny drewniane do podtrzymania belek stropowych i przesunął nieco w tył ołtarz. Prace stolarskie wykonał młody Coriasso. Na nową zakrystię użyto izbę na parterze od strony południowej z drzwiami in hornu epistole.

Szkoda wielka, że ta kaplica została zburzona! Potomni mieliby wierniejszy obraz pierwotnego Oratorium, które zapoczątkowało przyszłe kolosalne zakłady Księdza Bosko.

Za kaplicą, skąd wychodzi się na dziedziniec wewnętrzny z ogrodem, wznosił się duży budynek gospodarczy o szerokości budynku mieszkalnego, z dwoma pustymi pomieszczeniami, jedno na stajnię, wykorzystywane na pokoje; drugie to szopa i wozownia, nad którymi leżało siano.

Cała realność wraz z zabudowaniami i łąką obejmowała w sumie 3.697 m² tworząc figurę nieregularnego pięcioboku. Pan Pinardi odkupił ją od bracia Filippi za cenę 14 tysięcy lir. Krawędź północna posiadłości o wysokim żywopłocie znajdowała się w odległości 8,24 m od szopy i na tym skrawku terenu Ksiądz Bosko kazał urządzić scenę na powietrzu dla teatryku młodzieżowego. Od strony zachodniej mur 31 m długości odległy od bramy kaplicy 19 m, wyznaczał granicę posiadłości domu niejakiej pani Bellenza, wznoszącego się na brzegu biegnącej w tym miejscu rzeki.

Otóż całą tę przestrzeń w formie kwadratu 649,38 m² zajęta później pod kościół św. Franciszka Salezego, Ksiądz Bosko przeznaczył na boisko dla chłopców i tu była huśtawka i inne urządzenia. Odległość między domem a murem wspomnianym wynosiła 16 i pół metra; dzielił on posiadłość Pinardiego od Braci Filippi; na skraju wznosił się budynek dwupiętrowy przy fosie z płynącą wodą. Dzierżawił go niejaki pan Visca, mieszkało w nim wiele rodzin dorożkarskich, gdyż znajdowały się w nim stajnie i garaże. Mur opasujący od północy wspomniana posiadłość z ciemnym zaułkiem, w którym mieściła się pralnia, wydłużał się dalej, o jakie 60 metrów potem skręcając ku zachodowi łączył się ze szopą pana Visca, długa 17 metrów; później szopa ta służyła za biura dla ekspedycji Bollettino Salesiano.

Wreszcie od południa rósł żywopłot niebawem zastąpiony murem wzdłuż ulicy Giardiniera, wytyczonej szpalerem wiązów aż do styku z murem ogrodu willi Bellezza. Takie było usytuowanie posiadłości Pinardiego, zgodnie z mapami istniejącymi w magistracie.

Ksiądz Bosko, wciąż z myślą skutecznienia swych planów, skupiwszy w swym ręku wszystkie wspomniane lokale, aktem notarialnym z 1 grudnia 1846 r., powynajmował od pana Pankracego Soave dom wraz z przyległym terenem za czynsz

roczny 710 lirów. Osiągnąwszy taki sukces zabrał się do należytego ogrodzenia całego terenu, zwłaszcza tam gdzie nie było solidnego muru. Ogrodził, więc podwórze rekreacyjne od strony zachodniej i przedłużył o jakieś kilkanaście metrów aż do drogi Giardiniera, od której prowadziło wejście. Stąd otwierał się widok na rozległe błonia jego snów, a na ulicę dzisiaj zwaną Via Cottolengo, z którą krzyżowała się droga zwana Giardiniera. Streszczając się powiemy, że dom Pinardiego był niejako centralnym punktem wyjściowym na cały wspomniany teren. Ksiądz Bosko natychmiast polecił planować dziedziniec od pompy aż do muru zachodniego na boisko do zabaw i gier młodzieży; resztę porosłą pozostawił jak była i tam chroniono się często w cieniu rozłożystych drzew od skwaru. Część przeznaczył na ogród warzywny zwany ogródkiem matusi Małgorzaty, który ona sama uprawiała. Między domem i ogrodem szedł chodnik szeroki na 5 m, a dalej alejka o szerokości dla obu spacerujących obok siebie.

Niejaki pan Belgia majster murarski, który poprzednio adaptował Księdzu Bosko kaplicę w Schronisku, posłał swych ludzi dla wykonania wspomnianych robót.

Przy tych robotach nie brakło i nieprzyjemności ze strony niektórych lokatorów i dzierżawców pozostałych działek, od których dopiero mógł uwolnić się wykupiwszy całość. Co niedziela można było widzieć napływ niefortunnej gawiedzi wymyślającej Księdzu Bosko od niewybrednych epitetów godnych ich obyczajów. Można sobie wyobrazić, jakie to powodowało niebezpieczeństwa i nieporządki. Nieraz w czasie lekcji katechizmu zjawiały się tego rodzaju osobniki w pojedynkę lub gromadnie, awanturując się, gwizdząc, a niekiedy nawet waląc do drzwi i grożąc. Ksiądz Bosko jednak potrafił ich zawsze jakoś spławić po dobroci, czy nawet, gdy trzeba było, energicznym wystąpieniem. Pewnej niedzieli jakiś wojskowy w towarzystwie podejrzanej damy wszedł bez ceremonii do kaplicy w czasie nabożeństwa i posadził bezczelnie na kolanach tę kobietę. Chłopcy byli zgorzeleni tym niecnym postępowaniem. Ksiądz Bosko oburzony podszedł do intruzów i wzięwszy bez ceremonii za ramię tę niewiastę wyrzucił ją za drzwi. Na to wojskowy chwycił się za szablę, lecz w tej chwili stalowy uścisk rąk Księdza Bosko obezwładnił go zupełnie. W bezsilnej wściekłości wlepił zuchwałe oczy w Księdza Bosko, który jednak swą siłą całkiem nad nim panował. Widząc się pokonanym, ów żołnierz pod wpływem dotkliwego bólu syknął przez zęby: Puszczaj Ksiądz!...

Gdybym zechciał, mógłbym kazać panu oberwać te epoety, które znieśławia swym nieobyčajnym zachowaniem się.

Na te nieoczekiwaną groźbę ów zaczerwienił się i pokornie skomlął: Niech mi Ksiądz wybaczy!...

Wówczas Ksiądz Bosko sfolgował i bez słowa wskazał mu drzwi mówiąc: Tędy droga! Ów z głową zwieszoną pospiesznie opuścił kaplicę.

Prócz tego wiele nieprzyjemności sprawiali mu miejscowi chuligani, którzy wałęsali się po okolicy. Zgrywali się w pieniądze, wśród krzyków i przekleństw w razie przegranej; nieraz wybuchały między nimi krwawe bójki. Ksiądz Bosko próbował podejść do nich, czasem bez sukcesu, często jednak z pomocą Bożą jego upomnienia odnosiły skutek. Niektórzy z nich zaczęli zjawiać się nie tylko w kościele, ale i na nauce katechizmu. Tym niemniej niejednokrotnie na bawiącą się młodzież spadał grad kamieni, bo nie wszystkie szajki dały się od razu opanować Księdzu Bosko.

Ze strony lokatorów domu Filippi nie było poważniejszych przykrości, tym niemniej dochodziły stamtąd nieprzyzwoite wyrazy i śpiewki. Można było także obawiać się kradzieży, co faktycznie miało miejsce. Co prawda, raczej w niedzielę i święta był spokój, gdyż dorożkarze i ich pomocnicy rozpraszali się po okolicznych knajpach.

Gorzej jednak było z sąsiednim domen niejakiej pani Bellezza, z konstrukcji podobnym do domu Pinardiego i którego ślady istnieją dotąd. Znajdował się on od strony zachodniej, w odległości, jakich 5-6 metrów za murem. Jego okna frontowe i balkony dominowały nad placem przed kaplicą. Wspomniane pokoje wynajmowały osoby niezbyt pochlebnego prowadzenia się; tu także mieściła się karczma zwana „Giardiniera”, siedlisko nieobyčajności i rozwiązłości, skąd dochodził ustawiczny brzęk kufla i butelek oraz wywoływanie graczy w morra. Cóż dziwnego, gdy tu z dala od miasta, zbierały się szumowiny wszelkiego pokroju; wojskowi, celnicy, pachołkowie, tragarze, poganiacze mułów, rikszarze – tu znajdowali swe siedlisko. Niekiedy wybuchały przeraźliwe spory, wycia, przekleństwa nie do wytrzymania. Cóż innego pozostawało biednemu Księdzu Bosko jak tylko cierpieć do czasu to piekło, któremu nie mógł przeszkodzić? Niekiedy rozbulgotany harmider przerywał jego kazanie. Wtedy upominał młodzież, by zachowali spokój i pozostali na swym miejscu.

Czasem wypadało zdjąć komżę i stulę oraz iść do owej karczmy, by uspokajać kilku dziesięciu pijaków. Na jego widok ludzie ci witali go gromkimi okrzykami: Och! Don Bosco! Viva Don Bosco! Lei e' un bravo prute!...

On dawał znak ręką, że chce mówić, a gdy się uciszyło, prosił: Panowie, bardzo bym prosił was o pewną przysługę...

Si, si, comandi: zrobimy, co Ksiądz rozkaże – wołano.

Widzicie panowie: mam w tej chwili kazanie w kaplicy poza murem: ściszcie więc waszą muzykę na jakieś 20 minut!

O, jak najchętniej, Księżu kochany. Tylko tyle? – wołał któryś z nich. Hej tam! Spokój! Komu się podoba, może sobie iść na kazanie...

Wówczas Ksiądz Bosko powracał na ambonę, ale wnet znowu jazgot się wszczynał. I taki harmider trwał aż do roku 1853, choć obeszło się bez większych zniewag kapłana.

Ograniczam się do opowiadanie jednego tylko wypadku, jaki zaszedł w tym czasie. Mianowicie, pewnej niedzieli dwóch żołnierzy wyzwało się na pojedynek i wyciągnąwszy szable wyszli z karczmy Giardiniera, by się bić. Łącząc się wzajemnie i przeklinając dotarli aż do progów kaplicy, gdzie odbywało się nabożeństwo. Kaplica była zatłoczona młodzieżą, która poderwał ten niezwykle wypadek. Ksiądz Bosko wyszedł na zewnątrz mitygować owych szaleńców, ale oni nie chcieli go słuchać. Ale jakoś zostali powstrzymani przez kilku silniejszych chłopców, którzy nadbiegli i dali się przekonać Księdzu Bosko, że niestosowany jest pojedynek w takim miejscu i czasie.

Zaledwie jednak wysunęli się za bramę, już rozgorzała między nimi walka; jeden zranił drugiego zdając ciosy w kark i piersi, na szczęście nie ciężkie. Na to rozwścieczony drugi odparował swemu przeciwnikowi w głowę i okrwawił. Zbroczeni krwią obaj ochłonęli nieco i poczęli myć się pod pompą, na co patrzyli chłopcy wychodzący z kościoła.

Z tych powodów Ksiądz Bosko zdecydowany był wykupić i dom Bellezza, by przeszkodzić obrazie Bożej. Zdołał tego dopiąć po wielu trudach i zabiegach. Zawsze zaś kierował się zasadą Księgi Przypowieści: „Lepszy jest bliski sąsiad, niżli brat daleki”. /Prp 27,10/, czyniąc dobrze każdemu, kogo spotkał na swej drodze.

ROZDZIAŁ LVII

Markiza Barolo dowiedziawszy się o powrocie Księdza Bosko do Turynu i wynajęciu domu Pinardiego, ze współczucia nad jego nędzą próbowała jeszcze raz skłonić go do przyjęcia jakiegoś obowiązku w jej fundacjach. Wysłała, więc pewną zaufaną osobę z takim apodyktycznym zleceniem: Proszę pójść do Księdza Bosko na Valdocco, który zamieszkał ze swą matką i oboje ze swymi ulicznikami umierają z głodu. Proszę skłonić go do ustąpienia mojej woli; niech zaprzestanie nierozsądnego uporu, a jeśli się nie zgodzi, powiedzić mu, żeby nie przychodził więcej do mnie, bo każę zamknąć mu drzwi przed nosem.

Ksiądz Bosko odnoszący się z wielkim szacunkiem do markizy, nie ustąpił jednak i uśmiechał się wobec tej decyzji, która nie miała być dotrzymana. Istotnie, ilekroć przychodził do jej pałacu, doznawał oznak pełnego szacunku, lecz o nic nie prosił ani nie przyjmował. Nadal odwiedzał Schronisko, spowiadał i głosił kazania, spełniając wiele usług w jej fundacjach nabierających coraz większego rozgłosu, zwłaszcza, gdy nadszedł reskrypt królewski zatwierdzający jej instytut sióstr św. Anny.

Tego roku wyszły niektóre zarządzenia odnośnie regulaminu dla szkół żeńskich, które chciano rozciągnąć i na szkoły prowadzone przez zakonnice klauzurowe dotychczas wyjęte spod nadzoru władz państwowych. Biskupi protestowali u króla i ten oświadczył, że wspomniane dekrety nie dotyczą szkół i konwiktów wewnętrznych wspomnianych klasztorów. Dotyczyły wszakże szkół SS. Józefinek i św. Anny, bo te zobowiązano do przedstawienia list nauczycieli, jeżeli chcą ich zatwierdzenia przez władze uniwersyteckie.

Ksiądz Bosko niejednokrotnie pomagał wspomnianym Siostram w uzyskaniu przez ich alumnów potrzebnych patentów, by nie musiały opłacać nauczycieli świeckich. W tym czasie podawał do druku książeczkę na rzecz tychże Sióstr, pod tytułem: „Nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego”.

Było u Sióstr w praktyce 8-dniowe nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego dla wyproszenia nawrócenia grzeszników i podziękowania Bogu za otrzymane dobrodziejstwa. W przeddzień wspomnianego nabożeństwa było kazanie na temat

korzyści i celów tej pobożnej praktyki. Markiza chciała również rozszerzyć je na inne kościoły, w zależności od zgody tamtejszego ich rektora. Gdy arcybiskup odmówił pozwolenia, markiza odniosła się do Grzegorza XVI i uzyskała za pośrednictwem Kongregacji Obrzędów w drodze łaski reskrypt zatwierdzający je dnia 16 marca 1846 r. W następnym roku papież udzielał osobom biorącym w nim udział odpustu zupełnego w ostatnim dniu nabożeństwa, lecz tylko w obrębie kościołów fundacji św. Anny oraz w jakimś kościele publicznym wybranym przez ordynariusza, z warunkiem odwiedzenia któregoś ze wspomnianych kościołów i zwykłymi modłami na intencję Ojca św.

Wspomniana dama ciesząc się z tego sukcesu widziała, jak niebawem zostało ono wprowadzone przez proboszczów i rektorów w ich kościołach dla dobra dusz im powierzonych. Dlatego chętnie widziałaby, gdyby czyjeś zdolne pióro skreśliło rzecz o Miłosierdziu Bożym i w tym celu zasięgała opinii swych przyjaciół, kogo by uznali za stosowanego do tego celu. Wówczas poeta Silvio Pellico z miejsca wystąpił: Ksiądz Bosko!

Nie, absolutnie jego nie chcę – zaprzeczyła markiza.

Być może, iż motywem zasadniczym było nie obciążać zbytnio pracą biednego kapłana i tak już zmordowanego tyłu zajęć. Tym samym niechęć dawała wyraz swej deferencji względem tego, który jej zdaniem, tak uchylał się od spełnienia jej życzeń... Niemniej Silvio Pellico utrzymywał, że niczyje pióro nie będzie zdolniejsze pisać na ten temat. Wszak sam był świadkiem, jak nieraz Ksiądz Bosko podsuwał innym i głosił publicznie z ambony: Wpadliście w grzech przez nieszczęście? Nie rozpaczajcie. Przystąpcie do spowiedzi św. z należyтым usposobieniem. Kapłan spowiednik posiada władzę od Boga przebaczenia wam grzechów, które popełniliście nie tylko czterokrotnie, ale siedemdziesiąt razy...dawał temu wyraz przytaczając szereg faktów nieskończonego Miłosierdzia Bożego w nawróceniu grzeszników, w czym nieraz sam brał udział.

Silvio Pellico przyjaciel Księdza Bosko został przez niego zaproszony, by napisał wiersze na temat Piekła i Nieba, które on następnie postarał się opatrzyć muzyką; melodie powyższe są w użyciu w zakładach salezjańskich.

Sam Ksiądz Bosko od pierwszych lat pracy kapłańskiej, zaprowadzał w niektórych kaplicach i zakładach dobroczynnych w Turynie nabożeństwo do

Miłosierdzia Bożego. Zabrał się również chętnie do napisania na ten temat książki, celem rozbudzenia tego nabożeństwa wśród szerokich rzesz wiernych. Autor wydał swą broszurę anonimowo pod tytułem: *Esercizio di divozione alla Misericordia di Dio*. Treść osnuta jest na tle będących w użyciu praktyk religijnych i modlitw zatwierdzonych przez Stolicę Apostolską.

Na wstępie przytacza reskrypty papieskie uzyskane przez markizę odnośnie wspomnianego nabożeństwa. Potem tak dalej pisze:... Nabożeństwo do Miłosierdzia Bożego zostało ustanowione nie tylko dla korzyści poszczególnych wiernych, lecz także by modlić się za całe narody pamiętając, że wszyscy są obciążeni grzechami i potrzebują miłosierdzia i przebaczenia, wszyscy odkupieni są przez Najdroższą Krew Zbawiciela, wszyscy powołani do wiecznej radości, jeśli usłuchają Boskiego natchnienia, obrzydzą sobie grzechy i nakłonią się ku posłuszeństwu Bogu i Kościołowi św. przez Niego założonemu.

Tego rodzaju refleksje winny się zbudzić w duszach, a konferencje na ten temat winno się zaczynać od wezwania: Miłosierdzie Boże ratuj nas! Błagamy Cię nie tylko za nas samych, lecz za wszystkich ludzi.

Oto materiał na konferencję poparty cytatami z Pisma św. W pierwszych trzech dniach:

1. Pan Bóg stosuje swe Miłosierdzie zarówno względem sprawiedliwych jak grzeszników. Dary Boże pochodzą całkowicie z jego nieskończonego Miłosierdzia w zakresie materialnym jak duchowym.

2. Cudowna dobroć Boża względem grzeszników w gorzkiej Męce Pańskiej.

Na następne trzy dni podaje motywy skłaniające do dziękczynienia Bogu:

1. Z powodu niepojętej dobroci, z jaką traktuje grzeszników.

2. Z powodu ustanowienia Sakramentu Pokuty.

3. Z powodu środków zbawienia udostępnionych nam w religii katolickiej.

Wyjaśniając szczegółowo istotę odpustów, ich skutek i sposób uzyskania tak pisze: Niech będzie błogosławione na wieki Miłosierdzie Boże, dzięki naszemu Zbawicielowi Jezusowi Chrystusowi, który swemu Kościołowi udzielił władzy przydzielania nam skarbów odpustów, na mocy, których z niewielką fatygą możemy spłacić Boskiej Sprawiedliwości nasze długi.

W końcu na każdy dzień wyznaczył następujące praktyki pobożne: Zachęcać swych krewnych i przyjaciół do uczestniczenia w tym nabożeństwie. Przebaczać chętnie urazy: im większa będzie zniewaga, jaką przebaczymy bliźnim, tym więcej możemy się spodziewać przebaczenia własnych win przez Miłosierdzie Boga. Ofiarować Bogu jakieś umartwienie dla zyskania przebaczenia dla grzeszników, zwłaszcza dla tych, co kończą życie. Dać jałmużnę według możliwości, względnie odmówić 5 razy Ojcze nasz, 5 razy Zdrowaś Maryja i Chwała Ojcu... do Pięciu Ran P.N. Jezusa Chrystusa dodając westchnienie: O mój Jezu miłosierdzia! Zastanowić się parę chwil nad dawnymi swymi winami, gotując się do dobrej spowiedzi. Siedem razy Ojcze nasz, siedem razy Chwała Ojcu... ku czci siedmiu boleści NMP, by nam wyprosiła doskonały żal za grzechy.

Książeczka kończyła się następującym zdaniem: odmówmy przynajmniej jedno Zdrowaś Maryjo w intencji osoby, której leży na sercu rozkrzewienie tego nabożeństwa – mając na myśli oczywiście markizę Barolo.

Broszurka wyszła końcem tego roku sumptem Księdza Bosko z drukarni Botta, via Consolata 14. Miał przy tym miejsce pewien fakt godny uwiecznienia. Pewne osoby czytały na głos tę książeczkę celem zdyskredytowania jej treści oraz autora. Jednak tknięci szczególną łaską Bożą nie tylko zaprzestali jej krytykowania, lecz obaj postanowili pójść do spowiedzi św. i poprawić swe życie. Wspomniane nawrócenie było zadatkiem błogosławieństwa Bożego dla jej czytelników. Ksiądz Bosko rozdał wiele egzemplarzy mieszkańcom Schroniska, resztę zaś pozostawił na ręce przełożonej domu. Niebawem przetłumaczono ją na język francuski i to drugie wydanie otrzymały na własność siostry Józefitki. Markiza przeczytała i pochwaliła książkę, lecz z niechęcią odnosiła się, gdy w jej obecności chwalono autora. Ktoś zrobił zręczną uwagę, że dla tak bogatej pani i na korzyść jej zakładów ubogi Ksiądz Bosko napisał i wydał swym sumptem książkę. Jej jednak nigdy nie mogło przejść przez usta słowo podziękowania Księdzu Bosko za dzieło dla niej napisane.

Raz tylko uczyniła wyjątek. Wiadomo, jakim faworem darzyła zawsze księdza Borela. Otóż z okazji zebrania wielu księży dla porady, jakie dzieła katolickie zasługują najbardziej na jej poparcie, zabrał głos ksiądz Borel mówiąc:

Pani markizo, jest w Turynie pewien kapłan, który pracuje i trudzi się od rana do wieczora; jemu właśnie potrzebne jej wsparcie!

Ach, rozumiem – przerywa mu markiza – to jest Ksiądz Bosko! Dla Księdza Bosko nic nie dam!

Ksiądz Borel, by ją pohamować zrobił delikatną wzmiankę o księżce o Miłosierdziu Bożym.

No to dobrze, macie tu 200 lir – odpowiedziała markiza; proszę mu to dać, nie mówiąc absolutnie, od kogo. Inaczej biada!

Kiedy indziej tłumacząc się przed księdzem Bolerem rzekła:

Bo Ksiądz Bosko dowiedziawszy się, że pieniądze są ode mnie, gotów byłby odmówić ich przyjęcia....

Od księdza Borela dowiedzieliśmy się rysów charakterystycznych usposobienia markizy oraz wyszukanych i szlachetnych gestów, z jakimi odnosił się do niej Ksiądz Bosko.

ROZDZIAŁ LVIII

Ksiądz Bosko uzyskawszy dom Pinardiego znalazł wreszcie niewielki, lecz bezpieczny dla siebie przytułek. Przewidywał, rzecz jasna, że nie zabraknie mu nigdy kłopotów i cierpień, lecz tym się nie przejmował pewny opieki swej niebieskiej Protektorki. Zabrał się do przygotowania sobie grupki katechetów pomocników.

Wspomnieliśmy, że udzielał lekcji religii po różnych szkołach i zakładach turyńskich. Otóż obecnie postanowił zaapelować do starszych studentów, swych uczniów, by w niedzielę i święta zgłaszali mu się z pomocą w Oratorium. Również prosił rektorów i nauczycieli, by zechcieli zaopiniować mu kandydatów, zdaniem ich, najzdolniejszych do tej pracy. Jedni z nich niezbyt przychylnym okiem patrzyli na te zebrania młodzieżowe podejrzewając w nich wpływy sekciarskie, dające się odczuć wśród młodzieży w Turynie. Inni, wśród nich ksiądz Bertoldo dyrektor kolegium Poratnuova i zaprzyjaźnieni z nim, chętnie szli mu na rękę. Wyżej wymieniony skierował do niego kilku studentów z retoryki, z których trzech godnych jest wzmianki: Pellegrini Feliks, późniejszy zdolny inżynier, Angino Walery, późniejszy kapłan, kapelan dworu królewskiego, wreszcie Picca Franciszek, późniejszy misjonarz i kanonik kolegiaty Savigliana.

Ksiądz Bosko zebrawszy ich u siebie pouczył o metodzie katechizowania młodzieży zapewniając, jak wiele dobrego będą mogli zdziałać wśród młodzieży, czym ich zachęcił do regularnego przychodzenia do Oratorium. Niektórzy wytrwali, inni się cofnęli, a Ksiądz Bosko uzupełniał braki dalszymi dokooptowanymi współpracownikami.

Równocześnie zaczął organizować szkoły niedzielne i wieczorowe, których prowadzenie utrudnione było na skutek ciągłych wędrówek Oratorium i choroby ich dyrektora. Początkowo z powodu braku lokali, dwie klasy zbierały się w kuchni i pokoju Księdza Bosko, jedna klasa miała miejsce w zakrystii; inni na chórze lub nawet w kaplicy. Oczywiście nie było to miejsce stosowane. Bo uczniowie niszczyli sprzęty i przewracali wszystko do góry nogami, zresztą jedni drugim wciąż przeszkadzali. Nie było jednak na razie rady. Matusia Małgorzata musiała wciąż

przenosić swe sprzęty, szatnię i kuchnię do komórki pod schodami. Pomyśleć, ile to ją kosztowało cierpliwości, by wytrzymać w takim zgiełku.

Po paru miesiącach, gdy uzyskał nowe lokale po panu Soave Pankracym, który wyprowadził się zgodnie z umową, przeniósł tak niektóre klasy. Te jeszcze podzielił na sekcje stosownie do poziomu umysłowego i wieku chłopców, ułatwiając w ten sposób utrzymanie karności i porządku. Chłopcy łatwiej teraz mogli przyswajać wiadomości, nadto liczba ich zwiększyła się do trzystu.

Celem uzyskania pomyślnych wyników w nauczaniu, Ksiądz Bosko trzymał się następujących metod. Przez parę z kolejnych niedziel utrwał chłopcom zapoznanie się z alfabetem i sylabizowaniem zgłosek. Następnie brał katechizm diecezjalny i tak długo kazał powtarzać jego sylabizowanie, aż zdołali się nauczyć czytać paru pytań i odpowiedzi i to była lekcja zadana na cały tydzień następny do wyuczenia się. W następną niedzielę powtarzano lekcję i brano następne odpowiedzi i tak dalej. Dzięki temu chłopcy nauczyli się czytać i umieli całe stronicę katechizmu. Wspomniane lekcje pomogły skutecznie, by starsi i analfabeci mogli stopniowo przygotować się samodzielnie do pierwszej spowiedzi św. i Komunii św. Inaczej trzeba by ich uczyć parę miesięcy nie wiadomo, z jakim skutkiem.

Lekcje niedzielne były korzystne dla, wielu, lecz niewystarczające dla tępych i zacofanych, którzy zapominali w ciągu tygodnia, czego nauczyli się w niedzielę. By, więc dopomóc swym chłopcom, Ksiądz Bosko propagował gorąco szkoły wieczorowe codzienne, które jakiś czas były nieczynne, bo księża Cafasso i Borel sprzeciwiali się temu ze względu na słabe jeszcze zdrowie Księdza Bosko. Wspomniane nowe klasy uczniów wnet przyniosły pożądane efekty: dawały bodźca chłopcom do pilnego na nie uczęszczania widokiem szybkiego nauczenia się czytania i pisania, co otwierało im możliwości podkształcenia się elementarnego; równocześnie były okazją zabezpieczenia ich przed niebezpieczeństwami i nudą długich wieczorów zimowych, rozbudzania w nich życia religijnego, co było wszak celem jego wysiłków. Istotnie, mogli teraz obficie korzystać z wykładów głoszonych do wszystkich, stawali się samodzielnymi, dobrze zorientowanymi w problemach życiowych w dobie głoszonego liberalizmu.

Ksiądz Bosko przygotowywał często odpowiednie akademie, czy tak zwane popisy katechizmowe, celem rozbudzenia zainteresowania problemami religijnymi;

pobudzał i zapalał chłopców stawianymi im pytaniami stawiając nagrody dla zwycięzców, dostarczając odpowiednich książek i pomocy do nauki religii katolickiej.

Lecz Księdzu Bosko nie wystarczało wspomniana impreza; nie mógł on stale liczyć na księży, swych pomocników dotychczasowych w Oratorium. Ksiądz Cafasso posyłał mu niektórych alumnów do pomocy w katechizacji. Byli oni na ogół punktualni na lekcje, lecz pod wieczór musieli wracać do konwiktów. Znajdował w mieście innych duchownych chętnych do pracy w winnicy Pańskiej. I tak, przychodził nawet sam profesor teologii na uniwersytecie turyńskim, ks. Kan. Marengo, który odtąd polubił Oratorium.

Wspomniani zasłużeni kapłani służyli swą pomocą gratisowo w niedzielę wymieniając się przy spowiadaniu, katechizowaniu, czy odprawianiu Mszy św., zwłaszcza pod nieobecność Księdza Bosko. Nie zawsze jednak można było na nich liczyć, gdyż mieli swe obowiązki w mieście. Częściej bywał w Oratorium ksiądz Borel, mimo swych zajęć w różnych punktach miasta. Poznał on kierując Oratorium w czasie choroby Księdza Bosko, że praca nad młodzieżą w takim zakresie wymagała wprost nadludzkich wysiłków i że nie da się jej prowadzić na stałe.

Gdzie, więc znajdzie Ksiądz Bosko nauczycieli dla tylu chłopców? Otóż on ich sobie sam sfabrykował, a oto w taki sposób.

Było wśród Oratorianów wielu dorosłych i zdolnych młodzieńców, pragnących kształcić się dla zdobycia wyższej pozycji społecznej. Ksiądz Bosko grupie takich wybrańców udzielał gratisowo lekcji włoskiego, łaciny, francuskiego, arytmetyki i innych przedmiotów, z tym warunkiem, że oni będą mu pomagali w nauczaniu katechizmu chłopców w czasie Wielkiego Postu oraz w prowadzeniu szkół wieczorowych i niedzielnych dla swych kolegów. Niektórzy z nich byli jeszcze z czasów, gdy mieszkał w konwikcie św. Franciszka z Asyżu. Próba dopisała wspaniale, choć, to kosztowało Księdza Bosko trudu i znoju oraz wielu uzyskawszy od niego pieniądze na książki i zasiłek wycofało się później.

Otóż ta grupka nauczycieli w liczbie około dziesięciu, z czasem powiększyła się. Pomogli oni doskonale swym kolegom w zdobyciu minimum wiedzy podstawowej, a i przed nimi samymi otwarła się kariera i zajęli z czasem dobre stanowiska w społeczeństwie. Ksiądz Bosko odkrywając u niektórych wybitne zdolności i oznaki niewątpliwego powołania do stanu kapłańskiego, zaczął im udzielać

specjalnych korepetycji, tak, iż z czasem zostali wzorowymi kapłanami. W taki sposób wyłoniła się w Oratorium grupa studentów, który to dział tam dotąd istnieje, skąd rekrutują się nauczyciele, asystenci dla tylu zakładów salezjańskich we Włoszech, Francji, Anglii, Szwajcarii, Ameryki, Palestyny itp.

Czytamy w pamiętnikach Księdza Bosko drogocenny passus: „Nie zdziwi czytelników niniejszych wspomnień to, co powiem o naszych pierwszych nauczycielach, których nazwiska nie zatarcie wyryły się w mym sercu i pamięci. Między innymi byli to: Jan Coriasso, mistrz stolarski, Feliks Vergnano, kupiec, Paweł Delfino, profesor techniki. Później dołączyli się Antoni i Jan Manotte, pierwszy drogerzysta, drugi mistrz konfekcyjny, Feliks i Piotr bracia Ferrero, jeden handlowiec, drugi kompozytor; Jan Piola, stolarz, właściciel sklepu; dalej Wiktor Mogna i Alojzy Genta. Prócz tych nauczycieli zaimprovizowanych udzielali się pomocą niektórym panowie z inteligencji miejskiej”. Tyle Ksiądz Bosko.

Wprawdzie liczba naszych nauczycieli wolontariuszy nie była zawsze wystarczająca, zresztą sami potrzebowali być najpierw dobrze poinstruowani; inni nie potrafili utrzymać karności wśród młodzieży, inni zniechęcali się trudnościami i rzadko przychodzili do szkoły. I tak ze wzrostem klas, trzeba było myśleć o personelu nauczycielskim, co było nieustanną troską Księdza Bosko.

Faktem jest, że szkoły niedzielne i wieczorowe Księdza Bosko nabrały rozmachu ponad spodziewane. Wtedy też Ksiądz Bosko wydał świeżo swe podręczniki Historii kościelnej i biblijnej dał je do rąk swych uczniów i nauczycieli. Niebawem do programu nauczania włączył rysunki, arytmetykę oraz system metryczny. Ten jego podręcznik rachunków tak zwykle nie lubianych przez chłopców był jednak przez nich mile przyjmowany i stał się przyczyną, jak zobaczymy, wielkich sukcesów jego szkół, zaspokajał, bowiem potrzeby nie tylko intelektualne, lecz uwzględniał korzyści materialne ludu. Chłopcy przyswajając sobie te wiadomości byli mu wdzięczni za jego trud w przygotowaniu i pisaniu, często nocami, wspomnianych podręczników.

Był to widok niecodzienny oglądać pod wieczór dom Pinardiego oświetlony, pełen młodzieży starszej i młodszej, jakby to było ustawiczne święto. Widziało się chłopców gromadzących się przed porozwieszanymi tablicami, albo z książkami w rękę; siedzących w ławkach i piszących na zeszytach, gdy inni na klęcznikach

kościelnych kreślili na kartkach papieru wielkie litery. Czasem Ksiądz Bosko pojawił się na podium, rzucał okiem na salę, schodził do suteryny bacząc, by nauczyciele i uczniowie przestrzegali porządku. Przyjmowany był wszędzie ukłonem i uśmiechem na twarzy przez jego synów, których zachęcał gestem do zachowania ciszy. Niekiedy zaglądał tu i tam na podwórze i wokół domu. Potem wracał do swego pokoju zamienionego także na klasę. Rezerwował dla siebie nauczanie systemu metrycznego i potrafił przelewać w te główki to co napisał w swej książce. Zakonnicy Lasalliści przychodzili pod wieczór na Valdocco przypatrzeć się, z jakim skutkiem naucza się tu chłopców religii oraz innych przedmiotów szkolnych. Znając Księdza Bosko i jego pisma stwierdzali, że wielu ludzi głębokiej wiedzy nie mają tak szczęśliwej pamięci, podczas gdy u niego jedno szło w parze z drugim.

A tu Ksiądz Bosko nie zadowalając się nauczaniem przedmiotów naukowych, z pomocą księdza Nasi, podnosił na duchu młodzież śpiewem wokalnym, który bardzo cenił i pielęgnował.

Od tego zacnego kapłana dowiedzieliśmy się, jaki wielki wpływ wywierał personel Księdza Bosko i jego wychowankowie na otoczenie spoza Oratorium. Garnęli się do niego wszyscy nie tylko w sprawach duchowych, lecz także w różnych kłopotach materialnych, jakie sobie sami swą nieroztropnością zgotowali.

Pewien student uniwersytetu był zadłużony u Żyda i nie wiedział, jak się z tego wydobyć, a nie śmiał prosić ojca o pieniądze z obawy, by ten się nie dowiedział o jego niezbyt chwalebny sprawowaniu się. W takim kłopotcie doradzano mu, by poszedł do Księdza Bosko, a otrzyma poradę i pomoc. Ksiądz Bosko, choć go nie znał, przyjął z wielką dobrocią, zachęcając by zawrócił z niebezpiecznej drogi, jaką kroczył, zachęcił do pojednania z Bogiem przez dobrą spowiedź. Potem kazał zawołać do siebie owego Żyda, by z nim porozmawiać. Chciał dowiedzieć się, o jak sumę chodziło, by spróbować sprawę załatwić zgodnie ze sprawiedliwością, a nie narażać na gniew ojca owego lekkoducha.

Żydek zjawił się; po wstępnych powitaniach Ksiądz Bosko spostrzegł się, że nie da się z nim nic załatwić. Zmieniwszy, więc ton spytał:

Więc to pan jest wierzycielem tego a tego chłopca?

Tak jest.

O jaką sumę chodzi?

Tyle a tyle.

Dobrze, jaki procent pan wymaga?

Pięć procent.

Na rok?

Nie, na miesiąc.

Ksiądz Bosko spojrzał wiele mówiącym wzrokiem w twarz rozmówcy, jakby tym udzielał mu surowej nagany. Potem podniósł głos: Jak to? Pięć procent za miesiąc?

I wzięwszy go delikatnie za klapy surduta powtarzał: Tak, pięć procent za miesiąc? Potem wypychając go lekko za drzwi pokoju, powtarzając wciąż to samo pytanie, wyprowadził aż za poręcz schodów tego lichwiarza, który speszony, z obawy żeby nie wydały się jego niecne praktyki, zapomniał w ogóle języka w gębie, a Ksiądz Bosko zamknął mu przed nosem drzwi. Potem odwiedził ojca owego studenta, opowiedział o nieprzyjemnym incydencie w taki sposób, że ów zainteresowany brał stronę Księdza Bosko. Wykorzystując dobre usposobienie ojca, Ksiądz Bosko opowiedział o żalu syna, prosząc w jego imieniu o przebaczenie. Wskazał przy tym honorowy sposób załatwienia sprawy. Ojciec zgodził się i spłacił dług syna. Żydek ów pod wrażeniem owego spojrzenia Księdza Bosko i jego słów opuścił znacznie z owego długu, a student skorzystawszy z nauczki zmienił tryb życia. Miłosierdzie Księdza Bosko zniżało się do wszystkich, którzy do niego się zawracali – Pertransiit beneficiendo.

ROZDZIAŁ LIX

Któż zdołał opisać niezliczone dobrodziejstwa duchowe i materialne, jakich doznawali od Księdza Bosko chłopcy zbiegający się wokół niego w Oratorium, które zrodziła miłość ku Zbawicielowi w osobach tych maluczkich? Żaden opis nie dałby kompletnej prawdy; wystarczy jednak i tyle, co skreśliliśmy, by ujawnić światu cuda ukryte. Otóż pierwszy dowód naszego stwierdzenia. Tuż naprzeciwko głównego wejścia do domu Pinardiego, w miejscu gdzie dziś znajduje się prezbiterium kościoła M.B. Wspomożycielki, rósł olbrzymi wiąz. Ksiądz Bosko kochał to drzewo, podobnie jak dawni patriarchowie otaczali czcigłównie stare dęby Mamre. Zwykł nazywać je drzewem życia, czyniąc aluzję do wielu zdarzeń, jakie się rozgrywały pod cieniem jego konarów, zwłaszcza dla dwóch wypadków, z których jeden miał miejsce, w 1846 r., a drugi, kiedy indziej. Opowiemy najpierw pierwsze zdarzenie, zgodnie z relacją dawnego byłego wychowanka, potwierdzone przez Józefa Buzzettiego.

Była to niedziela. Oratorianie bawili się na podwórku. Ksiądz Bosko rozmawiając z księdzem Bolerem przechadzał się pod ogrodzeniem obserwując rekreację i w pewnym momencie usłyszał, jak trzech łobuzów z pobliskiej łąki zatrzymało się pod murem mówiąc między sobą: Zobaczymy, co robią ci ludzie tam wewnątrz.

Dobra – odpowiedział najśmielszy z nich – podsadźcie mnie, a z muru powiem, co tam się dzieje. Wdrapał się na mur i naraz został jakby urzeczony tym, co ujrzał. Dwaj pozostali towarzysze umyślili trzymanemu wypłatać mu figla i mówią do siebie.

Zróbmy mu kawał! Pchnij go mocno na dół, zobaczymy, co będzie dalej. No już!

Tamten pchnięty niespodziewanie zeskoczył z muru na ziemię i znalazł się między Księdzem Bosko a księdzem Bolerem. Obaj księża cofnęli się a widząc jakiegoś malca przestraszonego, jak się podnosił i rozglądał się, jak by umknąć stąd, czym prędzej, przytrzymali go za rękę; ten miotał się rozpaczliwie i wołając: Puśćcie mnie, puśćcie mnie!

A dokąd chcesz iść? Posłuchaj no tylko słówko. Dlaczego tak się wydzierasz?

A bo pan chce mnie zbić, albo zamknąć do komórki.

Ależ nie, mój kochany, nie bój się. Nie widzisz, że jesteś wśród przyjaciół? No, zaczekaj jakąś chwilę z nami.

Ależ ja chcę stąd iść, nie chcę pozostać z księżmi. Mój ojciec mówi, że księża to są...

Co znowu, mój kochany. Nie wierz takim bredniom. Popatrz, ilu tu jest chłopców wśród księży. Spytaj, czy ja ich krzywdzę. Ja tylko chcę, by byli dobrzy i weseli.

Tymczasem nadbiegło kilkunastu chłopców słuchając tej rozmowy. Niektórzy znając chłopca wołali go po imieniu, dlatego się uspokoił nieco.

Czy nie chodziłeś nigdy na katechizm? – pytał dalej Ksiądz Bosko.

Nie i nie chcę wcale zostać tu; ponieważ gdybym tu został, kazano by mi uczyć się katechizmu.

Nie chciałbyś posłuchać interesującego opowiadania?

Nie, nie chcę.

No, cierpliwości... Powiedz mi, ile masz lat?

Czternaście... Proszę mnie puścić – i znowu zaczął się wydzierać by uciec.

Zaraz jeszcze chwilkę; a do Komunii św. jeszcze nie byłeś?

Nie.

A na Msze św. nie chodzisz?

Och, mszę zostawić trzeba księżom i bigotom! Nawet gdybym tam szedł, dostałbym od ojca baty.

Poverino! – zawołał Ksiądz Bosko zwrócony do księdza Borela. Otóż zagdaka do rozwiązania: jeśli tego chłopca nie zdołamy teraz naprowadzić na dobrą drogę, jest stracony.

Po chwili zwróciwszy się do chłopca, który przestał płakać:

Powiedz, czy nie chciałbyś tu przychodzić bawić się z chłopcami?

Tak! Byle mi nie kazano iść do kościoła i nie robiono ze mnie kretyna.

Słuchaj, powiedz, czy ci chłopcy, których tu widzisz, są kretynami i zgorzknialcami? Czy nie widzisz, jacy są zręczni, nie mają żadnego kłopotu i bawią się wesoło?

Chłopak obserwował kotłowisko kręcących się chłopców; niektórzy zapraszali go, by przyszedł z nimi się bawić, jakby mimo woli im odpowiadał: Chyba przyjdę...

Nie trzeba już było tego więcej mu powtarzać. Skoczył wśród cizbę rozbawionych chłopców i hasał z jednego końca boiska na drugi, aż do chwili, kiedy dzwonek wezwał do kościoła. Wtedy on chciał opuścić podwórze. Ksiądz Bosko wszystko bacznie obserwując zatrzymał go i szepnął parę słów chwając spryt i wyrażając przyjemność widzenia się z nim powtórnie. Potem go pożegnał.

Następnej niedzieli chłopiec zjawił się nieproszony i z miejsca zaczął uganiać się na dziedzińcu. Przy końcu rekreacji znów zabierał się do drzwi.

No, dokąd uciekasz, nie chcesz pójść na parę minut do kościoła z innymi?

Ech – odpowie malec – spiesz mi się, muszę wracać do domu. Czekają na mnie w pewnym miejscu; przyjdę w następną niedzielę.

No dobrze, dobrze, zobaczymy się jeszcze nieprawdaz? Będziesz mile widziany. To mówiąc podał mu podarek mile przyjęty.

Trzeciej niedzieli był bardzo punktualny na boisku. Trochę się jeszcze zachnął przed kościołem, lecz był jakiś czas na kazaniu księdza Borela. Ksiądz Bosko odprowadził go do bramy mówiąc: Następną niedzielę, o ile nie będziesz miał żadnej przeszkody, możesz być z nami aż do wieczora.

Dobroć Księdza Bosko uzyskała tyle, że chłopiec bywał w miarę możliwości, na każdym nabożeństwie. W niedługim czasie łobuz zmienił się całkowicie. Zyskawszy jego zaufanie, przy zdarzonej sposobności, jaką doskonale wybierał, przechadzając się z nim parę chwil spytał uprzejmie: Słuchaj, oczekuję cię jakiegoś dnia z rana przy konfesjonale. Zobaczysz, jak wiele pięknych rzeczy usłyszysz. No, obiecaj mi, że tak, co? Przyjdiesz doprawdy?

Tak, na pewno przyjdę – odpowiedział rezolutnie. Odtąd przygotowywał się i przystąpił do pierwszej spowiedzi i Komunii św.

Ileż podobnych scen powtarzało się w różnych latach. Zawsze Ksiądz Bosko umiał zjednać sobie serca nawet zacięte i brutalne, zbliżając je do Boga i czyniąc szczęśliwymi. Ale co godniejsze podziwu, to heroiczna stałość, z jaką ci jego mali konwertyci potrafili wytrwać w dobrym.

Ojciec wspomnianego chłopca miał pracownię snycerską. Człowiek ten niereligijny i uprzedzony do księży, dotąd pozwalał swemu synowi wyrabiać, co chce,

gorsząc go złymi rozmowami, przekleństwami i zmuszając często do pracy w niedziele. Zresztą niewiele go syn obchodził i nie spostrzegł się przebywając całe popołudnia w knajpie o zmianie jego obyczajów. Ten zaś nie miał odwagi przyznać się, że był u pierwszej spowiedzi i Komunii św.; niektórzy koledzy sąsiedzi powiedzieli mu, że syn często przychodzi do Oratorium. Ojciec wpadł w furję i zagroził synowi:

Biada ci, jeżeli jeszcze raz twa noga wstąpi do Oratorium. Nie chcę mieć nic do czynienia z tymi klechami; zabraniam ci tego absolutnie!

Chłopiec widząc, w jaką furję popadał czasami ojciec onieśmielony spytał: ojcze, a co miałbym robić w domu w niedzielę? Zbyt nudno mi siedzieć tak beczynnie. A w Oratorium spędzam czas bardzo mile...

Mówię ci, że nie chcę tego i na tym kropka – przerwał mu nieludzki ojciec gniewem.

Dobrze – usłucham cię – odpowiedział syn – postanawiając dla uniknięcia złych kolegów nie wychodzić z domu.

Gdy przyszła niedziela chłopiec zwraca się do ojca:

Jeśli nie chcesz, bym był u Księdza Bosko, to w takim razie pójdę sobie na przechadzkę. Tak zrobił kierując się w stronę Oratorium. Zaszedłszy tam opowiedział Księdzu Bosko o swym strapieniu. Ksiądz Bosko go pocieszał:

Przychodź tu często: tego wymaga dobro twej duszy. Nie będzie to kłamstwem powiedzieć: Idę na przechadzkę: - bądź pewien, że Matka Najświętsza ci dopomoże.

Chłopiec wracał do domu a spytany, gdzie przebywał, odpowiadał: Na przechadzce!

Tak było przez dwie niedziele, kiedy diabeł, nie wiadomo, w jaki sposób szeptał do ucha owemu brutalowi, że syn chodzi nadal do Oratorium. Spotkawszy chłopca przy drzwiach chwycił go za rękę i wrzeszczał: Nie rozumiesz, że ci absolutnie zakazałem znajdować się między tą kanałą, która otacza Księdza Bosko? Jeśli jeszcze raz tam pójdziesz, rozbiję ci czaszkę. Cóż to za pięknych rzeczy dowiedziałeś się od Księdza Bosko? Doprawdy godne jego: nauczać dzieci nie słuchać rodziców! Zobaczysz, że nie ujdzie nikomu płazem naigrywać się ze mnie.

I tak będąc pod pręgierzem grózb nieustannych ze strony ojca i wyrywając się do Księdza Bosko cierpiał tortury wewnętrzne i popadał w melancholię. Nadeszła

sobota, a on prawie całą noc spędził bezsennie. Myślał o swych towarzyszach bawiących się beztrąsko w Oratorium, gdy on skazany pozostawać z dala od nich; myślał o spowiedzi i Komunii św., do której nie mógł przystępować; myślał o Księdzu Bosko, swym ojcu, o sobie samym i zalewał się łzami...

Pokrzepiwszy się modlitwą, w czas rano, wbrew zakazowi ojca, wyrwał się do Oratorium, gdzie przystąpił do Sakramentów św. pełen otuchy wrócił do domu, a wieczorem znów zjawił się na nabożeństwie. Tym razem ojciec śledził go. Ledwie wieczorem stanął w progu, spotkał swego ojca pijanego, który trzymając w ręku siekiere ryczał: znowu byłeś u Księdza Bosko!

Chłopiec przerażony zaczął uciekać. Za nim puścił się rozwścieczony ojciec i matka usiłująca wyrwać mężowi z rąk żelazo.

Nie ujdiesz mi – wołał – zabiję cię, choćbyś się znalazł w ręku Księdza Bosko. Nie mógł jednak go dogonić ze względu na swój wiek, a chłopiec 14-letni pomykał jak strzała. Dopadłszy do bram Oratorium zastał je zamknięte. Kołacze kilkakrotnie, nie chce jednak wołać głośno o pomoc w obawie by się nie zdradzić, a już słyszy głos swego ojca. Rzuca rozpaczliwie oczyma dookoła i nie widząc znikąd dla siebie ratunku wdrapuje się na rozłożysty wiąz i kryje się między konarami zataiwszy oddech. W tej chwili nadbiegają rodzice szukając go w Oratorium. Przechodzą pod wiązem nie spostrzegłszy syna, kołaczą do bramy z całych sił, jakby chcieli ją obalić... Matusia Małgorzata, która przez okno spostrzegła chłopca wdrapującego się na wiąz, słysząc obecnie ten hałas i zgadując przyczynę pobiegła do Księdza Bosko, by go powiadomić o tym. Ten kazał odźwiernemu otworzyć bramę, by stojąc dłużej na polu nie odkryli schronienia syna. Wtargnąwszy na korytarz wołali groźnie: Gdzie jest nasz syn? Oddajcie nam chłopca!

Ksiądz Bosko stanowczo odpowiedział:

Tu nie ma waszego syna.

Na pewno jest, musi tu być, znajdę go, wołał z przekleństwem ojciec. Zaczął przetrząsać pokoje, otwierał szafy, zaglądał pod łóżka, powtarzając: On musi tu być.

Ależ proszę pana, proszę najpierw powiedzieć nam nazwisko.

Moje nazwisko? Ksiądz nie potrzebuje go wiedzieć. Ale ja muszę wiedzieć, gdzie jest mój syn! – to mówiąc kierował się do innych pokoi.

Wówczas Ksiądz Bosko spokojnym, lecz zdecydowanym tonem: Proszę pana; mówię panu, że go tu nie ma; nawet gdyby tu był, pan nie ma prawa włamywać się do domu obcego. To jest mój dom i ja tu rządzę. Proszę stąd odejść, inaczej ktoś inny zmusi pana do opuszczenia tego mieszkania.

Pójdę w takim razie na policję, odpowiedział ojciec bardziej rozszokowany i potrafię go wydrzeć z pazurów księży.

Tak, proszę iść na policję, lecz niech pan wie, że ja pójdę tam również i opowiem należycie wasz postępek i jeśli jeszcze istnieją jakieś prawa na świecie, nie ujdzie pan należytej kary. Na te twarde słowa Księdza Bosko, tamci oboje z niezbyt czystym sumieniem musieli się wynieść chyłkiem i nie pokazali się więcej.

A co się stało z owym chłopcem? Po odejściu jego dwóch prześladowców Ksiądz Bosko z matką, Buzettim oraz kilku chłopcami udaje się pod ów więz i woła kilkakrotnie chłopca, by zszedł, lecz na próżno, gdyż biedaczek nie dawał znaku życia. Przy świetle księżycy ujrzano chłopca wtulonego między konary. Ksiądz Bosko kilkakrotnie powtórzył wołanie, lecz bez skutku. Przystawiono drabinę, wchodzą na drzewo, obawiając się, czy chłopcu nie stało się jakieś nieszczęście.

Ksiądz Bosko potrząsa nim silnie, wówczas chłopiec się zbudził z letargu, a myśląc, że to może ojciec, krzyczy przeraźliwie, gryzie zębami i miota się z taką furją, że omal nie spadł na ziemię i nie pociągnął za sobą Księdza Bosko. Ten ubezpieczywszy się lewą ręką o konar, drugą trzyma silnie miotającego się chłopca: Nie bój się, moje dziecko – powtarzał – widzisz, że jestem w sutannie; popatrz na minie, uspokój się, nie gryź mnie, bo mnie ranisz. Tyle dokazał, że chłopiec wreszcie przyszedł do siebie, złapał oddech i przy pomocy Księdza Bosko schodził z drzewa, które w taki sposób zyskało nazwę „drzewo życia”. Gdy weszli do domu, matusia Małgorzata ogrzała zziębnięte dziecko, posiliła minestrą i ułożyła do łóżka. Nazajutrz Ksiądz Bosko, by zabezpieczyć chłopca przed gniewem rodziców, posłał go do pobliskiej wioski pod opiekę znajomych.

Tam urósł, nauczył się zawodu i wrócił później do Turynu znosząc z wielką cierpliwością przykrą starość swych niekochanych rodziców.

ROZDZIAŁ LX

Zbliżał się koniec roku 1846, a miesiąc grudzień zaznaczył się dla Oratorium pomyślnymi wydarzeniami. Ksiądz profesor Vola podarował dla Oratorium niewielki dzwon ważący 22 kg za cenę lir 88,50. Ksiądz Bosko celem zawieszenia go na szczycie muru od strony zachodniej, kazał wznieść dwie kolumny z poprzeczną belką zakończone krzyżem. Ksiądz Borel wystosował pismo do arcybiskupa będące świadectwem dodatnich wyników trudów apostolskich Księdza Bosko i jego towarzyszy.

Eccellenza Reverendissima!

Działalność kapłanów oddających się katechizacji młodzieży męskiej w Oratorium pod nazwą św. Franciszka Salezego niedawno otwartym i pobłogosławionym przez J.E. na Valdocco w parafii św. Szymona i Judy Apostołów, przynosi pomyślne rezultaty dla licznych rzesz młodzieży schodzącej się tu na naukę katechizmu, praktyki pobożnej i rozrywki. Powstał zamiar umieszczenia na szczycie kaplicy domowej dzwonu ufundowanego przez dobrodziejów, dlatego uprasza się o zezwolenie na poświęcenie go przez czcigodnego księdza Jana Vola Juniora. W imieniu Księdza Bosko i wymienionych podpisany

ks. J. Borel.

Ksiądz Bosko korzystając ze sposobności pouczył chłopców o znaczeniu obrzędu poświęcenia dzwonów. Nie pominął zalecenia, by jak najwięcej ich przystąpiło do sakramentów św. Następnego niedzieli, przy podniosłym nastroju religijnym licznie zebranej młodzieży oratoryjnej, ks. Vola dokonał poświęcenia dzwonu, który umieszczono na wieżyczce domu. Odtąd głos jego skutecznie wzywał na nabożeństwo w pobliżu mieszkających chłopców, zgodnie ze świadectwem matek, które mówiły: Słyszając dźwięki dzwonu z wieczora dnia poprzedzającego, nasi synowie nie dają nam spokoju; proszą o przygotowanie odświętnego ubrania na dzień następny, zrywają się w czas rano z łóżek wołając: dziś w Oratorium wielkie święto, musimy przystąpić do Komunii św.

Tak było, gdy nadeszła uroczystość Niepokalanego Poczęcia, zwłaszcza wobec niedawnego objawienia się Najświętszej Dziewicy małym dzieciom w La Sallette we Francji. Był to ulubiony przedmiot kazań dla Księdza Bosko, celem rozbudzenia u chłopców miłości i czci do Matki Bożej, lecz także dla przejęcia ich wstrętem i obawą przed trzema grzechami, jakie wywołują gniew Jej Boskiego Syna i sprowadzają na ludzi straszliwe plagi: bluźnierstwa, gwałcenia świąt i nieprzestrzegania postów. Tak wielką do tego przywiązywał wagę, że polecił wydrukować wiadomość o tym fakcie cudownym w dwustronicowych odbitkach i rozrzucił je wśród ludu w 30 tys. kopiach.

Podajemy ich treść w skróceniu. Być może komuś wyda się to zbyteczne, lecz tak nie jest. Wśród niezliczonych cudów, dziejących się na świecie za przyczyną Matki Najświętszej, o których Ksiądz Bosko opowiadał chłopcom, wyjmujemy te, które wstrząsnęły światem za życia naszego Założyciela. Utwierdzi to nas w przekonaniu o obecności Matki Najświętszej w Kościele katolickim oraz o Jej skutecznym, choć ukrytym współdziałaniu w założeniu Pobożnego Towarzystwa św. Franciszka Salezego dla zbawienia młodzieży.

Obecnie przejdźmy do faktów. Niedaleko surowych i nagich skał La Sallette, zamieszkałych tylko przez parę miesięcy w roku przez pasterzy, mieszkali rodzice dwojga dzieci: 11-letniego Maksymina i 15-letniej Melanii, prości pasterze. Chłopczyk Maksymin umiał zaledwie pacierz, dziewczynka Melania potrafiła niewiele więcej od niego, tak, iż nie została dopuszczona jeszcze do Pierwszej Komunii św. Dnia 18 września roku 1846 przypadkowo spotkali się koło źródła, przy pojeniu ich bydełka. Wieczorem dnia tego mając wracać do domu, Melania mówi do Maksymina: Kto jutro pierwszy znajdzie się na górze? Nazajutrz to jest 19 września w sobotę, pędzili razem pod górę każde cztery krowy i kozę. Pogoda była wspaniała, góry złociły się w słońcu. Około południa, nie słysząc odgłosu dzwonów na Anioł Pański, odmówiły krótką modlitwę ze znakiem Krzyża św. Potem wyjęły z paczek swe zapasy i udały się do pobliskiego źródła, by się posilić. Zjadłszy przeszły potok złożyły swe torby obok wyschłego źródła i znalazłszy schronienie w wydrążonych niszach skalnych, wbrew zwyczajowi usnęły.

Melania pierwsza ocknęła się około pół do trzeciej i nie widząc krów zawołała na głos Maksymina: Chodź, poszukamy krów. Przeszli oboje znów potoczek

i zrobiwszy niewiele kroków ujrzały swe krowy leżące spokojnie niedaleko strumienia z drugiej strony. Wówczas Melania wróciła do strumyka, lecz nie doszedłszy ujrzała z dala jakby blask słońca w kolorach tęczy; zawołała, więc do Maksymina:

Chodź, chodź tu szybko, zobaczysz jasność.

Maksymin pobiegł w jej kierunku pytając: No, gdzie jest ten twój blask?

Melania wskazała mu palcem w kierunku niewielkiego źródła. Maksymin spojrzawszy przystanął. Dzieci ujrzały pośród blasku wyłaniającą się postać Pani siedzącej na załamach skalanych, z twarzą ukryta w dłoniach. Miała na nogach białe trzewiczki z kolorowymi różami przy stopach, pończochy i zapaskę na sobie koloru żółtego, suknię białą usianą perłami, jasną chustkę z wianuszkami róż. Na szyi miała łańcuszek z krzyżykiem.

Melania z przestachu upuściła swą laskę na ziemię. Po chwili Pani podniosła swą twarz jaśniejącą tak silnym blaskiem, że nie można było na Nią patrzeć. Potem wstała, skrzyżowała na piersi dłonie i mówi do pastuszków:

Chodźcie moje dzieci, nie bójcie się. Przyszłam tu, by wam oznajmić coś nowego. Wówczas Melania i Maksymin przeszli potok z Panią i skierowali się do miejsca, gdzie poprzednio spali. Pani stojąc między dziećmi i zraszając prześliczną twarz łzami przemówiła powtórnie:

Jeśli mój lud nie zechce się poprawić, będę zmuszona spuścić karzącą rękę mego Syna. A jest ona tak potężna i ciężka, że nie mogę już dłużej jej utrzymać. Tak długi czas cierpię z waszej przyczyny! Pragnąc by mój Syn was nie opuścił, muszę go błagać nieustannie, a wy z tego nic sobie nie robicie. Gdybyście się modlili i pokutowali, nigdy nie uczynicie zadość troskom, jakie mam o was. Dałem wam – mówi Pan Bóg – sześć dni do pracy, sobie zarezerwowałem siódmy i tego nie chce mi się poświęcić. Dlatego tak bardzo ciąży ręka mego Syna. Jeśli macie posuchę, to za wasze grzechy. Pokazałam wam to w roku poprzednim, a nie chcieliście mnie usłuchać; bo gdy wam ziemniaki zgniły, bluźniliście memu Synowi. Będą nadal klęski w polu i tego roku nie będziecie nic mieli. Jeśli zechcecie siać na polu, robaki zjedzą wam ziarno, a to, co zbierzecie, spleśnieje, gdy będziecie młócić... Będzie wielka śmiertelność niemowląt poniżej siedmiu lat życia... Nastanie wielki głód... Klęska spadnie na orzechy i winogrona. / Uwaga: Proroctwa te ziściły się. Od roku 1849 do 1874 zaraza dotknęła winnice w całej Europie/.

W tej chwili Pani umilkła, tylko wargi poruszały się, nie wiadomo, co mówiła. Dzieci tylko zrozumiały, iż zwierzała im sekret zabraniając go rozgłaszać, nawet między sobą.

A jeśli ludzie nawrócą się, same kamienie i skały zamienią się w sterty siana, a ziemniaki obrodzą obficie.

Potem spytała pastuszków: - czy odmawiacie dobrze pacierz?

Nie zbyt dobrze, Pani – odrzekły.

Ach! Moje dzieci, odmawiajcie go zawsze uważnie, rano i wieczór. Gdy brak czasu, zmówcie tylko Ojczy nasz i Zdrowaś Maryja; gdy macie więcej czasu módlcie się więcej.

I podejmując ton surowy kontynuowała: Na Mszę św. przychodzi tylko kilka staruszek, inne pracują przez całe lato w niedzielę; w zimie wielu chłopców chodzi na Mszę św., by wyśmiewać religię. Nie zachowuje się postów nakazanych; idzie się do jatek na podobieństwo psów... Potem zwracając się do Maksymina :

Czy widziałeś, mój chłopcze, zniszczone zboże?

Nie, Pani – odpowiedział.

Musiałeś jednak widzieć to pewnego dnia w okolicy Coin.

Jeden gospodarz z tej wioski posłał po twego ojca, by zobaczył jego zasiewy zniszczone i wyście tam poszli obaj. Wzięliście do ręki parę kłosów, które zbutwiały na proch, a wyście wrócili do domu. Gdy byliście o kwadrans drogi od wioski Corps, twój ojciec dał ci skibkę chleba mówiąc: Bierz, jedz mój synu; nie wiem czy będziemy jedli go w przyszłym roku, jeśli tak dalej będzie panowała klęska na polu. Maksymin odpowiedział:

O, tak, Pani, przypominam sobie. – A Pani owa mówi:

Otóż moje dzieci, to, co wam powiedziałam, opowiedzcie ludziom w moim imieniu. Przeszła strumyk i zrobiwszy parę kroków bez odwracania się już do dzieci powtórzyła:

Tak, moje dzieci, powiedzcie o tym ludziom... Szła z nimi do miejsca, gdzie zostawiły swe krowy. Zdawała się nie dotykać ziemi stopami. Melania postępowała nieco z przodu, Maksymin z boku z tyłu. Piękna Pani uniosła się jakiś metr nad ziemią i zawisała tak przez moment. Zwróciła wejrzenie ku Niebu, potem ku ziemi. Stopniowo znikły jej głowa, ramiona, została jasność, która się rozwiała. Melania przyszedłszy do

siebie odezwała się do Maksymina: Wiesz, to była chyba wielka Święta, poprosilibyśmy, by nas ze sobą zabrała.

A może jeszcze jest tu obecna? Maksymin próbował ręką dotykać jasności, która już zniknęła. Pastuszkowie oglądali się jeszcze z uwagą, czy kogoś nie zobaczą, a Melania woła:

Ona nie chce, byśmy Ją widzieli, gdyż nie chce, by wiedzieć, dokąd poszła.

Słońce już zachodziło, więc popędzili swe krowy do domu. Wróciwszy opowiadali rodzicom cuda, jakie widzieli i słyszeli, jak Pani zwierzyła im pewien sekret z warunkiem, że nie zdradzą go nikomu. Pomyśleć, że dzieci mogły milczeć...ale więcej nie powiedziały już ani słowa. Nazajutrz powróciły do suchego źródła, obok którego siedziała Pani i które nie miało wody, chyba po obfitych deszczach i oberwaniu chmur; teraz ujrzały, że spływa zeń obfita struga wody i płynie bez przerwy. Tymczasem rozeszła się wieść o zjawieniu się Madonny dzieciom. Rozpoczęły się pielgrzymki, ludzie nawracali się.

Nawiasem dodamy, że odtąd źródło tryskało niezwykle obficie i że odbierano tu łaski od Boga, dalej, że w pierwszą rocznicę zjawienia się Matki Boskiej, 70-tysięczna rzesza odwiedziła to błogosławione miejsce, na którym obecnie wznosi się wspaniała świątynia i dom pielgrzyma. Przez dwa lata władze kościelne badały fakt powyższy, osobno wypytujac dzieci przez kilka czasem godzin dziennie, krzyżując pytania, czy się nie powikłają w odpowiedziach i zawsze ich zeznania były identyczne.

Co do sekretu wymienionego, o czym i same nie rozmawiały ze sobą, nie można było od nich niczego wydobyć, choć przez lat 20 ponawiano im obietnice, groźby, podarki, zachęty...

W 1871 biskup z Grenoble, polecił im napisać list do Ojca św. wtedy usłuchały. Podały zapieczętowany list przy świadkach, a gdy Ojciec św. Pius IX go przeczytał, zawołał wzruszony:

Chodzi tu o klęski, jakie spadną na Francję. Nie tylko ona jest winna, ale także Włochy, Niemcy, cała Europa...Tyle Ksiądz Bosko w swej broszurce.

Nie zrównane dobro stąd wynikło dla dusz młodzieży, która czytała to opowiadanie wyjęte jakby z ust naocznego świadka, co tak żywo i wyraziście malował te opisy. Chłopcy nie znając snów Księdza Bosko musieli przyjmować te słowa

z wielkim wzruszeniem, a śpiewając pieśń *Noi siamo figli di Maria* – serca były im z większą czcią i miłością ku Matce Bożej.

Uroczystość Niepokalanego Poczęcia była wstępem do Bożego Narodzenia. Wielka była wiara Księdza Bosko względem wszystkich tajemnic naszej św. religii. Celem pobudzenia pobożności wiernych do tajemnicy Słowa Wcielonego, prosił Stolicę św. o pozwolenie na udzielanie Komunii św. w czasie Pasterki w Noc Bożego Narodzenia. Pius IX udzielił mu go na trzy lata. Powiadomiwszy o tym młodzież polecił przygotować przez chór całą Mszę św. oraz kilka kolęd ku czci Dzieciątka Bożego, które sam ułożył w tym celu oraz przyozdobić jak najpiękniej swą kaplicę. Odprawiano nowennę przy udziale młodzieży i wiernych. Uzyskał pozwolenie na wystawienie Najświętszego Sakramentu i udzielanie błogosławieństwa Eucharystycznego za każdym razem w czasie Nowenny, lecz tylko w tym czasie mógł przechowywać Najświętszy Sakrament w ołtarzu.

Napływ młodzieży i wiernych był bardzo wielki. Spowiadał wszystkich, którzy pragnęli nazajutrz przystąpić do Komunii św. W czas rano przychodził do kaplicy, by dać tę sposobność rzemieślnikom idącym do pracy. Po Mszy św. i Komunii było kazanie, Potem odśpiewano prorocтва, a na zakończenie było błogosławieństwo Eucharystyczne. W noc Bożego Narodzenia spowiadał do godziny jedenastej, potem odprawiał Mszę św. z Komunią dla setek osób. W przemówieniu zaś do wiernych ze łzami wołał:

Co za pociechę doznaje w sercu! Czuję, jakbym był w raju!

Po nabożeństwie był zastawiony dla chłopców skromny posiłek. Potem odsyłał ich do domów na spoczynek.

Po krótkim odpoczynku wracał do kaplicy, by spowiadać mnóstwo osób oczekujących, które nie mogły uczestniczyć w nabożeństwie nocnym; Następnie odprawiał dwie dalsze Msze św., komunikował wiernych i spełniał pozostałe czynności jak w dni świąteczne.

W taki sposób przez wiele lat odprawiano w Oratorium uroczystość Bożego Narodzenia, dopóki Ksiądz Bosko nie miał innych kapłanów w domu.

Wspomniane uroczystości Bożonarodzeniowe nabierały niezapomnianego charakteru i przez to, znaczyły definitywne objęcie wysnionego domu Pinardiego, gdzie już wszystko było rozplanowane dla regularnego rozwoju Oratorium.

Zapowiadało to przyszłą rozbudowę Oratorium, które miało opowiadać nadchodzącym pokoleniom i dobroci Bożej.

Ksiądz Bosko odmawiając brewiarz w tym dniu prawdziwie mógł powtarzać za psalmistą: „Przyjeliśmy Boże, miłosierdzie twoje pośród Kościoła twego. Jako imię twoje, Boże, tak chwała twoja na krańce ziemi! Sprawiedliwości pełna jest prawica twoja!”. /Ps 47, 10.11/.

A.M.D.G.

SPIS RZECZY

Rozdział I	Stan rzeczy w Piemoncie w 1841r. – osobowość króla Karola Alberta – sekciarstwo.....	7
Rozdział II	Gorliwość u początków kapłaństwa – „pigułki Madonny” – żywa wiara.....	17
Rozdział III	Wizyty: u dawnego nauczyciela ks. Lacqus – rys charakterystyczny X.B. – ks. Karol Palazzolo – studia prywatne.....	24
Rozdział IV	Propozycje posad – Rada księdza Cafasso – Konwikt Kościelny w Turynie – Ksiądz Bosko wybiera się do Turynu – Zdanie się na Opatrzność Boską w dalszej działalności – Narzędzie opatrnościowe.....	30
Rozdział V	Powitanie w Konwikcie – życie wspólne, ks. Guala i ks. Cafasso.....	37
Rozdział VI	Żaloszny widok chłopców w miastach – Akcja charytatywna – Ostatni obraz nędzy ludzkiej – Proroctwo czcigodnego ks. Cottolengo.....	41
Rozdział VII	Pierwsze znajomości z chłopcami w Turynie – Projekt oratoriów świątecznych – Zrządzenie opatrnościowe – Bartłomiej Garelli pierwszy oratorianin.....	47
Rozdział VIII	Wielka zasługa Konwiktu kościelnego – Konferencja moralna – Ćwiczenia homiletyczne – postępy Ksiądz Bosko w dyscyplinach kapłańskich – Zamiłowanie do cnoty czystości – Rozdzielanie jałmużny biednym.....	53
Rozdział IX	Pierwsza pieśń Maryjna – Metoda organizowania oratorium – Współpracownicy i dobrodzieje – Wędrówki po mieście – Odwiedzanie chłopców warsztatach – Miły epizodzik – Nauczka dla krytyków.....	59
Rozdział X	Humor w Konwikcie – Miłość ks. Cafasso względem więźniów – Ksiądz Bosko jako katechista więzienny, wrażenia i osobiste doświadczenia – Wielkanoc wśród więźniów.....	64
Rozdział XI	Próby zdolności krasomówczych – Cudowny Medalik Niepokalanej – Nawrócenie Alfonsa Ratisbonna – Inne cudowne wydarzenia religijne w Piemoncie.....	70
Rozdział XII	Żałoba w Turynie – Przepowiednia wielebnego ks. Cottolengo – Wyłomy w prawach Kościoła – Inny smutek dla Ksiądz Bosko – Zakończenie pierwszego roku studiów w Konwikcie – Pobyt w Castelnuovo.....	75
Rozdział XIII	Dwa pocieszające zdarzenia religijne – Jurysdykcja do spowiedzi – Urozmaicenie zebrań świątecznych młodzieży – Pierwsze próby śpiewu religijnego – Pomocnicy – Początek niektórych pieśni salezjańskich – Pierwszy triumf śpiewaków Ksiądz Bosko.....	80
Rozdział XIV	Powiększanie się Oratorium – Zabawy poza miastem – Ks. Guala ddaje do użytku dziedziniec Konwiktu i zakrystię – Podział wychowanków na sekcje – Frekwencja do Sakramentów św. – Uroczystość św. Anny – Miła niespodzianka.....	85

Rozdział XV	Jurysdykcja do słuchania spowiedzi wiernych – Wczasy zdrowotne – Na rekolekcjach u św. Ignacego – Wincenty Gioberti i jego zasady dysputy z proboszczem Cinzano – „Beatelle” i roztropne rady XB..... 89
Rozdział XVI	Trzeci rok w Konwikcie – Główne zajęcia Ksiądz Bosko – Katechizacja młodzieży – Rady dotyczące się Sakramentu Pokuty – Normy praktyczne dla spowiedników młodzieżowych 93
Rozdział XVII	Nadzieja chrześcijańska – Insta importune et opportune – Ksiądz Bosko przy apostołskim rzemiośle – Kaznodziejie i spowiednik. – Wstręt do grzechu nieczystego – W szpitalach..... 97
Rozdział XVIII	Obsługa szpitali – Przykłady gorliwości – O pewnej przepowiedni..... 103
Rozdział XIX	Apostolat w więzieniach turyńskich – Pierwsze spotkania – Triumf miłości chrześcijańskiej – Trudności pokonane – Rezulutna odwaga – Przyjaźń ze strażnikami – Znajomość z rodziną kata – Pocieszające nawrócenia..... 108
Rozdział XX	Uznanie arcybiskupa dla sformułowań katechizmowych proponowanych przez Ksiądz Bosko – Zdradliwa filantropia – Żłóbki dziecięce, kontakty Ksiądz Bosko z klerem i laikatem piemontkim..... 116
Rozdział XXI	Prasa i szkoła – Ksiądz Bosko chwyta za pióro, Pierwszy cenzor jego utworów – Śmiały wyczyn naganny – Uwiecznienie pamięci współ kolegi – Koronka do Siedmiu Bolesci NMP..... 120
Rozdział XXII	Ks. Cafasso konferencjonistą w Konwikcie. – Uznanie jego dla Ksiądz Bosko oraz wzajemne zaufanie jego ucznia. – Idea zakonnika-misjonarza. – Ks. Guala odradza stanowisko wikarego. – Na rekolekcjach w S. Ignazio. – Decyzja ks. Cafasso..... 126
Rozdział XXIII	Ks. Aporti w Turynie. – Szkoły pedagogiczne. – Spór między panującym a arcybiskupem Fransoni. – Stosunki Ksiądz Bosko z Aportim roztropność wężowa i prostota gołębia..... 131
Rozdział XXIV	Starania o zatrzymanie Ksiądz Bosko w Turynie. – Proponowany na kapelana do Szpitalika dziecięcego. – W Canelli na odpuście. – Sekrety kaznodziejskie..... 140
Rozdział XXV	Ksiądz Bosko przeznaczony do Schroniska markizy Barolo. – Jej osobowość. Uzyskuje jej zgodę na prowadzenie Oratorium przy Schronisku. – Ks. Jan Baptysta Borel..... 146
Rozdział XXVI	Sen: pasterka i dziwna trzoda. – Trzy postoje, przybycie do mety. – Oratorium przenosi się do Schroniska. – Napływ młodzieży z Valdocco humorystyczne sceny. – Kaplica. – Pierwszy kościółek czci św. Franciszka Salezego.– Uroczystość 8 grudnia..... 151
Rozdział XXVII	Patron – św. Franciszek Salezy. – Początek szkół wieczorowych i świątecznych. – Zmiana u chłopców. – Dalsze studia w Konwikcie. – Boże Narodzenie – pierwsze kwesty..... 157
Rozdział XXVIII	Nabożeństwo Ksiądz Bosko do Anioła Stróża – Przykład – Drukuje książkę pod tytułem „Il divoto dell’ Angelo Custode”..... 163
Rozdział XXIX	Miłość Ksiądz Bosko do Kościoła. – Owocna gorliwość wśród więźniów – uczą się jęz. niemieckiego. – Katechizacja w mieście i zakaz. – Pierwsze supliki do Kongregacji rzymskich..... 169

Rozdział XXX	Oratorium przenosi się do św. Piotra w Okowach. – Przykry incydent – dwa zgony.- Znowu na bruku. – Próby otrzymania kapelani św. Piotra w Okowach. Uroczystość św. Alojzego..... 176
Rozdział XXXI	Zajęcia Ksiądz Bosko w Schronisku. – Wiążąca decyzja markizy względem Oratorium. – Sen Ksiądz Bosko. – Trzech Męczenników Teb. – Studium historyczne ks. kan. Castaldi..... 180
Rozdział XXXII	Przeprowadzka Oratorium. – Ostatnia zbiórka w Schronisku. – „kapusta przesadzana lepiej rośnie”– Pierwsze akademijki..... 184
Rozdział XXXIII	Otwarcie Szpitalika św. Filomeny. – Opozycja przeciwko Oratorium ze strony urzędników Molini. – Na placu Emanuela Filiberta. – Szacunek i cześć ludu. – Pewien wesoły epizod. – Michaś Rua..... 188
Rozdział XXXIV	Markiza Barolo w Rzymie. – Ksiądz Bosko na czasach zdrowotnych. – Korespondencja z ks. Borelem. – Zapowiedź Zgromadzenia Salezjańskiego. 191
Rozdział XXXV	Podręcznik historii kościelnej, powody napisania go. – Papieże, sobory, postępy katolicyzmu. – Uwzględnienie dziejów diecezji piemonckich. – Liczne przykłady budujące..... 197
Rozdział XXXVI	Nowe skargi przeciwko Oratorium. – Zakaz zebrań w kościele św. Marcina. – Widoczna kara boska. – Męstwo Ksiądz Bosko. – Oratorium wędrowne. – Duch proroczy. – Pewien wspaniały sen. – Pośród nadziei i zwątpień..... 201
Rozdział XXXVII	Oratorium i szkoły w domu Moretta. – Niektórzy dobrodzieje. – Wykłady religijne w szkołach. – Plotki krążące. – Stanowisko księdza Cafasso..... 207
Rozdział XXXVIII	Ksiądz Bosko upada na zdrowiu. – Ksiądz Borel obrońcą Oratorium. – Proboszczowie turyńscy. – Broszurka wydana: „Sześć Niedziel ku czci św. Alojzego Gonzagi”..... 212
Rozdział XXXIX	Ksiądz Bosko wśród skazańców..... 219
Rozdział XL	Ksiądz Bosko zmuszony opuścić dom Moretta – Oratorium koczuje na łące – Głodny chłopiec – wycieczki na Superge..... 223
Rozdział XLI	Młodzież entuzjazmuje się wycieczkami – murarczyk na łące Valdocco – śniadanie u Kapucynów – epizod na rzece Po – przywiązanie chłopców do Ksiądz Bosko..... 231
Rozdział XLII	Historia biblijna - metoda pedagogiczna zastosowana w tej książce – niektóre cytaty..... 236
Rozdział XLIII	Pogłoski niekorzystne dla Oratorium – markiz Cavour i jego groźby – nowy ostatni atak – poparcie ze strony arcybiskupa – nadzór ze strony kwestury – pocieszające fantazje..... 241
Rozdział XLIV	Ksiądz Bosko uznany za wariata – ks. Cafasso wyrokuje o jego snach – wesoły epizod z dwoma kanonikami – ks. Borel zaufanym powiernikiem Księdza Bosko..... 246
Rozdział XLV	Ostatni dzień na łące – pielgrzymka do Madonna di Campagna nowe odmowy jasny promień: szopa Pinardiego – entuzjazm chłopców – pożegnanie się z łączką..... 252

Rozdział XLVI	Objęcie nowej siedziby – pielgrzymka dziękczynna do Consolaty – metoda stosowana w Oratorium – zdolny „duszochwat” – szpaczek w klatce – przy odejściu – prorocstwo?..... 258
Rozdział XLVII	Nowe kłopoty ze strony markiza Cavura – znakomity obrońca Ksiądz Bosko na posiedzeniu Rady Administracyjnej – przejednanie markiza – respekt Ksiądz Bosko wobec praw państwowych i urzędów..... 264
Rozdział XLVIII	Ksiądz Bosko w Sassi – uczniowie szkół Braci Lasallistów – podwójny ambaras i szczęśliwe wyjście..... 271
Rozdział XLIX	Ksiądz Bosko opuszcza Schronisko – dyplomatyczne stanowisko wobec sugestii markizy Barolo – jej tajemna dobroczynność – Ksiądz Bosko stopniowo wydzierzawia cały dom Pinardiego..... 274
Rozdział L	Poradnik dla winiarzy – śmierć Grzegorza XVI – wybór Piusa IX – manifestacje ku czci nowego papieża – roztropna postawa wyczekująca arcybiskupa Fransoniego i Ksiądz Bosko..... 281
Rozdział LI	System dziesiętno-metryczny – okólnik biskupa Artico – problem rozwiązany – nowa książka..... 287
Rozdział LII	Pieczolowitość o kościółek na Valdocco – uroczystości ku czci św. Alojzego i św. Jana Chrzciciela – choroba, miłość i pobożność chłopców – radosne festyny..... 191
Rozdział LIII	Rekonwalescencja w Castelnuovo – oratorium kontynuowane przez pomocników – niewierność ślubom ukarana – odwiedziny – w Becchi – wizyty składane..... 297
Rozdział LIV	Daremne sugestie przyjaciół i biskupa – Matka Małgorzata decyduje się opuścić Becchi..... 305
Rozdział LV	Wyjazd z Becchi – zakładki brewiarza – przybycie do Valdacco – spotkanie z ks. Vola – ubóstwo, niedostatek i zadowolenie – uroczyste powitanie – posag rodzinny..... 310
Rozdział LVI	Dom Pinardiego wraz z przyległościami – nowe nabytki – oberża Giardiniera – nieprzyjemne zdarzenie..... 317
Rozdział LVII	Jeszcze o markizie Barolo – jej nabożeństwo do Bożego Miłosierdzia zaaprobowane przez Stolicę Apostolską – książka Księdza Bosko o Miłosierdziu Bożym..... 323
Rozdział LVIII	Studenci katechiści w Oratorium – szkoły niedzielne i wieczorne – zdolności, pamięć i serce – student i lichwiarz..... 328
Rozdział LIX	Na miód łakomią się osy – ojciec obojętny – drzewo życia..... 334
Rozdział LX	Pierwszy dzwon Oratorium – zjawienie się M.B. w La Salette – pierwsza pasterka w Oratorium..... 340